GUSTAW MORCINEK

WYRĄBANY CHODNIK

WYDANIE DRUGIE



CIESZYN 1936

WYRĄBANY CHODNIK

GUSTAW MORCINEK

WYRĄBANY CHODNIK

POWIEŚĆ ODZNACZONA PIERWSZĄ NAGRODĄ NA
ŚLĄSKIM KONKURSIE LITERACKIM W ROKU 1931

CZĘŚĆ I

WYDANIE DRUGIE



CIESZYN 1936
NAKŁADEM KSIĘGARNI „DZIEDZICTWA"

Drukarnia „Dziedzictwa“ w Cieszynie.

Swojej Matce

poświęcam

I.

Gustlik Wałoszków doczekał się swych czternastu lat.

Nauczyciel, wręczając mu świadectwa szkolne, przybrał świątobliwość na twarz i jął mu prawić długie kazanie. Poważnie, z namaszczeniem, jak tego wymagała dostojność chwili. Wyszukiwał słowa, dobierał przezornie, układał w okrągłe zdania, nizał w pamięci w długie szeregi, a ubiegając naprzód ich szumne poczęcie, cedził każdy wyraz pomaleńku, radując się ich dorodnym kształtem i nadętą powagą. Jakby ktoś grube, pękate ziarenka bobu między palcami toczył.

Gustlik nie zadawał sobie trudu z ich słuchaniem. Cóż go to mogło obchodzić? Cudaczne słowa nauczycielowe przybierały dla niego podobieństwo czegoś okrągłego, spadającego w uszy z obmierzłym szelestem; w dotknięciu szorstkie a miękkie, jakby papierowe kuleczki, a równocześnie zalatujące swędem zgaszonych gromnic, które przed chwilką jeszcze paliły się przy trumnie kogoś obcego. Nie lubiał tego wszystkiego.

Dla niepoznaki trzymał w opuszczonych rękach kapelusz, a od czasu do czasu ciężko wzdychał, jak to widywał u nabożnych babinek w kościele wczas odpustowego kazania, kiedy ksiądz proboszcz gromił zapalczywie

ludzkie grzechy i wszystkim bezbożnikom, i nieznabogom, i pijakom przegrzeszonym piekło obiecywał. Boć i pan nauczyciel tak samo prawie mówi, tylko że trochę ciszej. Gdy tamte proboszczowe słowa z krzykiem na kościół leciały i pięścmi każdemu pod oczy groziły, i doskakiwały, i tupały piętami, i płomieniem gorzały, — to nauczycielowe jakoby w filcowych pantoflach na końcach palców bieżały, uśmiechnięte uśmiechem figury świętej, ze złożonemi na padołku rękami, z wyblakłem kółeczkiem świętości koło głowy, a ów krzyk i groźbę schowane miały w zanadrzu.

Gustlik udawał, że słucha, a oczyma śledził łakomie tombakowy wisiorek przy łańcuszku, opinającym wydętą, kwiecistą kamizelę nauczycielową.

Słoneczko rozsiadło się szeroko na okiennym progu, patrzyło złocistą, kwadratową plamą w podłogę, oparło się z uśmiechem o zakurzoną ścianę i drobiło swe lśnienia na migotliwe skierki w łańcuszkowych ogniwkach.

W Gustlikowe oczy sypał się mnogi rój zakrzywionych skierek z łańcuszka.

— Jak jeny kierysi grejcar zarobię — myślał — to se też taki łańcuszek kupię! I też musi być taki złoty, choćby nie wiem co kosztowo!!.. Ale kiedy on mnie puści? Mówi i mówi, jak paterek[1]) na kozaniu, a chłapczyska mu tam wrzeszczą w klasie!..

Istotnie poprzez ścianę sączył się daleki, przytłumiony gwar chłopięcych głosów. Widać, radowali się uczniowie, że niema nauczyciela w klasie. Przypominało to brzęczenie pszczół w czerwcowe południe. W pewnej chwili, kiedy gwar jął się przemieniać w hałas, nauczyciel przerwał niedokończone zdanie, podniósł głowę i ruszając

---

') Paterek — ksiądz wikary.

pocieszne długą, suchą grdyką, zapatrzył się w ścianę w czujnem słuchaniu.

— Ja, um Gottes willen — zmartwił się ciężko — sie schreien schon wieder!...[2])

Szybko tedy zaokrąglił ostatni frazes wybieranemi słowy, dobitnie je skandując. Przypominało to ostatnie uderzania młotkiem po skrzyni, w którą włożył coś bardzo cennego, a teraz ma ją w świat wysłać. Żeby też żaden gwozdek nie popuścił, boby z wnętrza mogło się coś usypać po drodze, a szkoda byłaby wielka!.. Wkońcu poklepał chłopca po ramieniu i rzekł:

— Also geh schon...[3]) z Panem Bogiem, a pamiętej na moje nauki!

Gustlik na to tylko czekał. Pomny wskazań matki, ukłonił się niezdarnie i jął szybko wymawiać uświęconą formułkę:

— Z Panem Bogiem, Herr Oberlehrer, a Pónbóczek zapłać za naukę i za utropę[4]) ze mną, a nie gniewają się na mnie, coch ich kiedy rozgniewoł, a ni mają za złe...

— No, schon gut, Wałoszku... schon gut!..[5]) — zakończył nauczyciel i popchnął go lekko ku drzwiom.

Na korytarzu włożył Gustlik świadectwo do kieszeni i odetchnął. W perspektywie długiego ganku rozwierała się przed nim brama szkolna dokorząt. W jej ramach jaśniał skrawek słońca leżącego na drodze. Uśmiechnął się bezwiednie. Wyczuł słodką ulgę w owem zbliżaniu się do rozwartych drzwi. Niecierpliwemi krokami szedł naprzeciw słonecznej ulewy, w sercu zaś rozkwitała wielka radość. Za sobą zostawiał bez pożegnania wszystkie ubiegłe go-

---

[2]) Na miłość Boską, tamci znowu krzyczą!

[3]) Więc idź już!

[4]) utropa — kłopot.

[5]) No, już dobrze!..

dżiny, pełne niemiłych wspomnień, opuszczał je w chłodnych ścianach szkoły, odchodził od nich bez serca. Nie wróci już do nich, nie wróci, chwałaż-ci też, Panie Boże!..

Przed bramą zmrużył szare oczy. Olśnił je nadmiar słońca. Zwężyły się śmiejące źrenice, a słońce przecedzone na wąziutkie smużki sączyło się w głębie oczne, wypełniało szczodrze, potem jęło przelewać w serce, pojąc je rzetelnym miodem.

Przystanął zapatrzony w urok słonecznego dnia. Oczy w radośliwem zapamiętaniu poleciały w rozstępujący się świat. W głębokim błękicie dojrzał chybkie jaskółki. Śmigały ostremi linjami, zostawiając w oczach rozwianą smugę swych niknących czarnych ciałek. W powietrzu stała pachnąca cisza. Drżały w niej uwieszone na ździebełkach trawy migotliwe kropelki rosy. W każdej kropelce jarzyło się maleńkie słońce. Przed drogą wyciągnął się długi sznur zrudziałych budeli[6]). Z ciemnych okien i odchylonych drzwi spływało ku niemu wspomnienie rozkoszy wilgotnego cienia w skwarne południe. W ustach wyczuł soczysty smak kwaskowatego jabłka, zerwanego chyłkiem w proboszczowym sadzie. Poza domami, daleko gdzieś, wspierały się miękko o niebo szarawe, prześwietlone słupy skłębionych dymów.

— Bydzie pogoda — mruknął z miną znawcy — bo z kominów kurzy się do nieba...

W błękitach tańczyły skowronki podług swej dzwoniącej piosenki. Patrzał za niemi i dobrze mu było. Ich płynne i lekkie ruchy brał w siebie, jak kryniczna woda bierze słonkowe złoto. Wyczuwał ich lekkość w swoich mięśniach, czuł ją koło siebie, jak go ogarniała sobą, pod niebo wynosiła. Jeno skrzydła mieć, a uleci za tam-

---

[6]) budele — koszarowe domy górnicze, kolonje.

temi skowronkami i jaskółczętami!.. Żeby jeno skrzydła mieć!..

Rozciągnął szeroko ramiona. Przez chwilę, przez drobną chwileczkę sycił się rozkoszą prężenia młodego ciała, na ustach rozczerwienił się drobny uśmiech, siwe oczy rozgorzały płomykami.

— Piernika — szepnął — jak też to dzisio jest pieknie na świecie!..

Źrenice zstąpiły z nieba na ziemię. Ujrzały w pyle nadrożnym łupinę z cytryny. Żółciła się niefrasobliwie w słońcu, jak samotny kaczeniec na łące. Gromadka kur zwiedziała się o niej i teraz dziobały ją zawzięcie. Opodal skakały pocieszne Wróbliki, zerkały ciekawie czarnemi paciorkami swych oczął i cosik żywo przymawiały. Widać, nie mogły nijak wymiarkować, poco owe głupie kury tak zapalczywie tłuką dziobami.

Gustlik roześmiał się w głos. Zerwał czapkę z głowy i rzucił ją w tamtę kurzą biedotę. Wytrzeszczone przerażenie spadło im na głowy. Rozbiegły się z okropnym wrzaskiem, a Wróbliki zaś smyrgły przezornie na płot, naśmiewając się hałaśliwie z przestraszonych czupiradeł. Gustlik podniósł łupinę, podszedł pod otwarte okno klasy, wycelował i cisnął w głąb izby. Posłyszał mokre pacnięcie. Odwrócił się w okamgnieniu, a prychając tłumionym śmiechem, jął zmykać na drogę. Pogonił go krzyk chłopców z rozwartego okna.

— To Wałoszek, Herr Oberlehrer, to Wałoszek!.. Hynaj ucieko, hynaj!..[7]) Poczkej, dostaniesz ty!..

A w te pędy kusztykał za nim lament nauczyciela.

— Ja, um Gottes willen!., So ein Lausbub!.. Ja, um Gottes willen!..[8])

---

[7]) hynaj — tam.

[8]) Na miłość Boską! Cóż to za smarkacz!..

Za płotem zwolnił kroku. Wzdłuż drogi grzały się w słońcu zielone, rozczapierzone korony drzew. W ich błękitnawym cieniu, na trawie, spoczywali górnicy. Jedni leżeli na brzuchach, podpierając brody dłońmi, a w zaciśniętych wargach chwiali długiemi źdźbłami trawy, inni na wznak wyciągnięci, z podłożonemi ramionami pod głową, błądzili oczyma po niebie, a jeszcze inni, na łokciach wsparci, żuli tytoń i strzykali przez zęby żółtą śliną na drogę. W środku siedział stary Kopel i opowiadał coś z przejęciem. Wszyscy go słuchali. Raz wraz wybuchali śmiechem, a wtedy leżący na wznak podnosili głowy, by się śmiać wygodniej.

Gustlik przystanął opodal. Wtedy Kopel urwał w połowie zdania, spojrzał groźnie i zawołał:

— Idziesz tu stąd, snoplu[9]) jeden!.. Bydziesz nas tu posłuchoł!..

Gustlik wiedział, że jeżeli go odpędzają, to z pewnością mówią cosik szpetnego o dziewczynach. Oni zawsze tak czynią, a śmieją się przytem do rozpuku. Uciekł, bo inaczej nabiliby mu paskiem.

— Psiakręć... — myślał — żeby tak zostać hawierzem[10])... Teżby się wylegiwał po gromadzie w cieniu i tytońby żuł, jak każdy porządny hawierz, i przez zęby strzykał, i wszystko. Zarobiłby dużo pieniędzy, kupiłby sobie taki zegarek i łańcuszek, jaki ma sam pan kierownik, i nikogoby się nie bał. Potem kupiłby sobie rower i jeździłby na nim po odpustach za dziewczynami, jak to czyni Hanys Buławów. Psiakręć kandy!..

Po drodze rychło zapomniał o szkole, o łupinie z cytryny, wrzuconej do klasy, o górnikach w cieniu przydroż-

---

[9]) snopel — smarkacz.

[10]) hawierz — górnik, hawiernia — kopalnia.

nym. Podskakiwał na jednej nodze, rzucał kamykami na hałasujące wróble, straszył małe dzieci, co się przed sieniami bawiły, a gdy które z nich podniosło wrzask, a w ślad za' nim wybiegała matka z izby, uciekał przezornie, bo mógłby łacno coś oberwać.

Jedna i druga kobieta groziły za nim. wyzywając go szpetnie od chacharów i podciepów dziećmiorowskich i jeszcze inaczej, co tam która jakie kamieniste słowo na podorędziu miała, a Gustlik śmiał się z ich bezsilnej złości i na nosie rzepkę strugał. Potem jeszcze rzucał kamieniami na przejeżdżający pociąg, usiłując trafić w koła wagonów. Skakał z uradowania, gdy trafione koło zabrzęczało roztrzęsionym dźwiękiem. Następnie uwiesił się na rogatce, patrząc, skoro budnik, stojący gdzieś daleko na drugim przejeździe, zacznie się z jej ciężarem mozolić. Doczekał się. Ostatnie wagony przeleciały z krzykiem, jęły stopniowo maleć, a wtedy wyciągnięte druty rogatkowe napięły się, dygocąc w bezpłodnym wysiłku. Gdy uważał, że tego dosyć, zsunął się na ziemię, a rogatka śmignęła gwałtownie w górę, druty zaś zabrzęczały rozgłośnie. Gustlik uciekał teraz naprawdę, bo gdyby go tak rozzłoszczony budnik dopędził — Maryjko święto!..

W domu czekała na niego matka. Siedziała przy oknie, w słońcu i różańcowe paciorki przebierała w starych palcach.

Uśmiechnęła się, gdy Gustlik wpadł do izby. Stoczył się jej kamień z serca, bo nareszcie doczekała się tej chwili, że jej synek najmilszy, Gustliczek, wyręczy ją w pogoni za chlebem. Albo przynajmniej ulży małowiela.

Ojciec już był dawno pod darnikiem[11]). Został w kopalni podczas nieszczęścia, gdy gazy wybuchły i gdy

---

u) pod darnikiem — pod darnią, w grobie, w tym wypadku — umarły.

pożar szalał pod ziemią. Poszedł ratować współtowarzyszy. Nie rnusiał iść, ale jako taki; uwziął się i poszedł. Nawet sam inżynier, co — Boże mu tam dej radość wieczną — także tam został, odradzał troskliwie:

— Wałoszku, to pieknie, że chcecie iść ze mną, aie nie chodźcie!.. Nie chodźcie, Wałoszku!.. Już eście starsi, nie wydzierżycie w skafandrze. Idźcie do chałupy ku babie... Są tu młodsi, pójdą za was!..

— Pójdę, panie inżynier!.. — powiedział twardo Wałoszek. — Jeżeli oni, panie inżynier, idą, to jo też idę!,,

I poszedł z inżynierem, a z nimi dwunastu innych.

Gdy już był w windzie, to się jeszcze przeżegnał. Trochę to śmiesznie było, bo na twarzy miał maskę z dużemi okularami, a na piersiach szeroki worek, z którego biegła gumowa rurka do ust. I gdy chciał zrobić krzyż na piersiach, uczynił go na owym worku. Ale temu już dawno...

Nie chciała go puścić. Nic. Uwziął się i tyle. Gdy winda miała już zjechać do szybu, gdy ostatni sygnał zakrzyczał, podniosła wysoko w ramionach małego Gustliczka, żeby ojca zobaczył. Coś jej mówiło, że go już więcej nie ujrzą. Ojciec im ręką skinął, wtem winda uniosła się i runęła w szybową studnię. I już było po wszystkiem. Jakby umierający człowiek ostatni raz spojrzał na ten świat boży. Poszedł i nie wrócił. Jednego tylko wydobyto, co się ostał przy życiu, nawpół struty, jedyny z ich drużyny. Opowiadał potem, że ich zgromadził koło siebie i wraz z inżynierem poprowadził przekopem ku dziewiętnastemu pokładowi, gdzie już wszystko było pozabijane. I ludzie, i konie, i nawet te szczury, co przed ogniem i czadem ku szybowi uciekały. Wszyscy byli świadomi, że idą naprzeciwko śmierci, że ich oczekuje ukryta w nieprzejrzanej gęstwie smolnego dymu, że

liczy spokojnie ich kroki, skoro do niej dojdą. Wiedzieli o tem, lecz szli, bo tam gdzieś może ich bracia poratowania ludzkiego skamlą. Wałoszek zachęcał wszystkich:

— Kamraci, nie cofejcie się!.. Dojdziemy do dziewiętnostego pokładu, uratujemy może jeszcze kogosi!

Szli. A gdy kroki ich plątały się z wycieńczenia, pragnienie życia darło ich zpowrotem, a serca zamierały z cichego przerażenia, znowu ich zachęcał. Doszli do ostatnich granic, gdzie się już ściany paliły. I tam zostali.

Już temu tak dawno...

I tam zostali. Ostatni wybuch runął płomieniem w gorejący przekop, prasnął ludźmi pod ścianę, poderwał stemple, wyłamał na drzazgi, a wtedy obluźniony strop zarwał się i przywalił sobą tamtych straceńców. Na wieki ich przywalił...

Ostał tylko jeden, Żuczek z Poręby, co się przypadkowo wstrzymał kilkadziesiąt kroków w bocznym ganku. A tamci? Zostali, bo któżby potrafił teraz odgrzebać ich zwłoki, któż? Nikt. Musianoby chyba cały rok i jeszcze dłużej kopać, zanimby człek doszedł do ich grobów. Zostali tam na wieki i zbyte...

Już temu tak dawno...

Żuczka wydobyto z połamanemi nogami, zduszonego dymem, osmalonego przebiegającym płomieniem. Reszta została...

Ale temu już dawno... Poco o tem wspominać? Wszystkie owe chwile dawno już wyblakły, zupełnie wypłowiały, zatarły się mgłą słodkiego zapomnienia. Czasem tylko jeszcze się coś matce przypomni. Wtedy westchnie ciężko, przeżegna trwożliwie i myśli, że to snu wspomnienie a nic więcej.

Jedynie, gdy nadejdą Zaduszki, a karwiński cmentarz rozjarzy się gęstwą płomyczków, pełgających

w skupieniu na zapadłych mogiłach tamtych nieszczęśników, których z pod ziemi wydobyto i po bożemu w poświęconej ziemi złożono, — gdy nadejdzie ów dzień zaduszny, idzie tam z Gustłikiem, zapali garść świeczek na wspólnym grobie poległych, pomodli się i przypomni minione chwile. Wtedy u rzęs zapłoną dwa drobniuchne płomyczki, zamknięte w obłych ściankach łez, a wzięte z tamtych rożegniętych świec mogilnych. Potem idzie ku Hajndrychowu. Stoi tam w polu kapliczka z Bożą męką. Inżynierowie mówili, że ją akurat w tem miejscu wystawiono, pod którem tamci biedacy w kopalni zostali. To dobrze, że przynajmniej tyle mają bożątka. U Panajezusowych nóżek ustawi resztę świec, zapali i znów się modli. A Gustlik wtedy boi się czegoś, bo już wszędzie ciemno, a wysokie topole przydrożne czernią się czegoś szumiące, ponure, do duchów tamtych z kopalni podobne, I żadnych ludzi nie widać, tylko ogromną łunę na niebie, idącą z cmentarza i te cienie ściszone, co się bezradnie na Bożej męce tułają, a jednostajny, posępny szum topolowy płynie wysoko, w mrokach, ponad głową. Jakaś ogromna, szeroka, niewidoczna rzeka tam się przelewa, co szumi bez przerwy, od początku świata, taka czarna rzeka...

Dzisiaj radość u matki zagościła, a uradowanie było tak wielkie i tak mocne, że zdołało ciężki kamień z serca odwalić.

Odetchnęła.

No, nareszcie!.. Chwałaż ci też Panie Boże najroztomilejszy!.. Już jej synek teraz coś zarobi, chociażby na tę strawę dla siebie. To już dużo znaczy. Ulży jej na stare lata, bo i nogi nie chcą już tak nosić, jak ongiś, i po nocach bolą, i spać nie pozwalają, a po kościach łamanie chodzi... Niedziwota, nie... Też to się człowiek uharował,

urobił za młodu, mój Boże kandy!.. Panu Bogu też najmilszemu chwała, że się przynajmniej tego synka doczekała.,. Już bydzie na swoim chlebie i chociażby tak bai umrzyła — o nie dej, Panie Boże!.. — to już se do rady w życiu... już se poradzi na chlebiczek zarobić i nic mu nie bydzie!..

Nazajutrz nie poszła do pracy na pańskie, lecz ubrała się odświętnie, Gustlika wystroiła po niedzielnemu, przyczesała, kraciastą chustę na szyi zawiązała i poszła z nim na kopalnię.

Długo czekała w sieni, zanim ją wpuszczono do kancelarji. Gustlika onieśmielało wszyściutko, na co jego oczy padły. Tak tu ogromnie ładnie, wszystko stokroć ładniejsze, aniżeli u nich w domu, na ścianach jakieś mapy wielkucne i obrazy, wszystko lśni się i pachnie jakoś przyjemnie, ogromne okno z firanką, a pod oknem szeroki stół, zastawiony książkami, papierami i jakiemiś zegarkami. Za stołem siedział gruby pan inżynier. Na zadartym nosie złociły się okulary, w odętych wargach chwiało się woniejące cygaro, a na tłustych palcach czerwienił się gruby kamyk w szerokim pierścieniu. Rozlewała się od niego wyniosła, zimna pańskość, jakby od samego hrabiego, który często koło ich domu konno przejeżdżał, nie patrzący na nikogo, a który miał strasznie moc pieniędzy.

Matka z Gustlikiem przystanęli pokornie pode drzwiami.

— Co se przejete[12])? — mruknął pan inżynier.

— Pieknie proszę, panie inżynier — jęła prosić matka, kłaniając się — pieknie proszę, dyć też tak bydom dobrzy, a przyjmą mi tego synka do roboty...

---

[12]) Co sobie życzycie?

— Kolik ma let?[13])

— Na wczora mu szternost minęło, pieknie proszę, panie inżynier...

— Matę knižku?[14])

— Móm, pieknie proszę, panie inżynier — rzuciła skwapliwie i jęła rozwijać z chustki Gustlikową książkę roboczą. Podała ją inżynierowi.

— Jak też to dobrze — myślała — żech wczora zaszła po nią do gminy...

Inżynier obejrzał książkę, potem nacisnął guziczek, czerwieniejący zboku na ścianie. Do kancelarji wpełznął cichaczem, na palcach, jakiś długi, cienki pan o wystraszonej gębie. Inżynier podał mu książkę, a wskazując niedbałym ruchem głowy Gustlika, mruknął:

— Wemte teho kluka a poszlijte ho do doktora, a potom nech zjitra przyjdę do prace. No beżte już z tym panem — zwrócił się do matki i Gustlika.

Cienki pan złożył się we dwoje w pokłonie i wyszedł przodem na palcach. Gustlik dostrzegł, że wykręcał przytem stopy i huśtał się w kolanach. Uważał, że tak być powinno i czynił to samo. Matka zaś, zanim wyszła, zatrzymała się jeszcze przy drzwiach.

— Pónbóczek zapłać, panie inżynier, że mi synka do roboty wzieni...

— No, beżte już, beżte — strzepnął niecierpliwie dłonią inżynier i nachylił się nad rozwartą księgą.

Wyszła uradowana. Nie spodziewała się, że tak łatwo to wszystko pójdzie. Na kopalni w ostatnich czasach było trudno uzyskać pracę. Widać, że pan dyrektor

---

[13]) Ile ma lat?

[14]) Macie książkę?

dobry człowiek, chociaż trochę mrukliwy, i że Pan Bóg ma człowieka porządnego w opiece.

W sieni zaczekała na Gustlika, który był poszedł z tamtym panem do kancelarji. Wkrótce wyszli obydwaj. Chudy pan zwrócił się do matki:

— Niech teraz wasz chłapiec idzie do werkowego dochtora ku wizycie, a jak bydzie fertig, to tu jeszcze roz przydzie, bo musi dostać cetle ód lampy, Abtreten!..

Matka towarzyszyła Gustlikowi do lekarza. Chyba go przecież uzna za zdatnego do pracy w kopalni! Wprawdzie Gustliczek trochę blady jakiś, ale poza tem zdrowy. Chyba go przecież uzna za zdatnego!..

Po drodze gwarzyli niefrasobliwie, a na przechodzących ludzi patrzyli radośnie, jakby to ich bracia byli. Gdy Gustlik chciał odbiec, by podnieść kamień na wróble, lub przebiegającego psa nastraszyć, strofowała go, tłumacząc, żeby se statkował[15]), kiedy już hawierzem. Potem umawiali się, co to będzie teraz za przyjemne życie, kiedy zarobi w kopalni ładny grosz; kupią na targu prosiaka, zabiją na jesień i sporo pieniędzy zaoszczędzą, bo nie będzie trzeba brać mięsa od rzeźnika. Potem sprawi mu nowe ubranie i bótki, i kapelusz. A gdy będą grać jakie przedstawienie w Czytelni, lebo Jasełka, to będzie mógł pójść, tylko nie śmie się smykać z kamratami, bo oni zawsze człowieka do grzechu przywiodą.

Lekarz opukał Gustlika, zaglądnął mu w usta, kazał kaszleć, potem do oczy długo patrzał, powieki na ręby przewracał, a wkońcu napisał kilka słów na kartce i kazał ją odnieść na kopalnię.

Uradowany Gustlik pobiegł już naprzód, a matka wracała powoli za nim. Po drodze wstąpiła do kościoła.

---

[15]) statkować se — być poważnym, rozsądnym.

Uważała, że słuszna to rzecz, żeby Bogu podziękować za to wszystko. Pomodliła się, przeżegnała święconą wodą i poszła z lekkością w sercu dodom.

Gustlik zaś oddał lekarzową kartkę na kopalni. Ów chudy pan wręczył mu nową i polecił, by nazajutrz rano, przed godziną szóstą, zgłosił się z nią do lampowni, gdzie otrzyma markę i lampę, a potem niechaj zwróci się do sztygara Leopolda, który go przydzieli do pracy w kopalni.

— Dobrze! — powiedział Gustlik i pognał kłusem do matki.

II.

Odtąd rozpoczęło się dla Gustlika nowe życie.

Gdy na drugi dzień ubierał się do pracy, wyczuł znienacka leciuchny, mrożący lęk przed tem, co go miało czekać. Nie wiedzieć, skąd mu przyszło wyobrażać sobie przyszłość, jako nieprzejrzaną czeluść szybu, rozwierającą się nagłą, gwałtowną głębią przed nogami. Nieraz bywał na kopalni w nadszybiu i nieraz przypatrywał się windom, zlatującym ze świstem pod ziemię. Wydawało mu się, że przeszedł już próg, za którym czarna przepaść czeka, i że za chwilę utonie w niej oślepiony, nie znający czasu i miejsca, w których wyzbędzie się trwogi.

Górnicy na szybie powitali go drwiącemi uśmieszkami, chłopcy zaś pokpiwali w głos, natrząsając się z jego nieśmiałości. A gdy potem stanął w windzie, w towarzystwie innych górników, i gdy wyobraził sobie, że pod stopami zieje otchłań, nie wiedzieć jak głęboka, wyczuł znowu tamten poprzedni lęk. Spojrzał po twarzach sąsiadów. Widział, że o wszystkiem myślą, tylko nie o tem, co on w tej chwili. Sprawiło mu to ulgę. Ujął zwisający nad głową łańcuch i stanął na palce. Tak go pouczył sztygar Leopold.

— Widzisz — mówił — bo jakby się winda zerwała, a prasłoby nią o sztajrunki[18]), mogłoby ci się co złego przytrefić, wiesz?..

— Wiem...

Obok stali górnicy. Gdy sztygar poszedł, jęli się śmiać.

— Toć się, synku, chyć, a dobrze stój na palcach, Bo jak winda się urwie a wyrżnie w piątym poziomie o sztajrunki, to ona się rozleci na ograbki, ale tobie nic nie bydzie...

— Do miecha twoje kości pozbierają i zbyte — dodał drugi.

— Nic się nie bój, synku — pocieszył go trzeci rubasznie — bo do śmierci nic złego ci się nie stanie...

Gustlik wiedział, że z niego pokpiwają. Po raz pierwszy poznał przykrość, jaką sprawia twarde, kanciaste słowo. Coś się w nim skurczyło, zamknęło, jak ślimakowe różki, gdy je palcem dotknąć. A równocześnie wyrosło gwałtownie uczucie, do odsłoniętych psich zębców podobne. Milcząc, trzymał się łańcucha nad głową i czekał.

Koło szybu chodzili górnicy, dudniły ciężko ich podkute buty na płytach żelaznych, błyskały przyćmionem światłem lampy, kolebane niedbale w dłoniach, przelewał się gwar rozmów i nawoływań, a w ramach szerokich wrót nadszybia łasił się oczom przemiły widok szerokiej przestrzeni, napełniającej się urodą młodego słońca. Potem ponad gwar wyleciał ostry jazgot dzwonka sygnałowego. Raz... drugi... trzeci!.. Winda lekko zachwiała się, uniosła nieco w górę, chwileczkę stanęła i jakby nagle ze spoideł zerwana, runęła gwałtownie pod ziemię. Zatrzepotały

---

[18]) sztajrunki — stawidła, na których winda osiada.

spłoszone źrenice, uczepiły boleściwie gasnącego dnia i słońca, zakryły powiekami. Widział jeszcze pod niemi rozpływający się obraz ziemi. Na chwilę tylko. Potem otoczył go gęsty, świszczący mrok i słodkawy zapach powietrza. Winda spadała z szelestem. W pierwszej chwili, gdy podłoga obsunęła się z pod stóp, wyczuł mocne parcie żołądka pod serce. Dech mu zatknęło, a gardło ujęła twarda pięść i ścisnęła. I to trwało tylko chwilkę. W uszach dzwonił przejmujący szum. Jakby mu ktoś strzępy waty w nie wpychał.

Po kilkunastu sekundach winda zaczęła zwalniać. Oczy powoli oswajały się z mrokiem, rozcieńczonym żółtem światłem lampek. Wzrok ślizgał się po sczerniałych, betonowych ścianach szybu, pokreślonych lśniącemi strużkami cieknącej wody.

Winda dobiegała piątego poziomu. Migotliwa smuga poprzecznych belek ocembrowania stopniowo rzedniała, ich ucieczka w górę cichła. Równocześnie pod stopy parła podłoga windy tak mocno, że Gustlik rnusiał kolana ugiąć. W lekkich, falistych podrzutach opuszczała się na stawidła. Uderzyła, zazgrzytało żelazo. Wtedy ktoś z zewnątrz otworzył bronkę. Górnicy poczęli po jednemu wychodzić, nachyleni nisko, by nie uderzyć głową o niski dach windy. Gustlik wyszedł nieśmiało za innymi. Ostrożnie, jak niewidomy człowiek, szukał nogą podłogi. Nie mógł się oprzeć wrażeniu, że trafi na próżnię.

— No, wyłaź, wyłaź!.. — zachęcił go sąsiad z tyłu.

Wyszedł. Rozewrzył się przed nim szeroki, sklepiony ganek, wybielony u podszybia, oświetlony rzędem lamp, wypełniony ludźmi, wózkami i drzewem. Stłumiony gwar kłębił się pod stropem. Głos ludzki podobny był do przyćmionego blasku nikłego światła w dymie. Oczy i serce wyczuwały ów bezmiar ciężaru, jaki spoczywa

na obłem sklepieniu podszybia. Wygięcie jego przywodziło na myśl widok schylonego człowieka, który wstrzymuje na plecach potworne brzemię.

Górnicy podchodzili rzędem w kierunku małej wnęki, wyciosanej w caliźnie. Z boku tkwił gruby drut. Nawlekali nań swoje marki kontrolne, metalowe krążki z numerem. Gustlik to samo uczynił. Jego marka miała numer 67. Wiedział, że po skończonej szychcie dozorca będzie je wywoływał w tym samym porządku, w jakim je wsunięto na drut. Odbierze ją i odda w markowni.

Teraz nie wiedział co zrobić. Nikt się o niego nie troszczył. Bezradnie patrzał na przechodzących górników. Windy bez przerwy wynurzały się w podszybiu, wyludniały, chwilkę postały i znowu leciały w górę po nowych ludzi.

Wkońcu zwrócił się do starego kopacza, ładującego stemple na wózek.

— Wy, powiedzcie mi, co móm teraz robić? Kozałi mi tu czakać na dozorcę z patnostego pokładu...

— Hy, głupi — burknął robotnik — to wleź do dziury oto i siedź. Wszak on cie już tu znalezie!..

Gustlik przysiadł na piętach obok wnęki, lampę ujął między kolana i zapatrzył się w jej płomyk.

— Święto lampeczko — myślał tkliwie — gdyby nie ty, nicby człowiek tu nie zrobił. Zabłądziłby, do dziuryby gdzieś wpadł i tyleby było.

Żywił do wszelkiego płomienia przesadną cześć. Wierzył, że jest to coś żywego, do widzialnej powłoki ducha podobnego, ducha, który w każdej najmniejszej iskierce przebywa i na ludzkie czyny bacznie patrzy. Jakie serce ma człowiek dla płomienia, takie on ma dla człowieka. Gdy z nim naigrawa, poniewiera, krzywdzi — potrafi się mścić. Bardzo się potrafi mścić. Zwołuje inne

płomienie do siebie, rośnie, pęcznieje, rzyga iskrami w okrutnej złości i niszczy dobytek ludzki, a nieraz i życie ludzkie. Często matka mu o tem mówiła. To też zawsze tak czyniła, by ogienka nie rozgniewać, a przeciwnie, uczcić go, jak się należy. Każdym razem, gdy lampę zapaliła i każdym razem, gdy ogień roznieciła w piecu, uczyniła w powietrzu krzyż święty. A gniewała się bardzo, gdy raz widziała, że Gustliczek, który jeszcze był bardzo głupi i mały, prętem bił po nieugaszonym ogniu, co pasterze na miedzy rozpalili i odeszli.

— Synku, co robisz — krzyknęła przerażona — chcesz, żeby nas ogienek wypolił? Dosz ty pokój ogienkowi? — i odpędziła go precz. A potem w domu opowiedziała mu przedziwną historję, którą od swej babki słyszała, jak to raz ogienek skarżył się, że jego gaździnka jest niedobra dla niego, że go depce nogami, spluwa do niego i wszystko. I że dlatego też wypali ją dzisiaj w nocy, bo już się miareczka cierpliwości jego przebrała. A drugi ogienek znów chwalił swą gaździnkę, że go opatruje i chroni od wszelijakiej krzywdy, że mu pościele, a potem nakryje, gdy zabiera się do spania, i prosił bardzo tamtego rozgniewanego ogienka, żeby też w swej złości oszczędzał jego gaździnkę i nie czynił jej żadnej krzywdy. I tak też się stało. W nocy wygorzała tamta zła gaździnka doimentu, a tej dobrej ani słomka się nie spaliła, chociaż jej gospodarstwo było tuż, tuż... A to jest prawda.

— A jakto mu ta dobra gaździnka posłała i nakryła? — pytał Gustlik.

— No, jak? Gdy zrobiła ogień, to go przeżegnała, a gdy wieczorem wygasał, przykutała go popiołem, wiesz?

— Wiem...

A bawić się ogienkiem, to też nie jest dobrze. Gustlik często zapalał pręcik lub szczapę w ogniu i jął potem nią szybko śmigać. To było bardzo zajmujące. Zwłaszcza o zmroku. Wtedy w czarnem powietrzu tańczył taki prześliczny zygzak ognisty, długo, długo, aż zgasnął. Ale i tego mu matka zabroniła, bo i tu może się ogienek naprawdę pogniewać, a potem... Maryjko święta!..

A najczęściej dzieje się zawsze tak, jak u małych dzieci w nocy. A rano, to wstyd wielki, bo i prześcieradło mokre i siennik, a pod łóżkiem duża kałuża. Naprawdę.

Przytrafiło się to i Gustlikowi. Wtedy matka mawiała z wyrzutem:

— Widzisz, ty myrszyno! Już znowu się bawiłeś wczora wieczór ogienkiem. Stary koniu!.. Niema cię gańba!..[17])

Patrzył teraz w żółty płomyczek lampy i myślał o tem wszystkiem. Ocknął się, gdy w oczy zaświeciła mu lampa, błyszcząca wyczyszczonym mosiądzem.

— Ty się nazywasz Wałoszek? — zapytał go dozorca.

— Wałoszek — potwierdził Gustlik, zrywając się.

Dozorca, duży, tęgi chłop o ciemnych oczach i czarnym zaroście, zwrócił się do starszego chłopca, który opodal siedział na wywróconym wozie i piętami bębnił o jego ściany.

— Ty, Zaręba!.. Oto mosz synka. Weź go z sobą, bydziecie kastliki[18]) w Kazimierzu drugim, wiesz? pod wiatrową... bydziecie tam kastliki stawiali. Niech ci Wa-

---

[17]) Czy cię nie wstyd?

[18]) kastliki — kaszty z drzewa i kamienia, wspierające strop w wyrobiskach.

loszek pomoże kamień uciepować. A uważaj na niego, bo to nowicjusz... żeby co nie nawrożył... żeby do gazów nie poloz!.. Rozumiesz?

— Rozumiem, panie oberhajer[19]) — zapewnił skwapliwie Zaręba.

— No, tóż idźcie już!

— Szczęść Boże, panie oberhajer — odparł. — A powiedz, pieronie, szczęść Boże! — szepnął Wałoszkowi do ucha. — Rozumiołeś? — syknął zniecierpliwiony.

— Szczęść Boże, panie oberhajer! — powtórzył Gustlik wiernie za towarzyszem.

— Dej Boże! — odparł dozorca, uśmiechając się zlekka Zarębie.

Zaręba poszedł przodem. Idąc, włożył ręce do kieszeni, kapelusz zadarł zawadjacko na ucho, a lampę, zawieszoną na pasku u bioder, trącał niedbale udem. Światło kołysało się szeroko, ściągając szybkie, skaczące cienie. W ten sposób chadzali górnicy, zwłaszcza ci młodsi, którzy dbali o junacki wygląd i swoistą elegancję. Wiódł Gustlika najpierw przez długi przekop. Po drodze mijali boczne ganki przewozowe, wiodące do poszczególnych pokładów. Zaręba każdy mijany pokład wymieniał, zalecając Gustlikowi, by imiona ich dobrze sobie zapamiętał.

— To jest Igor... to jest Milan... to jest Henrjeta.. a to Kazimierz pierwszy... a teraz przyjdzie Kazimierz drugi... a za nim jeszcze jest Wilhelm... a na samym końcu trzyjadwacaty[20]). A wiesz, w kierym my są horyzoncie[21])?

---

[19]) oberhajer — starszy kopacz, dozorca.
[20]) trzyjadwacaty — dwudziestytrzeci.
[21]) horyzont — poziom.

— Wiem...

— Tóż powiedz, w kierym?

— W piątym...

— Dobrze — pochwalił zadowolony Zaręba. A potem jeszcze wyjaśnił: — Nad nami jest czworty, ponad nim trzeci, ale ten jest zatopiony... a pod nami szósty...

— A potem?..

— A potem?.. Potem jest psiniec pod płotem... — zadrwił z niego Zaręba. — Cóż się pytosz? Poczkej, aż ci sóm wszystko pieknie powiem — dodał jakoby na usprawiedliwienie. — Potem już niema nic. Kamień i zbyte. Wiesz?

— Wiem...

— No tóż to mów, że wiesz!..

Gustlik czuł się dotknięty owym szorstkim sposobem prowadzenia rozmowy. Z opowiadań jednak i z przypadkowych podsłuchiwań wiedział, że górnicy inaczej nie umieją rozmawiać. Im bardziej ktoś cięty w odpowiedzi, im bardziej kanciaste słowo potrafi wyszukać, tem większe poważanie i honor. Między górnikami zawsze tak było i tak będzie. Na cackanie się i obierane słówka niema czasu. Muszą one być takie, jak owe bryły węgla, wyrąbane z calizny.

Gdy doszli do pokładu, nazwanego przez Zarębę „Kazimierzem drugim", zawrócili w ganek, wykrzesany już teraz we węglu. Stykał się on prostopadle z przekopem. Minęli jedne drzwi, minęli drugie drzwi, doszli do pochylni. Zaczekali, aż dyszący haspel[22]) wywlecze z niej naładowane wózki. Gustlik patrzał ciekawie na ogromny bęben z nawleczoną liną, toczący się powoli, z wysiłkiem w ciasnej niszy. Przejmujący syk rozprężonego powietrza,

---

[22]) haspel — kołowrot.

uchodzącego z pod stękających tłoków, wtłaczał się w uszy boleśnie. Za hasplem dojrzał młodego robotnika. Trzymał w dłoni korbę maszyny i patrzał czujnie w mroki za napiętemi linami. Czekał, skoro wyłonią się wozy w zasięgu światła, zawieszonego u stropu. Gdy się wynurzyły, podciągnął je powoli na płyty żelazne, spuścił barjerę, odpiął linę i mocnem pchnięciem skierował na szyny w ganku.

— No, chodźmy — zawołał Zaręba na Gustlika.

Przeszli koło haspla w wąski chodnik, będący przedłużeniem poprzedniego ganku przewozowego. Minęli znowu jedne drzwi,

— Teraz jesteśmy w wiatrowej, wiesz? — pouczył go Zaręba. — Tędy wiatry idą z całego pokładu pod weterszachte[23]). Wiesz?

— Wiem...

— No, to już tego kupę wiesz...

Zawrócili teraz w niski chodnik, biegnący do upadu równoległe do pochylni. Było w nim ciasno i gorąco. Miejscami zarwany strop złamał stropnice, sterczące ostremi łokciami nad głową. Gustlik kilkakrotnie uderzył w nie czołem, zanim zrozumiał, że powinien je podchodzić głęboko nachylony. Czasami mijali długi szereg pogiętych stempli, wygniecionych na środek chodnika. Czyniły wrażenie ludzkich kolan, schylających się powoli pod nadmiernym ciężarem. W przechodzie oczy jego wpadały w niziutkie, zaciśnięte przerażki[24]), niziutkie do tego stopnia, że ledwo na czworakach możnaby do nich wpełznąć. Prawie wszystkie były zagrodzone prostym krzyżem, zbitym z dwóch okorków.

---

[23]) szyb wiatrowy.

[24]) przerażka — niski, wąski chodniczek.

— Tam nie chodź nigdy, pieronie — pouczył go Zaręba — bo za takiemi krzyżami jest zagazowane... Jakbyś tam wloz, to se jeny roz sznupniesz tych gazów, a jużeś jest kaput. Pamiętej se!..

Gustlik przyrzekał w duchu, że nie pójdzie nigdy w tamte zagazowane czeluście. Zatrząsł się z wewnętrznego przerażenia, gdy schylony spojrzał w ich mroki. Zobaczył w nich samego siebie, leżącego bezwładnie, rozciągniętego na rumowisku, z nogami sterczącemi sztywnie na chodnik. Mróz go obleciał.

W pewnej chwili zapytał nieśmiało:

— Daleko mnie jeszcze pokludzisz?[25])

Zdawało mu się, że im dalej od szybu, tem większa możliwość pozostania tutaj na wieki. Gdyby się teraz co stało, coś nieoczekiwanego, jakby tu uciekać? Mój Boże święty!..

Zaręba spojrzał nań z pogardliwą litością, uśmiechnął się i rzucił: .

— Co, bratku... Już ci się ścigo? Poczkej jeny, jeszcze mómy szykowny kąsek do przodka. Gdy przyjdziemy, to bydziesz wiedzioł, wiesz?

Gustlik nic nie odpowiedział. Zrozumiał teraz swą ogromną nicość, swoje podobieństwo do mizernego robaczka, którego tak łatwo twardą stopą zgnieść można.

— Tak głęboko pod ziemią... — myślał — tak głęboko pod ziemią... Maryjko święto, gdyby teraz to wszystko na człowieka się zwaliło... Cały ten niezmierzony, ludzkim rozumem niepojęty ciężar!.. Jezusku przenajsłodszy!.. Tak to w cichości nad człowiekiem wisi i wisi... i nic... A gdyby teraz to wszystko zaczęło się pomaleńku zniżać, powoli... pomaleńku... coraz niżej i niżej... Jezusie!

---

[25]) kludzić — prowadzić.

Maryjo!.. Tak długo, cal po calu, ażby go leżącego na ziemi, w obłąkanem przerażeniu konającego, do ostatka struchlałego — wszystek ów ciężar potworny przygniatać począł!.. A tu znikąd nijakiego poratowania, znikąd ludzkiej pomocy, ni nic!.. Jezusineczku przenajświętszy!.. Pazuramiby drapał twarde szkliwo zniżającego się stropu, krzyczałby do niepamięci, wyłby jak pies... tchu brakuje!.. Chryste Panie, ratuj!..

Przeżegnał się ukradkiem.

Przypomniało mu się słońce, gdzieś wysoko ponad ziemią, łąki mu się przypomniały, przedziwne łąki pachnące, łąki we śnie widziane, bieluchnemi stokrótkami i żółtemi kaczeńcami usiane i to słońce boże mu się przywidziało, jasne słońce boże...

Mocne uderzenie głową o złamaną stropnicę zbudziło go z krótkiego zapomnienia. W oczach błysnął gwałtowny, fioletowy płomień, piekący ból szarpnął go wściekłemi zębcami. Wypuścił lampę z rąk, chwycił się za głowę i siadł ciężko na spong[26]).

— Pierona jasnego!.. — syknął przez zęby, dławiąc nabiegające łzy w oczach. Równocześnie przeraził się tej klątwy. Toć to grzech!.. Do piekła można pójść za to!..

— Na, ty dziadzie zatracony, cóż tak klniesz? — oburzył się Zaręba. — Dziwejmy sie!.. Ledwie pierwszy roz jest w hawierni, a pieronuje, jak jako baraba!.. A jeszcze do tego, buło jedna, lampę gasisz!..

Gustlik nic nie odpowiedział. Siedział skulony i tarł dłonią stłuczone miejsce. W oczach perliły się dwie łzy. Zaręba podniósł lampę i oświecił mu głowę.

— Hale, bydziesz się tu mazoł!.. Psiniec ci idzie, nie krew!.. — uspokoił go troskliwie. — Kajś prasnął

?[6]) spong — posadzka, podłoże.

lampą? Jeszcze szkło rozbijesz, lebo co!.. Tu jest. Oto widzisz — pouczał go — tu się pociągnie za maszynkę, kapsla się rożnie... widzisz?., cyk!., już gore!.. Teraz się kapeczkę wyfuko albo czopką pooganio, albo się zakolebie, żeby dym z kapsli poszoł... oto tak, widzisz? A dej se pozór, trąbo djablo, bo inaczej wszystkie stemple swoją palicą powybijosz, a potem nóm jeszcze chodnik zawali i bydzie tako parada!..

Wkońcu zniecierpliwiony rzucił:

— A pódź już, pódź, nie lizej się tyle!..

Gustlik wstał i, schylony teraz do przesady, jął się chyłkiem posuwać za przewodnikiem. Często gęsto pocierał jeszcze głowę i oświecał palce.

— Nie idzie krew... — szeptał uspokojony. — To dobrze.

Przygnębiony urągliwym tonem Zaręby, onieśmielony tajemniczym mrokiem chodników, gryziony poczuciem swej bezsiły wobec nowego położenia i piekącym bólem stłuczonej głowy, zmalał w sobie do niepoznaki. Na płacz mu się zbierało. Ukradkiem otarł łzę jedną i drugą, co się ciągiem rzęs wieszały. Tak ogromnie pragnął zawrócić w tej chwili i uciekać zpowrotem na powierzchnię. Równocześnie zdawał sobie sprawę, że to tylko głupawe mrzonki, że musi tu pozostać do wymierzonej godziny, tak długo, jak inni zechcą. Przepraszał w duchu swego nauczyciela za wyrządzoną mu przykrość, za to, że na pożegnanie wrzucił mu łupinę do klasy. Toć to z pewnością grzech przewielki i Pan Bóg karać go za to będzie, i już karze... Z radością ukląknąłby teraz, ręce złożył i modlił się żarliwie, tak bardzo szczerze, jak jeszcze nigdy w życiu. Mój Boże święty, żeby móc stąd uciec!.. Jej kandy!.. Z rozrzewnieniem przywoływał do siebie obrazy i wspomnienia minionych

chwil, spędzanych w beztroskiem żywobyciu. To wszystko wydawało mu się teraz tak bardzo dalekiem i tak bardzo Wysokiem ponad nim, na bożym świecie... Mój Boże kandy!..

Z pewnością słońce wygrzewa się tam gdziesik w trawie, pod płotem legło niefrasobliwie i rozradowane patrzy w ciepluchnym blasku na dalekie, głębokie błękity. A po wypukłem niebie chmureczki za rączki się wiodą, takie białe chmureczki z tłustemi brzuszkami, podobne do owych aniołków w starym kościele, co to śmiesznie powyginane na ołtarzowych gzymsach pousiadały.

Mój Boże, jakie te aniołki śmieszne!.. Pulchnemi, tłuściutkiemi a bieluchnemi nóżkami w powietrzu fajtają, a całe takie nagusieńkie, jakby z wody powyłaziły, a teraz, zbereźniki kochane, głupoty wyprawiają w słońcu. Dziw, że jeszcze jakiej nabożnej babince na głowę nie spadną. A szkodaby ich było, bo możeby się stłukły!.. Hanys Buławów, co to kiedyś był ministrantem, powiadał zawsze, że one nie spadną, gdyż je stary Kubienka, kościelny, drutem do ściany poprzywiązywał. Dobrze zrobił...

— Na, pójdziesz, operyjaszu ty jeden! — spłoszył jego sny Zaręba. — Smyczysz się, jakbyś ze smołą jechoł!..

— Dyć idę — mruknął buntowniczo Gustlik i pobiegł za nim truchcikiem.

Szli jeszcze długo. Zaręba wiódł go nowym gankiem, sprowadził do upadu opuszczoną pochylnią, minęli kilkoro drzwi, zawrócili w górę i wyszli na ostatni ganek, wiodący do przodka.

Gustlik nie usiłował już myśleć o tern, co jest i co było, lecz szukał odpowiedzi na pytanie, jak to będzie jutro, pojutrze, za rok...

Dochodzili do przodka. Przedbieżało ich ruchliwe tętno pracy. Z mroku szło do nich zgrzytliwe chrobotanie łopat, pracowicie wrzucających węgiel do żelaznych wózków, gruchot bijących kęsów o ich ściany, jękliwe uderzania perlików o żelazne kliny, brzęczący szmer przelewającej się wody w rurze, co się stropnic uczepiła i splątany gwar kilkunastu głosów.

Przecisnął się za Zarębą pomiędzy wozem w gospodzie a ścianą i, nachylony głęboko, wszedł do niskiej ściany.

Ganek w tem miejscu kończył się gospodą, a prostopadle do niego rozciągała się długa ściana calizny węglowej. Gdzieś zgóry biegła do upadu. Kilku kopaczy leżało u jej podstawy, na spongu, na lewym boku i miarowo, spokojnie podcinało ją drapieżnemi dziobami kilofów. Każdy ruch ramion, przez długoletnie doświadczenie skrzętnie obliczony, ażeby jak najmniej wysiłku pożerał, — każdy ruch ramion ludzkich zakreślał krótki, urwany, drobny wycinek koła. Średnicą jego był lewy łokieć. Wyświechtane, błyszczące stylisko kilofa stanowiło przedłużenie promienia. Jego dziobiec, ostry, ze lśniącą, zimną szpileczką zagubionego światła na końcu, leciał w obłym rzucie ze świstem, wcinał się w caliznę, wgryzał nieustępliwie, kruszył jej podstawę, zrywał spoidła, obluźniał. Za każdem uderzeniem stylisko tonęło coraz głębiej w podrąbanej ścianie. Miarowy stukot plątał się w sobie jednostajnie, przypominał ściszoną młockę w stodole w czas żniwnych urodzajów. Chwilami zatracił się rytm, jął kuleć. To któryś z kopaczy odłożył kilof i dłonią wygarniał wykruszone drobiny ze szramy. Za chwilę pustka w rozrzedzonym szeregu uderzeń wypełniała się zpowrotem, wpadała w uszy z bezwiednem zadowoleniem.

Przestrzeń po wybranym węglu zapełniał las stempli, ustawionych w równych szeregach. Podtrzymywały zwisający strop. Stały oddalone od siebie na dwa, trzy kroki. Ustawione jeden za drugim tworzyły jakoby szereg alei, zwanych polami. Wydzielały z siebie świeżą, a mocną woń żywicy. W kilku polach od ściany wszystkie stemple stały jeszcze wyprostowane, zdrowe, podpierające krzepko szklistą powałę. W następnych polach, leżących dalej od calizny węglowej, strop nachylał się zlekka ku dołowi. Miejscami przerwał się i wywalił z siebie spękane rumowisko. Zgruchotane zwały kamieni leżały sine, podobne do skrzepłych trzewi, wypchniętych z potwornego tułowia. Stemple zaś powyginały się w cudaczne skręty, załamane w sobie, rozszczepione na drzazgi, o słojach zestrzępionych, miażdżone powoli a nieustępliwie niepojętym dla sił ludzkich ciężarem. Jakieś cmentarzysko upiorne, pełne strzaskanych i poduszonych smukłych ongiś pni, skazanych dzisiaj na śmierć i wieczne zapomnienie.

W głębi rozwierała się zszarpana czeluść zawaliska. Zgruchotane stemple sterczały jeszcze miejscami z pośród szarego rumowia, pomiędzy olbrzymiemi głazami, skłębionemi w zastygłą burzę. Wypełniały sobą wszelką wolną przestrzeń, sięgały pod strop i wyżej, w lejowate wyrwy stropowe, w środek jądra spękanej calizny piaskowca. Spoczywało to wszystko w przerażającej ciszy i martwocie, jak trupy na pobojowisku, trupy zapomniane przez ludzi, pobite karzącą ręką Boga.

Gustlik poleciał oszołomionemi oczyma w tamto cmentarzysko. Podniósł lampę pod strop, powyżej swych oczu, by wszystko lepiej zobaczyć. Żółty, gromniczny blask płomyka wpełznął tam chyłkiem i wygonił precz czającą się noc, podrobił ją na cienie. Ruchliwe, czepiały

się załomów i ostrych krawędzi głazów, przepadały chyłkiem za wręby, pomykały cichaczem w inne miejsca, gdy tylko trochę lampą zachwiał. Kryły się w głębię pustkowia, gęstniały w czarną ścianę i patrzyły w ludzkie oczy, jak bezdenna studnia. Zapatrzył się...

W jakiejś nieokreślonej chwili odczuł swem chłopięcem sercem mękę i trud tamtych drzew miażdżonych. Zdawało mu się, że one w tej chwili tak samo cierpią, jak ludzie, co ostatkiem sił wspierają gniotący ich ciężar przeklęty. Pokonane, opierają się jeszcze miejscami w tlejącym oporze, bronią przed nadchodzącem skonaniem, w rozpaczliwym wysiłku rozgniatanych słojów wyłamują się i gną do ziemi, kładą powoli wyzute z ostatniej drobinki siły.

— Na bok! Na bok! — wrzasnął ktoś obok niego. Gustlik obejrzał się i uskoczył raptownie. Koło nóg śmignął pędem nachylony nisko chłopiec, pchający przed sobą ogromne taczki, napełnione powierzch węglem. Trzymał je zawieszone noszami w szorach, oplatających nakrzyż wygięte plecy. Taczki ślizgały się po zwilżonym, lśniącym spongu.

— Nie stój tukej, synek, na chodniku, bo ci może kto karami kląkory[27]) urazić, a co potem? — pouczył go najbliżej pracujący kopacz. — Idź se kapkę wyżej!..

— Pódź haw, ty, jak się tam nazywosz!., — zawołał na niego Zaręba, stojący wyżej na uboczu.

— Wałoszek — odparł Gustlik i poszedł za nim.

Zaręba poprowadził go wgórę ściany. Przechodzili jeszcze koło kilku kopaczy. Ci kuli kilofami w węgiel i nie zwracali na nich uwagi. W czarnych, przesiąkniętych potem koszulach, czarni po twarzy, skuleni pod

---

[2’]) kląkory — nogi.

nawisłą ścianą, podobni byli do żywych brył węgla, zalatujących przenikliwym swędem potu i zżutego tytoniu. Oczy ich błyskały w czerni swemi białkami, przekrwionemi zwierzęcym wysiłkiem. Przy ostatnim kopaczu dwóch taczników ładowało do taczek ukopany węgiel. Gdy Gustlik przechodził koło nich, jeden podniósł lampę, oświecił go ciekawie i mruknął pogardliwie:

— Dzisz, zaś jakisikej nowicjusz! — i jął znowu sypać węgiel. Za każdym rzutem łopaty wybuchał z taczek gęsty kłąb pyłu i przesłaniał czarną mgłą ludzkie patrzenie. Światło przyćmiewało się, ujęte w czarnawą otęcz mieniących się skiereczek.

Gustlik zauważył, że miejscami strop w wyrobisku podpierały czworoboczne kaszty, uczynione z rumowia, a ujęte w ściany z płaskich kamieni. Zaręba objaśnił go, że to są kastliki, i że oni też taki kastlik będą stawiali.

— A na co takie kastliki buduje się?

— Hm, na co? Też głupie pytanie!.. Nato, żeby nie zawaliło! Gdyby wyrobiska nie były w ten sposób podeprzyte, roz dwa mogłoby zawalić i wszystkich, co nas tu widzisz, doimentu przykutać, żebyś nie mioł czasu ani nogą grzebnąć, wiesz?.. No chytejmy się roboty!..

Zdjął surdut, zawiesił na okorku pod stropem, zakasał rękawy, popluł dłonie, roztarł mocno i ujął łopatę. To samo uczynił Gustlik. Zgarniali kamień, rozrzucony w polach, na jedną kupę. Następnie poszli do górnego chodnika, gdzie pod ścianą leżały stare stemple i stropnice, Nie posiadały już żadnej wartości, gdyż były połamane. Wyrzucono je ongiś, a na ich miejsce podbito strop nowemi słupami. Teraz nadawały się jedynie na kaszty.

Wspólnym wysiłkiem przywlekli ich sporo do ściany. Następnie zaczęli je układać w ten sposób wokoło usy-

panej kupy rumowiska, że końce ich wiązały się z sobą, tworząc równy czworobok.

— Widzisz? — pouczył go towarzysz — to tak się buduje kastliki, jakby chałupę jaką. Do postrzodka nasypiemy kamienia, dziury między drzewami zamurujemy plaskoczami i bydzie dzierżeć, jak pieron!..

— A to się już potem nie zawali?

— Mosz rozum, synku!.. Przeca ci powiadom, że to bydzie dzierżeć, jak sto set. Trochę to tam ściśnie, to jest prowda, ale żeby doimentu rozcisło, jakżyw nigdy. Czasem to się taki kastlik rozjedzie, gdy go fest przypuczy, jak krowiniec, gdy do niego tragaczem wjedziesz. Ale jak się go porządnie zbuduje, oto tak, jak nasz bydzie, to go ani chrom nie ruszy!.. No ciepej kamień do postrzodka, ale szykownie!..

Gustlik jął się gorliwie pracy. Rychło jednak spostrzegł, że wyczerpuje go szybko. Nieprzyzwyczajony do niej, nie umiejąc oszczędnie wykorzystać swego chłopięcego wysiłku, męczył się szybko. Łopaty nie umiał porządnie chwycić, brał odrazu za dużo kamienia na jeden rzut, a słodkawe, duszne powietrze i brak miejsca na dostateczne nabranie zamachu — wszystko to pożerało łapczywie drobne siły. Równocześnie wzmagał się dokuczliwy ból w grzbiecie i nogach pod kolanami. Gdy już nie mógł wytrzymać, przyklękał na jedno kolano i przechylał się mocno wtył, by wyprostować bolejące kości. Wtedy Zaręba popędzał go do pracy:

— Nie okocóniej się, synku, jeny rób, kiedyś pytoł pana o robotę, bo ani na słoną wodę nie zarobisz!..

Wtedy Gustlik zgarniał swoje siły w kłębuszek i chwytał zpowrotem łopatę, borykając się niezdarnie z kamieniem. Wyprostować się nie mógł, bo zgiętym grzbietem opierał się o strop. Tak nisko było w owym pokła-

dzie. Z niecierpliwością oczekiwał chwili, gdy będzie mógł łopatą cisnąć i wyciągnąć się jak długi na wilgotnym, chłodnawym spongu.

Nadeszła upragniona chwila. Otarł ściekający pot z oczu, wytarł jego słoność z kącików ust i legł z westchnieniem, z ulgą prostując obolałe kości. Zaręba siadł opodał. Wyjął chleb z surduta i jął zajadać.

Poniżej kłębił się war pracy. Gustlikowych uszu dochodziły ciężkie uderzania perlików, turkot taczek, przenikliwy chrobot licznych łopat i zmierzwione głosy. Sączył się stamtąd omdlały poblask zbiedniałego światła. W powietrzu niosły się ciężkie tumany czarnego pyłu i osiadały leciuchnym nalotem na stemplach, po ścianach, w załomach obwału, na twarzach i w płucach ludzkich.

Chłopcy, ubrani w krótkie spodnie, w rozchełstanych koszulach na piersi, w magierkach na mokrych włosach, uwijali się żywo; schyleni biegli truchcikiem, dudniąc piętami po spongu, a za nimi wlokły się na szorach turkoczące taczki. Stawiali je mocno i szybko napełniali węglem. W mig były pełne. Potem zakładali lampy obok kółka, na przodzie, poprawili szory na plecach, zahaczali o nosze, unosili i pędem zbiegali do upadu. Znikali w mroku, czarni, niewidoczni. Płomyk ich lampki ślizgał się szybko po caliźnie, skakał po mijanych stemplach, leciał przed nimi coraz głębiej, goniony zdyszanym wysiłkiem ludzkim. Niósł się stamtąd ckliwy zapach potu.

— Jezusinku drogi — cudował się Gustlik — jak ci się muszą utropić przez szychtę!.. Czyby jo też poradził gonić z telkownym ciężarem, tak bez ustanku, jak tamci?..

Po skończonej szychcie poszedł ze wszystkimi pod szyb. Oswoił się nieco z pierwszemi wrażeniami. Nie okazywał już tyle nieporadności i zakłopotania, co na począt-

ku. Na zadawane pytania odpowiadał śmielej i z pewną zadzierżystością. Próbował używać w mowie tej samej rubaszności, co inni górnicy.

Kości go tylko mocno bolały i czuł się ogromnie zmęczony. Pod szybem zmieszał się z tłumem górników, czekających na windę. Wszyscy czegoś opowiadali, przekomarzali się, dogryzali docinkami, śmiali głośno i szczerze, tytoń żuli i spluwali bez przerwy po ścianach.

We wnęce stał dozorca. Trzymał w dłoni drut z markami, wywlekał je po jednej i wołał numera. Z gromady wylatywały pojedyńcze odzewy, każdy brał swoją markę i zawieszał na haku lampy. To samo uczynił Gustlik.

Ustawił się w czwórszeregu. Obok niego spluwał stary górnik. W pewnej chwili uczuł ciepłe, wilgotne pacnięcie po swojej bosej stopie. To sąsiad splunął na jego nogę, akurat między palce.

— Umknij się, synek, bo ci mogę nogę złomać!,, — zakpił głośno górnik.

Zawtórował mu głośny śmiech ubawionych sąsiadów. Obrzydzenie i gniew ogarnęły Gustlika.

— Głupi, stary błoźnie! — wrzasnął nieoczekiwanie. Aż się sam zdziwił swojej śmiałości. Górnicy jeszcze mocniej się radowali. I zanim tamten wyszukał odpowiedź, Gustlik podniósł sponiewieraną stopę i otarł ją szybko o jego spodnie.

Teraz tamten się oburzył. Nachylił się, by porwać Gustlika za ucho, lecz chłopiec zręcznie uskoczył i skrył się za szerokie plecy sąsiada.

Podobało się to wszystkim. Górnicy zmienili w jednej chwili przedmiot swych docinków i prześmiechów, zwracając ich ostrze przeciwko tamtemu „staremu błoznowi”, jak go Gustlik nazwał.

— Widzisz pieronie — przytykali mu — synek cię nauczył moresu. Jeny się nie dej! — mówili, zwracając się do Gustlika z uznaniem.

Gustlik w duchu triumfował. Już teraz będzie wiedział, jak się obronić. Gdy mu kto dokuczy złośliwie, odda mu z nawiązką. To jedyny sposób zyskania serca towarzyszy, a nawet i przygodnego prześladowcy.

Przyszła kolej na niego, by stanąć w windzie. I znowu leciuchny lęk obleciał go, gdy spojrzał w noc szybu. Bóg wie, jak tam jeszcze głęboko. Trwało to wszystko małą chwileczkę. Potem nic się już nie bał. Dzwonek zakrzyczał, winda się poderwała i leciała w górę. Znów ten sam szelest, sypiący się z szumem w uszy i znów to samo migotanie zapadających belek żelaznych w szybie. Spojrzenie leciało po ich kształtach, jak patyczek suwany w szybkim biegu po gęstych sztachetach płotu. Świeży wiew pachnącego, słońcem nagrzanego powietrza spływał coraz szerszą falą. Pachniała w nim rodząca ziemia. Serce Gustlikowe roztwierało się w jego muśnięciach, jak kielich czerwonego kwiatu o wschodzie słonka. Mrok rzedniał szybko, szybko, światło lampek mętniało, winda dobiegała już nadszybia.

Wychyliła się na powierzchnię. Gustlik zmrużył olśnione oczy. Ulewa złotego światła słonecznego chlusnęła w ich źrenice, wpadła w zwężone szpareczki i oślepiła je na drobną miareczkę czasu. Rzęsy zatrzepotały się drobniuchno.

Na czarnych, zbrudzonych ustach rozczerwienił się uśmiech...

III.

Popłynęły teraz dni szare, jednostajne, podobne do siebie, jak drobne paciorki różańca, przesuwane zmęczonemi palcami. Przychodziły znużone i odchodziły ze smęt-

kiem umierającego człowieka, który długo śmierci czekał. Przygasł w nich urok młodego życia, popiołem przyprószył. Zniechęcenie i fizyczne wyczerpanie nie opuszczały Gustlika na krok jeden, szły wszędy z nim razem.

Zwykle, gdy powrócił ze szychty, zjadł obiad, umył się i siadał na ławie pod ścianą. O niczem nie myślał. Oczy patrzyły w świat, jakby z dalekości, przesłoniętej omgleniem. Dusza stała się podobną do opuszczonej studni, w której woda wyschła. Zatęchły, ciężki mrok tylko w niej pozostał, nic więcej.

Podświadomie żył teraz pragnieniami, których nie umiałby nazwać po imieniu. Przychodziły w cichości, senne jakieś i nieuchwytne w swej treści, bezbarwne i rozwiane w swym kształcie, podobne do wspomnień już dawno prześnionych snów, Czasami próbował czytać książkę. Kiedyś pochłaniał je bez wyboru, połykał ich treść jednym tchem, żył niemi i sycił serce do niepamięci. Dzisiaj nużyło go boleśnie owo przebieranie zmętniałemi oczyma drobnych literek. Z trudem układał je w zdania i z trudem wyławiał z nich zrozumienie jakieś. Odkładał książkę z niechęcią i wracał do izby. Potem kładł się ciężko na pościeli i zasypiał. Rankiem wstawał z obolałemi kośćmi i z piołunem w sercu, zjadał w milczeniu śniadanie i wlókł się ociężale do pracy.

Zczasem jego nieokreślone pragnienia jęły się kształtować w namiętne pożądanie słodyczy beztroskiego dnia słonecznego. Ach Boże!.. — myślał — żeby tak móc pójść, zamiast w obmierzłą noc kopalni, gdzieś na daleką miedzę, między zboża wysokie!.. Ległby w miękkiej trawie, pod umęczoną głowę podłożyłby ramiona i w radosnem zapamiętaniu słuchałby gędziolenia szarego skowronczęcia nad sobą i słuchałby szelestu woniejącego ziemią wiatru, co się między kłosami wałęsa!.. Lub pa-

trzałby w bezdnię błękitu, patrzałby i patrzał, aż do zawrotu głowy!.. Och, żeby tak na maleńką chwilkę móc się stać taką drobną chmureczką, którą co dnia na niebie spotykał! Błądziłby w błękicie w słodkiem zamyśleniu, w niepojętej cichości pachnącej i patrzałby na ziemię i na ludzi i na wszystkie ich sprawy dzienne. A ludzie byliby tacy maleńcy, jak nie wiem co, a tacy śmieszni, jak te mrówki drobniuchne, co to biegają to tu, to tam, jakby głowy potraciły... Słońce zaś, to jego umiłowane słońce, byłoby tak blisko, że jeno ręką sięgnąć!.. Bawiłby się niem, jak wielką złotą kulą, ręką popychałby, a ono toczyłoby się ze szklanym dźwiękiem po obłem niebie, w strzępiaste chmurki kryło, znużone oczy radowało, radowało...

Dni jego płynęły jednostajnie, jak te szare paciorki różańca w zmęczonych palcach.

Matka kiwała głową i martwiła się, nieboraczka. Gdy się czasem poskarżył, że mu źle, że zmęczony, głaskała go po włosach i mawiała:

— Nie starej się, Gustliczku, ni!.. To zaś jakosi bydzie. Teraz ci się ścigo, boś nieprzyzwyczajony. Ale jak tylko trochę podrośniesz, nabierzesz siły, śmioć się bydziesz ze wszystkiego i dobrze ci bydzie!.. Nie starej się, Gustliczku, ni...

Martwiła się szczerze, a serce jej krajało się nieraz z bólu, gdy patrzała na niego. Nieraz w późną noc klęczała jeszcze przy łóżku i prosiła pomocy Boskiej, i ulgi, i pocieszenia wszelkiego dla siebie i swego synka. W ciszę nocną wyszeptywała żarliwy korowód pacierzy, pełny próśb i jej serca matczynego. Z szelestem ulatujących słów modlitewnych splatał się szmer równego oddechu śpiącego synka. Czasem urywała pacierz w połowie, zapominała ostatnich słów, słuchając jedynie ściszonego serca. Potem

znów ocykała z zapomnienia i rozpoczynała pacierz od początku. Były w nim słowa proste i naiwne, jak to kwiecie polne w czas lata.

Nad łóżkiem, pod obrazem Matki Boskiej, żarzyła się czerwienią drobna lampa oliwna. Pełgający płomyczek, cieknący przez jej ponsowe szkło, trzepotał się w nabożnej cichości po zatroskanej twarzy świętej Matki. Z jej oczu, nawpół rzęsami przysłoniętych, spłynęły dwie łzy duże i jasne, i przez jedno mgnienie zawisnęły u powiek. Za drobną chwileczkę potoczą się i upadną na płową czuprynkę uśpionego Jezuska. Był w nich zamknięty, niepojęty dla człowieka, ból matczynego serca.

Stare oczy Gustlikowej matki patrzyły w nią z błagalną pokorą. Kiedy zapatrzona zapominała pacierza, wtedy wyręczało ją serce. Modliło się w onę chwilę słowami, nigdy przez nikogo niesłyszanemi ani wypowiedzianemi. Podświadomie zjawiało się w niej przekonanie, że w takiej szczęsnej chwili staje się Matce Boskiej tak bliską, jak żaden inny człowiek na świecie, bo przeżywa tę samą mękę matczynego serca, co ongiś Matka święta, i chociaż jej ból w porównaniu z bólem tamtej Matki, to ziarenko piasku wobec całego świata, ona jednak potrafi ją zrozumieć i wysłuchać.

Potem znów wracała do szeptu. Zdawało się jej, gdy tak patrzyła na chwiejące się po obliczu Matki Bożej rubinowe cienie, że to jej słowa przemieniają się w ową świetlistą czerwień, unoszą wysoko i teraz z bojaźnią trzepocą koło świętej postaci, pragnąc trafić do jej serca.

— Mateczko Bożo najroztomilejszo — szepleniła w pokorze — Mateczko przenajsłodszo, widzisz... Ty płączesz o swojego syneczka... a jo też płaczę o swojego... Twoje serce przebite siedmiu mieczami, a moje też przebite i wszystko... Bydź też tak dobro, Mateczko przenaj-

milszo, żeby sie też mojemu Gustliczkowi nic złego nie stało, ani nic, i żeby był zawsze zdrowy, i mocny, i wszystko... A dej mu też tej siły, żeby wytrwoł w tern ciężkiem żywobyciu, a po śmierci z aniołkami królowoł, aż na wieki wieków, amen...

Żegnała się wielkim krzyżem, westchnęła głęboko, otarła nos do fartucha i wstawała. Stąpając teraz na palcach, by nie zbudzić Gustlika, zabierała się do spoczynku, A potem zasypiała w ukojeniu, jak małe dziecko.

Lampka przed obrazem syciła mroki izby łagodną czerwienią, powolne cienie kołysały się w śpiącej ciszy, a przez okna dochodził daleki szum maszyn i splątany rytm czuwającej kopalni. Duże, mleczne kule światła wisiały w powietrzu pośród zabudowań kopalni, pod ciemnem niebem i pod ciemnemi dymami. Ich blask dochodził w izbę i słał się bledziuchnym kwadratem po ścianach, wyczerpany daleką drogą.

Gdy nad ranem jęły kolejno gasnąć, górnicy budzili się i ubierali na szychtę. Zaroiły się drogi szarymi ludźmi, w rannem słońcu zaroiły, a pobok na trawach szły długie ich cienie. W zgaszonych oczach, umiejących się zapalać jeno pod ziemią szklanemi ognikami, skrzyły się teraz potulnie drobniuchne słonka. Wszystkim bywało dobrze. Nawet Gustlik zapominał o udręce przychodzącego dnia. Bawił oczy cieniem, wlokącym się pokracznie wzdłuż drogi po zroszonych trawach. Niewidoczne kropelki rosy rozpalały się srebrnawą mgłą wokół jego cienia na trawie, mieniły się mrowiem kruszynek tęczowych, sunących wiernie pobok jego spojrzenia. Szedł od nich zapach, nie mający ludzkiej nazwy i posmak chłodnej wody, co się w czas skwarnego lata w bełkocącym strumyku kryształi.

Mijały dni za dniami.

Gustlik, od pół roku przydzielony już do taczek, przezwyciężał się w sobie. Powoli przywykał do trudnych warunków nowego bytowania, zżył się z niemi, uważał je za nieodłączny ciężar życia, jak żebrak swoje kalectwo. Czasami zżymał się jeszcze, ogarniało go pragnienie buntu. Lecz tylko na chwilę. Wnet przygasło.

Schudł teraz i sczerniał na dziwy, a oczy, podkrążone sińcami, świeciły z głębokich oczodołów niezdrowym blaskiem. Czerń pyłu węglowego, nie dająca się wymyć dokładnie z rzęs, ujmowała spojrzenie w ciemne ramy, czyniła je głębokiemi, jakby ze studni patrzącemi.

Jedynem urozmaiceniem szarej codzienności była niedziela. Zwłaszcza, gdy była słoneczna. Ubierał się wtedy odświętnie, oczyścił buciki, przypinał do koszuli sztywny kołnierzyk, jak to panowie czynią, zawiązywał na nim kraciastą, barwną krawatkę i tak wystrojony szedł do kościoła. Noszenie kołnierza i krawatki wbijało go w dumę. Czuł się innym niż zazwyczaj, śmielszym jakimś, a idąc po drodze, śledził ukradkiem, czy wszyscy przechodzący widzą jego przemianę na pańskość i czy ją podziwiają. W kościele nie stawał już przed ławkami, jak ongiś, gdy jeszcze do szkoły chadzał, lecz pod chórem, pomiędzy stłoczoną gromadą wyelegantowanej młodzi górniczej.

Z łatwością przyswajał sobie jej maniery. Tak samo, jak jego starsi towarzysze, rozpinał szeroko surdut, by móc się pochwalić przed wszystkimi wymyślnym łańcuszkiem, kupionym od wędrownego kramarza. Z tą samą fantazją — jak tamci — nosił kapelusz zsunięty wtył głowy, aby z pod jego strzechy widoczną była grzywka, I podobnie — jak tamci — brał w usta słomkę czy jakieś ździebełko trawy, i żuł je niedbale, trzymając ręce w kieszeniach spodni. I również jeszcze — jak tamci — wodził

niedbałym, pośmiewnym wzrokiem po przechodzących dziewczynach.

Czynił to w stosunku do dziewczyn, znanych mu blisko, z któremi się co dnia stykał, nie posiadających dla niego uroku. Patrząc na tamte, ubrane po miejsku, przechodzące koło niego z wyniosłą, wzgardliwą obojętnością, doznawał słodkiego lęku. Ich wypieszczone twarze, ich lekki, wdzięczny chód i niosący się za niemi subtelny zapach perfum — onieśmielały go, czyniły mu je obcemi i niedostępnemi, do których możnaby się zbliżyć tylko pod grozą świętokradztwa. Jakby to kwiaty jakieś były, kwiaty powiewne, dziwnie pachnące, których nie wolno dotknąć, tylko oczyma pieścić i całować,

Czasami z barwnego tłumu dziewczyn zjawiała się przed nim twarzyczka, pełna tyle słodkiej urody, jaką jedynie na świętych obrazkach widywał. Patrzył w nią ukradkiem, nieśmiałemi oczyma, z nabożnem uwielbieniem. Z drżeniem wyczuwał, że w takiej chwili zrywa się w nim gwałtowne pragnienie bez nazwy, pragnienie tak czyste i święte, jak ta drobna, biała chmureczka, co skądsiś na niebo wybiega. A gdy twarz tamtej dziewczyny znikała w tłumie, pozostawały w nim żal i tęsknota, jakby za czemś, co było, a co nigdy już nie wróci.

Gdy stał pod chórem, a organy odrabiały swoją szychtę, monotonnie powtarzając melodję śpiewanej pieśni, nudził się i czekał niecierpliwie, skoro się skończy. Zżymał się na ludzi i na organistę, że tak po rzemieślniczemu zbywają swoją rozmowę z Bogiem. Nie umiał jeszcze jasno ująć w słowa tej niechęci, rozumiał jeno, że w ten sposób nie powinno się do Boga modlić.

Lecz czasem między jedną a drugą zwrotką organista jakoby sobie przypominał, że gra na chwałę boską. Wtedy z chóru jęła spływać słodka melodja preludjum.

Gustlik opierał się o ścianę i słuchał z przymkniętemi oczyma.

Muzyka schodziła do niego, jak łaskawy a miłościwy uśmiech tamtej dziewczyny nieznanej o jasnej urodzie. Wypełniała serce złocistym miodem, upajała winem, tracił w jej słuchaniu poczucie czasu i miejsca, zapominał o calutkim świecie. Wszystko, co było i co miało przyjść, zasnuwało się błękitną, pachnącą mgiełką. Melodja organów przemieniała się w rzeczywisty kształt o miękkich linjach dziewczęcego ciała. Zdawało mu się, że schodzące do niego tony muzyki rozsnuwają się w leciuchny, słońcem przesycony obłok, a on płynie z nim razem i płynie, coraz wyżej, gdzie już wieczna cisza i wieczne uspokojenie.

Budził się i na ziemię wracał z niechęcią, gdy tamta muzyka umilkła, a wracała nudna, katarynkowa melodja tyle razy już słyszanej pieśni.

Nikomu nie wspominał ani słowem o swych naiwnych, chłopięcych wzruszeniach. Lękał się ośmieszenia. Bo gdzieżby go mógł ktoś zrozumieć?.. Nawet matce z niczem się nie zwierzał. Wyśmiałaby się z niego i nic więcej.

Równocześnie wróciło zpowrotem pragnienie książek. Usiłował znaleźć wyraz dla swych zachwytów cudacznych i wiedział, że jedynie w książce go odkryje. Przeczytał już wszystkie matczyne kalendarze marjańskie, zbierane, Bóg wie, od ilu lat. Potem szukał innych książek. Matka podsuwała mu Żywoty Świętych. Nie znosił ich. Raził go patos i ckliwość stylu, mierziała bierność opisywanych postaci, bierność w stosunku do złych ludzi. Gdyby mnie tak męczono — myślał — pierona, tobych im pokozoł, co to znaczy. Zabiłbych dziadów zatraconych, co do jednego!.. A gdyby nie szło inaczej, to-

bych udowoł, że wyrzekam się wiary, a gdyby mnie puścili! Maryjko święto!.. Mieliby oni za swoje!.. — Tak myślał, zatrzymawszy się czasem na opisie męczeństwa jakiegoś świętego o cudacznem imieniu.

Nie zadowalały go tamte Żywoty. Szukał innych książek tak długo, aż znalazł.

Wiedział, że stary Kubienka, sąsiad z poza płotu, musi ich mieć gromadę, bo nieraz widywał go w ogrodzie pod gruszą w wolne popołudnie niedzielne, jak je czytał. Długo się wahał, zanim postanowił zwrócić się do niego z prośbą. Onieśmielał go bowiem jego wzrok ponury, którym darzył wszystkich ludzi.

Pewnego razu zdobył się na odwagę i poszedł do płotu, W ogrodzie znowu siedział Kubienka. Siedział na trawie i przyglądał się literkom przez okulary.

— Dzień dobry, panie Kubienka! — zawołał nieśmiało.

Kubienka podniósł głowę z nad książki, spojrzał niechętnie na Gustlika i mruknął coś w odpowiedzi.

— Przeboczą, panie Kubienka — brnął już dalej Gustlik — przeboczą, że ich napaluję... a bydą tak dobrzy, a pojczają mi jakiej książki na czytanie... Jo jej nie zmażę — dodał skwapliwie, pragnąc go przychylnie usposobić — uwidzą, ani kapeczki jej nie zmażę. W papier ją obleczę i zaroz oddóm, gdy skończę...

— Książki chcesz? No to pódź, jo tam ku tobie nie polezę!..

Gustlik zerwał się i pobiegł. Kubienka zaprowadził go do izby, kazał mu wyciągnąć dużą skrzynię z pod łóżka i poszukać.

— Wychledej[28]) se jedną!

---

[28]) wychledać — wyszukać.

— Mój Bożyczku! Tela książek!..

Skrzynia było powierzch wypełniona książkami. Zdziwił się szczerze tak ogromnym skarbom. Nachylił się, ujął pierwszą z brzegu i zapytał:

— Tę mogę?

Kubienka skinął głową, że może. Gustlik porwał się, by pobiec do domu.

— A podziękować nie umiesz? — zapytał Kubienka zgryźliwie.

Gustlik zaczerwienił się.

— Pónbóczek zapłać, panie Kubienka, a nie mają za złe...

— Ale to ci powiadóm, aż mi jej nie zniszczysz, lebo co!.. — pogroził mu jeszcze na odchodnem.

Gustlik gorzał radością. Wpadł do izby, wołając od progu:

— Podziwejcie sie, mamulko, móm książkę od pana Kubienki!..

Matka drzemała za stołem. Ocknęła się i uradowana jego radością, uśmiechnęła się.

— To dobrze, Gustliczku, to dobrze... Czytej se pięknie, jeny jej nie pomazej, lebo co, bo jej kandy... A o czem to jest, ta książka?

— „Oko Proroka"!

— „Oko Proroka”? No to bydzie piękno książka o tem oku. No czytej se, czytej...

Odtąd stale korzystał z Kubienkowej bibljoteki. Już dna skrzyni sięgał, gdy natrafił na grubą książkę z tytułem „Pożary i zgliszcza" Rodziewiczówny.

I jak dotąd czynił, tak i teraz zaczął ją chłonąć całą duszą. Jak w kościele podczas gry organów zapominał o świecie, upijając się czarem muzyki, tak i teraz znikało dla niego wszystko, czem dotąd żył, i przenosił się w da-

leką krainę, gdzie wszystko piękne i czyste, gdzie niema zła ani jego ludzi, a jeżeli są, to ich dobroć zwycięża, gdzie wszystko jakieś inne, dobre, słodkie...

Czasami odkładał książkę i zastanawiał się nad losami jej bohaterów. Wyszukiwał podobieństwo między nimi a sobą, a jeżeli go nie mógł znaleźć, postanawiał w duchu, że musi stać się im podobnym. Porywało go bohaterstwo powstańców, rozrzewniało poświęcenie starego sługi, kochał, jak tamten w książce kochał i cierpiał, jak jego narzeczona cierpiała. Przeczytał jedno zdanie i wypisał je sobie na karteczce: — Co ma począć kamień polny, gdy go uczucie do diamentu ogarnie?.. — Widział się owym kamieniem polnym, którego uczucie do diamentu ogarnia, a myśląc o tern, widział zjawę dziewczyny młodej, tak pięknej i jasnej, jakiej jeszcze nigdy w życiu nie widział. Powstawała w nim tęsknota nienazwana i żal jakiś, nie wiedzieć za kim lub za czem. Pragnienie miłowania nieznanej jeszcze dziewczyny zakwitało w jego sercu, jak biały kwiat o wschodzie słońca.

Przyszedł czas, że Kubienków skarbiec wyczerpał się do ostatka. Ostatnią książkę, wygrzebaną z samego dna skrzyni, czytał długo i jak gdyby z żalem. A gdy ją potem odnosił, rozstawał się z nią, jakby z umiłowanym przyjacielem, co w daleki świat odchodzi i już nigdy nie wróci.

Zachmurzony Kubienka obejrzał ją jak zwykle i odłożył. A widząc, że Gustlik stoi i nie sięga pod łóżko po nowe książki, mruknął:

— No, wyciągej kiśnie z pod łóżka, a pogrzebej tam jeszcze.

— Kiedy już wszystkie przeczytołech — odparł smętnie Gustlik.

— Na, myślisz, że mi się tu książki kocą? Jak przeczytałeś, tóż niema i zbyte.

Widząc strapioną minę Gustlika, dorzucił:

— Teraz się zapisz do czytelni, tam jest pełno olmaryja[29]) książek,

— Jej kandy, naprowdy? A jak się to zapisać? — zawołał żywo, a osmętniałe oczy zapęłgały uradowaniem,

— He, jak się to zapisać... Powiedz mamulce, chyć się jej za suknię, niech cie zakludzi do czytelni i niech cie zapisze i zbyte. Wiesz?

— Wiem!..

W następną niedzielę wybrał się do czytelni. Onieśmielony przystanął przed bramą. Długa ciemna sień, pełna zapachu starego piwa, sączący się z jej głębi gwar licznych głosów, przechodzący koło niego nieznani mu górnicy, odświętnie ubrani, idący za nimi zapach cygar — wszystko budziło w nim lęk głupawy.

— Jak jo też tam, biedno dusza, pójdę — myślał strapiony — jeszcze mię oprzezywają lebo sie wyśmieją i kożą mi iść ku mamulce ziemnioki szkrobać, lebo co...

Swe obawy opierał na doświadczeniu, którego mu życie w kopalni nie szczędziło. Stał tak nieporadnie i głęboko się namyślał.

W pewnej chwili przebiegła koło niego smukła dzieweczka, ubrana zpańska, w krótkiej sukience. W ciemnych włosach miała dużą czerwoną kokardę. Urzekła jego oczy swą leciuchną, gibką postacią. Drobnym, wdzięcznym krokiem wbiegła do sieni. Pachnący szelest jej sukienki owionął go stadkiem wzruszeniem. Serce chłopięce, oczarowane urokiem jej młodości, wypełniło się tajemną, czystą radością.

---

[20]) olmaryja — szafa.

Znikła w ciemnej sieni. Spostrzegł tylko, że pod. pachą trzymała kilka książek.

— Aha — pomyślał — ona też idzie po książki...

Słońce grzało. W szarym pyle drogi tarzały się rozszczebiotane Wróbliki, zataczały na krótkich nóżkach, wybijały skrzydełkami tumany pyłu i uradowane snąć ze słońca, śmiały się tak wrzaskliwie, że czyniły wrażenie pijanych chłopów, co z odpustu wracają, a teraz z czegoś ogromnie rozśmieszeni, chlachonią się do rozpuku i zataczają po drodze. Gonił za niemi kogut. Taki śmieszny kogut na długich, pałąkowatych nogach, z obwisłym na lewe oko grzebieniem. Rozpędzał je uparcie i czegoś im ciężko złorzeczył. Dla dodania sobie odwagi i grozy potrząsał buńczucznie płomienistym grzebieniem, łypał zaczerwienionemi oczyma, a za każdym krokiem podnosił wysoko nogę i stawiał ją mocno w sypkim pyle. Wróble natrząsały się z niego, pokrzykiwały przekornie i uciekały, podobne do szarych, podskakujących kluseczek. Pod płotem zbiły się w gromadę głupiutkie kury i mełły szybko językami, podobne do plotkujących kumoszek, i dziwiły się srodze niezwykłej odwadze ich męża i pana.

Ów niefrasobliwy obrazek oraz radość dnia słonecznego, unosząca się z nagrzanej ziemi, obudziły w nim ciche radowanie się ze wszystkiego. W cudowny, dla ludzkiego rozumu niepojęty sposób, skojarzyło się jego uradowanie z pragnieniem ujrzenia po raz wtóry tamtej dzieweczki z czerwoną kokardą. Wyczuwał raczej niż wiedział, że jej zjawa przypomniałaby mu odległe widzenie rozkwitłej jabłonki młodej, widzianej już dawno w jakiś niedzielny poranek słoneczny w przydrożnym sadzie.

Postanowił na nią czekać. Ujrzy ją i dobrze mu będzie.

Wyszła nareszcie.

— Ty, dziouszko, byłaś po książki? — zapytał, zatrzymując ją dłonią.

Dziewczyna spojrzała nieufnie. Ujrzał jej ciemne, głębokie oczy.

— Toć po książki... — odparła.

— A komu?

— A cóż cię to obchodzi? — obruszyła się.

— Dyć się nie musisz zaroz gniewać — usprawiedliwiał się Gustlik — widzisz, bo jo też se chcę książki pojczać...

— No to idź, a pożycz sobie...

— Dyć jo chcę iść, ale nie wiem, po kim to móm chcieć tych książek... Widzisz, jo tam jeszcze żodnego nie znóm...

— Hy, głupi, idź, poproś pana Tomosza i zbyte — i drobne usteczka wygięła z pogardą. Dziwiła się szczerze, jak można się o takie rzeczy pytać.

— A do mi, tak mnie-nic, tobie-nic?..

Dziewczynę zaczęła śmieszyć jego nieporadność.

— Ale da ci, da!.. A jakby ci nie chciał dać, to mu powiedz, żem ja cię posłała! — zadzwoniła srebrnym chichotem.

Gustlik nie zrozumiał jej dworowania.

— A jak móm powiedzieć — ciągnął dalej — gdy mnie tamten pón Tomosz zapyta, jak się nazywosz?

— No, to powiedz, że cię Bronka posłała, wiesz? —• i uradowana z własnej pustoty, roześmiała się w głos i już jej nie było.

Przez chwilę patrzał za nią. Teraz dopiero zrozumiał, że z niego żartowała. Nie czuł do niej żalu, jedynie zawstydził się trochę.

Zdecydował się pójść do owej bibljoteki. Zanurzył się w mrok sieni, przeszedł koło jednych i drugich drzwi, prowadzących do zwykłych izb restauracyjnych, a skąd wybiegał głośny gwar gości, i stanął przed następnemi drzwiami. W mroku widniał na nich duży czarny napis: „Extrazimmer". Pod nim dłuższy napis na owalnej tabliczce blaszanej: „Czytelnia Towarzystwa Szkoły Ludowej w Karwinie". Zapukał i wszedł.

Zaciężyły na nim liczne spojrzenia. Za stołami, wysłanemi dużemi płachtami gazet, siedzieli górnicy. Jedni czytali, inni grali w szachy, poniektórzy ściszonym głosem rozmawiali. Na oczerniałych ścianach barwiły się obrazy w żółtych ramach. Na środku, między dwoma oknami, bielił się duży orzeł na gipsowej tarczy, powleczonej na czerwono. Ujmująca cisza, przesycona dymem cygar, zapachem mnóstwa gazet i pewnego rodzaju wytworności, przedeszła Gustlika z uśmiechem. Gustlik pomyszkował oczyma. Do kogoby się tu zwrócić?.. Obok drzwi stała rozwarta szafa z półkami, a na każdej półce szereg książek. Przy stoliku siedział młody górnik o inteligentnej twarzy, z zaczesanemi włosami wbok, wodzący ołówkiem w rozwartej księdze.

— To jest ów Tomosz — przebiegło w myśli Gustlika. Stanął przed nim.

— Przeboczą... przepraszam — poprawił się szybko, gdyż nie wypadało mu przecież odzywać się w naizeczu, jakby do zwykłego górnika, — przepraszam, czy byłby pan tak dobry, a pożyczył mi książek?..

— A dużo już czytałeś? — zapytał Tomosz.

— Dużo — pochwalił się Gustlik — wszystkie kalendarze matczyne i wszystkie książki pana Kubienki już przeczytałem...

Bibljotekarz uśmiechnął się nieznacznie owym kalendarzom matczynym.

— Jak się nazywasz?

— Augustyn Wałoszek, lecz w domu woła mnie matka Gustlikiem.

Bibljotekarz znowu się uśmiechnął leciuchno. Wpisał go do indeksu.

— No, wybierz sobie jaką książkę!

Gustlik wybrał trzy. Wziął te, które były w jaskrawych okładkach. Podał je Tomoszowi. Ten je oglądał, chwilkę coś myślał, potem rzekł:

— Poczekaj, ja ci sam wybierzę — i wyszukał mu „Wieczory pod lipą" i „Starą baśń".

— Czytałeś je?

— Nie.

Zapisał do księgi i podał Gustlikowi. Chłopiec podziękował, ukłonił się i wyszedł. Na drodze otworzył jedną z nich, palony ciekawością, o czem też w niej pisane: czy o zbójnikach, czy o wojnach, czy o czemś innem. Przebiegł oczyma kilka wierszy. Trafił akurat na opis zdobytej, wymarłej Mysiej wieży.

— O wojnach... — mruknął z zadowoleniem, — o wojnach, to jo rod czytom...

Przystawał często gęsto, otwierał raz jedną, raz drugą, przeczytał szybko kilka rządków i, radując się niezwykłemu skarbu, uśmiechał się do wszystkich. Aż przechodzący ludzie oglądali się za nim, ubawieni jego zachwytem.

W domu czekała go radość matki.

— Pódź, Gustliczku, pódź!.. Bo dostaliśmy pismo z Górnego Śląska!

— Pismo? Od kogo, mamulko?

— Od twojego ujca... Wiesz, piszę, że nasi wygrali... Pięciu posłów wybrali, wiesz, pięciu polskich posłów... CzytejL — i podała mu list.

Gustlik nie bardzo rozumiał, dlaczego ma się cieszyć, że na Górnym Śląsku wybrano pięciu polskich posłów. Ale kiedy się matka raduje, to widocznie jest ważna przyczyna, by i on się radował.

Wziął list i zaczął czytać.

IV.

Milknące granie organów przetoczyło się po kościele cichnącem złotem.

Ksiądz odszedł był od ołtarza. W oczach ludzkich gorzała jeszcze słoneczna smuga błogosławiącej monstrancji, niebieskawe dymy niosły się ostatkiem zapachu pod malowany strop, barwne witraże wysokich, smukłych okien roztapiały w powietrzu tęczową rzekę światła, a szelest zamykanych kancjonałów i resztki modlitewnych szeptów szumiały szumem pszczelich skrzydełek, kiedy już czas do ula wracać.

Kościół ligocki był wezbrany tłumem. W ławach siedzieli co stateczniejsi gospodarze i górnicy; żony ich, strojne w białe, wykrochmalone czepki, i starsze dziewczyny pstrem mrowiem zasiadły drugi rząd ławek; a za ławami, pod pawłaczem, i przed ołtarzem, czerniła się gęstwa roboczego ludu, jarzyły płowe czupryny dzieci, barwiły niedzielne stroje dziewczyn.

Z pod zgarniętych brwi chłopów i robotników patrzyły zimne, szare oczy, na twarzach, pokreślonych w bruzdy, tężało skupione zamyślenie, a serca gorzały utajonym płomieniem.

Czekali wszyscy księdza proboszcza, skoro na ambonę wyjdzie i słowem bożem zwycięstwo ich ogłosi.

Teraz starowina ksiądz proboszcz w kruchcie ornat zdejmuje, a ręce mu się trzęsą, serce zaś dygoce ze wzruszenia, serce dygoce ze wzruszenia .,. Został w białej korakli, jedwabistym sznurem przepasanej. Kościelny Witoszek stułę zawiesza mu na ramiona, a jeden jej koniec z haftowanym krzyżem pod stare usta proboszczowe podnosi. Całują usta haftowany krzyż na stule, a serce dygoce ze wzruszenia...

Wyszedł.

Podniosły się oczy na schyloną postać, wspierają z miłością jego znużone nogi, na ambonę prowadzą. Na ambonie złoconej, ponad głowy wyniesionej, rozsrzebrzyły się siwe włosy proboszczowe, rozgorzały modre oczy dobrocią.

Ukląkł, zakrył twarz białemi dłońmi i jął się wgłos modlić, a ludzie mu odpowiadali. Potem odczytał ewangelję świętego Marka, rozdział 8, wiersz 1—9, o nasyceniu czterech tysięcy mężów.

Powiódł oczyma po tłumie. W kościele odezwały się chrząkania, pokaszliwania, głośne wycieranie nosów i szeleszczące poprawianie się w ławach, wszystko po to, by wygodniej słuchać kazania. Wiedzieli, że kazanie będzie dzisiaj wielkie, niezwykłe, że ich ksiądz proboszcz, który sam na swych parafjan wpływał i prosił, i zaklinał, by głos na swojego posła oddali, nie omieszka podzielić się wspólną radością ze wszystkimi, że kazanie dzisiejsze nie będzie się składało z obieranych słówek, lecz szczere, prawdziwe, z serca dyktowane.

Oglądały się wszystkich oczy, czy niemasz między ludźmi szpiega, co w te pędy pobiegnie do landrata z doniesieniem, szukały podejrzliwie po zakamarkach kościoła,

patrzyły zimno a groźliwie w sąsiadowe źrenice, by spatrzeć naczas, czy nie kryje się w nich zdrada. Nic a nic złego nie ujrzały. Jedynie organista na chórze, nauczyciel z ligockiej szkoły, chyba ten!.. Ale niech jeno pieron spróbuje!..

Uciszyło się.

A wtedy z ambony przyszły słowa łagodne, ciche, spokojne, jak uśmiech dziecka.

„Żal mi ludu, iż oto już trzy dni trwają przy Mnie, a nie mają, coby jedli..."

Najdrożsi bracia i siostry w Chrystusie!

Jako to słońce niebieskie, które Bóg w swej łaskawości na tę ziemię ściele, jako ta radość przeogromna, która na jego widok w każdej duszy zakwita — bo raduje się człowiek mającym nadejść urodzajnym żniwom — tak i wasze zwycięstwo czwartkowe, o bracia i siostry, niechaj będzie dzisiaj dla was, jak ono słonko, co mroki waszego zwątpienia precz odżenie, a serca wasze stroskane uradowaniem po brzegi napełni, w przecudne kwiecie zamieni, w nadzieję źrałych żniw przeistoczy.

„Żal Mi ludu, oto już trzy dni trwają przy Mnie, a nie mają, coby jedli..." I spojrzał Pan na lud swój w nieograniczonej dobroci, ulitował się nad nami biednymi i wzgardzonymi przez możnych tego świata. Bo jako tamci mężowie na pustyni głodni byli, tak i my głodni byliśmy, głodny byłeś, bracie Ślązaku, i głodna byłaś, siostro-Ślązaczko, głodna tego chleba, którego dusze nasze łakną. Głodni byliśmy sprawiedliwości dziejowej!,.

„Rozmnożyli się nad włosy głowy mojej ci, którzy mię nienawidzą bez przyczyny. Zmogli się

nieprzyjaciele moi, którzy mię prześladują niesprawiedliwie. A chcieli, bym stał się obcym dla braci mojej: cudzym dla synów matki mojej..." Ileż to razy wyrywały się nam z duszy słowa psalmisty, ileż razy zwątpienie czarne ogarniało serca nasze, widząc się zewsząd otoczeni morzem nieprawości i wrogiej przemocy!..

— Dobrze mówi nasz księżoszek — myśleli ludzie, słuchający z zapartym dechem proboszczowych słów. Nie były już one uśmiechnięte, zgasnął w nich uśmiech łagodności, co potrafi zło przebaczać. Stopniowo nabrzmiewały goryczą, pęczniały bólem, szły, jak łkająca skarga małej sieroty, której się krzywda niesłuszna dzieje, a politowania próżno u ludzi czeka. Zwierały się szczęki u chłopów i górników, jak wtenczas, gdy w ludzkiem sercu gniew powoli się budzi, powlekały się oczy szarym mrozem, wspomnienie doznawanych krzywd rozpaloną smołą kapało w niezagojone rany. A tymczasem w proboszczowych oczach rożegały się płomienie, zmarszczona twarz ożywiała, o słowa jego szły coraz większe, rosły, olbrzymiały jak pożar.

...rozwścieczone bałwany zawieruchy germańskiej biją w wątłe przyciesie domostwa naszego, rozpętała się siła, ta siła, co przed prawem idzie, siła plugawa za poszeptem djabelskim zrodzona, rozpętała się nad wszelkie serca ludzkiego zrozumienia, by węgły ojcowizny naszej podważyć, by serca nasze polskie z piersi wyrwać, by języka zapomnieć, naszej Matki najmilejszej, Polski, po wiekuiste czasy się wyrzec, by pamięci nie stało, że na piastowskiej ziemi piastowy lud włodarzył, ten sam lud, co pod Lignicą Europę chrześcijańską swoją piersią bronił, ten sam lud, co wrogów swej Macierzy na Psiem

Polu z pomocą Boga poraził — zniszczyć nas pragnie, wytępić, wszelki ślad zatrzeć, jak uczynił z naszymi braćmi Słowianami w zaraniu wieków nad Łabą i Odrą!.. Przychodzi ten wróg odwieczny, jak ten szatan, co kąkol w noc ciemną w zboże siał.., I w serca nasze i naszych dzieci sieje swój kąkol, truje swym jadem plugawym, odszczepieństwa od mowy swych przodków uczy, serca kazi pokusą judaszowskiej zapłaty... Przychodzi ten wróg odwieczny na ziemie nasze i braci naszych na poniewierkę wygania, z ojcowizny wyzuwa, dumny, odęty pychą szatańską, pieniący się złością...

Załamał się głos siwego księdza. Dobiegł do najwyższego napięcia, uderzył ostatkiem siły, jak młot w dzwoniący spiż i załamał się. Brakło już serca na pomieszczenie goryczy.

Stanęły przed oczyma zebranych wizerunki ubiegłych chwil, w których rozszalała się burza germańska.

Serca nasze płakały: — skarżyły się słowa z ambony — serca nasze płakały: „Panie, jak mnodzy są ci, co mię cisną! Siła ich powstała przeciwko mnie. A mnóstwo jest tych, co mówią o mnie: Niemasz dlań ratunku w Bogu jego...”

Lecz powiedział Pan — przyleciał teraz jasny, dzwoniący zew z ambony — „Żal Mi ludu, iż oto trzy dni trwają przy Mnie, a nie mają coby jedli". I jako kiedyś na pustyni niepłodnej nakarmił głodnych cztery tysiące mężów, bo wiernie trwali przy Nim, tak i na nas wejrzał Pan i lud swój wierny, co od wieków przy Nim trwa, nakarmił chlebem Swej łaskawości. „Bo jeśli ich puszczę głodnych do domów ich, zostaną po drodze." Twoje zwycięstwo czwartkowe, bracie-Ślązaku, to widomy znak, że

Pan ulitował się nad nami, by serca nasze mogły się najeść słodkości nadziei w ostateczne zwycięstwo, które idzie naprzeciwko nas radośnie i które w nieoczekiwanej godzinie cudu nadejdzie w dom nasz, jako zmartwychwstanie Matki przenajmilszej, co nas dzieci śląskie do łona swego miłościwie przygarnie.

Rozjaśniły się przymglone oczy słuchaczy, podniosły się serca, jak twarz dziecka, pragliwa pieszczoty dłoni matczynej. Słońce, cieknące tęczowemi strugami z witraży okiennych, sięgało już siwych włosów proboszczowych. Blaski otoczyły jego głowę, że oczy wszystkich zdawały się widzieć już nie swego proboszcza, co to w wolnych chwilach fajkę w ogrodzie pyka, gawędząc z różami i innem kwieciem, i co to czasem na weselach czy na chrzcinach wesołe historje opowiada, że można aż boki ze śmiechu zrywać — oczy wszystkich nie widziały już teraz swego proboszcza, lecz świętą postać, co z jakiegoś przecudnego obrazu wraz ze świetlistym kręgiem koło głowy na ambonę zeszła i teraz za Boską sprawą radość i ucíszenie w skołatanych sercach nieci. Taki kochany, tak ogromnie kochany księżoszek!.. O, żeby też długo żył, a po śmierci z aniołkami królował, aż na wieki wieków Amen!.. Taki dobry księżoszek!.,

...lud nasz śląski, to jako ten Łazarz biedny przez trzy dni w grobie złożony, kamieniem ciężkim przywalony, nie mający już nigdy powstać, A przyszedł Pan i kamień odwalić kazał i w ciemny grobowiec wstąpił i Łazarza wskrzesił. I Łazarz wstał, spętany powijakami, jako go w grób włożono umarłego. Wskrzesił nas Pan, nie pozwolił pozostać w ciemnicy grobu. A teraz tamte powijaki rozwiązujem, jeden po drugim, i precz odrzucam, aby wstać i wyjść z ciemnicy na światło boże.

Lud nasz śląski — jako ci polegli świętej Jadwigi rycerze, co pod Lignicą swe młode życie w ofierze złożyli. Według cudnej legendy, rycerstwo to nie pomarło, lecz śpi ono w głębiach śląskiej ziemi i znaku Bożego czeka, by powstać i po raz wtóry krwawy a zwycięski bój w obronie swej Macierzy stoczyć, Ty górniku śląski, bracie mój, jesteś tym rycerzem Jadwigi świętej, co pod ziemią siły zbierasz i znaku Bożego czekasz, by pójść w ostatni bój o Polskę, Budzisz się dzisiaj powoli z wiekowego uśpienia, zbroja twoja chrzęści, dłoń twoja pręży się do uścisku miecza, który ci rychło podnieść przyjdzie!.. Pamiętaj, który ci rychło podnieść przyjdzie!,,

Lud nasz śląski — jako ta ruda twarda, skamieniała, którą ty, bracie-hutniku, na pożyteczny metal przetapiasz. I jako dzisiaj to czynisz, tak przyjdzie czas, że i swoje serce przetopisz doostatka w ogniu umiłowania Ojczyzny swojej na szlachetny metal dzwoniący, z którego trzeba nam będzie jakoby miecze ukuć, wtedy, gdy przyjdzie ostatni znak Boży, A. znak Boży zbliża się, o bracia moi!..

Lud nasz śląski — jako ta ziemia nasza, którą ty rolniku, bracie mój, pod przyszłe ziarno w trudzie uprawiasz. W mozole szarego dnia krajesz jej skiby pługiem myśli o Matce-Polsce, na przyjęcie ziarna przysposabiasz, a ziarno pszenne, które na nią padnie, rozpleni się, o bracie mój, w szumne łany złociste...

„Ległem do snu i spałem twardo: i wstałem żyw, bo Pan mię ochraniał!" — śpiewa psalmista. I myśmy legli do snu i spaliśmy twardo. Dzisiaj wstajemy żyw, bo Pan nas ochrania. Zdobyłeś się, bracie, na odwagę śmiałego spojrzenia w zbójeckie

oczy swojego wroga, nie ulękłeś się jego gniewu srogiego, i wybrałeś pięciu posłów swoich wbrew jego przewidywaniom i pogróżkom. Pójdą twoi wybrańcy do Berlina, by razem z braćmi z Poznańskiego bronić twoich praw do życia, domagać się sprawiedliwości, całemu światu głosić twoją krzywdę i pohańbienie. Chwała ci za to i ty górniku, i ty hutniku, i ty chłopie śląski, bracia wy moi najmilsi!

Chwała i tobie matko-Ślązaczko i tobie dziewczę śląskie, co w sercach swoich nie pozwolicie przygasnąć płomieniowi świętemu, a którym się serce twojego syna czy męża czy narzeczonego do umiłowania swej Macierzy rozpala! „Często uderzali na mnie, — woła psalmista, — uderzali od młodości mojej: a przecież nie zmogli mię. Na grzbiecie moim młotami robili grzesznicy, długo wywierali złość swoją. Ale Pan sprawiedliwy połamał karki grzesznikom!...”

Tak, o bracia moi i siostry moje! A przecież dotychczas nie zmogli nas! I nie zmogą! Wasze zwycięstwo, to znak Boży — jakom już powiedział — że ulitował się Pan nad nami i żal mu zabyło, bo od wieków serca nasze trwają przy nim, a nie miały co jeść...

Wasze zwycięstwo — to znak Boży, mocą którego budzi się rycerstwo świętej Jadwigi, od wieków śpiące w czeluściach śląskich kopalni!..

Wasze zwycięstwo — to znak Boży, który sprawia, że przetapiają się serca nasze z bezkształtnej, kamienistej rudy na srebrzysty metal, z którego miecze ukujem!..

I wasze zwycięstwo — to znak Boży, że przyjdzie czas, iż Pan sprawiedliwy połamie karki grze-

sznikom, co już tak długo wywierają złość swoją na nas i nasze dzieci!.. To znak Boży, wypowiadający się w słowach szlachetnego Niemca, biskupa Bogedaina, kiedy oświadczył, że pragnie pozostać obywatelem niemieckim, bo jest najzupełniej przekonanym o przyszłem odbudowaniu Polski i nie czuje w sobie powołania być czynnym świadkiem boleści rodzenia się odnawiającego się narodu polskiego.

I ten-ci znak Boży, o patrzcie, bracia i siostry, na ołtarz, ten-ci znak Boży w tamtej glorji słonecznej, która w tej chwili promieniami swemi złoci godło naszej Ojczyzny!...

I wskazał dłonią na ołtarz, gdzie u szczytu jarzył się srebrem orzeł polski, uchodzący u władz niemieckich za symbol Ducha świętego. Podniosły się oczy ludu pod malowany strop. Istotnie. Dojrzały rozpiętego orła białego na najwyższym gzymsie ołtarza, zawsze w mrokach przebywającego, a teraz oświetlonego zabłąkaną smugą promieni słonecznych.

— Cud!., cud!.. — szeptały wzruszone kobiety, szeptali zadziwieni robotnicy i chłopi. Wpatrzyły się siwe oczy w jaśniejący symbol, wpatrzyły się chciwie, a serca wszystkich jęły kołatać żywo w piersiach i duszone łzy jęły powlekać mgiełką źrenicę.

Cisza się stała wielka w kościele, taka przelękniona cisza, że nic nie było słychać, jeno te głębokie westchnienia, idące jak szum kłosów na wietrze, a gdzie niegdzie głośne chlipanie w tłumie kobiet.

Proboszcz zaś stał siwy, nachylony, z wyciągniętem ramieniem ku ołtarzowi, w krasie słonecznego światła, ujmującego głowę jego w jaśniejące kolisko, jak na świętym obrazku.

A gdy znużone ramię opadło powoli, zwrócił się znowu do swego ludu i tak mówił:

...Módlmy się, o bracia i siostry w Chrystusie, by Pan, Bóg zastępów, wywiódł nas z niewoli babilońskiej i poprowadził do Jeruzalem naszego, do wolnej Macierzy naszej! Módlmy się, o bracia i siostry najmilsze, „by wrogi nasze, co opadły nas zewsząd jako pszczoły, zapłonęły jako ogień w cierniu, byśmy mogli kiedyś powiedzieć: a ja w imię Pańskie pomściłem się za nimi!..

Zbaw lud Twój, Panie, a błogosław dziedzictwu Twojemu: i rządź nimi i wywyższaj ich aż na wieki wieków." Amen!,.

...amen! — odpowiedziało echo z ostatnich wnęk i zapadło w ciszę.

— Pónbóg zapłać!,, — zaszemrał lud w podzięce i ucichł, zasłuchany jeszcze w wspomnienia słyszanych słów bożych, jak górnik, gdy w zwisający obwał węgla uderzy i słucha.

Pochyliły się głowy w modlitwie.

Stary proboszcz zeszedł powoli z ambony, suwając dłonią po poręczy, przesunął się między tłumem dzieci, przepłynął białą plamą korakli i zniknął w chłodnym cieniu kruchty.

W kościele podniósł się rumor, stukot splątanych kroków skłębił się w ciszy, ludzie wstawali z klęczek i jęli się garnąć do głównych dwierzy, rzeka ich wynurzała się powoli na przykościelne podwórze, rozrzedzała w słońcu, na drogę wyciekała.

Ulgę wynosili ludzie w swych sercach na słońce, a każdy miał w sobie proboszczowe słowa, jak garść najpiękniejszej pszenicy w dłoni.

I jako rolnik, radujący się złocistemu ziarnu, przesypuje je z dłoni do dłoni i pod światło patrzy, i uśmiecha bezwolnie, gdy widzi, że słońce łuszczy się złotemi plewami na ziarnach, tak i ludzie, przystanąwszy w gromady, radowali się tamtemi świętemi słowami, przesypywali je sobie z serca do serca, sycili ich dźwiękiem, poili ich słonecznością.

— Dobrze mówili księżoszek, dobrze — przytakiwali z uznaniem, cmokając z zachwytu.

— Bardzo dobrze!..

— Z serca te słowa wyjmowali...

— A bo prowda mówili, prowda!..

— Tak, tak, na świecie, na świecie...

— Jakby to z książki czytali...

— Święte słowa, święte!..

— Pierońskie germany!

— Na prowcie, moja kurzyczko, prowcie! Ale się zaś bydóm mścili, ale mścili za to kozanie!..

— Bydóm... — potwierdzili inni, a twarze zasępiły się w tem okamżeniu.

— No, przeca jo nie myślą, żeby był kto taki pieron, coby landratowi doniósł?..

— Znójdą się... Wszędy są Judosze plugawe, wszędy...

— Tak, tak, na świecie, na świecie!..

Stopniowo jednak jęli się ludzie rozchodzić dodom. Jaki taki wstąpił jeszcze do gospody, jako że to przy niedzieli i Panu Bogu cześć już się oddało. Spotka człowiek jednego i drugiego, dowie się małowiela coś z polityki i wszystko. Inni znowu szli drogami popod cieniem pachnącym, szli miedzami między zbożami wykłosionemi, na swoje pola skręcali, gdzie tam komu bliżej i wygodniej. A po drodze to ciągle tylko o dzisiejszem kazaniu mówili.

Przypominali sobie poszczególne słowa, w myślach długo ważyli, powtarzali w głos, zpowrotem w serca kładli i znowu inne wybierali, i oglądali pod światło, i cieszyli się niem. I to tak całą drogą, całą drogą... Aż do domu. A po drodze jeszcze umyślili, że w domu tym wszystkim muszą opowiedzieć, co nie byli w kościele, żeby się i oni trochę skrzepili, i lżej im było drobinkę.

— Wszystko opowiem — myśleli — i doma swoim dzieckom, i sąsiadom, i na grubie drugim przy robocie, i każdemu...

Słońce stało wysoko. Niebo było czyste, nieznacznie dymem przyprószone, cisza, dzwoniąca skowronkami i konikami polnemi, leżała nad polami, po łanach zbożowych szedł leciuchny wiater, zgarniając je palcami w szumiące fale, a z poza kępy ligockiej niosły się zukosa pod błękit mnogie, kłębiaste, szare słupy dymów, idących z czarnych kominów pobliskich hut i kopalni.

Wałoszek, brat ojca Gustlikowego, szedł miedzą dodom. Pobok towarzyszyli mu Ściskała i Marek. Wałoszek — był to wysoki chłop, chuderlawy, czarniawy po twarzy, o zaciśniętych ustach i ściągniętych brwiach. Tworzyły dwa wypukłe łuki nad głęboki emi, stalowemi oczyma. Chłód szedł z jego twarzy. Suchy, zgarbiony nos i zwiędłe policzki nadawały jej wyraz, jaki można spotykać na starych wizerunkach fanatycznych mnichów. Skupiona, zamknięta w sobie wola czaiła się zimnem lśnieniem w źrenicach i w tych drgających muskułach szczęk, gdy o czemś myślał.

Po jego lewej stronie dreptał miękko Ściskała, po prawej stawiał ciężkie kroki Marek. Mogli tak iść jeden obok drugiego, bo miedza była szeroka. Z kościoła wracali.

Ściskała o rzadkim, jasnym zaroście na okrągłej twarzy, miał kobiece serce. Łagodne, modre oczy patrzyły na świat jakoby trochę zdziwione. Gotów był roztkliwić się nad każdem stworzeniem, które w życiu spotykał, nad wróblem mizernym, nad kotem w domu, którego zwykł pod surdut chować, gdy mu groziła kara za wypicie mleka z garnka, nad robaczkiem najlichszym się litował tak, że idąc teraz po miedzy, pilnie patrzył pod nogi, by też — broń Boże — jakiej biedronki czy innego chrząszczyka nie nadeptać. Zawsze tak czynił. Gdy się temu dziwowano, mawiał: — Wszystko to stworzenie Boskie... nie godzi się temu krzywdy robić!., — Zmieniał się jednak do niepoznaki, gdy jemu ktoś krzywdę uczynił. Wtedy pięści zwierał i ciskał się, i pieronował ciężko, i nóg połamanie obiecywał, i wszystko. Złość zapiekała się w nim na długo, która go dopiero wtedy opuszczała, gdy doczekał się, sposobności wywarcia zemsty. Lecz i wtedy zazwyczaj machnął ręką, najwyżej zapieronował po raz ostatni i na tem się skończyło. Takim człowiekiem był Ściskała, starszy kopacz ze szybu Wilhelma.

Marek miał czarne oczy, jak węgiel. Zapalały się rychło płomieniem, a wtedy ludzie usuwali mu się z drogi. Mały, krępy, o silnych, ciężkich pięściach, nie wahał się pójść w największą gęstwę ludzką, gdy wypadało prać po łbach. Wtedy zagryzał grube wargi, a z pod ich czerwieni łyskały zęby drapieżną białością. Nie znosił sprzeciwu. Ulegał jedynie Wałoszkowi, który potrafił kiełznać jego gwałtowność. Przy pracy, kiedy trzymał w dłoni korbę olbrzymiej maszyny wydobywczej na szybie, i lekkiemi posunięciami przyśpieszał jej rozpętany bieg czy też zwalniał do subtelnych wahań potworne ramieniska, przymrużał oczy, patrząc cierpliwie, bez zmrużenia powieki na migocącą strzałkę manometru czy na sunące

w przeciwnych kierunkach lśniące dwie płaskie iglice, co wskazywały na prostopadłej, czarnej, kreskowanej płycie miejsce opadającej i wznoszącej się windy w szybie. Dla maszyny był jakby dobra, wyrozumiała a cierpliwa matka dla swego dziecka. Ledwie jednak od niej odstąpił, przeistaczał się doimentu. Dla jego radykalnych poglądów nazywano go „socjalistą".

Szli teraz wszyscy jeden obok drugiego, niewiele mówiący. Każdy z nich myślał o tern samem: o słyszanem kazaniu. Lecz każdy na swój sposób. Wałoszek przechodził w myślach tamtę litanję krzywd, jakie spotykały Górnoślązaka od niepamiętnych czasów, zaciskał zęby, przełykał ślinę, wydawającą się żółcią, i myślał. A myśli były podobne do ciemnych chmurzysk, idących w ciemnej nocy po niebie. Ściskała rozpamiętywał widok proboszcza na ambonie, gdy słońce jego siwe włosy złocistym kręgiem złociło, jego oczy widział i ramię, wyciągnięte w kierunku białego orła na ołtarzowym gzymsie, a równocześnie lęk go zdejmował, gdy pomyślał, że władze nie podarują mu tamtego kazania. — Zamkną biedoka do harestu i tela bydzie mioł, borok księżoszek! — martwił się. Marek zaś w duszy swej był podobny do zaognionej rany, którą niebacznie palcem urazić. Wzbierała w nim zaciekłość, bo mu przypomniano krzywdy niesłuszne. Jedno jedyne zdanie uchwycił w całości i powtarzał bezwiednie: — ...a w imię Pańskie pomściłem się za nimi!.. O, wy pierony jasne!.. — mełł w ustach i pięści zaciskał, a w oczach rude płomienie gorzały. — Och, żeby tak móc prać tamtych pieronów germanów po łbach, kuć ciężkiem żelazem, walić z całej mocy, na drzazgi kruszyć!,. Och, toby dopiero człowiekowi ulżało!..

— Ale przyjdzie kreska na tych dziadów! — rzucił głośno.

— O czem mówisz? — zapytał Ściskała.

— Głupi!,. Jeszcze się pyto! Nie o twojej babie!..

— Ja, o germanach... — domyślił się Ściskała. — Tak, tak... prowda mówisz, synku...

Wałoszek nie odzywał się. Swoje myślał i nic nie mówił.

Doszli w milczeniu na ligocką kępę. Tu się mieli rozejść, bo każdemu droga gdzie indziej dodom prowadziła. Wałoszek mieszkał przy hucie, Ściskała za hałdą, a Marek w kolonji. Zatrzymali się.

Przed nimi leżała szeroka, daleka równina, pojeżona mnóstwem dymiących kominów, mrowiem zabudowań hutniczych i kopalnianych, krzyk wytężonej pracy, szara ziemia, poorana usypiskami i rudemi żużlami, splugawiona wądołami, gdzie czarna, kaprawa woda gniła i w rozzłocony błękit ślepiła, jak ociemniałe oczy ludzkie, splątane warkocze dyszącej pary, co się tuż nad dachami w mętną mgiełkę rozwiewała, ostre, kanciaste zarysy wież szybowych i mostów, których kształt wrażał się w oczy bolesnem dotknięciem, błękitnawe, przejrzyste szmaty czadu, co się ze stoków tlejących hałd i usypisk wywlekały niemrawo, sycąc powietrze gryzącym swędem, — leżała przed ich oczyma tamta ziemia, jak człowiek powalony znużeniem, w zdartych łachmanach, jak człowiek, który nigdy spoczynku nie ma, ni wytchnienia drobnego, ostatkiem sił dyszący, ostatniej radości wyzuty, przez Boga po wieki zapomniany.

— Podziwejcie się, chłopi — odezwał się teraz Wałoszek, wskazując ręką na dolinę — co ludzie z tej ziemi uczynili.

Podnieśli tamci dwaj oczy na Wałoszka, bo zdziwili się jego niezwykłej uwadze. Cóżby mieli uczynić? Też śmieszna uwaga! Postawili kopalnie i huty, żeby robotnik

miał z czego żyć i zbyte. Widać, jeszcze Wałoszek ma na myśli proboszczowe kazanie, bo tak mówi, jak proboszcz. Podobnie.

— Widzicie? — zapytał, patrząc im w oczy zimno.

— Na, toć widzimy — mruknął zgorszony już Marek — przecażech nima ślepy...

— To zrobił człowiek ze ziemią, a... podobnie chcą uczynić Niemcy z nami... Wiecie?.. Żebychmy byli tacy sami potulni, jak tamta ziemia, co se pozwoli ze sobą nagrować... żebychmy im dowali swoje zdrowie i swoje siły i wszystko... żebychmy żyli, jak te otroki, bici, katowani...

— Pierony! — syknął z wściekłością Marek i splunął na ziemię.

— Widzicie?

— Toć widzimy...

— Ale tego się nie doczkają! — rzucił twardo Wałoszek.

— Nie doczkają! — potwierdził zajadle Marek.

— Jak żyw nigdy! — dodał Ściskała. Podniósł rękę i otrząsnął nią żywo.

— Wiecie, chłopi, co? Przydźcie dzisicywieczór do mnie — odezwał się Wałoszek.

— Po co?

— Przydźcie —- powtórzył mocno.

— Tóż przydymy — zgodzili się tamci dwaj. Wiedzieli, że Wałoszek ich nie podaremnicy pozywa do siebie. Coś w tem musi mieć. Widać, coś umyślił, a on mądrze myśli. Więc jak się zećmi — przyjdą.

Podali sobie dłonie, powiedzieli: — Z Panem Bogiem! — i każdy poszedł swoją drogą. Wałoszek w kierunku huty, prosto, Ściskała na lewo ku dymiącej hałdzie, a Marek na prawo do kolonji.

V.

Gustlik słyszał już coś niecoś o swoim wuju z Ligoty na Górnym Śląsku. Wiedział, że pamięta o jego matce, bo często pisywał do niej długie listy. Matka napędzała Gustlika wtedy do odpisywania, co było dla niego wielką udręką. Mozolili się wówczas obydwoje nad sposobem ujęcia matczynych myśli w zrozumiałe zdania. Gustlik wysuwał koniuszek języka, pocił się, stawiał grubaśne żydy na papierze i wzdychał pokryjomu, żeby już się też ta męka skończyła. Nie wiele go obchodziła treść. Pisał — bo rnusiał. Dziwował się tylko, jak można o takich drobnych rzeczach pisać, jak naprzykład o powodzeniu, o zdrowiu, o tem, że teraz wszystko drogie, że prosiak dobrze je i będzie z niego tłusty kąsek na jesień, że się kotka okociła, że dużo błota, że Olza wylała i wszystko.

W końcu podpisywał matkę i siebie, wsuwał papier do koperty, zalepiał, pisał jeszcze adres i koniec wszystkiemu. Najwięcej trudu wymagało pisanie adresu. Matka ciągle napominała, żeby litery były duże i wyraźne, żeby pisał po niemiecku „Elgot Oberszlesien", bo inaczej na poczcie nie będą wiedzieli, dokąd ten list wysłać,

A kiedy i to się skończyło, rnusiał biec z listem na pocztę, bo do skrzynki wrzucić — to rzecz trochę niepewna. Lepiej już na pocztę odnieść.

Dzisiaj, trzymając list od wuja, zgóry już się martwił, że znowu wypadnie mu odpisywać, i to — Bóg wie — jak dużo, bo dawno już temu, może z rok, jak ostatni raz to czynił.

— Tóż czytej, Gustliczku, na głos — dopraszała się matka.

Dobrze. Gustlik jął powoli czytać.

„Roztomiła Szwagrowo i Gustliku!

Siadam do stołu mego i piszę do serca waszego, a nasamprzód pozdrawujem was chrześcijańskim pozdrowieniem niech będzie pochwalony Jezus Hrystus i matka jego Maryja Amen i dowiadujem się o waszem zdrowiu i powodzeniu. Mnie się chwała Bogu dobrze powodzi, jeny Helenka była nimocno miała ośpice, ale teraz już je zdrowo i pójdzie do pierwszej świętej komunii. Staro już ji kupiła na szaty biołe a Emil robi już na szachcie za ślusorza sie uczy i kierysi czeski zarobi, aspoń na te swoi łąciska, bo moc tego terazykej zedrze jako przy takij robocie. Jozef już jest od siedmiu miesięcy przy wojsku we Wircburgu w Niemcach, ale piszę mi, że dobrze mo sie i że mo libste, ale jo mu napisał, żeby go ręka bosko broniła przed niemką i znać go niechca, jakby mioł się z niemką ożenić, tóż nie wiem co zrobi. Myślą jednak, że mnie posłechnie.

A dowóm też do wiadomości, że niemcy furt nas prześladują co dzień to barzi, a sztraf każą płacić że niechcemy religji we szkole po niemiecku i że uczymy dzieci polskie pieśniczki a dyrektor z naszej gruby powiedział, że z roboty wyciepie każdego, kiery nie bydzie sztram dojcz a kiery jest w Kriegervereinie. to może więcej zarobić. Ale choćby sie pierony w pięta za przeproszenim ugryźli, to nic nie przewiedom, bo nas jest jednak siła i bydzie nas coraz więcej bo ci zbałamuceni też sie powoli nawracają a Pón Bóg jest nierychliwy ale pamiętliwy, on se to wszystko dobrze zapisze.

A donoszym ci roztomiło szwagrówko, że oto był u nas wahltag, to jest wybory do sejmu pruskigo i my tu na Górnym Śląsku wybrali pięciu posłów,

a mieliśmy polskich głosów 115.090, a w roku 1903 wybralimy jeny dwóch posłów, a głosów naszych było jeny koło 44.000, Tak widzisz roztomiło szwagrówko, że Bóg jest snami i pomogo nóm w tych ciężkich chwilach i bydzie dali pomogać aż swoje osięgniemy że Polska powstanie a my Górnoślązoki do niej przydziemy. Germany się teraz wściekają i obiecują, że jeszcze barzi bydom nas prześladować, aż skrepniemy, ale psi głosy nie idą pod niebiosy.

A za sztery tydnie bydzie u nas odpust toż przyjdź nas też roztomiło szwagrówko naszczywić bo już downo niebyłaś u nas jak kiesi, gdy was germany wygnali tustela a weź też ze sobą Gustlika bo ani niewiem jak synek wyglądo i czy jest na moigo brata, boże mu tam dej radość wieczną, podobny.

Tak kończym to swoi pismo i pozdrawujemy was wszyscy z domu na nieprzeliczone razy a Z Panem Bogiem do miłego widzenia na naszym odpuście.

Twój szwagier Franciszek Wałoszek.”

Skończył. Westchnął z ulgą i odłożył list. Matka, co dotychczas pilnie słuchała Gustlikowego czytania, złożyła list i schowała do podstola.

— Chwała Bogu — powiedziała wkońcu — że tamci tak mocno się dzierżą. Jo też tak myślę, że Pón Bóg najroztomilejszy porządnych ludzi nie opuści i zaś jakosi z pomocą Jego bydzie dobrze...

— A na odpust pojedziemy? — przypomniało się znienacka Gustlikowi zakończenie listu.

— Na odpust? Na, muszymy tam, synku, sie wybrać, kiedy nas pytają, muszymy...

— To dobrze — uradował się synek. Przyszło doń wspomnienie rzędu kramów z kolorowemi piernikami,

tłumy, pogoda słoneczna, szeroki, szumny gwar rozradowanego zbiorowiska ludzkiego, nadzieja barwnych wrażeń, rozkosz czekania nadchodzącego dnia odpustowego.

— To dobrze — powtórzył.

— A, mamulko, jakto było z tern wygnaniem naszego tatulka z Górnego Śląska? — zapytał. Wiedział, że ich Niemcy wypędzili, lecz dlaczego, z jakiego powodu, nigdy się tern nie interesował. Dotychczas więcej zajmowała go troska, czy latawiec powinien mieć długi czy krótki ogon, skądby szpagatu nabyć dla niego, jak się wykręcić od nauki szkolnej, jakby z proboszczowego sadu jabłka skraść, ale tak, aby go nikt nie złapał, i wiele innych ciekawszych zagadnień, właściwych chłopięcym latom.

— Tóż to było tak... — zaczęła matka. — Twój ojciec, Boże mu tam dej radość wieczną, urodził się na Śląsku cieszyńskim, ale ojcowie jego, to znaczy twoi starzykowie, byli Górnoślązokami. A brat jego, to jest twój ujec z Ligoty, ten się urodził na Górnym Śląsku. I dobrze. Ojciec twój robił w hawierni, już dobrze se nie mogę przypomnieć, jak się ta gruba nazywała, był w pruskiej wojnie jak twój ujec, a mieszkalimy w budelach w kolonji. Ale potem przyszło taki rozporządzeni od rządu, że ci, co sie urodzili kajindzi, a nie na Górnym Śląsku, muszą do tydnia wywandrować... ....„ am

— A toź czemu? Czemu ich wyganiali?..

— Pytej się synku!.. To już tak na świecie z biednym norodem każdy poniewiero. I dobrze. Co to było płaczu i lamentu i wszystkiego!.. Mój Boże kandy! Ale cóż było robić? Musielimy się brać i wyjechać do Karwinej za robotą. A to było w roku 1886. Prawie bylichmy dwa miesiące po ślubie. A ciebie to jeszcze na świecie nie było, ho jej!..

— Hm, a joby się nie ruszył z miejsca...

— Głupiś! Kto nie chcioł sóm iść, to go szupasem do granicy odkludzili i zbyte,

— Co to znaczy „szupasem”?

— No, przyszli szantarzy i powiedzieli: — Pódź z nami!.. — i człowiek wól-nie-wól musioł iść i zbyte.

Gustlik pokręcił głową. Nie mógł tego zrozumieć, jak można kogoś wbrew jego woli przymuszać do opuszczenia jakiejś miejscowości.

— No i dobrze. Starzykowie pojczali nóm koni i woza, co my mieli, tośmy na wóz załadowali i pojechali na cesarską stronę, to znaczy tukej — poprawiła, przypuszczając, że Gustlik nie zrozumie.

— I co potem?

— No, nic. Jechalimy, a całą cestą toch płakała, bo mi strasznie było luto opuszczać swoich ludzi i wszystko. Aż mnie wtenczas stary, to jest twój ojciec, Boże mu tam dej radość wieczną, zbyrczoł i poprzezywoł.

— A ujec co robił?

— Ujec był jeszcze chłapcem, oto takim dorostkiem, jak Hanys Buławów, ale już mu się łusek pod nosem puszczoł. To nas odkludził aż na granice ku Pietrowicom, a potem się wrócił.

— No, dobrze, a kto potem konie odkludził starzykom?

— Na, dyć ci mówię, że starzyk jechali z nami...

— Nic mi nie mówiliście...

— Tóż teraz ci to mówię...

— A co tatulek robili?

— Hm, strasznie się gryzł tern wszystkiem i pieronował na Niemców, i wygrożoł się, i wszystko. Ażech go musiała hamować, bo po cieście chcioł biczyskiem wachmajstra od szantarów po pysku przejechać i jeszczeby mi

mogli go naostatku do dziury zawrzyć i byłoby tela parady.

— A czemu go chcioł tym biczem przejechać?

— Na, bo się bestja naśmiewoł z nas i mówił, że polskie świnie jadą...

— A to pieron jasny!.. — warknął mściwie Gustlik.

— Nie klnij tak, brzydoku jeden!.. Przeca to grzech!.. — obruszyła się matka.

— A co potem?

— No nic. Jeszcze jak jechoł, a był już na granicy, to zloz z woza i pocałowoł ziemie.

— Czemu?

— No tak... Jak się człowiek z człowiekiem rozłączo, to się też całują.

— No dobrze, ale przeca ziemia — to nie człowiek,

— Bo widzisz... jak ci to powiedzieć?., no widzisz, bo ojcu było tak luto tej ziemi, że ją musioł opuszczać, wiesz?

— Wiem... — przytaknął Gustlik, chociaż niewiele był z tego mądry. Ziemię całować? Też coś!.. Człowiek tylko sobie usta zabrudzi i tyle ma wszystkiego. Dziwni są ci starsi ludzie..

— A potem długo się z bratem ściskali i płakali obydwaj, a jo z nimi. A brat, wiesz? twój ujec z Ligoty, ścisnął rękę twojemu ojcu a powiedzioł: — Przysięgóm, że jak długo żyję, pamiętać będę o tej krzywdzie, a do Boga bydym się modlić, żeby ich wszyscy djabli wzięli tych zbójów niemieckich!.. Tak powiedzioł brat. Dobrze te słowa pamiętom, jakby to dziś było...

— A co potem?

— No potem to my przyjechali do Karwinej, a staro Galoczka, bardzo pobożno a dobrodajno stwora, wzięła nas do siebie i ojciec twój zaroz jakosi za tydzień dostoł

robotę na Johanszachcie, i potem my dostali pański kwartyr, wiesz? od werku, no i jakosi fort my żyli.

— A potem?

— Eh, róntym, a potem? a potem? — zniecierpliwiła się już matka — no potym tyś przyszoł na świat a jak ci było dziewięć miesięcy, to było to straszne nieszczęści u grofa i ojciec zostoł w hawierni, i po dziś dzień tam, chudzioczek, spoczywo... — i otarła przy tych słowach dwie drobniuchne łzy, co się na rzęsach znienacka wyrosiły.

Gustlik umilkł. Chwilę coś myślał.

— Tóż to tak było?.. — powiedział: jak człowiek, co się nieoczekiwanie o jakiejś prawdzie przekonał, a prawda ta wszystko mu rozjaśniła.

— Tak to było, synku, tak...

VI.

Słońce przetoczyło się daleko za ligocką kępę.

Stopniowo nurzało się coraz głębiej w kłębiastych nawisach dymów, stopniowo powlekało się czerwienią rozpalonego żelaza, a dymy, leżące nad ziemią ciężko, sennie, w bezwładzie, nasiąkały powoli kalnem światłem. Jakby chore, rude rumieńce rożegały się w nich ostatki dopalającego słonka, gorzały jakiś czas rdzawą pożogą, potem pomaleńku siniały, wypełniały po brzegi schodzącą nocą, gęstniały, czarnym murem na widnokręgach pod niebo wyrastały.

Po ziemi jęły się rozwlekać mroki.

Wałoszek wyszedł z domu. Umówił się z Markiem i Ściskałą na dziś wieczór, więc wyszedł im naprzeciw. Tuż przy nim bieżała Helenka. Rączyną trzymała się ojcowego surduta.

Poprawdzie, to Wałoszek nie był jej ojcem.

Ojciec Helenki, starszy kopacz Sznapka, wcześnie ją odumarł, W kopalni stracił życie. Pracował w filarze i przy jego odbudowie zginął. Zsypały się oberwane kamienie ze stropu, przygniotły i wydusiły z niego życie. Gdy po kilku godzinach odgrzebano drogę w obwale, znaleziono zimne, zmiażdżone zwłoki. Pogrzeb był bardzo szumny. Kapela górnicza grała, ludzi było strasznie moc, ksiądz proboszcz miał śliczne kazanie, tak bardzo śliczne, że prawie wszystkie kobiety w głos się spłakały, a co który górnik o miększem sercu, to także łzę ukradkiem palcami zbierał, a dla niepoznaki chrząkał, ażeby inni nie posądzili, że istotnie na płacz mu się zebrało. Inni dławili łzy w krtani. Lecz wszystkim serce się krajało, gdy patrzyli na czarną trumnę, opuszczaną na powrozach do grobu, a nad grobem, na usypanym wale z żółtej gliny, kwiliła nieporadnie mała Helenka. Sierotą została, bo i matka odumarła ją jakoś przed rokiem.

I została Helenka bez matki i bez ojca.

Gdy już ludziska nawzdychali się dosyta i zaczerwienione oczy jako tako osuszyli, tknęła Wałoszka ciepła myśl. Tak znienacka przyszła, jak uśmiech dziecka, spotkany przypadkowo na drodze. Powiedział sobie: — Szkoda chroboczka, małe to, ledwie do szkoły zaczęło chodzić, kaj sie teraz podzieje?... Kaj?... Dyć mi zaś to Pónbóg inszą stroną wynadgrodzi... — I przystąpił do Helenki, ujął za rękę i powiedział:

— Pódź Helenko, pójdziesz do mnie... Jo byda twoim tatulkiem... Pódź, a nie płakej kurzyczko...

I gdy to czynił, jakieś ogromne ciepło rozeszło mu się w piersiach i tak mu słodko się zrobiło, jakby się miodu napił.

Zebranym ludziom bardzo się to podobało i wszyscy zaczęli go chwalić i cudować się i wszystko, radując się po części, że Wałoszek wyręczył ich, że nie oni będą musieli się już myślami bić, czy Helenkę wziąć do siebie, czy nie wziąć. A ksiądz proboszcz uśmiechnął się przyjaźnie i powiedział:

— Bóg wam to, Wałoszku, wynagrodzi!..

— No, no... o tela też tam — bronił się Wałoszek

Wałoszkula nie była wtenczas na pogrzebie, bo musiała obiad gotować. Żal jej było bardzo, boć to zawsze i ludzi sporo się zobaczy, i namówić można się dowoli ze wszystkimi, i nalutować pospólnie biedaka Sznapki, i upust dać swemu sercu miękkiemu, co to rade i skore do łez. Lecz trudno. Obiad trzeba gotować, bo i stary musi od południa iść na szychtę, a chłopczyska ze szkoły przybieżą, głodne jak wilki, i krowom trzeba jedzenie przygotować, i kurom, i gęsiom, a tak — czasby się minął na pogrzebie i trudnoby było potem robocie wydolić.

Uradowała się Wałoszkula, gdy Wałoszek wrócił z pogrzebu, prowadząc łkającą Helenkę za rękę.

— Było mi tego żol — tłumaczył jej niepotrzebnie — było mi tego żol, chudziatko to biedne i prawiłech se, że se ją weźniemy zaswe...

— Dobrześ zrobił, chłopeczku, dobrze — przyklasnęła Wałoszkula — wiesz, boch jo se to samo myślała, żebymy tak zrobili, alech nie miała odwagi, żeby ci to rzec, że się pojargosz, lebo co... Dobrześ zrobił, chłopeczku, dobrze... No, pódź, kurzyczko, pódź, a nie płacz już... Teraz jo byda twoją mamulką, a mój stary bydzie twoim tatulkiem i bydzie ci dobrze... Pódź, kurzyczko biedno, pódź... — i wzięła ją w ramiona.

I odtąd Helenka została u Wałoszków. Zżyła się szybko z nimi, zczasem przepomniała o swojem sieroctwie,

a Józek i Emil także ją polubili, i chociaż to były straszne wybiokna, nigdy jej nie skrzywdzili.

Helenka miała duże, modre oczy i długie, jasne włosy. A taka była delikatna po twarzy, że nazywano ją w kolonji „konteską”. Gdy szła w słonku, to nad Wysokiem czołem jarzyły się włosy złocistą otęczą, a z pod lekko wygiętych ciemnych brwi, z poza długich, gęstych, ciemnych rzęs patrzyły słodkie oczy.

Gdy ją ktoś obcy poraź pierwszy ujrzał, cudował się:

— Dziwej sie, kamrat, jak sie ta dzioucha pieknie dziwo... Toć to szwarne dziouszysko...

— Ja, to nie wiesz? Dyć to nasza „konteską" — mawiał tamten, mając na myśli porównanie, jakie nasuwało się każdemu, co widywał hrabiankę z koprzywnickiego zamku. Jakby to jej siostra była. Też takie same oczy i te włosy, i drobne rumieńce na jasnej i jakby zamyślonej twarzyczce, i te same drobne a miękko wygięte usteczka. Tylko że koprzywnicka hrabianka miała krótszą nogę, biedaczysko, i dlatego zawsze w karecie się woziła, a Helenka była smukłą, zgrabną sarenką, co to nieraz z chłopcami do zawodów w biegu stawała.

Szła teraz z Wałoszkiem, trzymając się go z przekory za surdut. Co parę kroków umyślnie zostawała wtyle, nie puszczając z dłoni poły surduta. Wtedy Wałoszek odwracał się, łagodził zamroczoną twarz w przyjaznym uśmiechu i mawiał:

— No, pódź, zwoneczku, pódź...

Niby że to Helenka trzyma się go za surdut, jak dzwoneczek, przyszyty do uprzęży.

Zanim wyszli na szczyt kępy, słońce było już dawno zaszło. Usiedli teraz na trawie obok drogi i zapatrzyli się w dolinę.

Nad ciemniejącą ziemią zapalały się rojowiska świateł.

W głębiach aksamitnego mroku wybłyskiwały pokolei duże mleczne kule o zimnym, jakby wilgotnym, białym blasku, rozsiewały się szeroko i daleko, podobne do garści gubionych pereł świetlistych, tworzyły miejscami kępy migotliwego lśnienia, zbiegały się, wydłużały w nieudolny kształt niebieskiej drogi mlecznej, rozrzedzały w pojedyńcze, samotne kulki, błąkały nieporadnie w ciemni, a potem znowu zbijały w gromady, coraz mniejsze i coraz drobniejsze, szły coraz dalej, samopas, po bezdrożach, dochodziły krańców ziemi i gdzieś na skrajach marły w jaśniejącem drżeniu.

Ich migotliwe pełganie nadawało nocy urok tajemniczego życia. Helenka oparła się głową o chropowaty pień topoli i zapatrzyła się. Żeby taką sukienkę mieć, taką czarną atlasową sukienkę, a na niej tyle pereł i pereł, ile tamtych świateł!... Hej! toby była śliczna sukienka!...

Podciągnęła kolana ku sobie i objęła je ramionami. Bose, smukłe nogi bieliły się w mroku radosnym swym kształtem. Oczy jej błądziły po rozrzuconych drobinach świetlnych, jak łagodne palce po sznurze błyszczących kamuszków.

W pewnej chwili źrenice jej wyłuskały z mrowia mlecznych kuleczek żółtawy zamęt drobnych świateł elektrycznych. Wydłużały się w sznury przydrożne, leciały naprzejmo w pola, rozbiegały wskos i na krzyż, pętały się zygzakami pośród czerni zabudowań i nieoczekiwanie urywały swój żywot przed czarną ścianą nocy.

Helenka odwróciła głowę w bok.

W jednem miejscu, ponad zbiegowiskiem świateł, biła w niebo ukrwawiona łuna. W jej rażącej czerwieni przyćmiły się wszystkie lampy, i te o białem i te o żółtem

lśnieniu. Przygasły, zamienione w mizerne, przyduszone błyski. Jęzory płomienisk buchały raz wraz ze szczytu wielkich pieców hutniczych. Skręcały się w szerokich, potwornych przegubach, zataczały, szarpały wydętemi, rudemi płachciskami ognia, urywały znienacka, na jedno mgnienie oka leciały pod niebo, i gasły. W te pędy zapalała się druga płomienna wiecha na sąsiednim piecu i wystrzelała w górę jak krwią zbroczona pięść o rozczapierzonych palcach. Przez chwilę palce te zwierały się szybko, zamykały i rozwierały, ruchliwemi skrętami czepiały jądra zwisającej nocy, zamigotały gwałtownym skurczem i leciały pod gwiazdy. I zanim uniosły się w próżnię zmroku — znowu gasły. Pobok, z obrębu czarnych, głębokich podwórców huty sączyła się pod przymglone gwiazdy ognista posoka świetlna. Ujmowała w krwiste ramy ostre kontury dachów, ścian i kadłubów piecy, przenikała zwisającą noc do głębi, rozszczepiała na połowę i syciła szkarłatem.

Czasami i tamta łuna gasła. Wtedy mrok gęsty zapadał szybko, gwałtownie, i zestokrotniony zstępował w Helenczyne oczy. Czarne dłonie ślepiły je na drobną miareczkę czasu, zdmuchiwały w źrenicach mrącą smugę widzianych blasków, jakoby się ciemny pył sypał w rozwarte spojrzenie. I zdawało się wtedy dziewczynie, że jej tak, jakby przed chwilą jeszcze słuchała wielkiego, przejmującego wołania, które znienacka ustało, a teraz nastąpiła ogromna cisza. Powrócić chciałyby oczy do poprzedniego widoku, bo serce chwytał niewytłumaczony lęk.

Po chwili łuna zapalała się zpowrotem.

Po ziemi wałęsały się zgrzytliwe pogłosy maszyn i pracy ludzkiej. Kopalnie spoczywały, lecz w hutach wrzało. Ciężkie uderzenia młotów żeniły się z jazgotliwem terkotaniem zębatych kół kranowych, przewalało

się leniwie dudniące huczenie kompresorów, szczekały szybko, wnikliwie pneumatyczne młotki, krzyczały lokomotywy, stękały potężne uderzania młotów parowych, dzwoniły zrzucane płyty stalowe na żelazną podłogę, jęczały chrapliwie i zawodziły miejscami wysokim tonem rozdygotane walce, a raz wraz wypływały słabem echem ludzkie nawoływania i suchy szmer toczących się wózków na zawieszonych linach.

Helenka wyczuwała, że ziemia pod jej bosemi piętami dygoce.

Od dalekich gór niósł się lekki, ciepły wiater.

— Pieknie tu... — zwróciła się dziewczyna do Wałoszka — prowda tatulku, że pieknie?

— Pieknie... — potwierdził zamyślony Wałoszek.

— Ale kiedy wy się nie dziwocie!

— Ale dziwom się, dzioucho, dziwom...

— Oto tam... — wskazała dłonią na szerokie plamy żarzącej czerwieni, powleczonej leciuchnym nalotem niebieszczących płomyków, co obsiadły ukośne stoki hałdy. Konturów hałdy nie było widać. Zaledwie rzadkie lampy, rozrzucone po usypisku, pozwalały się domyślać jej kształtu. Noc tam była najczarniejsza i dlatego też gorejące zarzewie tern mocniej nasycone było urodą prześwietlonych rubinów.

— Oto tam... — powtórzyła, trącając Wałoszka w ramię, by spojrzał w kierunku jej palca.

— Aha! — przytaknął znowu Wałoszek — lecz tam dzioucho, to śmierć...

— Śmierć?

— Śmierć. Czy już nie pamiętosz, jak tej zimy zagoroł tam Sykała? Szoł pijany, chcioł się trochę zegrzoć, bo zima było, i nałykoł się tego dymu i zostoł... Wiesz?

— A tak, tak, pamiętom...

— No tóż widzisz,

I znowu zaległa cisza. Wałoszek wrócił do swych myśli, które na chwilę był odbieżał, Helenka zaś gmerała oczyma w tamtem mrowisku świateł.

Doczekali się wreszcie Marka i Ściskały.

Pierwszy wyłonił się z mroków Marek. Zdała można było słyszeć jego kroki. Za nim przybył Ściskała.

Usiedli obydwaj na trawie.

— No, wiela tam, chłopi, nie posiadujcie, bo już ćma... trzeba nóm iść — rzekł Wałoszek.

— Na tóżmy bai pódź! — zgodził się Marek.

Wstali wszyscy i zawrócili ku domowi Wałoszkowemu.

— Naschwolżech was, chłopi, tak nieskoro pozwoł, bo sie boja, że zaś nas ten pieroński lizoń bydzie szpiegowoł...

— Kiery? Sojka?

— Toć Sojka...

— Żeby tak, pieronowi, kiedy tak kości porachować? Toby mu się chneda[30]) odechciało szpiegowanio — zawyrokował Marek.

— Nie minie go to!... — warknął Wałoszek.

Obydwaj, Marek i Ściskała, byli ciekawi, poco ich Wałoszek zawezwał, dlaczego kazał im przyjść wieczorem. Lecz nikt się nie pytał. Widać, ma w tem ważny powód, a co on obmyśli, to wszystko mądrze zrobi.

Szli teraz w milczeniu. Pobok dreptała Helenka, bacząc pilnie, żeby na wystających kamieniach nie zbić palca u nogi.

— Pierona kiesi zabija!.. — warknął znienacka Marek.

---

[30]) chneda — wkrótce.

— O kim mówisz? — zapytał zdziwiony Ściskała.

— O kim! Też się tak głupie pytać! O kimżeby, jak nie o tym dziadzie, Sojce!..

— Aha!

I znowu zamilkli. Wszyscy trzej znali Sojkę. Nawet Helenka go znała. Był to robotnik hutniczy, obecnie już podmajstrzy, lizus dyrektora Langhorsta, znienawidzony przez wszystkich robotników w Ligocie i okolicy. Uczepił się klamki pańskiej i za łaskawe oko dyrektora i naczelnego technika Willi cha trudnił się judaszowskiem rzemiosłem. Z chorobliwą wprost manją śledził za wszelkiem uchybieniem w pracy, popełnianem niebacznie przez znużonego robotnika, szpiegował swych towarzyszy na każdym kroku, zachodził niepostrzeżenie do oddziałów, gdzie wcale nie pracował, myszkował przymrużonemi oczyma wokoło, zgarbiony, z wyciągniętą wprzód szyją, o krogulczym wyrazie twarzy, o szeroko i jakby płasko osadzonych szklistych gałkach ocznych. Uśmiechał się obleśnie, zacierał dłonie, pogadywał nibyto przyjacielsko, za język ciągnął, a w parszywem sercu swem knuł zdradę i przemyśliwał, jakby się nowem doniesieniem dyrektorowi przypochlebić.

Dyrektor Langhorst gardził nim, często za drzwi kazał się wynosić, zbywał opryskliwie. Niejednokrotnie jednak korzystał z jego donosów i zapisywał oskarżonego robotnika do kary. I wszyscy wiedzieli, że jeżeli komuś przy wypłacie strącono tyle a tyle marek „sztrafu", komu to zawdzięczać.

Robotnicy zemstę mu zaprzysięgali. Lecz Sojka, aczkolwiek drżał i zieleniał z przerażenia, widząc wlepione w siebie mściwe oczy oskarżonego towarzysza, to jednak pozbywał się rychło lęku, wiedząc, że za nim stoi sam

dyrektor Langhorst, I to go tylko chroniło przed twardą pięścią pokrzywdzonego.

Lecz kiedy Langhorst został mianowany „Amtsvorsteherem” i coraz częściej przebywał z landratem Peschkem, kiedy wszczął zaciekłą walkę z żywiołem polskim i zaczął wpływać na robotników, by wstępowali do niemieckich towarzystw, by młodzież robotnicza grupowała się w towarzystwach śpiewackich i gimnastycznych, i kiedy wszelkie objawy opozycji usiłował dławić w zarodku, udzielając milczącej aprobaty stosowanym szykanom ze strony majstrów wobec robotnika, — wtedy Sojka stał się powiernikiem jego. Uzyskał stanowisko podmajstrzego, za co powinien był jeszcze skrupulatniej śledzić swoich podwładnych, a każdy szczegół raportować po skończonej szychcie naczelnemu technikowi Willichowi.

Sojka nie umiał po niemiecku. Posługiwał się cudacznym żargonem, skleconym z kilkudziesięciu słów niemieckich. Lecz to wystarczyło mu zupełnie. Rozumiał go i Langhorst z nad Renu, i Willich z Wrocławia.

Czynił to wszystko dla pieniędzy. Poza tem olśniewała go myśl, że on, Sojka, syn zwykłego wolarza z koprzywnickiego dworu, za pan brat rozmawia z takim wielkim panem, jakim jest technik Willich, i z takim jeszcze większym panem, jakim jest dyrektor Langhorst. Zachłystywał się uniesieniem, gdy o tem myślał, a równocześnie skamlał w duchu, by jeszcze większego zaszczytu dożyć, by móc przynajmniej takiej chwili się doczekać, że sam pan dyrektor rękę mu poda w obecności wszystkich robotników, lub żeby kiedyś móc z nim razem za jednym stołem usiąść i kuflem piwa się trącać. Och! żeby też tego dożyć!..

Doczekał się. „Za gorliwy udział w krzewieniu niemczyzny”, — jak brzmiało polecające orzeczenie Lang-

horsta — wybrano go do zarządu ligockiego Kriegervereinu. Wtenczas w głowie mu się przewróciło. Co niedzieli paradował w mundurze związkowym z zawieszonemi na piersiach dwoma medalami z wojny francusko-niemieckiej, w gospodzie krzyczał jeno po niemiecku, śpiewał niemieckie pieśni bojowe, prał pięścią po stole i każdego usiłował przekonywać, że jest Niemcem, wyzywał od polskich świń innym robotnikom, i chociaż za to mocno mu skórę przetrzepano, gdy wieczorem wracał do domu, nie ustawał w swym zapale wojowniczym. Ba, nawet za jednym stołem siadywał z Langhorstem na posiedzeniach zarządu ligockiego Kriegervereinu, dłoń jego z nabożnym lękiem dotykał na powitanie, i nawet tym kuflem piwa się trącał, krzycząc na całą salę: „Prosit, meine Herren!".., Przez cały czas posiedzenia patrzał w oczy swego dyrektora, jak pies wierny, co śledzi skinienia ręki pańskiej, i raz wraz przytakiwał głośno jego wywodom, chociaż im poprawdzie niewiele rozumiał. I aczkolwiek pewnego razu, gdy w przystępie zbytniego poufalenia się z inżynierami i dyrektorem jął się wszystkim naprzykrzać, został sromotnie za drzwi wyrzucony, w niczem to jednak nie zmieniło jego postępowania. Przeciwnie, jeszcze bardziej podniecało, by za wszelką cenę pozyskać przychylność i łaskawe oko Langhorsta.

Wyjątkowo uwziął się na Wałoszka. Wałoszek miał mir między całą załogą hutniczą i wszyscy go też słuchali. On ich podtrzymywał i utwierdzał w oporze, on był tym, co w sumienia ludzkie zaglądał i chwiejących się w polskości umacniał. Langhorst wiedział, że jak długo Wałoszek będzie mu stał w drodze, nic nie zdziała. Postanowił więc albo go pozyskać dla swej sprawy, albo zniszczyć, ugiąć, zdusić swą przemocą. I przyszedł pewnego dnia Sojka do Wałoszka. Usiadł na ławie i zaczął chytrze

skamlać na niskie zarobki, na nędzę robotnika i na jego niezaradność, i dziecinny upór. Wałoszek słuchał i patrzał zpodełba. Lecz kiedy Sojka, przystępując do sedna rzeczy, zaproponował mu, by wstąpił do Kriegervereinu, zaco może z łatwością swój byt poprawić, Wałoszek nic nie odrzekł, tylko wstał z ławy, otworzył drzwi do sieni, podszedł do skulonego, trzęsącego się Sojki, ujął go mocno za kołnierz, podniósł i jednem ciężkiem, raptownem kopnięciem wywalił na schody i drzwi zatrzasnął.

Sojka zaprzysiągł Wałoszkowi zemstę.

W hucie sypały się odtąd kary na niego za najmniejsze jakoby przewinienie, obcinano mu zarobek, a równocześnie nie było prawie tygodnia, by nie zachodził do jego mieszkania żandarm, żeby do nowej kary zapisać. To bielizna zbyt blisko pieca wisiała, to studnia była nienakryta, to wiązka słomy na strychu nie leżała w przepisowej odległości od komina, to znowu Helenka biegła po torze kolejowym, raz to, potem znów tamto, końca temu nie było.

Wałoszek zaciskał zęby i nic. A we wnętrzu palił go ogień straszny. Dławiła go bezsilna wściekłość, ogarniało czasem zwątpienie, chwilami zdawało się, że wola jego skruszeje, że złamie się, do ziemi zegnie. Trwało to chwilkę tylko. Rychło się opamiętywał. Wtedy oczy jego błyskały zimnym płomieniem, a muskuły na twarzy żywiej drgały.

— Nie dóm sie!.. — mełł zduszone słowa — nie dóm sie, choćby wszyscy pieroni!.. Choćby mi tu zdechnąć przyszło na tej ziemi, a nie dóm sie!.. Choćby do żebraczego kija przyjść, a nie dóm sie!.. Ni!..

Od dwóch lat trwała już taka walka. W okresie tym namnożyło się tyle kar pieniężnych, tyle wyroków sądowych, że Wałoszek rnusiał pola usprzedać i dwie

krowy na targ powieść, by kary zapłacić. Z trwogą patrzał w przyszłość, przewidując, że jeżeli nadal trwać będzie to prześladowanie, to istotnie na żebraczy kij zejdzie, bo mu całe gospodarstwo zabiorą na zapłacenie ustawicznych kar. Za poradą proboszcza przepisał majątek na swoją żonę. W ten sposób uchronił go od dalszego zmniejszania się. Ale zato rnusiał odsiadywać areszt. To dwa dni, to tydzień, a raz nawet miesiąc za to, że zwołał jakoby publiczne zgromadzenie do swej stodoły, a nie zgłosił go do landrata. A do tego świecił jeszcze lampą naftową. Było to właśnie w okresie przedwyborczym, kiedy władze i dyrektor Langhorst wytężali wszystkie siły, by utrącić w ich okręgu kandydata polskiego.

Nie udało się. Wściekał się Langhorst, zasiadający w komisji wyborczej, kiedy Wałoszek, prawie wszyscy robotnicy, ba nawet i ta drobna garstka ewangelików głośno wypowiadali się przed komisją;

— Ich wähle Pfarrer Brandys!..[31])

Teraz spodziewać należy się jeszcze większych szykan. I księdzu proboszczowi nie podarują dzisiejszego kazania. Ale niechtam! Choćby wszyscy pieroni... ale nie dómy sie!..

— Nie ďomy sie — zakończył w głos swoje rozmyślania Wałoszek.

— Ni! — potwierdził Marek, zgadując, o czem tamten myśli.

Doszli do hałdy. Stanęli przed czarną, wysoką ścianą usypiska. Z boku jarzył się szeroki, wydłużony płacheć ognisty, pokryty ruchliwym zamętem niebieskawych płomyczków. Języczki ich migotały bez przerwy, chybotały się, jak przejrzyste liście miotane wiatrem, skakały

---

[31]) Wybieram proboszcza Brandysa!

po rozżarzonych kamieniach, przygasały, znowu wystrzelały w górę, tańczyły nakształt błędnych ogników, co po trzęsawiskach błądzą, pod niemi zaś biła jaskrawa czerwoność żaru, syciła mroki kolorem krwi, gorzała bezpłomiennym ogniem. Suche, gęste, ściszone trzeszczenie sypało się stamtąd w zasłuchane uszy, a gryzący swąd czadu drapał w krtani i kamieniem kładł się na piersi.

Cisza była dookoła i pustki bezludne. Jutro znowu ożyją hałdy gwarem ludzkich głosów, robotnicy będą toczyli szczękające wózki po Wysokiem usypisku, dzieci i kobiety, wybierające węgiel z rumowiska, sprzeczać się będą i pogadywać o wszystkiem, co ludzkie serce boli, zahurkocą kęsy kamieni, zsypujące się po stokach; hałdy ożyją. Dzisiaj świętują, bo to niedziela.

W pewnej chwili zdawało się wszystkim, że posłyszeli czujne kroki, skradające się za nimi. Zatrzymali dech i odwrócili głowy. Cisza.

— Tak, jakby kiery za nami szoł... — zauważył półgłosem Ściskała.

— Być może, że to Sojka. Widzioł mnie, gdych szoł z Helenką na kępa. Stół przed sienią.

— Gdyby mi tak dzisio w pazury wloz, spiera go, co wlezie — dorzucił mściwie Marek.

Szli teraz wzdłuż usypiska. Resztki rozrzedzonego światła z dalekiego podwórza kopalni dozwalały rozeznać zagłębienia i jamy, wybrane w hałdzie. Odkryte jej wnętrze rudziało wypalonym kamieniem. Stanęli u wejścia głębokiej niszy, ponad którą zwisały ogromne zwały spieczonych żużli w kształcie nieforemnego sklepienia.

— Siednij se tu, Helenko, a dej pozór, czy kiery nie pójdzie. Jakby kiery szoł, to nas wołej... — polecił jej Wałoszek.

— A nie bydziesz sie boła? — zapytał troskliwie Ściskała.

— Trocha — odparło dziewczę.

— Niema się czego boć — pocieszył ją Wałoszek — dej jeny dobrze pozór, żeby nas kiery nie ścignął. Jak kogo poczujesz, wołej. Wiesz?

— Wiem, tatulku!

— Eh, to lepiej było wziąść Emila, niż dzioucha — zauważył Marek.

— Ni, bo poszeł na śpiew do księżoszka.

— Dobrze, ale widzisz, my jeszcze nie wiemy, poco nas tu kludzisz na ta hołda?

— No, jo się chcioł to samo zapytać — dodał Ściskała.

— Zaroz się dowiecie. Pódźcie jeny... a ty, Helenko, dobrze sie dziwej, a jakby co, to wołej... Bo zły duch nie spi — mruknął już do siebie Wałoszek.

Poszli. Helenka usiadła na złomie kamienia i jęła się pilnie wpatrywać w mroki. Wyłaniały się z nich jakieś dziwy, spojrzeniem nieuchwytne, sięgały jej serca drobnego, ściskały mocno w garści, że ono aż dygotało, dygotało. Dla odpędzenia strachów jęła szybko odmawiać pacierz. Najskuteczniejszy to środek na wszelkie duchy, które wtedy nie mają do człowieka przystępu. Tak mawiała mamulka. A mamulka zawsze prawdę mówi.

Wałoszek odszedł z towarzyszami w zagłębienie wnęki.

— Siodejcie, chłopi — rzekł i rozejrzał się, gdzieby usiąść.

Usiedli.

— Tóż teraz wóm powiem, poco my tu przyszli, pocożech was tu przywiód — rozpoczął z drżeniem w głosie. — Wiecie, co się robi, że nas germany zniszczyć

chcą. Wiecie. Po co wóm o tem mówić? Wy wiecie dobrze. Lecz widzicie, kamraci, kierysi musi być między naszymi ludziami, coby ich dzierżoł. Jak go nie bydzie, upadną... Musi kierysi być, co dycki bydzie ta krzywda wypominać ludziom, aby nie zapomnieli, fórt a fórt... Musi kierysi być... Wyście są moimi kamratami, jo wiem... Jo widza w was najwięcej siły... Terażeśmy wygrali straszno wojna... Pięć naszych posłów mómy dziśka... To je moc! Pónbóg z nami dzierży, bo wie, że sprawiedliwie chcemy... Ale widzicie, chłopi, to jeszcze nie koniec. Prusok przeklęty jeszcze mocny... bardzo mocny... on wszystko zrobi, żeby nas zniszczyć... Ale my sie nie dómy...

— Ni, nie dómy się! — potwierdził twardo Marek.

— Poczkej, kamrat, nie przeruwej... my się nie dómy. Jak długo dechu w naszych piersiach, bronić się bydymy... Ale poczkejcie... jo nima ksiądz... jo tak nie umia mówić... Wiecie, co muszymy zrobić?

— Co? co? — zapytali obydwaj, Marek i Ściskała. Ciekawość ich paliła, do czego on zmierza.

— Oto, zaroz... — i jął wyciągać z bocznej kieszeni mały krzyż czarny, potem dwie świeczki, *a* wkońcu grubą książkę.

Tamci patrzyli zdziwieni, co to będzie. Tymczasem Wałoszek wcisnął świece w sypki piarg, do pośrodka wstawił krzyż, rozewrzył książkę i położył pod krzyżem. Potem zapalił świece. Rozstąpiły się nieznacznie mroki, ruchome cienie żółtawe zakołysały się po załomach, rożegnęły się ich źrenice odbiciem świecowych płomyczków.

— Oto przysiągać bydymy... i ty, Marek i ty, Ściekała, i jo z wami, że jak długo dechu w naszych piersiach, nie ustaniemy... Wiecie?

— Wiemy... — szepnął struchlały Ściskała.

— Oto, położżcie palce... dwa od prawej ręki na krzyżu — wyciągnęły się trzy pary palców i wsparły lekko na ramionach krzyża — a teraz dwa palce lewej ręki na tej rozwartej ewanielji świętej... To tak... A teraz, jeśli wasza dobro wola, przysiągejcie, a mówcie za mną... Chcecie przysiągać?

— Na toć chcemy — przyświadczył Marek.

— A ty, Ściskała?

— No, mój Boże, toć chcemy!..

— Boga Ojca i Syna i Ducha Świętego, Amen!.. No, mówcie za mną!,. Jo przysięgóm ci, Panie Boże wszechmogący... że jak długo dechu... w piersiach mi styknie... i powiela sił mi styknie... aż do końca swego życio... że byda swojej mowy polskij bronić... że sie jej nie wyrzekna ani nic... że nie dóm dziecek swoich zniemczyć... że swojej duszy nie zaprzedóm djabłu germańskiemu... i że swoich kolegów bydymy z jego szponów ratować... i że nie spocznymy, aż nasze Szląsko do wolnej kiesi Polski przypadnie... tak mi dopomóż Panie Boże... i święto Panienko Maryjko częstochowsko i wszyscy Święci w niebie, Amen!.. Poczkejcie, kamraci, jeszcze nie wszystko!.. A jeślibych sprawę polską zdradził-., i stół się parszywym Judoszem... niech mnie kora Bosko nie minie... za życio i po śmierci... aż na wieki wieków Amen!.. Boga Ojca i Syna... i Ducha Świętego... Amen!

Nastała głęboka cisza. Ostatnie ich słowa, urywane, szorstkie, kanciaste, zgasły w mrokach. Wszyscy patrzyli nieruchomo w dygocące płomyki świec. Serca ich waliły młotem. Ściskała ocierał ukradkiem czoło z potu, a Marek splunął wbok, bo mu coś w gardle dech zatykało. Prawa dłoń jego, wsparta na kolanie, drżała leciuchno. Po twarzy Wałoszka słały się cienie, wypełniały zapadłe policzki, nadawały jej wyraz tajemniczej grozy, jakiej

człowiek doznaje, gdy zbliska śmierci lub Bogu w oczy patrzy. Zaciśnięte usta i zgarbióny nos wyrażały zaciekły upór, graniczący z obłędem. W oczach palił się zimny, stalowy płomień.

Wyciągnął rękę, by palcami zgnieść światło jednej i drugiej świecy. Powiódł spojrzeniem po swych towarzyszach. Obydwaj siedzieli, jak nieruchome, ciemne głazy.

Wtem rozdarł ciszę piskliwy, przestraszony krzyk Helenki:

— Tatulku!.. Tatulku!.. Sojka tu jest!..

Skoczył na równe nogi Marek, skoczył za nim Wałoszek, i rzucili się w kierunku Helenki. Posłyszeli głośny szelest zsypujących się kamieni po urwistym stoku hałdy, jakaś ciemna postać, straciwszy, widać, równowagę, stoczyła się po piargu, zerwała szybko i rzuciła w ucieczkę. W tejże chwili doskoczył Marek. Runął całym ciężarem na plecy uciekającego, ułapił krzepko za szyję, ścisnął i prasnął gwałtownie o ziemię. Aż jękło. Przydusił kolanem na ziemi i dławiąc ciężką łapą gardło, zawołał:

— Ktoś ty?

— Nie bij! — zakwilił zduszony głos leżącego.

— Mów, pieronie, ktoś ty? — zasyczał Marek zniecierpliwiony.

— Jo... nie bij!,. jo... Sojka...

— A ty Judoszu plugawy, to tyś taki?!.. Szpiegować nas przyszołeś?.. Mosz! — i jął go prać co siły po twarzy. Twardą pięścią łomotał po głowie, po zębach, po nosie, gdzie trafiło. Kuł w zapamiętaniu, a tamten kwilił coraz piskliwiej, zasłaniając się dłońmi. Uderzenia dudniły głucho, gęstniały, spadały gradem, nieoczekiwane, ostre, straszne. Za każdym ciosem dorzucał: — A mosz!.. a za szpiegowani!,, a to za twoje renegactwo!.. a za kuszenie

innych!., a za twój „Wacht am Rhein!"... ty judoszu!.. ty plugawcze... ty pieronie!., a jeszcze!., a jeszcze!..

Sojka już nie kwilił, lecz charczał i dławił się krwią, i stękał głucho... Próżno Wałoszek usiłował oderwać od niego oszalałego Marka. Dopiero, gdy Ściskała nadbiegł i razem uczepili się włosów jego, i szarpnęli raz i drugi, Marek wstał.

— Cóż robisz! Dyć go zabijesz!.. — krzyczał Wałoszek.

— Na nic inszego nie zasłuży, to bydle renegackie! — wykrztusił dyszący Marek i splunął z najwyższą pogardą na gramolącego się na ziemi Sojkę. Kopnął go jeszcze z całej siły, gdy ten na czworaki już się podniósł. Sojka zwalił się zpowrotem. Zakrył teraz głowę w ramiona i tak pozostał, pojękując zcicha.

— No, mosz dość, ty dziadzie pieroński... a leż, aż cię tu wszyscy djabli wezną... —

— Ale trzeba go podnieść — rzekł Wałoszek i nachylił się nad nim.

— Zostaw go! — wrzasnął wściekłym głosem Marek — zostaw go! Nic temu bydlakowi nie bydzie! Nie bójcie się, już się on sóm podniesie!..

— A pódźcie... pokiel niema świadków... — dodał jeszcze.

Uznali słuszność ostatniej uwagi. Wałoszek i Ściskała przyznawali w duchu, że Sojka poniósł należną karę. Współczucie ich jednak ogarnęło, gdy patrzyli na skurczoną postać zbitego wroga, podobną do zmiętoszonego łachmana. Zgasił je w tem okamżeniu mściwy krzyk Marka. Bezwiednie wyczuli zadowolenie w sercach. Dobrze mu — myśleli — to zasłużona kara.

Wałoszek obejrzał się za Helenką. Przerażona wcisnęła się w załom usypiska. Ujął dziewczynę za rękę;

i pociągnął za sobą. Szli szybko, żeby ich kto nie spostrzegł. Helenka drżała. W pewnej chwili wybuchnęła płaczem.

— Co ci jest? — zadziwił się Wałoszek. Wszyscy przystanęli, nachylając się do jej ócz. Zakryła je dłońmi. Szloch wstrząsał jej ciałkiem, a łzy przesączały się przez palce i zwilżały dłoń Wałoszkową.

— Co ci jest, rybeczko? — zapytał zkolei Ściskała zatroskany.

— Wyście., go tak.. Marku., bili!., a., to go., bolało... — rzekła przerywanym, łzami nabrzmiałym głosem.

— No, no, nic mu nie bydzie — uspokajał ją Marek. — Dyć on nie worce, by go ta święto ziemia nosiła...

— A co on robił, gdyś go uwidziała? — zapytał Wałoszek.

— On... tam po czworakach... się smyczył... a dziwo! się na was... tam z wyrchu... a jo go., uwidziała... jak się zaczął... śmioć na głos...

— No, widzisz! Szpiegowoł nas, bestja, a ty go jeszcze lutujesz... — rzekł z ulgą Marek, bo teraz sięi dopiero zastanowił, czy go może niesłusznie skrzywdził, że może ich nie podglądał.

— No, pódźmy, nie stójmy!.. — dorzucił jeszcze.

I poszli.

Gdy ostatni stukot ich kroków rozpłynął się w ciszy, Sojka podniósł się z ziemi, otarł twarz do surduta i sykając z bólu, powlókł się za nimi. Nogi uginały się bezwładnie. Raz wraz wypluwał krew z ust, ocierał się i klął zcicha. Wyglądał strasznie. Opuchłe policzki, rozmazana krew na twarzy, zmiętoszone ubranie i rozwichrzone, skudłacone włosy czyniły go podobnym do poczwary. Oparł się o jakieś zapomniane drzewo. Chwilę coś myślał, potem zapatrzył się w kierunku, gdzie odeszli tamci,

zacisnął pięść, podniósł nad głowę i groził długo. W wysiłek podniesionego ramienia i w skurcz zaciśniętej pięści wkładał całe piekło straszliwej zemsty, co się w nim w tej chwili rozpalała. Z grubych, zsiniałych warg jął spływać świszczący szept:

— Poczkejcie wy... wy polskie świnie!.. Jo się zemszczą!.. I na tej małej dziadówce... choćby do śmierci czakać... ale się zemszczą!.. Poczkej ty „kontesko!”...

VII.

Dla Gustlika rozpoczęło się znowu inne życie.

Książki, o których istnieniu ani przypuszczał, weszły teraz w jego najbliższe otoczenie, cudne, barwne w swej treści, jak tłum strojnych ludzi, co skądsiś zdaleka przyszli, z poza krańców świata, niosący serdeczny gościniec w zanadrzu, roześmiani śmiechem łaskawym, radośni własną mądrością, zasiadający w krąg na prostych, twardych ławach pod ścianą, rozkładający przed jego oczyma niesłychane dziwy, od zamorskich kramarzy kupionych, opowiadający z życzliwem patrzeniem w oczy zdarzenia, jakich jeszcze oko ludzkie jakżyw nie widziało, cisi, dalekim światem pachnący, z gorejącem sercem na dłoni. Przedchodziło ich serce Gustlikowe przede progi, zapraszało do siebie, na wytarte ławy sadzało, pod zdrożone nogi stołeczki stawiało, ciszę wokół czyniło, żeby dobrze było przemiłym gościom u niego. Jego myślenie i czucie przebierało się w szaty odświętne, a wszystko, co tylko dookoła istniało, pięknialo w onej godzinie, słońce jakoby jaśniej świeciło, ludzie stawali się przyjaciółmi, świat cały się odmieniał.

Tamto inne, które dotychczas nędzą jego było i grzechem, i przekleństwem żywota ludzkiego, w cień pło-

chy się zamieniało, co tylko po najtajniejszych kątach się kryje. Nowe światy stanęły przed nim dokorząt rozwarte, dalekie łąki kwieciste, szumiące łany, lasy pachnące żywicą, w których człowiek bez nijakiej przeszkody dowoli błądzić może i gdzie wszystkiem radować się może, jak dziecko kwiatem przydrożnym.

Bywało, kiedy w kopalni, wyczerpany do ostatnich granic, kładł się na drobną chwileczkę pod ścianą, na spongu, pomiędzy rzędem bielejących stempli, a znużenie opuszczało jego kości strudzonej — kiedy przymykał oczy, podkładał szeroko rozłożone ramiona pod głową i słuchał swego serca, co tęskniło w dyszącej piersi, i tłukło się oszalałe wysiłkiem, a krew chrzęściała metalicznym szelestem w głębiach zasłuchanych uszy; to w takiej chwili poczęły się zjawiać w mroku opuszczonych powiek wszystkie rzeczy i sprawy ludzkie, o których mu książki mówiły. Przychodziły wtórnie w obręb jakoby spojrzenia ludzkiego, wypełniały widomemi kształtami głębię podpowiekową, żyły, nasycały wewnętrzną ciszę gwarem przedziwnym rozmów, a Gustlik w to wszystko patrzał i słuchał, podobny w takiej chwili do dziecka, co zabawki na podłodze rozłożyło, a teraz je według woli przestawia, zmienia i życiem tajemnie darzy. Z żalem opuszczał tamte majaki, gdy przyszedł czas, by powstać i pracy nanowo się imać. Lecz w myślach ich nie opuszczał. Radował się, że znów do nich wróci, i radował się, że tamte dziwy cierpliwie zaczekają, a nie odejdą, bo poznał ich wierność i przywiązanie.

Właśnie ta radość oczekiwania powrotu do świata, o którym nikt a nikt nie wiedział i wiedzieć nie będzie, w którym on tylko włodarzyć może bez ograniczenia, — radość powrotu do tamtego świata czyniła mu życie godnem życia. Kiedy wyzuty z ostatek sił z rozpaczą bun-

townika pchał naładowane taczki do gospody i kiedy wszystko w nim gasło, a myśli powlekały się żałobą — uśmiechał się w duchu znienacka, bo sobie przypomniał, że w domu czeka go książka, co go znowu jakoby wodą żywą napoi, za rękę weźmie i w dalekie światy poprowadzi, gdzie o wszystkiem złem i nędznem zapomnieć mu pozwoli.

Matka miała z nim utrapienie.

— Zatracone charboły!.. — skarżyła się zafrasowana przed sąsiadką Zuczkulą — nasmyko mi tych książek do chałupy i nic nie robi, jeny siedzi w nich i siedzi!..

— Na, kiery, moja kurzyczko? — dopytywała się współczująco Zuczkulą.

— Nó, kiery? Mój synek, Gustlik!.. Bo to weznę, a pod blachę wciepię i tela bydzie mioł, pokusa jedna przemierzło!..

— Na, dyć mu nie zabraniejcie tych książek, ni... Miołby się kaj smykać z kamratami, to lepszy, aż nad książkami siedzi...

— Jo też nie prawiem... Ale widzicie, moja Zuczkulo, kiedy myrcha synek, jak przyjdzie ze szychty, to zaroz nos wrazi do książki i już wszystko przepadło. Nie mogę go ani do narąbanio drzewa nagnać, ani żeby mi wody przyniósł, ani nic... Przemierzłe charboły!..

— Hale, hale... — zamawiała Gustlika Zuczkulą — dyć dejcie synkowi trochę spocznąć. Naharuje się to w hawierni, utropi, niech se aspoń nad tą książką spocznie... Już tam nic nie prowcie, Wałoszkulo, ni... Bo jak mu mocno przykożecie, to wóm też i tego drzewa narąbie i wszystko...

— Ale kiedy mi synek może zgłupnąć od tego czytanio! — próbowała jeszcze oponować Wałoszkula.

— Hale, hale... jeszcze żoden z książki nie zgłupnął, jeny zmądrzoł — zamawiała uparcie Zuczkula. — Dziwejcie się na Ramikowego Hajndrycha! Też tak siedzioł w książkach a siedzioł, a dzisio jest inżynierem. Widzicie ?

— Na, baprawieć! — zgadzała się wkońcu Wałoszkula i odtąd już nie patrzyła krzywem okiem na Gustlikowe czytanie.

— Może, że z mojego synka też kiesi cosi wyrośnie. Inżynier — to tam bodej, ale zawsze jakisi lepszy człowiek — pocieszała się, gdy ją serce bolało na widok wypalającej się nafty w lampie.

Zaobyczaj, to tam jeszcze gderała i zapędzała go do łóżka, tłumacząc, że się nie wyśpi; ale od tej chwili, gdy jej Zuczkula, bardzo mądra sąsiadka, tak to wytłumaczyła, nie sprzeciwiała się w tej mierze, jak dawniej.

— Tóż se czytej, synku — mawiała — ale patrzyj też, żeby się wyspać, bo bez jedzenia i bez spanio, to żodnej siły w człowieku niema.

Czasami sama brała którąś z Gustlikowych książek, nakładała na nos okulary, siadała podle okna i próbowała czytać. Dziwiła się, co tyle ciekawego może się w nich mieścić, że Gustlik nieraz nawet o jedzeniu zapomina, a tylko siedzi i siedzi, zapatrzony w stronice z szelestem przewracane. Ponieważ wzrok już nie dopisywał, podnosiła ją wysoko ku oczom i, wymawiając czytane słowa szeptem, doszukiwała się w nich z mozołem zaciekawiającego zrozumienia. No i zczasem również w nich zasmakowała.

Wprawdzie niewiele miała czasu na mitrężenie go przy książce, boć robota zawsze ją piliła. Było jej żal każdej chwilki wolnej. Zato w niedzielę po południu, gdy była wszędy cisza, a po drogach przechadzali się ludzie,

rozmawiający o swem żywobyciu i jego sprawach, siadała wygodnie w szerokiem krześle z poręczami, nogi wspierała na małym stołeczku i czytała.

— Dobre to czytanie — przekonywała się z ukontentowaniem — człowiek se odpocznie po robocie, jak się patrzy, dowie się pięknych historyj, czasem se popłacze i dycki lżej sercu, bo o wszelkiej zgryzocie łacno zapomni, i wszystko...

I to też stale przykazywała synkowi, kiedy się wybierał do bibljoteki po książki, by przyniósł jej także taką, co ma grube a wielkie litery, i z obrazkami. Gustlik przynosił.

— Wiesz, synku — mawiała — o wojnach i o królach to mi tam nie przynoś. Tego to jo bardzo nie rada czytom. Człowiek mo dość wojny i nieszczęścio we swojem żywobyciu, to nie chcę o nich czytać. Ale wiesz, takie jakie piekne historje o sierotach lebo o czarownicach, lebo żebyś tak kiedy mógł dostać o Meluzynie albo o Ondraszku, tobych była rada. To jest bardzo piekne czytanie...

I zawsze mu wtedy mówiła, jakto kiedyś w dziewczęcych latach czytała o „Robercie Djable”, o „Jaskini Beatusa", o „Meluzynie", a najpiękniejszą z nich o zbójniku śląskim Ondraszku. Tę o zbójniku Ondraszku, toby jeszcze raz chciała czytać. O Meluzynie też. Spłakała się wtedy nad jej losem nieszczęsnym — mawiała — i kiedy tylko jął wiater zawodzić w kominie, powiadała, że to Meluzyna płacze, co teraz we świecie błądzi i na swą dolę sierocą narzeka.

— Ja... to były kiesi piekne książki... Ale teraz? No, teraz to też są piekne książki — dodawała po chwili — ale tamte były jednak piękniejsze. Teraz, to najwięcej piszą jeny o takiem głupiem miłowaniu, a co mnie tam,

starą babę, obchodzi, jak się tam ludzie miłowali? Teraz, to robią w książkach tela kumedyj z tem miłowaniem, a downij, to tego nie było. Synek przyszoł ku dziousze i jak sie mu zapodobała, prawił jej: Ty, Hanka, czy Francka, czy jak jej tam było, przajesz mi? A ona prawiła: Przaję ci, Janiczku, czy jako mu tam było. Tóż to my sie weź, prawił synek i już było po wszystkiem; teraz, to tam tela okoracyj[32]) koło tego wszystkiego, że aż na dziwy. Ona nie chce, a on chce, potem zaś ona chce a on nie chce, i tak cięgiem dokoła.

— Jo też tak z moim starym — ciągnęła dalej. — Pasłach gęsi na miedzy, a przyszoł ku mnie twój ojciec, Boże mu tam dej radość wieczną, przyniósł mi serce z piernika, co na odpuście za czeski kupił, i prawi se: Ty, Marjanna, przajesz mi? Toć ci przaję, synku, prawiłach. Tóż tu mosz serce — powiado — coch ci na odpuście kupił. A kiedy zrobiemy wiesieli? — pyto sie jeszcze. A jo powiadom: — Na jo ci nie wiem, synku, bo mamulka mnie nie bydą chcieli wydać, bo prawiom, żech jest młodo i żeby nimioł kiery gęsi paść, ani nic. Nie starej sie — powiado twój ojciec na to — zójdym ze starym Kaszubą — Boże mu tam dej radość wieczną, bo już downo pod dornikiem — powiado — przyjdę ze starym Kaszubą do twoich ojców na zmowy, dorządzymy się wszystko pieknie, co a jak, i zbyte. No i takie było nasze miłowani. A teraz?

— A to był już drugi galan[33]). Bo z tym pierwszym, nazywoł się Gajdzica, to było tak. Byli my społem na odpuście w Rychułdzie i też mi kupił serce. A jo, głupio dzioucha, szłażech poprzódź i sercech ogryzała. A nie

[32]) okoracja — zachody.
[33]) galan — narzeczony.

wiedziałach, że to nie Iza tak robić. A on to spozorowoł, że móm pełną gębę piernika i prawi se: — Nale, lo Krysta świętego, dzioucho, czemu jesz to serce? Dyćżeś se to miała schować, a nie jeść!.. To teraz my się nie pobieremy!.. I też tak sie stało. Jakosi za porę dni zaś przyszoł ku mnie na miedzę. Ale jo już przedtem dowiedziałach sie, że on mo Zuzke Kopoczkową, że z nią chodzuje ku muzyce i wszystko. Prawiłach mu: — Nie chcę cie, bo ty mosz chudą Zuzę!.. No i skończyło się i było po miłowaniu.

Owo nawiązywanie matczynych przeżyć miłosnych do treści książek wydawało sięi Gustlikowi śmiesznem. Słuchał jednak chętnie tamtych opowiadań i sam nieraz prosił, by mu jeszcze o czemś mówiła. A słuchając, śmiał się w duchu, nieznacznie, bo czyniło to wrażenie, jakby patrzał na proste, niezdarnie malowane kwiaty o naiwnych kształtach, które można było widzieć na tej trówle[34]), co na strychu pod dachem stoi. Kwiaty były żółte i błękitne, i czerwone, na długich, chudych, modrych łodygach, wyrastające z kulistych doniczek. Matka twierdziła, że to było śliczne, lecz Gustlik nie wierzył. On już widział ładniejsze kwiaty u Kubienki, wymalowane przeróżnemi barwami na papierze i ujęte w wąskie, owalne ramki.

To miłowanie, o jakiem mówiły mu książki, było do tamtych drugich kwiatów podobne.

Dopóki nie poznał Bronki, każdą postać dziewczęcą, występującą w książce, upodobniał do owych dziewczyn „pańskich", które przy kościele widywał, a których widok wzbudzał w nim tyle tajemnych, radosnych, nienazwanych wzruszeń. Teraz Bronka zajęła ich miejsce. W krótkiej sukience, o czarnych rozwichrzonych włosach, z czerwoną kokardą. I dobrze mu z tem było. W miejsce

---

[34]) trówła — skrzynia na ubranie.

zaś bohatera powieści siebie samego podstawiał. Przeżywał wówczas przesłodkie złudzenie, że tamte wszystkie cudne słowa, które sobie nawzajem prawią, i te wszystkie uśmiechy, i spojrzenia, i tęsknoty, że on to wszystko już sam kiedyś przeżywał, a książka mu tylko o tem przypomina, jak dobry, życzliwy przyjaciel.

Z Bronką spotykał się teraz często. W każdą niedzielę. Śpieszył się, by rychło otrzymać książki, a potem stał przed sienią i czekał na nią cierpliwie. Nadchodziła, jak zawsze, ze śmiechem, ze skierkami w oczach, zawsze z tą czerwoną wstęgą we włosach. Pod pachą niosła książki.

— Serwus, Bronka!.. — witał ją zdaleka i podawał dłoń, jak to widywał u starszych ludzi. Bronka odpowiadała mu szczebiotliwym śmiechem, i jęła się wypytywać, jakie książki otrzymał. Oglądała je z miną znawcy. Kręciła noskiem nad każdym tytułem, odymała pogardliwie drobne usta i wyrażała się z pewnem lekceważeniem o jego zdolnościach w zakresie wyszukiwania ładnych książek.

— Ty też wszystko bierzesz, co ci Tomosz poda — gderała z naiwną powagą. — Co do mnie, to jo se sama wychleduję[35]) książki.

— A pozwoli ci?

— Ha, pytałachby się? A zresztą, on mnie mo rod — dodała z filuternym uśmieszkiem — to mi pozwoli grzebać w olmarji[36]) między książkami.

Stanęła przed wielką szybą wystawową i w odbiciu jej poprawiła włosy i kokardę. Potem zniknęła w ciemnej sieni. Gustlik czekał na jej powrót. Korciło go tylko, dla-

---

[35]) chledać — szukać.

[36]) olmarja — szafa.

czego Tomosz pozwala jej samej grzebać w szafie, a jemu nie. Zdarzyło się jednak pewnego razu, że Bronka wpadła do sali akurat w tej chwili, gdy Gustlik zabierał się już do odejścia. Postanowił na nią zaczekać i przypatrzeć się, jakto będzie w szafie sama szukała i co na to powie Tomosz.

Tomosz jął się z nią przekomarzać, nazywając ją raz kozą, drugi raz sroczką, a Bronka chichotała i szczebiotała, przechylając główkę i zerkając zalotnie w Tomoszowe siwe oczy. Istotnie, pozwolił jej przerzucać książki. Lecz gdy je miał zapisać, przejrzał je co do jednej, połowę włożył do szafy i wyszukał inne. Bronka nie sprzeciwiała się.

Wracając do domu, jął się śmiać. Chciał jej powiedzieć, że to cygaństwo, co do owego szukania książek w szafie.

— Widzisz, ty sroczko!.. — zaczął ze śmiechem, powtarzając wyrażenie Tomosza.

— Ty!,. — oburzyła się niespodziewanie Bronka — ty, wiesz? Jo nima żodna sroczka! Wiesz? Toś ty jest gawron, wiesz? — Ty głupi!.. — i pobiegła do domu.

Gustlik zdziwił się.

— Na, toć strzelono dzioucha!.. — pomyślał głośno. — Strasznie upchliwo[37]), jak nie wiem co. — I przykro mu zabyło, boć przecież nie chciał jej obrazić.

Na drugą niedzielę dąsała się jeszcze trochę, ale już niewiele. Po drodze znowu oglądali książki. Znienacka zapytała:

— A jużeś czytoł „Krzyżaków"?

— Ni.

---

[37]) upchliwy — wrażliwy, skory do obrazy.

— No, toś ty nic jeszcze nie czytoł. „Krzyżaków” czytej! To jest dopiero śliczna książka! Ale te drugie, och Boże!

Następnej niedzieli Gustlik poprosił Tomosza o „Krzyżaków". Otrzymał. Uradowany stanął jak zwykle przed sienią, by zaczekać na Bronkę, a tymczasem przeglądał książkę.

— Aha, to o wojnach — mruczał, przerzucając oczyma kartki. — No to bydzie piekne. Aha, i to bydzie cosikej o Śląsku!

Znalazł bowiem miejsce, gdzie Danuśka na ławie stojąca, w gospodzie, śpiewa, a rybałci jej wtórują. Jeden na gęślikach, drugi na dużej lutni.

„Gdybym ci ja miała
Skrzydełka jak gąska,
Poleciałaby ja
Za Jaśkiem do Śląska!“

— Dzisz — zacudował się rozpromieniony — o naszym Śląsku śpiwo. A jeszcze tak pieknie. A tu niżej jeszcze — i czytał drugi wiersz:

„Usiadłaby ci ja
Na śląskowskim płocie:
Przypatrz się, Jasiulku,
Ubogiej sierocie.“

— Wiecie? Jednak mnie ta Bronka nie ocyganiła! — radował się. — I o Śląsku tu bydzie i o sierocie ubogiej! Nale wiecie ludzie? To się i mamulce będzie podobało, bo ona tylko o sierotach lubi czytać...

I taka go radość ogarnęła, że zdawało się, iż nie strzyma, lecz popędzi do domu, nie czekając Bronki. Przemógł się jednak. Toć i Bronce powie o swojem uradowaniu. A widać, ona już tę książkę czytała. Gruba, bo gruba, hej!.. A kiedy Bronka powiedziała, że to śliczna

książka, no to będzie naprawdę śliczna, Żeby już też ta Bronka przyszła!

Przyszła. Ledwie ją ujrzał, a jeszcze była daleko, zerwał się i pobiegł naprzeciwko,

— Ty, Bronka!,. Móm „Krzyżaków"! Móm „Krzyżaków"! — wołał i pokazywał książkę zdaleka.

— Mosz? No to dobrze, A nie krzycz tak, bo się ludzie oglądają... Widzisz? A poczekasz na mnie?

— Poczekam, Broneczko, jeny się śpichej!.,[38])

Bronka zniknęła znowu w sieni a Gustlik, oparty o ściany, czytał na wyrywki. To tu, to tam, gdzie trafiło. Przebiegł szybko kilka rządków, przeskoczył szczyptę stronic, przeleciał oczyma garść liter, chwileczkę się zamyślił i znów na nowo. A w sercu radość w nim gorzała jak w wieczór wigilijny, kiedy przez cały dzień napościł się do obmierzłości, a potem za stołem siednie, a na stole, na calutkim stole dymią się smakowicie miski i talerze i rynienki pełne przeróżnego, a dobrego jadła. Tu liźnie palcem, tam liźnie palcem, a nie je, tylko ślinkę łyka i czeka, skoro matka usiędzie, skoro swój czas przyjdzie.

Nareszcie Bronka wybiegła. Nie zauważył jej, bo tak bardzo był zaczytany. Dziewczyna przysunęła się na palcach do niego i jednem szybkiem uderzeniem piąstką podbiła mu książkę od dołu. Książka wyleciała z rozwartych dłoni i prasła o jego twarz. Na szczęście złapał ją, zanim upadła do pyłu. Szkodaby jej było, takiej ładnej książki.

Bronka zadzwoniła szelmowskim śmiechem, i w ucieczkę!..

---

[38]) śpichać — śpieszyć.

— Chytej mię!.. Chytej mię!.. — zawołała jeszcze, przebiegła koło płotu na miedzę i jęła zmykać między zbożem. Roztrącana kolanami sukienka odkryła wysoko jej smukłe nogi, szumiała barwnym wichrem, pęd rozwichrzył czuprynkę poza głową, a ona, nachylona mocno wprzód, leciała szybciuchno, że jeno ta czerwona kokarda czerwoną smugą w oczach Gustlikowych płynęła.

— Chytej mię! — zawołała znowu i zaniosła się śmiechem. Gustlik szybko się połapał. Bronka ucieka miedzą. Zanim dobiegnie na jej drugi koniec, on może jej drogę przeciąć. Wpadnie w zboże. Grzech to wielki, a jeżeli kto zobaczy, skrzyczy go i spieronuje. Ale to nic. Bronkę musi złapać. Przedbiegnie wskos jej drogę, a z drugiej strony przedbieży i Bronkę złapie. Miedza i tak skręca w jego kierunku. Wielkie półkole zakreśla.

Chwycił książki mocno w jedną garść i pobiegł. Zawrócił na prawo, skoczył za łan, chwilę biegł równolegle do pszennej ściany, potem dał nura w zboże. Nachylił się, wystawił ramiona przed siebie, jakto zwykł czynić pod wodą i jął roztrącać gęste fale zboża. Zboże szeleściło, jak sto set małych dzwonków szklanych. Kłosy biły go po oczach, łaskotały po szyi, dziobały po twarzy. Nie zważał na to. Ściana jęła się przerzedzać. Przystanął na chwilę. Z boku doleciał go zanoszący się, zdyszany już śmiech Bronki i szelest jej sukienki. Widać, była pewna, że Gustlik za nią biegnie. Półkolista miedza okrążała wielkim łukiem łan, w którym Gustlik myszkował. Nie mogła więc wiedzieć, czy naprawdę za nią biegnie, bo wysoka, kłosista ściana zakrywała jej oczom widok. Ale przypuszczała, że biegnie. Bo jakżeby inaczej.

Gustlik popędził teraz bruzdą na skraj łanu, stanął za jego rogiem, przyczaił się i czekał. Nie długo czekał. Szu!., szu!., szu!., szeleściła krótka sukienka Bronczyna,

rozbijana chybkiemi kolanami. Coraz bliżej... coraz bliżej... Jeszcze kilka kroków... jeszcze... już!..

Skoczył na równe nogi, rozciągnął ramiona, a w tym okamigu prasła na niego Bronka. W ostatniem spojrzeniu dojrzał jej wpółotwarte usta czerwone i drobny kształt piersi pod bluzką.

— Jej!.. — pisnęła przerażona i zanim się spostrzegła, co to się dzieje, Gustlik ułapił ją mocno, przygarnął co siły do siebie. Równocześnie książki, wypuszczone z dłoni Gustlikowej i Bronczynej, wyleciały wysoko w górę, zakreśliły rozczapierzony łuk nad ich głowami i spadły z szelestem w zboże. I w tejże samej chwili Gustlik runął na trawę, zwalony ciężarem napierającego ciała dziewczyny. Ułapił ją jeszcze mocniej, splótł ramiona na jej plecach, a Bronka, czepiając się bezwiednie jakiegoś punktu oparcia, zarzuciła mu kurczowo ramiona na szyję, i tak złączeni, potoczyli się daleko w trawie.

Pierwsza zerwała się Bronka. Podciągnęła szybko sukienkę, chwilkę mrugała powiekami, a potem, spojrzawszy na Gustlika, siedzącego jeszcze na miedzy, uderzyła w jasny, długi, perlisty śmiech. Klaskała w dłonie, przechylała się do tyłu i śmiała się, i śmiała...

— Dzisz! Chycíłech cię!.. — wykrztusił Gustlik, zarażając się jej śmiechem.

Chwilę takie dziwy radosne wyprawiali na miedzy, podobni do Wróblików pociesznych, co znienacka czemś radosnem obłąkane zataczają się na drodze, skrzydełkami biją po bokach i zanoszą się roztrzęsionem ciurlikaniem.

A gdy ich radość śmiejąca jęła się powoli uciszać, gdy jeszcze od czasu do czasu ostatek śmiechu zrywał się, podleciał nieco i zaraz, zmęczony już i zdyszany, opadał zpowrotem, Bronka usiadła na trawie, i jęła oczy wycierać piąstką. Nasypało się w źrenice drobnych łezek, że

aż na dziwy. I aż nogi zabolały od takiego śmiechu i w żołądku też. Usiadła więc na trawie, podwinęła nogi pod siebie i patrzała na Gustlika, który się rozglądał za książkami.

— Ty, Bronka, a kaj są nasze książki?

— Jej kandy!.. A moja wstążka? — i ułapiła się za włosy, szukając próżno zgubionej kokardy.

— Pódź, bydziemy przody książki chledać...

— Ni! moją wstążkę!.. Jej, dostałachby od mamulki, jakbych ją straciła!.. Pomóż mi ją chledać[39]).

Poszli i znaleźli. Zdaleka już można ją było dojrzeć. Na miedzy leżała, zaraz skraja.

— A teraz bydziemy książki chledać, Bronka, wiesz?

— Tóź chledejmy!..

Gustlik wszedł pierwszy w zboże, próbując odgadnąć kierunek, gdzie mogły polecieć. Za nim utonęła w zbożu Bronka. Gustlik kluczył, nawracał, zachodził, tarmosząc długie źdźbła, a Bronka postępowała za nim, radując się nowej zabawie. Zawsze pragnęła błądzić w zbożu. Lecz bała się, bardzo się bała. Teraz, gdy idzie za Gustlikiem, niczego się nie boi.

— Tu jest! — zawołał uradowany chłopiec, podnosząc jedną z książek.

— A oto też! — wskazała Bronka w bok na bielejące się kartki rozwartych „Krzyżaków".

Gustlik podniósł. Znaleźli jeszcze dwie. Dwa tomy „Krzyżaków" Gustlikowych, a z Bronczynych książek także dwie.

— Wielaś miała książek? — zapytał.

— Trzy.

---

[30]) chledać — szukać.

— Piernika, kaj też może być ta trzecio? — zafrasował się Gustlik. — Chledejmy dalej.

I nachylili się obydwaj głęboko, rozgarniali rękoma gęstwę zboża, ostrożnie, powoli, by nie przeoczyć zguby, znowu kołowali, wracali, zapuszczali spojrzenia, jak daleko mogli — a książki jak niema tak niema...

Przeszli jeden zagon, przeszli drugi, na trzeci już dochodzili, gdy nagle dziewczyna krzyknęła:

— Tam leży!.. Widzisz ją? — i, nachylona nisko, wskazywała palcem. Gustlik spojrzał. Istotnie. Rozewrzyła się szeroko i wypiętym grzbietem zagarnęła pod siebie garść splątanych ździebeł. Aż na czwartym zagonie. Poszli do niej.

Obok dojrzeli niewielki, pusty trawnik. Kilka chudych ździebełek sterczało z niego. Widać, albo w czasie zimy mrozy wytępiły nieośnieżone wątłe jeszcze ździebełka, albo też było to maleńkie ugorzysko, gdzie się pojedyńcze ziarenka w czasie siejby zabłąkały i teraz, jak mogły, tak rosły.

— Siednijmy se tu... — zawołała Bronka. — Jej! tu bydzie pieknie!..

Usiedli.

Chwilę wodzili wzrokiem po rozkołysanych, szumiących gęstych ścianach zboża, zamykających ich w krąg przed ludzkiem spojrzeniem. Ponad nimi jaśniał przeczysty błękit, niewidoczne skowronki dzwoniły w jego głębi, a słońce łuszczyło się na kłosach i na źdźbłach w długie miękkie, złociste drzazgi, zdawało się, że przesypuje drobny pył złotawy z kłosa na kłos, a pył ten chrzęści suchym, szklanym podźwiękiem, jak drobne, drobniuchne perełki, sypane z dłoni do dłoni.

Ciepły, pachnący bławatkami i kąkolem wiatr plątał się po wierzchołkach kłosów, zgarniał je leciuchną

dłonią w szerokie fale, do ziemi naginał, że tamtym dwom dzieciakom zdawało się, iż zboże to żyje, a teraz zobaczyło je u siebie, i coś im szemrze po swojemu i kłosami, niby głowami, przytakuje, i nachyla się i w oczy zagląda, i bez przerwy śmieje się z ich kłopotów i radości szemrzącym szumem szklanym.

Soczysta, słonecznem ciepłem nasycona wilgoć leżała w obrębie ich drobnej polanki. Pobok krzyczały koniki polne. Ukryte między źdźbłami, przykucnięte na przydługich, suchych nóżkach, grały zawzięcie swoje cudaczne melodje, szczerkały szybkim, jednostajnym, wysokim tonem. Jakby ktoś na cienkim, wyciągniętym druciku chropowatym patyczkiem bez przerwy rzępolił. Aż w uszach zalegało.

— Pieknie tu!.. — rzekła po chwilce Bronka, zasłuchana w drobne głosy maleńkiego uroczyska zbożowego.

— Pieknie... — potwierdził Gustlik.

Ponad nimi, wysoko, niosły się ściszone głosy ludzkie, dalekie, stłumione pokrzyki lokomotyw, głuche, osłabione do reszty dudnienie dyszącej pary, mrący, skowyt jakiegoś tłumu kół żelaznych, co z wysiłkiem ciężary przeogromne wlokły gdziesik żmudnie, i terkotliwe gdakanie kury.

— Aha! wajce[40]) zniosła! — zauważył Gustlik.

— Kto?

— Na, kura Schramkowa. Nie słyszysz, jak wrzeszczy?

— Toć... — przytaknęła Bronka.

I znów zamilkli. Gustlik położył się nawznak, splótł ramiona pod głową i zamyślił się. Czuł przy sobie obec-

---

[40]) wajce — jajo.

ność dziewczyny i jakoś słodko czyniło mu się na sercu. Przypomniał sobie, jakto zawsze marzył, by tak legnąć kiedyś na zapomnianej miedzy, podobnie jak dzisiaj, i zapomnieć o wszystkiem, co zgryzotę i znużenie przynosi. Dobrze mu było.

Bronka, leżąca obok, wsparta na łokciu, rwała w zamyśleniu trawki, gryzła drobnemi ząbkami i wypluwała.

Obydwoje zapomnieli o czasie. Uciszyli się w sobie, nie wiedzący o niczem, co poza koliskiem szemrzącej ściany zbożowej może się dziać. Słodkość mocnego zapachu traw i zboża, oraz ciepła cisza słoneczna, zawieszona wysoko w błękitach, nasyciła ich serca gęstym, przesłodkim miodem.

W pewnej chwili Gustlik odwrócił nieco głowę i jął patrzeć na dziewczynę. Siedziała nadal zamyślona, jakby zapatrzona w siebie. Z pod długich, ciemnych rzęs kładły się na jej oczy leciuchne cienie, jeden policzek, oświetlony z boku zabłąkanem światłem słonecznem, różowił się płatkiem róży, kokarda we włosach gorzała żywą purpurą, a drobne, wdzięczne ciałko, przegięte w falistą linję, syciło powietrze zapachem kwitnącej lipy. Oczy Gustlika spływały po dziewczynie, po każdej linji, po subtelnych kształtach jej drobnych piersi, unoszących się leciuchno za każdym oddechem, jak mgiełka nad stawem w cichą noc letnią, spojrzenia jego obejmowały w radosnem zdziwieniu obecność jej ciała, brały w siebie z nabożnym lękiem jego przedziwną urodę, zamieniały w jakieś wonne westchnienia, idące z głębin chłopięcego serca.

Wzrok jego zeszedł cichaczem na jej nogi. Podwinięte, w cienkich pończochach, odsłonięte ponad kolana, prześwietlały pajęczą tkaninę drażniącym kolorem nagiej skóry. W tejże chwili wyczuł, że oczy jego przesłania

rozwiewna mgiełka różowa, a serce jego wypełnia się nieznaną dotychczas radosną trwogą.

Wtem wszystko w nim znienacka jakby przygasło. Ujrzał na jej nodze małą biedronkę. Uśmiechnął się, bo to było ogromnie śmieszne. Mała, pękata, nakrapiana, zdawała się drzemać. Nie!., nie drzemie, bo teraz wysunęła pomięte, czarne, przejrzyste skrzydełka, chwilkę je rozpościerała, szeroko rozciągła, zdawała się już... już... ulecieć! Nie. Namyśliła się. Skrzydełka znowu zwinęła w małe zawiniątka i schowała pod czerwone pokrywki grzbietowe. Roześmiał się teraz w głos.

— Co się śmiejesz? — zbudziła się z zamyślenia Bronka, patrząc zdziwiona na chłopca.

— Podziwej się! Biedronka cię użere! — chichotał, wskazując na jej nogę.

— Jej! — krzyknęła strwożona, lecz potem wybuchła śmiechem.

Biedronka, widać również przestraszona gwałtownym ruchem nogi, jęła szybko biec w górę. Patrzyli na nią ciekawie, prychając śmiechem. Biedronka dobiegła na kolano. Zawahała się, bo natrafiła na jakąś zdradliwą spadzistość. Chwilkę zdawała się śledzić drogę, czy nic jej nie grozi. Potem, snadź uspokojona, pobieżała dalej. Sięgała już sukienki. Bronka lekko sukienkę odsunęła, by dalej obserwować miluchnego wędrownika. Lecz nagle się spostrzegła. Zarumieniła się.

— Tam już nie chodź! — rzekła. Ujęła w palce biedronkę, a sukienkę podciągnęła na kolana.

Trzymała ją teraz na dłoni. Obydwoje nachylili głowy. Włosy dziewczyny muskały policzek Gustlika. Chcąc je odgarnąć, spojrzał w ich kierunku. Wtem jego wzrok zabłąkał się w głębię odchylonej bluzki. Ujrzał dwa

małe pąki dziewczęcych piersi. One to pachniały rozkwitłą lipą. Tak mu się zdawało.

Bronka chciała coś powiedzieć. Podniosła wzrok na niego i ujrzała, gdzie patrzy. Zasłoniła szybko odchylenie bluzki i krzyknęła z gniewem:

— Ty!., kaj się tam dziwosz?

Lecz na Gustlika uderzyły ognie. Zanim zmiarkowała, co czyni, chwycił ją w ramiona, przechylił ku sobie i ucałował w ciepłe, wilgotne, miękkie usta.

— Ty!.. — wykrztusiła Bronka i trzasnęła go dłonią w twarz. Zerwała się szybko.

— Ty!., ty... ty se twoją mamulke pocałuj, nie mnie, wiesz? Ty, djabli złodzieju!., Dziwejmy się!., on mie tu bydzie całować!., brzydok jeden!.. — i pokazała mu język. Potem wpadła w zboże i uciekła.

Gustlik chwilę stał oszołomiony, a gdy się ocknął, już ucichł gwałtowny szelest roztrącanych kłosów.

Pozbierał leżące książki, swoje i Bronczyne, i wyszedł na miedzę. Poszukał oczyma dziewczyny. Biegła ku domowi. Na drodze obejrzała się, pokazała mu jeszcze raz język, pogroziła i poleciała dalej.

Gustlik patrzał za nią z żalem.

— Pocóż ucieko? — myślał — pocóż ucieko?..

Toć przecież chciał pochwalić się jeszcze, że w niedzielę, za tydzień, pójdzie na odpust do Ligoty na Górnym Śląsku, że jej tam coś kupi, serce duże z piernika lebo co... Chciał jeszcze omówić „Krzyżaków", dowiedzieć się wszystko dokumentnie od niej, a ona uciekła!.. I do tego swoje książki mu jeszcze zostawiła!.. Cóż teraz z niemi uczyni? Wypada mu je zanieść do mieszkania Bronki...

Poszedł za nią.

Nie wiedzieć, czy Bronka spodziewała się, że za nią przyjdzie, czy co — bo czekała za płotem. Stała oparta

o sztachety, zadąsana mocno i skubała trawkę w palcach. A raz wraz spozierała nieznacznie z boku na niego, lecz tak nieznacznie, żeby nikt nie był ani przypuścił, że to naprawdę ciekawa zmartwienia chłopcowego.

— Tóż cóż stoisz? — zniecierpliwiła się wkońcu dziewczyna. — Stanął przy płocie i stoi, jak barani.. — i spojrzała na niego jakoby srodze zagniewana.

— Ty, Bronka... jo się na ciebie wysmolę — wypalił jej Gustlik, urażony do żywego jej docinkiem. — Tu mosz swoje charboły, a z Panem Bogiem, ty kozo!.. — położył książki na palu, zawrócił i poszedł.

Wtedy w Bronczynych oczach ukazały się dwie drobne łezki. Wzięła książki i z opuszczoną głową poszła do domu.

VIII.

Poruszenie było teraz wielkie w kopalniach i hutach ligockich. Zakotłowało w ogromnej gromadzie robotniczej, wszędy, po gospodach w kopalni, pod szybem, w hutach przy pracy, w domach, wszędzie, gdzie tylko człowiek jednakowo czujące serce napotkał. Zahuczało w czarnym tłumie roboczym, jakoby w tym ulu, gdy w nim radość zagości, kiedy pszczeli lud wieść dojdzie, że z za dziewiątej góry wiosna już nadchodzi.

Ostatnie wybory do sejmu pruskiego i ich zwycięski wynik, sromotna porażka Langhorsta i nielicznej, lecz butnej a zacietrzewionej falangi urzędników i „pańskich pieseczków" — jak nazywano pogardliwie kilkunastu lizusów i renegatów, rekrutujących się z pomiędzy robotników, — pieniąca się a bezsilna ich wściekłość, wszystko to napełniało otuchą zgorzkniałe serca, rozpalało nadzieje, pod niebo wynosiło.

Brać robotnicza rozpamiętywała niedawne chwile triumfu, krzepiła się nawzajem do dalszej walki, o której wiedziano, że będzie nieubłagana, nie przebierająca w środkach.

Sposobiono się do niej, jak każdy człowiek, co osaczony ze wszech stron nacierającym przeciwnikiem, poraził go na chwilę, a teraz wie, że niezadługo znowu runie na niego. Popluwa wtedy w dłonie, ujmuje krzepciej twarde, dębowe stylisko kijany, patrzy czujnie, zbiera siły w gromadę, stopy szerzej rozstawia, pieronuje głośno i czeka... I czeka... A w myślach zakreśla już każdy ruch wytężonego ramienia, ocenia zgóry skutek ciężkiego uderzenia, przewiduje skrzętnie sposoby osłonięcia się przed zdradzieckiem pchnięciem, a oczy mu łyskają zimnym ogniem, brwi zbiegają w nastraszoną skibę, a w sercu bucha płomieniami zaciekłość.

Na drogach, w domach, przy pracy mawiali do siebie:

— Co nóm mogą, pieroni, zrobić?.. Nic!.. Dziecka nóm bydą bili we szkole za to, że nie chcą po niemiecku szwandrosić, ale to nic!.. Dóm synkowi, dziousze kiery czeski, kupią bonbonów. Przykoża jako ojciec, a powiem: — Farona! to ci pedóm, Gustlik czy ty Maryna, aż sie nie dosz „szmajstrowi"[41]) bałamucić!.. Jak ci bydzie na Poloków przezywać, to se pomyśl, że to ci german mówi, a nie wierz mu, bo bestyja cygani. Za to mo płacone „Ostmarkenzulagi”, żeby nas, Poloków, przed dzieckami błotem mazać!.. Tak powiem dzieckom!.. A doma bydymy i tak po polsku czytali, a dziecka uczyli, żeby nie zapomnieli, jak się pacierz po naszemu rzeko. Toć i Pónbóg, a po polsku też umie, no ni?.. A na polsko religja poszła, do księżoszka naszego, choćby tamtych djabli brali!..

---

[41]) Szmajster — Schulmeister, kierownik szkoły.

— A bydom nom na przeciwność robili, nie pozwolą grać polskiego przedstawienio w gospodzie, to nic!.. W stodole odegrómy przedstawienie fajne, aż się ludzie pobeczą, a mój Hanys a Francek też musi grać i wszystko!.. A grać bydymy!.. Choćby w stodole!.. A kożą sztraf płacić, zapłacę... Ale kiesi im to z hyrtonia wydusza i te pieniądze naspadek. A jednak się nie domy!..

— A pieśniczki polskie o Kościuszce i o Polsce i tak byda śpiewać!.. Na złość, pieronom, ale byda śpiewać!.. Jak już nikaj indzi, to aspoń w chałupie z moją babą i dzieckami. Ale byda śpiewać!.,

— A zabierą nóm z zorobku, a jak przyjdzie geldtag, a jo byda rachować na dłoni marki, a narachuja się roz i drugi mało, zrobiemy rebelja. Tako pierońska rebelja!.. Zastrejkujemy, jak drut, a choćby pruskie wojoki przyszły i do biednego norodu strzylały, to nic!.. My też bydymy strzelać. Ale nie dómy się!.. A nie do się to terazykej zrobić, to kiesi nieskorzy! Ho, ho!., przyjdzie czas na tych pasibrzuchów germańskich!..

— O! przyjdzie!..

— A nie dómv się!..

— Ni!..

Bywały okresy, dawniej, że tamte wszystkie uczucia przygasały pozornie. Stawały się wtedy podobne do tlejącego zarzewia pod stygnącym popiołem. Lecz najmniejsze zdarzenie jakieś, które krzywdą było, przemieniało się jakoby w wielki, czarny wicher, który z nieprzejrzanej nocy przybiega, tamten popiół szary precz zwiewa, rozjarza żary ukryte, rozdmuchuje, że płomienie ogromne strzelają w tem okamżeniu pod niebo i pożary straszne rozpalają się w sercach ludzkich. W pożodze tej spalały się wszelkie uczucia, któreby miały jakąś wspólnotę z boskiem przykazaniem przebaczania wrogom.

Nie było na nie miejsca w sercach ciemiężonego Ślązaka. I wcześniej czy później — wiedzieli wszyscy — przyjdzie czas odwetu, a wtedy biada tym wszystkim, którzy tę nienawiść nieopatrznie dla siebie siali!..

Teraz, po zwycięstwie, przysposabiali się do nowej walki. Wiedzieli, że walka będzie nierówna, że ulegną, lecz wiedzieli i to, że ich nie złamie. Najwyżej do ziemi zegnie. Jak wichura, kiedy znienacka w twardy, krzepki bór wpadnie. Nachyli się las nisko do ziemi, zaskrzypi konarami jakoby z bólu, gdziesik tam jedno i drugie drzewo runie na ziemię rozwalone, lecz bór jednak się ostanie. Setki burz mogą przejść, a bór jednak ostanie!..

Władze wytoczyły śledztwo ligockiemu proboszczowi za tamto kazanie. Znaleźli się Judasze, co donieśli wszystko. Podejrzywano: albo to był kierownik-renegat, albo Sojka, albo też obydwaj razem. A może i kto inny, ale któż to mógł wiedzieć?

Takiego kazania, to jeszcze nikt nie wygłosił, jak Ligota Ligotą. Inni księża, toby może się bali. Lecz starowina księżoszek nie polękał się. Zato Niemcy bardzo się polękali.

W prasie niemieckiej uderzono na alarm. Udowadniano, że to zdrada stanu. Krzyczano i domagano się surowej kary. Towarzystwa niemieckie uchwalały rezolucje, pełne świętego oburzenia na bezczelność „polskiego klechy" — jak go Niemcy przezwali — który śmie na niemieckiej ziemi, wśród niemieckich obywateli bunt przeciwko własnej ojczyźnie szerzyć, który do tego celu nadużył ambony, i żądano w ostrych grzmiących słowach przykładnego ukarania. On to bowiem winien, że wybory nie wypadły po myśli, on buntował parafjan, on, agitator w sutannie!..

Zwracano się do kurji biskupiej w Wrocławiu z żądaniem przeniesienia ligockiego proboszcza na „piaski brandenburskie" lub w głąb Niemiec, grożono daleko idącemi skutkami, mogącemi być bardzo niepożądanemi dla interesów Kościoła katolickiego w Niemczech, posypały się interpelacje w sejmie pruskim, słowem, kazanie ligockiego proboszcza rozeszło się echem prawie w całych Niemczech, poszło i zagranicę.

Posypały się konfiskaty na prasę polską na Górnym Śląsku i w Poznańskiem, usiłującą omawiać tę sprawę. A za konfiskatami szły kary. A jednak wszędzie, gdzie tylko słowo polskie mieszkało, znano treść tamtego kazania, krzepiono się niem, niejedno zwątlałe serce ożywiało się zpowrotem, niejeden tracący wiarę zyskiwał ją zpowrotem.

Na Śląsku cieszyńskim, w zagłębiu karwińskiem, radowano się, że ich bracia po tamtej stronie tacy nieustępliwi.

— Wiecie? Co wóm powiem, ale wóm powiem, że to szykowny ksiądz!.. — mawiano. — Wiecie, jo tam za księdzami bardzo nie dzierżę, bo to też jeny za panami idzie, ale taki ksiądz, jak tamten w Ligocie, wiecie, to mi się podoba! Wyrżnie prowdę Prusokóm w oczy, że mają dość, a nie boi się! Taki ksiądz, to tak!.. Chyba jedynie Jezuici w Karwinie lebo pater Londzin w Cieszynie, to też tacy morowcy!.. Ale insi!..

I znowu szeroko omawiano przy haszplach w kopalni, na żelaznych rozjazdach przed szychtą i po szychcie, wszystkie zdarzenia górnośląskie. Sprzeczano się o wartość wybranych posłów, politykowano zawzięcie, podnoszono odwagę cywilną ligockiego proboszcza, a Gustlik słuchał i słuchał, zapominając o Bronce. Rósł w dumę, bo przecież jego ojciec też pochodził z Ligoty, i stryj jego tam

mieszka, i oto niedawno list pisał o tych wyborach. Toć i on sam jest nawpół Górnoślązakiem. A kiedy towarzysze w wyniku swych gawęd i dysput nie szczędzili pochwał Górnoślązakom, rosło w nim serce nad podziw i aż go unosiło, by na głos wobec wszystkich zawołać:

— Posłuchejcie, hawierze, bo jo jest też napoły Górnoślązok!.. Żebyście wiedzieli!..

Lecz nie czynił tego, bo takim młodym synkom nie wolno się odzywać, gdy starsi górnicy mówią. Słuchać wolno, lecz odzywać się nieproszony, to nie... Taki już zwyczaj.

Tymczasem w Ligocie wrzało.

Odbyła się rozprawa sądowa w Opolu i księdza Józefa Janowskiego, proboszcza z Ligoty, skazano na miesiąc więzienia „bez zamiany kary na grzywnę".

Zbierali się górnicy, zbierali się hutnicy, i baby się zbierały, wszyscy po gromadzie przed plebanją wystawali i w okna krzyczeli, że nie puszczą swojego księżoszka, choćby do bijatyki miało przyjść. Siekiery przyniesiemy, krampocze przysmyczymy — wołali — a bić bydymy pieronów, jak przyjdą po naszego księżoszka, a nie domy go do harestu zawrzyć!..

Policja śledziła za przywódcami nieoczekiwanych zebrań, za tymi, co do buntu namawiali, słała na przeszpiegi swoich przekupionych, by choć jednego wyśledzić. Odniechciałoby mu się podżegania do buntu!

Nikogo nie można było pociągnąć do odpowiedzialności. Ludzie zgromadzali się samorzutnie i samorzutnie wszyscy wołali i wygrażali Niemcom. Sojka z owiniętą głową, z zapuchłem okiem, ślęczał ukryty za płotem i jednem zdrowem okiem szukał Wałoszka i Marka, czy to może oni robotników buntują. Lecz niewiele dojrzał, bo trudno mu było coś zdaleka zobaczyć. A podejść

bliżej nie miał odwagi. Zbyt świeżo w pamięci miał jeszcze ostatnie przejście pod hałdą.

Proboszcz wychodził z plebanji siwy, zgarbiony, podnosił rękę, a wtedy uciszało się między czarnem pogłowiem ludzkiem. Prosił, by nie robili głupstw, by wracali do domów.

— Ni!.. Ni... Nie đomy naszego farorza! — krzyczał tłum i nie pozwolił dalej przemawiać proboszczowi. I tak co dnia, aż do zmroku.

Na kilka dni przed terminem odejścia do więzienia posłał proboszcz pasterkę do Wałoszka.

— Wałoszku! — powiedziała pasterka — księżoszek proszą, żebyście tam do nich w te pędy przyszli!..

Wałoszek poszedł.

— Wałoszku! — jął odrazu ksiądz proboszcz — rozumiem przywiązanie moich parafjan, raduję się, żem im tak drogi, lecz widzicie, zwracam się do was, jako do rozsądnego człowieka, wytłumaczcie waszym towarzyszom, żeby zaprzestali demonstracyj przed plebanją. To do niczego nie doprowadzi, a dla mnie sprawę pogarsza. Lękam się, że władze mogą to wykorzystać i swego dopną. Że mnie przeniosą poza Górny Śląsk. Zrozumcie, mnie nie chodzi, czy tu Panu Bogu służę, czy gdzie indziej. Ale idzie mi o tych ludzi. Wiecie, dlaczego. A gdyby tu miał przyjść po mnie inny ksiądz, Niemiec albo centrowiec...

— Rozumia... — odparł zasępiony Wałoszek.

— To dobrze. Widzicie Wałoszku, boję się, że parafjanie groźbę swą gotowi wykonać. Cóż biedacy zrobią wobec przemocy? Pytam się was, Wałoszku, cóż? Krew się może, nie daj Boże, polać... Wy macie wpływ na ludzi. Wytłumaczcie im po swojemu, żeby zaprzestali. Mnie nic nie pomogą, a przeciwnie, zaszkodzić mogą.

I mnie, a przedewszystkiem sobie. Tak, przedewszystkiem sobie... Rozumiecie?

— Rozumia...

— To dobrze. A zresztą i tak za miesiąc wrócę. Nie będzie mnie na odpuście, to prawda, ale przyjdzie inny ksiądz, zastąpi mnie i będzie dobrze. A po miesiącu wrócę i rozpoczniemy pracę na nowo. Wiecie?

— Wiem. Tóż dobrze. Nie starają się już, panie farorz, jo to zrobią jakosikej. Ale Niemcom jednak pokożemy, że nóm ksiądz farorz ojcem, a my jego dziecka...

— Jak to myślicie? — zapytał trochę zaniepokojony proboszcz.

— Pón farorz uwidzą... i radować sie bydą... Jo już to fajnie zrobią...

— Tylko to was proszę, Wałoszku, bez żadnych... żeby nic takiego nie było, coby mogło ludzi na nowe kary i więzienie narazić. Dobrze?

— Ale dobrze! Już się jeny nie starają, panie farorz, już to dobrze zmajstrujemy...

— Tylko to was proszę...

— No, no... przeca mnie znają, księżoszku...

— To dobrze. No z Panem Bogiem.

— Z Panem Bogiem!..

Odtąd już nie zgromadzali się robotnicy przed plebanją. Widać, Wałoszek zrobił swoje.

W przeddzień odjazdu proboszcza przyszedł znowu Wałoszek, by dowiedzieć się, kiedy, o której godzinie wybierze się na stację kolejową. Do stacji było pół godziny drogi. Do drugiej stacji półtora godziny. Droga prowadziła przez Rzępie, Kosków i Bagień. Wsi te należały do ligockiej parafji.

— Wiedzą księżoszku, cośmy umyślili zrobić?

— Co?

— Że odprowadzimy ich procesją. Z paradą i ze śpiewem. I to nie do stacji ligockiej, ale do Bagienia. Ludzie wszyscy są na to już przygotowani. Dobrze?

Proboszcz się zamyślił. Uśmiechnął się i powiedział:

— Dobrze, Wałoszku... Bóg wam zapłać!.. Dobrze to obmyśliliście... Ale nie czyńcie tego...

Nazajutrz — a była to niedziela — ksiądz proboszcz odprawił raniutko mszę świętą. Dzień był pogodny. Zanim poszedł do kościoła, wstąpił po drodze do ogrodu. Była wczesna godzina. Naokoło spoczywała jeszcze pachnąca, wielka cisza. Błąkały się w niej wonie przeróżnego kwiecia ogrodowego. Z poza płotu płynął zwiewnemi smugami zapach skoszonej łąki. Na jej drugim końcu, wzdłuż podnóżka ligockiej kępy, szły w niebo subtelne, przejrzyste tumany mgiełki, rodzące się z błękitniejącej strumykowej wody. Proboszczowe oczy błądziły w słodkiem zamyśleniu po perlistej rosie, brały w źrenice drobne łuseczki słonecznego złota, co się w jej kropelkach drobiło, obeszły szeroki krąg świata, zawróciły spokojnie i wstąpiły do ogrodu. Ponsowe i żółte róże, rozsypane hojnie na licznych krzewach, zdawały się być utkane z rumieńców zorzy, z jasnej żółtości słońca, z gęstego zapachu i rosy. Podszedł do nich starowina proboszcz. Leciuchny wiaterek gmerał ciepłemi, miękkiemi paluchami w jego siwych włosach, rozczesywał pojedyńcze kosmyki, pod światło ostrożnie wydmuchiwał, że włosy w tern okamżeniu powlekały się starem srebrem. Potem głaskał nieznacznie po twarzy, pieścił ją, aż te zmarszczki przemieniły się w błogosławiący uśmiech.

Z uśmiechem tym poszedł ku różom. Patrzał na nie z miłością, jak na czujące stworzenia, w których niemasz zdrady i fałszu ludzkiego. Dotykał je palcami, nachylał się, sycił znużone oczy ich krasą i cosik im szeptał. O

czem? on sam bodaj wiedział. Chyba to stare proboszczowe serce wiedziało.

Obszedł je w rząd, popieścił jeszcze raz oczyma, jeszcze raz się uśmiechnął, znowu coś szepnął i wejrzał teraz na resztę kwiatów, co podle rudej ścieżki swobodnie rosły. I znowu to samo. Głaskał ich główki koniuszkiem palców i cięgiem im coś szeptem pogadywał. A wszystkie tamte stubarwne stworzonka roślinne, te przeróżne sierotki i bratki, białe i czerwone gwoździki, nogietki żółte, skromne stokrótki białe z różowemi plamkami i tamte ćmaworóżowe, i grubawe pelargonje o żywej purpurze, cudaczne irysy zamorskie o nienazwanym kolorze, cały ten świat wonny, mieniący się tęczą w oczach, bogaty, nieprzebrany, o pachnących imionach, wszystkie kwiaty, od tych najdrobniejszych, skromniutkich, jakoby zawstydzonych, aż do tych pysznych, dumnych, cudzoziemskich, wszystkie w onej chwili jakoby żegnał.

A potem już zadowolony, poszedł Bogu dziękować za wszystko.

Tuż przy furcie zatrzymał się. Zagrodziła mu drogę obwisła gałąź krzewu różanego. Odchylił ją lekko dłonią a wtedy dojrzał jej urodę. Chwileczkę się zamyślił. Potem ujął ją z leciuchnym żalem, ale tak leciuchnym, że ani sprawy sobie z niego zdać nie potrafił, i ułamał. Poniósł teraz dużą okiść z różami w mroki kościoła.

A kiedy mszę świętą odprawiał, pachnąca gałąź leżała na białym obrusie przy złoconem tabernakulum.

Po skończonej mszy poszedł do plebanji. Popatrzył na stary, czarny zegar z kukułką. Dopiero siódma. Do dziewiątej jeszcze dwie godziny. Czasu dosyć będzie na przygotowanie się w drogę. Ukląkł, roztworzył brewjarz i jął się długo modlić.

Tymczasem ludzie jęli się powoli schodzić. Szli drogami, miedzami, szli ze wszystkich stron. Po miedzach rozwlekali się w długie sznury, po drogach gęstnieli w gromady, wypełniali coraz większym tłumem przykościelną drogę, cisi, osowiali.

Słońce było już wysoko na niebie. Błękity zanosiły się skowrończem śpiewaniem, cisza spływała z nieobeszłych granic świata, a dymy z ligockich hut i kopalń szły i szły bez przerwy ciemne, skołtunione, obmierzłe. Wynosiły się wysoko ponad ziemię, rozwlekały w przejrzyste, szare płachciska, zawisały bez ruchu, aż przyszedł miękki wiatr, brał je w dłonie i niósł ostrożnie poza widnokręgi.

A tłumy rosły i gęstniały.

Schodzili się ligoczanie, schodzili ludzie z Rzępia, Koskowa i Bagienia, przychodzili i ze wsi sąsiednich, skąd jeny tylko, z daleka nawet. A drogami wciąż sunęły nowe gromady. Jakby na jakiś wielki odpust.

Wszyscy czekali swego proboszcza, który dzisiaj po raz ostatni przed swem odejściem mszę świętą dla nich miał odprawić.

Ściszony szum głosów ludzkich szumiał wokół kościoła. Była w nim zamknięta troska i jakoby szelest ogromnego lasu, gdy w jego wnętrze wiatr zabłądzi, co przed burzą bieży.

Potem rozdzwoniły się dzwony. Z otwartych okienic wieży wysypały się na świat rozbełtane mosiężne tony, leciały nakształt złocistych kłębów, rozwijały się w szeroką wstęgę, płynęły coraz niżej, trzepotały coraz drobniej, przysiadały ciżbą ponad polami i znużone swą drogą, kładły się w bruzdach i po zbożach na odpoczywanie.

Ludzie jęli wypełniać kościół. Powoli, stopniowo, po ostatnie miejsce. Niewielu się ich zmieściło, bo ludzi

było przecież dużo, bardzo dużo. Reszta szukała osłony w cieniu alei cmentarnych, pod ścianami, ba nawet i pod płotem, bo upał był coraz większy. Jedynie ci starsi woleli słońce, by się w niem dowoli wygrzać i ziąb, co zdrożone kości gryzie, precz odegnać.

Tymczasem ksiądz proboszcz zeszedł po schodach ze swej izby, stanął w białej sieni, chwilkę się czegoś zamyślił, potem ujął przygotowaną walizkę niedużą, co w kącie nań czekała i otworzył drzwi na podwórze. Zobaczyły go kaczki i kury. Uczyniły okrutny wrzask i naprzedbieżki, naprzejmo pognały ku niemu. Chleba chciały lub co lepszego. Proboszcz sięgnął do kieszeni, nabrał garść pszenicy i sypnął. Rozleciała się złocista smuga, rozprysła w drobniuchne drzazgi słoneczne. Jeszcze raz... i jeszcze... Podniosła się zawieja skrzydeł, poleciały drobne piórka, zbiły się ptaki w gromadę żarłoczną.

Proboszcz chwilę patrzał. Potem obszedł je wkoło, minął stodołę, wśliznął się do sadu, zamierzył naprzełaj do maleńkiej furtki w płocie i wyszedł na miedzę. Obejrzał się. Nie ujrzy go nikt. Wysokie zboże kryło w sobie jego postać schyloną. Przeżegnał się więc i ruszył miedzą przed siebie. Kijaszkiem się podpierał, a walizkę kołysał w znużonej dłoni.

Przedeszły go szklane szmery kłosów, rozdzwoniły się skowronki ponad głową, rozciurlikały koniki polne, zapachniały maki i bławaty, i nagrzana ziemia.

Łany zboża biegły daleko, daleko. Kiedy stanął, by spocone czoło obetrzeć, a nogom i piersiom dać wytchnienie, patrzał, jak wierzchem zboża płynie mieniąca fala za falą, szumi bez przerwy, jak ogromna, daleka woda, nachyla kłosy do ziemi i tonie w dalekościach. A za nią bieży druga, trzecia, dziesiąta...

Uchwycił teraz w lewą rękę kij i walizkę, i znowu

zaczął iść. A prawą dłonią wiódł po kłosach, radując się ich szelestowi i pieszczocie przemiłej. Lecz gdy go to zmęczyło, ujął kijaszek do prawej dłoni, i teraz tylko wzrokiem pieszcząc kłosy, szedł powoli. Nie śpieszył się, bo nie mógł. Stary już był. Wyjdzie jeszcze za tamtę gruszę, potem na koniec łanu, skręci na drobną ścieżynę, przejdzie kawałeczek i już będzie niedaleko stacji kolejowej.

Lecz wraz wraz przystawał, bo mu żal było opuszczać wszystkiego. Toć to na calutki miesiąc. Gdy powróci, zastanie suche rżyska, opuszczone pola, smętek nadchodzącej jesieni. Nacieszy teraz jeszcze oczy błogosławieństwem Bożem, napatrzy się dosyta, w oczy nabierze tamtego widoku, jak chleba do sakwy na daleką drogę, żeby mu lżej potem było.

Siadał więc na walizce i patrzał. W sennym, ciepłym szumie zboża szło radosne uciszenie, słodkość zapomnienia wszelakich trosk codziennych, łaskawy uśmiech samego Boga. Po chwilce stawał i szedł znowu. Miękki szum szedł przed nim i za nim. Chwilami zdawało mu się, że unosi się na powierzchni ogromnej rozfalowanej wody złocistej, że tamte fale podpływają, pod ramiona ujmują i prowadzą z sobą, a on raduje się cudowi i Bogu dziękuje za tak wielką dobroć.

Popatrzył na zegarek. Ho! ho!., jeszcze sporo czasu! Warto więc usiąść i jeszcze raz we wszystkiem się pożegnać. Usiadł, dłonie wsparł na lasce. Przyszły wspomnienia. Hej, miły Boże!., ileżto lat temu, gdy przyszedł do Ligoty?.. Ileżto lat temu? Zmieniali się ludzie, zmieniało się wszystko, tylko on ten sam ostał i w niczem się nie zmienił. Ileżto się sił zmarnowało, ileż wysiłków kosztowało, żeby uchronić powierzone dusze przed zaprzaństwem!.. On sam jeden, a przeciw niemu moc

wielka!.. A jednak swego dopiął!.. O! chwałażci Panie Boże!.. Wychował mocne pokolenie ludzi. Ludzi twardych, nieugiętych... Chociażby dzisiaj w tę ziemię się położył, spokojnie się położy, bo nie zakrwawi troska umierającego serca, że próżny był wysiłek i napróźno pogrzebane szczęście młode i wszystko... Spokojnie teraz może umrzeć, spokojnie... W trudzie wielkim wykarczował ugorzysko, kamienie wybrał, chwasty powyrzucał, a zdrowe ziarno zasiał. A teraz ziarno zeszło i w szumne kłosy się przemienia... Jakoby te kłosy, co tak dziwnie szemrzą koło niego... Jak one słodko szemrzą, jak słodko... Błogosławiony trud człowieka w zapach kłośny się przemienia, w złocisty szmer się zamienia... O! chwała ci Panie Boże!... Nie dadzą już dzisiaj Niemcy rady... nie dadzą...

Chwile mijały.

Starowina proboszcz, zapatrzony w swoje myśli, szeptał ciągiem coś do siebie i szeptał, a każde słowo wyszeptane było pełne uśmiechu,, jak kwiatek pełny słodyczy miodnej. Modlił się, czy co? Bóg miły raczył wiedzieć i to proboszczowe serce stare.

Znienacka przypomniał sobie ludzi, co taką wielką gromadą zeszli się do kościoła, by go pożegnać i odprowadzić, jak obiecywał Wałoszek. Żal mu się ich uczyniło. Co też teraz poczną, gdy zamiast siwego, starego proboszcza wyjdzie do ołtarza ksiądz Meisel, Niemiec, z sąsiedniej parafji. Ludzie go nie lubią, a teraz, gdy zobaczą, że proboszcz podstępnie im uszedł, gotowi, Bóg wie, co uczynić. Gotowi nawet kościół opuścić...

— Hm, trudno... — myślał półgłosem — poco mają odprowadzać człowieka procesją?... Lepiej, że tak uczyniłem, jak uczyniłem... Nie godnym takiego zaszczytu i wyróżniania, a kto wie, czy po drodze nie doszłoby do

jakiegoś zatargu z żandarmem... Lepiej, że tak uczyniłem... Powrócę za miesiąc i znów będzie dobrze, jak było...

A z ludzi naprawdę nikt się nie spodziewał tego wszystkiego.

Gdy dzwony skończyły swoje wołanie, weszli do kościoła. Zaledwie mała część zmieściła się w jego murach. Reszta stała na dworze, w cieniu.

Cisza była, bo wszyscy czekali, skoro z kruchty wynurzy się ich księżoszek. A dziwiło każdego, bo z za niedomkniętych drzwi zakrystji dochodziły jakieś podniesione głosy, a czas się przedłużał i nikt nie wychodził.

W pewnej chwili drzwi się gwałtownie rozchyliły i na środek kościoła wybiegł stary kościelny. Wzburzony był ogromnie, bo ręce mu latały a na twarzy miał ognie. Wszyscy czekali, co to będzie. A on strzepnął dłonią i rzekł donośnym półgłosem:

— Ludzie, księżoszek nóm uciekli a german Meisel bydzie msza służył!,.

I zanim ludzie zdołali ująć spłoszoną myślą treść słyszanych słów, zaszczerkał dzwonek u wyjścia z zakrystji i wszyscy ujrzeli, że zamiast ich księżoszka wychodzi ku ołtarzowi kapelonek Meisel z sąsiedniej parafji. Niemiec! Centrowiec!.. 0 la Boga świętego!.,

Ksiądz szedł nachmurzony przez kościół. Wszyscy usuwali mu się skwapliwie z drogi, czynili szerokie przejście, a on szedł środkiem, zdający się nikogo nie widzieć. Czarne włosy, czarne brwi i czarne, przymknięte lekko oczy, śniady połysk skóry na policzkach i zaciśnięte usta, szelest roztrącanych sukien kapłańskich, sypiący się w uszy śliskim, suchym szmerem — wszystko wrażało się w czucie ludzkie czemś ogromnie obmierzłem.

Znienacka powstał w kościele rumor. Ludzie jęli z hałasem wstawać z klęczek, wychodzili ze stukotem

z ławek, zgarniali się w wielką chmarę i tłumem, a szybko przepychali się do wszystkich drzwi, milczący, ponurzy.

Opustoszał kościół. Szerokie echo licznego gwaru przedkościelnego wsączało się teraz do środka, błąkało w pustej przestrzeni, w ławach zasiadły mroki, a ksiądz został sam przy ołtarzu. Słyszał i wiedział, co się dzieje. Ściągnął mocniej brwi i jął przez zaciśnięte zęby odmawiać przepisane modły. Odpowiedział mu organista. Zahuczały organy, przewaliło się granie z łoskotem w bezludnej pustce.

Obejrzał się ministrant. Był to Karlik Szerokiego. Obejrzał się, a nie widząc nikogo, przeląkł się. Wstał nagle z klęczek i cwałem jął biec przez kościół do głównych dwierzy.

— Jo mu nie byda służył... jo mu nie byda służył... germanowi! — wołał do ludzi, zdziwionych jego ucieczką od ołtarza.

— Nie służ! — przytaknął ktoś z ludzi, a inni dodawali: — Germanowi ni!..

— A idź do kruchty a zewlecz te szaty!.,

Karlik pobiegł naokoło kościoła, zniknął w zakrystji, a za chwilę już znowu wyskoczył w swojem zwykłem ubraniu i zamieszał się w tłumie.

Tymczasem Wałoszek z innymi pośpieszyli do plebanji.

— Kaj jest nasz księżoszek? — wołali na gospodynkę — kaj nasz księżoszek?..

— Nale, ludeczkowie złoci.. — szepleniła bezzębna gospodynka — księżoszek już downo poszli ku banu[42])... już downo poszli...

---

[42]) ku banu — na kolej.

— Kiedy?.. Kaj?.. Kierędy?,,

— Nale oto przed pół godziną możne... szli se przez ogród a potem miedzą...

Pobiegli do sadu a ze sadu przez furtkę wysypali się na miedzę.

— Nima księżoszka!..

— Jest!..

— Kaj?..

— Hynaj siedzi!.. Widzicie?.. Hynaj, na miedzy... przy gruszce!..

Jest! Jest księżoszek! Siedzi se na walizce, a odkryta głowa srebrzy mu się w słonku. Pośpieszyli do niego. Szybko... szybko... bo gdy ich zobaczy, to naprawdę gotów uciekać!..

Dobiegli. Teraz się dopiero proboszcz ocknął z zamyślenia, gdy posłyszał kroki tuż, tuż. Zrozumiał. Ha!., przepadło! Trzeba się poddać!..

Otoczyli kołem starowinę i jęli na przedbieżki dogadywać.

— A czemu księżoszek chcieli uciec?.. A czemu to zrobili?.. A skyrs czego?

A potem, nie dając mu przyjść do słowa, jęli prosić i głaskać po rękawie, by im nie czynił tej wzgardy, a wrócił z nimi, że ludzie czekają i kolasa Szuścikowa też, że go wszyscy chcą odprowadzić, a ażeby się nie gniewał, że poszli z nabożeństwa, gdyż tam german mszę odprawia.

Ujęli proboszcza pod ramiona, wzięli walizkę i poprowadzili naspadek ku kościołowi.

Zdaleka witali go już ludzie radosnemi okrzykami, kłaniali się kapeluszami, dłońmi machali, cieszyli bezmiernie.

Podjechała wystrojona kolasa. Dwa siwki rzucały głowami, biły kopytami o drogę, a pęki kwiatów i gałązek

lipowych chwiały się na ich czołach i barwiły uprzęże, Szuścik zaś, wystrojony jak starosta weselny, raz wraz postrzeliwał umajonym biczem, że aż te długie kolorowe wstążeczki, zdobiące cieńszy koniec biczyska, furkotały barwną smugą.

Wsadzono księżoszka do kolasy, Szuścik cmoknął na koniki, śmignął po ich grzbietach, poprawił się z godnością na koźle i kolasa ruszyła. A ksiądz proboszcz wyjął brewjarz, otworzył i zatopił się w czytaniu.

Tłum się zakołysał i jął kroczyć powoli.

...Serdeczna Matko... Opiekunko ludzi!...
niech Cię płacz sierot do litości wzbudzi...

zaintonował Wałoszek na przedzie, a ludzie podjęli szeroko melodję i, śpiewając teraz głośno a powoli, szli ogromnem nieprzejrzanem mrowiem przed kolasą i za kolasą.

Bieliła się w słońcu daleka ocieniona droga, wiodła się w łagodnych zakrętach przed ludzkiemi oczyma, skowronki bardziej się rozdzwoniły, słońce złociściej rozgorzało, przydrożne zboża jęły się głębiej kłaniać, a ponad głowami niósł się złocisty pył z drogi i niosła się uroczyście rozzłocona, szumna pieśń o „Serdecznej Matce, opiekunce ludzi"...

IX.

Matka z Gustlikiem wybrali się na odpust ligocki.

Przez noc jechali pociągiem, a do Wałoszka przybyli kiedyś nad ranem, kiedy się pierwsze świty przecierały na wschodzie, przydrożne światła gasły pokolei, a rosy na trawach jęły rozbłyskiwać srebrnem lśnieniem. Czerwone łuny, bijące w niebo z wielkich pieców hutniczych, przygasały rozlewające się światła różowe po niebie,

powlekały kontury wszystkich drzew, zabudowań i mostowych rusztowań rdzawą posoką, po drogach zaś, przed stopami, słały płachty mętnego blasku.

Wszystko jeszcze spało, nawet i te ptaki, jeno kopalnie i huty krzyczały żelazem i parą.

Nie mogli wcześniej przyjechać, bo Gustlik w sobotę był jeszcze na szychcie, z której wrócił koło godziny czwartej po południu. I musieli długo czekać na pociąg w Boguminie, przesiąść w Raciborzu, a stamtąd dopiero pojechać do Ligoty. I tak czas minął.

Matka wiedziała, gdzie mieszka brat jej męża, boć przecież sama pochodziła z Ligoty i nieraz bywała u niego w dawnych czasach. Trafiła więc odrazu. Zapukała na okno, a gdy się drzwi odchyliły, nie było końca powitaniom. Wyszedł Wałoszek, wyszła i jego żona, obydwoje lekko przyodziani, bo noc była ciepła. A gdy weszli do izby, z jednego i drugiego łóżka podniosły się głowy dzieci, Emila i Helenki.

Helenka przecierała piąstkami oczy i chwilę nie mogła zrozumieć, kto to przyszedł. Taka była rozespana.

— Nale lobości kandy! — cudowała się Gustlikowa matka — nale, jak też ta dzioucha wyrosła!.. Na, nie poznajesz mnie, Helenko? — dogadywała, nachylając się ku dziewczynie.

Helenka nie mogła jej sobie przypomnieć.

— Nale dyć to jest twoja ciotka, wiesz?., z Karwinej, z cesarskiej strony... Ale bodej tam bydziesz wiedziała, boś jeszcze była taką małą błeszką[43]), jakżech tu była ostatni roz. Już temu jest kielanoście roków... Nale szwarno dzioucha z niej wyrosła!.. Dziwejmy się!..

---

[43]) pchełka.

— A to jest mój synek... Gustlik, wiesz? — przedstawiała jej chłopca.

— Już wiem! — zawołała Helenka uśmiechnięta — a tam jest Emil! Poznocie go, ciotko? Parcie, jaki już jest wielki!.. — i wskazała ręką na brata.

— Ale wiem, wiem, rybeczko — rzekła Gustlikową matka i podeszła do drugiego łóżka, żeby się powitać z Emilem.

A Emil patrzał i radował się, boć zawsze to wielka radość, gdy goście przyjadą. Cosik przywiozą w gościńcu, dowie się dużo nowych rzeczy, sam może się niejednem pochwalić, zawszeć to jakieś barwne urozmaicenie szarego żywobycia.

Był podobny do ojca. Ten sam zgarbiony nos, te same zaciśnięte usta, gdy się uśmiechać przestał i tylko słuchał, i to same skupienie na twarzy, co u ojca. Wypukłe czoło i broda o silnych konturach, podana wprzód, znamionowały czającą się energję. Podkreślały ją mocniej niskie, gęste brwi nad głębokiemi, szaremi oczyma.

Helenka zauważyła, że Gustlik jest odmiennym chłopcem w porównaniu z Emilem. Odczuła to bezwiednie, patrząc na jego miękkie rysy, pełne usta o falistej linji i na dziewczęcą, lekko cofniętą brodę.

Pogadali jeszcze wszyscy to o tern, to o tamtem, co tylko było w myślach napodorędziu. Ale że matce i Gustlikowi kleiły się oczy i raz wraz poziewali szeroko, postanowiono pójść spać. Gustlik ułożył się na ławie miękko wysłanej pierzyną, matka zaś legła obok szwagrówki w łóżku. Wałoszek znowu wziął poduszkę i koc i poszedł na strych do siana.

Kiedy nad ranem zbudził się Gustlik, wszyscy już byli na nogach. Helenka krzątała się po izbie, Emil znosił węgle i wodę, Wałoszek golił się przy oknie, a żony

jego nie było. Widać, w oborze krowy doiła. Matki Gustlikowej też nie było. Z pewnością jeszcze spała. Podniósł nieznacznie głowę i spojrzał na sąsiednie łóżko. Także już wstała. Zapewnie pomaga ciotce w robocie.

W pierwszej chwili nie mógł pozbierać myśli. Nie wiedział, skąd się tu nabrał. W uszach jeszcze miał wspominki rytmicznego klekotania kół wagonowych, a w oczach wspomnienia ciemnej nocy i wybłyskujące z niej raz wraz tumany świateł, pełne obcych widoków.

Rozejrzał się. Powoli przychodziło zrozumienie. A równocześnie zapach i ciepło izby, co się koło niego znajdowały, wchodziły ukradkiem do serca, brały za rękę drobny uśmiech i wynosiły na jaw, na usta i w oczy.

Było mu trochę wstyd, że wszyscy już dawno pobudzeni, a on jeszcze się wyleguje. Przymrużył więc powieki w zakłopotaniu i myślał, jakby to uczynić, by zejść z ławy niepostrzeżenie i ubrać się bez zwrócenia uwagi. Nic z tego. Ubranie jego było rozwieszone na krześle w drugim rogu izby. Więc jak długo się da, będzie udawał śpiącego.

Przymrużył powieki i z pod trzepocącej firaneczki rzęs patrzał na izbę. W obrębie spojrzenia zjawiła się znienacka Helenka. Przypomniał sobie. Przed kilku godzinami widział ją w łóżku, jak drobnemi piąstkami wycierała oczy.

Patrzył na nią zaciekawiony. Usiadła na małym stołeczku przy piecu i zaczęła mleć kawę. Między kolanami trzymała młynek, jedną dłonią obejmowała jego kopulasty wierzchołek o mosiężnym kolorze, a drugą dłonią wiodła nad nim równe, jednostajne, wymierzone koła. Między palcami piszczała zlekka młynkowa ogięta rączka z drewnianą gałką.

Słońce przechodziło okrakiem przez gęsty płot fuksyj i pelargonij na oknie, wstępowało szumnie do izby i prościuteńko zmierzało ku Helence. Jeden jej policzek, dotykany światłem, różowiał zlekka. Włosy jarzyły się złotym puchem koło głowy. Odsłonięte ramiona, unurzane szczodrze w słońcu, zdawały się być prześwietlone leciuchną czerwienią. Na długich rzęsach lśniły obłe skierki, jakoby rosa w trawie. Wszystka jej postać czyniła wrażenie zjawiska, stworzonego z puszystej pozłoty, z mgiełki różowej i z bielejącej jasności. Po ścianach, będących w cieniu, szerzył się od niej rozwidniony poblask.

Taką się wydawała Gustlikowi.

— Piękno jest Helenka — pomyślał. — Bronka też jest piękno, ale jakoś inakszy. Ale jak?..

Zaczął szukać myśli, któreby mu ułatwiły określenie ich urody. Już wie. Bronka jest podobna... do czego też? Już wie. Bronka jest podobna do rozkwitłego maku w zbożu. Aha, w zbożu, przed tygodniem, całował Bronkę!.. Uśmiechnął się do tamtego wspomnienia. Wyobraził sobie na jej miejscu Helenkę. Helenki nie ośmieliłby się całować. Chyba po rękach. Graniczyłoby to z grzechem. Kiedy już umyślił porównać Bronkę do maku, trzeba i dla Helenki podobne porównanie wyszukać. Do czegóżby też Helenka mogła być podobna? Przypominał sobie przeróżne kwiaty. Żaden się nie nadawał. Róża!.. Nie! Białe gwoździki?., też nie!.. Lilja? hm, może... ale nie, także nie!.. Lilje mają takie długie cienkie łodygi. Wyglądają, jakby ogromnie chude. W każdym razie kwiat ten musi być biały. Stokrótka też nie!.. Innych białych kwiatów nie mógł już znaleźć. A nie... jeszcze! Kwiecie jabłonki!.. Tak! kwiecie jabłonki!.. Helenka jest podobna do rozkwitłej jabłonki!..

Zadowolony z odkrycia odetchnął z ulgą.

Ujrzał teraz jabłonkę, która stała za Hajndrychowem, w polu, samotna. Kozy ją ogryzały, a chłopcy obłamywali gałązki z kwiatami, by kapelusze stroić, a na jesień kamieniami bili w jej gałęzie, by ostatnie jabłko zrzucić. Taka sierotka — jabłonka!..

Helenka też jest sierotką!..

Wyczuł znienacka ogromną tkliwość.

— Pierona kandy! — pomyślał — gdyby tak kiery Helenkę skrzywdził — zabiję!..

I w tem okamżeniu ujrzał Helenkę, idącą drogą. Idzie, idzie, podśpiewuje zcicha a kijaszkiem macha przed sobą. Teraz nadchodzi obdarty, rozkudłacony chłopiec. Przechodzi i znienacka trąca ją do spadzistego rowu. Helenka stacza się, czepia trawy, czepia jakichś gałązek, ale wszystko nadarmo. Stoczyła się na samo dno, gdzie ostre kamienie leżą. Płacze biedaczka, a chłopiec trzyma ręce w kieszeni i śmieje się, i śmieje. Nadchodzi Gustlik, to znaczy, on sam. Widzi, co się stało. Gniew go ogarnął. Skoczył i jak nie wyrżnie tamtego pięścią między oczy, jak trzaśnie drugi raz w zęby, i jeszcze raz i jeszcze raz!.. Tamten zbójec wykopyrtnął się, jak długi, gramoli po ziemi, a Gustlik wali kułakiem po plugawym pysku, tłucze zawzięcie a mocno, żeby poczuł, pieron!.. A naostatek kopnie go, dziada zatraconego!.. Podnosi nogę, zamierza się i...

— Jej! — syknął, bo istotnie wierzgnął nogą i trafił w kanciaste oparcie ławy. Zabolało, zapiekło!..

A równocześnie wytrysnął w ciszę izby długi, srebrzysty śmiech Helenki.

Gustlik podniósł głowę i usiadł.

Helenka przechylała się na stołeczku i zanosiła śmiechem. Aż Wałoszek odjął brzytwę od twarzy, odwrócił i patrzał zdumiony, co to się dzieje.

— Na ty? Cóż się tak śmiejesz?

— Ale tatulku — jęła poprzez śmiech tłumaczyć — bo oto Gustlik śpi... a cosikej mruczy we spaniu... a pięścią bije po pierzynie... a teraz nogą kopnął... i obudził się...

— Eh, idź, idź!.. Też się mosz czemu śmioć — rzucił karcąco ojciec. Przykro mu było, bo przecież Gustlik może się urazić. Chociaż to jeszcze niedorostek, ale zawsze gość. Jakoś to nie wypada.

Helenka umilkła. Zamyśliła się chwileczkę, potem wstała i podeszła do Gustlika.

— Gniewosz się na mnie? — zapytała, patrząc mu przymilająco w oczy.

Gustlik potrząsł głową i uśmiechnął się.

— Ni? — nalegała dziewczyna.

- Ni!..

— No, to dej mi ręka na zgoda!.. — poprosiła, wyciągając dłoń.

Gustlik podał. Helenka ujęła ją za końce palców, a wolną dłonią plasła z poza głowy w jej środek.

— Na sto roków zgoda! — dodała uspokojona. — A teraz już stowej, bo ciotka już downo chodzą po polu i rzekają[44])...

— Toć jakisi dobre dziouszysko — pomyślał z uznaniem Gustlik. — Bronkaby tego nie zrobiła, żeby przeprosić...

Wyskoczył z pod pierzyny i szybko się ubierał. Śpieszył się, bo go trochę wstyd było przed Helenką.

---

[44]) rzekać — modlić się.

Zaledwie się umył, pomodlił, pośniadał, jęły wołać dzwony do kościoła. Helenka i Emil byli już ubrani odświętnie.

— Ty, Gustliczku, ty pójdziesz z nami — rzekła do niego Helenka.

— Dobrze... — zgodził się uradowany chłopiec.

— To tak, idźcie se pieknie — dodał Wałoszek — a pamiętejcie, żebyście mi Gustlika kaj nie stracili w ścisku. Boby synek nie trefił dodom...

— Ni, ni!..

— A patrzyjcie przyjść na czas do obiadu — zawołał jeszcze za nimi przez okno.

I poszli. Gustlik w środku, Helenka po prawej stronie, Emil po lewej. Helenka była wystrojona w białą sukienkę z różowemi kwiatami, i w czerwony beret z dużym pomponem na jego czubku. Na plecy zwisały dwa grube warkocze, związane u karku białą kokardą. Warkocze i wymykające się włosy z pod beretu połyskiwały jasnem złotem. Emil, podobnie jak Gustlik, był w kołnierzyku, przewiązanym wzorzystą krawatką.

Na szczycie kępy ligockiej przystanęli, Gustlik rozejrzał się. Uderzyło go przeciwieństwo dwóch światów, odmiennych w swej istocie, jak dzień i noc. Z jednej strony ciemna dolina, wypełniona brudnemi dymami, kopcące hałdy, usypiska, sparszywiała ziemia, rzędy kominów, rozbiegających się po ostatek widnokręgu, zgmatwana plątanina czarnych i rudych zabudowań, — z drugiej strony jasna dolina z ogromnemi łanami zbóż, z rozrzuconemi kępami drzew, z bielejącym kościołem w środku. Nad tamtą doliną zdawał się wisieć ciężki mrok, nad tą — rozwarty błękit z rozrzutnem słońcem. Tam zgrzytały przenikliwe żelaza i chrapała zduszona para, tutaj

dzwoniły skowronki, ciurlikały koniki w trawach, szczebiotały Wróbliki ucieszne.

Drogami i ścieżkami, z tamtej czarnej doliny szli ludzie. Wszyscy zwalniali kroku pod kępę, a kto starszy — przystawał, by troszynkę odpocząć. Gustlik patrzał na przechodzących robotników i dziwował się. Górników poznawał odrazu. Mimo odświętnych ubrań nic się nie zmienili. Tacy sami, co w Karwinie. Te same zapadłe policzki, zapadłe oczy, cera blada, jakby oprószona miałem węglowym, to samo spluwanie przez zęby i to samo pochylenie bark, co u hawierzy karwińskich. Szli ciężko. Pobok dreptały ich baby, wystrojone inaczej, aniżeli w Karwinie. Szerokie suknie i jakie, chustki na głowach i czepki pod niemi, okrywające wierzch czoła, jakieś wzorzyste hacki[45]) — wszystko to w niczem nie było podobne do ubioru karwinianek. Bo w Karwinie dziewczyny i kobiety nosiły się nawpół zpańska. Jedwabne chustki, obcisłe bluzki, wąskie suknie, a u dziewczyn wysokie „budy", uczynione z włosów nad czołem, nadawały im pokostu miejskiego.

Zauważył także robotników o przekrwionych oczach, z łuszczącą się, czerwoną, jakby przypaloną cerą, z dłońmi popuchłemi, z rudemi oparzeniami. Zrozumiał, że to hutnicy.

Lecz chłopcy byli znowu ci sami, co w Karwińskiem. Z oczu widać było, że to takie same wybiokna i drapichrusty, i cwaniaki, co na Granicach czy na Sowińcu, czy w innej kolonji karwińskiej.

Prawie każdy uśmiechał się do Helenki i dogadywał coś o odpuście i sercu piemikowem. Na Gustlika znów boczyli się, bo poznali, że to obcy. A na obcego, to nikt

---

[45]) duże chusty.

z takich chłopców nie ma łaskawego oka. Bez przyczyny gotowi wszcząć bójkę, nabić, co wlezie, dziurę kamieniem wytłuc w głowie i spieronować. Tak samo czynili chłopcy w Karwinie i wogóle w całem zagłębiu ostrawskiem.

Gustlik jednak nie lękał się, bo był w towarzystwie Emila i Helenki. A ciby już nie pozwolili uczynić mu krzywdy.

— No, pódźmy — rzekł wkońcu Emil.

Więc poszli.

Już zdaleka widać było bielejący rząd płóciennych bud, pod któremi zapewnie leżały stosy pierników.

Przypomniał sobie Gustlik, kiedyto z towarzyszami po okolicznych odpustach chadzał i pierniki ściągał nieostrożnym piernikarzom z kramów. Wiedział, że to grzech przewieczny, i że go po nocach ciężkie sny będą trapiły, i sumienie go będzie gryzło, i to tak długo, dopóki do spowiedzi nie zajdzie i z tych szeptanych grzechów swojej duszy doimentu nie oczyści. Wiedział o tern, lecz pokusa była zbyt wielka. Był to pewnego rodzaju sport, przynoszący uznanie i chwałę wielką wśród towarzyszy. Im ktoś z większym pytlikiem wracał z odpustu, z pytlikiem, w którym były ściągnięte pierniki, — tem większy honor i chwała.

A tych pierników było zatrzęsienie. I to jeszcze jakich pierników!.. Wszak na ligockim odpuście zapewnie takich nie będzie!.. Były pierniki malowane, lukrowane, z ponalepianemi obrazkami, duże, małe, przeróżne koniki, baranki, pieski i wojaki pękate, było mnóstwo serc z taką dziurką w środku, które można było na palec włożyć i obracać, jakby kółko na osi. Były i takie, co to miały nalepione napisy o miłości i o gorącem sercu aż do grobowej deski, i wszystko było. Starsi chłopcy kupowali je dziewczynom, a dziewczyny radowały się i chicho-

tały, a oczy dłońmi wstydliwie zasłaniały, niby że się tak bardzo wstydzą, a z pod palców to raz wraz zerkały, jak też duże serce jej galan kupuje, czy też, broń Boże, nie mniejsze od tamtego, co jej sąsiadka przy drugim kramie otrzymała, a teraz wdzięcznie drobnemi ząbkami ogryza.

Takie to bywały odpusty u nich, na cesarskiej stronie. Ciekawy, czy podobny zastanie dzisiaj?

Po drodze umyślił Gustlik kupić serce Helence i Bronce w Karwinie. Kupi, bo grejcary ma. Wymienił mu je wuj na niemieckie pieniądze, więc kupi!.. Dwa serca kupi. Takie duże z malowanemi różami. A tych róż musi być dużo. Żółte, modre, czerwone, zielone i jeszcze inne. A na środku musi być taki ładny obrazek kolorowy. Jeden taki, co się dwa gołąbki dzióbkami całują — to będzie dla Bronki, —a drugie serce z obrazkiem, na którym będą kwiaty lebo co innego. To znowu będzie dla Helenki. A na każdem musi być wiersz wydrukowany. Ale nie czeski! Broń Boże!.. Nie śmie być głupawy wiersz o jakiejś „lasce” i o „srdcu" i o „milence", jakto zwykli frydeccy piernikarze na karwiński odpust przywozić. A niemiecki też nie. Polski wiersz to musi być, jak się patrzy.

Doszli do przykościelnej drogi.

Kłębiła się już tam taka ciżba ludzi, że aż trudno się było przecisnąć. Po obu stronach rozsiadły się szeroko kramy z płóciennemi dachami. Na przechylonych deskach leżały pierniki, poukładane równemi szeregami. Małe, większe i jeszcze większe; jedne takie, drugie owakie; jakieś małpki cudaczne, zwierzaki nieforemne, czworonogi zamorskie, kółka z małą dziurką na środku, posypane cukrem, i gwiazdy, krajanki i serca, dragoni na koniach i lalki w lukrowanych powijakach, chłopki na rowerach i baby pękate — a wszystek ten piernikowy ludek

i zwierzyniec żółcił się i czerwieniał smakowicie w słoneczku, pachniał mocno a przyjemnie, że człowiekowi ślinka do ust spływała. Gdzie indziej zaś leżały stosy miodników i kupki cukierków o przeróżnych kolorach, tam wisiały różańce z piernikowych paciorków, dużych, jak foremne ziarnka bobu, a znów co jeden paciorek to inaczej zabarwiony; pobok wdzięczyły się błyszczące scyzoryki i drewniane koziki, pstrzyły złotawe pierścionki ze szklanemi oczkami, złociły guziki do mankietów, szczerzyły harmoniki różnej wielkości, wabiły oczy grzebyki i zwierciadełka, dopraszały się mocnego dmuchnięcia piszczałki, jedne ustrugane z drzewa, inne z blachy barwionej uklepane, a nawet z gliny upalone o wymyślnym kształcie i dziwacznej nazwie, tak zwane okaryny; były koguciki blaszane, którym się pod ogony dmucha i brąble, co się misternie a z gracją w zęby chwyta i palcem uderza po wystającym druciku; były i płaskie świstawki, co się na język kładzie, do podniebienia przyciska, a wtedy można udawać gila, ba nawet i słowika; ówdzie mieniły się w słońcu jedwabiste chusty i wstążki fruwające w powietrzu, czyniące wrażenie, że to ktoś kawałeczek tęczy rozczesał, do beleczki przytroczył i na wiatr rozpuścił, a teraz tęcza przebiera kolorami, że trzeba aż oczy mrużyć; tam znowu patrzyli w słońce wniebowziętemi oczyma przeróżni świątkowie na rozlicznych obrazach, chmurzyły się czarne różańce z krzyżami, gorzały bez świec świeczniki szklane, ze środka posrebrzone i w kwiaty malowane, stały białe figurki rozmodlone, kołysały się na sznurkach całe garście medalików świętych i agnusków, tańczyły na wietrze czarne i brunatne szkaplerze, — a ludziska przystawali gromadami, kupowali, targowali się, odchodzili, obraźnicy zaś na poczekaniu wymieniali imiona owych świętych, co na

obrazkach w niebo się patrzyli, wysławiali ich nabożność, przypominali w mig, od jakich to chorób skuteczny z nich patron i obrońca, i zgarniali pieniądze do pękatej kabzy skórzanej, co na biodrze wisiała.

Gęstwa ludzka przewalała się ogromną falą przez całą szerokość drogi, napierała na kramy, tworzyła zatory, rozpływała się, potem znowu gęstniała, wracała zpowrotem, gniotła, że raz wraz powstawał pisk i wydziwianie mocniej uciśniętych. A ponad ich głowy wynosiły się skłębione gwary i nawoływania; tu ktoś na cukrowym piszczku przeraźliwie wygwizduje, tam na okarynie żałośliwie beczy, tamten harmoniki próbuje, ten śwista na języku i treluje zawzięcie, że aż w uszach zalega. A za kramami urwanie głowy. I sprzedawać trzeba, i pieniądze zbierać i uważać czujnie na złodziejskie nasienie, i zachwalać, i wszystko. To też grube kramarki i chuderlawe żydy krzyczą i wołają, i zachęcają, i chwalą co niemiara swoje towary, językami mlaskają, żeby niewiernych przekonać, jak bardzo ich pierniki słodkie, i że z prawdziwej mąki, tej najbielszej, upieczone, i na prawdziwym miodzie zarabiane, i na duszę się zaklinają i na swoje zdrowie, że ich cukierki słodsze, aniżeli u sąsiada, a inne towary tańsze i lepsze, niż u wszystkich kramarzy razem wziętych. A raz wraz jeden i drugi dłonią zawzięcie macha, lebo też chusteczką osiewa, żeby natrętne, uprzykrzone osy i pszczoły łakome i trzmiele brzuchate jak najdalej odegnać. Skaranie boskie z temi myrszynami!., Zwiedziały się skądsiś o odpuście i teraz zdaleka lecą na przedbieżki, by pokosztować coś niecoś z owych rzadkich a zacnych smakołyków!..

W innem miejscu przystanął pyskaty drapichrust, ptak niebieski o piegatej gębie i zezowatych oczach, i głosem wielkim wydziera się i nawołuje ludek ciekawy do

siebie. Potrząsa nad głową woreczkiem, a w woreczku kostki szczerkają, a bez przerwy zachęca i przymawia, żeby tylko raz szczęścia spróbować, za ogon je schwycić, gdyż łacno można wygrać serce z piernika lebo scyzoryk, lebo też któryś czeski. Co już tam trafi. Poniżej drugi włóczykij, jeszcze mocniej pyskaty, trajkoce na gębie, jakby na burdaku, a językiem miele i rzuca się, i wyłamuje, i ręce rozkłada, a raz wraz do głębokiego miecha sięga, i pogmerze w nim dłonią i już wyciąga: to notes, to flaszeczkę atramentu, to papier listowy, ołówek czy szpulkę nici, i krzyczy przy tern, i wydziwia, i na czyjąś dłoń wyciągniętą zamaszyście kładzie, i bębni bez przerwy:

— A to jeszcze mało, a to jeszcze na przydawek, a to jeszcze ku temu, a to jeszcze, a to też, a to wszystko mało, a to jeszcze, a to wszystko za pięć czeskich! Kupujcie ludeczkowie, kupujcie, podarmo tu nie stójcie, bo kiery nic nie kupi, to ten bydzie głupi, kupujcie ludeczkowie, kupuuujcie!..

I tak ciągle w kółko.

Pozbierały się żebraki ze wszystkich stron świata i kupą wielką przywędrowały na ligocki odpust. Pousiadały teraz, gdzie mogły. Ten w przykopie, tamten w cieniu pod lipą, ów na trawniku, inny znowu na drodze, wszędzie ich pełno. Jedni przez nos wysoko wyciągają nabożną pieśniczkę o Częstochowskiej Panience Maryjce, drudzy przepitemi basami huczą, wychwalając wdzięcznie Matkę Bożą ze Pszowa, tamci pacierze klepią i głowami kiwają, i kołyszą się, i tłuką pięścią po piersiach, że aż dudni wokoło. Sypią się pieniążki do żebraczej kalety, szczodrze się sypią. Bo jakże tu skąpić czeskiego, kiedy tamci wzamian telkownem wynadgrodzeniem hojnie szafarzą?.. Odpuszczenie duszyczkom męki przeokrutne

w czyśćcu cierpiącym, lekkie odpoczywanie po śmierci i koronę ze szczerego złota, co każdą litościwą duszę chrześcijańską w niebie oczekuje, i z aniołkami królowanie w szczęśliwości wiecznej aż na wieki wieków, amen!., szczęście i błogosławieństwo boże na tym marnym świecie i wiele, wiele innych dobrych rzeczy. Co kto woli!..

A ponad gwarem i zamętem ludzkim huczą dzwony szeroko, szeroko, do kościoła wołają, a jeszcze wyżej idzie słońce po niebie, spokojne, stateczne, gorejące, złote, niesie się po wklęsłym błękicie powoli a z majestatem, ogromna monstrancja świetlista i cudów pełna, w którą ani spojrzeć nie można, a na calutki świat spływa z niej błogosławieństwo radości i smutków zapomnienie, i złości ludzkiej przebaczenie, i wszystko, co dobre a przesłodkie...

Gustlik, Helenka i Emil plątali się w tłumie. Chodzili od kramu do kramu, przystawali, sycili oczy niezmiernem bogactwem piernikowem, a Gustlik raz wraz sięgał do kieszeni i przesypywał w palcach pieniądze.

Kupi pierników, gdy dodom wracać będzie. Dwa serca. Jedno dla Helenki, drugie dla Broneczki. A dla mamulki i ciotki także musi coś wybrać. Po sporym kawale miodnika.

Kiedy dzwony ucichły, poszli za ludźmi do kościoła. Lecz kościół był już wypełniony do progu. Stanęli więc na stopniach. Koło nich była cisza. Jedni ludzie modlili się z książek, inni z pamięci, a poniektórzy rozewrzyłi kancjonały i czekali, skoro organy zaintonują.

Msza się rozpoczęła. Zabrzęczał dzwonek trzykrotnie, zahuczały organy, chwilę grały jakby w zamyśleniu, potem zeszły w melodję i ludzie zaczęli śpiewać. Jedną zwrotkę, a gdy skończyli — drugą, potem trzecią...

Czasami organy ucichały, jakoby odpocząć chciały.

Wtedy wracała cisza. I wnet szło w niej drobną ścieżyną dalekie śpiewanie księdza przy ołtarzu, organy odpowiadały echem, podejmowały opuszczoną melodję i zaczynały pieśń na nowo.

Organista grał dzisiaj tylko na tych grubych piszczałkach. Poszczególne tony zlewały się powolnie w szeroką, skłębioną, pozłocistą strugę, przetaczały się spokojnie po całym kościele, podnosiły pod sklepiony strop malowany, uderzały o wiązania gzymsów i łuków, odbijały się ciężko, to opadały wzdłuż ścian ku ludziom, to się znowu podnosiły ku górze, wypełniały każdy załomek muru, każdą wnękę i framugę, tłoczyły się barwnym tłumem ku ołtarzowi i tam opadały nakształt pomyślanej chmary ptaków, zatrzepotały się ostatni raz, jakby ptasiemi skrzydłami i ucichały zupełnie. A kiedy granie ustało i jeszcze tylko rozprószone echa błąkały się nieporadnie ponad głowami, wtedy od ołtarza przychodził znowu śpiew księdza, głosił wielkość Boga w królewskim języku, a każde słowo było jakoby w złoty ornat ubrane, dymiącem kadzidłem woniejące, wychodziło ściszone poza progi i rozpraszało się w słońcu, rozpływało w światło. A gdy śpiew ustał, organy zaczynały grać na cały kościół. Wtedy górnicy i baby podnosili opuszczone kancjonały ku oczom i chwytali się pospólnie śpiewu. A śpiew ich szedł pobok organowego grania, jak szary, wielki tłum koło księdza, który w czas Bożego Ciała pod baldachimem monstrancję niesie w kadzielnych dymach.

Hutnicy nie śpiewali. Chyba że któryś umiał pieśń na pamięć. Nie śpiewali, bo oczy od żaru roztopionego żelaza stępiałe, z trudem ujmowały drobne literki.

Gustlik słuchał i dobrze mu było. W pewnej chwili stanął na palce i spojrzał ponad głowy w mroczną głębię. Mrok był czerwonawy, prześwietlony miejscami skośnemi

snopami barwnego światła. Zwisające z pod stropu na długich, sczerniałych sznurach pająki migotały drobnemi tęczami w swych szklanych kryształach. U samych granic spojrzenia piętrzyło się wzgórze świateł na ołtarzu, barwiły wieńce i kwiaty, łyskały słońcem złociste ozdoby na świętych figurach, a nachylona postać księdza jarzyła się białą plamą.

Czasami zaszczebiotały dzwonki. Wtedy ludzie chylili się do ziemi głęboko, uderzali twardemi pięśćmi w piersi i święte słowa szeptali. A gdy dzwonki zamilkły, a klęczący ludzie jeszcze ich wołania czekali, zstępowała cisza na ziemię. Wtedy słychać było szum westchnień i stłumiony gwar tamtych, co przy kramach zostali, metaliczne ciurlikanie koników polnych i słodkie gędziolenie skowronków pod obłokami.

Msza się skończyła, umilkły organy.

Tłumy się zakołysały, zamieniły w rzekę, płynącą powoli po schodach kościelnych. Z pod niskich dwierzy wynurzały się pokolei wielkie kolorowe chorągwie, zielone, fioletowe, czerwone i inne, z przeróżnemi obrazami świętemi, z rozhuśtanemi frendzlami, z krzyżami u szczytu. Spostrzegł je wiater. Przyleciał do nich w tem okamżeniu i zaczął je rozwiewać, i szumnie kołysać, i pod słońce wywracać. Chorągwie chciały z wiatrem ulecieć. Szarpały się uparcie u przyczołów, łopotały barwnemi fałdami, klaskały radośnie, biły frendzlami po ludzkich głowach, że twarde a krzepkie dłonie, trzymające ich drzewca, mocno się zapierały, by nie pozwolić na takie zbytki,

A ludzka rzeka płynęła i płynęła.

Potem ukazał się złotem i srebrem haftowany baldachim, trzymany po bokach przez Wałoszka, Marka, Chrószcza i Warcęgę. Pod baldachimem szedł nachylony

ksiądz w bogatym ornacie, naszywanym złocistemi blaszkami i roziskrzonemi perłami. Szedł, a przed oczyma, trzymał rozsłonecznioną monstrancję. Zeszli teraz powoli po schodach, zaczęli obchodzić kościół. Dymy kadzielne motały się pachnącą przędzą koło głów ludzkich, mnogie dzwonki szczebiotały, a ludzie szli i szli, śpiewający Bogu, słońcu i swojemu sercu...

Ponad nimi zaś huczały dzwony, a ponad dzwonami, na przeczystym błękicie, gorzało ogromne słońce.

— Widzisz, to jest german! — szepnął Emil, kiedy ksiądz przechodził koło nich.

— German?

— No, Niemiec!.. Wiesz? bo naszego księżoszka Niemcy zawrzyli na miesiąc...

— Zawrzyli?..

— Nó, za kozanie polskie, wiesz?

— Cicho chłapcy! — syknął na nich groźnie sąsiad, stary chłop.

Ucichli.

Zaciekawiło to Gustlika. Postanowił się dowiedzieć wszystkiego, gdy będą wracali. Teraz nie Iza rozmawiać, bo jeszcze kto za ucho chwyci i pociągnie. A to potem wstyd wielki, gdyż ludzie widzą.

Po nabożeństwie poszli ku karuzeli. Zdaleka ją było słychać. Ogromna kataryna z wieloma piszczałkami i bębenkami ryczała i bębniła, a za nią stał obdartus jakiś i kręcił zawzięcie korbą. Pot mu się lał z twarzy, a on nic. Kręcił i kręcił. Raz prawą, raz lewą ręką. A koło kataryny tańczyły na ogromnem kolisku drewniane konie z podniesionemi kopytami i z roździawionemi pyskami, konie o przeróżnej maści, strojne w pióropusze i naszyjniki z barwnych szkiełek, migały płytkie kolaski i jakieś wymyślne kolebki. Na koniach rozpierali się dum-

nie chłopacy i co która śmielsza dziewczyna, a w kolaskach i kolebkach rozkoszowali się zawrotnym wirem ci, którym się konie nie dostały, lub którzy się trochę lękali zawrotu głowy. Najwięcej było w nich dziewczyn ze swoimi chłopcami. Dziewczyny chichotały lub piszczały z uciechy, a chłopcy obejmowali je wpół i pokrzykiwali wesoło. Naokoło karuzeli stała gęstwa ludzi i syciła oczy radością tamtych.

Właściciel karuzeli, ubrany za cudacznego Turka z ogromnym czerwonym fezem na włochatym łbie, patrzał władczem okiem na swoje królestwo i trzymał w dłoni rzemień, uwiązany do serca sporego dzwonka. A gdy katarynkowa arja dobiegała końca, dzwonił przeciągle. Wtedy chłopcy, popychający karuzelę na wysokim pomoście koło środkowego słupa, zapierali się nogami, przechylali w tył i hamowali jej rozpęd. A gdy stanęła i kataryna zamilkła, wówczas zmieniali się pasażerowie. Czubaty Turek szybko pozbierał do czapki pieniądze, zadzwonił z namaszczeniem, kataryna zaczęła ryczeć, a karuzela powoli się rozpędzała. I to tak ciągle wkółko.

— Ty, Helenka, pódź... siedniemy se na konia!.. — rzekł Gustlik.

— Eh, ni...

— Czemu?

— Tak...

— Hm, wszak Bronka toby się nie okoconiała. Zarozby poleciała...

— Co za Bronka?

— No... tam jedna dzioucha... z Karwinej...

— Twoja galanka?..

— Yhy!.. — i uśmiechnął się, bo znowu sobie przypomniał jej całowane usta w zbożu.

Helenka się nachmurzyła. Coś ją ukąsiło w serce.

Nic mu już nie chciała odpowiadać, a gdy nalegał, zbywała go półsłówkami, Gustlików zachwyt rozwiał się. Dojrzał, że miała dłonie popękane, nogi chude a koło nosa drobne piegi.

— Głupio koza!.. — pomyślał niechętnie.

Przewieźli się raz, bo Emil zaprosił. Ale w kolasce, nie na koniu! Potem szli kupować pierniki. Helence też. A dla mamulki i dla ciotki po wielkiej tafli miodnika.

Po drodze rozwinął paczkę i podał Helence serce. Było bez napisu i bez obrazka.

— Weź se, Helenko... — prosił, podając jej piernik.

— Dziękują!.. Nie potrzebują!.. Schowej se dlo Bronki — odburknęła.

— Eh, idź, głupio!.. — zgromił ją Emil — przeca nie wzgardzisz, kiedy to od Gustlika!

Helenka wzięła, lecz się nie rozchmurzyła.

— Dziękują! — mruknęła. A gdy szli po drodze, łamała po kawałku i rozdawała małym dzieciom. Gustlik udawał, że tego nie widzi. Lecz w duchu zżymał się. Helenka Była brzydka. Blada, cienka, chuda, a w tym swoim berecie czerwonym do owego karuzelowego Turka podobna.

X.

Gustlik dowiedział się od wuja dużo dziwnych rzeczy.

Wieczorem odprowadził Wałoszek swych gości na stację, pożegnał ich serdecznie i wrócił. Teraz Gustlik rozparł się wygodnie na ławie, patrzał przez okno w fioletową noc i słuchał rytmicznego stukotu kół wagonowych. Matka siedziała naprzeciw, czegoś mocno zamyślona.

Znajdowali się sami w przedziale. U powały mżyła drobnem światłem baniasta lampa.

Powoli jęły wyłaniać się z mroku wspominki dzisiejszych przeżyć, układały się pod rytm gnających kół, przybierały coraz wyraźniejsze kształty, nabierały życia.

Przypominał sobie wszystko.

Wuj tak wyglądał, jakby wielka troska uciskała jego serce. Rzadko się uśmiechał. W oczach miał zimną, wszystko wiedzącą mądrość. Gdy matka lub któryś z otoczenia coś opowiadał, patrzał spokojnie w oczy i nieznacznie przytakiwał głową. Gdy się z czemś nie zgadzał, zaprzeczał dłonią. Ruch jej przypominał ostre cięcie siekierą. Wtedy nikt nie miał odwagi podtrzymywać swego zdania. Gustlik doznawał w jego obecności coś w rodzaju niewytłumaczonego lęku, który krępował jego myślenie i onieśmielał do reszty. Jego wrażliwą naturę urażał chłód idący z osobowości wuja. Nie umiał tego nazwać. Wyczuwał jedynie, że podobnie byłoby mu, gdyby ciepłą dłonią dotykał zimnego żelaza. Rozumiał, że wuj go kocha, lecz to ciepło, idące z jego serca, przebywało jakąś daleką drogę, że stopniowo wystygało, zanim doszło Gustlikowego serca.

Podobnych ludzi spotykał w kopalni. Zwłaszcza pomiędzy starszymi górnikami. Przyglądał się nieraz ich pracy. Wysiłek, który wkładali w ruch swych ramion, w powolne napięcie mięśni, w uderzania młotem czy kilofem, wysiłek ten przywodził na myśl widok stropu, który niewidocznemi posunięciami obsuwa się do spongu, wyłamuje podtrzymujące stemple, miażdży je, rozgniata na strzępy, straszny w swej niepojętej sile. Nic go nie wstrzyma. Powoli a nieustępliwie zniża się i zniża, aż spocznie, gdzie zamierzył, kładąc pod sobą całe lasy

zdrzązganych podpór. Być może, że ludzie ci uspodobniali się do tamtego codziennego widoku.

Wuj był takim człowiekiem, jak tamci górnicy.

Kiedy mówił o Niemcach, zapalały się w oczach błyski, jakie można na końcu noża zobaczyć. Nie unosił się. Spokojnie mówił, lecz każde słowo było ciężkie, jak kamień, który człowiek chwilę w dłoniach waży, zanim rzuci.

Raz tylko się zapalił. Mówili wtenczas o książce, o „Krzyżakach". Długo o niej mówił. I nic. Porównywał krzyżaków z Niemcami. Przytaczał krzywdy, jakie czynili tamci, a jakie czynią Niemcy. Te same. Wymawiał słowa, jakby z mozołem, wiązał je w krótkie, twarde zdania, a prawa dłoń jego, wsparta na stole, zwierała się powoli w skurczoną pięść. Ciągle ją widzi. Ostre członki palców i napięte ścięgna, zaciśnięty kciuk i głębokie bruzdy i zmarszczki w miejscu, gdzie wskazujący palec dotykał dłoni, cały jej kształt wyrażał bezgraniczną zawziętość i upór, i czającą się gotowość do takiego uderzenia, któreby potrafiło zmiażdżyć przeciwnika. Ciągle tę pięść widzi.

I wtedy się tylko zapalił, gdy przytoczył napamięć zdanie z tamtej przedziwnej książki, zdanie, zawierające proroctwo świętej Brygidy, a odnoszące się do zakonu krzyżackiego:

„Przeto przyjdzie czas, iże wyłamane im będą zęby, i będzie ucięta im ręka prawa, a prawa noga im ochromieje, aby uznali grzechy swoje!"

Potem mówili o innych książkach. U wuja była pokaźna bibljoteka. Gustlik ją przeglądał. Były w niej książki, o których istnieniu jeszcze nie wiedział. Wuj powiedział, że często zbierają się u niego górnicy i hutnicy, a wtedy on im je czyta. Wszyscy słuchają i radują

się słowu polskiemu. Potem wszyscy pospólnie omawiają treść książki. A Emil zawsze musi stać za stodołą i uważać, czy kto nie idzie.

— Czemu? — zapytał zdziwiony Gustlik.

— Czemu?.. A bo nie wolno nam się schodzić. Niemcy to uważają za zebranie... A za takie zebranie trzeba płacić sztraf!..

— A skąd się oni mogą o tem dowiedzieć?

— Skąd?.. A bo mało to mają swoich szpiegów?.. Przyjdzie taki pieron, kolega z gruby lebo z huty, stanie pod dwierzami, posłucho i zaroz poleci do żandarma... Żandarm przyjdzie i do sztrafu piszę... Niewiela takich Judoszów, ale są...

— No, a jak Emil przyleci a powie, że ktosi idzie... co potem?

— No, to wyciągomy karty i zaczynomy grać... To wolno.

Gustlik pokręcił głową.

Potem mówił o swoim Józefie. Skarżył się, że coraz gorzej po polsku piszę, że zapomina języka swojego w wojsku, że nieraz wtrąca niemieckie słowa w zdania, a ostatni list, to już po niemiecku napisał. Ojciec mu go zwrócił z dopiskiem, że nie rozumie swojego syna po niemiecku. Będzie już temu ze dwa miesiące. Od tego czasu jeszcze nie pisał. Gdzieś go tam jakaś Margot, Szwabka obmierzła, usidliła. Pisał o niej kilka razy. Napomykał, że się z nią ożeni. Ojciec odpisał, że nie da błogosławieństwa, a gdy nie usłuchnie, wyprze się go i znać nie chce. Matka rozpłakała się przy tych słowach i mówiła:

— Taki twardy człowiek z tego ojca!.,

Do Gustlikowej matki tak mówiła.

A Gustlikowa matka zwróciła się do Wałoszka:

— No, dobrze, szwagierku, a jak się bydzie musioł ożenić?.. Jak już tam co z nią nakramarzył?

Wtedy Wałoszek spojrzał na nią, a w spojrzeniu tern był mróz. Jakby znienacka zimny mroźny wiew człowieka obszedł.

— To tem gorzej!..

I nastała ciężka cisza.

Helenka chodziła jeno na palcach po izbie, a szelest jej sukienki był ulgą dla wszystkich.

Potem Helenka wraz z ojcem poszła z nimi na dworzec. Ojciec jakoby zapomniał o zgryzocie i śmiał się po drodze. Śmiech ten jednak nie był śmiechem. Raczej jego cieniem. Jakby się światło słoneczne przesączało skróś ciężkich dymów. Helenka znowu była dawną Helenką. Szła obok Gustlika, ocierając się o jego ramię. Kiedy mu upadł na ziemię mały pakuneczek, w którym miał serce dla Bronki, schylili się obydwoje. Przez jedno mgnienie Gustlik miał przy twarzy jej włosy. Wtedy owionął go leciuchny, ciepły zapach jej ciała czy włosów. Dawna niechęć poszła w mroki, a została tylko jasna myśl o Helence. Już się nie gniewał.

— Ty, Gustlik, widzisz... jeszcześ jest zły na mnie? — zapytała nieoczekiwanie.

— Zły?..

— No, wiesz?.. Za to serce piernikowe...

— Eh, ni...

— No, to dobrze...

Wagon dudni pod stopami, trzęsie się, światło mruga pod powałą, a za oknem noc ocierała się miękko o szybkę, czasem wybłyśnie zabłąkanem światłem z swej głębi, czasem całą garść kuleczek świetlnych podrzuci bliżej okna, czasem rozrzedzi się w stacyjnych lampach,.

potem znowu przemieni w ciemnicę, przywrze do szybki i patrzy w ludzkie oczy.

Matka zaplotła palce w krzyż i wargami ruszała. Modliła się. Patrzyła się przed siebie, lecz nic nie widziała, bo w źrenicach miała kształt szeptanych słów świętych. Gustlik spojrzał w okno. Przypomniał sobie. Sięgnął do bocznej kieszeni i wyjął złożony list. Rozłożył pod światło i jął czytać.

Karwina, 27. I. 1904.

Kochany Przyjacielu!

Pragnę przenajmniej częściowo opisać te straszne chwile, które mi jeszcze dzisiaj stoją przed oczami i które przeżyliśmy z mojemi kolegami w czasie tego nieszczęścio u grofa, kiedy twój brat zginął, w roku 1894. 14 czerwca. We czwartek wieczór hawierze farali[46]) o swej bliskiej śmierci przejęci nie byli farali wesoło howorali[47]) wespół tak szol[48]) za szolą spuszczali się w dół- Zaczęli swą ciężką pracę jedni ze znakiem św. krzyża, drudzy z pieronami. Naraz około 8-mej godziny wieczór okropny huk, potem dym, wielkie jęki, hałas krzyk wołanie, wszystko, kto się czuje żywy, niech ucieko pod szachtę. Niechaliśmy wszystkiego i tak wspólnadzy uciekaliśmy pod szachtę. Szczęśliwie przybyliśmy pod szachtę, a tu widzieliśmy, że się prędko niedostaniemy na wierch, tak z mojemi kolegami postanowiliśmy farać po fartach[49]). Mnie Bóg dał to

[46]) farać — iść, schodzić.

[47]) howorać — gawędzić.

[48]) szol — winda.

[40]) farać po fartach — schodzić lub wychodzić po drabinach w szybie.

szczęście że w tenczas robiłem w takim przodku gdzie eksplozja nie doszła a uciekaliśmy pod szachtę z wiatrem. Ale ci którzy musieli uciekać do wiatru, to byli nieszczęśliwi, bo się udusili w dymie. Chcąc farać po fartach musieliśmy się kawałek wrócić na ferszlag[50]) a tu naroz takie straszne powietrze trujące a wicher i tak jakby kto ciepoł kamieniami wielkiemi i miotło tern strasznem prochem z węgla i dusiło nas. Zatykaliśmy usta i nos ażebyśmy się tego dymu nienapołykali a już nie było Iza ani kroku iść naprzód, bo oczy były zasypane tym prochem z węgla i słabi byliśmy. Siedlimy se na blotniach[51]) oczekujący ostatnich chwil i zdawało się nam że jasności Bożej już nie uwidzemy bo straszny dym nas okrył, lampy nóm pogasły a my się pościskali do gromady i tak czakaliśmy śmierci lub Boskiej pomocy. Aż tu naroz ten biały dym się rozchodzi, czujemy że lekciejsze powietrze przychodzi i już możemy lepszy dychać i dzięki Bogu wszyscyśmy zostali przy życiu i mówiemy jeden drugiemu spróbujmy powoli iść po piesku ku szachcie aż tu nareszcie widzemy, że dymy się dzwigły a wiater je żenął. Pomodz przyszła i wyratowali nas, dali nam lampy i doszliśmy do szachty. Szczęśliwie dostaliśmy się na wierch, a tu już pełno na blotniach hawierzy jedni umarli inni konający, księża przynoszą im ostatnią pociechę, co za straszny widok. Byliśmy słabi zabrali nas do cechowni pokrzepili nas trochę koniakiem a tak powoli doszliśmy szczęśliwie dodom i dziękowałem Bogu za cudowne oca-

[50]) ferszlag z niemieckiegc Querschlag — przekop, główny ganek.

[51]) błotnie — płyty żelazne (rozjazdowe).

lenie. A twój brat szedł tamtych ratować, mnie uratowoł i został w wilhelmflecu[52]) zasypany...

Gustlik powiódł dłonią po czole, myśli chciał zgarnąć. Ujrzał to wszystko własnemi oczyma- Wypełniło się serce męką i przerażeniem tamtych. Spojrzał w okno. Dojrzał w niem przekop, czarny, bezgwiezdny, zatruty czadem sinym, w którym jego bracia konają. Zatrząsł się.

— Co to czytosz, Gustliczku? — zapytała matka.

— Wiecie mamulko, to jest pismo... Doi mi go ujec... Mówił, że to pisoł Kumorek z „Franciszki"... Do ujca go pisoł o moim ojcu... Ujec mi go doł... powiedzioł, że to na pamiątkę...

— Kumorek?.. a tak, oni się znali... To byli dobrzy kamraci... A Kumorek znoł się też z twoim ujcem... Tak, tak, na świecie...

Nastała cisza. Odmierzał ją rytmiczny klekot kół wagonowych i jednostajne pełganie światła u powały. Matka i Gustlik zamyślili się. Obydwoje o tem samem myśleli. O tamtym „dniu gniewu Bożego”, jak powiedział stary proboszcz Sieprawski, kiedy nad ogromną, szeroką, długą mogiłą rozwartą stanął, a w grobowisku czerniły się posępnie rzędy trumien. Już temu dawno. Gustlik wtenczas jeszcze był małym chłopieczkiem, więc nie wiedział dobrze, co się to dzieje. W dziewiątym miesiącu życia trudno przecież coś zrozumieć. Dzwony wtedy biły i biły, a tak jakoś strasznie, i tak jakoś dziwnie, jakby razem z ludzkiem sercem jęczały z przeogromnego bólu. Słońce stało na niebie, a drobne chmureczki raz wraz przesłaniały je cieniem. A naokoło ludzi!... Zdaleka przyszli ludzie, ze wszystkich stron świata...

---

[52]) Wilhelmfletz — pokład Wilhelma.

Gustlik znał to wszystko z opowiadań matki. A opowiadania te straciły jaskrawość rzeczywistości, wyblakły w czasie, jak obrazki wypłowiałe, zatraciły kontury- Wiedział, że to było coś strasznego, straszniejsze, niż widok pożaru w ciemną noc jesienną, lecz nie umiał zejść w bezdnię tamtej ludzkiej udręki i obłąkanego bólu. W kopalni stykał się z górnikami, którzy czasem wspominali owe chwile. Mówili o tem spokojnie, jakby o rzeczy, która tylko snem była. W głównym chodniku w „Wilhelmie" dotykał dłonią spalonych ścian węglowych. Ogień wżarł się na długość dłoni w jądro węgla i zostawił po sobie gąbczastą, chropowatą powłokę, podobną do koksu. Chodnik był czarny, czarniejszy niż wszystkie inne. Nie było w nim ani jednego stempla, bo strop był zdrowy. Tam, gdzie stemple stoją, zawsze wydaje się jaśniej, bo światło lampki pomnaża ich biel, zdaje się, sięga głębiej w mroki, a oczy ludzkie mami zbiedniałą ułudą życia i światła dziennego. W tamtym chodniku spalonym stał mrok gęstą, zwartą ścianą, rozstępujący się przed lampą na kilka kroków zaledwie. Spojrzenie ludzkie tonęło w nim, nie mogące uchwycić najmniejszej plamki jaśniejszej, a człowiekowi wydawało się, że zstąpił na dno głębokiej, czarnej wody. Uczucie osamotnienia kładło się na serce ciężarem nie do zniesienia.

W owem miejscu, kiedy samotny przechodził, wypełzał lęk, ztyłu zachodził cichaczem, umykających stóp się czepiał, podnosił, do serca jadowite zębce wbijał. Gdzie indziej nie doznawał tego uczucia. Chyba jeszcze w takiem miejscu, w którem kogoś spadające kamienie zabiły. Poza tem nigdzie więcej.

Teraz ujrzał tamten spalony chodnik. Odczuł czający się lęk w bezdni jego ciemności, posłyszał krzyk kła-

dących się na spongu górników, których ogień i dym dławi. A między nimi jego ojciec!.. A między nimi jego ojciec!..

Odgarnął znowu myśli z czoła, podniósł niedokończony list pod światło i jął dalej czytać.

...i został w wilhelmflecu zasypany. Kiedy jeszcze był na wierchu, to żoden nie chcioł iść nas retować, bo się okropny dym kurzył ze szachty, wszyscy wiedzieli że tam śmierć czako na każdego. A twój brat, Boże mu tam dej radość wieczną, powiedzioł takie słowa. Hawierze, tam nasi bracia giną, retować ich muszymy, pódźcie ich retować. Tak powiedzioł i zjechali do szachty i mnie twój brat wyratował a potem poszedł z inżynierem i z drugimi hawierzami ku wilhelmflecowi kaj już wszystko gorało i dym szoł okropny a ludzie tam jeszcze byli. Co się dało to wyretowali ale potem jeszcze był jeden wybuch koło godziny drugiej rano i oni wszyscy tam zostali bo się strop zawalił i zasypało ich tam na wieki...

— ...i zasypało ich tam na wieki!.. — powtórzył półgłosem. Przymknął oczy. Wtedy pod powiekami ujrzał swego ojca. Idzie na przedzie, po jego stronie inżynier, za nimi dwunastu straceńców. Pełgają małe światełka, omotane białym dymem. Nachylają się, szukają pobitych braci. A gdy znajdą, na plecy biorą i wynoszą... Dym dławi. Aparaty przepuszczają czad, tlen miesza się z nim, krztuszą się płuca, śmierć na palcach obchodzi każdego, w duże, okopcone okulary ślepi każdemu, dotyka ich skroni, rozczapierzoną dłoń pod gardło każdemu przybliża, gmera stukocącemi, kościstemi paluchami, gotuje się do uchwytu... Jeszcze czas!... Serca truchleją, skomlą w obłąkaniu, zamierają powoli- „Tam nasi bracia giną!

Ratować ich musimy!”... — Idą więc. Ojciec na przedzie. Wiedzie tamtych i wiedzie, nurzają się w nieprzejrzanej topieli skłębionych dymów, szukają dłońmi pod ścianami, podnoszą czyjeś zwłoki... Jeszcze dalej!.. Jeszcze!,. Doszli do kresu. Nieoczekiwanie ryknął ostatni wybuch, skołtunił się potwornem echem, runął w tlejące ganki, rzygnął zbałwanioną ścianą ognia, przyleciał, prasnął ludźmi o spong, zdeptał, zmiażdżył, zadusił, wyrwał ostatnie stemple, przegryzł spojenia stropu, wyważył!.. Teraz strop się wali... Jezus! Maryjo!..

— Nale, Gustlik! Cóż tak maryjujesz? Cóż ci się stało? — zawołała matka, wystraszona jego nagłym okrzykiem. — Cóż ci się stało?

Gustlik siedział skurczony, schyloną głowę trzymał w dłoniach. Podniósł ją powoli. W oczach miał jeszcze obłąkanie. Otrząsł się i, zawstydzony trochę, uśmiechnął zakłopotany. List leżał na podłodze. Podniósł go.

— Eh, nic, mamulko — jął się usprawiedliwiać — czytom pismo o swoim ojcu, jak zostoł w hawierni... I zdowało mi się, że...

— Że co?

— Że się strop wali...

— Eh, idź, idź!.. Zdrzemnąłeś się, cosikej śnisz, a teraz dojeżdżomy do Bogumina, wagon skocze po wekslach[53]), a tobie się zdowało, że to w hawierni wali. No, zabierej się, bo muszymy przesiodać!

Opadły z niego wszystkie poprzednie myśli, rozleciały się. Zostało tylko ojcowe wołanie: — „...tam nasi bracia giną, retować ich musimy!"... Chwilkę miał je w świadomości, słyszał ich chropowate brzmienie, potem przybrały jakoby kształt złocistych kamuszków zsuniętych z dłoni w głęboką wodę. Utonęły w jego sercu,

---

[53]) po zwrotnicach.

jakby owe kamuszki na dnie tamtej wody. A woda była czysta jak kryształ. Kiedy się nad nią schylić, prześwietlają z jej dna złociste kamuszki.

XI.

Helenka miała pójść do świętej komunji wraz z innemi dziećmi akurat w dzień odpustowy. Dzieci było sporo. Jedne niemieckie, drugie polskie- Poprawdzie to nie znalazłoby się wiele niemieckich; lecz kilku pampuchów[54]) i zbałamuconych robotników dało się namówić, by ich dzieci uczyły się religji w języku niemieckim, za co miały przyrzeczone ze strony dyrektora Langhorsta nowe ubrania na dzień pierwszej komunji. Reszta — to dzieci kilku urzędników i podmajstrów kopalnianych i hutniczych.

W szkole uczyły się razem. Wszystkie przedmioty wykładali nauczyciele w języku niemieckim, a jedynie naukę religji uczono w języku polskim i niemieckim. Ksiądz proboszcz jej uczył. W klasie, po jednej stronie siadywała garstka dzieci niemieckich, po drugiej mnoga ilość polskich. Ksiądz proboszcz wykładał wszystko po polsku, dokumentnie, jak się patrzy, a następnie w kilku zdaniach kazał streszczać swój wykład po niemiecku. Czyniła to zawsze Helenka, jako najstarsza w klasie i najlepiej umiejąca po niemiecku. Jeżeli czasem Helence zaplątał się język, lub jęła się gubić w zawiłych wywodach, nie dających się łatwo przetłumaczyć, przychodził jej z pomocą ksiądz proboszcz.

Ksiądz proboszcz nie miał w tym wypadku żadnych wyrzutów sumienia, że nie spełnia należycie swego

---

[54]) pampuch — tyle, co gazda na Śląsku ciesz. W tym wypadku nazwa pogardliwa.

obowiązku duszpasterskiego. Wiedział dobrze, że tamte jakoby niemieckie dzieci rozumieją dobrze po polsku, gdyż jeżeliby nawet które z nich było dzieckiem naprawdę pochodzenia niemieckiego, to już dawno nabrało biegłości w języku polskim, wyrastając w otoczeniu i pod wpływem współtowarzyszy, posługujących się nim nietylko na ulicy, ale i na przerwach i w obrębie całej szkoły.

Kierownik i nauczyciele zwalczali zawzięcie ten nałóg, za jaki poczytywali używanie języka polskiego w obrębie szkoły, częstokroć karali dotkliwie winowajców, wymierzali spore razy batów uporczywym, zamykali po nauce, dziewczyny zaś bili trzciną po dłoniach, lecz to niewiele skutkowało. Dzieci na widok przechodzącego nauczyciela milkły i zaczynały się w komiczny sposób porozumiewać na migi, a ledwie „german" znikł za węgłem, podnosił się znowu hałas i gwar w języku ojczystym.

Jeden z nauczycieli próbował zaprowadzić w szkole system donosicielstwa. Obiecywał sute nagrody temu, kto dla dobra ojczyzny — jak prawił z emfazą — współpracować będzie z nim w tępieniu „dieser miserablen wasserpolnischen Sprache". Niewiele wskórał. Wszystkie dzieci utworzyły wspólny front bojowy przeciwko nauczycielom. Nawet i te niemieckie. O ile się które nie czuło w swym żywiole, by działać nąprzekór nauczycielowi, to lękało się twardej pięści najstarszych chłopców-wodzirejów- A ci mieli istotnie pięść wielce twardą.

Co nauczyciele zepsuli w szkole, naprawiali rodzice w domu. Wieczorami uczono swoje i sąsiadowe dzieci przeróżnych historyj, czytano książki, starsi chłopcy pilnowali młodszych braci czy siostry, rozdawano sobie wierszyki, a kto się wcześniej nauczył, dostawał od ojca czeski lub nawet dwa.

Na lekcji religji wykładał ksiądz proboszcz po polsku. Godzina ta miała zawsze dla dzieci urok zakazanego owocu, który im nieoczekiwanie pozwolono zerwać i smakować w nim. A ponieważ nauka pisowni polskiej naogół szwankowała, ksiądz proboszcz polecał na każdej lekcji, by dzieci przepisywały z katechizmu na czysto, bez błędów, tyle a tyle zdań. Niby dlatego, żeby się lepiej mogły nauczyć zadanej lekcji. W rzeczywistości zaś, by umiały po polsku pisać. Innego sposobu nie było.

Helenka nietylko, że przepisywała dokładnie i bez błędów każdą lekcję, nietylko że umiała wszystko na pamięć, lecz celowała w umiejętności recytowania przeróżnych wierszy, co jednało jej ogromny mir pośród kolegów i koleżanek. Częstokroć zasiadała w kole, z podwiniętemi nogami, koło niej gęsty wieniec chłopców, a ona wygłaszała wiersze. Jeden, drugi i trzeci. A gdy skończyła, wszyscy prosili:

— Helenko, jeszcze jeden!... — i głaskali ją po twarzy i przymilali się, czem który mógł. Ten jej podsuwał kawał chleba z powidłami, tamten garść guzików, które wygrał od kolegów, inny kilkanaście piór, również wygranych, a Karlik Szerokiego przyrzekał, że jeżeli jeszcze powie dwa wiersze, to jej będzie grał na harmonice przez całą drogę, gdy ze szkoły będą wracali, a za jeden wiersz będzie grał do ligockiej kępy. A Helenka za muzyką przepadała. Godziła się więc na dwa wiersze, za co jej Karlik istotnie całą drogą wygrywał.

Nikogo nie dziwiło, że Helenka góruje nad wszystkimi znajomością tylu wierszy- Raz, boć to przecież „konteska", najładniejsza dziewczyna, to się musi czemś wyróżniać, a po drugie, bo ojciec jej — wiedzieli wszyscy* o tern — miał w domu bibljotekę, z której mogła dowoli korzystać. Nieraz i chłopcom pożyczała jedną i drugą

książkę. Lecz że chłopcy nigdy rąk nie myją, zabrudzili je i odtąd już tego nie czyniła. Tylko im opowiadała na hałdzie lub przy kozach, co w nich wyczytała lub co od ojca słyszała.

Utarło się bowiem, że prawie co wieczora zbierało się u Wałoszka kilku sąsiadów. Zasiadali wszyscy wkrąg koło stołu, Wałoszek zaś nakładał okulary, otwierał książkę i czytał. Czytał powoli i z namaszczeniem. Każde słowo wypowiadał, jak ksiądz na ambonie, gdy ewangelję czyta. A tamci słuchali. I byliby tak słuchali nie wiedzieć jak długo, gdyby znużenie nie zamykało zmęczonych ócz, że powieki raz wraz ciężko się przywierały.

Wałoszek nie czytał dosłownie, jak w książce stało. Gdy dochodził do jakiegoś miejsca, które według jego mniemania wymagało lepszego zrozumienia, poprawiał autora. Na poczekaniu wyszukiwał ozdobniejsze słowa, nizał je szybko w kwieciste szeregi, wplatał w czytany tekst i wygłaszał w taki sposób, że nikt nie spostrzegł, iż to Wałoszek z własnej fantazji dodaje, A Wałoszkowi serce pęczniało z radości, widząc, że w zapatrzonych oczach wybłyskują łzy i że raz wraz ktoś tam z grona chrząka i ukradkiem powieki przeciera. Takim majstrem w czytaniu był Wałoszek.

Na drugi dzień to samo. I tak długo, aż książkę skończono. Potem przychodziła druga, następnie trzecia. Jeżeli nie miał czasu, zasłaniał jedno okno firanką do połowy. Wtedy wszyscy mogli już wiedzieć, że dzisiaj nie będzie nic z czytania- I zawracali z żalem.

Ażeby zachęcić innych do czytania, używał swoistej a pomysłowej metody. Czytał i czytał, aż doszedł do jakiegoś miejsca, przy którem wszyscy dech wstrzymywali, a serca dygotały ze wzruszenia. A wtedy urywał.

W miejscu najbardziej ciekawem. Zamykał książkę i mawiał:

— A co się dalej stało, to se sami musicie przeczytać,..

A że człowiek nie mógł nijak zmiarkować, co się potem stało, a ciekawość przenaramnie paliła, dobijano się więc o książkę i czytano zachłannie, podawając ją sobie z rąk do rąk. Wracała po kilku dniach do Wałoszka, zbiedzona, odarta, brudna, czasem bez kartek, ale Wałoszek tylko się uśmiechał. Helenka nie mogła zrozumieć, jak można się wtedy uśmiechać. Dziwiło ją to bardzo. Onaby już takiej książki nie przyjęła.

Czasami zachodził do nich wieczorem jakiś obcy człowiek. Pan, nie pan, coś podobnego. Mówił inaczej, niż wszyscy, jakoś śpiewniej i miękciej. Ojciec mawiał, że to jest student z Krakowa z towarzystwa... jak on to nazywał?... Eleuzis czy jakoś. Pan ów przynosił ciężką walizę, witał się ze wszystkimi, potem wydobywał książki. Całe stosy książek. A gdy już wszyscy spać poszli, schodzili się inni. Najczęściej Ściskała i Marek. Widziała ich przez szparę we drzwiach. Siedzieli za stołem, nachyleni głowami ku sobie, a student coś im opowiadał i opowiadał. O czem? miły Bóg raczy wiedzieć. Ale w każdym razie coś bardzo ciekawego, bo wszyscy tak słuchali, jak ani nie wiem co. Światło na stole było przyćmione, a w jego nikłej jasności bielało wysokie czoło tamtego pana, błyskały oczy i lśniły równe zęby w czerwieni ust. Białe dłonie opierał na stole, czasem je zaciskał w pięści, czasem składał, jak proboszcz przy ołtarzu, a czasem także tłukł szybko, drobno po krawędzi stoła, a tamci głowami kiwali i żywo przytakiwali. Potem Helenka szła spać, bo się nie mogła doczekać końca. Nad ranem ów pan odjeżdżał z próżną walizką, odprowadzany na

kępę przez Marka lub Ściskałę. Powtarzało się to co kilka miesięcy.

Wtedy znowu schodzili się gęściej sąsiedzi, siadywali do późnej nocy i słuchali Wałoszkowego czytania. Helenka zazwyczaj wchodziła do łóżka, opierała się o ścianę, podciągała kolana ku brodzie, ujmowała je w ramiona i, nie spuszczając oka z ojcowych ust, słuchała i słuchała. Tak długo, aż ją sen zmorzył.

Teraz miała pójść do komunji. Nikt się nie dziwił, że tak nieskoro, gdyż już jej przecież trzynaście lat. Przeszłego roku chorowała na ospę, a zaprzeszłego należała do tych nielicznych dzieci, które strajkowały- Nie było wtenczas księdza proboszcza. Zastępował go w tym okresie jakiś inny ksiądz, który uczył religji tylko po niemiecku. I za karę nie dopuścił jej do komunji.

Zanosiło się wtenczas na ciężką burzę w Ligocie. Na szczęście dawny ksiądz proboszcz, przebywający na rekolekcjach za jakieś przewinienie natury politycznej, powrócił nieoczekiwanie i ludzie się uspokoili.

I teraz znowu wszystko się odwlekło. Ksiądz Meisel zamierzał dokończyć przygotowanie dzieci i w odpust dopuścić je do komunji, lecz rodzice zaprotestowali.

— Nie potrzebujemy — mówili — poczkómy, aż nasz księźoszek wróci...

Ksiądz Meisel zżymał się i obiecywał, że na kazaniu zgromi parafjan za ową niedorzeczność. Lecz nie znalazł sposobności. W pierwszą niedzielę i w odpust ujrzał z ambony pusty kościół. Ledwie jedna i druga nabożniejsza babka przykucnęła gdzieś w kącie. A wszyscy ludzie tymczasem czekali przed kościołem. Uparli się, że nie będą słuchali kazania Niemca i na swojem postawili, W trzecią niedzielę ksiądz Meisel zmienił plan. Nie wychodził już na ambonę przede mszą, lecz po jej ukoń-

czeniu zeszedł ze stopni ołtarzowych ku balaskom i zaczął czytać ewangelję. Ludzie wysłuchali jej nabożnie. Lecz zaledwie rozpoczął pierwsze słowa kazania, w kościele powstał rumor i hałas, i wszyscy, co do jednego, opuścili księdza- A pierwszy wyszedł Wałoszek,

— Nie bydemy słuchali germana i zbyte! — zapewniali jeden drugiego.

A kiedy wreszcie na czwartą niedzielę powrócił ich proboszcz z więzienia, wprowadzono go w triumfie do kościoła. Ludzi było jeszcze więcej niż na odpuście. Muzyka grała na drodze, dziewczyny ustroiły się w białe szaty i poprzedzały kolasę, a wszyscy się cieszyli i oczyma głaskali zbiedzoną twarz starego proboszcza, który miał jeno ten łagodny uśmiech w podzięce za ludzkie serca.

Na pierwszem kazaniu wszystkie kobiety spłakały się. A z chłopów — kto miększej natury. Chociaż proboszcz unikał wzmianki o minionych chwilach, to jednak sam jego widok wystarczał, by wzruszyć serca ludzkie. Wydawało się każdemu, że ich księżoszek mocniej się przychylił i że włosy bardziej posrebrzały, a na zmarszczonej twarzy widnieje większe znużenie. Kiedy prawił kazanie, baby bez przerwy pochlipywały, a robotnicy i chłopi wzdychali i jakieś twarde słowa żuli w zębach.

— Za dwa tygodnie przystąpią dzieci ligockie do pierwszej komunji świętej —■ ogłosił księżoszek po kazaniu. — Posyłajcie je więc pilnie na naukę religji, gdyż stracony czas musimy odrobić!..

Dobrze. Co księżoszek powie, to wszystko dobrze. Posyłali więc pilnie, doglądali je w domu, żeby też czasu nie mitrężyły. A chociaż wracały ze szkoły później, nie

szemrali. Nawet tę troszkę opuki[55]) odżałowano, którąby przez ten czas na hałdzie uzbierały.

Przelewać — to się nikomu zbytnio nie przelewało. A taki chłopak jeden z drugim, ba nawet i dziewczyna, toć zawsze jakąś pomocą w domu- Zarobki mizerne, bardzo mizerne, to dzieci snadno mogą w trudnem żywobyciu ulżyć, jeżeli każdy dzień uzbierają jeden lub dwa kosze węgla na hałdzie. Co się w domu nie spotrzebuje, pampuchowi się sprzeda i zawszeć jakiś czeski z tego kapnie. Przynajmniej na tę sól lub skrawek chleba. Zawsze coś,

Ale jeżeli ksiądz proboszcz powiedział, że ważniejszą rzeczą nadobowiązkowe godziny religji, to to istotnie tak temu będzie.

Mijał dzień za dniem. Jeden do drugiego podobny, jak te szare kamienie na drodze.

Zbliża się ostatnia niedziela. Helenka się niecierpliwiła. Ubierze się w białą, nową sukienkę, wystroi jak drużka na wesele, i przestąpi jakoby wrota złociste, poza któremi coś nowego ją czeka. Co takiego, nie wiedziała dokładnie. Ale w każdym razie coś niezwykłego, z radosnem drżeniem oczekiwanego.

Tymczasem jej radość zamąciło nowe zdarzenie.

Jej ojciec, Marek i Ściskała zostali skazani na dziesięć dni aresztu i sporą grzywnę. Sojka częściowo nasycił swoje pragnienie zemsty. Za namową Langhorsta wniósł skargę do sądu o ciężkie uszkodzenie ciała. Wprawdzie nie miał świadków, lecz na rozprawie przedłożył sędziemu krzyż, niedopalone świece i Pismo święte, które Wałoszek zapomniał zabrać z wnęki hałdowej w ów pamiętny wieczór. Teraz już nie było wyjścia.

---

[55]) opuka — odpadki węgla, zbierane na hałdzie.

Trudno się bowiem do krzyża nie przyznać- Grzechby to był przewieczny. Świec możnaby się jeszcze wyprzeć, ale krzyża i Pisma świętego, to już nie!.. Musieli się przyznać.

Zasiedli w ponurej, niebielonej sali na ławie podle ściany. Kiedy weszli do środka, ujrzeli za stołem sterczącego sędziego, zapatrzonego w akta i aplikanta sądowego, grzebiącego w papierach. Sędzia miał znudzony wyraz twarzy, aplikant, tłusty i nalany, jedną dłonią przewracał szeleszczące karty, a w drugiej trzymał ołówek i coś pilnie zakreślał w papierach. Czasem podnosił okrągłe, rybie, bezmyślne oczy, wsuwał mały palec do ucha, zatrzepotał nim szybko, obejrzał paznokieć, wytarł z woskowiny do surduta i znowu zaczął przewracać karty. Sędzia patrzał z pogardliwym uśmieszkiem na wchodzących, bębnił zlekka ołówkiem po stole i czekał, skoro nastanie cisza.

Zaczęło się przesłuchanie Sojki.

Sojka zeznawał po niemiecku. A raczej — zaczął zeznawać, bo wkrótce zaplątał mu się język w gąszczu niemieckich słów i zniecierpliwiony sędzia przerwał mu uderzeniem dłoni o stół. Wtedy Sojkę wyręczył adwokat jego, umiejący po polsku. Szeroko, barwnie, ze swadą i tupetem przedstawił poświęcenie Sojki, który z narażeniem życia, a w najlepszym wypadku — zdrowia śledził konspiracyjne zamierzania podsądnych, odmalował scenę przysięgi, składanej przez oskarżonych we wnęce hałdowej, podkreślił jej niebezpieczeństwo, godzące w istniejący porządek rzeczy i w zasadzie zmierzające do buntu, a wkońcu wysunął najcięższy zarzut, domagający się przykładnego ukarania, zarzut zdradzieckiego napadu na Sojkę ze strony podsądnych, jego pobicie i wynikłe stąd straty i koszta, jakie poniósł powód skut-

kiem tygodniowej niezdolności do pracy i leczenia się w domu.

W sali drzemała ociężała cisza. Muchy tłukły się z brzękiem po zakurzonych szybach okiennych; a prędki, migotliwy głos obrońcy wirował w leniwej ciszy, jak zardzewiałe dudnienie przybłąkanego trzmiela, który próżno usiłuje wylecieć na zaokienne pola.

Wszystkim ciążył upał skwarnego dnia. Okna nie były otwarte z powodu hałasu, jaki niecił ogromny walec parowy, ubijający drogę koło gmachu sądowego. Jego suche, odmierzone, żelazne szczekanie przechodziło zwiotczałym głosem do sali- Sędzia zgarnął czoło w poprzeczne fałdy i słuchał pilnie, pragnąc powiązać rozpraszające się myśli. Nad jego głową, na środku ściany, wisiał portret cesarza. Patrzał na salę z obrębu złoconych ram, zachmurzony, władczy, w pikielhaubie na głowie, z wygiętemi pod oczy końcami wąsów, z wypiętą piersią, ubraną w kirasjerski pancerz.

Wałoszek spojrzał w pewnej chwili na niego i uśmiechnął się. Przypomniał sobie tamtego Turka karuzelowego na odpuście ligockim. On również stał w taki sam sposób. Nadęty, ze ściągniętemi brwiami, sztywny, patrzący zgóry na toczące się koło niego koniki drewniane i malowane kolaski.

Trącił Marka i wzrokiem wskazał na obraz.

— Turek z odpustu!.. — mruknął.

Marek chwilę patrzał. Potem rzucił Wałoszkowi w ucho:

— Pieron jasny!..

— Trusiok od mojego sąsiada!.. — dodał Ściskała, przechylając się do Marka.

— Ruhe dort!.. — warknął ode drzwi nasrożony żandarm.

Adwokat tymczasem kończył swój krasomówczy popis. Sojka triumfował. Niewiele rozumiał, lecz przypuszczał, że jeżeli obrońca tak dużo mówi i tak szybko, i z takiem przejęciem, to już tam zapewnie swego dokona. Tem bardziej, że nawet aplikant podniósł głowę i słuchał ciekawie. Pan sędzia także słuchał, patrząc w okno. A tamci trzej pod ścianą... ho! ho!., tamtym trzem z pewnością skóra cierpnie!.. Ale dobrze im!..

Adwokat w zakończeniu swej mowy wskazał szerokim, teatralnym gestem na stół, gdzie czernił się Wałoszków krzyż, bielały niedopalone świece i lśniła ciemna oprawa Pisma świętego.

Skończył.

Wtedy sędzia poprawił się za stołem, a wlepiając wzrok w oskarżonych, zapytał po niemiecku:

— Byliście w dotyczącej nocy na hałdzie ligockiej?

— Nie rozumia, panie sędzio — rzekł spokojnie Wałoszek, wstając z ławy. Za nim podnieśli się Marek i Ściskała.

— Proszę przetłumaczyć podsądnym moje pytania! — zwrócił się sędzia do aplikanta. Aplikant przetłumaczył.

— Bylichmy, panie sędzio, wszyscy trze — potwierdził Wałoszek.

— Co tam robiliście?

— Nic takiego, co sprzeczne z ustawami!..

— Nic?

— Nic!..

— A czyją własnością jest ten krzyż, świece i Pismo święte? — zapytał, wskazując wypieszczoną dłonią na wymienione przedmioty.

— Naszą!.. — rzucił twardo Marek.

— Wystarczy... — mruknął sędzia, nie wiedzieć, do kogo. Aplikant notował pilnie każde słowo.

Sędzia, nie patrząc na nikogo z obecnych, ogłosił wyrok. Każdy z oskarżonych skazany na dziesięć dni aresztu bez prawa zamiany na grzywnę, następnie na 50 marek grzywny jako wynagrodzenie dla powoda Sojki za ból i koszta leczenia się, oraz wszyscy wspólnie ponoszą koszta sądowe.

Sojka zatarł dłonie.

Kiedy wychodził za swym obrońcą, zetknął się z Markiem w progu,

— Popamiętej ty dziadzie, że cie zabija!.. — syknął przez zęby Marek, nachylając się do jego ócz.

Sojka cofnął się przerażony. Obejrzał się szybko. Tuż za nim stał żandarm. Uczuł się bezpieczny. Uśmiechnął się zjadliwie i przeszedł koło Marka, usiłując zachować wzgardliwą obojętność, Nie mógł, bo serce ujmowały jakieś zimne, drapieżne palce i gniotły boleśnie. Na potylicy czuł wzrok Marka. Jak dwa drobne kłucia szpilką. Skurczył ramiona, skulił się i wybiegł z gmachu sądowego.

Nazajutrz poszedł Wałoszek z towarzyszami do aresztu.

Pozostawił w domu płacz i ciche narzekanie.

— Mój Boże! Mój Boże!.. — mówiła Wałoszkula — czy się też to kiedy skończy?..

— Nie starejcie się, mamulko! — pocieszał ją Emil. — Tatulek zaś wrócą i zaś bydzie dobrze!..

— A jo się tak cieszyła, że tatulek bydą w kościele, kiedy pójdą do komunji — żaliła się Helenka.

Przyszła niedziela. Kościół znowu wypełnił się do progu. A przed ołtarzem stały po prawej stronie dziew-

czyny w bieli, po lewej chłopcy. Warzechowi muzykanci grali na pawlaczu, podle organowej muzyki. Ładnie grali. Ludzie zaś śpiewali, jak jeszcze nigdy. Toć to zawsze wielkie święto!

Helenka stała na samym przedzie. Była taka śliczna w białej sukience, że chłopcy raz wraz w bok się oglądali, by łakome oczy nasycić jej urodą. Duża świeca drżała leciuchno w jej dłoni. Patrzyła w księdza proboszcza, krzątającego się koło ołtarza, śledziła jego spokojne ręce, raz wraz podnoszące się w górę, słuchała jego przeciągłego śpiewu w dziwnym języku łacińskim, który najmilszy Bogu, a drobne jej serce dygotało ze wzruszenia. Co też to będzie, gdy połknie hostję? Toć przecież w owej bieluchnej hostji sam Pan Bóg! Pana Boga będzie miała na języku, tak długo, aż biały opłatek rozpuści się, a wtedy ona połknie ową świętość roztopioną... Co też to będzie? Czy też nie ma jakiego grzechu na sumieniu? Czy też nie ma?

Strwożoną myślą szukała w pamięci, przeglądała każde wspomnienie pod światło, namyślała się, ważyła, czy też — broń Boże! — nie znajdzie się w tem wszystkiem cienia niedopatrzonego grzechu!.. Nic a nic nie można było znaleźć, A jednak niepokój dobijał się w serce, jak natrętny włóczęga w zamkniętą okienicę, kiedy go noc w drodze zastanie. A może?., a może?..

A kiedy uklękła i usta zlekka otworzyła, i przez drobną chwileczkę czekała, skoro na języku wyczuje owo białe dotknięcie hostji, martwiała z udręki. Przed jej spłoszonemi źrenicami wypłynęła nareszcie postać proboszcza. Zasypał jej oczy drobny pył słonecznego złota, co się na kielichu rozprószyło. Cichy szmer niezrozumiałych słów świętych spłynął z proboszczowych ust

w jej uszy. Rozbieliła się w kręgu jej spojrzenia mała, drobna hostja. Proboszcz trzymał ją koniuszkami palców, jak subtelnego motylka, który — tylko czekać — skoro zatrzepoce złożonemi skrzydełkami i uleci. Biała hostja rozwiała się w rozkrzyżowaną smugę przed oczyma, do ust zeszła. Na języku rozlewa się płony, delikatny, zapachem kadzidła przesycony smak czegoś ogromnie lekkiego i miękkiego. To sam Pan Bóg!.. Zaniemiało serce w piersi, otoczyły je anioły z ogromnemi skrzydłami, a skrzydła białe i w duże pióra strzępiaste i pod niebo sięgające. Szumią rozwiewane końce skrzydeł, chylą się do ziemi, to znów pod niebo podnoszą, a białe, długie szaty anielskie fałdują się w podłużne linje, które wiatr palcami Wygładza i kadzielnym dymem przesłania.

Nachyliła się Helenka głęboko i biła się piąstką, w piersi. Trzy razy miała się uderzyć, ale zapomniała liczyć. Któżby tam pamiętał o liczeniu, kiedy tu się dzieją o wiele ważniejsze rzeczy!.. Jeszcze wyczuwa resztkę hostji na podniebieniu. Przylepiła się i nie chce wrócić na język. Jakby się wilgotny płatek jabłonkowego kwiecia dłoni uczepił. Nie chce odpaść!.. Mój Boże, czy też to nie grzech?.. Już!.. Teraz już połknie, bo znowu gotowa się podniebienia przytrzymać... Już!,, No to dobrze!..

Wstała z klęczek i nie widząc nikogo, zeszła po stopniach. Uklęknęła. Otoczyły ją modlitewne słowa, czytane z rozwartej książki, obstąpiły wkoło, zakryły tamtemi anielskiemi skrzydłami przed calutkim światem. Serce uciszało się powoli.

Po nabożeństwie zebrały się dzieci w zakrystji. Tak polecił uczynić ksiądz proboszcz. Przyszedł uśmiechnięty, łagodny, słodki. W oczach miał błękit. Coś mówił do wszystkich, ale Helenka nie mogła skupić myśli,

żeby zrozumieć jego słowa. Uśmiechał się przytem i gładził najbliższe dzieci po twarzy. Potem wyciągnął głęboką szufladę z jakiejś ogromnej szafy. Na jej dnie leżały śliczne obrazki. Takie duże, które można za ramki włożyć i na ścianie powiesić. Był na nich Pan Jezus, jak przy ostatniej wieczerzy łamie się chlebem z apostołami. Trzyma w swej świętej dłoni taki mały bocheneczek chleba, niewielki, jakby sporą bułkę od piekarza. Bocheneczek żółci się na białej dłoni, tak się bardzo żółci, jakby z najbielszej mąki upieczony. A pewnie, z jakiejby innej, jak nie z tej najbielszej!.. A drugą dłonią błogosławi ów święty bocheneczek. A oczy Panajezusowe to nic nie widzą, co się koło niego dzieje, bo patrzą gdziesik daleko. Taki śliczny obrazek! Wiecie ludzie!..

Ksiądz proboszcz zaczął rozdawać obrazki. Wszczął się głośny szelest, przeciskania, dzieci jęły cmokać starą dłoń proboszczową, oglądały obrazki, zwijały, dziękowały uradowane i wychodziły z zakrystji.

Przyszła kolej na Helenkę.

— Ja tu mam dla ciebie coś innego, Helenko!.. — rzekł łagodnie księżoszek.

Podniosły się zdziwione oczy dziewczęce.

— Oto masz, dziecko!.. — i podał jej niewielką książczynę, — To masz na pamiątkę. Ode mnie. Schowaj ją dobrze. Czytaj w wolnych chwilach, a co wyczytasz, schowaj, Helenko, w swojem sercu. Wiesz?

— Wiem — rzekła Helenka.

Podziękowała, ucałowała dłoń proboszczową i wyszła.

Na progu kościelnym otworzyła książkę. Poszukała napisu.

— Jej! —krzyknęła uradowana. — „Historja Polski"!

XII.

Gustlik zaparł się stopami w sypki, drobny żwir, przechylił mocno wprzód, wygiął grzbiet w kabłąk, wyprężył nogi skupionym wysiłkiem i popchnął. Taczki, naładowane kamieniem, ruszyły z miejsca, wygramoliły ciężko na deskę i potoczyły. Dowiózł je na brzeg usypiska. Jeszcze jeden wysiłek. Ujął teraz prawą noszę w dłonie, lewą nacisnął stopą do dołu i przewrócił. Kamienie potoczyły się z przechylonych taczek i z szelestem jęły zsypywać po nasypie do wody. Co zostało w taczkach, wygarnął dłonią. Postawił je. Przez chwilę błąkało się w ciemnicy echo wilgotnego pluskotu, czarna woda mlaskała u ścian, marszczyła w zimne, lśniące kręgi, potem wszystko rozcieńczyło się w ciszy.

Nogi dygotały z wysiłku, a w uszach chrzęściła szeleszcząca krew. Otarł spocone czoło brudnym rękawem i siadł ciężko. Wyprężył nogi z lubością a plecy oparł o taczki.

Lampa, którą przedtem był powiesił na stemplu, mżyła drobnem światłem. Żółtawy płomyk tkwił nieruchomo w jej poszarzanem szkle. Podobny w swej nieruchomości do zmartwiałej ciszy, co w starym ganku spoczywała, sięgał blaskiem na odległość niewielkiego rzutu kamykiem. Ściany były pogryzione ogniem. Zźuł je kiedyś przed laty na czarny, pomięty, gąbczasty koks. Miejscami przepalona warstwa odłupała się i odkryła zdrowe jądro calizny węglowej. Błyszczący, równy strop nie był podparty. Kiedy podnieść lampę i popatrzeć za jej światłem, czynił wrażenie, że to powierzchnia stężałej, czarnej wody. Wizerunki zwęglonych liści o cudacznych kształtach, jakieś strzępiaste, rozczochrane pióra-rośliny, spłaszczone łodygi, obłamki skamieniałej kory drzewnej,

wszystkie te ślady dawnych żywotów roślinnych przeplatały się na stropie w zagmatwanych kształtach, przenikały nawzajem, wiązały w misterne węzły, mówiły oczom ludzkim o swem zaklętem żywobyciu, które przed wiekami istniało.

Gdzie niegdzie skrzyły się po ścianach białe, puszyste mchy, podobne do szronu. Złożone z drobniusienkich, miękkich igiełek rozrastały się w ogromne czapy, a światło załamywało się w nich na zamieć jarzących skierek. Szedł od nich słodkawy, mdły zapach. Gdy je palcem dotknąć, rozsypywały się w nicość, jak zdmuchnięty puch łąkowego mniszka.

W głębi korytarza stał mrok; mrok stokroć czarniejszy od bezgwiezdnej nocy. Utonęły w nim Gustlikowe oczy. Dotykały nieśmiało jego miękkiej, tajemniczej, niezgłębionej ćmy, co na granicy światła przystanęła i czekała. Jak dziwny, ludzkim rozumem niepojęty stwór, co się teraz przyczaił i czeka, skoro będzie mógł zpowrotem wpełznąć w swe legowisko, skąd go światło wygnało.

Ogromna, czarna cisza była wszędy. Gustlik słuchał jej. Cisza miała swój głos. Przesypywała się w uszach cichym, jednostajnym, metalicznym chrzęstem, szumiała rytmicznie, dzwoniła wspomnieniem dzwonu. Tak, naprawdę dzwoni!.. Wyraźnie słyszy lekki, przeciągły nieprzerwany, wysoki rytm dzwonu, przepływający w uszach kształtem miękkiej fali. To śpiąca cisza oddycha...

Chwilami jej szelest przygasał. Wtedy przychodził z ogromnie daleka ściszony pogłos ciężkich uderzeń. Sączył się skądsiś przez warstwy calizny. Ze wszystkich stron zdawał się wypływać; i ze stropu i ze ścian, i z tej czarnej wody, co się pod usypiskiem lśniła. Gustlik wiedział, że to albo Pustecki pracuje, albo górnik. Ktoś

z nich perlikiem[56]) z poza głowy bije w klin żelazny, by twardą ławę odłupać. Ale gdzie to się dzieje? Czy ponad nim w wyższym pokładzie, czy też pod nim, Bóg wie, jak głęboko? Któż to może wiedzieć?

Potem znowu cisza wracała. Otulała chłopca w czarne, puszyste atłasy, nakrywała serce dłonią, gasiła wspomnienia minionych rzeczy. Wtedy słyszany przed chwilą głos czyjejś pracy wydawał się tylko senną ułudą.

Czasami znów przyleciało na pluszowych palcach ciche westchnienie ziemi, jakiś szelest nieokreślony, leciuchne puknięcie... Zanim doszło Gustlikowej świadomości, olbrzymiało nad podziw, czyniło wrażenie krzyku, przewalało się w ciszy i płoszyło ją za ostatnie pomyślane granice. A kiedy sczezło, cisza wracała.

Gustlik oswoił się już dawno z szelestami, przychodzącemi do człowieka z nieprzejrzanych mroków. Wiedział, że albo to dalekie odgłosy pracy ludzkiej, albo znaki obecności ducha Pusteckiego, albo też łuszczenie się drobinek kamienia, co teraz od ścian i ze stropu odpada. Patrząc w ciemnię starego ganku, łowił obojętnie tamte wszystkie szmery. Znał je i zżył się z niemi. Teraz sycił się słodkością spoczynku utrudzonego ciała.

Od tygodnia pracował w tej stronie kopalni. Były to „stare roboty", już dawno przez ludzi opuszczone i zapomniane. Dwom starszym górnikom polecono przebudować kilka nawpół zawalonych ganków, którędy wędrowały ciepłe, zużyte, słodkawe wiatry. I tak szły już tamtędy ociężałe, leniwe, rade spoczynkowi w ciasnych przejściach. Zbyt daleką miały drogę. Z szóstego poziomu z pod szybu leciały truchcikiem, błąkały się godzinami poprzez piąty poziom, nasycały wyziewami kopalni, i te-

---

[55]) perlik — młot.

raz opęczniałe i ciężkie wlókły się ostatkiem sił pod szyb wiatrowy. Szły, jak znużony górnik ze szychty. Trzeba więc było im drogę umieść, uprzątnąć z rumowia, rozszerzyć, by doszły swego kresu. Inaczej wypełniłyby się niżej leżące ganki i filary zdradliwemi gazami, które śmierć płodzą.

Ostatni raz pracowano w tych okolicach przed eksplozją w roku 1894. Potem cały pokład zamurowano u wejścia na przekop potężnemi tamami. A gdy ogień w nim wygasł, otworzono tamy i pozostałe ganki zamieniono na chodniki wiatrowe.

Ponieważ w jednym z owych ganków, tuż nad trzecią pochylnią w czternastym filarze, zarwał się strop, naznaczono Gocmana i Liszoka, by go przebudowali. Mieli na to cały miesiąc czasu. Nowemi stemplami i stropnicami podeprzą obwał, ściany umocnią okorkami, a rumowisko wywiezie Wałoszków Gustlik do trzynastej diagoneli. Z ganku można było się tam dostać niskim, zaciśniętym chodniczkiem. Wylot chodniczka kończył się w ścianie diagoneli, w jej górnej połowie. Gdy stanąć na krawędzi chodniczka, to pod stopami rozwierała się jej dwumetrowa głębia. Na dnie błyszczała czarna woda, nurzały się zbutwiałe, połamane, nawpół spalone stemple i wysterkały zwały rumowiska z odwalonych ścian. Ponieważ do niczego niepotrzebna, przeznaczono ją na zasypanie rumowiem z wiatrowych chodników. Nie aż pod strop, bo to zresztą i tak niemożliwe, a po drugie, trzeba trochę miejsca na zabłąkane wiatry pozostawić, lecz do wysokości dwóch metrów. Zawsze jeszcze pozostanie szeroki ganek o metrowej wysokości.

Według opowiadań górników, tych właśnie, którzy przeżywali na dole ostatnią katastrofę, diagonela ta miała połączenie z głównemi chodnikami z całego pokładu Wil-

helma. I tą właśnie drogą uciekali górnicy ze szybu Jana i Franciszki na Głębinę. Bo wszędzie mieli już przed sobą dymy i ogień. To było jedyne wyjście z tamtego piekła. Nie wszyscy jednakże uszli. Najwięcej ofiar w tym ganku pozostało. Ogień ich dopędził, dym ich udławił, śmierć tu na nich przyczajona czekała. A gdy po kilku miesiącach odważono się w to miejsce dotrzeć, znaleziono ich zwłoki osmalone, a ściany w ganku spalone. Strach, co się tam musiało dziać w onej okropnej chwili!.. Znaleziono szyny powyrywane wraz z podkładami, zwinięte w pierścienie, znaleziono wszystkie kapy, stemple i stropnice zwalone w jednym kierunku i zwęglone do rdzenia, natrafiono miejscami w załomach ganków zgniecione wozy żelazne, stłoczone w kupy pogiętego żelaziwa. Tu była główna droga wybuchu, biegnącego za struchlałym górnikiem. Tu się kładli ludzie pokotem, jak drzewa w lesie w czas rozpętanej wichury.

Już tyle lat minęło od tego czasu!..

Jedynie starsi górnicy pamiętają jeszcze ów dzień gniewu Bożego. Wspomnienia ich wyblakły wprawdzie przez tak długi okres czasu, u niejednego przeszły stopniowo w zapomnienie, zatarły się kontury widzianych zdarzeń. Czasem któryś z nich przypomniał sobie nieoczekiwanie jakiś drobny ułomek przeżycia. Wtedy opowiadał drugim, młodszym, a tamtym krew w żyłach zastygała... Przypominał sobie i wtenczas, gdy się znalazł przypadkiem w owem cmentarzysku... Lecz już temu tyle lat!..

Ofiarom sprawiono królewski pogrzeb. Dzwony biły ze wszystkich kościołów, od Ostrawy po Cieszyn, od Frydku po Bogumin, muzyka grała, czarne chorągwie łopotały na wieżach szybowych i u kominowych przyczołów, wszystkie syreny po kopalniach jęczały i zawodziły

płaczliwie, a ludzie szli pobok trumien i szli, czarni, ponurzy, plączący...

Trumny złożono w pospólnym grobie na cmentarzu karwińskim, a reszta górników, nie mających być już nigdy odgrzebana, spoczywała pod zwaliskami filarów po wiekuiste czasy. Tyle im uczyniono dobrego, że sprowadzono księdza do kopalni. Ksiądz odmówił modlitwy, pokropił święconą wodą i to wszystko. Kadzidła nie palono, bo nie było wolno. Mogłyby się od jego żaru gazy zająć. A na ziemi, nad tern miejscem, gdzie przypuszczalnie tamci biedacy polegli, wystawiono kaplicę, a w kaplicy stał Chrystus z gorejącem sercem.

Już tyle lat minęło od tego czasu...

Gustlik wiedział, że tu gdzieś, za którąś ścianą, może niedaleko, jego ojciec spoczywa. Wiedział o tern. I o tem także wiedział, że w tym ganku ojcowi towarzysze marli, że zanim ojciec doszedł do granicy swego życia, tym gankiem przechodził po raz ostatni, błąkał się w trujących dymach, umarłych podnosił, gasnącem światłem i gasnącemi oczyma szukał pod ścianami tlejącego jeszcze życia, by je na świat Boży powrócić. Szedł stamtąd, powoli, nieustępliwie, minął miejsce, gdzie teraz on sam, jego synek, siedzi, poszedł w głąb, w kierunku szybu Jana, utonął w tamtych mrokach, które jeszcze po dziś dzień ostały się z owych chwil, i tam gdzieś pozostał.

— A żeby tak tam pójść i pochledać?..

Coś w nim zapłakało zduszonym skowytem. Na chwileczkę tylko. Ucichło.

Nie lękał się niczego. Chwilowy lęk poleciał. Wyczuwał podświadomie urok starego cmentarzyska, po którem dusze tamtych błądzą, kiedy nikogo z ludzi nie widać.

Owe przelotne lęki pojawiały się także w innych częściach kopalni. Najczęściej wtedy, gdy samotny biegł popod niskim stropem, a wokoło nie było żadnego górnika. Czuł się wtenczas opuszczony wraz z onem światłem chyboczącem w lampie, co z nim razem biegło. Gdy się czasem lęk wzmagał i zębcami serce kąsał, żegnał się raz i drugi. Wtedy wszystko mijało.

Naprawdę lękał się jedynie Pusteckiego.

Górnicy opowiadali o nim przeróżne dziwy. Miał to być duch, lubiący przebywać w „starych robotach". Nie chciał ludzi spotykać. Błąkał się po samotnych gankach z czerwonem światłem. Miał długą, siwą brodę, podpierał się kilofem, a nosił ubranie dozorcy z aksamitnemi, zielonemi wyłogami. Z pod surduta, z tyłu, zwisał mu na spodnie półokrągły płat skóry, jaki zwykle noszą górnicy, pracujący w niskich ścianach.

Tak go opisywali górnicy, co już pół życia pod ziemią spędzili i co się z nim nieraz spotkali.

Dobry to miał być duch, tylko nie śmiano go niczem rozgniewać. Czasami, to pomógł kopaczowi, który się bezskutecznie mozolił nad odwaleniem ławy węgla. Podchodził wtedy z drugiej strony, w caliźnie, trzy razy zapukał na znak, żeby się kopacz usunął, a potem leciuchno trącił kilofem w oporną ścianę. Zwalał się wtedy węgiel w takiej ilości, że gdy ją uradowany górnik potłukł na kawałki, to miał ukopu na całą szychtę. Mógł wtedy chłopisko siedzieć niefrasobliwie na górze węgla, tytoń żuć, przez zęby strzykać, Pusteckiego w głos chwalić, a chłopców, odwożących w taczkach węgiel do gospody, raz wraz do pracy poganiać. Dobry to był duch, ów Pustecki, bardzo dobry duch!..

Innym znów razem pomagał wozaczowi nałożyć wykolejony wózek z węglem lub kamieniem. Podparł

barczyste plecy pod ciężar, zawołał: — Heruk!,. — i wózek już stał na szynach.

Należało wtedy ładnie podziękować, powiedzieć: — Pónbóczek zapłać, panie Pustecki! — i wszystko było dobrze. Czasem to i od śmierci uratował. Bywało, znużony górnik osiadł pod ścianą i zasnął. Wtedy znienacka przychodził Pustecki, porywał za nogi i odrzucał gwałtownie pod przeciwną ścianę. A w tym okamigu spadał ogromny kamień ze stropu, akurat w to miejsce, gdzie poprzednio ów górnik spał. Byłby biedaczynę rozmiażdżył, gdyby nie Pustecki!..

Taki to był dobry duch.

Z zasady jednakże nie lubiał się ludziom pokazywać, zwłaszcza tam, gdzie było ich większe mrowisko. Wołał opuszczone ganki, dalekie od ludzi, gdzie mógł spokojnie siedzieć i nad czemś rozmyślać, i kilofem jakieś znaki w miale na spongu kreślić. Widać — lubiał spokój. Nikt go też tam nie gniewał.

Jeżeli czasem — bywało — przeszedł pod szybem i natychmiast znikał w ścianie, zanim go można było dokładnie ujrzeć, wtedy przychodziło na górników przerażenie. Żegnali się nabożnie i prosili w duchu o Boskie zmiłowanie, gdyż był to znak, iż znowu jakieś wielkie nieszczęście nawiedzi kopalnię. To samo uczynił przed eksplozją w roku 1894. Kilka razy przeszedł między górnikami w przekopie, kilka razy ukazał się pod szybem, a w dzień przed wybuchem gazów stanął przy ścianie, pod szybem, obejrzał się powoli, powiódł mrocznemi oczyma po ludzkich twarzach i stracił się w caliźnie. Wtedy wszyscy przeczuwali coś strasznego, ale nikt nie domyślał się, że to ostrzeżenie przed zbliżającą się śmiercią, co aż takie straszne żniwo zbierze.

Niektórzy górnicy wszelkie nieszczęście w kopalni przypisywali jemu. Mawiali, że widocznie ktoś mu urągał, że go do gniewu doprowadzono, bo znowu ktoś głośno świstał lub mu też nie podziękowano za pomoc.

Wiedziano o jednym wypadku, co się przed kilku laty na szybie Gabrjeli zdarzył. Był kopacz Santarjus z Orłowej. Zarabiał bardzo mało. Ale przyszedł Pustecki i pomagał mu w pracy. Odtąd Santarjus zarabiał bardzo dużo. Zato miał przynosić Pusteckiemu co dnia kęs chleba z masłem. Ale Santarjus był skąpy. Z początku nosił, ale potem widział, że Pustecki chleb zostawia myszom. Więc było mu luto Bożego daru. Postanowił przynosić placek ze ziemniaków. I przyniósł. Na drugą szychtę Santarjusa zabiło. Strop się oberwał i na miejscu go zabiło. Tak się pomścił Pustecki na chciwym kopaczu.

Gustlik wiedział o tem. To też nigdy nie odważyłby się głośno zagwizdać lub też zbyt mocno zapieronować, gdy mu się w pracy nie darzyło. A gdy miał czas i zmęczenie kleiło mu powieki, opierał się jak mógł, żeby tylko nie usnąć, bo czasem „0n” przychodził i dusił człowieka. Nie udusił, lecz podławił, podławił i odchodził.

Tak opowiadali starzy górnicy. A im przecież można wierzyć, bo już dużo przeżyli i doświadczyli. Gustlik truchlał na myśl, że go może kiedy spotkać, gdy samotny pójdzie w jakimś odległym ganku. Równocześnie pocieszał się myślą, żeć zawsze pilnie przestrzegał wszystkiego, by go nie rozgniewać i w niczem nie urazić. To z pewnością Pustecki nie zrobiłby mu nic złego. Jeżeliby go kiedy spotkał, powie mu grzecznie:

— Szczęść Boże, parne Pustecki!..

Pustecki lubi takie pozdrowienie. Wtedy uprzejmie odpowiada: — Dej Boże!.. — i zapyta się, gdzie pracuje, w którym przodku, i zniknie w ścianie.

Tak mu radzili starzy górnicy. A to przecież mądrzy ludzie.

Teraz nie myślał o tem wszystkiem. Jego pacholęca dusza, urzeczona nadmiarem przeczytanych książek, przeobrażała się jakoby brzydka poczwarka w chciwego słońca i kwiatów motyla.

Codzienne twarde życie urabiało w nim tężyznę, lecz nie przenikało do głębi rozkwitającej duszy. Żył w niej i rozwijał się niewidziany ludzkiem okiem świat dziwów, przeżyć i wzruszeń, tak niezmiernie dalekich od tych, które podawało życie w surowej, chropowatej formie. Gustlik przejmował je, lecz podobnie jak światło rozszczepia się w pryzmacie w kolorową wiązankę tęczy, tak i te zewnętrzne podniety, przesączające się w duszę, kształtowały się tajemną mocą na blaski, na jakąś muzykę, dla której słów niema, i na ognie przeczyste. Pod ich wpływem wyczuwał podświadomie pragnienie naśladowania czegoś wielkiego, do czego jeno człowiek w czystości swego serca kryształowego zdolny, żywił tajemne pragnienia ubóstwiania kogoś czy czegoś, coby było ponad niego i czystsze, i piękniejsze aż do obłędu.

Istniało w nim bezzmysłowe pragnienie miłowania dziewczyny jasnej, młodej i pięknej, jak sama wiosna, pragnienie całowania rąbka szaty tej Panienki Przenajsłodszej, co to w starym kościele w czas majowych nabożeństw, wśród niezliczonego kwiecia i świateł nad ołtarzem się unosiła, i pragnienie pieszczenia palcami kwiatów przydrożnych, skromnych a prostych, jakby je matka jego wymyśliła, — i pragnienie błądzenia między gwiazdami, kiedy w ciepły wieczór letni na trawie leżał i pijanemi oczyma tonął w ich bezmiarze...

Pierwsze spotkanie się z ową roztrzepaną dzieweczką, Bronką, w krótkiej sukience, z czerwoną wstążką

we włosach, pachnącą urodą niedzielnego poranka, spotkanie to zostawiło u niego wspomnienie, które przechowywał w sercu, jakby skąpiec perłę bezcenną w zamczystej skrzyni. Śmieszne chłopięce marzenia pojawiły się zawsze u niego w nimbie świętości. Zbudował dla nich kapliczkę z wonnego drzewa jodłowego, na ołtarzu je postawił i pokłony bił w zachwycie, kadzidła pachnące palił i modlił się w niebowziętem uniesieniu.

Siedząc teraz samotny w opuszczonym ganku, myślał o tem wszystkiem. A myśli te, niczem niepłoszone, snuły się i ważyły w aksamitnym mroku, jakby te mgiełki leciuchne, idące o zmroku z nad łąk pachnących.

Poddawał się bezwolnie bezwładności ciszy, przesycał się nią doostatka, sam stawał się ciszą. Świadomość jego zatracała stopniowo poczucie rzeczywistości, przestępowała próg, poza którym rozlegał się zaczarowany świat cudów i słodkiej radości.

Z mroków jął się wychylać ku jego oczom, rozwierał dokorząt, przedchodził spojrzenia, rozścielał pod stopy światło i kwiaty.

...oto daleką drogą, w słońcu, jadą rycerze świętej Jadwigi...

Przyszły wspominki rozmów z wujem w Ligocie. Wuj opowiadał mu tamtę ich legendę o śpiących rycerzach świętej Jadwigi. Toć to z pewnością ci sami rycerze, co śpią gdzieś pod Czantoryją na Śląsku cieszyńskim. W szkole się o tem uczył. A może nie w szkole. Może mu to ktoś opowiadał. Ci sami rycerze.

Jęło mu się teraz wszystko plątać.

Wuj mówił mu o Polsce. Bronka także. Górnicy w kopalni także. I książki.

Polska. Aha!., już wie!.. Raz widział pocztówkę, na której był krzyż a na krzyżu dziewczęca postać rozpięta.

Co to ma być? To jest Polska! Tak powiedziała Bronka. Na krzyżu? Na krzyżu! A czemu na krzyżu? No, bo jej teraz niema. Jak Pana Jezusa Żydzi zabili i ukrzyżowali, tak i Polskę trzej pieroni zabili... Kto? No, Austrja, Prusacy i Rosja, wiesz? Tak nazywa ich brat mój, Geniek. Nazywa ich pieronami... No dobrze. Już teraz wie. Jak Pana Jezusa Żydzi zabili i ukrzyżowali, tak samo tamci z Polską uczynili. A Pan Jezus zmartwychwstał, a Polska też zmartwychwstanie. Wiesz?.. Wiem!.. No, to dobrze.

Nie, on Polskę sobie inaczej wyobraża. Jak w tamtej bajce o zaklętej królewnie. Polska jest podobna do Helenki, Tak, do Helenki.

Albo nie! Polska jest podobną do tej Danuśki z „Krzyżaków”. A Danuśka jest podobną do Helenki, a Jagienka zaś do Bronki.

— Ty, Bronka, ty jesteś Jagienką.

— Jagienką?

— Jagienką...

— To dobrze.

— Ty, Bronka, a cobyś zrobiła na miejscu Juranda, gdy mu tego zbója Zygfryda przyprowadzają?

— Jobych go zabiła!.. Zabiłabych Zygfryda!..

— Zabiła?

— Tak!

— Jo też!

— No, toś jest chłop!

— Ty, Bronka, przajesz mi?

— Przaję...

— Tu mosz serce z odpustu. Weź se!..

Zaszeleściał odłupany kamyk, sypnął żwir po ścianach. Podniosły się oczy, pierzchnęła cisza. Lampa pali się spokojnie. Chwile mijają.

— Ty, Bronka, przajesz mi?

— Przaję ci, ale...

— Ale co?...

— ...ale musisz być takim Zbyszkiem, co... wiesz takim Zbyszkiem, co tamtemu Niemcowi ramię odciął.

— By dym!

— To potem bydym ci naprowdy przoła...

— Bardzo?

— Bardzo.

— Gdy urośniemy, to się pobierzemy.

— Dobrze.

— A moc bydymy mieli dzieci?

— Jednego syneczka i jedną dziouszkę...

— Dobrze.

— A syneczkowi dómy na miano Zbyszko, a dziouszce...

— ...Bronka...

— Ni! Jagienka! Wiesz?

— Wiem!

Posypał się zdaleka gruchot stłumionych uderzeń. Gustlik ocknął się.

— Albo Pustecki albo kierysi hawierz bije perlikiem! — pomyślał.

Potem znowu wszystko ucichło. Wróciła cisza.

Czyta matce o tern, jak Zbyszko odnajduje Danuśkę. Danuśka umiera. Coś w gardle dusi.

— Kwiecie pachnie... — mówi Danuśka,

— Co ci jest? powiedz! — Jezus, Maryjo! To Helenka umiera!..

— Ciemno!

Ciemno. Małe światełko tkwi nieruchomo w lampie. Sięga na odległość niewielkiego rzutu kamieniem. U gra-

nic mizernego światła stoi ogromna ciemność. Ogromna, ogromna ciemność!.,

...niewiasty zamknęły jej powieki, a następnie poszły po kwiaty na łąkę. Pachołcy udali się ich śladem — i tak chodzili w słońcu, wśród bujnych traw, podobni do duchów polnych, pochylając się co chwila i płacząc, albowiem w sercach mieli litość i żal...

— Co to robicie, mamulko?

— Nic, synku, nic...

Matka zapala świece na komodzie, stojące pobok krzyża małego.

— Co to robicie, mamulko?

— Nic, synku, nic...

Matka klęka, robi wielki krzyż na piersiach i modli się.

— Co to robicie, mamulko?

— Dyć widzisz, Gustliczku, że rzekom za duszyczkę zmarłej Danuśki...

Matka chlipie i przez nos pociąga. Łzy toczą się po zmarszczonych policzkach. Gustlika coś dławi.

Plusnął leciuchno maluchny kamyczek. Do czarnej wody plusnął. Spojrzał Gustlik na czarną wodę. Drobne pierścienie o szklistych, świecących krawędziach... Wróciła cisza...

...oto daleką drogą, w słońcu, jadą rycerze świętej Jadwigi. Złote włosy wiatr im rozwiewa i miękkiemi paluszkami rozczesuje. Każdy rycerz w srebrnej zbroi, a na głowach lśnią szyszaki złote, z których zamieć piór ku ziemi spływa, z których zamieć piór ku ziemi spływa... Ile zagięć w ich zbroicach, tyle słońc się pali, takich drobnych, skrzących słońc... jadą, na wojenkę, na konikach wronych, poprzez wielką łąkę. Słonko świeci, kwiaty pachną a wiaterek rycerzykom jasne włosy

czesze i o Polsce mówi. Jadą gdziesik w świat daleki. Zapatrzone siwe oczy nakrywają dłonią, a ich dłonie prześwietlone płoną jakby róże... Posłyszeli o zaklętej królewnie, co wybawienia w samotności czeka i teraz ją wybawić jadą...

...a królewna w zamku siedzi, na wysokiej górze szklanej i płacze, biedaczka. Czeka swoich rycerzyków, wypatruje z dalekości, co pod niebem błękitnieje...

...smok jej strzeże przeokrutny, taki smok dziwoki. i łuszczastem ogoniskiem bije w ziemię w złości srogiej i kłańcami kłapie, kogoby tu pożreć. Oj, dadzą ci rady rycerzyki, złotowłose rycerzyki!.. Kres się zbliża twemu życiu plugawemu, kres!..

...pojechali Polskę bronić, wywieść ją z niewoli smoczej, między ludzi poprowadzić. Toć jej wiosny szkoda! Niech się cieszy serce ludzkie jej młodą radością, niech się cieszą oczy ludzkie jej dziewczęcą krasą!.,

...ludziska na przydrożach stanęli i zapatrzeni w jasne zbroje, siwe oczy przymykają, widząc na nich tyle słonka, tyle słonka... Dokąd jadą? Polskę bronić?.. Ha, niechaj Bóg im dopomoże i Panienka Częstochowska!.. Jadących rycerzy przedchodzą i chleb na dłoni podają. Taki czarny, prosty, chłopski chleb, by się mogli skrzepić na daleką drogę. A chleb zrodzony z słońca, ziemi i ludzkiego trudu. A ledwie który rycerz sięgnie po chleb ze swego rumaka, to się bochen w serce zmienia. I rycerze biorą serca z rąk otwartych, by się na daleką drogę skrzepić...

...leci wieść po kraju o jasnych rycerzach. Wiatr ją niesie i każdemu szepce, a wtedy ludzie cosik się zamyślą i do Boga westchną. Ptaki, co leciały drogą i ten cud widziały, wróble, szpaki i jaskółki, wszelijakie ptaszki insze, po świecie się rozleciały i o dziwach, co widziały,

wszędzie prawią. Widzieliście? widzieliście? rycerzyki jadą!..

...a królewna siedzi na złocistym tronie, na wysokiej górze i płacze. Drobne dłonie splotła na bieluchnych piersiach, a w modrych, słodkich oczach lśni się łezka jedna, druga, a słonko patrzy i w perły je przemienia...

...toć to Danuśka Zbyszkowa w białej sukience!.. Złoty ptak przyleciał i pod oknem usiadł, na rozkwitłej jabłonce. Załopotał radośnie skrzydłami i...

— Jezus!..

Ktoś ułapił mocno za nogi i co miał siły, odrzucił pod ścianę. Zbudził się Gustlik, roztworzył oczy. Co to? Co to?.. A w tej samej chwili dojrzał szarą smugę, walącą się ze stropu. Ogromny kłobuk[57]) runął na taczki, przełamał bocznicę, o którą przed mgnieniem oka plecy wspierał, i legł ciężko w piargu. Podniósł się tuman pyłu, przysłonił rozchybotane światełko w lampie...

— Co to? Co to?.. .

Przetarł oczy. Spojrzał jeszcze raz. W stropie czerni się stożkowata wyrwa. Stamtąd wyłupił się kłobuk. Tyle lat czekał... tyle lat!..

— Byłoby mnie zabiło!.. — przemknęło znienacka oślepiające zrozumienie. Zadygotało serce w przerażeniu nagłem, dech w piersi zaparło.

— To Pustecki mnie uratował!..

Ciężki, stożkowaty kamień zawahał się chwilkę na krawędzi usypiska, przeważył i jął teraz staczać w czarną wodę. Coś żywego było w jego ruchu. Posypał się z sze-

---

5’) Kłobukiem nazywają górnicy skamieniały pień w kształcie głowy cukru lub nieforemnego stożka, tkwiący wierzchołkiem w jądrze stropu. Łatwo uchodzi uwagi górnika, bo zakryty jest cienką warstewką węgla, rozpostartego po całym stropie. Niedostrzeżony wypada, gdy się obluźni powłoka węgla, podtrzymująca jego ciężar.

lestem zsuwający piarg, a z pośród jego szumu wystrzeliło pod strop głośne, mokre plaśnięcie i na drobną chwilę wypełniło szczelnie ganek.

Gustlik nic więcej nie słyszał. Został w nim jedynie prawie fizycznie odczuwany ból rozdartej ciszy, a oczy uchwyciły szerokie kręgi czarnej wody z migotliwemi brzeżkami, biegnące wielkiemi krokami pod ściany.

Zerwał się. Pobiegł jeszcze raz wzrokiem w głąb tajemniczej czeluści, a wyczuwszy idący z niej lęk, co go już lepkiemi mackami ujmował, wyrwał hak lampy ze stempla, wpadł w niziutki chodnik i pognał wgórę ku towarzyszom.

— Na kajż, giździe, siedzisz telkowne czasy!? — wrzasnął nań stary Gocman.

— Jezus! Maryjko!.. Pustecki!.. — wykrztusił Gustlik i przypadł do siedzącego Liszoka.

— Kaj!.. W diagoneli?.. Widziołeś go?..

— Ni!., ale... uretowoł mnie od... śmierci...

— Od śmierci?..

— Nó!.. za nogi mnie odciągnął., kłobuk spod w to miejsce... kajżech siedzioł...

Wtedy Liszok, co dotychczas nic nie mówił, tylko słuchał, podniósł się, zdjął czapkę, skłonił w niezdarnym ukłonie w kierunku diagoneli i powiedział głośno:

— Pónbóg zapłać, panie Pustecki!..

XIII.

Strajk szkolny, który rozpoczął się w październiku 1906 roku, stopniowo rozszerzył się na całe Poznańskie i Prusy zachodnie.

Trwał on w swem natężeniu aż do maja 1907 roku, potem jął słabnąć, dogorywać. Nie Iza było dłużej strzy-

mać. Nie dało się. Bo cóż uczyni garstka wobec tamtej potęgi, która ma prawo za sobą?.. Cóż?.. Nic a nic!

Wkońcu Poznańskie uległo. Strajk dogorywał ostatkiem płomienia aż do początku jesieni i zduszony zgasł. Niemcy triumfowali.

Za sprawą biskupa wrocławskiego nie przyszło do strajku na Górnym Śląsku. Chłop i robotnik śląski, skazani tylko na własne siły, nie posiadający żadnych przewodników prócz tej drobnej garstki księży polskich, nie odważyli się podjąć walki. Nie miał ich kto zachęcić i podeprzeć, gdyż księża byli skrępowani obowiązkiem słuchania swej władzy kościelnej. Czytano w „Pracy" poznańskiej i w „Górnoślązaku" o zmaganiu się braci swej z poza miedzy; odzywały się nieśmiałe głosy, by pójść za ich przykładem; lecz rozprószonych sił nie miał kto zgarnąć w wspólny wysiłek. Pojedyńcze wypadki strajku w szkołach śląskich rząd stłamsił w zarodku.

Niemcy triumfowali.

W Ligocie dotychczas była cisza. W szkole uczono wszystkich przedmiotów po niemiecku, dzieci chłostano za posługiwanie się językiem polskim w klasach i na korytarzach, próbowano wprowadzić system donosicielstwa, nakazywano opornym uczniom i uczennicom, poprzednio obitym, by nazajutrz przynosili do szkoły przepisane po sto i więcej razy głupawe zdanie: „Ich darf nicht polnisch sprechen!”..., lecz religji od roku uczono po polsku. Był to wyjątkowy wypadek, nigdzie poza tem nie spotykany na Górnym Śląsku. Uczyli jej wszędzie nauczyciele świeccy. Każdy bowiem kandydat, wychowany w seminarjum nauczycielskiem katolickiem, otrzymywał misję kanoniczną, uprawniającą go do udzielania nauki religji w szkole powszechnej.

W Ligocie jednak od roku czynił to proboszcz. Tak się jakoś złożyło. Kierownik szkoły, Richard Kowoll, nie miał czasu, bo był zajęty pracą pozaszkolną w niemieckich towarzystwach, a nauczyciel Werner był ewangelikiem, sprowadzonym dla dzieci ewangelickich. Poza tem nie było więcej nauczycieli w szkole ligockiej. Większość dzieci z tamtej strony huty i z okolicy kopalni chodziła do pobliskiej pięcioklasowej szkoły w Miękiszczach.

Ksiądz proboszcz co roku przygotowywał dzieci katolickie obydwu szkół do pierwszej spowiedzi i komunji świętej. Zbierały się dwa razy w tygodniu w ciągu czterech miesięcy w szkole ligockiej, w godzinach popołudniowych. Kiedy jednak na miejsce nauczyciela Wrzolla przyszedł Werner, obowiązek normalnej nauki religji powierzono proboszczowi. Nie było innego wyjścia. Proboszcz wiedział, że powinien uczyć po niemiecku. Czynił jednak po swojemu. Uczył po polsku i po niemiecku. A przedewszystkiem po polsku. Władze o tem z pewnością wiedziały, lecz — nie wiadomo, z jakiego powodu — patrzyły na to przez palce. Powiadano, że landrat Peschke miał jakieś zobowiązania natury moralnej wobec proboszcza. Jakie — nikt tego nie wiedział, a proboszcz nikomu się nie zwierzał. Uczył po polsku i skończone.

Powrót jego z więzienia wypadł akurat w okresie wygasania strajku szkolnego w Poznańskiem. W rejencji opolskiej zainteresowano się teraz żywo dotychczasową działalnością jego. Przyszła jakaś komisja, przez kilka dni myszkowała po okolicy, węszyła, 1 rano dzieci na spytki, zetknęła się nawet ze Sojką i zebrawszy, co się dało, pojechała zpowrotem. W rezultacie landrat Peschke otrzymał surową naganę, Wernera przeniesiono, na jego miejsce przysłano nauczyciela z misją kanoniczną, Emila Dietricha, a ksiądz proboszcz dostał gruby list z wrocław-

skiej kurji biskupiej, donoszący, że zwalnia się go z obowiązku uczenia religji w szkole ligockiej z wyjątkiem przygotowania dzieci w kościele do pierwszej spowiedzi i komunji świętej w ciągu czterech miesięcy każdego roku. A więc już nie w szkole, lecz w kościele.

Stary proboszcz wezwał do siebie Wałoszka i Marka. Wszystko im powiedział. Przeczytał zarządzenie księcia biskupa z przed roku, zakazujące popierania myśli o strajku szkolnym, przeczytał także list, zwalniający go z urzędu katechety szkolnego.

— Co teraz? — zapytał Wałoszek.

Marek milczał zły, nachmurzony.

— Co teraz?.. Mój miły Wałoszku! Ja sam miałbym się was zapytać, co teraz? — powiedział proboszcz. — I pytałbym się, gdybym nie miał odpowiedzi. Tu ją mam!.. — i palcem wskazał na czarną książczynę, leżącą na stole.

Poszły ich oczy za palcem. Ujrzały na niej mały wyciśnięty w oprawie, złocony krzyżyk. — Gdziekolwiek otworzę tę książkę — mówił, a słowa jego były ciche i jakby zlekka uśmiechnięte — gdziekolwiek otworzę tę książkę, wszędzie natrafię na odpowiedź... Na odpowiedź, co łamiącego się ducha podtrzyma... To Pismo święte. Spróbujmy, przekonam was!..

I sięgnął, otworzył, przeszukał oczyma, palcem przytrzymał spojrzenie na drobnych literkach.

— Czytajcie Wałoszku i wy, Marku! — rzekł teraz, kładąc im stronicę pod oczy.

Marek nachylił się. Wałoszek przetarł oczy, bo bez okularów nie dowidział. Nachylił się niżej, lecz literki były zamglone.

— ...a przyszedł Pan i poraził nieprzyjacioły swoje!.. — czytał powoli Marek.

Wszyscy trzej odetchnęli z ulgą.

— Zrozumieliście? — zapytał proboszcz, a na ustach miał ciągle ten sam łagodny uśmiech.

— Zrozumieli! — rzekł twardo Marek — ale...

— Mój zacny Marku! — przerwał mu proboszcz — ja wiem, że się zżymacie, że poczucie krzywdy pali was i pragnęlibyście, ja wiem, by to, co przeczytaliście w tej chwili, na własne oczy zobaczyć, żeby już teraz nawet!.. Ja wiem... Lecz to wam powiadam, co wy sami nieraz powiadacie, że Pan Bóg jest nierychliwy, ale pamiętliwy!,. Miejcie wiarę — tu zwrócił się do obydwóch — miejcie wiarę i siejcie ją wszędy, bo jak długo ją mieć będziecie, zwycięstwo jest nasze. A gdzie Ściskała?

— Na szychcie.

— I jemu to powiedzcie!

Patrzał im w oczy. W pewnej chwili wyczytał w nich utajoną myśl.

— Wałoszku, o strajku nie można myśleć. Nie wolno dzieciom strajkować. Nicbyśmy nie wskórali. Zwłaszcza teraz. W niedzielę przemówię na kazaniu do rodziców, by swój obowiązek spełniali. Oni będą teraz musieli uczyć katechizmu. W domu. A wy, Wałoszku i Marku, i Ściskała, będziecie obarczeni nową pracą. Będziecie musieli doglądać, zachęcać, do domów wstępować, by rodzice nie ustawali. Wy trzej macie mir między ludźmi, pójdzie wam to łatwo. Gdyby trzeba było katechizmów i innych książek, dostarczę wam. Zgadzacie się?

— Zgodzómy! — rzekł Wałoszek.

— Na, że sie też jeszcze pytają, księżoszku! Toć sie zgodzómy!.. — poparł go żywo Marek.

— To dobrze. I jeszcze jedno. Wałoszku, musimy założyć w naszej Ligocie bibljotekę Towarzystwa Czytelni Ludowych. Już wszystko załatwiłem. Będzie to bibljoteka wędrowna. Ale nie wiem, gdzieby szafkę z książ-

kami umieścić. Najlepiej byłoby u mnie, na plebanji, lecz to daleko, od ręki. Czyby można u was?

— Ależ pewnie, księżoszku — zgodził się uradowany Wałoszek — ależ pewnie! Do mnie i tak wszyscy przychodzą, każdy wieczór...

— To dobrze. Emil może książki wypożyczać. Ja tam kilka razy zajdę, to pomogę, pokażę. To dobrze, Wałoszku.

Odprowadził ich na próg, pożegnał. Wałoszek zacierał dłonie z radości.

Kiedy byli już na drodze, ujrzeli żandarma, wychylającego się z poza płotu. Patrzał na nich drwiąco. Przeszli koło niego, patrząc mu wyzywająco w zmrużone ślepia.

— Widzisz tego pierona! — rzekł Marek do Wałoszka — widzioł nas, żeśmy szli do farorza. Teraz to chodzi bestja, jak zły duch koło Betlejemu!.. Rodby wiedzieć, poco my tam byli...

— Wiesz, stary, księźoszek święte słowa prawili — rzekł znowu po chwili — ale... czy jo wiem. Mnie sie tak wszystko zdo, że to babsko rzecz tak czakać i czakać i na pomoc Boską się spuszczać!.. Jezus, Maryjko!.. żeby tak prać!., ale prać tych pieronów!.. — i zakrztusił się w nagłym porywie gniewu.

W okamigu rozbiegła się wieść po całej Ligocie, że ksiądz proboszcz już nie będzie uczył religji w szkole ligockiej. Ha, no, — trudno inaczej! W drugiej szkole też nie uczył, w Miękiszczach, i też musiało być, I tak nic Niemcy nie zrobią. W domu będą uczyli dziecka i zbyte.

Chłopcy jednakże, ci starsi, zebrali się jeszcze tego samego dnia na hałdzie. Niby że to na opukę przyszli, a poprawdzie, to węgla wcale nie zbierali, tylko papierosy cmokali i radzili. Rej wodził Karlik Szerokiego. Siedział w środku na wielkim kwadrze kamienia, a wkrąg koło

niego towarzysze wierni. Ćmoków Ferduś z kolonji, zezowaty Janek Kidoniów, gruby a mały Zeflik Bączków, przezwany Fasrałą, Robert Kuczatego, Hanys Gabrysiów, piegaty Francek Wdówczyn, przezwany Bąbelokiem, i pomniejszy drobiazg, nie mający głosu w hałdowem bractwie opuczarzy. Wszyscy mieli przewieszone przez piersi umorusane dzichty, czekające kawałków uzbieranego węgla, a każdy z nich trzymał w prawicy małą motyczkę, tak zwaną grackę, lub duży młotek o długim spłaszczonym dziobcu, nieodzowne narzędzia przy zbieraniu opuki. Tylcami rozbijali duże kawały kamienia, ostremi końcami zaś odłupywali od pisoka[58]) narosty czystego węgla.

Siedzieli zgarnięci w czarny nachylony krąg, ćmili papierosy i radzili. Co tu teraz robić, kiedy księżoszek nie śmie już uczyć w szkole ligockiej? Co tu teraz robić?,.

Czekali Helenki. Ją także zaproszono na dzisiejsze obrady. Karlik ją zaprosił. Dziobaty, długi Gustlik Tyrlików stał opodal i wyglądał na drogę, czy już nie idzie. Gdy pójdzie, trzeba będzie papierosy zgasić, boby się chmurzyła.

Nareszcie ją dojrzał. Biegła miedzą pomiędzy szarem rżyskiem, odprowadzana dociernem gęganiem wałęsających się gęsi. Przez ramię miała przerzuconą dzichtę, w dłoni trzymała maleńką grackę. W słońcu jarzyły się zdała jej złotawe włosy.

— Helenka idzie — oznajmił Gustlik wyczekującej gromadzie.

Podnieśli się wszyscy i przedeszli ją spojrzeniem.

— Ohej!.. Ohej!.. Helenka!.. — witali ją zdaleka głosem, czapkami i rękoma.

°8) pisok — kamień, przerastany gęsto warstewkami węgla.

Helenka odpowiadała im dłonią i uśmiechem. Przyśpieszyła kroku. Chłopcy, stojący u krawędzi wysokiej hałdy, patrzyli, skoro dojdzie do jej stoku. Doszła. Ugrzęzły nogi w grząskiem, stoczystem usypisku, nachyliła się, po czworakach jęła wznosić pod górę. Karlik skoczył, zsunął się na pośladkach pod jej nogi, że aż szeroki kurz rozwinął się za nim skłębioną drogą, podał jej dłoń, zaparł piętami w osuwający miał i zaczął podciągać dziewczynę za sobą. Wydrapali się zdyszani na wierzch.

Poszukali teraz miejsca, gdzieby wygodnie usiąść. Powierzchnia hałdy była poorana wądolcami, koleinami, dołami, drobnemi wzniesieniami.

— Tu my se siednij! — zawołała Helenka, wskazując na obszerny, niegłęboki dół.

Zsypała się gromada w wgłębienie, obsiadła brzegi, a w środku przykucnęła Helenka, mając po boku Karlika Szerokiego i Ferdusia Ćmokowego.

— Tóźmy zaczynej — rozpoczął uroczyście Karlik,

— Zaczynejmy — powtórzył Ferduś Ćmoków.

— Wiesz, Helenko — zwrócił się do dziewczyny Karlik — bo my tu skyrs tej religje, co nas nie bydzie uczył księżoszek.

— Chcemy wybić okna szmajstrowi[59]) i temu nowemu rechtorowi, bo to farośki german!.. — dorzucił Ferduś.

Helenka słuchała i nic. Chłopcy śledzili w jej modrych oczach, próbowali odgadnąć jej myśli.

— Jo wiem już wszystko — rzekła po chwili — bo tatulek mówili o tem doma. Farorz dostali pismo skądsiś, że im nie wolno religji uczyć. Teraz mómy sie po niemiecku uczyć.

---

[59]) Szmajster — Schulmeister, kierownik szkoły.

— Nie bydymyL — wrzasnął zapalczywie Karlik.

— Nie bydymyL — wrzasnęli za nim towarzysze i podnieśli groźnie motyczki i młotki, potrząsając niemi nad głową.

— A wiecie, co robiły dziecka w Poznańskiem?

— Wiemy, Helenko!.. Strejkowały!

— No tóż widzicie! My też tak zrób!..

— Dobrze mówi Helenka!.. Dobrze mówi!.. Strejkujmy!..

— Ja, toć, a jak nóm rechtór na galaty narzeże, co potem?..

— Okna mu wybijemy doma!..

— Tak jest! Okna mu wymielemy kamieniami, farońskiemu germanowi!..

— Jo też! — zapiszczał mały Fasrała. Podniósł płaski kamień, popluł, wyskoczył na brzeg dołu, i śmignął nim pod podniesioną nogę. Kamień zafurczał, zakreślił daleki łuk i opadł za hałdę.

— Dobrze ciepie!..[60]) — przyznała zachwycona Helenka. Bo to nie każdy potrafił rzucać kamieniem w taki kunsztowny sposób. Było do tego potrzeba długiej cierpliwości i ćwiczeń. Helenka tak nie potrafiła, bo jej sukienka przeszkadzała.

— Tóż co zrobimy? — zapytała po chwili, gdy Fasrała wrócił na swoje miejsce.

— Wiecie chłapcy, co wóm powiem? Bydziemy strejkowali i szlus.L

— Tak jest!.. — przytaknęli wszyscy jednogłośnie.

— Gdy sie nas rechtór bydzie pytać religji, to żoden z was ani mru-mru!.. — zawyrokowała Helenka.

---

60) ciepie — rzuca.

— Ani mru-mru!.. — przytaknęli zachwyceni chłopcy.

— A gdy koże rzekać „Vaterunser", to nic nie robić!,, Żoden z was ani gęby nie odewrze!,,

— To sie rechtór w pięta ugryzie ze złości!.,

— Ja toć, prowcie se, a potem nóm rechtór nabije, co wlezie — zajęczał któryś z mleczaków.

— Hy, głupi!.. Ďomy se wszyscy czopki pod galaty, to nie bydzie boleć.

— A jak na backi[61]) bydzie prać, to trzeba zaroz polizać. To potem tak bardzo nie boli... — radzili inni.

— Tóż jako powiadóm — zaczęła znowu Helenka — w naszej klasie bydymy strejkować, Rzekać „Vaterunser" nie bydymy, a potem siedzieć cicho i nic! A jak rechtór kogo zawoło, to powiedzieć...

— Ni! — przerwał Karlik — nic nie powiadać. Stanąć i nic nie mówić, jakby gębę zamurowało!

— Dobrze!.. — zgodziła się Helenka — więc nie bydymy nic mówić. Zgoda, chłapcy?

— Zgoda, Helenko! — jęli wszyscy wołać na przedbieżki.

— I choćby nas rechtór proł kijem, to nie ustąpić!.. Zgoda?

— Zgoda!.. Choćby nas rechtór kijem proł!..

— W klasie, to nic, bydymy po cichu, choćby nas nie wiem jak proł. Ale potem wieczór kamieniami okna wymielemy, faronowi! — uzupełnił Helenczyne wywody Karlik.

— Dobrze!.. Kamieniami wytłuczemy okna!.. — wrzeszczała gromada.

---

[61]) backi — łapy, dłonie.

— A teraz każdy z was do mi ręka, że nie ustąpi — rzekła poważnie Helenka. Przypomniała sobie, jakto jej ojciec z Markiem i Ściskałą coś podobnego we wnęce hałdowej czynili.

Zerwali się chłopcy z siedzenia, jęli przepychać ku Helence.

— Nie naroz — krzyknęła dziewczyna — po jednemu!

I każdemu podawała maleńka, dłoń. Chłopcy ujmowali ją w szerokie łapy, potrząsali mocno, niektóry z nich dla dodania wagi tej czynności, uderzał w nią z poza głowy swoją dłonią, że aż strzeliło, a wszyscy byli ogromnie uradowani.

Poprawdzie, to oni już poprzednio byli uchwalili rozpocząć strejk na własną rękę, zanim jeszcze Helenka przybyła. Teraz tylko jej obecność miała nadać ich umowom charakter zaprzysiężenia.

— Ale to wóm powiadom — zakończył zebranie Karlik Szerokiego — aż mi się kiery z was nie opowoży o tem w domu lebo we szkole blaknąć!.. Bo Jezus, Maryjko!.. — i popluł groźnie w dłoń, i palcami roztarł.

— Ale ni!., ni!.. — zapewniali towarzysze — kajby też tam!..

Poszli teraz zbierać opukę.

Przeszli gromadą na drugą stronę hałdy, zanurzyli się w dławiącym, fioletowym czadzie, co dymił z tlejących stoków, i jęli szukać wśród rumowia błyszczących, lekkich kawałków węgla. Każdy z nich nazbierał najpierw do czapki i odsypał na wspólną gromadę. To było dla Helenki. Karlik pilnował, czy który nie cygani, czy czapka rzetelnie napełniona, czy nie dużo pisoka w niej, lub broń Boże, kawał kamienia!..

Helenka zaś rozpostarła dzichtę i układała w niej przyniesione darowisko. Gdy już wszyscy swoją daninę złożyli, pomogli jej powiązać końce dzichty, potem Karlik zarzucił ją sobie na pieca i zniósł po stromym stoku hałdy na dół. Helenka schodziła za nim. Tam pomógł jej podnieść brzemię na plecy, podtrzymał, aż Helenka zawiązała końce dzichty pod brodą, podał ręki na pożegnanie i rozeszli się.

Nazajutrz spisek rozszerzył się na całą klasę. Najmniej zaufania miano do dziewczyn. Miękkie to i skore do płaczu. Gotowe zawieść za pierwszym krzykiem rozgniewanego rechtora. Tu już Karlik był bezradny. Ale pocieszał się, że jeżeli zobaczą, iż wszyscy chłopcy i Helenka trzymają się mocno, to i one zhardzieją, i także nie zawstydzą gromady.

Największe zmartwienie stanowiła kierownikowa Heima. Gdy się dowie — a dowiedzieć się, to napewno się dowie, bo dziewczyny wszystko wypaplają — gdy się dowie, doniesie ojcu, a on gotów zgóry wszystkiemu przeszkodzić. Przyjdzie do klasy z krzykiem, zacznie walić trzciną po stole, rzucać się, wyzywać, pienić, strach padnie na dziewczyny, za dziewczynami na poniektórych chłopców, i wszystko djasi pozbierają!..

Helenka zapewniała, że Heima Kowollowa nie jest taką drzystulą. Ona dobrze wie, że Heima nie lubi ojca, ho ojciec ją nieraz bije w klasie wobec wszystkich dzieci, i jest pewna, że chociażby się dowiedziała o wszystkiem, nie powie jemu. Nawet gotowa sama strajkować. Toć ona dobrze wie, bo się przecież z nią kamraci i polskie książki jej pożycza. Ojciec niczego się nie domyśla, bo Heima czyta je albo w altanie, albo też w stodole w słomie ukryta. A gdyby wiedział, toby jej z pewnością nabił. Oto teraz niedawno pożyczyła jej książkę, tę historję Polski,

którą otrzymała od księżoszka przy pierwszej komunji świętej.

Trzeciego dnia miała się odbyć nauka religji.

W klasie panowało podniecenie. Chłopcy i dziewczyny tworzyli gromadki i przytłumionym, gorączkowym szeptem omawiali nadchodzącą burzę. Chłopcy raz wraz poprawiali spodnie i dłońmi wyczuwali, czy złożone czapki dobrze pod niemi leżą. I jeden drugiego mustrował badawczem spojrzeniem, czy nauczyciel w razie czego nie dostrzeże oszustwa. Wtedy byłaby bieda i na nicby się zdała przemyślność chłopięca. Kazałby wszystkim powyciągać czapczyska i możeby jeszcze mocniej nabił.

Karlik Szerokiego śledził zafrasowany, co czynią dziewuchy. Widział, że mają w oczach rosnące przerażenie, a językami mielą na przedbieżki i rękoma rozkładają nad podziw.

— Nie bydzie z tej mąki chleba — rzekł zmartwiony do Ferdusia Ćmokowego.

— Ni!.. — przytaknął niemniej zafrasowany Ferduś.

Przyszedł nauczyciel. Klasa, dotychczas rozbrzęczana nakształt ula, ucichła znienacka, lęk przeleciał od ściany do ściany, ’¿siadł między dziećmi.

Nauczyciel szedł dużemi krokami od drzwi do katedry, nie patrząc na nikogo. Wielka, ciemna, roztrzęsiona czupryna niosła się nad jego głową, jak zastygły krzyk pociemniałego gniewu. Szybkie, nerwowe ruchy rozmachanych łokci i nóg, urywany stukot obcasów, swęd dymu tytoniowego i nerwami wyczuwana obecność jego myśli i uczuć, przypominająca widok rozpryskujących się iskier w ciemną noc przed oczyma, — wszystko to zmiętosiło twardą dłonią drobną wolę dzieci. By się nie poddać, trzeba ją było napiąć do ostatnich granic, wprost fizycz-

nego wysiłku użyć, skupić się, zebrać w siebie, jak człowiek, który zamierza nadmierny ciężar podnieść.

Oczy szły za nim krok w krok, na palcach. Czujne, baczne, przewidujące, a nienawistne.

Bo dzieci go nienawidziły. Dietrich był jeszcze młodym nauczycielem o dziecinnej twarzy. Pragnąc nadać sobie większej powagi, a u dzieci wywołać należny jego stanowisku respekt, zgarniał brwi w groźne kłębka, że spojrzenie jego nabierało surowości. Lecz to mało. Głos swój w klasie jakoby rozpłaszczał w ostrą klingę, wyuczonym skurczem zwężał krtań, że słowa jego wychodziły i leciały między dzieci chybkiemi cięciami bata. Wypinał przytem pierś i raz wraz tłukł pięścią lub trzciną po stole, a słowa gęsto przeplatał mocnemi zwrotami, obfitującemi w grzmiące spółgłoski. Jego ulubionemi klątwami były wyrazy: „Donnerwetter” lub „Kruzihimmel”, przyczem spółgłoski „r” wymawiał z naciskiem, warkotliwie i długo. Odsłaniał przytem zlekka górną wargę, z pod której wybłyskiwały drobne, ostre zęby.

— Warczy, jak pies u budy!.. — mawiali wtedy chłopcy jeden do drugiego.

Często jednak wypadał z roli srogiego władcy. Na drobną chwileczkę rnusiał przecież odpocząć. Wtedy twarz jego stawała się twarzą dużego dziecka o wyrazie trudnym do określenia i rozśmieszającym uczniów swą miękką tępotą. Dzieci, od samego początku nastawione psychicznie w sposób nieprzyjazny do niego, potrafiły w mig przejrzeć jego niezdarne maskowanie się. I dlatego też, im bardziej się rzucał i grzmiał w klasie, tem większa dla nich radość i ukontentowanie. Na hałdzie będą go teraz mogły z powodzeniem udawać i naśladować.

— Wstać! — rzucił nauczyciel po niemiecku. Ostro i krótko.

— Modlić się!.. — i wskazał palcem na Helmę kierownikową. Zazwyczaj modliło się jedno dziecko, a reszta miała po cichu szeptać modlitewne słowa. I czynnością tą obdarzano dzieci ubrane zpańska lub wyróżniające się postępami w nauce, tak zwane „kujony”.

Heima jęła odmawiać. Wszyscy bezwiednie odetchnęli, bo chwila nadchodzącej burzy cofnęła się nieco.

— Siadać!.. Dłonie na ławy!.. Wyrównać się!.. Nie ruszać się!,. Już!.. — Dzieci spełniały mechanicznie rozkazy. Wyrównały się, szmer ustał, nastała cisza. Nauczyciel obszedł spojrzeniem znieruchomiałe postacie w ławach. Zasiadł teraz za stołem. Miała się zacząć powtórka przebranego materjału.

— Powiedz mi, ile mamy bogów? — zapytał — jak zwykle — po niemiecku i chwilkę wyczekał według zasad metodyki. Zwyczajnie przy takiem pytaniu podnosił się szereg gmerających palców ponad głowami, dzieci się głosiły do odpowiedzi, a nauczyciel tylko wskazywał trzciną na jedną z wyciągniętych rąk lub wymieniał po nazwisku. Czasami takie dzieci wołał, które się wcale nie głosiły. Był to powód do kary. Sprytniejsi chłopcy podnosili zawsze palce, chociaż nawet nie potrafiliby odpowiedzieć. Niewielka była stąd pociecha, bo gdy nauczyciel się połapał i takiego spryciarza zawołał, wtedy następowała katastrofa. Było „fasowanie”, jak nazywali uczniowie chłostę,

— Powiedz mi, ile mamy bogów? — zapytał powtórnie, bo na dziwy, żadna ręka się nie podniosła. Gdzieś tam z tyłu wychynęły czyjeś dziewczęce palce, lecz w tej chwili skryły się.

Nauczyciel nasrożył się.

— O, ihr Eseln!.. Idioten!.. Keiner weisst es von euch?[82]) — jął się rzucać za stołem.

W klasie milczenie.

— Na, da hat euch schön euer polnischer National-held Religion gelernt!.. — jął przekpiwać. — Viel habt ihr von ihm gelernt!.. Ihr Idioten!.. Lausbuben!., polni-sches Gesindel!..[63])

— Ty, Karlik, bo jo temu faronowi farońskiemu na-prowdy okna wybija!.. — szepnął zgorszony Ferduś do Karlika.

— Du!.. Du sag es!,.[64]) — krzyknął nauczyciel, wskazując na Ferdusia. Zauważył, że coś szepce do są-siada.

Załomotały drobne serca. Coś za gardło chwyciło.

Ferduś podniósł się powoli. Oczy miał zmrużone, wyzywające. Szczęki zwarte. Popatrzył po towarzyszach. Wszyscy mieli wlepione w niego oczy. Co też zrobi?.. Co?..

— Mómy jeny jednego Boga!.. — wyrecytował po-woli, głośno, po polsku.

— Deutsch antworten!..[65]) — wrzasnął nauczyciel i trzasnął trzciną po stole. Uniósł się biały pył kredy, roz-wiał powoli w przejrzysty obłoczek.

— Na!.. — warknął Dietrich wyczekująco.

— Mómy jeny jednego Boga!.. — wykrztusił przez zaciśnięte zęby Ferduś. Oczy jeszcze mocniej przysłonił powiekami, skurczył się, pochylił nieco wprzód, jakby

---

[62]) O wy osły! Idjoty! Nikt z was nie wie?

[6S]) No, to was ładnie uczył religji ten wasz bohater narodowy' Dużo się nauczyliście przy nim! Idjoty! Smarkacze, polska hołota!

[e4]) Ty powiedz!

[85]) Po niemiecku odpowiadać!

do uderzenia. Z pomiędzy wąskich szpareczek rzęs ślepiły zimne, migotliwe płomyczki.

— Was?., was?.. — krzyczał nauczyciel, — Wiederhole!..[66])

— Mómy jeny jednego Boga!..

Jednym skokiem znalazł się obok chłopca, zamierzył się i uderzył w twarz. Głuche, mokre plaśnięcie!.. Ferduś zasłonił się ramionami i przechylił nisko do podłogi.

— Ich werde euch zeigen!.. ich werde euch zeigen!..[67]) — pienił się ze złości. Poplątały się ścieżyny, któremi zwykło chadzać jego rozumienie, zagubił ich wątek, na bezdroża zeszedł, otumaniony, zaskoczony oporem chłopca. Rzucając urywane zdania, wpychające mu się bełkotem w usta, nie umiejąc ich ułożyć w logiczny związek, podobny człowiekowi, co się znienacka w topieli znalazł i teraz bije rękoma po rosnącej fali, nie widział już teraz nic przed sobą, jak ten ugięty grzbiet słaniającego się chłopca, jego czerwone ręce, okrywające głowę, widomy kształt buntu i niepojętej bezczelności!.. Bił pięśćmi po głowie, po grzbiecie, szarpał za włosy i krzyczał...

A kiedy się zmęczył, a tchu zaczęło brakować w piersiach, głos zaś załamał się w swem wyniesieniu i jął teraz chrypliwie powłóczyć — ustał.

— Ich werde euch zeigen!.. — poprawił ostatniem zdaniem i potoczył oczyma, kogoby tu ująć w pazury.

Pchnęły go mnogie, mściwe oczy dzieci. Dojrzał w nich błyszczące noże. Na ławach leżały zaciśnięte ku-

---

*[6]) Co? co? Powtórz!

[67]) Ja wam pokażę!

łąki pięści. W nachylonych postawach chłopców było coś z czającego się zwierza, który — tylko czekać — skoro się rozpręży i runie z wilczą paszczęką pod gardło.

— Ujarzmić bestje! — przeleciało przez jego zrozumienie nagłem olśnieniem.

— Du!.. Schiroky!.. Du sag es!..

Karlik Szerokiego skoczył i głośno, wyzywająco, z podniesioną głową wrzasnął:

— My mómy jeny jednego Boga!.. — Po polsku. Na upartego. Niech wie, german farоński, że się go nie boimy!..

— Und du auch?!..[68])

Ułapił chłopca za kołnierz, pociągnął mocno ku sobie. Ku tablicy go powlecze, trzciną zbije. Karlik zaparł się nogami o podłogę, chwycił ławy, nie puścił. Rozpoczęło się zmaganie. Chłopak był silny. Szamotali się, dyszeli!.. Nie da rady!..

Nauczyciel pobiegł za katedrę, porwał trzcinę, przyskoczył zpowrotem.

— Komml..[69]) — wykrztusił.

— To ni!..

Znowu chwycił za kołnierz, szarpnął. Karlik zaczepił palce o ławę, nie puści. Wtedy nauczyciel znienacka ciął raz i drugi trzciną po palcach. Karlik krzyknął, puścił. Zaskoczony kąsającym bólem pozwolił się powlec ku tablicy. Opór jego zwiotczał. Szczypie w członkach, pali żywym ogniem. Jakby rozpalonemi szpilkami kłuł raz po razie, szybko, szybko...

Dietrich cisnął nim o występ, przytrzymał rzucające się ciało i jął teraz smagać. Trzcina migała świetlistym

---

[68]) I ty także?

[69]) Chodź!

wycinkiem koła, spadała szybciej od pomyślenia, wyginała się, świszczała, a za każdem uderzeniem leciały jego odgłosy. Karlik krzyczał, nogami kopał. Nic nie pomaga. Już wie!.. Uchwycił między paznokcie nauczycielową łydkę i co miał siły, zwarł. Jakby zębami! Mocno, choćby do krwi!.. Nauczyciel odskoczył, puścił. Karlik na to czekał. Zerwał się i poleciał do ławy. Już miał plan. Gdyby teraz za nim pobiegł, pod ławę się skryje!..

Dziewczyny zakrywały oczy dłońmi, a która bojaźliwsza, jęła zcicha popłakiwać. Chłopcy znowu podnosili się z ławek, zaciskali pięści, chwytali za ciężkie piórniki. Ferduś zaś począł wyłuskiwać z ławy kałamarz.

Nauczyciel się rozgorączkował. Uczuwał, że go ponosi jakiś ogień. Zdawało mu się, że stanął przed tłumem osaczających go psów rozwścieczonych. Bić! bić! bić!.. Bić, aż do utraty tchu!.. Aż skomleć zaczną, u stóp jego czołgać!.. Nogi lizać!.. Uczuć się panem tamtej trzody!.. Rozkazywać, jak pan wszechwładny, jak pan wielki!..

W oczach jakieś krwawe koliska raz poraź się rożegają. W skroniach tętni wzburzona krew. Ramiona drżą i prężą się do ujęcia bata...

— Du!.. — i wskazał trzciną na Helenkę. Stała w ławce, blada, przerażona, zapatrzona w szlochającego Karlika Szerokiego.

Oprzytomniała.

— Mómy jeny jednego Boga!.. — powtórzyła z wysiłkiem za tamtymi.

— A więc i to szczenię?!.. — bluznęła rozwścieczona myśl. — A więc i to szczenię?!..

Runął między ławki, dopadł jej dygocącego ciałka, szarpnął za dłoń, chwileczkę potrzymał i ciął trzciną z poza głowy.

Helenka krzyknęła.

Ujął szybko drugą dłoń, zamierzył się i zanim uderzył, koło głowy śmignął kałamarz, prasnął o ścianę, rozprysnął się w zamieć szklanych okruszyn, plunął strugą atramentu po murze. A w tej samej chwili wzbił się skłębiony krzyk chłopców:

— Nie wolno bić Helenki! Nie wolno!., nie wolno!..

Wysypali się wszyscy z ławek, rzucili w ganek ku nauczycielowi, jedni jęli się z nim szarpać, kij wydzierać, drudzy otoczyli skomlącą w ławce Helenkę, a każdy krzyczał, tupał nogami, groził, walił piórnikiem po ławie, dziewczyny zaczęły piszczeć, przeciskać się ku drzwiom, tłoczyć, przewracać, na korytarz wywalił się potworny zgiełk i wycie, i skowyty przerażone...

Roztworzyły się drzwi gwałtownie, do klasy wpadł kierownik, u progu stanął.

— Ja, um Gottes willen, was ist los, Herr Kollege?[70])

Zrozumiał wszystko w okamigu. Krzyknął na dzieci potężnym basem, zdzielił pięścią najbliżej stojących, roztrącił, o ławki prasnął.

— Ruhe!.. zum Donnerwetter!..[71]) — zagrzmiał po raz wtóry.

Popłoch padł na kurzą gromadkę dziewczyn, popłoch padł na chłopców. Uchylili się nisko, do ławek jęli przeciskać. Jedni przez drugich, jedni przez drugich. Na środku ostał nauczyciel z obłamkiem trzciny, blady, dygocący z gniewu, o nieprzytomnych oczach. Tuż przy nim skulona Helenka zcicha płakała.

— Was ist los?.. Was ist geschehen?..[72])

,0) Na miłość Boską, co się tu dzieje, panie kolego?

71) Spokój, do pioruna!

78) Cóż to jest? Co się stało?

Nauczyciel opowiedział łamiącym się głosem. O wszystkiem.

Rozpoczął się teraz sądny dzień,

— Aha, also eine polnische Meuterei![73]) — zakrakał szeroko kierownik Kowoll. Zatarł dłonie. Doskonale. Bardzo dobrze. Będzie powód do zyskania łaskawego oka u landrata. Doskonale!..

Poszedł z nauczycielem za katedrę. Teraz on rozpocznie pytać. Poczekajcie!.. Kto zaczął? Kto najgorszy?

— Schiroky, Herr Schulmeister, und Helene Waloschek!..

— Gut, gut, Herr Kollege!.. Karl Schiroky.,. na, steh auf!., antworte!..[74])

— Jo nie byda po niemiecku na religji padół... ani słowa! — krzyknął rozjuszony chłopiec.

— Gut!., gut!., brauchst es nicht!.. Wer noch, Herr Kollege?[75])

— Helene Waloschek...

— O, die kenne ich... Na, Waloschek... hör auf mit dem Heulen!..[76])

— Jo też nie byda po niemiecku na religji mówiła, panie szmajster!.. — rzekła dziewczyna, usiłując stłumić dławiące łzy.

— Gut!.. Wer noch von euch? Wer will nicht deutsch antworten?[77])

— Tschmok Ferdinand — podrzucił nauczyciel.

---

[73]) A więc polski bunt!

[74]) Dobrze, panie kolego! No wstań, odpowiadaj!

[75]) Dobrze, nie musisz! Kto jeszcze, panie kolego?

[76]) Tę znam! Przestań wyć!

”) Dobrze! Kto jeszcze z was? Kto nie chce po niemiecku odpowiadać?

— Na, Tschmok!.. willst du deutsch antworten?

Ferduś wstał i nie nie odpowiedział.

Spokojny, drwiący ton kierownika działał na dzieci, jak ciężkie a pewne uderzania młotem. Ćmok widział taki młot w hucie. Potwór ogromny, sięgający czarnem cielskiem pod strop, pomierzwiony mnóstwem kół i transmisyj, klaskający pasami. W potężnych ramach żelaznych podnosi się niezmierzony ciężar, ogromny blok stali i nagłym rzutem spada na podstawione żelazo, rozbija je na drzazgi, ugniata, jak ciasto. Iskry sypią się ognistemi mietlicami z obu stron, sięgają ludzi, a z boku stoi spokojnie stary Żerdka i lekko naciska rączkę. W zestawieniu tych dwóch czynności, Żerdkowego naciskania rączki drobnej, a jękliwego uderzania młotem — w zestawieniu tych dwóch dziwnych czynności widział Ferduś kierownikową obecność i jego dogadywanie. Polękał się.

— Also sprich!.. — zachęcał go kierownik ze zjadliwym uśmiechem na zagryzionych ustach.

— Ja... ■— szepnął bojaźliwie Ferduś.

— Ty pieronie!., — wymełł w zębach Karlik.

Kierownik pytał dzieci po kolei. Każde wykrztuszało tamto zduszone słowo „Ja!".. Wszystkie się zgadzały.

— Und du, Helma? — zapytał wkońcu swojego dziecka. Lekki niepokój owinął się koło serca.

— Nein, Vater!.. — rzuciła Helma ojcu.

Jakby obuchem zdzielił ktoś po ciemieniu. Na drobną chwileczkę pociemniało w oczach. Już mija...

— Geh jetzt in die Wohnung, Helma — rzekł spokojnie — ich werde dir schon dieses „Nein" austreiben!..[78])

Helma wyszła.

---

[78]) Idź do mieszkania, Helma. Już ja ci wypędzę to „nie“!

— Also es bleiben nur zweie... Schiroky und Waloschek... Also ihr saget, liebe Kinder, ihr werdet nicht mehr deutsch antworten?.. Ja oder nein?..[79])

— Panie szmajster, jo już padół, że ni!.. — rzucił Karlik jak kamieniem.

— Jo też nie byda!.. — zakwiliła Helenka prawie szeptem.

Stało się. To już wystarczy. Dzieci są świadkami. A łaskawe oko będzie u landrata. Za stłumienie buntu. Hi, hi, hi! Zatarł dłonie.

Helenka i Karlik zostali w karcerze. Cztery godziny przesiedzieli w zamkniętej klasie. Karlik był podobny do drapieżcy, który czeka chwili, by móc kąsać, zębami rwać. Zżymał się na zdradę Ferdusia. Helenka zaś siedziała skulona w ostatniej ławie. Co to teraz będzie?.. Co to będzie?,,

Helenkę czekały w domu ciężkie wyrzuty. Ojciec głaskał ją po głowie, a równocześnie gderał. Matka zaś narzekała i narzekała. Potem Wałoszek ubrał się i poszedł do kierownika.

— Nie robią, panie kierownik, głupoty, bo moja dzioucha bydzie po niemiecku odpowiadała.

Nie było to na rękę kierownikowi, ale trudno. Kiedy ojciec prosi...

Karlik nie miał ojca. Przed dwoma laty zmarł. Matka troszczyła się o niego. Sprała go paskiem, co wlazło.

— Toś ty taki, marcho przegrzeszono!.. Toś ty taki!.. — krzyczała.

---

[70]) Pozostaje więc dwoje: Szyroki i Wałoszek. Więc mówicie, kochane dziatki, że nie będziecie po niemiecku odpowiadały? Tak lub nie?

Zdawało się wszystko ucichnąć. Chłopcy nie śmieli spojrzeć w oczy Karlikowi. Na szczęście on ich także unikał. Helenka zaś milczała i na nikogo się nie popatrzyła. Jakby nie widziała. Była spokojna, jak dawniej, skupiona, zamyślona. Tyle jeno, co te kąciki ust raz wraz drgały boleśnie i jakby się zlekka opuszczały.

Nadeszła sobota. Nowa lekcja religji. I znowu to samo,

Kiedy Helenka i Karlik mimo krzyku i strofowań ze strony nauczyciela zacięli się i milczeli, powziął kierownik ostateczną decyzję. Dietrich posłał którąś z dziewczyn po niego, bo Heima nie chciała iść. Przyszedł i jął znowu niby to łagodnie przemawiać. Groch o ścianę rzucał. Dobrze. Karlikowi piętnaście batów na tyłek, Helence po pięć batów na każdą dłoń!.. Teraz będziecie?.. Znowu nie.

— Lassen Sie es schon, Herr Kollege... ich werde schon mit diesen Bengeln Ordnung machen!..[80]) — powiedział kierownik i poszedł.

Tego samego dnia poszło doniesienie do landrata. Landrat miał jeszcze świeżo w pamięci ostatnią naganę. Poszło jego pismo do Opola, W środę rano przyszła odpowiedź. Na mocy takiego a takiego paragrafu, tej a tej ustawy rodzice Helenki i Karlikowa matka mają się zjawić w sobotę w sądzie okręgowym w Opolu. Wraz z dotyczącemi dziećmi.

Przyszła sobota. Poszli. Zapadł wyrok.

— „Wegen Sittlosigkeit”[81]) — jak brzmiało określenie — skazuje się Helenę Waloschek na sześć miesięcy

---

[80]) Proszę dać spokój, panie kolego. Ja już z temi bękartami przyjdę do ładu!

[81]) Z powodu nieobyczajności!

pobytu w domu poprawczym, Karla Schiroky zaś na ośm miesięcy.

Matka Karlika rozpaczała.

— Zabiją mi tam dziecko, zabiją!.. — lamentowała i lamentowała.

Przyszedł Wałoszek z Markiem i uspokoili matkę.

Wałoszek przyjął cios spokojnie. Znieczulał już jakoby na wszystko. Toć tyle już tego było w tern żywobyciu, tyle udręki człowiek już zniósł, że i to się zniesie!.. Poręczono Panu Bogu!.. Nie czuł do Helenki żalu. W duchu pochwalał ją za to wszystko. Proboszcz też potrafił pocieszyć.

— Wróci dziewczę, wróci... — mówił — naje się krzywdy, przejdzie poniewierkę. Lecz to nic. To samo z Karlikiem Szerokiego. Lecz to ich nie złamie. Przeciwnie — zahartuje, utwierdzi w polskości.

Nadszedł dzień, kiedy przyszedł po dzieci wysłaniec z domu poprawczego. Z żandarmem przyszedł. Helenczyna matka zawiązała tobołek, a w tobołku było trochę bielizny, kawał chleba, nieco masła i słoniny. To samo uczyniła Karlikowa matka. Postanowiły odprowadzić dzieci do Opola. Kęs drogi do tamtego miasta, ale trudno. Toć to przecież ich dzieci! Żandarm zgodził się łaskawie, bo nie miał wyraźnego zakazu.

Kiedy już Helenka wychodziła z domu, przybieżała Kowollowa Heima. Spłakało się dziewuszysko, wycałowało Helenkę, a na rozstaju wcisnęło jej do garści pięć marek i tabliczkę czekolady.

— Weź se, Helenko, weź — i uciekła, bo się lękała, że Helenka odmówi.

Koło lasku spotkali gromadę chłopców. Stali milczący i patrzyli z podełba na żandarma i tamtego drugie-

go chłopa w mundurze, co szedł z dziećmi. Karlik rzucił na nich zachmurzone spojrzenie i ulźało mu. Każdy z chłopców miał u nóg przygotowaną kupkę kamieni. Już wiedział. Chcieli zło naprawić. Nauczycielowi i kierownikowi nie wybili okien w mieszkaniu. Naprawdę się polękali. Widać, postanowili sprać kamieniami żandarma, gdy ich poprowadzi. Lecz nic z tego. Jeszczeby któryś z nich mógł Helenkę uderzyć!.. Jezusku święty!..

Patrzyli z żalem na przechodzących, a każdy z nich ważył kamień w dłoni. Nic się nie da zrobić.

— Helenko, z Panem Bogiem! — krzyknął zdaleka Ferduś za dziewczyną.

— Z Panem Bogiem, Helenko! — powtórzyli chłopcy za nim na przedbieżki.

Helenka się uśmiechnęła. Skinęła im dłonią i nic. Karlik zaś pogroził.

— Wy, farony!.,

— Nie gniewej się, Karlik — zawołał znowu Ferduś — nie gniewej się. Dzisiok wymielemy okna!..

Karlik się udobruchał. Tak samo im skinął ręką, jak poprzednio Helenka.

Chłopcy długo stali na drodze i odprowadzali oczyma tamtę gromadkę. Malała im stopniowo w dalekości, zamieniała w drobne, szare punkciki, potem utonęła w gęstwie zieleni przydrożnych drzew.

Chłopcy popatrzyli z żalem na kupki kamieni, rozgarnęli je nogą i poszli.

Tejże samej nocy ktoś rozbił wszystkie frontowe okna w mieszkaniu kierownika Kowolla i nauczyciela Dietricha. Co do jednego.

XIV.

Gustlik oświadczył matce, że już nigdy a nigdy nie zjedzie pod ziemię.

— Dlaczego?

— Bo... bo... tam jest Pustecki!

— Pustecki?

— Pustecki!..

Matka się zatroskała.

— No to idź, synku, ku sztygarowi, a zapytej pięknie, aż ci dają robotę na wierchu.

Wiedziała, że mniej zarobi, aleć zawsze to bezpieczniejsza praca, aniżeli pod ziemią. Człowiek nie wie tam ani dnia ani godziny. Zdrowy zjedzie — nieboszczyka mogą wywieźć. Ileż razy już tak się stało? Chociaż mniej teraz Gustlik zarobi, ale zawszeć mu bezpieczniej na wierzchu, zawszeć!.. Pónbóczek wie, co ma czynić!

Sztygar głową pokręcił, zmrużył oczy, popatrzył podejrzliwie w jego oczy i uśmiechnął się z przekąsem.

— Aha, tobe se ne chce dielać na dole?.. Ja wim!.. Rzikasz, żeś wideł Pusteckeho?.. He, he, he!.. A kde pak ho ty wideł, kde?..

— W starych robotach, panie sztygar... za nogę mnie pociągnął, a potem na to miejsce spod kamień, taki pieroński kamień...

— W starych robotach, rzikasz? He, he, he!.. ano... — i znowu popatrzył w Gustlikowe oczy. Ujrzał w nich cień minionego przerażenia. Chwilkę coś pomyślał i uwierzył. On go sam kiedyś widział. To było wtenczas, gdy się lina na pochylni zerwała i naładowane wózki stoczyły się do upadu i zmiażdżyły młodego Szerudę. Ujrzał ponownie tamten obraz.

Idzie, idzie samotny samotnym gankiem, u progu swego rejonu, i za pierwszym skrętem natrafia na starego,

kulawego Bulandrę, co to nic innego nie robił, tylko ściany wodą zlewał, żeby pył węglowy był stale wilgotny. Stoi stary Bulandra, lampa kołysze mu się za paskiem na biodrach, u stóp czarna konewka z wodą, a w dłoniach trzyma długą sikawkę ręczną, nabiera wodę i strzyka srebrzystym, obłym, rozwianym strumykiem po ścianach. Woda szeleści suchym szelestem, zwilżone ściany ociekają dużemi kroplami, na spongu kałuże się tworzą, a pokraczny cień Bulandry kolebie się po ścianach, macha długiemi ramionami, skacze po załomach.

Sztygar przyszedł, przeszedł, a Bulandra nic. Jakby go nie widział. Ani nie powiedział swego: Szczęść Boże!.. A niechtam. Stare chłopisko, widać, czegoś zamyślone, nie dowidział przechodzącego sztygara.

Sztygar doszedł do pierwszej bocznicy, obejrzał się. W głębi dalekiego ganku mrugało Bulandrowe światło, kołysało się nieznacznie, do małej, czerwonej kulki podobne. Popatrzył jeszcze raz. Cóż to światło takie czerwone? Przetarł oczy, przymrużył. Eh, to wzniecony pył kłębi się powoli koło lampy, przesłania, pochłania jedne promienie, drugie przepuszcza, te czerwone widocznie, i dlatego ono takie cudaczne!.. Poszedł dalekim gankiem. Po pół godzinie stanął u wejścia pierwszego przodka. Tuż przed gospodą stoi ten sam Bulandra!.. Polewa ściany spokojnie, tytoń żuje i spluwa leniwie przed siebie.

— Szczęść Boże, panie sztygar!.. — mówi i uchyla magierki.

— Zdarz BuhL — powiada sztygar i dziwuje się.

Co to jest? Przecież go widział u wejścia do pokładu! Pół godziny temu!.. Którędy przeszedł?..

Załomotało serce, za grdykę coś ułapiło, mrowie obleciało po kościach.

I nic.

Wchodzi do przodka, siada spokojnie, tłamsi niepokój, by tamci nie poznali, bo gotowe na długo prześmiechy, A potem, od niechcenia niby, pyta kopaczy, długo już tu Bulandra polewa w ich przodku.

— Hale, panie sztygar!.. — tłumaczy najstarszy kopacz — dyć on tu z nami przyszoł i od początku szychty tu siko po ścianach i siko!..

— Od samego zaczątku? — upewnia się sztygar.

— Tóż jako prawiem, od samego początku!..

I nic.

Cóż to może być, u starego djabła? Cóż to może być?., I poszedł.

Dochodzi do pochylni, a tu krzyk, zgiełk, gromady lecących świateł!..

— Co se stało, chlapi? Co se pak stało?..

— Nale, Jeżysz, Maryjko, panie sztygar... dziwają się... wozy się na pochylni urwały i...

— I co?., co?..

— ...i przypuczyły[82]) młodego Szerudę... Zabiły na iment!.. Tam hynaj leży!,.

Sztygarowe oczy zaszły ciemnicą. Już wie!.. To był PusteckiL To był znak, że stanie się jakieś nieszczęście!.. I stało się!.. — Jeżiszku swaty!..

Ujrzał teraz tamtę chwilę. Jakby się w tej samej minucie działa. Wałoszek nie cygani. A więc dobrze!..

Sztygar napisał kartkę z poleceniem do Krygla, dozorcy wierzchowego, by Wałoszkowi wyszukał jakiekolwiek zajęcie na powierzchni. Naprzykład na szybie wiatrowym. W kotłowni potrzeba nowego pomocnika, któryby węgle dowoził i pompy doglądał. Niech tam przydzieli Wałoszka.

---

[82]) przypuczyły — przygniotły.

I odtąd Gustlik pracował już co dnia w kotłowni na szybie wiatrowym. Na „weterszachcie", jak mawiano. Przez dwanaście godzin dziennie, lub dwanaście godzin w nocy dowoził w olbrzymich taczkach węgle ku kotłom, wywoził oszkwary[83]) na tlejące usypiska, w czasie palaczowej przerwy walił węgle, łopata za łopatą, w rozpłomienioną czeluść pieców, spoglądał na manometr, przekręcał kurki u wodowskazów i radował się huczącemu sykowi pary, co leciała cienką, zgęszczoną strugą na kotłownię, dolewał oliwy do klekocącej pompy, wstrzymywał lub przyśpieszał jej bieg, zależnie od potrzeby, ile było wody w kotłach, wałęsał się między koliskami maszyny w sąsiedniej hali, a gdy go znużenie ogarnęło, zasypiał na ławie na zwiniętym surducie pod głową, na krótkie dwie godziny. I tak dzień za dniem lub noc za nocą.

Znajdował przyjemność w nowej pracy.

Kiedy nawiózł węgla sporą hałdę i kiedy przyniósł w konewce wody do picia, i pozamiatał posadzkę, umykał do maszynowej hali. Włodarzył tam poważnie a z namaszczeniem stary Żuczek w zatłuszczonej bluzie. Przypatrywał mu się, jak chadzał powoli ze sporą koneweczką między kołami, przechylał się nisko nad rozchybotanemi ramieniskami, cyrpkał żółtą oliwę cienką strużką w duże szklane oliwiarki, obmacywał wierzchem dłoni świecące osie, lub zaopatrzony w długą, grubawą sikawkę o zakrzywionym końcu zmierzał ku czarnym, żelaznym, ciężkim drzwiom w bocznej ścianie.

Wtedy Gustlik rnusiał mu towarzyszyć. Brał lampę i szedł za nim. Poza drzwiami młóciło szybkie, głuche, jednostajne dudnienie. Otworzyli jedne wrzeciądze, nachy-

---

[83]) Oszkwary — żużle z wypalonego węgla.

liii się i wpełznęli w komorę. Wtedy Gustlik zamykał je, zasuwał ciężki rygiel, a Żuczek czekał, skoro skończy. Dudnienie wzrosło. Jakby miljon cepów prało terkotliwie o grubą darń. Rozdygotane powietrze wrażało się chybkiemi, stępionemi pchnięciami w uszy, i trzeba było raz wraz ślinę przełykać, by z ich wnętrza odpadły jakieś puszyste kłaki. Koło obramienia drugich drzwi, obciągniętych grubemi pasami wojłoku, wyło przeciągle ssane powietrze.

Żuczek nachylał się, zaparł nogą o ścianę i odsuwał grubą zaworę. Wycie ustało. Pociągnął mocno za klamkę, a wtedy w ciasną komorę wwalił się z chichotem skłębiony, czarny, wilgotny wicher. Przystąpili do skrzydeł. Osadzone na grubym wale wirowały w oczach ogromnem, szarem, krzyczącem koliskiem, prały powietrze żelaznemi łopatami, pruły je na zbałwanione strzępy, szarpały, zwijały w potężne kłęby, miętosiły i znów rozbijały, miażdżyły, na przeokropny szum zmieniały, ssały je zachłannie z pod siebie, z nieprzejrzanej głębi szybowej studni cyckały, pazurami darły z podziemnego kretowiska błądzące wiatry i pożute do ostatka, wyrzucały ponad siebie szerokim, rozchylającym się kominem.

Tarmoszony wicher rzucał się na ludzi. Za bary łapał, potrząsał mocno, szarpał ubraniem, włosy targał mokremi paluchami i w oczy pluł sczerniałą śliną, którą po drodze z oślizgłych cembrowin szybu pozbierał. Zdawał się ciało ludzkie na wylot przewiewać, doskakiwał znienacka, szamotał, pod oszalałe skrzydła rzucić usiłował. Wszczepiały się ludzkie stopy w szeroką kratę podłogi, a źrenice, bite skołtunionym wichrem, szukały przezornie, gdzieby następny krok ustawić, odmierzały przestrzeń, dzielącą mizerne ciało ludzkie od tamtej wyjącej bestji. Serce zaś tłukło się zwarjowane, pod gardło

wyrastało, a w każdej drobince mięśni doznawało się wrażenia, że człowiek zeszedł na dno ogromnej czarnej wody, w której się niepojęte burze rozpętały.

Kiedy Gustlik po raz pierwszy przestąpił próg tamtej studni wichrów, cofnął się pod ścianę zalękniony. Jezus!.. Maryjko!.. porwie!.. z nóg zwali!., pod skrzydła zmiecie!..

Obejrzał się Żuczek i niecierpliwie ręką skinął. Przecież Gustlik ma świecić, a on gdzieś za plecy z lampą się umyka. Głupi synek!.. Pódźże tu bliżej, pieronie, bo nic nie widzę!..

Powoli oswoił się z wyjącą czeluścią. Stawał mocno na kracie i nogi szeroko rozstawiał. Patrzał spokojnie w rozwichrzony chichot skrzydlisk i podnosił lampę wysoko, by Żuczek dobrze dojrzał, gdzie ma oliwy nalać, a całem ciałem brał w siebie rozwścieczony pęd zapamiętałego wichru, sycił się nim, upijał. Ciepły, lepki, oszałamiający a krzyczący w niebogłosy szum przewijał się szybko, bez przerwy po jego ciele, podobny do tysiąca miękkich, bezboleśnie uderzających dłoni. Jakby sam stawał się owym wichrem. Ramiona bezwiednie darły mu się do szerokiego rozwarcia, z piersi wydzierało- się pragnienie krzyku radosnego, pijanego, tak ogromnie radosnego, w każdej drobince ciała pęczniała utajona siła, co się wyzwolić pragnęła, na świat wylecieć, na szeroki, szeroki świat!..

Gustlik kochał tamte chwile, przynoszące radosne szaleństwo. Co dwie godziny się powtarzały. Bo na tyle czasu starczyło oliwy w dwóch sporych oczadziałych oliwiarkach szklanych.

A kiedy wracał zpowrotem do hali, przedchodziło go światło dzienne lub mżenie nocnych lamp, rozrzuconych pod stropem, wybiegało mu naprzeciw miarowe beł-

kotanie maszyny, kładła mu się pod nogi cisza nasycona spokojem, a wtedy dziwował się wszystkiemu. To nagłe przejście z widoku opętanego ruchu, z jądra wyjących wichrzysk i szalejącej nocy, zamkniętej w obrębie skrzydlatego koliska, — to nagłe przejście do jasnej, widnej hali, gdzie wszystko lśniło, poustawiane składnie na błyszczącej posadzce, spokojne, stateczne, jakby zamyślone, gdy oczy jego trafiały na spokojny wir czarnego koła, rytmiczne klaskanie sunących transmisyj, cmokanie tłoków w cylindrach i migotliwe nawroty błyszczących ramienisk, — kiedy się zeszły w jego sercu te dwa wrażenia, dziwował się niepomiernie. Jakby się ze snu przebudził. Potem wszystko się w nim uciszało powrotnie, a czas jął się leniwie przesączać, jak tamte odmierzone krople oliwy, kapiące jedna za drugą na pracującą maszynę. Wracał do swojej pracy.

Koło palenisk krzątał się palacz. Niebrój. Mały chłopek, czarny na gębie, w zasmolonym kaszkiecie na czarnych, kręconych włosiskach. Zaraz w pierwszych dniach nauczył go palić pod kotłem. Gustlik rychło przyswoił sobie odmierzone ruchy ramion i łopaty, wrzucającej węgle w huczące płomienisko. I rnusiał się nauczyć, bo każdej szychty przez dwie godziny palił pod kotłami za Niebroja. Niebrój wtenczas spoczywał. Zawsze od dwunastej godziny do drugiej. W nocy tak samo. Wtedy Niebrój kładł się na ławie za kotłami i zasypiał, a Gustlik rnusiał uważać, by nie brakło pary i wody w kotłach.

Przedtem jednak Niebrój wygrzebywał żużle z palenisk. Otwierał ciężkie, niskie drzwiczki kotłowe, ujmował długą, kilkumetrową gracę, Gustlik zaś podstawiał taczki i chwytał gutaperkową rurę wodociągową. Niebrój zaczynał wygarniać gorejący żar z paleniska. Rzucał gracę w głąb kotła, zahaczał o spieczone żużle, szarpnął

raz i drugi, i wywlekał do podstawionych taczek. Obydwaj wtenczas odchylali głowę i, jak się dało, zasłaniali twarz rękawem, bo biały żar piekł po skórze i łuszczył ją. Z rury tryskała woda do taczek. Kłęby dymu, popiołu i pary buchały w oczy, zasłaniały widok, parzyły ręce, szyję i policzki. Taczki były obite blachą, więc nie tak rychło się przepaliły. Gdy palenisko było czyste, Gustlik ujmował taczki i truchtem popychał je na rude usypisko za kotłownią. Wywracał, a jeżeli to było w nocy, śledził łamane linje płomieni staczających się w dół usypiska. Śliczne to było.

Potem gnał zpowrotem.

Tymczasem Niebrój narzucił równą warstwę węgla na ruszta, u przodu podsypał jedną i drugą łopatę żaru z sąsiedniego paleniska, zamykał drzwiczki, spoglądał na manometr, czy też — broń Boże — nie za dużo pary ubyło w kotle, i czekał na Gustlika.

A kiedy płomienie ogarnęły wszystek węgiel i biały płomień huczał i prał postrzępionemi jęzorami o ściany kotła, zaczynało się czyszczenie drugiego paleniska. Obydwaj się śpieszyli, bo maszyna pożerała łakomie parę, i gdyby tak chwilkę dłuższą nie było ognia pod kotłem, wszystkąby schłonęła. Wtedy byłoby bardzo źle!... Boć maszyna musiała gnać bez przerwy. Dniem i nocą bez przerwy. Na dole pracują przecież ludzie, a gdyby maszyna zwolniła biegu, lub — czego nie daj Boże! — całkiem stanęła, zagazowałoby kopalnię i nieszczęście gotowe!.. Jezusku święty!..

Niebrój wtedy dopiero udawał się na swoją ławę za kotły, gdy się dosyta naślepił w posuwającą wskazówkę manometru i gdy ogień grał wysokim, dudniącym tonem w głębi palenisk.

— Tóż teraz, Wałoszku, dej se pozór, a przykłodej porządnie do pieca!.. — pouczał go stale — bo sto diabłów kandy!..

Gustlik wówczas chadzał napuszony wzdłuż kotłów, patrzał co raz na manometry, patrzał na szklane rurki wodowskazu, otwierał drzwiczki, śledził barwę płomienia, mierzył spojrzeniem jego wielkość, a gdy przeszedł czas, ujmował długi, ciężki hak żelazny, rozkroczył się szeroko, popluł w dłonie i zaczynał orać w przepalonych i białych jeszcze oszkwarach. Hak chrobotał po rusztach, opierał się, wyginał, lecz Gustlik nie popuszczał. Zapierał się mocniej jedną nogą w nasyp węgla, kurczył grzbiet w kabłąk, zbierał siły w natężone ramiona i garście, i odwalał płonące skiby. Raz!.. Jeszcze raz! Tak! A jeszcze raz! a jeszcze! Tak długo, dopóki wszystkiego do gruntu nie przeorał. Płomieni już nie było. To znak, że trzeba sypać węgle. I znów się rozkraczał jak najszerzej, nabierał kopiatą łopatę węgla, chwilkę drobną uważył w dłoniach, wymierzył okiem kierunek rzutu, nabrał nagłego rozmachu i jednym, gwałtownym skurczem napiętego grzbietu, w lekkiem, sprężystem ugięciu kolan i raptownem pchnięciem łopaty wrzucał węgle w czeluść. Raz po razie. A dokładnie, jak się patrzy. W równych warstwach, najpierw od samego tyłu, potem stopniowo coraz bliżej i bliżej, aż nakrył całe ruszta do progu. Teraz już dobrze. Zamykał drzwiczki, ocierał pot brudnym rękawem i przystępował do drugiego paleniska. I znów to samo się powtarzało. A gdy skończył, wychodził zziajany na próg kotłowni, by się ochłodzić. Pot lał się grubemi kroplami po twarzy, do kącików ust dochodził słony, lepki, w skroniach tętniło sto młotów, a w oczach błąkały się połamane, ogniste koliska o fioletowych brzeżkach.

Z progu wytężał słuch, czy płomień gra swoim tonem. Zawsze grał. To dobrze.

Czasem wychodził na podwórze i patrzał na szczyt wysokiego komina, czy porządnie dymi. A jakże?.. Dymi, jak sto set! Czarne, chwilami aż sine od czamości kłęby waliły się na przedbieżki, przepychały, tłoczyły, okrągłe, pomarszczone, rozchodzące się w cudaczne kształty niepojętych rzeczy, niosły się wysoko, rzedniały stopniowo, tonęły w błękitach. Czasami wiatr je niósł bokiem na szeroki świat, czasem bił i spychał do ziemi, wlokąc bezsilne po drodze, po trawach, rozczesywał po krzakach, poniewierał do ostatka.

W czarnym kącie kotłowni stała rozkroczona pompa. Niska, szeroka, jakby nachylona. Jedno jedyne jej koło sterczało ponad grzbiet, jak wzniesione ramię, a z boku paradziła się czarna głowica, dudniąca pustką, gdy w nią młotkiem uderzyć.

Do najmilszych zajęć Gustlikowych należało puszczanie w ruch pompy. Długo czatował przy wodowskazie, czy już czas, czy skaczący słupek wody doszedł swego kresu. Potem szedł ku niej powoli, chociaż nogi mu rwało do biegu z niecierpliwości. Ujmował małą korbę w dłonie, chwilkę przetrzymał i spokojnym, odmierzonym ruchem przekręcił. Para syknęła przeciągle, skoczyła w wnętrze, zadzwoniła, w cylindrach coś jęknęło i suwak się poruszał. Jeszcze jeden obrót korbą. Suwak szarpnął się, porwał za koło i jął się teraz szeroko kolebać w wyświechtanych wodzidłach. Koło rozpoczynało łyskać sprychami, drugi koniec suwaka zaczął mlaskać w kopulastem ujęciu, a z tamtej pustej głowicy wybiegało śmieszne cmokanie. Jakby krowa wodę cyckała przez ściśnięte, grube, mięsiste wargi. Pompa szła.

Wszystko, co otaczało teraz Gustlika, tamte oszalałe skrzydliska w szybie, mamrotanie maszyny w hali, cmokanie pompy i huczące granie płomienia pod kotłami, wszystko to wydawało się być żyjącem stworzeniem, które musi słuchać, jakby wielkiego pana wielemożnego; musi pokornie u nóg jego leżeć, na każde zawołanie rzucać się i pracować, słuchać potulnie najmniejszego obrotu korbą, poddawać się bezwolnie jego woli chłopięcej. Gdyby tak przyszło, wszystkie maszyny zatrzymać może. Oto tą drobną dłonią. Otworzy leciuchno kurek, para z rykiem rzuci się w pole, a wtedy maszyna zdechnie. Lub zamknie wentyl, nawali węgla raz i drugi pod kotły i za godzinę cała kotłownia wyleci w powietrze!.. Wszystko to zależy od woli człowieka!..

Maszyny i kotły czyniły wrażenie przywarowanych u ziemi bestyj, ciężkiemi śrubami unieruchomionych, złych, kłami szczerzących, a jednak posłusznych. Jak pies zbity kijem. Patrząc na nie, można się było radować, choćby podświadomie, swą ludzką władzą.

Gustlik jednak wiedział, że ich spętana wściekłość może ciężko pomścić swoją sromotę. Oto wystarczy niebacznie nachylić się nad roztańczonem koliskiem, przysunąć się nieostrożnie do wyjących skrzydlisk, zeprzeć w uślizgu na wyrzucanych tłokach, by migające sprychy porwały mdłe ciało ludzkie, zdrządzgały w sobie, połamały kości, prasły o przeciwległą ścianę, by zgrzytające zęby trybów zmełły je, zmiażdżyły i krwawemi ochłapami wypluły na posadzkę, by wściekłe skrzydliska roztrzęsły je i porozrzucały lepkiemi szmatami po ścianach, radując się dokonanej pomście.

W każdym obrocie koła, w każdem lśnieniu sprychy i ramieniska ślepiła czająca się śmierć. Czekała długo i

cierpliwie, skoro przymknie oczy znużone czuwanie ludzkie, by znienacka skoczyć i życie wydusić.

Wtedy rzemienie głośniejby przez chwilę klaskały, jak dziecięce dłonie z przeogromnej radości, cylindry charkotałyby chrapliwym śmiechem, ramieniska jęłyby się z klekotem przewalać i łyskać zimnemi błyskawicami w zasięgu struchlałego światła.

Gustlik uczył się od maszyn chytrej czujności, przyswajał sobie ich szpiegujące wyczekiwanie, nabierał ich cech i manier. Tak samo, jak każdy ich ruch był ślepy, a jednak na zimno wyliczony, podobnie musi człowiek działać w życiu. Swoje czynić a czekać. Wszystko składnie obliczyć, patrzeć zpodełba dookoła, szpiegować nieznacznie i trzymać swoją ostatnią wolę na uwięzi, aż przyjdzie kres czekaniu. Wtedy uderzyć, jak tamta maszyna. Twardo, ślepo, nieoczekiwanie. Mnie śmierć — albo tobie śmierć!..

Wiedział, że będzie rnusiał długo, bardzo długo czekać, zanim owa zimna mądrość owładnie jego sercem, zanim przemieni je w twardy krzemień, aż nadejdzie czas, że się ono nie odważy zakwilić z bólu, gdy mu trafi wrogiego człowieka zniszczyć.

Jego myślenie i czucie tężało w ich towarzystwie jak cement, przybierało szorstkie, kanciaste kształty, zamieniało w bryłę zgruba ociosaną. Uczył się nie okazywać swych uczuć, maskował je wzgardliwym uśmiechem. Wstydby to był przewielki, a górnicyby się śmiali.

Miesiące mijały.

W ciągu długich zimowych nocy, kiedy po hali przeciągały mroźne wiewy, *a* ze szpar w dachu opuszczały się na posadzkę tumany zimna, przysuwał ławę do kotłów i sycił ciało ich ciepłem. Opierał się plecami o ścianę i grzał się. Kiedy czuwał przy paleniskach, Żuczek zaś

drzemał w hali przy maszynach, wsparty głową o stolik, a Niebrój chrapał za kotłami na ławie, kiedy uczuł się samotny w zgiełku maszyn i dyszącej pary, za oknami zaś stała głęboka bezgwiezdna noc, wyjmował wtedy książkę i czytał. Przysuwał ławę do łańcucha od zasuwy. Łańcuch wspinał się pod strop, sunął w mroku na drugą stronę kotłowni, opuszczał się chybko w wąską szparę w posadzce i na ostatniem ogniwie trzymał ogromną płytę żelazną, zanurzoną w ulatującym do komina żarze i dymie. Na pierwszem ogniwie, tuż u drzwiczek kotłowych, kołysał się uczepiony spory blok żelazny. Jeżeli napięcie pary w kotle wzrosło ponad miarę, a regulator na maszynie jął zawzięcie szczekać i podskakiwać, wtedy Żuczek stawał w progu i wołał:

— A podnieś tam szyber, synek, bo maszyna szczęko!..

Wałoszek ujmował w dłonie łańcuch i podnosił z wysiłkiem. Zasuwa opadała, wicher pod rusztami więdnął, ogień zaś stopniowo przygasał. Płomienie kłębiły się teraz leniwie, rudziały dymem, przeciągały powoli nad paleniskiem, a wskazówka na manometrze cofała się. Trwało to tak długo, dopóki maszyna nie wróciła do normalnego biegu. Wówczas trzeba było zasuwę podnieść.

W nocy, w czasie dyżuru od dwunastej do drugiej, siadał oparty o ścianę i czytał książkę. Żeby nie zasnąć, bo Jezusie święty!.. Że jednak książka niewiele pomagała i mimo wysiłku ulegał senności, wpadł na dowcipny pomysł. Siadał w ten sposób, że łańcuch od zasuwy miał po lewej stronie. Na łańcuchu wieszał lampę górniczą. Książka była lepiej oświetlona, a równocześnie uniemożliwił sobie zaśnięcie. Bo jeżeli go sen zmorzył, a znużona głowa przechyliła się nieznacznie w bok, dotykał skronią rozgrzanego daszka lampy i w tym okamigu bu-

dził się. Senność raptownie znikała, wracało dawne czuwanie, a palce długo rozcierały bolejącą smużkę na skroni.

Czasami po takiem przebudzeniu wstawał, spojrzał na manometry, oświecił szklane rurki wodowskazu, czy dosyć wody w kotle, zaglądnął pod kotły, czy nie czas narzucić węgla, przeszedł się między maszynami, nalał oliwy, gdzie było potrzeba i wracał. I znowu zaczynał z trudem wyławiać zacierające się literki, zbierał je w oczy z pod opadających rzęs, mocował się z ciężarem powiek, podnosił z wysiłkiem, pozwalał zpowrotem obsuwać i wkońcu dawał za wygraną. Słodycz nadchodzącego snu obezwładniała go zupełnie. Głowa jęła się przechylać tak długo, aż natrafiła na gorący daszek lampy. I tak ciągle w kółko.

Trwało to na każdej nocnej szychcie przez całe dwie godziny. O godzinie drugiej budził Niebroja i Żuczka, Żuczkowi poświecił w szybie przy nalewaniu oliwy do skrzydlisk, następnie udawał się za kotły, kładł na ławie i zasypiał. Aż do godziny czwartej. Potem już szychta raz dwa przeszła.

Przyszła wiosna.

W wolnych chwilach na dziennej szychcie wygrzewał się pod murem za kotłownią, szukał ptasich gniazd w pobliskim lasku lub czytał książki. W nocy zaś siadał na progu i patrzał zamyślony w pachnące jej mroki. A kiedy mu się to znudziło, wracał znowu do książki.

Ponieważ przy kotłach było zbyt gorąco, przenosił się pod okno. Lampę zawieszał na sznurku, zapętlonym u ramy okiennej. Przez wytłuczone szybki sączył się zapach wiosennej nocy, muskał jego głowę i chłodził spotniałe plecy.

Dobrze mu było pod oknem.

Wilgotny, soczysty czar rodzącej ziemi spływał szeroką strugą w zadymioną kotłownię. Niósł z sobą radość szerokich pól, gdzie się słońce przez calutki dzień między trawami błąka. Wraz z nim wstępował do środka mocny, żywiczny zapach młodych gałązek sosnowych z zadrożnego lasku, i lekka woń nieznanych kwiatów czy pędów zielnych, na które człowiek nie miał nazwy. Wszystko to było, jakby woniejący oddech dnia słonecznego, co się na trawie pod płotem położył i teraz śpi niczem się niefrasujący, wiedząc, że zrana przyjdzie słońce, różowemi palcami odkryje z cieniów nocnych i do błogosławionej pracy obudzi.

Gustlik czytał. Brał w spojrzenia drobne literki, jakby je palcami ujmował, układał spokojnie w zdania, a każde zdanie, zanim przyszło do zrozumienia jego, nabierało po drodze tamtego zapachu wiosennej nocy. Wtedy wszystkie słowa zdawały się pachnieć, a tworzone z nich obrazy miały w sobie wonną, żywiczną zieleń młodego lasu.

Jeżeli się zdrzemnął, budziła go lampa. Ocykał się, jak zwykle, zapieronował, palcami roztarł piekącą pręgę na skroni i znowu czytał.

Czasami nie szukał ławy za kotłami. Gdy minął kres jego czuwania, wychodził niekiedy z kotłowni. Za progiem przedchodziła go cisza nadchodzącego słonka. Było jeszcze daleko. Bardzo daleko. Nad ciemną smugą widnokręgu rozlewała się nieznacznie bledziuchna kresa świetlista, z początku blada, zimna jakaś, bez wyrazu. Ponad głową przesypywały się migotania gwiazdowego mrowiska. Czarny fiolet śpiącego nieba był niezgłębiony. Cała ziemia spała, a z nią wszystkie jej stworzenia. Ściszone pogłosy dalekich maszyn kopalni szły w tej ciszy na palcach. Zamieć przelicznych świateł elektrycznych,

rozsypanych kępami wśród szarzejącej czerni, patrzała zdaleka w oczy ludzkie, jak dziecięce spojrzenia w głęboką wodę. Jakby się czegoś bały. Jedynie z obrębu futryn rozwartych drzwi kotłowni i okien szły hyrne dudnienia nieznużonej maszyny. Lecz i te głosy, zaledwie próg przestąpiły, zdawały się po palcach chwilkę bieżeć, potem cichły powoli i niedaleko stąd na trawie się kładły, na odpoczywanie radosne. Miłoć bowiem odpocząć w cieniu pachnącej nocy wiosennej!..

Gustlik zazwyczaj wychodził poza płot, na drogę. Na drodze był czarny pył, z wierzchu rosą zwilżony. Czepiał się bosych stóp łaskoczącemi głaśnięciami. Po drugiej stronie drogi czernił się młody las. Schodziło się doń po spadzistym stoku. Wysokie trawy, unurzane w rosie, obmywały Gustlikowi nogi, szeleściły mokrym, jedwabnym szelestem, nęciły jego kroki do samotnej włóczęgi. Wchodził w pachnącą ścianę lasu. Uchylił się nisko i tonął w niej.

Pod gałęziami szeptały spadające krople rosy, tułały się leciuchne westchnienia, czasami jakieś ptaszę, drzemiące w gałęziach, przez sen zcicha zakwiliło, czasem posypał się suchy szept roztrącanych liści, co od zeszłego roku pod drzewami leżały, a w których jakieś maluchne stworzonko drożynki sobie szukało, a gdy i to ucichło, nastawała cisza, jak w opuszczonym kościele, po którym się resztki dymów kadzielnych snują.

Gustlika kusiła głębia ciemnego lasu. Żeby też tak tam pójść!.. Jak najdalej!.. Coby też tam spotkał?..

Przypominała mu się kopalnia i jej zapadłe chodniki, po których Pustecki w samotności chadza. Coś podobnego było teraz w lesie. I tam będzie z pewnością jakiś duch... Eh! głupstwo!.. Duchów na ziemi niema. W kopalni — to

jest, ale na ziemi nie!.. A jednak. Kto wie? Żeby tak tam pójść!..

Kusiła go ciemność śpiącego lasu.

— Chłop się tam powiesił!.. Stary Kurz, sztygar z Henrjety!..

Otrząsał się, bo nagłe przerażenie wyjrzało z pod gałęzi, uchwyciło czarną łapą za włosy, ujęło drugą za dygocące serce i coś złego zamierzało uczynić. Porywał się i uciekał do kotłowni.

Wychodziło mu naprzeciw gderliwe pośmiewanie maszyny. Radował się jej głosowi, jak komuś, co dobrze każdemu życzy i sercem się umie dzielić po bratersku. A maszyna nic, jeno ciągiem to swoje:

— Głu-pi Gu-stlik... głu-pi Gu-stlik... głu-pi głu-pi...

— ...pi!., pi!., pi!.. — powtarzała za nią świszcząca para, szepleniąca w wylocie rury na dachu.

Gustlik uśmiechał się. Stawał teraz u progu i patrzał, jak daleko jeszcze słońcu do niebieskich dwierzy. Daleko jeszcze, ale jednak już bliżej, jak przed godziną. Tamta mleczna białość nabierała nad ziemią leciuchnych rumieńców, powlekała niebo rozcieńczoną, nieznaczną jeszcze pozłotą, sięgała już kęs nieba, gwiazdy jedną po drugiej zdmuchiwała, a mroki zaś na ziemi rzedniały stopniowo i rzedniały, że jeno pod szerszemi krzakami, w zagajnikach i po wądolcach ślad gęstszy po nich zostawał.

— No, niezadługo słoneczko zejdzie — mruczał chłopiec, przeciągał się i szedł za kotły na ławę, by się małowiela zdrzemnąć.

— No, już tam, synku, wiela nie poleżysz — oznajmiał mu zadrzemany Niebrój — bo za godzinę bydymy oszkwary wybierać!..

— No, no!.. — odpowiedział Gustlik, układał się i ledwie oczy przymknął, już o świecie nie wiedział.

I tak mijała noc za nocą. Aż do niedzieli. Po niedzieli znowu będzie pracował od szóstej rana do szóstej wieczorem, to się dosyta wyśpi, jak się patrzy.

Minęła wiosna, przyszło lato.

Upał w kotłowni stawał się udręką. Wtedy zrzucał bluzę i zostawał jeno w rozpiętej koszuli. Czarny od pyłu, spocony, zziajany uwijał się z taczkami w kotłowni, dowoził węgle, pił wodę, wywoził oszkwary, znowu pił wodę i co raz zrzucał z siebie spodnie i koszulę i skakał w głęboki basen za kotłownią. Kąpały się w nim kaczki sztygarowe, żaby, jakieś cudaczne robaki o długich nożyskach, a wróble i szternadle siadały na wystającej rurze i gasiły pragnienie.

W żarze południowego słonka cały świat dyszał utrudzony. Rozprażone powietrze w kotłowni i hali maszynowej wysysało wszelką siłę z ludzkiego ciała. Mury i ściany zdawały się gorzeć skrytym płomieniem. W uszach dzwoniło bez przerwy.

Przychodziła ulga na nocnej szychcie. Noce stawały się widne, niebo tylko na kilka godzin zachodziło mrokiem. Przez kilka dni to nawet na zachodzie jarzyły się resztki słonecznego światła, a na wschodzie równocześnie rożegały się blade świty. I tak z dwóch stron świata stała na niebie świecąca bladość, niedawne wspomnienie i oczekiwanie słonecznych godzin.

W takie noce wywlekał Gustlik szeroką ławę przede drzwi, kładł się i zasypiał.

Tuż obok „weterszachty" mieszkał sztygar Dostał. Gustlik dowiedział się od służącej jego, Marynki Ostruźkowej, że niezadługo przyjedzie na wakacje Mira Dostalowa, przebywająca w jakiejś szkole w Bemie. Marynka mówiła, że jest bardzo ładna, bo ją widziała na fotografji. Gustlik radował się. Czy też naprawdę będzie ładna?

Przyjedzie z dalekiego świata, gdzie i życie inne, i ludzie inni, i wszystko. To dobrze, że Mira przyjedzie!..

Przyjechała.

Ujrzał ją wieczorem, gdy wracała z przechadzki ze swym ojcem. Spotkał ich na drodze, biegnąc z konewką po wodę. Pozdrowił i popatrzył na jej twarz w przelocie. Jakby go pachnące światło przedeszło. Urody jej nie potrafiłby wypowiedzieć w słowach. Było to coś, co się rozpływa w dotknięciu, jak mgła. Pozostało jeno wspomnienie niknącej smugi światła, zapachu, miękkich linij i słodyczy. Obejrzał się. Mira szczebiotała coś z ojcem w chropowatym języku czeskim. W słowach jej jednak była dziewczęca uroda. Smukła, wiotka, liczyć mogła najwyżej siedemnaście lat. Szła lekko, a za nią niósł się zapach nieznanych kwiatów i szelest krótkiej sukienki różowej.

Wieczorem, gdy już było ciemno, usiadł znowu przed kotłownią. Cisza była. Maszyna jeno terkotała, lecz to należało do ciszy. Gdyby znienacka stanęła, toby cisza uciekła, a wtedyby w uszach dzwoniło. Za płotem jarzyły się oświetlone okna w sztygarowem mieszkaniu. Były dokorząt rozwarte. W pewnej chwili wypłynęło z nich leciuchne granie. Bez wątku, bez melodji. Jakby ktoś od niechcenia smyczkiem wodził po strunach. Drobne, rozkapryszone tony leciały nakształt barwnej gromady motyli.

Zdziwiony chłopiec podniósł się z ławy, postąpił do płotu, oparł się o sztachety i słuchał.

Teraz rozwinęła się wzorzysta wstęga melodji. Wynurzyła śię barwnie z głębi pokoju, przestąpiła w falistych pląsach rozwarte okno, jęła ulatać w ciepłą noc letnią.

Gustlik chwycił się wierzchołków sztachet, skoczył i już był na płocie. Ujrzał Mirę. Stała obok jakiegoś biur-

ka, nigdzie nie patrząca, grająca w zamyśleniu. Drobnemi palcami dotykała strun u szyjki skrzypiec.

Gustlik słuchał.

Widział jej urodę, miał ją przed oczyma. Ciemnawe, roztrzęsione włosy lśniły w świetle lampy. Linja czoła, nosa, ust i brody była wzięta z najsłodszych wzruszeń sennych. Wszystko było u niej melodją, tą samą melodją, która teraz z pod jej palców wykwita. Brał jej urodę w siebie, sycił nią swoje serce, sycił zachłannie, a równocześnie wyczuwał gryzący żal i ból niepojęty, że im dłużej patrzeć będzie w nią, tern większe pragnienie przyniesie mu ono z sobą. Nie uciszy go nigdy, nigdy!.. Tęsknota wstanie z najskrytszych głębin serca, wypełni je do ostatka i pójdzie z nim teraz wszędy, jak cichy szloch skrzywdzonego dziecka w wspomnieniu matki. Gdziekolwiek zwróci kroki swoje, gdziekolwiek wzrokiem pobieży, wszędy spotka załamującą ramiona tęsknotę, co się błąka o zmroku po opuszczonych drogach.

Tak mu się wydawało w onej godzinie zadumy chłopięcej.

Mirczyne skrzypce kwiliły. Czasem sypały się perełki dzwoniące. Czasem kłosy szumiały w upalnem słońcu.

Gustlik słuchał urzeczony. Nigdy jeszcze takiej muzyki nie spotkał w życiu. Dziwy-przedziwy z nim czyniła. Zapominał, że na płocie siedzi, skurczony, że poza nim maszyny tętnią żelazną pracą, że go wołają, na ziemię ściągają. O wszystkiem zapomniał.

Widział kiedyś obraz w inżynierowym pokoju. Duży, barwny obraz w czarnych, wytwornych ramach na malowanej ścianie. To było wtenczas, gdy w sieni stał, a pani inżynierowa pozostawiła drzwi otwarte za sobą.

Był to duży, uciszony staw. Nad brzegiem stała samotna akacja. Jej bladoróżowe kwiecie przeglądało się

w wodzie. W powietrzu spoczywała cisza. Zielone brzegi stawu rozbiegały się od akacji, leciały daleko, daleko, dochodziły znużone do stóp ciemnych smreków i zamykały swe kolisko. Wszystko, co już po tamtej stronie stawu było, smreki czarne, wyniosłe krzesanice i ostatek pozłoty gasnącego słońca na zabłąkanym lodowcu w żlebie, wszystko to było przesłonięte fioletową mglistością. Na niebie gorzała jedyna chmurka. Gdzie spojrzeć, zawsze napotkały oczy tęsknotę za tem, co już było, a co nigdy nie przyjdzie. Za dniem słonecznym, za minionym uśmiechem dziewczyny, co patrzała w wodę, za szelestem ludzkich kroków w wysokiej trawie, za wszystkiem co było, a nigdy już nie powróci.

Za niezbadaną sprawą Mirczynej muzyki po raz wtóry tamto wszystko ujrzał.

I wtedy tak się stało, jakoby serce w nim zaszlochało.

Ujrzał, że każda rzecz, którą w życiu widział, że każde najdrobniejsze przeżycie, wszystko, wszystko, co tylko jego było — zamienia się w szary, wystygły popiół, że to wszystko nie warte było życia i nie będzie już nigdy warte, gdyż teraz dopiero przejrzał, teraz dopiero...

Miękka, jedwabna melodja szła do niego, pieściła po twarzy, brała za rękę, prowadziła w tamtę krainę, której nigdy w rzeczywistości nie ujrzy, nigdy...

I tak mu się wydawało, że serce w nim zaszlochało..,

— A ty zatracony zmrzaku — krzyknął pod nim chrapliwy głos, nabrzmiały złością — co pak tam dielasz? — i na jego plecy spadło ciężkie, mocne uderzenie laską.

Oszołomiony Gustlik zeskoczył z płotu. Przetarł oczy. Co to?.. Co?.. Ujrzał przed sobą sztygara. Podnosił laskę, by go po raz drugi uderzyć. Coś krzyczał. Gustlik odskoczył. Rude płomienie zasłoniły źrenice. Straszny gniew wezbrał po gardło. Zdusił. Tamten naciera. Uchylił

się, ugiął do ziemi. Mściwe palce ułapiły kawał węgla. Och, ty pieronie jasny!..

— Jeżiszku swaty!.. — wychynął znienacka przerażony krzyk Miry,

Gustlik poleciał oczyma do niej. Stała w oknie. Krzyczała coś. A niech krzyczy, ale tego nie daruje!.. Wykrzywił usta, podniósł w skurczu górną wargę, wyszczerzył zgrzytające zębce. Przechylił się w tył, nabrał zamachu i cisnął węglem. Na oślep. Posłyszał głuche uderzenie o deski parkanu. Głos przewalił się krótkiem, skłębionem echem i skonał. Gustlik oprzytomniał. Gniew w nim opadł, jak zdarty łachman. Rozejrzał się.

Sztygara nie było. Furta chwiała się jeszcze na zawiasach, Widać — miał czas umknąć, gdy się chłopiec na Mirę przez mgnienie oka zapatrzył. Okno zawarło się z trzaskiem, firanka opadła szarpanym szelestem.

— Pieronie jasny!.. — mełł w zębach Gustlik, wracając do kotłowni.

— Źle bydzie!.. — zaświtało znienacka jasne zrozumienie. — Któż to widzioł podnosić rękę na sztygara. Mścić się teraz zacznie!.,

— Niech spróbuje — warknął do siebie — zabiję dziada czeskiego!..

I znów stało się tak samo, jak zawsze. Powrócił na ziemię z tamtych niedorzecznych majaków, sponiewierany, w własnych oczach zelżony. Wstyd go palił. Któż widział być takim niedojdą, żeby aż o świecie zapomnieć na widok Czeszki i jej muzyki?.. Dobrze, że Niebrój lub Żuczek nie widzieli go na płocie. Śmialiby się z niego do rozpuku, natrząsali, drwili bezlitośnie. A słusznie!.. Z pewnością Żuczek by powiedział, że Wałoszek siedział na płocie, jak kocur w marcu, kiedy mu się na miłowanie zebrało. Takby powiedział. On ma cięty język, ho, ho!..

Niebrój zwymyślał go, co wlazło.

— Siedzisz kańsi, chwancie, — rzucał się — łazisz po świecie, a roboty nie patrzysz!.. A węglo nawieź, pieronie jeden!.. Myślisz, że za ciebie bydym woził, co?.. Już oto ostatki zmiatom, a tego jak nima, tak nima!.. Dziwejmy się!.. A już się roboty chytać, bo ci tu fochnę łopatą po ziebrach, to tela bydziesz mioł!..

— Jeny spróbujcie!.. — wydusił rozjuszony Gustlik, ujmując za ciężki młot.

Zaskoczony Niebrój spojrzał zdziwiony na chłopca. Ujrzał w jego oczach straszne płomienie, przelatujące skurcze na wykrzywionej twarzy, w jego postawie kształt czającego się zwierza, a w zaciśniętej garści dygocący młot.

— Na, idźźe, pieronie głupi, nie stawiej sie tu podle mnie, jak trusiok, bo cię gichnę po gryzoku, tak ci zęby wylecą!..

— Ty, Wałoszek, pochyniesz ten perlik!.. — Patrzysz ty swojej roboty!.. — krzyknął na niego Żuczek, co zwabiony podniesionemi głosami przyczłapał się na próg hali.

Gustlik prasnął młotem pod ścianę, zaklął ciężko, porwał taczki i pognał na węgle. Robota paliła mu się w rękach. Wszystką swą wściekłość wkładał w wysiłek fizyczny. Śmigał łopatą, napełnioną kopiato węglem, prał nią o ziemię, porywał taczki, podnosił i pędził, jak furjat, z ciężarem do kotłowni, wywracał jednem gwałtownem pchnięciem ramion, porywał, biegł zpowrotem na podwórze, napełniał i znowu gnał do kotłowni.

— Na, toć się ta bestja wściekła!.. — zauważył zadziwiony Żuczek, który nigdy nie widział u Wałoszka podobnego wzburzenia.

— Na prowcie — przytaknął niemniej dziwujący się Niebrój — goni z temi toczkami, jakby go bąk w zadek uszczypił.

— Na, co się mu też stało?

— Hm, może kańsi poloz ku dziouchom i dostoł od kierejsi po pysku!..

— Toć, to tak może było — potwierdził Żuczek i roześmiał się szeroko, bo sobie przypomniał swoje młode lata.

Gniew Gustlika wyczerpał się powoli. Kiedy już węgla nawiózł na całą szychtę, poszedł znużony na ławę przed kotłownię. Nogi się pod nim trzęsły z wyczerpania, pot ściekał po umorusanej twarzy, po piersiach i plecach. Dyszał ciężko, a serce waliło, jak sto młotów.

Usiadł ciężko, przybity doznaną krzywdą i kąsającem poczuciem śmieszności.

— Po co on mnie bił? — pytał się bez przerwy, nie mogąc zrozumieć istotnych pobudek sztygarowej złości. — Po co on mnie bił? Coch mu zrobił? Przeca mu jego Mirki nie ubyło, żech sie na nią dziwoł[84]) i jej muzyki słuchoł?.. Po co on mnie bił?..

Zacisnął pięści na ustach i kąsał palce w nagłym porywie powracającego gniewu.

— Och, ty pieronie jasny!.. — Z jaką rozkoszą uchwyciłby teraz tamtego Czecha za grdykę i zdusił i kuł pięścią po łbie i kuł, żeby wszystką swą krzywdę pomścić!.. Nie spocząłby, ażby u nóg jego się tarzał i ulitowania skamlał i skowyczał, jak pies!.. Pieroński Czech!..

Nad ranem uciszył się. W oczach jeno pozostały jakieś szare, zimne przebłyski, a w sercu paląca gorycz.

---

[84]) dziwać się — patrzeć.

XV.

W tych samych dniach, jakoś po tygodniu, przyjechała do Karwinej Helenka z Ligoty, Ojciec odwiózł ją do Bogumina, a stamtąd — to już sama potrafiła zmiarkować, przez całą drogę pouczana, że ma wysiąść w Karwinie, potem pójść drogą ku staremu kościołowi, od starego kościoła ku szybowi Henryka koło szybu Franciszki, który łatwo poznać, bo ma szeroką, grubą, niską wieżę z ukrytemi kołami, a obok niej stoi również szeroki, gruby, niski stosunkowo, a czworoboczny komin. A zresztą, jeżeli jej trudno będzie trafić, niech się zapyta ludzi. Każdy jej powie.

Helenka pożegnała się z ojcem na dworcu bogumińskim, spłakała się i pojechała. Na każdej stacji wychylała głowę z okna, szukała jej nazwy, porównywała ich kolejność z wypisanemi nazwami na kartce i na palcach je liczyła.

Minęła dwie stacje Rychwałdu, Orłowę, Dąbrowę, a gdy pociąg nachłeptał się wody i pobieżał dalej, wiedziała, że przyjdzie teraz Karwina.

Całą drogę patrzyła przez okna. Widziała, że jakoś tu inaczej, a jednak tak samo, jak u nich na Górnym Śląsku. Może domy inne, inaczej rozbudowane kolonje górnicze, inne stacje i mundury kolejarzy, ale poza tem wszystko to samo. I ludzie i okolice, i tamte szyby i fabryki.

Aż do Orłowej pociąg gnał przez pola, łąki i lasy. Następnie osiedla jęły gęstnieć, co raz wyrastały pod niebo kominy, co raz większe dymy powlekały błękit' i co raz strzelały w górę smukłe wieże kopalni z rozmigotanemi kołami u szczytów.

Helenka ze zdziwieniem spostrzegła, że na szyldach mijanych gospód i poniektórych domów znajdują się często-gęsto polskie napisy. Koło Orłowej jeszcze mniej. Tam przeważały czeskie i niemieckie. Potem już czeskie „Hostince" i „Obchody smiszenim zbożim" znikały, a rozpierały się szeroko grube litery, układane w polskie nazwy.

Cudowała się temu dziewczyna, boć u nich na Górnym Śląsku nikłby tego nie spotkał.

I radowała się.

I ludzie w pociągu zmieniali się. Od Bogumina ku Orłowej, w gęstwie ich głosów nieraz uderzała ją twarda, nierówna chropowata mowa czeska. Potem stopniowo znikała. Słuchała jej ciekawie i bezwiednie powtarzała jakieś zasłyszane słowo, wydawające się jej cudacznym i śmiesznym bełkotem. Ktoś ją tam nazwał „sleczenkou", co sobie tłumaczyła na polską „ślicznotkę". A zresztą, kto ich wie, co tamto słowo znaczy? Zpoczątku jakieś uśmiechnięte, słodkie, jakby wymawiane z cukierkiem w ustach, a ku końcowi wykrzywione, jakby je ktoś mocno nadeptał. Djasi wiedzą, co to za słowo!.. Zamroczyła się i nic nie odpowiadała. Rozjaśniła się dopiero, gdy w wagonie została polska mowa.

I tu się odrobinkę dziwiła. Bo ludzie mówili troszkę inaczej, jak na Górnym Śląsku. Słyszała takie zdanie:

— Ty, Ferduś, jo jutro do hawiemie nie pójdę!..

U nich powiedzianoby:

— Ty, Hanys, jo jutro na ta gruba nie pójdą!..

Zauważyła tę drobną odmienność już wtedy, gdy Gustlik był u nich na odpuście ligockim.

W domu u ciotki przywitała ją szczera radość Gustlika i jego matki.

— Nale, Helenko!.. Nale, witejże, Helenko!.. Na, toć nóm kocur zdechnie!.. Nale, jej kandy!..

Uściskała ją Wałoszkula, ucałowała, za stołem na ławie posadziła, ugotowała kawy naprędce, gdyż to już było dawno po obiedzie, Gustlik zaszedł do Gudrycha po rożki[85]), a Helenka opowiadała.

Mówiła, że wszystkich w domu, a więc ciotkę i Gustlika, polecili jej rodzice i brat bardzo pięknie pozdrowić, że się dowiadują o ciotczynem i Gustlikowem zdrowiu, i proszą, by zatrzymali ją u siebie przez jakiś czas, aż trochę zapomni o tem, co było.

— A co było, Helenko, co?.. A jedz, Helenko, jedz, bo ci kawa ochłodnie!.. A co było, kurzyczko, co? — dopytywała Wałoszkula.

— Wiecie, ciotko, byłach przez pół roku w Opolu...

— W Opolu?.. Przez pół roku?.. Na, cóż też ty rządzisz? Coś tam robiła telkowne czasy, co?

— ...byłach tam w zakładzie poprawczym, wiecie, ciotko?

— W zakładzie poprawczym? Nale, lo zmiłowanio Pańskiego, na cóż tam robiłaś, dzioucho?

— Wiecie, ciotko, bo my z Karlikiem chcieli we szkole strejkować...

— Strejkować?..

— No, strejkować... Nie chcielichmy po niemiecku na religji odpowiadać i za kora musiałach pójść do domu poprawczego. A tam było strasznie źle...

— Źle?.. — zapytał teraz Gustlik.

— Źle!.. Bili mnie i jeść mi mało dowali, a musiałach po niemiecku szwandrosić, a rzekać też, a gdych nie chciała, to mnie do ciemnej komory zawierali i zaś bili...

— Nale, lo Krysta świętego, cóż ty rządzisz, kurzyczko?

---

[85]) rożki — rogaliki.

— A to pierony jasne!.. — oburzył się Gustlik, bo go żal znienacka ukąsił w serce.

— Nie klnij, brzydoku jeden!.. — zgromiła go matka.

— Na, tóż cóż tak mają dziouche tropić!?.. — usprawiedliwiał się Gustlik.

Wałoszkula nic nie odpowiedziała, bo jej samej zabyło żal Helenki i złość nagłą wyczuła do tamtych niegodziwych ludzi, co taką mizerną kurzyczkę śmieli krzywdzić.

— Na, żeby z piekła, plugawce zatracone, nigdy nie wyszły!.. Jak też mieli serce?.. — i otarła łzy ukradkiem.

Helenka rozgościła się u Gustlikowej matki. Mówiła, że tylko na tydzień, ale matka jego ani słuchać tego nie chciała.

— Zostaniesz tu, Helenko, aż się trochę sprawisz — powiedziała — boś jest biedno, a blado, jakbyś z trówły wylazła. A do szkoły już nie musisz chodzić?

— Toć ni, bo mi już blisko piętnaście roków...

— To dobrze... A tych pięćdziesiąt marek, co twój ojciec posłoł, — też se nie musioł szkody robić, ni!.. — tych pięćdziesiąt marek schowómy. Jakby miało chybić pieniędzy, to je potem zmienimy. A ty, Gustliczku, rypej na górę po siennik. Helenka bydzie spała w twojem łóżku, a ty na ławie, na sienniku.

I została Helenka. Przyniosła z sobą w Gustlikowe życie nowe troski i nowe radości. Również i dla jego matki. Troski były poprzetykane radością, a radości znowu troskami. Obecność jej czyniła wrażenie światła, które wypełniło każdy mroczny zakątek ich życia i cichą radość rodziło. Dziewczyna powoli przychodziła do siebie. Pozbywała się smutku, oczy jej co dnia rożegały się żywszemi skierkami, zapominała o przebytych chwilach. Pomagała w domu w pracy, jak tylko umiała. To wody

przyniosła, to drzewa urąbała, to po obiedzie garnki i naczynia pomyła, prać bieliznę pomagała, przez calutki dzień krzątała się, bez przerwy pogadując z Wałoszkulą, a gdy jej nie było, gdy poszła do pracy w polu, nuciła zcicha coraz to nowe pieśniczki, lub się przekomarzała z kotką. Gustlik wtenczas był na szychcie.

Zdradził się jej ze wszystkiem, co go za krzywda spotkała ze strony sztygara Dostała. Mówił jej, że spodziewał się w pierwszych dniach, jeżeli już nie wyrzucenia z pracy, to przeniesienia do innej gorszej, gdzieby jeszcze mniej zarobił. Dostał jednakże tak czynił, jakby nigdy nic nie było zaszło. Nie umiał sobie tego wytłumaczyć. Albo zapomniał, albo darował, albo też czeka na sposobniejszą chwilę, by swą złość wywrzeć.

Nazajutrz przyniósł do domu wiadomość, że w niedzielę po południu odbędzie się wielkie zgromadzenie w Orłowej na rynku. Będą przemawiali ksiądz Londzin i poseł Reger. A z górników Gattnar z Karwiny.

— Pójdziesz, Gustliczku? — zapytała Helenka.

— Nie wiem-ci jeszcze dzioucho, bo muszę iść w połednie na szychtę. Bydym mioł aż do rana.

— Szkoda!...

— No, ale może mi się do upytać Rzymana z drugiej zmiany, to mnie zastąpi do wieczora.

— Tóż zapytej go pieknie, dobrze, Gustliczku? — i pogłaskała go po ręce.

Gustlik już postanowił.

— A o czem tam bydą mówić? — zapytała.

— O szkolnictwie polskiem na Śląsku. Tak stoi na afiszach.

— Toż pójdziemy?

— Pójdemy, Helenko — rzekł mocno, bo już wiedział, co uczyni. Gdyby się Rzyman nie chciał zgodzić, to

mu da tego starego samca królika, który się tak bardzo jemu podobał. Szkoda się takiego dobrego samca pozbyć, ale kiedy Helenka prosi, by pójść!,. Zczasem dochowa się nowego i znów będzie miał i dla swoich królików, i na pożyczanie. A Helenka się ucieszy.

Rzyman, chłopak o rok starszy od Gustlika, ani słyszeć nie chciał, by go zastąpić w niedzielę po południu.

— Tóż podziwej sie, kamrat — mówił — szychtę móm od soboty wieczora do niedzieli południa... to jest osiemnoście godzin... Dyć od takiej roboty konie zdychają!.. A myślisz, że jo też nie chcę pójść na zgromadzenie do Orłowej? Hę!..

— Na, kamratku roztomiły — nalegał Gustlik — dyć jo tego nie chcę zadarmo!.. Dyć jo ci dycki pojczom tego królika samca, wiesz?..

Rzyman się zamyślił. Ważył w głowie korzyści i straty. Gustlik zaś patrzał w jego oczy. Och, żeby się też zgodził!..

— Ni!.. Nie zgodzę się!..

— Rzyman! — rzucił z determinacją chłopiec — dóm ci tego samca!..

Rzymanowi zalśniły oczy.

— Powiedz „na mu duszu!", że dosz!

— „Na mu duszu!”... Dóm ci!

— A kiedy?

— Jutro ci go przyniesę!

— Zgoda!.. Zastąpię cię! — i podał dłoń dla przypieczętowania targu.

Trzasnęli w dłonie i rzecz była załatwiona. Gustlikowi było żal królika, ale trudno. Toć to dla Helenki!.. Bo naprawdę królik był śliczny. Gruby, pękaty, z czarnemi łatkami na białem, puszystem futerku, z czerwonemi oczyma, a tłusty i ciężki, i mądra bestja, że trudnoby

podobnego daleko, szeroko znaleźć. Najwięcej młodych miewały samice po nim. Rzyman zrobił dobry interes!.. No, ale poręczono Panu Bogu!.. Znów się kiedyś takiego samego dochowa.

Przyszła niedziela.

Zapowiadało się liczne zgromadzenie, bo słonko od rana świeciło, było ciepło, bez wiatru. Gustlik z Helenką poszli rano do kościoła. Przechodzący chłopcy patrzyli ciekawie na nią, oglądali się, urzeczeni jej urodą, trącali łokciami i mówili:

— Dziwejcie się, Wałoszkulin Gustlik idzie ze swoją galanką!..

— A szwamo dzioucha, jak sto set!

— Trochę jeszcze smarkato, ale piękno to już jest!..

Przy kościele spotkali się z Bronką.

— Dzieńdobry, Bronka!.. — powitał ją zdała Gustlik.

— Kto to jest? — szepnęła szybko Helenka.

— Wiesz, to jest ta Bronka.

— Aha! — i leciuchno się zamroczyła.

Bronka też była jakaś zamroczona. Odpowiedziała i chciała przejść koło nich, zerkając zboku na Helenkę. Gustlik ją chwycił za rękę i zatrzymał.

— Broneczko, to jest Helenka od mojego ujca z Ligoty, wiesz, z Górnego Śląska.

Bronka podała Helence wypieszczoną dłoń, dygnęła leciuchno i powiedziała:

— Bronka Oczkowska!.. Bardzo mi przyjemnie.

Gustlik i Helenka byli zaskoczeni tak wykwintnemi manierami. Nie wiedzieli, co powiedzieć. Gustlik wprawdzie już nieraz słyszał, zwłaszcza w czytelni, że w ten sposób przedstawiali się nawzajem nieznani sobie górnicy. Tak, jak wielcy panowie. Lecz żeby i Bronka to umiała, to już dziwy-przedziwy!.. Widać, brat ją tego nauczył.

Helenka jednak połapała się. Tak samo dygnęła, potrząsła zlekka jej dłonią i rzekła:

— A ja znowu Helenka Wałoszkówna i też mi jest bardzo przyjemnie!..

— Na, toć sprytno dzioucha — dziwował się Gustlik Helence. A w duchu rad był, że potrafiła Bronce na poczekaniu odpowiedzieć. Przejrzał bowiem zamiary Bronki. Chciała w ten sposób Helence wykazać, że nad nią góruje. Równocześnie wyczuł do niej drobny żal, bo nie mógł zrozumieć, dlaczego okazuje wobec Helenki niechęć. Boć to tylko jakąś niechęcią musiała się kierować!.. Widać to było po jej chłodzie w zachowaniu się i w nieznacznem wygięciu drobnych ust.

Zanim jednak weszli do kościoła, Helenka potrafiła rozbroić Bronkę. Bo u Helenki było tyle słodyczy w obejściu, tyle jasnej szczerości i ujmującej życzliwości, że Bronka już znowu była dawną Bronką.

Po nabożeństwie szli znowu razem.

Całą drogą, aż ku szybowi Hoheneggera, były tylko sobą zajęte, a na towarzyszącego Gustlika nawet wiele nie zważały. Zwierzały się nawzajem ze swych trosk i zamiarów, zapraszały do siebie, opowiadały o wszystkiem, co tylko dziewczęce serca zajmować może. A Bronka, która z początku jeszcze przemawiała do niej przez „pani”, co również Gustlika niepomiernie zdziwiło, pierwsza zaczęła ją tykać, prosząc, by Helenka także to czyniła. Bo Helenka zaś mówiła do niej przez „oni".

Gdy się rozchodzili, Bronka chwyciła ją za ramiona i ucałowała w usta.

— Mnie też!.. Mnie też!.. — dopraszał się Gustlik.

— Figa z makiem, wiesz!.. — roześmiała się Bronka i pokazała mu język.

Dziewczyny zachichotały uradowane. Gustlik si0 nieco stropił. Chcąc zatrzeć wrażenie, zapytał:

— Tóż, Broneczko, pójdziesz z nami do OrłoWej?

— Tóż jakożech prawiła, nie mogę iść, bo tata idzie, a jo muszę być doma przy mamie... Bo jest trochę niemocno...

I rozeszli się. Wszyscy nieśli w sercu drobinkę słońca, którą pozostawili jedno drugiemu.

— Słyszałaś? — zaczął Gustlik — Bronka mówiła, że pójdzie do Strumienia do pensjonatu.

— Słyszałach. Szkoda, że też nie mogą pójść z nią...

Ale Gustlikowi nie o to chodziło. Jemu było żal, że wogóle Bronka odejdzie, że jej nie będzie teraz spotykał. Toć tak się z nią zżył, że nie było prawie dnia, w którymby jej nie spotkał i przynajmniej kilka słów nie zamienił. A teraz odejdzie!.. Szkoda, przeszkoda!.. Co on też bez niej pocznie, co?

Po południu wybrali się do Orłowej. Gustlik wziął z sobą grubawy krzywak, jakto czynił każdy górnik, wybierający się na tego rodzaju zgromadzenia. Matka zaś odprowadziła ich na próg i pilnie przykazywała, by się nie pchał z Helenką, gdzie nie potrzeba, boby ją ludzie mogli zgnieść i jaką krzywdę zrobić. A gdyby była jaka bijatyka, aż się nie opoważy brać w niej udziału. Niech zmyka w bezpieczne miejsce, tem bardziej, że tu o Helenkę chodzi!..

— Dobrze, dobrze!.. — zapewniał ją Gustlik, nie biorący sobie zbytnio do serca matczynych trosk.

I poszli.

Wyszli na dąbrowski wzgórek, Widerholec, i spoczęli. Przed ich oczami rozłożyła się szeroka kotlina karwińska. Z jednej strony zamykał ją łazański kopiec, najeżony kominami Nowego Szybu i koksowni, potem za-

kreślał koło suski las, czarny, okopcony, z drugiej strony stanęły dymy z kopalni karwińskich, kominy, wieże, mosty, rusztowania i mrowisko zabudowań.

Gościńcami, drogami, ścieżkami i poplątanemi miedzami sunęły gromady górników. Tam szli wielkiemi gromadami, głośni, buńczuczni, pykający niefrasobliwie fajki, gdzie indziej znowu sunęli w pojedynkę, a każdy z krzywakiem.

Wszyscy zmierzali w kierunku Orłowej.

W pewnej chwili doleciała pozłocista muzyka.

— Aha, to od Dąbrowej idą hawierze... W paradzie... — pouczył Gustlik dziewczynę.

Pobiegli na główny gościniec. Zastali tam mnóstwo bab i dzieci, co na odgłos kapeli wyległy z domów i chałup. .Środkiem drogi szli poniektórzy górnicy, a daleko za nimi czerniła się gęstwa pochodu, osłonięta tumanami szarego pyłu. Ponad nim niosły się duże białe tablice z napisami, a na samym przedzie czerwienił się rozwiany sztandar. Pomiędzy kłębami zaś raz wraz wybłyskiwały okruchy słońca, rozsypane na ryczących i grzmiących trąbach.

— To są hawierze z Granic i z Dąbrowej, wiesz, Helenko?

— Wiem.

Stanęli na uboczu, od wiatru, który zlekka podmuchiwał i na pola niósł zwiewany pył z drogi. Patrzyli ciekawie.

— Ale dziwej sie, Helenko, też to idzie luda, luda!.. — cudował się Gustlik.

Istotnie. Na przedzie rznęła muzyka wściekłego marsza, za kapelą łopotał wysoko czerwony sztandar z biało-czerwonemi szerokiemi wstęgami u przyczoła, a za sztandarem szły czwórki długim, długim szeregiem. Szła

brać górnicza twardym krokiem, wybijała tysięczny rytm na kamienistej drodze, że aż ziemia dudniła, w rękach migotały wiśniowe krzywaki, sękate, okute, ciężkie a groźne, w oczach gorzała zawziętość, a na bladych, zmiętych twarzach czaiła się skupiona wola i hyrność. Patrzyli na ten Boży świat przymrużonemi ślepiami, pogadywali ze sobą niefrasobliwie, przekomarzali ze stojącemi koło drogi babami, jedni pykali fajki, kołyszące się niedbale w zaciśniętych zębach na ogryzionym, żółtym cybuchu, inni tytoń żuli i raz wraz strzykali przez zęby na boki, a wszyscy odświętnie ubrani, hardzi i dumni, jakby się cały świat za nimi toczył. Ponad nimi zaś chwiały się liczne tablice.

Każdy czuł, że tworzą potęgę, bo są po gromadzie.

Szli i szli. Nie można było końca dojrzeć. A co zdrożona muzyka ustała, by trochę tchu zaczerpnąć, niosły się na przód pokrzyki:

— A grejcie tam, pieroni!.. Myślicie, że na pogrzeb idemy, lebo co?.. Grać tam!..

I muzyka, zachęcona takiemi życzliwemi przymówkami, imała się nowego marsza. Spoceni muzykanci przykładali trąby i flety do ust, wydymali wargi i dmuchali zawzięcie, przebierając czarnemi paluchami po wymyślnych pedałkach.

Kiedy nareszcie ostatnie czwórki minęły, a wzniecony pył już trochę opadł, ruszyli i oni za tamtymi.

Widzieli, że po drodze przyłączają się do nich coraz większe gromady, że rosną w wielką czarną rzekę, gwarną, szumiącą, co się z drobnych miedzowych i ścieżkowych strumyczków zlewa na gościniec i toczy szumnie a z radością w potopie słonecznym.

Na orłowskim rynku zastali już nieprzejrzane mnóstwo czarnego pogłowia ludzkiego. Gwar huczał wysoko,

jakby wiatr w ogromnym lesie, wybiegały jakieś wesołe a jurne pokrzyki, muzyka przewalała się od końca do końca rynku, tu i tam wykwitały makową czerwienią szarpane wiatrem sztandary, a w środku maiła się przybrana zielenią wysoka trybuna, z której ksiądz poseł Londzin i Reger mieli przemawiać,

A z bocznych ulic coraz napływały nowe pochody, tonęły w rozkłębionem morzu ludzkiem na rynku, niosły się wysoko coraz nowe sztandary, dufność ludzka rosła i serca ludzkie rosły.

Ponad głowami bieliły się pomniejsze tabliczki z napisami, skąd ta a ta gromada hawierzy nadeszła, a jeszcze wyżej jaśniały wielkie tablice z krzyczącemi napisami:

— My chcemy polskiej szkoły!.,

— Polskie dziecko do polskiej szkoły!..

— Precz ze zdrajcami słowiańskimi!

— Precz z czeskimi Prusakami!

— Niech żyje polska szkoła!

Któżby to tam wszystko policzył i odczytał?

Helenka stawała na palce, wyciągała szyję i odkrywała coraz nowe tablice, a za każdym razem klaskała w dłonie i w głos powtarzała przeczytany napis. Podchwytywali go najbliżej stojący górnicy i wtedy podnosili krzyk pod niebo idący, który leciał z jednego krańca rynku na drugi, porywający za sobą wznoszące się ramiona, czapki, laski i sztandary.

Uciszyło się, kiedy na trybunie ukazała się drobna, skromna postać księdza Londzina. Stanął, wsparł mocno ramiona w jej poręcze i potoczył oczyma po zebranym tłumie. Uradowało się jego serce. Tyle ludzi!., tyle ludzi!..

A ledwie go ujrzano, zerwał się znów ogromny krzyk i wołanie i oklaski.

— Niech żyje pater Londzin!.,

— Niech żyje!..

— Niech żyje!..

Ksiądz Londzin, uśmiechnięty, spokojny, patrzał z wysoka na to wzburzone radością mrowisko ludzkie i dłonią zlekka dziękował. A kiedy burza okrzyków przewaliła się, powoli zamieniła w daleki szum, wkońcu ucichła — podniósł rękę. Wtedy wszyscy zaparli dech w piersiach, na palce powstawali, szyje powyciągali, a cisza była taka, że zdawało się słyszeć zebrany rytm tych tysiąca, tysiąca serc ludzkich, szumiący cicho a ogromnie, jak daleka, szeroka a głęboka rzeka.

— Kochani bracia i siostry!.. — poleciał znienacka ponad ludzi głos jasny, dźwięczny a mocny, jak srebro.

— Kochani bracia górnicy!.. — spłynął z trybuny drugi srebrzysty zew, co serca ludzkie w kochające dłonie ujmował. I nastała teraz jeszcze większa cisza, do ostatnich granic zasłuchana cisza, że słowa Londzinowe szły już w niej, wielkie, huczące a mocne, jakby dźwięczne kucie młotem w podziemiach kopalni, kiedy górnik z poza głowy uderza perlikiem w dzwoniącą ławicę węgla, a naokoło nikogo niema, jak tylko ta czarna, niezgłębiona, odwieczna cichość ganków i filarów.

Zdaleka tylko mąciły ją ściszone krzyki lecących lokomotyw, plątały się w niej puszyste chrapania pary z pobliskich kopalni, szemrały stłumione dudnienia skrzydlisk w szybach wiatrowych i błąkał znużony klekot niewidocznych maszyn i kół.

Żandarmi zaś w hełmach i z nasadzonemi bagnetami na karabinach krążyli w pojedynkę pobok zasłuchanego tłumu, patrzący zpodełba na wszystkich, strzegący czujnie porządku. Podkute ich buty stukały twardo.

Z trybuny tymczasem płynęły słowa. Mówiły zebranym o poniewierce, jakiej ulegał Ślązak od chwili, kiedy Piastowicz cieszyński w roku 1327 złożył hołd królowi czeskiemu i zerwał wraz z innymi Piastami śląskimi wszelkie węzły, łączące ich z Polską; mówił o tem, jak to same nazwy miejscowości śląskich świadczą o polskości Śląska, a które można wyczytać w aktach z XIII stulecia; jakto książę cieszyński, Kazimierz IV, w półtora wieku później wprowadził do urzędów śląskich język morawski z okazji zamianowania go czeskim namiestnikiem Księstwa cieszyńskiego...

— Powiesić pierona!.. — ryknął znienacka do żywego oburzony stary Michnik, co na samym końcu rynku stał i dobrze nie dosłyszał, co ksiądz Londzin prawi.

— Cicho bydźcie, nie wrzeszczcie! — jęli go towarzysze uspokajać.

— Tóż pieron jeden — gniewał się Michnik — tóż cóż tu bydzie na Śląsk skludzoł[86]) morawski język, kiedy mómy swój, co?..

— Ale przeca on już umrzył!.. Dyć nie róbcie krawalu!..

— Cicho tam!., cicho!.. — jęły się wyrywać niecierpliwe krzyki.

— Umrzył?.. Na kiedy umrzył? Przecażech o tem nic nie słyszoł!..

— Ale już downo, downo... przed porę set rokami...

— No, to mu też dej, Panie Boże, radość wieczną — mruknął uspokojony Michnik, podnosząc czapkę. Bo kiedy już umrzył, to niema co mówić, jeny do Boga za nieszczęśnikiem nabożnie westchnąć.

---

[80]) skludzać — sprowadzać.

Z historji ziemi śląskiej przeszedł teraz ksiądz Londzin do omawiania stosunków obecnych.

— Nasz pobratymiec, Słowianin, brat nasz, Czech zapalczywy, gnębi naszą wolność narodową na równi z Prusakiem...

— Hańba im!.. Hańba im!.. — krzyczały wzburzone tłumy, że zginęły dalsze słowa Londzina w odmętach wołań, jak drobne kamyki rzucane w zbałwanioną wodę. A gdy się uciszono, mówił dalej.

— ...gnębi nasze szkolnictwo, nie dopuszcza do założenia szkoły, dzieci nasze wynaradawia, inżynierowie i dozorcy z pracy wyrzucają naszych ludzi, gdy się odważą protestować... W naszem zagłębiu ostrawskiem w siedmiu gminach mamy tylko jedną marną szkołę o czterech klasach... Tylko w Michałkowicach ją mamy... A w takich Radwanicach, Pietwałdzie, Rychwałdzie, Porębie, Polskiej Ostrawie i Gruszowie, gdzie na 75 tysięcy mieszkańców Polacy liczą 50 tysięcy, nie mamy ani jednej szkoły naszej, ani jednej ochronki naszej... gdy tymczasem Czesi posiadają w tych gminach 19 szkół z 45 klasami...

— Hańba im!.. Precz z Czechami z polskich gmin!..

— Precz z czeskiemi rządami w polskich gminach!..

— ...i w szkołach tych wychowują z naszych dzieci nowych janczarów, zatruwają nienawiścią i pogardą serca polskich dzieci, nienawiścią i pogardą do języka polskiego, do swoich ojców, do wszystkiego, co nasze.. Mówią nam o braterstwie słowiańskiem, by nas uśpić, omamić, a równocześnie podstępem i terorem, i niezliczonemi szykanami w kopalniach i fabrykach rabują nam skarb największy, dziecko nasze i swoje szkoły niemi zapełniają...

— Hańba tym Judoszom!.. Hańba im, tym pieronom!.. Precz z Pepikami!.. Niech ciągną do swojej zlatej Pragi, pierony jasne!.. — zrywały się raz wraz ogromne

krzyki, przetaczały się z rykiem poprzez cały rynek, odbijały od murów, leciały pod niebo, straszne, groźne, burze wiodące...

Czarny tłum falował, kłębił się, jak ogromna woda, kiedy w nią znienacka wielki wicher uderzy, a ponad głowy wyrastały zaciśnięte pięści, migotliwe krzywaki, wyżej jeszcze paliły się czerwienią szarpane wiatrem sztandary, a we wszystkich zaś ludzkich oczach wybłyskiwały płomienie i gorzały wzbierającym gniewem.

A co tylko trochę się uciszyło, znów leciały z trybuny słowa twarde, ostre i ciężkie, jak odłupywane bryły węgla z twardej calizny. Nie było już w nich tego drobnego uśmiechu, co na początku, nie dzwoniły już tem srebrem, co na początku. Ksiądz Londzin nie widział już przed sobą ludzi. Oczy jego patrzyły teraz w to nieprzejrzane kłębowisko, jak w budzące się ciało ogromnego wielkoluda, który długo, długo spał przez wszystkich zapomniany... Upajał się dźwiękiem i treścią swoich słów. Zdawały mu się być dłońmi o przedziwnej mocy, co ujmują senną głowę tamtego olbrzyma, garną do siebie, ciałem jego potrząsają, za włosy ciągną, opadające powieki rozwierają, pod ramiona biorą i podnoszą. A podnieść trzeba i wesprzeć uwiędłe jeszcze siły, i czujność w sercu rozbudzić, bo czas już ostatni!..

I radował się, bo widziały jego oczy, że słowa nie idą na marne, że rozpalają w sercach ognie, jakoby żagwie w głębokich studniach...

Upajał się bezwiednie radością władcy, gdy przed ludem swym stanie, a on jego woli, jak małe dziecko, słucha. O, niech dzięki będą Bogu najwyższemu!.. Za ten dar Jego łaskawy!.. Za tę złotą wymowę!..

— ...by dziecku swemu zabezpieczyć przyszłość, by mu dać lżejszy chleb do dłoni, musieliście je oddawać

do szkoły obcej, musiałeś chłopie i robotniku śląski korzyć się u nóg czeskich i niemieckich przybyszów, słuchać ich, jak rab niewolny!..

— Tak jest!.. Dobrze mówi!., — krzyczał tłum.

— Już roz skończyć z tern wszystkiem!.. — odpowiadał drugi kraniec rynku.

— Tak jest!.. Skończyć!.. — zrywał się z innej strony nowy krzyk skłębiony.

— ...nam już dzisiaj nie wolno patrzeć na tę hańbę z założonemi rękami — wołał Pater Londzin.

— ...nie wolno!.. — odpowiadało tysięczne echo tłumu.

— ...nie wolno nam czekać ani godziny dłużej, domagać musimy się sprawiedliwości, wymusić ją sobie należy, chociażby nawet ostatecznemi środkami!.. Bierzmy wzór z naszych braci, co pod Prusakiem walczą o swoje prawa. Oto, pozostaje nam wielka broń w naszych rękach!.. Od nowego roku szkolnego w tych wszystkich gminach, gdzie Polacy nie mają swojej szkoły, niechaj strejk szkolny wybuchnie!..

— Tak jest!.. Dobrze mówi!.. Strejk szkolny niech żyje!..

— ...niechaj strejk szkolny wybuchnie, niechaj ani jedno dziecko polskie nie przestąpi progu szkoły czeskiej... My w parlamencie zażądamy rządowej komisji!.. Niech przyjedzie, niech się naocznie przekona, jak deptane są prawa, zagwarantowane nam przez konstytucję...

— Do bani z taką konstytucją!.. — ktoś tam ryknął z tłumu.

— Tak jest!,, — odpowiedziały mu setki głosów.

— Choinami ją nakryć! — rzucił ktoś zajadlejszy, a troszynkę podchmielony.

— Tak jest!.. Choinami ją nakryć!.. — leciały pomierzwione krzyki.

— ...a jeżeli komisja nie uzna naszych praw...

— To ją w stawie utopić!.. — wrzasnął znowu któryś tam z drugiego końca.

— Cicho!., cicho!.. — uciszały go niecierpliwe głosy.

— ...a jeżeli komisja nie uzna naszych praw, co się jednak stać nie może, to w odpowiedzi pozostanie nam strejk szkolny. A gdyby mimo korzystnego jej orzeczenia zarządy owych gmin wzbraniały się, stawiały trudności w utworzeniu szkoły polskiej, wtedy i tutaj jedynie strejkiem szkolnym wymusimy to, co nam się należy. Tak nam, Boże, dopomóż!..

I zamilkł.

Chwilkę zaległa cisza. Lecz potem zerwała się taka ogromna nawałnica okrzyków splątanych, taki grzmot oklasków, że zdawało się, iż to burza się nagła rozpętała i teraz leci ponad światem tysiącem oszalałych koni; że to od setek lat wzbierająca woda stawidła wyłamała i teraz gna na przełaj z grzmotem i rykiem; że to szalejący wicher w potężny las uderzył i teraz łomoce i przewala się bez pamięci.

I trwało to długo, aż przyszedł czas i powoli jęło się uciszać.

Londzin zeszedł z trybuny. Po nim miał wyjść poseł Reger.

Górnicy, tak długo trzymani za serca na uwięzi Londzinowemi słowy, omawiali żywo to wszystko, co słyszeli przed chwilą, w głos chwalili jego wymowę, zapewniali się nawzajem, że to dobra myśl z tym strejkiem szkolnym, bo i Czechom się pokaże, żeśmy nie byle co, i szkołę polską można będzie wydusić, a za ten czas chłopczyska będą mogli chodzić na opukę, dziouchy zaś

mogą kozy paść na hałdach i koło drogi. Dobrze to Pater Londzin wymyślili! Bardzo dobrze!.. Tak czy siak, zawsze się na tem coś zyska. Bardzo porządny ksiądz ten Pater Londzin!.. A tym pierońskim Czechom, gdy dogniewają porządnie, to kijem skórę przegarbować, co wlezie!.. Zatracone chachary!..

Tak se porządzali, pykając fajki powoli lub spluwając przez zęby na ziemię, a bardzo ostrożnie, by w ścisku sąsiada nie popluć,

Helenka aż skakała z radości.

— Widzisz, Gustlik — mówiła do chłopca — widzisz!.. To tak samo, jak u nas! U nas teżeśmy w Ligocie strejkowali... to znaczy Karlik Szerokiego i jo... a w Poznańskiem, to sto tysięcy dzieci strejkowało... Widzisz!.. — klaskała w dłonie z radości.

Potem na trybunie ukazał się poseł Reger. Bez kapelusza, z roztrzęsioną czupryną, którą raz wraz palcami grabił, a gdy mu na oczy spadła, rzutem głowy w bok odrzucał.

I znowu nastała cisza, boć teraz będzie ich poseł mówił. Trzeba więc uważnie słuchać, co a jak, by umieć swoim babom i dzieciom w domu powtórzyć.

— Towarzysze i towarzyszki!..

— Cicho!., cicho!.. — wołali ci zdalsza, bo znowu powstał szmer, co mógł tamte słowa tłumić.

I rozpoczął.

Słowa jego leciały w tłum nakształt rudych, rozżarzonych żużli, rzucanych mocno raz po razie. Zapalały znowu ognie w sercach czarnego ludu, szły, jak wicher gorący, co człowieka porwać z sobą pragnie i jakieś ogromne skrzydła do ludzkich ramion zdaje się uczepiać. Czasem smagały, jak biczem, czasem wydawały się

twardą pięścią, co po łbie znienawidzonego wroga w zapamiętaniu tłucze, a w przeciwieństwie do księdza Londzina, któremu tylko z oczu biły ognie, jego postać i ruchy tworzyły złudę jakiegoś rozwichrzonego płomieniska, niepokojącego ludzkie czucie. W jego sposobie mówienia było coś denerwującego a równocześnie upajającego, jakby obecność rozpędzonych tysiąca kolisk olbrzymiej maszyny.

Tłum mocniej się kołysał, zawzięciej krzyczał, szarpał się, wygrażał, krzywakami prał o bruk rynkowy, że coraz rnusiał mówca urywać w połowie zdania, by doczekać się ciszy.

Mówił o tem samem, co ksiądz Londzin, tylko namiętniej jakoś, popędliwiej. Gdy w słowach Londzina przewijała się uchwytna ludzkiem czuciem skarga człowieka, który wie, że słuszność po jego stronie, i czy wcześniej — czy później, sprawiedliwości tej doczekać się musi, bo ona w ręku Boga, to w Regerowych słowach znowu było podobieństwo do człowieka, który, ze wszech miar osaczony, za jakiś ciężki przedmiot porywa i wali nim naoślep w napierającą tłuszczę ludzką.

Jego podniecenie udzielało się tłumowi.

Wtedy stało się coś nieoczekiwanego. W chwili, gdy Reger rzucał najcięższe pioruny na wiarołomność i zaborczość czeską, zerwały się pobok trybuny zmieszane jakieś krzyki, potem przeraźliwe świstania, a wkońcu zahuczał z kilkudziesięciu gardzieli czeski hymn ,,Kde domov muj!"...

Strach, co się wtedy działo!..

W pierwszej chwili u wszystkich przemknęło pytanie, skąd się tam Czesi wzięli, poco usiłują przeszkodzić w dalszej mowie Regera, kiedy to wszystko dziecinne szaleństwo, u wszystkich zjawił się podziw odwagi tamtej

garstki, ale równocześnie gniew ciężki ogarnął każdego, podniosły się krzywaki i wrzaski, i jęto się przeciskać w kierunku szaleńczej gromady.

Skłębiło się czarne mrowie w owej stronie, zamigotały laski ponad głowami, zduszony śpiew podarł się w strzępy, a za nim wyleciały wycia i krzyki, i przekleństwa, i jakaś ciężka kurzawa.

Patrolujący żandarmi w mig się połapali i jęli przepychać do bitych Czechów, wywlekali ich za kołnierze, roztrącali ciżbę kolbami, pragnąc tamtych wyprzeć poza obręb rynku. Zbyteczna była ich pomoc, bo w tejże samej chwili zaczęli się Czesi przemykać chyłkiem, pomiędzy nogami, trzymający się za głowy, za ramiona, narzekający rozpaczliwie, a co który wychynął z gęstwy, rwał przed siebie, co miał siły. A za nim gonili rozjuszeni górnicy, dokładający im laskami na drogę.

I jak szybko powstało zamieszanie, tak też rychło wszystko się uspokoiło. Tamtę gromadę biedaków przepędzono za dziesiąty płot, na ziemi zostało kilka kapeluszy zgubionych i nieco połamanych lasek, a kilku Czechów, ciężej poturbowanych, zabrała żandarmerja na odwach.

Lecz poprzedni nastrój już minął.

Górnicy poklinali zcicha, spluwali ciężko na ziemię, raz wraz tłukli krzywakami o kamienie i cudowali się.

— Na, toć pierony głupie — pogadywali jeden do drugiego — tóż tako nas tu siła, a tamte dziady ośmielą się tu przyszmatłać i przeszkodzać!.. Na miljon djabłów ich zjadło!..

— Na dziwejcie sie, jakie to zacięte!.. — dodawał sąsiad.

— Na, tóż!..

— Ale się im odniechce, odniechce po drugi roz tu przyłazić!..

Reger usiłował skupić uwagę ludzi, lecz nie mógł. Zakończył więc przemowę kilku obieranemi zdaniami, grzmotnął po raz ostatni pięścią o trybunę i zabrał się do czytania rezolucji, którą zgromadzenie miało uchwalić.

Tutaj dopiero do reszty się wszystko uciszyło. Boć rezolucja — to ta najważniejsza część każdego zgromadzenia czy wiecu!

— A więc pocichu, chłopi!..

— Cicho tam, pieronie, nie bulcz już tela, bo nie rozumieć!..

W rezolucji żądano, by władze wysłały komisję do sześciu gmin w zagłębiu ostrawsko-karwińskiem celem zbadania stosunków szkolnych, następnie, by w każdej gminie założono polską szkołę z taką ilością klas, jakaby odpowiadała ilości dzieci polskich, by rząd założył gimnazjum realne w Orłowej, by w szkole górniczej w Morawskiej Ostrawie utworzono polskie paralelki, a na końcu mieściła się zapowiedź, że w przeciwnym razie rodzice polscy zaprzestaną posyłać swe dzieci do szkół czeskich,

I zanim Reger miał się czas zapytać, czy zgromadzenie zgadza się na przyjęcie rezolucji, zerwały się znowu okrzyki i wołania i oklaski, a ponad głowami wyrósł nieprzejrzany las wzniesionych rąk na znak, że każdy jest za jej przyjęciem.

Teraz jeszcze miał przemawiać robotnik Gattnar z Karwinej, członek Głównego Zarządu Macierzy Szkolnej w Cieszynie.

Niewiele już miał do dodania. To też krótko mówił. Zaznaczył, że jak długo rząd nie zmusi zarządów dotyczących gmin, by założyły szkoły polskie, czynić to będzie kolejno Macierz Szkolna. Już od nowego roku szkolnego.

A kiedy i on skończył, cztery obecne kapele jęły się przeciskać ku trybunie. Jedna była Pultkowa z Poręby, druga Bączkowa z Karwinej, trzecia Michalczykowa ze Suchej, a czwarta Otrębiokowa z Radwanic. Zebrały się razem, ustawiły w półkole, a najstarszy ze wszystkich muzykantów, na jedno oko ślepy Pultek, co mu je dynamit w kopalni wystrzelił, objął kierownictwo.

Muzykanci przytknęli trąby do ust i czekali. Pultek zaś splunął, otarł usta, poprawił kamizelkę na chudym brzuchu i zakomenderował:

— Tóż, chłopi... roz! dwa!., trzy!.. — i machnął z poza głowy czarnym fletem.

„Jeszcze Polska nie zginęła!”...

Ludziska podchwycili melodję, i jak szeroko i daleko okiem sięgnąć, wszyscy, ile ich tylko było, jęli śpiewać. Poważnie, uroczyście z należnem przeciąganiem. Pieśń wyniosła się wysoko, wysoko, ponad głowy, ponad kalenice domów, ponad dymy rozwleczone pod niebem, gdziesik aż pod słońce, roztaczała się w powolnych zwojach, przetykana złocistemi głosami trąb i srebrnemi niteczkami piskliwych fletów, podbijana od dołu grzmiącemi czterema bębnami, szła uroczyście, a szumnie, sztandarami łopocąca, jakby jakieś ogromne wojsko, na którego przedzie sam Dąbrowski na koniu białym się paradzi, dumny, władczy, wiodący wszystkich z obcej ziemi do Polski...

Prześpiewali jedną zwrotkę, rozpoczęli drugą. A gdy i tę skończyli, Pultek podniósł wysoko swój czarny flet, machnął nim szeroko i kapela ucichła.

— A teraz, chłopi, „Czerwony sztandar!”... — krzyknął do tłumu.

I znów to samo. Czarny flet zamigotał w słońcu, śmignął do dołu, a w tej samej chwili wypłynęła nad tłumy

hyrna melodja o „czerwonym sztandarze, co ponad trony płynie”. I znowu podchwyciły ją nieprzeliczone głosy ludzkie, co je zrywający się wiatr szeroko rozwiewał.

A kiedy i tę pieśń odśpiewano, poczęto się zabierać do domów.

Wszystkie drogi, wybiegające z rynku, wypełniły się rozlewającą rzeką ludzką. Z początku jeszcze były czarne, gęste i zwarte. Stopniowo jednak jęły się rozcieńczać, dzielić na strumyki, niknęły powoli pomiędzy zbożami, rozbiegały chodniczkami i miedzami, gdzie tam której bliżej dodom było.

Zdaleka niosły się jeszcze cichnące echa Bączkowej kapeli, co z honorem wracała do Karwinej, wiodąca za sobą górników z Dąbrowej, Granic i Sowińca.

Helenka szła obok Gustlika i nie mogła się nachwalić i nacudować wszystkiemu, co dzisiaj słyszała i widziała.

— Jej kandy — powtarzała ciągiem — u nas, toby robotnicy nie śmieli takich zgromadzeń urządzać!.. A takich pieśni też nie wolno u nas śpiewać!.. Jej, coby to było, żeby też kiedy u nas mogło się takie zgromadzenie odbyć!.. Z takiemi mowami i muzyką i śpiewami i ze wszystkiem!.. Jej kandy!.. — i tak w kółko.

— Poczkej, Helenko — pocieszał ją uradowany Gustlik — bo też kiedyś przyjdzie czas, że i na Górnym Śląsku to bydzie!.. Uwidzisz!..

— To już bodej!.. — powątpiewała dziewczyna.

— Uwidzisz!.. — powtarzał.

XVI.

Gustlik szybko się przebrał w domu, zjadł coś małowiela i pośpieszył na szychtę. Toć już godzina ósma. Rzyman będzie się wściekał, że tak długo musi go zastępować.

— Helenko! — zawołał do otwartego okna — przynieś mi tu książkę. Leży na oknie. Wiesz, „Quo Vadis".

— Jak się to nazywo? — zapytała Helenka, nie mogąc zmiarkować, cóż to za cudaczna nazwa.

— Quo Vadis!.. Tako chrubo książka!.. W papierze owinięto!..

Helenka nie mogła znaleźć. Zawrócił więc, by ją sam poszukać.

— Na, dyć się nie było trzeba wracać — zauważyła matka — bo teraz ci się nie bydzie darzyć!..

Gustlik nic nie odpowiedział. Lekki niepokój dziobnął go w serce. Ale głupstwo!.. Znalazł książkę na podłodze. Widać, spadła, gdy matka okno otwierała.

Helenka wybiegła jeszcze za nim. Widziała, jak wpychał książkę do kieszeni i śmigał naprzejmo, miedzą, ku szybowi wiatrowemu.

— Żeby się mu też co złego nie przytrefiło — westchnęła, bo i ona wiedziała, że to niedobrze, gdy się człowiek wraca z drogi pod dach. To wtedy zawsze się nie darzy. Ona dobrze wie, bo wtenczas, gdy przyszło pismo z Opola, że musi iść do domu poprawczego za tamten niedoszły strejk, to także się wróciła z drogi do domu. To już tak na tym świecie!..

Gustlik się nie mylił. W kotłowni przyjął go Rzyman z wyrzutami, że telkowne czasy tam gdzieś siedzi i siedzi, a on musi za niego harować.

— Na, dyć nie pyskuj tela!.. — odciął się Gustlik — przecach ci doł królika.

Rzyman uznał słuszność Gustlikowej obrony. Nic więc nie powiedział, tylko nacisnął czapkę na głowę i poszedł.

Gustlik jął się pracy. Nawiózł węgla, przyniósł wody, pozamiatał kotłownię, potem pooczyszczał kurki

i szkła przy kotłach, nalał oliwy do pompy i teraz dopiero odetchnął.

— Tóż powiedz, synku — zagadnął go Żuczek — jakto było na tem zgromadzeniu?

— Ja, toć też co opowiedz, kiedyś tam był — dodał palacz.

Gustlik zaczął szeroko się rozwodzić. O tem, co mówił Pater Londzin i co mówił Reger, o zamierzonym strejku w Ostrawskiem, o ludziach, ile ich to było, o kapeli, o bijatyce...

— A dostali w skórę, jak się patrzy? — dopytywał ciekawie Żuczek.

— Ale sprali ich, co wlazło.

— Dobrze zrobili — przyznał Żuczek — poco tam marchy zatracone mają się dociskać. Jeny prać takich judoszów pierońskich...

— To się wie!.. — przytakiwał Niebrój.

I długo jeszcze o tem mówili, gdyż Żuczek i Niebrój co chwila się o coś pytali. Raz o to, potem zaś o tamto. A Gustlik opowiadał.

— Ja, byłbych zapomniał — rzekł w pewnej chwili Niebrój, uderzając się dłonią w czoło — był tu Dostał, jakoś koło godziny czwortej, a pytoł się nas, kajś ty jest?

— Coście prawili?

— Na, jo chcioł powiedzieć, żeś był na pogrzebie, że ci ciotka umrzyła, ale Rzyman, jako głupi synek, zaroz wypultnął, żeś poszedł na zgromadzenie do Orłowej.

— I co on na to?

— Na nic! Cosi zamamroł pod nosem, potem powiedzioł sóm do siebie: „Zatraceny kluk!”.., i poszoł.

— Pieroński Czech! — dorzucił zafrasowany Żuczek — on ci bydzie chcioł za to cosik na przeciwność zrobić. Ale nie bój się, synku...

— Ah, dyć jo tam móm z niego tela strachu, co ze zdechłej żaby — rzucił z przechwałką Gustlik, chociaż niepokój znowu go ukąsił w serce. No, ale inaczej powiedzieć nie wypadało,

— Pierona!.. — myślał teraz — jakby mi tak loz na pięty, to mu naprowdy zęby wybiję!,.

Przypuszczał bowiem, że sztygar nie podaruje mu tamtej sceny, kiedyto rzucił w niego węglem. Tem bardziej, że to Czech. No, ale niech tylko spróbuje!.. Wcześniej, czy później policzyłby się z nim po wszystkie czasy.

Wieczorem, kiedy już zmrok zapadł, usiadł przed kotłownią na ławie.

Mrok był cichy i pachnący. Wiatr, który się pod wieczór był zerwał, zapodział się teraz w nadchodzącej nocy. Gustlik się zamyślił. Rozważał słyszane słowa Londzinowe. Przypominał je sobie, wyjmował z głębi pamięci, przeglądał i radował ich treści. Mocne a święte słowa!.. Bo dobrze mówili Pater Londzin, bardzo dobrze!..

Chwile mijały. Odmierzały je chrapania pary, tętnienie maszyny i dudniący szum skrzydlisk w szybie. W pewnej chwili ocknął się. Ujrzał przed sobą, w obramieniu światła, idącego z rozwartych drzwi kotłowni sztygara Dostała w towarzystwie Miry.

— Ty, Waloszek — zagadnął go sucho Dostał — kam si byl odpoledne?

— Na zgromadzeniu w Orłowej, panie sztygar — odpowiedział hardo Gustlik.

— Tak, na zhromażdżeni? Ano dobrze, dobrze... Zjitra se pomluwimy o tom!..

— No, to se pomówimy! — warknął wyzywająco Gustlik, wpychając zaciśnięte pięści w kieszenie.

— Jenom nie mudruj!.. — pogroził mu jeszcze Dostał i poszedł z Mirą.

— Pierón jasny!.. — mełł teraz wzburzony chłopiec. — On mi tu wygrożo, że jutro ze mną pomówi!.. Na dyć... — i nie wiedział, co powiedzieć.

— Nic ci nie może zrobić — pocieszał go Niebrój — zastępowoł cię Rzyman i wszystko jest w porządku,

— Ale wiesz — dodał po chwili — jak taki chachar się uweźmie, to cię wpakuje do jakiej złej roboty!.. I co mu zrobisz? Nic!.. To już tak na tym świecie!.. — westchnął i jął narzucać węgle pod kotły.

Gustlik znowu usiadł przed kotłownią. Słyszał, jak Mira grała na skrzypcach. Lecz wyczuwał teraz w sercu tyle nienawiści do wszystkich Czechów, a osobliwie do jej ojca, że słuchał ją z niechęcią. Nienawiść tę podsycał wzmagający się niepokój, że taki Dostał, wszechwładny pan na kopalni w stosunku do robotników, wszystko może uczynić. Na dobitek przypomniał sobie jeszcze, jakto się wrócił dzisiaj po książkę do domu, a matka mówiła, że to nic dobrego nie wróży. Jeszcze się to gotowe spełnić!..

— Ale niechtam! — machnął dłonią i poszedł do kotłowni, bo trzeba było zabierać się do czyszczenia palenisk.

O północy, kiedy Niebrój poszedł spać na ławę ku pompie, gdzie się wałęsał wilgotny chłód od zbiornika z wodą, Gustlik przeniósł ławę do kotłowni pod okno, zawiesił jak zwykle lampę na sznurze, wyjął książkę i zaczął czytać. I jak zwykle — jakiś czas nie czuł żadnego znużenia. Stopniowo jednak oczy powlekały się sennością, powieki coraz bardziej ciężały, wkońcu zamykały się, gdy już je podnieść nie było rady, i głowa zaczynała opadać. Raz i drugi otrząsł się, przetarł oczy, nasypał węgla pod kotły, obejrzał manometry i wodowskazy, poczem wracał do książki.

Minęła już godzina.

Na dalekim zegarze wydzwoniła pierwsza.

Wszędy była cisza, samotność ogarniała chłopca, jakby tamte mroki w kopalni w starych robotach, ogień tylko grał na paleniskach, para chrzęściła metalicznie w rurach, a maszyna gdakała usypiająco.

Chwilkę czytał. Dobiegał ostatnich stronic książki. Coraz większe znużenie schylało mu głowę. A kiedy w pewnej chwili sparzył skroń na rozpalonym daszku lampy, zapieronował i odsunął się na skraj ławy.

Literki uciekały mu z przed oczy, zacierały się mglistością. Chwytał je ostatnim wysiłkiem. Co to było? Aha, już wie!.. Święty Piotr uchodzi z Rzymu, by życie unieść... ,,Quo vadis, Domine?"... pyta się Piotr... Jakto było dalej? Już wie!... Pan Jezus mu odpowiedział i teraz odchodzi... A święty Piotr wstaje z klęczek, ogląda się i nie widzi Pana Jezusa. Bierze więc kostur w znużoną dłoń i zawraca do Rzymu. Idzie!.. Widać, podkute musi mieć sandały, czy coś, bo wyraźnie słychać, jak żelazo stukoce po kamienistej drodze Appijskiej. Powoli... powoli... Lecz czy lęka się śmierci, co go w bramach miasta czeka, czy też znużenie gasi jego siły?.. Toć on wolnieje. Idą kroki, ale coraz wolniejsze, coraz bardziej zdrożone... Cóż tak się ociąga święty Piotr?.. Czy niemoc nogi mu pęta?.. Toć on coraz bardziej wolnieje, coraz bardziej!.. Teraz już stopami powłóczy, kładzie je coraz ciężej na kamienie... przystaje... nie, znowu kilka kroków!.. Teraz już cichną... cichną...

— Jezus! Marjo!..

Krzyk straszny przewalił się przez kotłownię...

— Co to?.. Co to?..

Zrywa się z ławy, sen spędza z oczu i widzi!.. Żuczek biegnie przerażony do kotłów, otwiera drzwiczki, załamuje ręce, biegnie zpowrotem do hali i krzyczy coś, i włosy rwie z głowy...

Oprzytomniał.

— Jezus!.. Maryja!., maszyna!..

Maszyna staje!.. Przewala się koło czarne, wlecze ciężko... życie w maszynie kona... Kołyszą się ramieniska bezwładne, powoli...

Skoczył do kotłów. Otworzył drzwiczki. Spojrzał!.. W oczach pociemniało!..

Ktoś krzyczy, odtrąca go gwałtownie...

Żuczek wpycha zwoje zatłuszczonych kłaków pod kotły... mamie coś przerażony... ręce mu latają... leci znowu do hali!..

Wybiega z kubłem oliwy i chlusta na zimne, czarne ruszta...

Niebrój pociera zapałkę, podkłada pod kłaki.

Buchnął płomień!..

— Drzewa!., drzewa!.. — któryś z nich krzyczy.

Niebrój wali młotem po ławie, łupie ją na drzazgi i rzuca w huczący płomień.

— Jeszcze!..

Wypadł Gustlik przed kotłownię, ujął sztachetę... wyłamał. Drugą!., trzecią... i jeszcze jedną i jeszcze.

Pełne naręcze rzuca pod kotły...

Maszyna jeszcze zdycha...

Spojrzał na manometr!..

Jezusie święty!.. Zaledwo jedna atmosfera!..

Przerażenie dusi serce w żelaznej garści, w ustach jakiś zgryziony skowyt!..

— A na dole, w kopalni ludzie!.. — leci mu przez głowę oślepiającą błyskawicą.

— Jeszcze drzewa! — ryczy Żuczek, a oczy płoną obłąkane.

Niebrój wlecze naręcze wyłamanych sztachet. Wwala je na drugie wygasłe palenisko. Gdzie niegdzie bły-

skają ostatnie węgliki czerwone. Od tego się nie zajmą sztachety. Oliwy!..

— Podpolić!..

Ogień huczy pod kotłem, bije skrwawionemi jęzorami po obłem sklepieniu, syczy, pryska zamiecią iskier...

— Teraz węgla!..

Leci drobne węgle... Obierane, czyste, dzwoniące węgle...

Ogień coraz mocniej huczy...

Spojrzał Gustlik na manometry,

— O chwałażci, Panie Boże! — Czarna wskazówka dotyka dwójki... idzie powoli... posuwa się...

— O chwałażci, Panie Boże!..

Maszyna wzdycha i nabiera stopniowo rozpędu... Para zaczyna dzwonić w rurach... wskazówka przekroczyła dwójkę... do trójki wędruje powoli...

— O chwałażci, Panie Boże!..

Maszyna coraz szybciej rozpędza koło, coraz szybciej miga ramieniskami... rzemienie klaskają uradowane... serce, oszalałe serce ludzkie wali młotem... z radości...

— O Pónbóczek-ci też zapłać, Panie Boże najmilej szy!

— Bo tam na dole są ludzie!,.

Nad ranem, kiedy przerażenie opuściło serca ludzkie, a maszyna już gnała wymierzonym rytmem, Gustlik zaś, obity łopatą, siedział skruszony w kąciku, Żuczek stał przed małą szklaną szafką i frasował się ciężko.

— Jakto zrobić, żeby nie było znaku, iż maszyna w nocy przez dziesięć minut stopniowo zwalniała biegu, potem szła o jednej atmosferze, a następnie przez pięć minut znów wracała do swego biegu normalnego?.. Jakto tu zmajstrować, żeby nie było można poznać?.. Bo inaczej będzie straszne piekło!.. Pieroński chwant, ten Wałoszek!..

Za szklaną tafelką siedzi na prostopadłej osi mały bębenek, owinięty pokratkowanym papierem. U każdej kratki, u góry, u dołu i z boku jakieś cyfry cudaczne. A po kratce długa, falista kreska fioletowa, kreślona szklanem piórem. Kreska biegnie przez kilka kratek w równym poziomie, potem wygina się lekko ku górze i następnie leci już pod sam wierzch obłą smużką... O kilka milimetrów spada znowu w dół, waha się miejscami, załamuje, lecz potem już szerokiem wygięciem sięga wyznaczonej drogi.

Na tern pierońskim będzie można poznać wszystko!..

Jak to zrobić, żeby nikt nie poznał?

Stoi stary Żuczek przed szafką, ślepi bez przerwy na zdradziecki instrument i po łbie skrobie się zafrasowany okrutnie.

Szafki nie Iza otworzyć. Klucz od niej posiada sztygar Dostał.

— A więc nic nie da się zrobić!.. Ktoś musi odwalić szkaredni!.. — martwi się głośno stary maszynista i spluwa z frasunku.

— Ale kto?.. — kłopoci się znowu biedaczysko.

— Hano, to już żoden inszy, jak nie Wałoszek!.. Szkoda synka, lecz nie Iza inakszy!..

Żal mu Wałoszka, chętnieby go poratował. Lecz widzi, że niema wyjścia. Przepadło.

— A bo też, żabniok jeden, nie potrzebowoł spać! — otrząsnął się z resztek litości.

Teraz wszyscy czekali spodziewanego „piekła", jakto określił Żuczek. Każdy chodził zasępiony i coraz zaglądał za szybkę w szafce, by oczyma jeszcze raz i jeszcze raz obmacać złowróżebne odchylenie fioletowej linji. I każdy chwilę patrzał na cudaczny bębenek, potem wyszukał spojrzeniem maleńką, cienką rurkę, co czarną smugą

wybiegała ze szafki, uczepiła się ściany, wygięła w *jej* kącie i teraz sunęła pod powałą do wiatrowego szybu popod szumiące skrzydła.

— To to pierońństwo temu jest winne! — mruczano do siebie. Wiedziano bowiem, że napór oszalałego wichru w szybie cieknie zgęszczoną strużką przez rurkę i odchyla ruchome pióro wzdłuż bębenka. Gdyby nie ta rurka, toby nie było ani bębenka, i nie byłoby także kłopotu. Ale to już takie wymysły djabelskie na tym świecie!.. Najlepiej byłoby wziąć tam oto ten klucz, co na cylindrze leży, i prasnąć nim do szafki, żeby się na same ograbki rozsypała!.. I byłoby po paradzie!..

Rano przyszedł nachmurzony Dostał. Szły za nim ponure oczy tamtych trzech. Dostał zaraz spostrzegł wszystko. Aha!., jest!.. No to dobrze!..

Boć to zawsze miło człowiekowi pokazać bliźniemu swoją władzę. Wtedy nabiera się większego przekonania o własnej wartości, którą tak łacno zmierzyć przerażeniem i bojaźnią drugich.

— Aha!., jest!.. No, to dobrze!.. — i uśmiechnął się zadowolony.

Lecz w tym okamigu nasrożył się, odwrócił do Żuczka i jął pokrzykiwać.

Żuczek rnusiał wszystko powiedzieć, co a jak, a wkońcu z pewnem zakłopotaniem wskazał na winowajcę.

— Ha, to Waloszek udielal?.. Zawolajte ho sem!„

— Wałoszek!.. Wałoszek!.. pódź tu, bo cię panoczek wołają!..

Gustlik zagryzł wargi, skupił się w sobie, jak do oczekiwanego uderzenia i poszedł.

— Pojte sem, Waloszek!.. — rzekł łagodnie Dostał, uśmiechając się nieznacznie pod strzępiastym, rudym wąsem.

Zdziwili się Niebrój i Żuczek. To dziwne, że nie krzyczy!.. Cóż mu się stało?..

Gustlik wyszedł za Dostałem na dwór,

— Wy, Waloszek... — zaczął znowu z tym samym uśmiechem Dostał — ja wam neco powim...

Gustlik popatrzył mu w oczy zdziwiony.

— Ja wam neco powim... Posluchajte... Nechte se zapsat do „Sokola”...

— Na, dyć jo już jest zapisany...

— No, ja wim... wyjste w polskem „Sokole"... Ale ja rzikam... do czeskeho „Sokola", wite?..

— Kaj? — zapytał się Gustlik, nie mogąc w pierwszej chwili zrozumieć.

— No... do czeskeho „Sokola" w Dombrove!.. Wite?..

— Aha!., do czeskiego „Sokoła" mnie namowiają... Teraz już rozumiem!..

— Więc do tego zmierza, ten pieron!.. — i gniew rozgorzał w szarych jego oczach.

— No?.. Jak budę?.. — zapytał niecierpliwiący się sztygar.

— Psiniec bydzie, panie sztygar!.. — rzucił mu wyzywająco. — Jo roz Polok, jestżech w polskim „Sokole”, a na waszego czeskiego „Sokoła" gwiżdżę!.. Rozumią?..

— A ty zatraceny swinaku! — rzucił się Dostał z wściekłością — ja tebe nauczim!.. Poczkaj jenom!.. — i jął mu teraz wypominać niedbalstwo w służbie. Pienił się, krzyczał, machał rękami i groził. Wkońcu wycedził przez zaciśnięte zęby:

— Zjitra ne musisz przyjst do prace!.. A dneska dopoledne dostanesz swoju knižku a dzij mi precz z oczu... do tych twoich hloupich Polakuv!..

Splunął i poszedł.

Gustlikowi zdawało się, że w tejże samej chwili wszystko w nim znienacka zamiera, wszelka radość i czucie, i myślenie, że ogromna ciemność na jego oczy wstępuje, pogrąża go w sobie, że nic więcej już niemasz w nim i koło niego, jak ta straszna myśl, że bez pracy zostanie.

Kiedy pozbierał rozprószone, jakby nagłym wichrem rozwiane myśli i spojrzał, już sztygar był daleko. Schodził po spadzistym stoku na ścieżkę, wiodącą ku szybowi wzdłuż toru kolejowego. Schylił się raptownie, bo trafił spojrzeniem na kamień u nóg jego leżący. A kiedy wyczuł jego ciężar w dłoni, puścił go zpowrotem na ziemię, a duże łzy wypełznęły na mrugające rzęsy.

I stało się.

Tego samego dnia otrzymał książkę robotniczą i tę trochę grosza za przepracowane szychty.

A kiedy wracał do domu, cały świat wydawał mu się ogromnem cmentarzyskiem, na którem swoje serce młode pogrzebał, a z sercem ostatnią drobinę radowania się z życia. Natężył słuch. Przez pole leciało do niego gderliwe pogadywanie znajomej maszyny. Jakby bez przerwy skrzeczała:

— Do-brze-ci-tak!.. do-brze-ci-tak!.. do-brze!.. do-brze!..

W domu czekał go lament i narzekanie matki.

— O, co jo też teraz biedno dusza pocznę — skarżyła się z płaczem — co jo teraz pocznę, kiedy ty bez roboty bydziesz!..

— Ale, ciotuszko, dyć nie płaczcie — uciszała ją Helenka, gładząc dłonią po twarzy — dyć nie płaczcie!... Przeca Gustlik zaś dostanie kajindzi robotę i zaś wszystko bydzie dobrze!.. Dyć jeny nie płaczcie, ciotuszko, ni!..

Ale Wałoszkula była niepocieszona.

Tego samego dnia wypędziła synka, by poszedł szukać pracy na innej kopalni.

Gustlik poszedł, ale nic nie znalazł. Na szybie Jana powiedziano mu, że nie potrzeba robotników.

Rozpoczął więc wędrówkę nazajutrz i w następne dni po wszystkich kopalniach w Karwinie i okolicy. Wszędy spotykała go ta sama odpowiedź. Nie potrzeba!

Chłopiec rozpaczał. Zwątpienie go ogarniało i nieraz, wracając do domu, przystawał na drodze i szukał w myślach odpowiedzi, co uczynić. Matka obwinia go w domu, ustawicznie narzeka, czyni gorzkie wymówki, a tu jak na złość, wszędzie odprawiają go od progu kancelaryj, że niepotrzebny. Co tu zrobić?.. Niezadługo, gdy ostatek pieniędzy się wyczerpie, przyjdzie głód do domu. Matka i tak po całych dniach haruje i po panach posługuje i na „pańskim" pracuje, gdzie może, to drobinki chleba szuka. A on tutaj bez pracy! Albo się utopi, albo co!..

Już raz skończyć z takiem życiem przemierzłem!.. Tak, najlepiej! Skoczyć do „grofowskiego” stawu i zbyte! Raz ze wszystkiem skończyć!..

Jedyną radość znajdował w obecności Helenki. Dziewczyna wiedziała o jego rozpaczy i jak umiała, tak usiłowała go pocieszyć. Mówiła mu, żeby się nie martwił, bo przecież pracę kiedyś znajdzie, a jeżeliby nie tutaj, to na Górnym Śląsku.

Olśniła ją ta myśl.

— Tak, Gustliczku — powtarzała ożywiona — u nas, w Ligocie, to z pewnością znajdziesz robotę!.. Nic się nie starej!.. Marek lebo mój tatuś wyszukają ci. Uwidzisz!..

I Gustlik uchwycił się tej myśli, mogącej przynieść poratowanie.

— Dobrze, Helenko... — mówił — jeszcze spróbuję w Orłowej i w Łazach... a kiedy i tam niczego nie znajdę, do was pójdę...

Matka wymieniła owe pięćdziesiąt marek, przyniesionych przez Helenkę. Z niechęcią to czyniła, gdyż miała przecież swój honor, któryby nie dozwolił na korzystanie z tamtych pieniędzy. Ale cóż było czynić? Nie było innego wyjścia.

Minęło znowu kilka dni. Gustlik co dnia wracał do domu ponury, zamyślony. Nie otrzymał pracy.

A tu już i Helenczyne pieniądze się wyczerpują.

W ostatnim dniu powiedział:

— Darmo, mamulko!.. Tu mi nie dają panowie roboty!.. Zrobię to, co mi Helenka prawiła. Pójdę z nią na Górny Śląsk i tam poszukom roboty!.. Wszak niema możne, żeby i tam nićźech nie naloz!,,.

— Tóż idź, synku, idź!.. — powiedziała popłakująca matka — boby tukej człowiek musioł zęby do ściany wbić, a nicby nie przewiódł!.. Idź, synku, idź!.. Może tam bydom panowie lepsi!..

Nazajutrz wybrali się. Gustlik pozbierał do kuferka swoją bieliznę i nowe ubranie, otrzymał na drogę trzy reńskie, Helenka zaś powiązała swoją bieliznę i sukienki w duży węzełek i poszli na dworzec. Odprowadzała ich Wałoszkula.

Na dworcu spłakała się biedaczka, potem ucałowała synka, zrobiła mu krzyż nad głową i to wszystko.

A gdy już Gustlik siedział w wagonie, przygnębiony i raz wraz połykał przeciskające się łzy, Helenka gładziła go po ręce i ciągiem pocieszała:

— Nie starej się, Gustliczku, ni... Uwidzisz, że to jakosikej bydzie dobrze!..

— Wiesz, Helenko — zdobył się wkońcu Gustlik na odwagę — gdyby nie ty, tobych się już downo utopił!.. — i odwrócił twarz do okna, bo się zawstydził, że tak śmiesznie mówi.

XVII.

Był wysoki mur.

Czarny, odrapany, z tynku obity — bieżał ogromnem koliskiem przez pola, wzdłuż płonych usypisk, wymijał wyrwy i wądolce, gdzie w czarnej wodzie światło dzienne konało, przemykał się pobok licznych domów robotniczych, towarzyszył przez chwilę drodze, potem się załamał, rozszczepił w szerokie wrota, którędy w jego obręb sznury lśniących szyn-wpełzały, wspiął się jeszcze zboku na stok rudej hałdy, zleciał zpowrotem do jej podnóżek i przytulił się do wysokiej ściany ogromnego gmachu.

Po wierzchu, po jego kalenicy szczerzyły się ostremi zębcami powtykane w miękki kiedyś cement kawałki potłuczonego szkła, odłamki blachy, strzępy drutów kolczastych i żelazne zadziory. Po to, żeby nikt nie ośmielił się tamtędy przełazić. Ręce i nogi porzezałby, na szmaty podarł — a nie przeszedłby. Mądrze to było zmajstrowane.

Dwa wejścia tylko pozwalały do środka wniknąć; przez żelazne wrota wjeżdżały dyszące lokomotywy z różańcami dzwoniących wagonów, napełnionych powierzch rudą, wapnem, węglem lub koksem, a przez szeroką sień sklepioną w ogromnym gmachu wpływała co dnia wezbrana rzeka ludzka i co dnia wylewała się na ulicę. Rano i wieczorem.

Gardłowy, niski chrapliwy ryk syreny otrębowa! przeciągle tamte chwile z dachu kotłowni.

Codziennie, rano i wieczorem, zanurzały się w obrębie murów czarne tłumy robotników, kłębiły się u ich

gardzieli, huczały stłumionym gwarem, syciły zadymione powietrze ostrym swędem potu, a kroki ich dudniły mnogim, pomierzwionym rytmem w sklepistej sieni.

Poza murami kołtunił się krzyczący zgiełk żelaza, maszyn i ognia. Zmagała się do ostatnich granic wytężona praca ludzkich mięśni. Syczały strumienie pary z wąskich wylotów rur, wyły rozśmigane koła i transmisje, zawodziły jękliwe motory, zgrzytały walce i krany, potworne młoty parowe spadały z pod stropu na podstawione bryły żelaza, rozbijały je na czerwoną miazgę, mięsiły jak ciasto, prały naokoło wichurą iskier, stękały ludzkim głosem, a echo ich zduszonego jęku błąkało się przerażone po zaułkach nieprzejrzanych zabudowań.

Wzdłuż wyniosłych, czarnych, zadymionych hal przepływały leniwie stężałe rzeki roztopionego żelaza, a biały ich żar rożegał po ścianach i na stropie oślepiające pożogi. Światło słoneczne gasło w nich, zamieniało się w szary popiół. Z piekielnych szczelin wyciekały ruchliwe strugi płynnego metalu w podstawione ogromne tygle, kolebiące się na krępych łańcuchach; z nachylonych szyj besemerowskich pieców tryskały ryczące pióropusze rdzawo-niebieskich płomieni, biły pod dachy skośnym rzutem, podobne do burzy, co się w kształcie roztrzęsionych mietlic na ciemny świat wyrywa; z rozwartych czeluści huczały sine płomienie, skręcały się w opętańcze wiry, napełniały skwarem płuca ludzkie, rzygały rudem kłębiskiem ciężkich, duszących dymów i truły powietrze swym jadem; a miejscami zastygały potężne bloki stali, co w rozpalonym piachu pokotem leżały, zdychające w swej spiekocie. Gdzie indziej znowu goniły oszalałe smugi ognistych skrętów, trzaskały sobą po żelaznych płytach, przecinały gęste mroki jarzącemi biczami, trzepotały się, trzymane w zębcach karbowanych kleszczy,

zakreślały wymierzone drogi i znikały wśród wyjących walców.

Czarna, rozparzona ziemia dygotała pod ludzkiemi stopami.

Pod sufitem, pod rozpiętemi krokwiami żelaznemi sunęły terkoczące krany. Zawieszone w ciężkich mrokach, prawie że niewidoczne, leciały na zębatych kołach, wstrzymywały się, cofały, znów się zrywały i goniły niestrudzone, podobne do potwornych bestyj, co żeru na ziemi łakomie szukają. Raz wraz opuszczały rozkolebane łańcuchy z sękatemi, nakrzyź złożonemi paluchami, ujmowały zanurzony w piachu płomienisty ciężar, zachrzęściły z wysiłku, podnosiły wysoko i teraz gnały ponad ludźmi gdzieś na drugi kraniec hali, radujące się metalicznem szczekaniem rozżarzonemu łupu. A za lecącem w powietrzu żelazem rozlewały się po ścianach łuny pożarne.

Opodal zaś, z drugiej strony hali, opuszczały się z uwieszonych kranów długie ramieniska, zaopatrzone poziomą ostrogą. Pod ścianami czernił się rząd żelaznych koryt, napełnionych złomem i wapnem. Z przodu szczerzyły się zadziory. W ich ogięcia wrażała się ostroga, a kiedy utkwiła rzetelnie w szczelinie zadziora, wtedy kran zaterkotał zębami, podniósł uwięzione koryto, zakreślił niem szerokie półkole i jął teraz wsuwać w płonącą gardziel rozwartego pieca. Płomienie buchały podartemi jęzorami, lizały z szumem osmalone ściany, prały skołtunionym dymem pod dachy, a ludzie cofali się, zasłaniając twarz skórzanym fartuchem. A kiedy z koryta wywaliła się zawartość w rozbełtaną topiel białego żelaza, kiedy ramienisko wydobyło ostrogę z korytem z ryczącej czeluści, wtedy opadała ciężka zasuwa i dusiła wydzierające się płomienie.

W głębi hali rozwalały się w czarnym pyle rozrzucone zlepiska lawy. Pomierzwione w ogromne skiby, czarne z wierzchu, gasnące w opuszczeniu, leżały jak potworne cielska, z których życie wycieka. Dyszały jeszcze ostatkiem utajonego żaru.

Ponad niemi, pod dachem uwijał się chichoczący kran. Czepiał się i łaził niewidocznemi mackami po gzymsach rozpiętych trawersów, podobny do ogromnego skurczonego pająka z obwisłym brzuchem. Z podbrzusza jego opuszczał się w nizinę pęk stalowych lin z zawieszonym kręgiem, pogmerał nim w skibowej mierzwie i wywlekał wysoko olbrzymią kulę żelazną. Potem jął szukać miejsca, gdzieby uderzyć. Skoczył tu, skoczył tam, zatrzymał się na chwilę, znowu podleciał drobinkę — aż znalazł... A wtedy z pod kranu odrywała się nieoczekiwanie tamta kula, spadała czarną smugą i z głuchem stęknięciem miażdżyła upatrzoną bryłę w dolinie. Rozsypał się żar dotychczas w trzewiach jej ukryty, zakłębił się czarny pył, rozprysły się szkliste bryzgi szerokiemi łukami. Kula zatoczyła się z westchnieniem i przepadła w skibach. Kran poleciał za nią u góry. Opuścił macki i jął szukać. Raz tu, to znowu tam, długo, naoślep. A kiedy ją znalazł, zaniósł się radosnem szczekaniem, podnosił wysoko, przeczekał, aż się uciszy jej kołysanie, potem wypatrzył nową ofiarę i znienacka puszczał. I tak ciągle wkółko przez calutką szychtę.

Czarni ludzie krzątali się wśród ognia i maszyn, mali jacyś, niepozorni, przebiegali zdyszani ruchome kręgi świateł, tonęli w mrokach, wynurzali się z dymów, zziajani, błyszczący potem na spalonych twarzach, jakby rudą oliwą wysmarowani, przybrani w skórzane fartuchy, obdarci, w zetlanych łachmanach. Czasem wychynął człowiek do straszydła podobny, w ogromnym hełmie drucianym na

głowie, z dużemi ciemnemi szkłami na otworach ocznych. Zaglądał przez fioletowe tafelki szklane w szpary opuszczonych zasuw, ślepił czujnemi źrenicami w głąb pieca, mierzył spojrzeniem wysokość zmarszczek żelaznej kipieli, wybierał chochlą rozbełtany metal i śpieszył z nim do próby. Nalewał żelazo w słoiki i czekał aż skrzepnie. A gdy z przewróconego słoika wysunął się jego rozżarzony kształt, rozkuwali go drudzy małemi młotkami na placki. Wtedy majster mrużył skupione oczy, przyglądał się, ważył coś w głowie, rzucał rozkazy...

Wysoko nad piecami, za pręcianą balustradą, między dymami, co raz pojawiał się kształt człowieka. Unurzany w krwistej pożodze, omotany zwojami iskier, czarny — błąkał się po niewidocznych ścieżkach, znikał za dymami, wychylał zpowrotem, czyniący niezrozumiałe ruchy w cudacznych pokłonach. Czasem coś krzyczał na ludzi w nizinie, czasem tkwił nachylony nad tyglem, co głęboko pod jego spojrzeniem przechylał się powoli z płynnem żelazem, czasem podnosił ramiona, dawał znaki i gdzieś znikał. Za nim przychodził drugi i to samo czynił, podobny do tajemniczego maga, co złowieszcze zaklęcia nad ogniem sprawuje.

A zbałwanione ognie gziły się pod ich stopami, prały płomienistemi płachtami, rozdzierały je z wyciem na strzępy, ciskały w mroki, konały w duszących dymach.

Huta tętniła pracą.

Zgmatwane głosy ludzkie, krzyki maszyn i szum pary zlewały się w chaos,

A ponad tem wszystkiem niosły się pod niebo opęczniałe słupy dymów, które za dnia gasiły słońce, w nocy zaś rozpalały się rdzawemi pożarami.

Kiedy Gustlik znalazł się poraź pierwszy w obrębie tamtych murów, chodził jak obłąkany. Oszałamiał go po-

tworny rytm pracy, ogłuszał krzyk maszyn i ludzi, nie mógł myśli skupić. Było mu tak, jakby się na środku wezbranej rzeki znalazł, co oporne tamy zerwała, i teraz szaleje wolnością.

Zdarzyło się, że chłopak, młody Kuczera, pracujący przy spuście u wielkiego pieca, uległ poparzeniu. Płynne żelazo obryzgało mu nogi. Na jego miejsce przyjęto do pracy Gustlika. Dziwił się Wałoszek, że tak gładko wszystko poszło. Spodziewał się, że trafi na trudności. Gustlik przecież z „cesarskiej strony", potem sam Wałoszek znajdował się na czarnej liście, jako jeden z tych, co się okoniem stawiają wobec dyrektora Langhorsta. Na szczęście, w kancelarji znajdował się jego zastępca, inżynier Sohlich. Wiedział, że trzeba nowego chłopca za Kuczerę. Ponieważ Gustlik nadarzył się w porę, przyjął go bez wahania. Co on zacz, jakich przekonań politycznych czy narodowych, to było dla Sohlicha rzeczą uboczną. Grunt, że zdrowy i chętny do pracy.

Gustlik został więc tak zwanym helferem. Spełniał podrzędniejszą pracę. Przynosił rozrobioną glinę szamotową, podawał młoty i sztaby, uderzał perlikiem w podstawione kliny, a przedewszystkiem słuchał starego Handzla, który się nim opiekował. Handzel przez dwanaście godzin ślęczał pod wielkim piecem, piekł się, rozpływał w pocie, a gdy przyszedł czas, że w małym wzierniku, opatrzonym grubem fioletowem szkłem, dojrzał w piecu dostateczną miarę wytopionego żelaza, przystępował do przebicia otworów w murze. Zapchane były szczelnie szamotową gliną. Jeden z nich, umieszczony wyżej z boku, służył do odpływu szlaki. Drugi u dołu do żelaza. Gdy jedni hutnicy przebijali górny otwór, żduchając weń długiemi sztabami, Handzel zabierał się statecznie i z nabożeństwem do otwarcia dolnego przepustu.

Były cztery piece. U stóp każdego rozbiegała się lekko nachylona płaszczyzna, pokryta grubą warstwą miałkiego piachu. Cała ta przestrzeń była poorana wklęsłemi grzędami, niewielkiemi, powiązana wymyślną plątaniną rowków. Koło nich czekali hutnicy z długiemi gracami.

Handzel ujmował sztabę, wykruszył w otworze sporo gliny, wraził ile się dało i, krzyknąwszy na Gustlika, czekał. A Gustlik chwytał ciężki młot w poplute dłonie, wymierzył drogę oczyma i jął bić od dołu w głowicę sztaby. Młot kołysał się powoli w jego drobnych lecz muskularnych ramionach, jak ciężkie wahadło, zakreślał równe wycinki koła, spadał z jękiem na dzwoniący grot, odrywał się, poleciał zpowrotem i znów spadał, raz po razie. A za każdem uderzeniem Handzel cofał lekko sztabę, przekręcał w dłoni i czekał na nowy cios, mrużąc zlekka powieki.

Kiedy zanurzony koniec sztaby rozżarzył się i można było już w dłoni wyczuć, że się opiera i poddaje naciskowi spieczonej gliny, wydobywał ją z otworu, odrzucał i porywał drugą. I znowu tak długo trzymał ją w ustępującej głębi, aż przyszedł czas, że koniec jej rozmiękczył się w żarze. Wyrzucał więc nieużytek i sięgał po trzecią. Potem po czwartą i następną.

Potężne fundamenty pieca dudniły i dygotały pod naporem rozpętanej burzy ognistej, co w ich wnętrzu rzucała się wściekła. Rozparzone, suche powietrze piekło oczy, gardło i płuca, pot ściekał brudnemi strużkami po twarzach, przemaczał czarne koszule, zgarnięte mięśnie napinały się w obłe łuki, przesuwały pod czerwoną skórą, prężyły i znowu rozbiegały, a dyszące płuca z trudem chwytały drobinę chłodniejszego powietrza, co się czasem z zadymionym wiatrem pod huczące cielska pieców przybłąkał.

Nadchodziła chwila, że znużone uderzenie młota trafiało na miękkość. Handzel jednym rzutem wyrzucał sztabę, a w te pędy runęła z otworu gruba, pryskająca struga białego metalu. Zamykały się oczy poniewoli, rażone boleśnie jak blaskiem słonecznym, uchylały się ludzkie postacie przed buchającym żarem, na ścianach pieca i po żelaznych wiązadłach dachu rozleciała się jaskrawa pożoga, a robotnicy, czatujący z gracami na piaskowych grzędach, wdziewali szybko na dłonie przestronne rękawice skórzane i zapuszczali na twarze skórzane zasłony. Czekali przywarowani, jak na cenny łup, co im się nie śmie wymknąć z pod ręki,

Z otworu biła kaskada rozbełtanego słońca płynnego. W krótkiem, plaskiem ogięciu spadała w wygrzebany rów piaskowy, przemieniała się w leniwy strumień, bieżała wądolcem do najbliższego zakrętu, wygięła się, spięła lekko na ścianę, wykręciła i poleciała dalej. Za nią szerzył się w powietrzu niepojęty żar, naokoło rozbiegała się coraz większa łuna, a ludzie patrzyli w strugę, jak w żywą bestję, którą śledzić trzeba w każdym ruchu, szpiegować jej przyszłe zamiary, jednem uderzeniem gracy w zarodku je zniszczyć i pokierować w czekające doły piaskowe.

Czarne postacie nachylały się i wysuwały z ramion długie żelazne styliska z gracami, zapierały przejście, zmuszały złą bestję do zawrotu, prowadziły, gdzie jej zgóry drogę obmyślono, a płynący ogień sapał głucho, prychał skrami, kipiał z wściekłości i marszczył się w szepleniące skibki.

A z pieca lała się wciąż struga płynnego słońca.

Kiedy już ostatki jej wyciekły, kiedy już ledwie krople sączyły się z otworu, Handzel jął zapychać wylot wałkami wilgotnego szamotu. Wsuwał je do środka tępym drągiem, żelaznym. Tak długo, aż zapchał po brzegi.

Najcięższa robota na kilka godzin skończona. Odetchnąć będzie teraz można, powietrza chłodnego zaczerpnąć, pot z twarzy obetrzeć.,.

Na piaskowem usypisku zaś konały spokojnie prostokątne tafle surowca, powlekały się szarością, żar z nich wyciekał, roztapiał się w powietrzu, łuny gasły nad niemi. Po kilku godzinach przyjdą ludzie, porozbijają je ciężkiemi młotami i rozpoczną wrzucać w uwieszone nad niemi wagoniki lub będą je zwalali na dzwoniące usypiska w podstawione wagony.

Gustlik uśmiechnął się, gdy po raz pierwszy usłyszał ich nazwę. „Gęsiami” nazywali ludzie tamte wystygłe tafle ciężkiego, porowatego i dłonie raniącego żelaziwa.

Do nowej pracy rychło przywykł. W pierwszych dniach skarżył się Wałoszkowi na spiekotę, na kłucie w oczach i bole w krzyżach. Skóra na rękach i twarzy poczerwieniała, a miejscami pozwalała się ścierać palcami, jak zmięta szmata.

— To nic!.. — pocieszał go wuj. — To każdy z nas przechodzi. Z początku zdo się człowiekowi, że nie wydzierży, ale potem przywyknie!.. Człowiek do wszystkiego może przywyknąć!.. — dodawał z namaszczeniem.

Chłopak w pierwszych dniach żłopał nienasycenie zimną wodę z konewki. Paliło go w piersiach.

— Nie pij tela wody, synek!.. — pouczał go Handzel. — Bo to niewiela pomoże. Pocić się będziesz jeszcze barzi i jeszcze więcej wody wychlapiesz. Z tego jeny brzuch boli. Jeszcze mogą ci się w nim żaby zaplągnąć!,. Nie pij tela wody!..

Zczasem i tego się oduczył. Podpatrywał Handzla i czynił to, co u niego widział. I dochodził do przekonania, że naprawdę można do wszystkiego przywyknąć, jak mawiał wuj. Porównywał pracę w kotłowni w Karwinie

z pracą obecną. Uśmiechał się, bo widział, że tamte wysiłki i spiekota przy kotłach była zaledwie cieniem tego wszystkiego, co spotykał w hucie. Uśmiechał sięi wtedy tym uśmiechem mądrości, co pozwala istotę rzeczy przejrzeć i człowieka przekonać, że wszystko jest jakoby złudą.

Zarobił niewiele więcej, aniżeli w kopalni karwińskiej. Wujowi płacił za całkowite utrzymanie, boć trudno było inaczej. Płacił tyle, coby gdzie indziej żądano, gdyby u obcych ludzi kątem mieszkał. Wałoszek nie chciał pieniędzy przyjąć, opuszczał mu z ceny, lecz honorny Gustlik zaciął się i także nie ustąpił.

— Jeśli nie przyjmiecie — groził — to pójdę na kwartyr do kogo inszego!..

— No jeśli już tak miałoby być, to płoć! Ale i tak sie to u nas nie straci, a jak kiedy bydziesz w biedzie, to ci wrócą! Za kwartyr nie byda ci rachować, za opierunek też ni, a za jodło, no... to nas tak mocka nie kosztuje!.. No, już dobrze, dobrze!.. Nic nie mów! — i machnął ręką ostro. Znak to był, że skończona rozmowa.

Do pracy chodzili razem. Wałoszek przez cały dzień uwijał się na najwyższym szczycie drugiego pieca. Na „Emmie". Bo każdy piec miał swoje imię. Taki już był zwyczaj. Małe wagoniki wlokły się na wyprężonych linach pod górę, skwierczały kółkami z wysiłku, podchodziły do rozwierającego się otworu i zatrzymywały się. Wałoszek chwytał je wtedy i dopychał na miejsce. Ujmował za wystające uszaki i wywracał. W głąb zakrytego otworu zsypywał się z hurkotem zamęt czerwonej rudy lub wapna z koksem, Kiedy otwór był wypełniony, ujmował oburącz łańcuch, zapierał się nogami i ciągnął. Wtedy z otworu wynurzał się ogromny lej, tkwiący w nim swym odwróconym wierzchołkiem, wieniec sinych płomieni wydymał się z szumem ponad piec, rozbełtał się czarnym dymem,

a w gorejącą czeluść zsuwał się z krzykiem nagromadzony materjał. Potem dzwon opuszczał się i płomienie gasły.

Jeżeli czasem Gustlik przebiegał podwórze, podnosił głowę na „Emmę”, i wtedy widział sylwetkę swojego wuja, rysującą się na niebie. Radował się wówczas, bo znikało uczucie osamotnienia, jakie mu towarzyszyło w pracy między obcymi sobie ludźmi. Czasami zaś w nocy czatował u stóp „Emmy", by zobaczyć wybuchające płomienie. Nie mógł się ich widokiem nasycić. Czekał. A gdy pod ciemne niebo trysnęły krwawe szmaty, gdy je wiatr rozdął i jął garściami rzucać pod chmury, truchlało w nim serce z radosnego przerażenia. Wiedział, że sprawcą ich rozpętania był jego wuj, że on tam patrzy w huczące ich jądro, i ramieniem zasłania spłoszone oczy, a gdy zechce, przetnie je opadającym dzwonem jakby dłonią, nakryje i zdusi. Podobnie, jakby płomień świecy w palcach zmełł. Wtedy rozpierał się w nim podziw dla człowieka silnego, co swym rozumem wszystko ujarzmić potrafi. Nawet płomienie. A tym silnym człowiekiem był jego wuj!

A równocześnie rozumiał niejasno, że w nim samym coś tężeje i zwiera się w twardy chropowaty surowiec, jak tamto żelazo, co z onych płomieni wraz z Handzlem wyzwala i wygrzebaną ścieżyną do piaskowych wnęk prowadzi. Ale co to było, nie wiedział. W każdym razie coś takiego, co oczom zimnego patrzenia użycza, a czucie ludzkie czemś szarem powleka. Podobnie jak u tamtych „gęsi", które zszarzały już doimentu zwierzchu, a wnętrze ich jeszcze rozżarzone.

Mijały tygodnie i miesiące.

Gustlik hardział w swym wysiłku, uczył się wymaganej chytrości wobec wszystkiego, co na jego życie i siły czyhało, przyswajał sobie krótkie a wymyślne ruchy

w pracy, któreby szczędziły jego siły, podpatrywał innych i radował się swej pojętności.

Przypominał sobie nieraz maszyny na „weterszachcie” w Karwinie, od których nabierał zimnej czujności, i przypominał sobie wyniosłe stropy w opuszczonych filarach w pokładzie Wilhelma, których wygięte i groźnie spękane powierzchnie wspierały się jakimś cudem na połupanych stropnicach, a pomiędzy któremi przemykał chyłkiem na palcach prawie, urągający czającej się nad nim śmierci. Tam znowu uczył się pogardy dla niej i lekceważenia.

— Poczkej!.. — mawiał w zaciętym uporze, dygocący ze wzruszenia — poczkej, pieronie... ty już posypujesz, już tąpiesz, ale jo jednak jeszcze przelecę na drugą stronę!..

I przebiegał.

A kiedy — zdarzyło się nieraz — strop walił się za nim, przysiadał na piętach w chodniku, podnosił lampę wysoko, śledził kłębiące się rumowie i serce jego pęczniało nieznaną dotychczas radością.

— Widzisz, pieronie!.. — sykał — aleś mnie nie dostoł!..

Teraz, patrząc na wuja, błądzącego wysoko na wierzchołku pieca wśród ogni i dymów, i przebywając stale w towarzystwie ludzi, co umieją ogień ujarzmić, oraz sycąc codzień oczy widokiem ich zwycięstwa, wyzbywał się niepotrzebnej miękkości.

Kiedy patrzał, jak za drobnem naciśnięciem skobla spada okropny młot na rozżarzoną bryłę żelaza i rozpłaszcza ją jakby z wilgotnej gliny uczynioną, i kiedy patrzał na perlik w muskularnych, odsłoniętych ramionach, walący szybkim rzutem w szary surowiec, że ten rozpryskiwał się na kawały, wtedy przejmował w siebie tamten ruch i na dnie serca chował. Bezwiednie zdawał sobie sprawę, że

jeżeli stanie mu coś w drodze, to wystarczy tamto ostre, zimne, spokojne uderzenie. Pryśnie wtedy wszystko w kawały!.. Innego sposobu niema!

Z Karwinej przyniósł z sobą myśli, podobne do kiełkującego ziarna. Myśli o niesprawiedliwości ludzkiej, że jeden musi swój suchy kawałek chleba pazurami z podziemi wygrzebywać lub ostatnim wysiłkiem wiotczejących mięśni wykruszać z opornego kamienia czy żelaza, gdy inni mają go poddostatkiem, oraz myśli o poniewierce i wzgardzie, jaką napotykał u tamtych wielmożów za to, że się Polakiem urodził.

Zrozumiał. Tam byli Czesi, tutaj Niemcy. I jedni i drudzy jednakowi.

Podglądał życie w Ligocie i widział, że robotnik tutejszy tak samo zapiekał się w oporze, jak na Śląsku cieszyńskim, i że tak samo zmaga się z wrogami, jak w Karwińskiem. To go cieszyło. W domu u wuja stykał się teraz z robotnikami, których największą troską było ratowanie polskości pomiędzy towarzyszami, słuchał ich wywodów, krzepił się ich wiarą. Przeczuwał, że oni tak samo myślą. 0 tamtem ostrem, zimnem, spokojnem uderzeniu perlikiem w żelazo.

Helenka stanowiła dla niego cichą radość. W wolnych chwilach siadywał z nią na progu, szedł z nią do kościoła, błąkał się po miedzach między ścierniskami i patrzał zachwycony w jej rozkwitającą urodę. A równocześnie słuchał jej naiwnej jeszcze pogwarki o Polsce, która się jej taką samą śniła, jak i jemu. Czasami tęsknił za Bronką. Brakowało mu jej niefrasobliwego wesela, jej łobuzowskich figli i prześmiechów. Przy Helence stawał się poważny. Mało kiedy się uśmiechała, bo częściej była zamyślona i cicha, aniżeli wesoła. Czasami stanowiła dla niego zagadkę.

Zdarzyło się, że Sojka, wietrzący stale w hucie między robotnikami za czemś takiem, co mógłby Langhorstowi donieść, spadł ze schodów i zwichnął nogę. 0 mały włos, a byłby się do rozżarzonych żużli stoczył, co opodal stygły. Gustlik znał go już z opowiadań wuja i robotników.

— Wiesz, Helenko — radował się przed dziewczyną — ten lizoń Sojka, ten wstrętny renegat, łaził dzisio po skiełkach, żeby kierego robotnika wyszpiegować, czy kaj nie spoczywo, i pieroń szmatławy, założył po ciemku nogą o kęs żelaza i skuloł się ze schodów...

— Dyćźe nie mów!.. — zatrwożyła się Helenka. — Stało mu się co?..

— Ale niewiela!.. Kości se trochę wyrównoł i nogę wykręcił!.. Szkoda, że pieron nie stoczył się do żużli!..

— Szkoda go!..

— Jak to myślisz? — zadziwił się chłopiec,

— No, że mu się takie nieszczęście przytrefiło... To go musi teraz strasznie boleć!..

Gustlik parsknął krótkim śmiechem.

— Wiesz, Helenka, tyś jest głupio!.. Tóź to ty go jeszcze lutujesz?[87]) Takiego dziada?..

Helenka zawahała się, co powiedzieć.

— No, pewnie... — rzekła po chwili — gdyby to się tak ciebie stało, nie byłoby szkoda?

— Ale to jest przeca Sojka, wiesz? ten renegat!..

— Jo wiem, ale jednak jest mi go żol... Widzisz, jakby to tobie było?..

Gustlik nie mógł jej zrozumieć. To zamiast powiedzieć: — Dobrze takiemu pieronowi, że go Pónbóg skorоł!.. to ona go jeszcze żałuje! Wiecie ludzie!.. Tłu-

---

[87]) lutować — żałować.

maczył *jej* chwilę, że powinna mu tego życzyć, lecz Helenka się uparła i ciągle obstawała przy swojem.

— Głupio! — ofuknął ją wkońcu zniecierpliwiony — ty cięgiem to swoje: Szkoda i szkoda!.. A joby tego renegata jeszcze popchnął do żużli, żeby się bestyja poparzył!.. Miołby naukę za swoje szpiegowanie!.. Głupioś! wiesz!?

I zagniewany odwrócił się.

Wuj zauważył, że obydwoje są jacyś zachmurzeni.

— Cóż się tak na siebie boczycie? — zapytał.

Gustlik opowiedział. Spodziewał się, że wuj podzieli jego zdanie. Lecz nie. Zmarszczył tylko czoło, chwilkę coś myślał i potem rzekł krótko:

— Helenka mo słuszność!

— Aha — pomyślał zgryźliwie chłopiec — musi tak powiedzieć, bo to jego Helenka.

W takim świecie kształtowała się doreszty Gustlikowa dusza.

XVIII.

Doczekali się wszyscy nowej wigilji Bożego Narodzenia.

Każdy się cieszył. Jedni na choinkę i podarunki, drudzy na tę radość, jaką człowiek doznaje, gdy drugiemu radość sprawić może, inni na godziwy wypoczynek, każdy na coś.

Gustlik wyjechał dopołudnia do Karwinej.

Toć już tak dawno, gdy ją był opuścił! Do matki pisał kilka razy, otrzymał od niej również kilka listów, lecz to było wszystko. Tęsknota za Bronką, za domostwem, a przedewszystkiem za matką, kąsała jego serce. Nie mógł sobie dać z nią rady. Na kalendarzu zakreślił dni, jakie jeszcze go dzieliły od wyjazdu do domu. Co dnia je liczył. Strasznie powoli się przesuwały.

Wieczorami, gdy zasypiał, widział pod powiekami twarz swojej matki. I dłonie także, jak je podnosi i na głowę mu kładzie. I twarz i dłonie były pomarszczone, a jednak tak ogromnie kochane. Ich widok przypominał mu smak miodu. Siwe oczy patrzyły na niego, a to patrzenie podobne było do leciuchnych a ciepłych głaśnięć dłonią po twarzy.

Oprócz tego radby zobaczyć Bronkę.

Ha, z pewnością za ten czas wyrosła na dużą pannę!.. Pójdzie do kościoła, zaczeka przy dwierzach, a gdy ją zobaczy, podejdzie i powie:

— Serwus, Bronka!.. Jak się mosz?.. — i poda rękę.

Bronka się zarumieni, prychnie tym swoim łobuzowskim śmiechem, poda swoją drobną dłoń i zawoła:

— Nale, Gustlik, toć nóm kocur zdechnie!.. — Niby dlatego, że tak się niespodziewanie zjawił.

Teraz matce wiezie ciepłą chustę, którą kupił u żyda w Ligocie, a Bronce dużą paczkę czekolady. Ale też to się i matka, i Bronka uradują!..

Patrzał przez okno wagonu na ośnieżony świat. Z radosnem zdziwieniem zauważył, że w miarę oddalania się od Ligoty śnieg bielał, wyzbywał się tamtej posępnej szarzyzny, którą koło huty i kopalni był docna przyprószony. Jakoś tak się zżył z widokiem szarego śniegu, że teraz nie mógł się oswoić z jego jaskrawą bielą.

Pociąg dyszał i biegł truchtem poprzez lasy, skróś pól, potem wpadł do olbrzymiej hali bogumińskiego dworca, ludzie wysiedli z wagonów, on z nimi, przeszedł na inny peron, wsiadł do czekającego pociągu i za chwilę pojechał. Przy Orłowej znowu ten sam śnieg poszarzały.

Tymczasem w Ligocie czyniono przygotowania na wiliję.

Emil przyniósł z książęcego lasu młodą choinkę i teraz strugał dla niej podstawki. Dwa grube patyki nakrzyż zbite, w środku wypalona dziura, i gotowe. Helenka zaś stroiła choinkę. Z papieru zmajstrowała śliczny łańcuch. Każde ogniwo było innego koloru. Porozwieszała go ostrożnie na pachnących gałązkach, otoczyła kilka razy w koło, omotała wymyślnie, że choinka zdawała się być pasemkami tęczy ozdobiona. Potem przyszła kolej na ciastka i orzechy.

Ciastka były przeróżne. Jedne takie, drugie owakie. Jakieś kółka, gwiazdy kolorowe, koniki, wykrętasy, a wszystkie tak smakowite i tak cudnie pachnące, że trzeba było bez ustanku ślinę połykać. Następnie jęła wieszać orzechy. Złociły się w szarem świetle zasępionego dnia, łyskały pieszczoną krągłością, kołysały się na gałązkach, misternie powleczone pozłótką i nitką nakrzyż przewiązane. Na szczycie choinki Emil umocował prze^ cudną gwiazdę, wyciętą ze złotego papieru, z nalepionemi w środku przeróżnemi kółkami kolorowemi. Takiej gwiazdy chyba nikt nie miał w Ligocie. Z boku sterczała długa wiecha ze złotego papieru, żeby każdy wiedział, iż to gwiazda betlejemska.

A kiedy i to było gotowe, przyszła kolej na świece. Śliczne to były świece. Jedne zielone, drugie żółte, inne modre i fioletowe i jeszcze przeróżne. Helenka żałowała tylko, że nie będą gorzały takim samym kolorowym płomieniem.

Emil poowijał je cienkim drucikiem i do gałązek przymocował.

— No, to już my są fertik!.. — zawyrokował, gdy ostatnia świeczka uczepiła się rozchybotanej gałązki.

Postawili teraz obydwoje swoje cacko na stole, odeszli kilka kroków i obmacali zlekka oczyma. Czy też to ładne?

Ale śliczne!.,

Helenka aż w dłonie zaklaskała i pobiegła do kuchni po matkę,

— Pódźcie sie, mamulko, podziwać, jakie piekne drzewko mómy!,.

Przyszła Wałoszkula i złożyła dłonie w podziwie,

— Nale bez uroku, toć jest piękny stromek!.. No fajnie to zrobiliście, hym, hym!,, — i pokręciła głową z uznaniem.

Potem jeszcze przyszedł ojciec i też się tak bardzo zacudował.

— Wiesz, Emilku — przypomniała sobie znienacka dziewczyna — szkoda, że Gustlika tu nie mómy... On mi prawił, że bodej bydzie mioł stromek!..

— No, no... dyć się nie starej — pocieszył ją Wałoszek i pogłaskał po głowie — dyć stromek jeszcze bydzie, jak Gustlik przyjedzie naspadek. To się synek też jeszcze nacieszy!..

Potem Helenka pomagała matce w kuchni, a Emil z ojcem rąbali drzewo w szopie.

Koło godziny czwartej jęło się ściemniać. Przydrożne lampy rozjarzyły się długiemi rzędami lśniących perełek. Nad zabudowaniami huty i kopalni jęły wybłyskiwać pokolei kule mlecznego światła. Kolebały się zlekka ponad dachami i syciły zadymione powietrze wspomnieniem słońca. Miały w sobie coś odświętnego. Krzyk maszyn i dudnienie pary dochodziły stamtąd, jakby poprzez puszystą ścianę.

Ponieważ Wałoszek będzie rnusiał pójść na szychtę o godzinie ósmej, dlatego też śpieszono się z przyszykowaniem wieczerzy.

Helenka i Emil byli już głodni. Poglądali ukradkiem do kuchni, patrzyli łakomie na kopiatą michę, w której się kawały smażonej ryby chłodziły, połykali ślinę i jeden z drugim strzegli, jakby tu nieznacznie czegoś smakowitego palcem udłubnąć. Od rana przecież nic nie jedli. Matka mówiła, że trudno inaczej. W wigilję trzeba pościć, bo taki zwyczaj.

Widziała, że się kręcą po kuchni.

— Dziecka, to wóm powiadóm, nie paskudźcie, bobyście przez cały rok byli nienajedzeni!.. — upominała ich.

Emil mruczał;

— Toć dziwny dzień!.. Czego się człowiek tknie, to wszystko mo na cały rok wróżyć.

Ale doczekali się.

Helenka zapaliła lampę w izbie i jęła rozkładać szeroki obrus na stole. Matka kończyła pracę w kuchni. Jeszcze trochę przysolić, tam znowu warzechą pomieszać, cukrem posypać, talerze obetrzeć, ułożyć, jak się patrzy i wszystko do izby przenieść, by już potem nie wychodzić do kuchni w czasie wieczerzy. Nie dobrze to. Ludzie różnie powiadają. Mówią, że taki człowiek do roku umrze.

— Bodej to tam prowda — myślała matka — bo kiedy Pónbóczek bydzie chcioł, to człowieka do siebie zawezwie, ale niech już tak bydzie...

Emil ustawił choinkę z boku stołu i zapalał świece. W zielonej gęstwie drobnych gałązek mrugały coraz liczniejsze światełka, ciepły blask słał się po izbie, rozgorzała cała choinka. Śliczne to było. Kiedy Helenka weszła do izby z talerzami, stanęła u progu i zacudowała się. Uśmie-

chnięty Emil patrzał raz na drzewko, raz na siostrę. W jej oczach widział drobne wizerunki drzewka, usiane maluchnemi płomyczkami. Jakby się ta jej radość w źrenicach paliła.

Lecz niedługo miała czas podziwiać choinkowe cudo, bo już ją matka z kuchni wołała. Postawiła więc talerze na podorędziu obok stołu i pobieżała zpowrotem.

Ojciec przyniósł sporą garść siana i rozesłał na obrusie. W siano powtykał jabłka i orzechy. A na każdy róg stołu wysypał garsteczkę zboża; na jednym — pszenicy, na drugim — żyta, na trzecim — owsa, a na czwartym przygaszel fasoli z grochem. Ażeby się to wszystko w przyszłym roku darzyło, żeby też Pónbóczek nasporzył boskiego daru.

Na ławie podle stoła ustawiała matka potrawy. Według kolejności. A więc dużą michę kapusty, obok garniec z ziemniakami, potem spory dzbanek maślanki, po której pływały tłuste grudki masła, następnie grochową polewkę w bącloku, nakrytym szczelnie pokrywą, żeby nie wystygła, obok niej grzybową wodziankę, również w glinianym garnku nakrytym, a potem już pokolei fasole, jęczmionkę, żółtą kaszę, grysik omaszczony szczodrze masłem, posypany tartym piernikiem i cukrem, kluski z powidłami i mleko. Na samym końcu żółciła się micha ze smażoną rybą.

Po izbie jęły się teraz wodzić takie smakowite wonie, takie słodkości i wspominki dobrych rzeczy, że aż trudno było wytrzymać.

Stara kotka, Myszka, zwabiona zapachem ryb, łasiła się koło nóg ludzkich, zadzierała ogon wgórę, bodła głową i dopraszała się maluśkiego kawałeczka. Chociażby na koniec języka, na smak przynajmniej!..

— Dostaniesz, dostaniesz! — głaskała ją Helenka.

Zasiedli do stołu.

Poprzednio matka zgasiła jeszcze lampę w izbie i zapaliła świecę w szklanym lichtarzu, co się na środku stołu pysznił swem tęczowem malowaniem. W izbie rozpłynęła się ze światłem świec choinkowych nabożna cisza. Jakby w kościele. Matka skończyła ostatek pracy.

Wstali więc teraz wszyscy. Ojciec przeżegnał się i jął głośno odmawiać Ojczenasz. Drudzy powtarzali za nim szeptem. Myszka znowu, ocierając się bez przerwy o Helenczyne nogi, mruczała głośno, radująca się niecierpliwie nieznanym smakołykom.

W czasie modlitwy matka podniosła oczy w ciemne okno. Dojrzała na niebie gwiazdy.

— To dobrze! — pomyślała, nie przerywając szeptanego pacierza.

Skończyli. Wałoszek przeżegnał się szerokim krzyżem, za nim matka i dzieci. Zachrobotały łyżki, ujmowane niecierpliwemi dłońmi Emila i Helenki.

— Ja, mój Boże, a krowom dołeś, stary, siana? — zapytała znienacka matka, przypomniawszy sobie Srokulę i Jałochę, co w oborze swej wilji czekały.

— Ale dołech, doł... — uspokoił ją Wałoszek — nawybierołech najpiękniejszego siana, wiesz, z kwiotkami... Niech se pojedzą krowiczki!..

— To dobrze!.. A par jeny — i wskazała ręką na okno, przez które dojrzeć było można gmerające gwiazdeczki na niebie — kury bydą jajka niosły, bo gwiazdeczki świecą...

— Yhy!.. ale urodzajów tego roku nie bydzie wielkich, bo nie widać miesiączka... — dodał Wałoszek, — No, ale zabierejmy się z Bogiem do wieczerzy!..

Zanim jednak umaczano pierwsze łyżki w misie z kapustą, każdy jeszcze wsunął pod obrus jakiś pieniądz. Żeby się człowieka trzymały w ciągu następnego roku.

Rozpoczęto jeść. Statecznie, powoli, jak się patrzy. Udawać bowiem należy, że się nie jest głodnym. Matka zaś nabrała na łyżkę kapusty, drugą ziemniaków i włożyła w duży garnek, co na uboczu ławy czekał.

— Dlo tych krowiczek naszych trzeba odłożyć... żeby też one miały święto wilija...

— Och, Boże, tela!.. — zauważył Emil, pojadający już pełnemi ustami kapustę z sypkiemi ziemniakami — to one się tam wiela nie najedzą...

— Z każdego jodła kapka dostaną — pouczyła matka i też się jęła łyżki.

I jedli. Smakowało widać wszystkim, choć to tylko sama kapusta z niemaszczonemi ziemniakami była. Przemyślny Emil, chociaż go darło, by jeszcze i jeszcze nabrać kopiatą łyżkę, sięgał nią pomaleńku w michę, dymiącą na środku stoła, i zaledwo na koniuszek łyżki nabierał. A czekał tylko, skoro ojciec skończy. Boć tam przecież jeszcze tyle inszych lepszych rzeczy!..

W pewnej chwili trącił nogą Helenkę. Spojrzała na niego zdziwiona. Emil rozpostarł nieznacznie palce, zatrzepotał niemi i mrugnął okiem na zastawioną ławę. Dziewczyna domyśliła się, że ją ostrzega, by skąpiła sobie kapusty, boć tam jeszcze czekają inne zacności, a potem jeśćby ich nie mogła, gdyby się kapusty naćpała. Dobrze. Przestała się śpieszyć.

Potem przyszła kolej na maślankę. I tu się zbytnio Emil nie kwapił. Daleko jeszcze bowiem do klusek z powidłami i do wysmażonych ryb. Kiedy ojciec łyżkę z maślanki oblizał i na stół położył, matka podała grochową polewkę. Po niej przyszły na stół następne potrawy'. Według porządku, jak je była na ławie ustawiła. A z każdej ubierała przed jedzeniem pełną łyżkę i odkładała do tam-

tego garnka na ławie, co to dla Srokuli i Jałoszy przeznaczone było.

Cisza była w izbie. Myszka próbowała podanego jedzenia, co jej Helenka na miseczkę nakładła, polizywała, oglądała się raz wraz na jedzących, lecz naprawdę zbytnio się nie kwapiła ani do kapusty, ani do maślanki, ani do niczego. Ryby jej nie dawały spokoju. Wspinała się co raz łapkami na krawędź ławy i pociągała noskiem wonne powietrze, ruszając śmiesznie długiemi wąsiskami.

— A, psik!., a, psik!.. — spędzała ją matka, lękająca się, by nie uległa pokusie.

Wtedy kotka kryła się pod stół i znowu zaczynała ocierać się o Helenczyne nogi. A gdy Helenka schyliła się i ręką usiłowała pogłaskać, tyrkała jej głową do dłoni i pomrukiwała zcicha.

Cisza była w izbie. Przez czarne okna sączył się daleki gwar maszyn i żelaza, a zegar ścienny mierzył przechodzący czas suchem tykaniem. Czasem czyjaś łyżka zadzwoniła zlekka, czasem ktoś westchnął głośniej i nic więcej.

Emila nużyła owa uroczystość w jedzeniu. Siedzieć trzeba, jak na kazaniu, mówić wiele nie wolno, bo w tej chwili skarci go wzrok ojca, cisza jakowaś wokoło, jak przy trumnie, do miski musi sięgać powoli, kończyć — gdy. ojciec kończy, a tuby się tak bardzo chciało jeszcze posmakować tych słodkich, ciepłych powideł, co się na dnie miski uzbierały, tak chętnieby jeszcze ułamał kęs strucli z rodzynkami i zapił garnuszkiem mleka!.. A nie Iza, bo ojciec już patrzy, czy wszyscy za nim łyżki położyli.

Ale jeszcze ryby zostały!.. Jakto dobrze, że znajdzie jeszcze na nie drobinkę miejsca w żołądku!.. Jakto dobrze!.. Tu sobie nareszcie użyje dobroci!..

Uśmiechał się do nich i zerkał łakomie. Nęciły go zapachem i złocistym kolorem. Dobre ryby, farona kandy!..

A kiedy już i ryb sobie niezgorzej pojedli, i kilka pieczek pożuli, ojciec wstał, wziął ze stołu opłatek i jął się dzielić ze wszystkimi.

— Żeby się wóm w życiu dobrze wiodło!., żeby się wóm w życiu dobrze wiodło... — mówił uroczyście, podawając każdemu zosobna.

— A wóm też, tatulku!.. — odpowiedziały dzieci — a wóm też, mamulko!.. — i jęły się swoim ułamkiem dzielić z ojcem i matką.

— Dej Boże, dej!.. — powiedziała matka i pogłaskała Helenkę i Emila.

Umaczali w miodzie i zjedli. Dobre było.

Matka rozdała teraz każdemu po cztery orzechy.

— Teraz, dzieci, łupejcie orzechy. A dziwejcie się, czy mocie zdrowe. Bo jeśli kiery bydzie robaczywy albo skremniały[88]), to bydzie znak, że w tem sztwierćroczu bydziesz niemocny...

Wszyscy mieli zdrowe. Ojców ostatni orzech był tylko czarny, zmarszczony, jakby zeschnięty.

— Aha, zdaje się, że na drugo zima byda jakisi machabejski... — powiedział i uśmiechnął się czegoś zakłopotany.

Popatrzyli wszyscy w rozłupane połówki. Cosik za serce każdego ścisnęło.

— Ale nie wierzmy temu — powiedziała matka — to jeny tak ludzie rządzą, ale to jest bodej prowda... Kajby też tam orzech mioł wyprorokować, jak tam komu zdrowie dopisze!.. To tak starzy ludzie pietą...

---

[88]) skremniały — zbutwiały.

— A pewnie... ktoby tam temu wierzył — potwierdził ojciec.

— A poczkejcie, zarozki się dowiemy. Dej mi tu, staro, kancynoł. Tam leży, na komodzie.

Podała Wałoszkula stary kancjonał.

Wałoszek wziął ostrożnie do rąk i nie patrząc — roztworzył. Pieśni wielkanocne!..

— Widzicie, trefiłech na wielkanocne pieśniczki. Dobrze wróży. Na wiosna. Teraz na lato...

Roztworzył poraź drugi. To samo.

— Widzicie, na lato też. Co też bydzie na jesień?..

Otworzył, rozłożyły się stronice z litanją do Matki Boskiej.

— Też dobrze!., widzicie?.. Teraz jeszcze zima.

I znowu zabieliły się stronice. Wszyscy wyciągnęli szyje, boć tu przecież chodzi o prawdomówność przepowiedni orzechowej. Gdy trafi na pieśni pogrzebowe lub postne — to bieda. Jeżeli na inne — to orzech scyganił.

— Te Deum laudamus!.. — zawołał uradowany Wałoszek, podnosząc im pod oczy dziękczynną pieśń. — Widzicie?..

— Dzisz!.. jo wóm prawiła, że niema co wierzyć orzechowi — uradowała się za nim matka.

— A na co to pokłodo?.. Tamta pieśniczka?..

— Nó, na dobre!.. Przeca tako pieśniczka śpiewają ludzie w kościele jeny w jakieś radosne święta... Gdy się z czego radują!..

Spadł wszystkim kamień z serca.

— Teraz jeszcze bydymy świeczka gasić... Każdy jeden po drugim. Jak pójdzie dym do góry, to na dobre wróży, jak w bok, to źle.

Obstąpili dookoła gorejącą świecę w lichtarzu. Zapatrzyli się niespokojnie, jakie znaki wyjdą. Pierwszy podług starszeństwa — to sam ojciec powinien dmuchać.

Dmuchnął, Zachwiał się poderwany płomyk, przechylił i zniknął. Co teraz?.. Co teraz?,. Wywinęła się strużka szarego dymu, zachybotała nad knotem, powyginała w falistą kresę i teraz wyprostowana poleciała wartko w górę. Cienki paseczek dygotał leciuchno, wyniósł się chybko ponad głowy i jął się nieznacznie rozczapierzać w puszystą mietlicę.

— Dobrze wywróżyło — westchnął z ulgą Wałoszek. — Teraz ty, matka!.. — i zapalił świecę.

Dmuchnęła. I znowu to samo. Za płomykiem przechyliła się smużka dymu, wygięła powoli wgórę i w drgającym truchciku poleciała nad głowy.

Przyszła kolej na Helenkę. Drobne serduszko dygotało, dygotało... Co też dym wywróży, co?.. Och, Pónbóczku, dyć dej, żeby do góry pieknie się kurzył, do góry!.. Nabrała tchu w piersi, stuliła drobne usta w różową tulejkę i dmuchnęła...

Pomierzwiła się szara wstęga dymu, potoczyła koło świecy, jęła się rozkładać w zastrzępionej smudze ku ścianie. Długo... długo... Ponad stołem przepłynęła, zawahała się leciuchno i teraz dopiero w szerokiem ogięciu zaczęła się nieznacznie podnosić ku powale.

Zbladła Helenka, lęk ułapił serce w pazury.

— Eh, głupstwo — sarknęła niechętnie matka, widząc jej obawę — któż tam bydzie w takie czary wierzył? Kurzy się, bo kurzy, kaj wiaterek dmuchnie... a tu człowiek zarozby mioł wszystkiemu wierzyć...

— Jo też powiadom, że to głupstwo... — usprawiedliwiał się Wałoszek — ale takźeśmy za dziecka robowali, tóż i dzisio to samo robią. Ale przeca nie powiesz, że temu człowiek wierzy...

Nie skończył, bo zapukał ktoś nieśmiało na okno. Odwrócili się wszyscy. Za czarną szybką czyjeś oczy i dłoń wsparta na okiennej ramie.

— Jozef przyjechoł!.. — krzyknęła półgłosem matka, tłumiąc pęczniejącą radość w sercu.

Zmarszczył się Wałoszek.

— Poczkej — rzekł twardo — pójdą się podziwach.

Wyszedł, drzwi zostawił odchylone. Do izby wpełznął ziąb ze sieni. Posłyszeli zgrzyt klucza w zamku, czyjeś głosy splątane, otrząsanie śniegu z butów.

Chwilkę to trwało. Do izby wkroczył zpowrotem Wałoszek. W oczach miał zimne błyski, usta zaciśnięte, brwi zgarnięte w bruzdę. Wszyscy patrzyli, co będzie. Za nim szły szelesty kroków. Roztworzył drzwi dokorząt. Podszedł do stołu, odwrócił się i patrzał.

Z mroków sieni wypłynęły oczekiwane postacie. Stanęły w progu i zawahały się.

— Jezusku!., mój Józek — i wyciągnęła matka ramiona. — Ale co to?,.

Józef stał w progu. W mundurze grenadjera pruskiego, barwny, paradny, w długim płaszczu do ziemi, z błyszczącym sznurem guzików, w wysokiej czapie ozdobnej. Tuż koło niego stoi młoda dziewczyna. Rumiana, pucułowata, w kapeluszu, w futrze, pachnąca.

Weszli.

— Pochwalony Jezus Chrystus! — rzekł Jozef i zdjął czapę. — Also komm!.. — zwrócił się do dziewczyny.

Poleciała matka, powitać ramiona pragnęły, zatrzymała się. Uprzedził ją Józef. Podał dłoń, uścisnął,

— Jozefek mój!.. — zawołała i obłapiła syna za szyję. Chłód zawiał od niego. Odstąpiła kilka kroków.

Józef podszedł teraz do ojca, podał rękę, uścisnął w milczeniu, zwrócił się do Helenki i do Emila, to samo uczynił.

Wszyscy patrzyli to na niego, to na dziewczynę, stojącą u progu i jakby zalęknioną.

— Also komm, Margot — zachęcił ją Jozef.

Dziewczyna podeszła.

— A to jest moja Margot — przedstawił dziewczynę obecnym.

— Margot?.. Margot?.. — powtarzali wszyscy bezwiednie. — Więc to ta Niemka?.. To ona?.. Co Jozef ma z nią podobno dziecko?., to ona?..

Dziewczyna dygnęła nieśmiało, odpychana oczyma zebranych. Widziała w nich zdziwienie i niechęć. Wyczuwała ją w tej ciszy, z jaką w nią patrzono. Rozumiała, że ma przed sobą ludzi, co próżno miłości u nich kołatać będzie. Obejdzie się!.. Zachmurzyła się i wydęła usta. Po co ją tu wogóle wlókł, między jakichś obcych, nieżyczliwych ludzi?.. Patrzą teraz w nią, jak na złodzieja...

Milczenie stawało się dla wszystkich okrutnym ciężarem. Gniotło, kąsało.

-— Tóż mówcie co!.. — rzucił wreszcie Jozef... — Każdy się dziwo, jakby... — brakło mu porównania.

— Na dyć siodejcie, siodejcie... — jęła zapraszać matka, a ręce jej latały, bo swem sercem burzę przeczuła. Toć to ta Margot, ta Szwabka, co jej syna usidliła... Za którą ojciec syna wyrzec się obiecywał!.. Mój Boże święty!

Margot jęła rozpinać futro. Zrzuciła je z ramion, położyła na krzesło. Emil i Helenka obskoczyli Jozefa i pomagali mu ciężki płaszcz ściągnąć.

— Ty, Jozef... mówisz, że to jest ta twoja Margot?.. -— zapytał nareszcie ojciec. Głos jego był podobny do uderzeń młotem. Skupiony, zwarty, niechętny.

— Tak, Vater, to jest ona... — odrzekł syn, nieświadom jeszcze, czy się silić na hardość, czy pozostać w uległości.

— Siodejcie — rzucił ojciec i spojrzał na zegar. Jeszcze czas na szychtę.

Helenka odsunęła krzesła, zapraszała do stołu. Usiadł Jozef. Obok niego Margot. Teraz ją dopiero wszyscy dokładnie ujrzeć mogli w świetle choinkowych świec. Mocna, rosła, o stromych, dużych piersiach, opiętych w jedwabną, perfumami zalatującą bluzkę. Twarz ładna, lecz jakaś obca. Przyczajona hardość pełgała w kącikach ust i koło ócz. Ruchy miała już teraz pewne i śmiałe. Zrozumiała, że w tamtym zachmurzonym ojcu znajdzie swego wroga. Trzeba go rozbroić, udobruchać.

Przywołała na usta przyjazny uśmieszek, przechyliła się nieznacznie wyuczonym ruchem, że kształt jej piersi mocniej się uwydatnił i, poprawiając kunsztownie trefione włosy nad czołem, odezwała się do Wałoszka:

— Also setzen Sie sich, Herr Vater!..[89]) — W głosie jej był rozsypany cukier.

I znów zaległo milczenie. Pierwsza radość matki pierzchła. Wygnała ją obecność obcej dziewczyny. Wszyscy, prócz Wałoszka, usiłowali maskować zakłopotanie, uśmiechali się niezdarnie, pogadywali coś oderwanemi zdaniami, a u wszystkich rósł niepokój.

Emil z Helenką odsunęli się w drugi kąt izby, siedli na ławie i czekali z trwogą na zbliżające się wypadki. Wiedzieli, że coś będzie. Ojciec milczał, tylko widać zbierał myśli w gromadę, ważył je, oceniał. A myśli musiały być straszne, bo oczy coraz mocniej szarzały, bruzdy coraz większe tworzyły się na czole, szczęki zwierały.

---

[89]) Więc niech ojciec siada!..

Matka była zaniepokojona. Pobiegła do kuchni, by przygotować zdrożonym posiłek.

— Idźcie, dziecka, za matką... do kuchyni... i tam zostańcie!.. — rzucił Wałoszek.

Smyrgnęły spłoszone dzieci za matką.

Tamci zostali sami.

Choinkowe świece paliły się w cichości. Po izbie błąkał się zapach świeżej jedliny, pomieszany z wonią perfum obcej dziewczyny.

— Więc to jest ta twoja Margot?.. — powtórzył znowu ojciec.

Syn się nachmurzył.

— Cóż do pierona!.. — myślał w pierwszym buncie — cóż się tela pyto?.. Przecach już prawił!..

— Jakożech prawił, Vater... To jest Margot...

Dziewczyna słuchała ciekawie, starając się odgadnąć treść niezrozumiałej jej rozmowy.

— Pocoś tu z nią przyszoł?

— Vater!., jo chcioł...

— No co?..

— Vater, jo chcioł, żebyś ją poznoł...

— Po co?..

— Bo dostołech urlop na 5 dni i prawiłech jej, żeby przyjechała ze mną do Votrów, żeby ją poznali...

— No dobrze, ale po co ją móm poznować?..

— Bo... bo to jest moja libsta...

— Ja, Herr Vater — zaszczebiotała Niemka — wir haben uns gern... sehr gern!..[90])

— A coch ci pisoł?

— Co?..

— No, w piśmie... co do niej, do tamtej germanki?..

°°) Tak, ojcze, my się bardzo lubimy!..

— No nic takiego — bąknął zmieszany Józef.

— To jo ci powiem!.. — warknął ojciec. — To jo ci przypomną!.. Pisołech ci, żebyś ani myśloł o jakiejś tam Szwobce... że...

— Że co?.. — na czole syna nabrzmiały żyły. Bunt coraz większy rożegał się w nim. Pojął, do czego ojciec zmierza.

— Że co?.. — powtórzył.

Ojciec nie odpowiedział na jego pytanie. Zamilkł na chwilę.

— Ty się chcesz z nią żenić?

— Ja!..

— Ni!..

— Ja, Vater!., jo się byda z nią żenić!..

— A jo ci pędom, że ni!..

— A to czemu? — w głosie czaiła się burza.

— A to temu, że to Niemka!.. Rozumiesz?..

Nastała ciężka cisza. W oczach błyskały ognie. Bodli się spojrzeniami. Dziewczyna drżała. Przytuliła się do ramienia Józefa. Coś do niego po swojemu mówiła. Prosiła o coś,

— Posłuchej, Jozef... — zaczął znowu ojciec. Głos jego złagodniał. — Posłuchej, synku! Ty dusza swoja zaprzepaścisz!.. Ty się Niemcom zaprzedosz!.. Jo od dziecka z nimi wojna kludza... od dziecka mnie prześladują... zniszczyć mnie chcą... nas wszystkich chcą zniszczyć.

— Boście wszyscy głupi! — krzyknął już zniecierpliwiony syn.

— Poczekej, aż dopowiem do końca — odrzucił znowu łagodnie ojciec. Jozef posłyszał jednak w jego głosie wzbierający war. — Posłuchej pieknie, aż wszystko powiem. Ostatnie słowo ci powiadom. Jo cie wychowoł na Poloka... bronił cie przed ich trucizną... obroniłech aż

do tej chwili... W szkole cie nie zrobili Judoszem... w robocie cie nie zrobili Judoszem... a kiedyś do wojska szoł, pamiętosz?.. prawiłech ci wtedy, żebyś się wystrzegoł ich, jak złego ducha... Dołech ci szkaplerz... tyś mi doi ręka na to... powiedziołeś, że ni... że się nie musza boć o ciebie... Pamiętosz?..

— No i co z tego?... bo wtedy byłech jeszcze...

— ...nie kończ!.. Poczkej, aż ci wszystko powiem!.. Jo wiem, chcesz pedać, żeś był jeszcze głupi!.. Prowda?.. Ni, synku!., teraz jesteś głupi!.. Poszełeś do wojska. I stało się to, coch się lękoł... Niemka mi cię chce zebrać... Jozefku!.. — tu złożył dłonie, jak do prośby — Jozefku mój roztomiły!.. cofnij się jeszcze... nie stowej się zaprzańcem!.,

— Ni!.. — poleciała twarda odpowiedź.

— Czego ni?..

— No ni!,. Nie mogą!..

— Czemu?..

— Po pierwsze, bo nie mogą, bo móm z nią dziecko...

— A więc jednak?.. — zawołał ojciec i zakrył oczy dłonią.

— ...a po drugie, że... że...

— No, dokończ, synalku, dokończ! — syknął zduszonym głosem Wałoszek.

— A dokończą!.. Żebyście wiedzieli, że dokończą!.. — rzucił się już wzburzony chłopiec — a po drugie, że wyście wszyscy głupi... Rozumiecie? Głupi!..

Ojciec opanował się ostatkiem woli. Zagryzł usta, zacisnął pięści. Wpił się oczyma w oczy syna. Jak pazurami.

— No, mów dalej!..

— A mówią!.. To wyście głupi!,. Niemcy... ni... Jak długo byłech doma, wierzyłech wóm, poszołech do światu,

na oczych przewidzioł... Niemcy, to potęga!., to kultura!., a wy ze swoją Polską!.. Ha!., ha!..

— No, mów dali!.. — i wstał powoli, wspierając się pięścią o stół.

— ... powiadom... Niemcy, to cały świat im należy... to siła... a wy... jo dobrze wiem... boch wszystko widzioł... widziołech ich potęga!., wy ze swoją Polską rychli zdechniecie, niż...

— Precz!.. — ryknął ojciec strasznie i wskazał mu drzwi. — Precz!., pedóm ci... precz!..

Zerwał się syn z krzesła, za nim Margot, rzuciła się z piskiem na jego piersi, zasłoniła sobą.

Odtrącił ją Józef.

W tej chwili do izby wpadła matka.

— Jezusie święty! Stary!., co to robisz? co robisz?..

— Nie trzeba, Mutter, kiedy mnie Vater wyganio, pójdą!.. Komm, Margot!..

— Niech cię moje oczy więcej nie widzą!., ty zaprzańcu!.. ty Judoszu pieroński!.. ty! — pienił się ojciec. Załamał mu się głos, w jakiś skowyt przemienił.

— Nie szarpej się, Vater!., jo się obyda bez ciebie — rzucał syn, ubierając dziewczynę. — Jo byda u Niemców panem, a ty u swoich głupich Poloków chacharem!..

— Ty... ty... wyrodku!.. — krzyczał Wałoszek. Zamroczył go straszny gniew, jasne zrozumienie odebrał. Obok na komodzie stało zwierciadło w ciężkich ramach. Poleciały ojcowe dłonie, ujęły rozdygotane za ramy, wpiły się rozwścieklone pazury w ciężar...

Krzyknęła matka, do ojca przypadła, krzyknęła Margot, ramionami zasłoniła Jozefa.

Ojciec podniósł ciężkie zwierciadło. Uderzyć w tamtego wyrodka!.. Zmiażdżyć!.. Zdeptać podłą gadzinę!.. Zdeptać!., zdeptać!..

Podnosi zwierciadło!.. Trzaśnie niem w tamten łeb parszywy, co kąsa!., co jego sercu urąga!..

Błysnęła zimna tafla w świetle, odbiła potworny grymas Wałoszkowej twarzy. Straszny. W chybkim przelocie uchwyciły odbicie Wałoszkowe oczy. Wzięły w siebie, przeraziły serce. To nie jest ludzka twarz!.. To nie on!..

Przymknął przerażone oczy, zwiotczały ramiona, opadły. Wysunęło się zwierciadło, z rozwartych palców się wysunęło i runęło na podłogę. Rozprysło się szkło w bryzgi, rozdzwoniło z krzykiem.

Wichura gniewu przeleciała, zapadła w nieprzejrzane czeluście. Czad jeno pozostał trujący...

Cofnął się ojciec, o komodę wsparł.

Na zegarze wybiła powoli godzina ósma.

— Na szychta już trzeba śpieszyć!,. — przemknęło mu przez spłoszone myśli.

Porwał gruby surdut, zarzucił, wcisnął czapkę na głowę i ujął klamkę.

— Przenocuj ich jeszcze, staro — rzekł zduszonym głosem — a jutro... a jutro niech ich tu nie widza!..

Chciała rzucić się za nim matka, prosić, zlitowania błagać. Odtrącił ramieniem, trzasnął drzwiami za sobą i poszedł.

XIX.

Przyszła wiosna.

Brudne śniegi spłynęły bełkocącemi strużkami w doliny, ciepły wiatr od gór zlizał je do reszty, pola jęły obsychać. Niosły się ponad niemi mocne zapachy rodzącej ziemi. Dymy, idące bez przerwy wysokiemi słupami pod niebo, brały w siebie słoneczne złoto i przesiewały je po czarnej ziemi. Płonę usypiska, wądolce wypełnione plugawą wodą i rudem błotem, szkarpy przydrożne i opuszczone

miedze między zagonami rozzieleniły się nad dziwy. W suchych konarach drzew płonęły leciuchne, przejrzyste obłoczki jasnozielonych płomieni. Ptaki wracały z za gór wielkiemi gromadami. Dodom się śpieszyły, na miłosne gody. Ludzkie oczy błądziły po świecie, urzeczone, zapatrzone, zbierały urodę ziemi w źrenice, rożegały się blademi skierkami wstającej w sercu radości.

Doroczny cud czynił się na ziemi.

Gustlik, idący rankiem na szychtę, zapominał o zgryzotach codziennych i radował się wszystkim rzeczom widzianym.

Oto już mniszki grubawe roztwierają pod słońce swoje rozczochrane, żółte koszyczki, tam znowu kasztany zdobią się w grube, lśniące żywicą pęki. Oto szpaki ciurlikają w kadłubku na wysokiej żerdzi. Widać — młode już mają i teraz się pospólnie radują swojem szczęściem. Pod odrapanym murem walcowni stoi samotna jabłonka. Wśród jej listowia drobnego wyłuskują się pachnące kwiatuszki białe o różowym nalocie. Bronka się przypomina i pierwsza książka z czytelni. Na czarnych, zbrudzonych ustach ludzkich napotyka zamyślony uśmiech. Tamten strumyk drobniuchny leci po grudkach żużli i dzwoni szklanemi dzwonkami. Słońce kąpie w jasnej wodzie koniuszki swych promieni, rozgarnia je na dnie w poplątane kółeczka, a woda je roznosi, przesypuje między kamykami, w złote pętelki wiąże, w supełki zgarnia, bawi się radośnie słonecznym gościńcem.

Jeszcze większą radość spotykał po tamtej stronie kępy, kiedy z Helenką szedł na majowe nabożeństwo. Szli miedzą, cisi i zapatrzeni w leżącą przed nimi urodę. O wszystkiem, co już było, na tamtę ostatnią zgryzotę największą z wilji Bożego Narodzenia, przepomnieli dawno. Majaki jeno pozostały.

W domu błąkało się jeszcze wspomnienie owej bolesnej chwili, przychodziły myśli, mające piołun w zanadrzu, lecz stopniowo ucichały i malały.

Ojciec wyrzekł się Józefa po wszystkie czasy.

Chwila ta wydawała się Helence tak odległą, że już trudno ją wspomnieniem dobiec. Zeszarzała doimentu. Gustlik wrócił z domu akurat w dobę największego przygnębienia. W duchu pochwalał postępek wuja. Rozumiał, że onby to samo uczynił. Helence nie zwierzał się z tego. Nie chciał jej ranić. Bolała nad nieszczęściem brata, a skarżyć się także nie chciała. Toć ojciec wie, co czyni. On starszy i mądry. Widać, co czyni, to dobrze czyni. Tak się należy. Chociażby ona znowu tak nie uczyniła. O nie, nigdy!..

Matka z początku płakała w ukryciu. Gdy ojciec wrócił ze szychty, udawała, że już o wszystkiem przepomniała.

Emil najmniej się przejmował.

— Co myślisz, Emil — zapytał raz Gustlik — czy ujec przeboczy Jozefowi?..

— Bodej!.. Jozef się zaciął i nie popuści... On mo ojcowo notura. On nie popuści a tatulek też nie popuści. A tatulek mo recht!.. Jak go Niemka zbałamuciła, niech se żyje z nią!.. Dyćby to była gańba przewieczno, gdyby wrócił do Ligoty, a ze swojemi dzieckami po niemieckuby szwandrosił. Dobrze zrobił!.,

— No, dobrze, a co teraz zrobi?

— Kiery, tatulek?

— Ni, Jozef...

— Nó, dosłuży w wojsku, jeszcze mo do jesieni służyć, a potem tam zostanie między germanami. Do Ligoty nie może wracać... Chyba bez swojej Margot — dodał po namyśle.

— No, to niech ją pochynie i wróci!..

— Eh, głupi, czy to tak idzie?.. Kiedy mo już z nią nakramarzone, to teraz już tak nie idzie...

— Czemu?..

— Na, po pierwsze, bo to nie pasuje teraz dzioucha z dzieckiem odchodzić, a po drugie i takby musioł na to dziecko płacić wielkie pieniądze,..

— Na, toć pieron głupi, to go dostało!.. — zafrasował się Gustlik. — Na, czemu doł się tak skusić?..

— Szkoda, żeś jej nie widzioł. Mówią ci, szumno żeńsko. Jo się jemu nie dziwują. On już i doma, zanim jeszcze do wojska poszoł, to już za dziouchami gonił. To był z niego pieron!.. I tak go tako oszkliwo szwobula dostała! No, sóm se jest winien... Przepadło!..

— To tak z temi babami! — dodał jeszcze sentencjonalnie, pokiwał głową i poszedł.

Dawno temu już było, gdy tak rozmawiali.

Dla Gustlika wszystko to było czemś nieznanem jeszcze. I o tem dziecku, i o tamtej zwodniczej urodzie Niemki, co potrafiła takiego Jozefa skusić. Takiego Jozefa, co tak długo pod ojcowem okiem przebywał!..

— Pierońskie baby!.. — kończył rozmyślanie, starając się zapomnieć o tem.

Nie mógł.

Pamięta, że pewnego razu, kiedy jeszcze do szkoły chodził, widział na odpuście duży obraz rozwieszony między przeróżnemi świątkami. Przedstawiał śmierć grzesznika. Na barłogu konał człowiek w rozchełstanej koszuli, krzyczał coś, bo miał usta szeroko rozwarte, z oczu ślepiło mu obłąkane przerażenie, a od jego łóżka odchodził zapłakany anioł. Z drugiej strony zbliżał się w kręgu płomieni kudłaty djabeł, czarny, z rogami na głowie, z zakrę-

conym krowim ogonem, a w dłoniach trzymał portret nagiej kobiety.

— Mamulko, parcie jeny, jaki piękny obrozek... Kupcie go!., — prosił wtedy matkę, nie mogąc oderwać oczu od tamtej nagiej kobiety.

— A idź, ty brzydoku — ofukła go gniewnie matka — taki obrozek bydym ci kupowała. Na dyćby mnie Pónbóg skoroł!..

— Ale parcie, mamulko — próbował ją przekonać — dyć to jest piekne... tamta sago dzioucha!..

— To jest piekne?.. — oburzyła się matka — to mo być piękno dzioucha?.. Dyć to jest jakosi szupa, nie dzioucha!.. Ani mi nie myśl o tem, bo cie spierę, co wlezie!.. — i pociągnęła go za rękę za sobą. Zła była okrutnie.

Pozostało odtąd w jego zrozumieniu, że naga kobieta, to „szupa". Widać, tamta Margot, to też taka „szupa”, co podobnie skusiła Jozefa, jak tamten djabeł kusił umierającego biedaka jej wizerunkiem.

A jednak bywały chwile, bardzo grzeszne chwile, z których się potem z drżeniem spowiadał, że go tamta „szupa" nęciła. Teraz przywiódł wspomnienie o niej Emilów opis Jozefowej Margot.

— Kto wie, cobych jo zrobił? — i przeląkł się tej myśli, boć rychło sobie przypomniał te kary piekielne, które przepowiadał chudy wikary w szkole za takie grzeszne myśli.

W obecności Helenki owe myśli znikały.

Patrzał nieraz na nią badawczo, wodził spojrzeniem po jej lekko wznoszących się linjach piersi, a kiedy tylko spoczął wzrokiem w jej modrych oczach, radosne wzruszenie spływało w serce pachnącą, słodką strugą.

Jął sobie wytwarzać swoisty pogląd na tego rodzaju rzeczy.

— Są trzy rodzaje kobiet — myślał. — Jedne takie, jak Margot, drugie znowu, co można się z niemi żenić i mieć dzieci, a trzecie takie, co do Helenki i do Bronki podobne. Do Bronki też? Nie, to już znowu coś innego.

Nie umiał tego określić.

— A takich, co do Helenki podobne, to mało — snuł dalej w myślach. — Takie, tobych na rękach piastowoł, nigdybych nie ukrzywdził, po nogach całował i kwiaty nosił, a gdyby jeszcze spała, na odkryte piersi sypał...

Nikomu nie zwierzał się z tych cudacznych myśli, bo wiedział, żeby się z niego zaśmiewano. Chował je dla siebie. Nawet Helence ich nie zdradzał, bo kto wie? Teźby się może śmiała. Dziewczyny są zazwyczaj głupie. Helenka jest wprawdzie mądra, ale w tych sprawach, to jeszcze głupia. O, już wie!.. Danuśka z „Krzyżaków”! W Helence widzi to samo, co Zbyszek w Danuśce. Zwłaszcza w drugim tomie, tam w tem miejscu, kiedy Danuśka na jego rękach umiera...

Idąc teraz z Helenką do kościoła, myślał o tem wszystkiem.

Roześmiał się w głos z uradowania, że znalazł tak trafne porównanie.

— Z czego się śmiejesz? — zapytała zdziwiona Helenka. Podniosła oczy na niego. Ujrzał w nich pogodny błękit.

— Bo ci strasznie przaję![91]) — rzekł i spoważniał nagle.

Helenka parsknęła perlistym śmiechem i zawstydzona pobiegła miedzą.

— Dyć nie uciekej, Helenko — wołał za nią. Lecz Helenka nie słuchała.

”) przaję — lubię, sprzyjam.

— Aha, to ona chce, żeby ją chwytać! — pomyślał, bo znowu sobie przypomniał tamtę scenę z Bronką we zbożu. Pobiegł więc za nią pędem. Helenka posłyszała szelest kroków w trawie i pośpieszyła, zanosząc się ciągle śmiechem. Jej krótka sukienka szumiała. Podobna była do wielkiego motyla.

Gustlik zawziął się i postanowił ją złapać. Wytężył się jeszcze mocniej i jął sadzić wielkiemi skokami za zmykającą dziewczyną. Dopędzał ją. Jeszcze kilka kroków i dopadnie. Jeszcze... Słyszał jej roztrzęsiony śmiech... Jeszcze... już!..

Porwał w ramiona. Dyszeli obydwoje zmęczeni.

— Puść mnie — szarpnęła się lekko — bo nas kiery uwidzi!

Puścił z żalem. Poprzez cienką bluzkę wyczuwał ciepło jej ciała. Teraz pozostało jeszcze wspomnienie, jak zapach róży.

Wtem z pod nóg dał ogromnego susa przyczajony zając. W trawie siedział. Widocznie drzemał spokojnie,, czy co, a szelest ich kroków zbudził go. Smyrgnął szarem kłębkiem i pognał naprzejmo przez pola.

— Jezus! — krzyknęła przestraszona Helenka i bezwiednie przytuliła się do chłopca.

Gustlik również się przestraszył. Odruchowo przygarnął ją mocno do piersi i jakby zasłonić usiłował przed grożącem niebezpieczeństwem.

Helenka skuliła się na jego piersiach i chwilkę trwała w bezruchu. Teraz lęk jął opadać. Zawstydzona podniosła powoli głowę, przechyliła i spojrzała w jego oczy. Gustlik ciągle ją trzymał w ramionach. Chwilkę patrzała. Wtedy znienacka ucałował ją w rozchylone usta.

Wyrwała mu się z ramion i zaczęła uciekać. Dopędził ją.

— Ty, co my to zrobili? — zapytała zmieszanego chłopca, roześmiała się znowu i już się nie pozwoliła dogonić, Bieżała truchtem aż na drogę. I śmiała się bez przerwy.

Pewnego razu przyszedł do Wałoszka ksiądz proboszcz.

— Już dawno u was nie byłem — zaczął, kiedy się przywitał z Wałoszkiem, jego żoną i Ściskałą, co też był na pogawędkę przyszedł.

— No, nie byli już u nas downo, nie byli — poświadczyła Wałoszkula, ocierając krzesło dla księżoszka.

Mówili raz o tern, potem o czem innem, o wszystkiem, co wszystkich pospólnie interesować mogło. A kiedy już Ściskała poszedł, ksiądz proboszcz jął mówić o tern, co mu najbardziej na sercu leżało.

— Słyszałem, Wałoszku — zaczął powoli — żeście swojego syna z domu wypędzili. Józefa. Prawda to?..

— Prowda, księżoszku... — przytaknął nachmurzony Wałoszek.

— No dzieci, idźcie się bawić przed sień — zwrócił się proboszcz do Helenki i obydwóch chłopców.

Poszli. Wałoszkula też wyszła. Do kuchni, zdaje się. A kiedy już zostali sami, znowu zaczął:

— Powiedzcie mi, Wałoszku, jak to było...

— Tóż to było tak... Jak już wiedzą, Jozef służy przy grenadjerach w Wiirzburgu. Już trzeci rok. Oto na jesień kończą mu się roki. I dobrze. Ale tam się poznoł z jakąś Niemką, z jakąś Margot, i ta stwora wszeteczno opętała go.

— No i co dalej? — zachęcił go łagodnie proboszcz. Widział, że Wałoszek nie rad o tern opowiada. Zrozumiał, że to rana bolejąca, a teraz ją jakoby musi palcami rozrywać.

— Tóż jako powiadom. Opętała go i zbyte. Przyjechoł tu do mnie akurat we wilija z tą istną. Już przedtem napomykał nóm w listach, że mo swoja libsta, że się bydzie z nią żenił, alech jo mu odpisoł, żeby go ręka Bosko od tego broniła. Zagroziłech mu, że się go wyrzekna, jeśli to zrobi. Potem nic nie pisoł. My se tak ze starą miarkowali, że tam cosi z nią nakramarzył, i skyrs tego tak piszę. I dobrze... Przyjechoł z nią na wilija i zaroz my do rzeczy przyszli. Mnie jakby nożem w serce dziobnął, jakżech ją uwidzioł. Pytom sie go: „Bieresz se ją?" A on powiado, że se biere. I tak od słowa do słowa, aż przyszło do zwady i wygnołech go.

— Wygnaliście go?.. — powtórzył proboszcz i ciężko się zafrasował.

— Powiedzą, księżoszku, cóżech mioł zrobić?.. Powiedzą sami!.. Całe życie po to tylko użerom sie z Niemcami, wojna z nimi prowadza, żeby retować to, co nasze, a tu teraz, gdych się syna dochowoł, gdych se myśloł, że mnie wesprze, to on do nich przystąpił... Doł się skusić!.. Toć on dziecko z nią mo!.. Nieślubne dziecko!..

Proboszcz słuchał i coś myślał. Nic nie odpowiadał.

— Jo mu padom, że mu nie pozwolą się żenić, a on ni i ni!.. Padom, że dusza swojo zaprzedo, języka naszego i wiary się wyrzeknie, a on powiado, że my głupi, że to downiej wierzył w takie rzeczy, ale teraz, kiedy do światu poszedł, wie, że my są głupi...

— Tak powiadał?..

— Tak, księżoszku... Powiedzioł, że on bydzie między Niemcami panem, a jo między głupimi Polokami chacharen!... Moje dziecko tak mi powiedziało... Księżoszku!.. — i taka go nieoczekiwana żałość za serce ułapiła, taki ból zakąsał drapieżnemi zębcami we wnętrzu, że mu się aż głos załamał, a dłonie splótł kurczowo i zakrył niemi oczy.

— No, cicho, stary, cicho... — jął go uspokajać proboszcz. — Stało się. Wiem, macie zawziętość w sercu, ale...

— ...ale co?..

— Ale jako ojciec i jako Polak... no trudno... Mnie się samemu serce kraje, bo lękam się, czy w zbytniej porywczości nie ukrzywdziliście go niesłusznie... Wiecie, co?.. Ja mu napiszę list. Sprawę wikła obowiązek, jaki zaciągnął wobec tamtej Niemki. Innego wyjścia nie ma, jak się z nią ożenić. Ale gdyby zechciał do nas wrócić i gdyby przyrzekł, że dzieci będzie wychowywał w duchu katolickim... bo to z pewnością ewangeliczka?

— Nie wiem, ale tak se miarkują...

— ...no, gdyby postanowił dzieci wychowywać w duchu katolickim i polskim, to mogłoby się wszystko naprawić. Prawda?..

Wałoszek milczał.

— Wiecie, bo, że innej wiary może być, to trudno. Tylko sami rozumiecie, że u nas tak mało ewangelików-Polaków. Co ewangelik, to Niemiec. I o to się boję, żeby tamta Margot tak dalece go nie opętała, żeby się zupełnie wszystkiego wyrzekł, co z domu wyniósł. To byłoby najgorsze...

— Święto prowda, księżoszku! To byłoby najgorsze!..

— A widzicie! Jeżeli zostanie między Niemcami, to przepadnie i dla kościoła naszego i dla Polski!,. Napiszę list, spróbuję, może mi się uda namówić go, żeby się przeniósł do nas na Górny Śląsk, między swoich. Tu nie zaginie. A wy się nie frasujcie zbytnio. Zrobię wszystko, co będzie możne!..

— 0, Pónbóczek im też zapłać, księżoszku!.. Pónbóczek im też zapłać!.. — ujął starą dłoń proboszczową i ściskał uradowany. Wdzięczność wzbierała w skołatanem sercu. Święte słowa proboszczowe!.. Jakby ktoś cu-

downą maścią oparzone miejsce na ciele posmarował, że teraz w oczach goi się ciężka rana. Jakby człowiek pod ogromnym ciężarem uginał się i do ziemi chylił, a ktoś dobry przyjdzie i podeprze ciężkie brzemię, ulży w ogromnym trudzie, dodom pod ramię poprowadzi!..

— A co z bibljoteką? Korzystają ludziska? Czytają? — dopytywał się, rad, że już mógł zmienić temat.

— A czytają, księżoszku, czytają!.. — potwierdził żywo Wałoszek — Helenka i Emil pożyczają, kto jeny tylko przyjdzie. A dużo ludzi przychodzi. Trzeba bydzie niezadługo pomyśleć o nowych książkach, bo prawie wszystkie już wyczytane...

— To dobrze... to dobrze... A jakże tam ten chłopiec, co u was, jak się to nazywa?..

— Gustlik. A to po moim bracie z Karwinej. Z roboty go tam wyciepali Czesi, bo mioł jakisi zatarg z nimi. Robi przy „Frydrychu", wiedzą, przy pierwszym piecu. Za „helfra". O, to jest porządny synek...

— No, to dobrze... dobrze... A jak tam z Helenką? Wyrosła już dziewczyna na dziwy. Jeszcze rok, dwa, a będzie trzeba weselisko stroić — i roześmiał się łagodnie.

— A kajby też tam, księżoszku, kaj... Dyć to jeszcze młode. Dziepro temu szesnosty rok idzie... Jeszcze to głupie...

— A jak tam ów Gustlik w stosunku do Helenki? Bo wiecie... — nie dokończył, bo chciał, żeby się sam Wałoszek domyślił.

Wałoszek pojął, o co mu idzie.

— Ale nic, księżoszku, nic... Dyć jo też móm na wszystko oczy, a staro jej pilnuje...

— No, ja też nic nie mówię. Tylko tak myślałem. Wiecie, od tego jestem księdzem i życie znam. Też kiedyś człowiek był młody, to wie dobrze, co a jak.

Mówiąc, miał w wspominkach niedawno widzianą scenę. Przed kilku dniami. Wieczorem to było. Wyszedł był do ogrodu, by swoje kwiaty odwiedzić, nacieszyć się niemi, nasycić oczy radosną barwnością tulipanów i pogawędzić z inszemi kwiatami. Jak to miał we zwyczaju. A kiedy podniósł oczy i przez gęstwę żywopłotu zabłądził spojrzeniem w dalekie pola, wznoszące się w łagodnym obłęku na ligocką kępę, ujrzał był Helenkę i tamtego Gustlika. Biegli miedzą jeden za drugim. Potem ją ułapił, chwilkę trzymał w ramionach, a wkońcu ucałował. Roześmiał się był wtedy pobłażliwie, boć mu się przypomniały pacholęce lata. Wiedział, że to dziecinne jeszcze miłowanie, które ma w sobie urok tych oto narcyzów, co na szerokiej grzędzie podle płotu ślicznie postawały. Lecz wiedział także, że owo miłowanie zczasem przemienić się może w omroczenie, co snadno do tamtych maków porównać można, które kiedyś w upalne lato gorącą czerwienią zakwitną. Nie pachną, tylko płoną w słońcu, jak żywy ogień. Podobnie i z takiem miłowaniem. Wyzbędzie się ono serca, a jeno war krwi w niem pozostanie. A za tem wszystkiem grzech idzie. Młodzi nie uwierzą, bo nie wiedzą. Lecz on stary, ho!., ho!.. Już dużo przeżył, dużo!..

— No, już tam księżoszku byda mioł oko na nich... A jakbych co zmiarkowoł, to mu wyszukóm kwarter u Ściskały, lebo u Marka.

— Toć tak zróbcie, Wałoszku, tak — przytaknął proboszcz.

I już się zabierał do odejścia, gdy wtem przez otwarte okna wkłębił się do izby przerażony krzyk ludzki, przeciągły, skowyczący. Tuż za nim leciały zmieszane wołania Emila i Helenki, a równocześnie głuchy a gniewny warkot psa przewijał się ciemną smugą w gęstwie podniesionych głosów.

— Jezusie, Bismark kogosi chyciłL — przestraszył się Wałoszek i zerwał się, by pobiec na podwórze.

— Co za Bismark? — zdołał jeszcze zapytać zdziwiony proboszcz.

— Nasz pies. Widać, Emil go puścił, i ta marcha kogosi chycił za galaty... Przeboczą księżoszku, zaroz byda naspadek!.. — i wypadł z izby.

Krzyk nie ustawał. Przelewał się cienką, piskliwą strugą w pachnącym mroku nocy, dławił się nieartykułowanemi dźwiękami, darł ciszę na strzępy, straszny jakiś, okropny, ze skóry odzierany, gniewne warczenie psa wzmagało się coraz mocniej, a z drugiej strony podwórza leciały zdyszane nawoływania Emila i Helenki:

— Bis!.. Bis!., komm her!.. komm her, Bis!..

— Co się tu robi? — krzyknął na nich Wałoszek,

— Ale, tatulku... — jął opowiadać szybko Emil, co teraz wysunął się z poza stodołowej wnęki — to Sojka, ten renegat, szpiegowoł was pod oknem, a myśmy odpięli Bisa od budy i poszczuli na niego. I teraz go dzierży za galaty i nie chce puścić. A ten tam ryczy, jak opętany!..

— Tóź czemu nie idziecie po psa? — zapytał zagniewany.

— A bo się bojemy, że nas ugryzie... a po drugie, niech go tam trocha nastraszy, tego chachara germańskiego! — dodał już raczej do siebie, bo ojciec pognał w kierunku niemilknących skowytów.

Pobiegli za nim. Emil, Gustlik i Helenka. Emil prychał z uciechy, a Gustlik po udach prał rękoma, uradowany z niezwykłej sceny. Helenka znowu, jak zwykle, biadoliła wkółko, że tamtego biedaka Bis naprawdę pogryzie.

Wałoszek dopadł drugiego krańca podwórza. Oczyma wymacał w mroku wydzierającego się Sojkę. Trzymał się oburącz płotu, nachylony, wrzeszczący wniebo-

głosy, a pies, zapierając się nogami w ziemię, tarmosił go, szarpał zębami, darł spodnie na płaty i warczał coraz groźniej. Widać, złość go ogarniała, że tamten złodziej, czy coś podobnego, uciec usiłuje, a tu gazdy jak niema tak niema! Gdzież siedzi u djabła?.. No nareszcie!.. Zamachał ogonem zadowolony i przestał warczeć, łypiąc z boku na gazdę. Lecz spodni nie puszczał.

— Co tu robicie, Sojka? — zapytał Wałoszek. Poznał swego wroga. Myślał, że Emil nie dojrzał, że to może był któryś z górników czy hutników, co po książki przyszedł, a wartki chłopiec psa poszczuł. Ale kiedy to Sojka, to już wie, po co on tu łaził pod oknami. Widać, zauważył proboszcza idącego do niego i teraz wybrał się na przeszpiegi pod okno. Dobrze tak pieronowi!.. Oduczy go to na drugi raz!.. Niebardzo się teraz kwapił z uwolnieniem Sojki z opresji.

— Tóż mówcie, Sojka, co tu robicie? — zapytał, tłumiąc śmiech wyłuskujący się z głosu.

— Nic, Herr Wałoszek, nic, jo se tu szoł na szpacer...

— Tak, na szpacer? Po mojem podwórzu?..

— Herr Wałoszek... zawołają psa... Jezus, Maryjko, zawołają... bo mi noga pożere!..

— Nic wóm nie zrobi, nie bójcie sie!.. — przekpiwał Wałoszek. — Jeny mówcie, coście tu robili?..

— Lieber Herr Wałoszek, jo już nie byda... jo już nie by da!..

— Czego nie bydziecie?..

— ...jo już nie byda tu chodził... jeny zawołejcie psa... bo mnie ugryzie...

— Tak! Mocie nauczka, Judoszu przeklęty, że nie trzeba szpiegować pod oknami. Bis!., puść go!.. — zwrócił się do psa.

Lecz pies nie usłuchał. Rozumiał spryciarz, że nie nazywa się „Bis”, jak go czasem próbują nazywać, lecz całkiem poczciwie „Bismark”. Jak długo nie posłyszy w ludzkim głosie tamtego warkotu, przeciętego językiem, jakby nożem, nie pójdzie! Jeszcze coś!..

Połapał się w psich myślach Wałoszek.

— Bismark!.. puszczej go!.. Do nogi!.. Komm her!..

Pies usłuchnął, rozewrzył niechętnie paszczękę, puścił spodnie i jął łapą wydzierać strzępy, co się zębów uczepiły. Na to tylko czekał Sojka. Jednym rzutem przechynął przez płot, jęknął ciężko a boleśnie, bo wykopyrtnął się do pokrzyw, co się bujnie za płotem rozpleniały, zaklął szpetnie po niemiecku, zerwał się i jął śmigać naprzejmo przez pola w kierunku drogi. Zabieliły się włochate uda, przezierające haniebnie z wydartych spodni.

Bismark w pierwszej chwili zgłupiał. Ucieka!.. A ty gałganie! Rzucił się za nim, przesadził płot i pognał rozwścieklony za wymykającą się ofiarą.

— Bismark!.. Bismark!.. — posłyszał za sobą groźne wołanie gazdy.

Zatrzymał się, spojrzał z żalem za znikającym Sojką i wrócił do gazdy. Przez płot.

A kiedy Emil z Gustlikiem zaśmiewali się do rozpuku z Sojkowej przygody, a Helenka na nich gderała, Wałoszek dusił wzbierający śmiech i głaskał łaszący łeb Bismarka.

W pewnej chwili posłyszeli zdaleka kusztykające wygrażanie Sojki:

— 0, poczkej, ty pieronie, jo ci już pościelą!..

— Uciekejcie Sojka, bo Bismark leci! — wrzasnął za nim rozchichotany Emil.

Wyzywanie ucichło. Widać, uwierzył i teraz znowu zmyka dodom na złamanie karku.

— Cóż to się tam dzieje? — zawołał teraz proboszcz.

Obejrzyli się wszyscy. Stał w otwartem oknie, zapatrzony w mroki.

— Nic, księżoszku, nic! — odpowiedział Wałoszek — złodziejachmy przegnali!

Zawrócili teraz do izby. Emil z Gustlikiem nie mogli potłumić śmiechu. Raz wraz wybuchali nowym chichotem, a co który ustał, rozniecali go na nowo.

— A słyszołeś, jak kwiczoł? Jak zarzynane ciele!..

— A jakie mu chwanty z galot wisiały?..

— A jak mu się tyłek bielił?.. Jak sarniokowi!,.

— A jak zmiatoł ku chałupie?..

— Cha, cha, cha!.. Cha, cha, cha!..

— A cicho już, chłapcy! — zgromił ich Wałoszek.

— Ja, śmieją się z cudzego nieszczęścio, jak zbójniki jakie!.. — oburzała się Helenka.

Odpowiedział jej znowu zduszony już śmiech rozbawionych chłopców.

Przyszli do izby. Wałoszek wprowadził łaszącego się psa, trzymając go mocno za obrożę.

— Szykowny pieseczek! — klepał go dłonią napłask po pysku. Pies rozumiał pieszczotę. Rozwierał paszczękę i chwytał delikatnie gazdową dłoń w oślinione zęby. Ale, żeby też nie ugryźć!.. To też jeno leciuchno zwierał szczęki, a gdy pod zębami wyczuł uginające się ciało, puszczał.

— Cóż to tam było? — pytał proboszcz, patrząc ciekawie na wszystkich. Nic złego, kiedy się tak tamte drapichrusty śmieją, a Wałoszek pieści Bismarka. No, to chwała Bogu!.. Bo człowiek myślał sobie, że Bóg wie, co się stało!..

— Ale nic, księżoszku, nic — zaczął wyjaśniać Wałoszek. — Oto ten renegat Sojka widzioł, że tu, księżosz-

ku, idą do mnie i zakrod się teraz oto przed chwilą pod okno, żeby nas szpiegować... 0 czem se też rozprowiomy!.. A Emil go uwidzioł i odwiązoł Bisa od budy i poszczuł na niego...

— No, mój Boże, a jakby go tak był pogryzł?.. — polękał się księżoszek,

— Ale ni!., to jest mądro bestja, ten mój Bismark... On jeny chyci za galaty lebo za kabot i nie puści...

— No to dobrze... — uspokoił się starowina. — To mówicie, Wałoszku, że pod oknami podsłuchiwał?

— Tóż jako prawiem... Toć pod oknami. Emil go tam widzioł.

— Toć! — potwierdził skwapliwie Emil, rad, że urasta na bohatera. — Siedzymy se z Helenką i z Gustlikiem za stodołą, a naroz słyszymy, cosi szuści. Bis nie szczekoł, bo był przy budzie z drugiej strony stodoły. Dziwomy się, co to może być, a tu jakisi chłop zakrodo się na palcach pod okno. Nie wiedzielimy, kiery to. Ale jak już był pod oknem, to stanął na palce i dziwoł się do izby. Wtedy my go poznali, bo z izby szło na niego światło. Wtedy jo skoczył ku budzie, odwiązoł Bisa i poszczuł za Sojką...

— Na, jakżesz można było coś podobnego czynić?.. — dziwił się proboszcz. Wyczuli w jego słowach lekką naganę.

— Cóżmy mieli robić? — uniewinniał się chłopiec. — Czyśmy się mieli dziwać spokojnie, jak was w izbie podsłuchuje?.. Żeby was potem znowu podoł landratowi?..

— Przecież nic takiego nie mówiliśmy, coby się godziło na doniesienie landratowi.

— No, dobrze. Ale czy my wiedzieli? My se myśleli, że se księżoszek chcą z ojcem cosi o polityce pomówić, kiedy nas do pola posłali. Prowda, Gustlik?..

— Toć! — przytaknął tamten.

— No, idźcie już do matki — polecił ojciec — idźcie już spać!

Ucałowali pokolei zmarszczoną dłoń proboszczową, powiedzieli „Dobranoc!" i poszli.

— Widzicie, Wałoszku — zaczął teraz księżoszek — jeżeli Sojka słyszał, jak wołaliście na psa „Bismark”, to znowu może wam narobić nieprzyjemności...

— A niechtam — warknął Wałoszek, ściągnąwszy znowu brwi w bruzdy. — Czy mi to pierwszyzna, że mi germany na pięty nalazują?..

— A jak tam z nimi?

— Z germanami?.. Ha, jak zwykle!.. Chledają ciągle przyczyny, żeby człowieka zdusić. Prawie co tydzień przychodzi tu żandarm i śledzi, zacoby do sztrafu zapisać!.,

— A Gustlik jest meldowany u Amtsvorstehera?

— Jest.

— To dobrze!.. A jak tam w hucie?

— A, jak było, tak jest!.. Ale co prawiem? Gorzej jest! Zarobki obcinają... oto nóm zaś zerwali od tony... Człowiek i tak mało zarobi, a tu co miesiąc mniejszo wypłata... A sztrafy sie sypią za byle co... Ten gizd, Sojka, to najgorszy lizoń!.. Jego kiesi zabiją!..

— Jezus, Maryjo! — żachnął się proboszcz — cóż wy mówicie?..

— A tak... Bo ludzie nasi są cierpliwi... bardzo są cierpliwi... Ale jak się kiesi miarka przebierze!.. Już i tak coraz częściej o strejku przebąkują...

— O strejku?..

— Toć!.. Dyć już nie Iza wydzierżeć!,. Jeny że nimo kiery zacząć!.. Każdy się boi. Ale kiesi do tego przydziel.

— No, a gdyby tak zajść do Langhorsta i poprosić...

— Hale!.. — przerwał mu gwałtownie Wałoszek — rychliby się ten kamień na cieście zlitowoł, jak tamten Langhorst... Bylichmy!.. Wiedzą, księżoszku, co nóm powiedzioł? Powiedzioł: „Arbeiten und Maul halten!"[92]) — to wszystko!.. Ja, żeby człowiek wstąpił do Kriegerverajnu, toby zarobił. Tych porę Judoszów, co się dało Sojce i Willichowi namówić, i są w Kriegerverajnie albo w Turnverajnie, to zarobią... Nóm, to koże pysk dzierżeć i za żebraczy pieniądz harować!.. Myśmy u niego są jeny „polnische Schweine" i „polnisches Gesindel!"... Pieron jasny!..

Proboszcz położył dłoń swoją na Wałoszkowem ramieniu.

— Nie klnijcie, Wałoszku... To obraza Boża... Rozumiem waszą krzywdę, rozumiem dobrze. I wasz gniew usprawiedliwiony... Wiem, tamci nienawiść w was sieją i ta nienawiść teraz przez was przemawia... Jest to straszne, ale prawdziwe... Próżno mi tu mówić o Chrystusowem przykazaniu, co nieprzyjaciołom przebaczać każę... co miłością odpłacać każę... próżno mi tutaj o tern mówić... Krzywdzą nas wszystkich, wszystkich... Wszyscyśmy ludźmi ułomnymi, a więc i tamto piekielne uczucie ma do nas dostęp... Lecz niechaj to jest gniew szlachetny. Szukajcie raczej pomocy u Boga, niż w zaślepionym gniewie. Bronić się musimy, tak musimy!.. Lecz niech ten gniew będzie sprawiedliwy. Nie mówię o nienawiści, bo wierzcie mi, ona rozum człowiekowi odbiera. Toć i Pan Jezus uniósł się gniewem, kiedy kupczących żydów ze świątyni jerozolimskiej wypędzał. Bo przybytek Boży bezcześcili. Tamci również bezczeszczą przybytek Boży, jakim powinno być serce człowieka. Jak powiedziałem, nienawiść

[82]) Pracować i milczeć!

weń sieją... I pamiętajcie! Przyjdzie kara Boża za to wszystko, o przyjdzie!.. Wierzcie moim słowom. Ja stary, może już tego nie dożyję. Może i wy, Wałoszku, lecz wasze dzieci...

— Jozef! — rzucił szyderczo Wałoszek.

— I o nim jeszcze nie mówcie, że stracony. Ja i w to wierzę, że chociażby w godzinie śmierci, a gotów przejrzeć... To wam powiadam!

Wałoszek milczał. Dobrze mówić księżoszkowi, dobrze, kiedy on tylko widzi to, co my przeżywamy. Stary już, łagodny... A tu trzeba pięści, choćby nawet i noża, i pchnąć w gardło tę bestję, co nas dławi bezwolnych!.. Gdyby księżoszek miał się smażyć przez dwanaście godzin w żarze, gdyby jego dziecko mu tamci zabrali, czyby też tak samo mówił?.. Bodej!.. Za psi grosz zdrowiem płacić, zdychać powoli w trujących dymach, płuca wypalać żarem, ślepnąć, a na dobitek duszę dziecka na większe pohańbienie człowieka zaprzepaszczać!.. Zacisnął pięści.

Nie słuchał już proboszcza.

Proboszcz przejrzał jego myśli. Zrozumiał, że niebacznie znowu tamtę piekącą ranę uraził. Próżno więc teraz o tem mówić. Innym razem.

Czuł się bezsilny i to go bolało. Wszyscy tacy byli. Ich serca były, jak ziemia spalona, w którą próżno zboże siać. Tamci zamienili ich serca w spaloną ziemię. Tylko tamci!..

Wstał znużony, bo mu teraz jakoby lat przybyło. Uśmiech łagodny miał na ustach, lecz w sercu piołun. Albowiem żal wielki ogarniał go, widząc, że nie zdoła swoich ludzi nauczyć zdolności przebaczania wrogom. Ha, trudno!.. Ludzie to wszyscy, a ludzie są ułomni. A Pan Bóg poskąpił mu tego daru, by z owych serc zapiekłych, nienawiścią Niemców strutych, Mojżeszów cud uczynić. Żeby,

jak ongiś Mojżesz, co z opoki wodę wymodlił, i onby mógł z tamtych serc kamieniejących miłość wydobyć. Lecz przynajmniej jedno. Nie na nich, na tych uciemiężonych spadnie kara Boża, lecz na tych, co to serce nienawiścią sycą. Na Niemców!..

Wstał więc znużony.

— Pójdę już do domu, Wałoszku...

— Odkludza ich, księżoszku — powiedział Wałoszek. Wyprowadził psa na podwórze, uwiązał u budy, potem wziął czapkę i laskę, a że noc była widna, bo właśnie był księżyc z poza ligockiej kępy zeszedł, nie brał latami.

I poszli we dwójkę, w milczeniu, skróś oroszonych łąk i pól, niańczący każdy swoje myśli zbolałe.

Błękitne cienie plątały się im u nóg, zapachy błądziły w zamyśleniu po ziemi, a z boku, w szerokiej dolinie gorzały ogromne łuny, krzyczały maszyny i wlokły się opęczniałe dymy pod niebo.

XX.

Heima Kowollowa, jak ją nazywano, córka kierownika ligockiego, przyjechała na wakacje do domu. Ojciec się cieszył, gdyż jedynaczką była i dobre świadectwo przywiozła z sobą z pensjonatu wrocławskiego. Aż tam był ją umieścił, u jakichś Sióstr Sercanek, Uczynił to w nadziei, że w ten sposób dziecku zapewni przyszłość, że kiedyś łatwiej będzie jej wyjść zamąż, za jakiegoś urzędnika z kopalni czy huty, a w najgorszym wypadku — za nauczyciela. Nauczy się przeróżnych rzeczy z zakresu gospodarstwa domowego, nabierze pewnego poloru wielkopańskiego, gdyż tam przecież córki z lepszych domów

się kształcą, nauczy się po francusku i trochę muzyki; wszystko to się dziewczynie przyda do dalszego żywobycia.

Siedział teraz pan kierownik szkoły ligockiej, Erich Kowoll, siedział w fotelu i patrzał na swoją Helmę, co pod oknem nad fortepianem nachyliła się i drobnemi paluszkami błądziła po białych klawiszach.

— Wiesz co, Heima?.. — zagadał ją po niemiecku — zagraj mi, kochane dziecko, coś ze Schuberta łub innego... Może Mozarta...

W domu, jak i poza domem pan kierownik Kowoll używał tylko niemieckiego języka. Jeżeli czasem przyjechała do niego z pod Piekar stara matka, nie umiejąca tamtej pańskiej mowy, czynił odstępstwo i rozmawiał z nią w gwarze śląskiej. Pocieszał się jednak tem, i rozgrzeszał równocześnie, że to nie polska mowa, lecz „wasserpolakisch", żargon niemiecko-polski. Świadczyły przecież o tem dobitnie niezliczone wyrazy niemieckie, posiadające jedynie końcówki polskie. W seminarjum jeszcze będąc, nasłuchał się dosyta wykładów profesora języka niemieckiego, który tłumaczył swoim wychowankom, że język, używany przez ludność wiejską na Górnym Śląsku, to pomost, łączący dwa światy: germański Zachód ze słowiańskim Wschodem. Coś podobnego. Dobrze już teraz sobie nie przypomina, jak to poprawdzie mówił. W każdym razie święcie był przekonany, że to nie język polski.

I mimo tego krzywił się, gdy mu wypadało matkę u siebie gościć. Ubrana z chłopska, niewiele mu mogła przynosić zaszczytu między ludźmi, zwłaszcza u takiego Langhorsta. Wierzył, że zbytnie przekazywanie się z nią na drodze łacno mogłoby go ośmieszyć. To też tak zawsze czynił, żeby matczyne odwiedziny zdarzały się jak najrzadziej, a jeżeli już przyszła, by trwały jak najkróciej. Na dworzec nigdy jej nie odprowadzał. Zawsze, jak na złość,

wypadło panu kierownikowi jakieś ważne posiedzenie u „Amtsvorstehera”. To też, żegnając się z nią, wołał pasterkę Jewkę i polecał, by zaniosła jej pakunki na stację. Matka odczuła to sercem, że się jej syn wstydzi, i dlatego nie kwapiła się zbytnio do ponownych odwiedzin. Przez kilka dni jakiś drobny zadzior nosiła w sobie, który kłuł i kłuł bez przerwy, czasem tak mocno, że się aż jej stare oczy mgiełką przesnuwały, lecz potem rychło zrozumiała, że inaczej być nie może.

— Poręczono Panu Bogu!-.. — mawiała i już wszystko było dobrze.

Pani Kowollowa, matka Hełmy, częściej posługiwała się mową polską. Przecież do pasterki musiała tym językiem przemawiać, i z kobietami, co masło i jajka przynosiły, także trzeba było po polsku mówić, kiedyż inaczejby się nie zrozumiały, a z Helmą również chętniej gawędziła w owym języku. Łatwiej jej to przychodziło, boć przecież w domu, gdy jeszcze dzieckiem była, nie znano języka niemieckiego. Nauczyła się go dopiero przy mężu. W szkole coś nie coś, ale naprawdę — to przy mężu. Przestroiła się, boć nie wypadało, by żona nauczyciela nosiła się po chłopsku. Każdy to przecież zrozumie. A wraz z miejskim strojem przyjęła jego nieodłączną część — niemiecką mowę, Tę drugą zostawiła na codzień dla pasterki, dla kobiet wiejskich, a czasem dla dziecka.

Jakoś serdeczniej można było po polsku wypowiedzieć to, co matczyne serce czuło. Czyniła to jednak ukradkiem, by „stary", jak zwykła męża nazywać, nie posłyszał tego. Wnetby stąd powstało piekło w domu. Zresztą sama uważała, że źle czyni, ale to już taka nawyczka nieszczęsna. Nie można się jej było wyzbyć.

Heima, przebywając ustawicznie w towarzystwie dziewczyn ligockich, i czytając ukradkiem Helenczyne

książki, również chętniej posługiwała się językiem polskim, aniżeli niemieckim. I to właśnie było największem zmartwieniem ojca. Bo gdyby się tak władze dowiedziały, że u niego dzieje się coś podobnego, miałby stąd nieprzyjemności, a nawet łatwo straciłby tak bardzo potrzebną „Ostmarkenzulage", gdyż pensja miesięczna nie była zbyt hojna. A po drugie — uważał, że słusznie czyni, jeżeli raz na zawsze wyrzeknie się tego wszystkiego, co w sumie jedynie wstyd i pogardę ze strony Niemców przynosi. Tem bardziej, że on sam czuł się Niemcem. Gryzło go mocno jego nazwisko. Zbyt ordynarnie brzmiało. Lecz dodana druga spółgłoska „1" trochę zacierała jego barbarzyńskie pochodzenie. Gdyby miał chłopca, zmieniłby je dla niego na inne, dźwięczne, wypolerowane. Toć to łatwo można było przeprowadzić, Ale że tylko dziewczyną Pan. Bóg go obdarzył — nie warto. I tak wyjdzie zamąż, za człowieka o nazwisku zachodniem.

Siedział teraz w fotelu na wzorzystej poduszce, pykał długą fajkę, ręce wsparł na poręczach i patrzał z rozrzewnieniem w swoją jedynaczkę. Śliczna dziewczyna. Po matce odziedziczyła białe, wypukłe czoło i bogate jasne włosy. Po,.nim siwe oczy, prosty nos i te pełne usta.

Głaskał ją spojrzeniem, dotykał pieszczotliwie po twarzy, po dłoniach, co wypieszczone kładły się lekko na klawisze, sycił swoje serce jej widokiem, roztkliwiał się własnem szczęściem.

W pokoju było przytulnie. „Heimlich", jak sam mawiał. Na ścianach pyszniły się wspaniałe oleodruki w ciężkich złoconych ramach; portjery wzorzyste o czerwonem tle we drzwiach, koło okien żółtawe, gęste firanki, za oknami ciżba kwiatów przeróżnych zamorskiego pochodzenia, wytworne meble o czarnym, gładkim połysku, dywany na podłodze, prześliczne cacka i świecidełka z por-

celany, gipsu na bronz zabarwionego, ze szkła i drzewa, ustawione w szeregach na każdem wolnem miejscu, garnuszki i kubki, przyciskacze i bibularze z napisami ,,Zum Andenken" — i tutaj następowała nazwa, która była muzyką dla ucha, a we wspomnieniach przywodziła obrazy, co karmiły człowieka dumą, iż się można zaliczyć do narodu, posiadającego takie miasta — wszystko to czyniło wnętrze izby zacisznem sanktuarjum, gdzie swobodnie człowiek może po pracy odetchnąć i o swej własnej wartości codzień się przekonywać,

Heima grała. Powoli, z namaszczeniem, jak się należało.

Z pod drobnych palców wypływała senna kołysanka Schuberta, koiła ojcową głowę, uciszała wszystkie myśli, co znużone po całodziennej pracy spoczynku jeszcze nie znalazły.

Przymknął oczy. Daleko, w głębi okiennych ram niosły się pod czerwieniące niebo tumany dymów. Słońce już zachodziło. Po izbie błąkały się między słodkiemi akordami muzyki szare pogłosy ludzkiej pracy, chodziły po palcach, nieśmiałe, zalęknione jakieś. Jakby gromada odartych, zabrudzonych dzieci, gdyby je w królewski pałac wprowadzić. A niech sobie tam chodzą!.. Byleby nic nie ruszały, lub broń Boże, czego nie ukradły... Pójdą potem dodom i powiedzą wszystkim, jakie cuda widziały. A niech ludziska wiedzą i zazdroszczą!.. Dobrze to człowiekowi usiąść w wygodnym fotelu na miękkich poduszkach i radować się zasłużonym odpoczynkiem.

Kiedy Heima skończyła, popatrzyła na ojca i uśmiechnęła się. Biedaczysko usnął. Fajka wysunęła się z palców na dywan, głowa przechyliła na piersi, żółte wąsiska opadły. Niech śpi!,.

Wyszła cichaczem z pokoju, przebiegła przez następny i wypadła na dwór. Do Helenki pobiegnie. Toć jej jeszcze tamtej książki o królach polskich nie oddała. Schowała ją kiedyś w altanie pod dachem i dotychczas nie wydobyła. Nie było sposobności, bo gdyby ojciec spostrzegł, coś strasznego!.. Przeraziła się.

Pobiegła do altanki. Przystawiła krzesło i wsunęła ramię w wiadomą skrytkę. Jest!.. Wyciągnęła, otarła dłonią z pajęczyny, obejrzała, czy też nie zniszczona. Nie!.. No, to dobrze! A teraz do Helenki!..

W płocie była jeszcze ta sama sztacheta, co się dawała odsunąć. Należało ją tylko lekko unieść, cofnąć w bok i przejście gotowe. Nic się nie zmieniło od roku. Przecisnęła się wąskim otworem i pognała naprzejmo w kierunku ligockiej hałdy. Tuż obok niej Helenka mieszka. Mój Boże, też to się ucieszy, ucieszy!..

Kiedy wpadła do izby, Helenka właśnie mięsiła na chleb w dużej dzieży. Nachylona nisko, z zakasanemi rękawami, rumiana, gniotła z wysiłkiem gęste ciasto, grzebała palcami, zagłębiała ramiona po łokcie, wydobywała, zapatrzona w swoją pracę.

— Serwus, Helenka!.. — krzyknęła Heima od progu.

— Jej, Heima!.. — zawołała rozradowana dziewczyna i chciała pobiec, lecz ciasto uwięziło jej ręce. Heima przybiegła, ujęła ją za szyję i zaczęła całować. Toć już tak dawno się nie widziały. Ostatni raz wtenczas, kiedy Helenka odchodziła do domu poprawczego. Już temu tak dawno!..

Radosny śmiech i rozmowy dziewczyn zwabiły do izby Emila i Gustlika.

— Na, toć nóm kocur zdechnie!.. — uradował się Emil, ujrzawszy Helmę.

Heima się zapłoniła. Dwóch chłopców na nią patrzy!.. A tego drugiego nie zna!..

— Cóż się tak dziwosz? Czy mnie nie możesz poznać? — zapytał Emil, rad dziewczęcemu zakłopotaniu. Przypuszczał, że po części była to prawda. Toć zmężniał, rozrósł się w barach, głos posiadał już brzmienie męskie, a nad górną wargą wysypywał się ciemny meszek.

— Aha, to ty jeszcze nie wiesz! — domyślił się teraz — widzisz, Heima, ten oto, to Gustlik. To jest syn mojego ujca z Karwinej, co tam na dole zostoł... Teraz tu u nas w hucie robi... No, przywitejcie się!.. — i popchnął Gustlika ku dziewczynie.

Powitali się. Heima czegoś się znowu zarumieniła i chybko oszacowała jego urodę. Synek, no... obleci!.. Ale Emil szykowniejszy!..

Helenka rychło uwinęła się z ciastem, nakryła dzieżę fartuchem, przysunęła do pieca, żeby składniej rosło, potem obmyła ręce, a tymczasem chłopcy zabawiali miłego gościa.

— No, pódźmy do izby — poprosiła z godnością prawdziwej gospodyni — bo przeca nie bydymy w kucheni siedzieli.

Poszli. Emil chciał pierwszy przejść przez drzwi, lecz Gustlik, świadomy już obowiązującej grzeczności wobec dziewczyn, przytrzymał go za surdut.

— Poczkej, Heima przody musi iść!

Heima się uśmiechnęła przyjaźnie. A Gustlik spojrzał z wyższością na Emila.

W izbie roztapiały się już resztki dziennego światła. Usiedli na krzesłach i jęli teraz naprzedbieżki opowiadać Heimie o wszystkiem, co się w Ligocie zdarzyło. A więc o Helenczynych przeżyciach w Opolu, gdzie ją głodzono i często do ciemnej komórki zamykano, gdy się nie chcia-

ła po niemiecku modlić, o tern, jak to Gustlika namówiła, żeby na Górny Śląsk pojechał pracy szukać, a potem już szeroko jęto się rozwodzić o „Bismarku”, który tyle kłopotów im zgotował.

Wszyscy zanosili się śmiechem, gdy Emil zaczął opisywać przerażenie Sojki, kiedy go „Bismark” za spodnie trzymał. Opowiadanie ilustrował tak komicznemi ruchami, że nawet i Helenka nie mogła się wstrzymać od śmiechu. Sama już teraz żywiła do tamtego renegata coś, co graniczyło z nienawiścią. Toć on doniósł Langhorstowi o tem, że ich czarny, poczciwy pies nazywa się „Bismarkiem”. A Langhorst nie omieszkał tego wykorzystać. Ojciec rnusiał zapłacić sto marek kary. Prawie dwa miesiące musi na tyle pieniędzy pracować w hucie.

Heima, słysząc to wszystko, kręciła głową.

— Widzicie — mówiła — to głupota z waszej strony nazywać psa Bismarkiem. A jakby tak kiery z Niemców ochrzcił swojego psa „Kościuszką"?... Jej, Helenko!., książkę zapomniałam! — zawołała, bo sobie teraz przypomniała, że jej przyniosła „Historję Polski”, którą była gdzieś w kuchni zostawiła. Wybiegła.

— Hale, głupio — żachnął się Emil — co inszego nazywać psa „Bismarkiem”, a co inszego „Kościuszką!”... Po pierwsze, bo psu godzi się takie miano, bo Bismarck był też takim wściekłym psem na nas, a po drugie, dyć pies, to jest niemiecki zwierzok, bo jeny trzeba do niego po niemiecku wołać,., No ni?., Prowda, Gustlik?..

— Mosz recht! — przyświadczył chłopiec.

— A jakby tak kiery Niemiec nazwoł psa „Kościuszką”, to tamtego Niemca wyrżną, pierona, w zęby i tela bydzie mioł. A jak ni, to mu psa otruja!..

— Eh, idź, idź... — obruszyła się Helenka — czy pies temu co winien...

— Jest!., jest!.. — wpadła do izby uradowana Helma, podając Helence książkę. Położyło to kres zanoszącej się sprzeczce.

— To dobrze, żeś ją przyniosła — rzekła Helenka — jo już myślała, że przepadła. A byłoby mi jej luto...

— Już downo przeczytałach ją... Piękno książka... Miałach strach, że mi ją kiery ukrod z pod dachu, lebo mi tam zamoknie i zgnije. Ale dzisio ją wyjmują i książka dobro. Nie mogłach jej rychli oddać, bo ciebie nie było, a rokżech była precz. Dyć wiesz!

I byliby jeszcze nie wiedzieć jak długo gawędzili, bo nikt im nie przeszkadzał, gdyż ojciec poszedł był do Marka a matka podlewała w ogrodzie, gdy wtem dosłyszeli dalekie granie fletu. Zerwali się wszyscy.

— Cóż tak was porwało? — zadziwiła się Heima.

— Ja, baić, ty jeszcze nie wiesz!.. To tu u naszego księżoszka jest jeden student. Z Krakowa przyjechoł na wakacyje. Siedzi se u proboszcza i uczy nas śpiewu. A jak się mómy zebrać na śpiew, to jeny wychodzi na ligocko kępa z fletem i zaczyno grać, a to my wszyscy wiemy, że nas woło. Pódź też z nami!.. Pódź, Helmeczko!..

— Nie mogą, dzioucho, bo Vaterby się strasznie gniewoł...

Wyszli wszyscy przed sień, Emil pobiegł za matką do ogrodu, powiedział, że idą na śpiew, matka przyzwoliła, i poszli. Na rozstaju pożegnali się z Helmą.

— Wiesz, Helenko, przydź kiedy do mnie. Byda cię uczyła na fortepianie grać! — prosiła jeszcze Heima.

— Jej kandy, naprowdy?.. A nie bydzie pón kierownik nic mioł przeciw temu? Nie bydzie?

— Ale ni!.. On nawet bydzie rod, bo bydzie myśloł, że chcesz być germanką!.,

— A tyś nie jest?..

Helma prychnęła śmiechem.

— Ale idź, idź... Kajbych też tam była germanką!.. Vater chce, ale jo nie byda!.. Jo byda tak na poły. Pół germanki a pół Polki. To bydzie najlepszy. No, ni?..

— Nic z tego — zawyrokował Emil twardo — albo germanka, albo Polka!..

— Hale, co ty rozumisz! — zaprotestowała dziewczyna. — Myślisz, że to tak idzie, hę?.. Kiedy jo musza w domu jeny po niemiecku szwandrosić, bo tak Vater chce. Wiesz?.. No, pa! Helenko! — ucałowała ją, podała dłoń chłopcom, dygnęła, jak ją to nauczono we Wrocławiu, i pobieźała ku domowi.

Chwilkę patrzyli wszyscy za nią. Jej różowa sukienka bieliła się w gęstniejącym zmierzchu. Przez długą chwilę. Potem jej postać rozpłynęła się, zatarła zstępującą szarością lipcowej nocy.

— Szykowno dzioucha! — zauważył po chwili Gustlik, kiedy już Heima zniknęła.

— A to się wie, że szykowno — potwierdził Emil — jeny jo jej nie wierzą... Dzisio prawi, że jest napoły Polką, a napoły germanką, ale za jakisi czas to bydzie z niej farońsko germanka na durch!.. Uwidzicie!

Nikt mu się nie sprzeciwiał, bo wabił ich flet z mroku. Helenka, przepadająca za muzyką, nawet nie słuchała brata. Biegła przodem, a za nią Emil głośno wyrzekający, że pędzi, jakby ją bąk ukąsił.

— Dyć się tak nie śpiechej, loboga świętego, bo jeszcze kaj głowa przypadniesz! — upominał ją troskliwie.

Lecz dziewczyna nie słuchała. Muzyka była dla niej teraz wszystkiem. I to tak już od dawna. Bywało, że Karlik Szerokiego, co to teraz w kopalni pracował, przychodził nieraz do Wałoszka z innymi górnikami, siadał z nią i Emilem pod stodołą i grał jej na harmonice. Wtedy

z Helenką działy się dziwy. O calutkim bożym świecie zapominała, i słuchałaby i słuchała, choćby nie wiem, jak długo. Ale bo też to był majster ten Karlik, był!.. Jak on to ślicznie grywał! Harmonikę wodził w zaciśniętych ustach, językiem kunsztownie basował, uderzając jego koniuszkiem w otworki, a barwne akordy, splątające się w niewyszukaną melodję, kłębiły się pod małem sklepieńkiem, uczynionem ze złożonych dłoni, wypływały brzękliwą, pełną strugą i prościuteńko do serca się wlewały, czyniąc z niem przedziwne rzeczy. Czasem wydawałoby się, że z serca staje się dzwonek srebrzysty, który podzwania miękko, jakby ktoś różowym paluszkiem uderzał o jego ściankę, innym znów razem — jakby to kielich był, a w kielichu pełno rzetelnego miodu a tak słodkiego, że się tę słodycz prawie że w ustach wyczuwało, a jeszcze kiedy indziej — jakby się w drobny pęk konwalij zamieniło, na których migotliwe paciorki rosy chybocą, a słońce drobi w nich maluchne skrawki tęczy. Takie cuda umiała czynić Karlikowa muzyka z Helenczynem sercem. Tegoby nikt nie był ani pomyślał...

Dzisiaj już tam będzie czekał Karlik, bo on pierwszy do takich rzeczy. I znów będzie to samo, co zawsze. Kiedy pan Szymański nagra się dosyta i udożera z młodymi śpiewakami, że aż zachrypnie, to znowu będzie Karlik głaskał pana Szymańskiego po ramieniu i przymilał się, i dogadywał na różny sposób, żeby mu tylko pozwolił na flecie zagrać.

— Jeny se roz fukna do niego... jo nie napluja, ni... nie boją się! — zapewniał gorąco. A kiedy się wkońcu dorwał do czarnej piszczałki, brał ją z nabożeństwem w chropowate dłonie, przytykał do stulonych ust i dmuchał, naciskając paluchami maluchne klawisze. Chłopcy zatykali uszy, dziewczyny zaśmiewały się, ale Karlik nie

zważał na nich, tylko grał. A kiedy wracał do domu, każdego zapewniał, że gdy tylko więcej zarobi, kupi sobie taki sam instrument, a potem będzie wszystkich w Ligocie polskich pieśniczek uczył.

— To się, farońskie germany, w pięta ugryzą — mawiał — jak im zagrom „Jeszcze Polska nie zginęła!"... Pod oknami samego dyrektora Langhorsta zagrom fajnie, że tamtego pierona djabli wezną!.. A pod Sojkowem oknem też. Ta bestja, to się wścieknie!.. A pod Kowollowem oknem też. Niech puknie ze złości!.. Poczkejcie, chłapcy! Jo już to fajnie zmajstrują, jak jeny więcej zarobia pieniędzy!..

— A ty, Helenko, tobie byda na wiesielu grać, wiesz? — mawiał, gdy ją dojrzał w ciżbie rozchichotanych dziewczyn, — „Kontesce" naszej, to najpiękniejszy zagrom!.. Bo to jest fajno dzioucha! Ona ze mną strejkowała we szkole, wiecie, chłapcy? Kiedyśmy to nie chcieli, jo i ona, germańskiego „Vaterunser" rzekać, ani na religji po niemiecku mówić!., Pamiętocie, chłapcy?,.

— No, toć pamiętomy! — zapewniali go towarzysze.

— No, tóż!.. A wy cybuchy, toście się boli szmajstra farońskiego!..

Chłopcy nic nie odpowiadali, bo ich wstyd kąsał za tamtę chwilę, kiedy stchórzyli przed gniewem pana kierownika. A Karlik ciągle to wypominał. Widać, nie mógł im tego zapomnieć.

Na kępie zastali już sporo dziewczyn i chłopców. Z boku siedziało kilku starszych górników i hutników. Na pogawędkę wyszli, bo czas był cichy i ciepły. A przy tej okazji i dziecisk dopilnują, by jakiego grzechu nie wywiodły. Chłopcy mogą się łacno pobić, lebo któremuś z Niemców jaką paskudę uczynić, a księżoszekby się gniewali.

Pod topolą siedział pan Szymański. Młody jeszcze, z dużą czupryną, o głębokich, ciemnych a mądrych oczach. Koło niego wieniec przykucniętych dziewczyn i chłopców. Pogadywał wesoło z zebranymi, przekomarzał się z dziewczynami, które wstydziły się ogromnie i zakrywały oczy dłońmi, zerkając jeno ukradkiem na jego urodziwą twarz i ciemne oczy. Podobał się wszystkim. Z odległych hut i kopalni dochodziły rozpylone blaski licznych świateł aż pod topolę, napełniały pachnący zmierzch wspomnieniem słonecznego zachodu i dopalały się resztkami na twarzach młodej gromadki. Ponad głowami, w ciemnym mroku, wysoko, szumiały bez przerwy topolowe liście, chociaż naokoło cisza była wielka. Wydawaćby się mogło, że to noc szumi tak jednostajnie. W głębi doliny gorzały ogromne, szeroko rozlane łuny, chybocące nad nieprzebranem mrowiem elektrycznych świateł, a nad topolą znów gmerały się w czerni nieba rozsypane garście świetlistych kamuszków gwieździstych.

Pan Szymański chwilkę jeszcze zaczekał, aż się wszystko zebierze, boć co raz któryś się tam z mroków doliny wyłaniał, potem upewnił się, czy chłopcy, przeznaczeni do dzisiejszego stróżowania, poszli na swoje miejsca, skądby łatwo mogli dojrzeć zakradającego się złego człowieka i donośnym świstem całą gromadkę przepłoszyć, poczem jął się nauki.

Najpierw przegrał melodję na flecie, następnie śpiewał sam, a młodzież próbowała, a następnie już, za trzecim razem, polecał wszystkim śpiewać, a sam wtórował na flecie.

Przebierano w ten sposób pieśń za pieśnią.

I wtedy wychodzili ludzie z obu stron kępy, przed domy wychodzili i słuchali uradowani, jak ze szczytu li-

gockiej kępy, z głębi mroków, schodzi do nich dalekie echo polskiej pieśni.

XXI.

Ściskała pracował w pokładzie „Edmunda”.

Z podszybia trzeba było wędrować długo, rozwlekłym przekopem, minąć kilkoro drzwi, co wiatry zawracały w napotkane pokłady, minąć kilka zwrotnic, rozszczepiających główny tor na drobne bocznice, wpełzające w czeluście przewozowych chodników, zawrócić wkońcu w diagonalę, biegnącą szerokim łukiem z przekopu do „Edmunda”, i teraz błąkać się, zawracać i kołować w plątaninie chodników i ganków, zanim dochodziło się do przzodka, do wybieranych filarów.

Pokład był gruby na dziewięć metrów. Pracowano w nim od niepamiętnych czasów. Kiedy Ściskała po raz pierwszy do kopalni zjechał, a był wtedy piętnastoletnim chłopcem, to już z „Edmunda” wybierano węgiel.

Z przekopu wchodziło się weń z obu stron przestronnemi, mocno podbudowanemi chodnikami. Daleko już gdzieś, w głębi pokładu, jęły się rozbiegać na ganki i chodniki dojazdowe, jedne staczały się do upadu pochylniami, inne wznosiły się w górę, mnożyły się, rozpętlały, coraz dalsze i coraz zuchwalsze, przecinały się nawzajem, supłały, błąkały wzdłuż i wszerz przecinkami, aż do kresu swego, do kruchej, łamliwej ściany uskoku, czy do granic starych wyrobisk, gdzie już tylko zawaliska straszyły, lub gdzie za zwartą ścianą oporową calizny węglowej wezbrana woda wyzwolenia czekała.

Pokład w tej okolicy czynił wrażenie ogromnego pola, które pokratkowano prostemi krzyżującemi się bruzdami. Potworzono równoboczne działki, objęte ze

wszystkich stron gankami. Każda działka stanowiła filar. Wybierano je pokolei od uskoku począwszy, posuwano się powoli w kierunku przekopu, zostawiając za sobą zawaliska, pełne podrzązganego drzewa, potwornych brył kamienia, oberwanych ze stropu, duszące, ciepłe powietrze i zgrozę czającej się śmierci.

Wejścia do nich zagradzano krzyżami, zbitemi z obłamków desek, i rozstawionemi wpoprzek chodnika. Znak to był dla wszystkich, że poza krzyżem śmierć czeka. Nikt tam nie wchodził. Sączył się stamtąd słodkawy zapach zbutwiałego drzewa i ciężki odór siarkowodoru. Górnicy bowiem, zamiast udawać się z potrzebą do odległych kubłów, wkradali się chyłkiem poza próg opuszczonych wyrobisk i ukradkiem ją załatwiali tak, by dozorca nie dojrzał. Kara za to groziła. Dla pewności przykręcali wtedy światło.

W każdym filarze pracowało dwóch kopaczy oraz kilku chłopców i wozaczy. Kopacze łupali caliznę szramówkami, podcinali od spongu, zbijali klinami, a gdzie ściana dzwoniła, gdzie nie można jej było ukruszyć godziwie, imali się świdrów. Leżały gromadą złożone pod ścianą, długie, ciężkie, o spłaszczonych ostrych końcach. Kopacz ujmował okrągłą sztabę żelazną, wykrzesał dziobcem mały otwór, by tylko jako zachwycić, rozkroczył się, popluł w dłoń i jął bić małym, obłym młotem w jej spłaszczoną głowicę. A za każdem uderzeniem przekręcał ją w dłoni naokoło jej osi.

W innych pokładach, niższych, wybieranych ścianami, używano pneumatycznych świdrów w kształcie ciężkiego, grubego rewolweru. Była to nowość, z Anglji importowana, która niechętnie przyjmowała się wśród górników. Wprawdzie praca szła piorunem, w mig był otwór wybity, lecz ryk wyzwalającego się powietrza z wylotu

maszyny i szczęk żelaza był tak przejmujący, że jedynie na migi można się było w czasie pracy porozumiewać. Poza tern rozprężające się powietrze wybijało takie gęste tumany pyłu węglowego, że człowiek odtąd stale pluł czarną śliną. Światła przyćmiewały się w jego ciężkich kłębach, pryskały drobniuchnemi skierkami, kopciły czadem, skąpiące jasności dla wytężonych oczu. Oprócz tego każdy górnik, pracujący przez dłuższy czas pneumatycznym świdrem, odbijał mięśnie dłoni. Musiał go trzymać w dłoniach; lewą obejmował lufę, w której rzucał się zwarjowany tłok z nasadzonym świdrem, prawą naciskał uszak u jego podstawy. Ponieważ maszyna wtenczas potrafiła się skutecznie wgryzać w caliznę, jeżeli ją naciskała mocno dłoń, a równocześnie, że za każdym rzutem tłoka „kopała”, podrywana gwałtownemi a szybkiemi odskokami, mięśnie prawej dłoni ulegały wkrótce bolesnemu zapuchnięciu, odbijały się od kości i na środku otwierała się ropiąca rana, która wymagała dłuższego leczenia. Po wyzdrowieniu górnik taki już nie mógł pracować przy świdrze.

— Pierońskie flotmanki! — poklinali górnicy, nazywający je z angielska — piere to, jak opętane, narobi gruchu, dziury w okamigu odwali, a człowiek i tak psińco zarobi, bo panowie zeżerą zapłatę na każdym wózku!..

W filarach nie korzystano z nich. Praca w grubych pokładach wymagała względnej ciszy. Wiszący nad głowami strop wspierał się nietyle na smukłych stropnicach, ile na własnem . spojeniu. Jeżeli popuścił, podpory nie wstrzymały jego potwornego ciężaru. Skręcały się, załamywały, rozszczepiały na wióry, a równocześnie skruszony strop zapadał z krzykiem i łomotem w wybraną przestrzeń, krótkim, rozdzierającym rykiem wypychał gwałtownie powietrze, które wywalało się rozpętanym wi-

chrem w chodniki, łamało stemple, drząsgało drzwi, gasiło światła, a ludźmi rzucało pod ściany.

A kiedy górnicy wrócili do filaru, zastawali już tylko olbrzymie usypisko sinych kamieni, sięgające wysoko, wysoko w jądro rozdartego stropu. Miejscami tylko sterczały z rumowiska zmiażdżone stemple i stropnice, zgryzione na drzazgi, zżute i postrzępione.

Ponieważ jednak zawalenie się filaru poprzedzało jękliwe tąpanie w stropie, podobne do krótkich, urywanych strzałów, na głowy jęła się posypywać skruszona powłoka calizny, a równocześnie stemple i stropnice zaczynały stękać ludzkim głosem, ludzie musieli baczyć na te ostrzegawcze pogłosy, któreby ryczące „flotmanki" stłumiły i zmiętosiły. Ogłuszony górnik nie słyszałby nic, prócz swej maszyny, nie widziałby rozbiegających się szczelin w piętrze, oślepiony buchającym pyłem, i ginąłby miażdżony spadającym obwałem. .

A tak, ledwie rozleciało się pierwsze złowieszcze tąpnięcie ponad głowami, porywali lampy i chronili się w bezpieczne chodniki. Niedługo zazwyczaj czekali. Bo nieraz tuż za piętami prawie goniła ich śmierć, za progiem filaru ogłuszał ich przeciągły łomot i ryk, a wypychane powietrze zwalało ich z nóg, pod ściany miotało, lampy zdmuchiwało.

Zdarzało się czasem, że gwałtowne tąpanie ucichało powoli, stropnice powyginały się tylko, poskręcały, rozszczepiły, lecz strop się nie zapadł. Najwyżej rozpękł się w poplątane szpary, zaparł się kantami obluźnionych bloków w głębi piętra i utworzył jakoby sklepienie. Lecz ustawiczne posypywanie kamyków świadczyło, że wiszący ciężar chwieje się, obniża nieznacznie, obluźnia stopniowo i kruszy spojenia. Było to podobne do człowieka, który skonać nie może. I nadchodziła rychło chwila, że

ostatnie jakieś ogniwo pękało i wtenczas burza piekielna rozwichrzyła się w przeklętym filarze.

Ściskała pracował od kilku lat w tamtych filarach.

Przeznaczono do nich najbardziej doświadczonych górników. Toć przecież na nich ciężyła odpowiedzialność za życie towarzyszy. Przez długoletnie zżycie się z obecnością śmierci, co zdradliwie na żywot ludzki czyhała, poznał wszystkie te ścieżki, któremi zwykła chadzać, przejrzał jej chytre a złośliwe zamiary, umiał zgóry przewidzieć jej ciosy, po najmniejszych znakach i szelestach poznawał, kiedy i którędy się zakrada. To wszystko, coby u młodszego górnika uszło uwagi, drobne posypnięcie kamienia ze stropu, swoiste tąpnięcie w piętrze, leciuchny szelest osuwającej się ławy węglowej i ściszone, trudno uchwytne pukanie w stropnicach, cały ów tajemniczy świat posępnych głosów rnusiał podchwycić, zrozumieć i ocenić, jak daleko jeszcze im do chwili, w której uciec będzie potrzeba.

Przez długie lata co dnia lub co nocy wgryzał się ręcznemi świdrami w czarne jądro, zmieniał je, tłukł spokojnie w ich czapy, wymierzał spojrzeniem miejsca, w któreby należało bić nowe otwory, a kiedy uporał się z wierceniem, spoczywał, dopóki chłopcy nie uprzątną zwałów węgla, co jeszcze od ostatniego odstrzału zostały.

Potem przynosił z chodnika naboje, szare tulejki z dynamitem, i wsuwał je do otworów. Wepchnął palcem i drewnianym „lajsztokiem" wsuwał w głębinę. Tak długo, aż wypełniły oznaczoną miarę otworów. Ostatnie tulejki zatykał zapalnikiem ze zwisającym lontem. Resztę otworu ubijał mchem lub gliną.

Chłopcy tymczasem usuwali drabiny, wynosili łopaty i kilofy, kryli się w przyległym chodniku za węgłem. Ściskała upewniał się, czy wszystko w porządku, prze-

biegał oczyma zwisające lonty, a teraz jął szybko przytykać do nich płomyk karbidowej lampki. Zajęły się, rozbłysły drobnemi wiechciami rudego ognia, rozpełgały się ogniki wzdłuż ściany, jęły czołgać z szelestem po lontach, pryskały rozpylonemi iskierkami, podnosiły coraz wyżej i coraz bliżej otworu. Potem wbiegały chyłkiem w czerniejące szczeliny, wypełniały ich wnętrza ciemnym blaskiem, wędrowały coraz głębiej...

Ściskała z chwilą zajęcia się lontów uchodził szybko za swymi ludźmi. Teraz przyczajeni czekali. Sekundy zawsze się wydawały wtedy godzinami. Cisza dzwoniła w uszach, oddechy ludzkie szemrały, a nieznane szepty błąkały się w ścianach i w głębi stropu.

Aż nadchodziło upragnione wyzwolenie. Jakby ciężar wielki zsunął się z wypiętych barków. Tępy, stłumiony huk rozpruwał zasłuchaną ciszę. Po nim następował drugi, trzeci... Jakby ktoś ogromną dłonią, w sklepienie wygiętą, o grubą darń uderzał! Zachybotały się płomyki w lampach, przez uszy przewinął się ostry drut, posypał się zmełłty żwir na schylone głowy.

Do ludzi wywalił się słodkawy, gęsty, siny dym i zaczynał się przewlekać w górę chodników, rozciągał się w płachty, rzedniał po drodze, daleko jeszcze krztusił ludzkie płuca, błądził po opuszczonych wyrobiskach i zatracał w dusznem powietrzu.

Górnicy wracali po odstrzałach do przzodka. Pod stropem ważyły się zazwyczaj szmaty sinego swędu. Nachylali się, wyciągali ramiona z lampami i patrzyli łakomie, ile też węgla odłupało się od calizny.

A potem, gdy jedni ładowali wózki urobiskiem, drudzy budowali. Wspinali się po drabinach, zahaczali nogą o szczeble, przechylali wtył i mordowali się z ciężkiemi stemplami, pod strop wznosili, perlikami podbijali.

Filary pochłaniały całe lasy. Smukłe, wiotkie, żywicą pachnące pnie sosen wypełniały przestrzeń alejami. Syciły zwiędłe powietrze zapachem lasu młodego i wspomnieniem słońca. Stanowiły radość dla oczu, bo ich wilgotna biel jarzyła się w mrokach ułudą światła bożego. A równocześnie smętek spływał z nich w serca ludzkie, bo były jakoby garść kwiatów, które ktoś w ciemny grób porzucił i odszedł.

Żalił się człowiek nad zatratą tyle drzewa. To też, gdzie się dało, „rabował" je.

Od kilku miesięcy inżynier przeznaczył Ściskałę do „rabunku”. Nie zawsze się bowiem filar zawalił. Wybrany do reszty, wsparty krańcami na pozostawionych ścianach węglowych, na „nogach", czekał swego kresu. Wtedy przychodzili górnicy i wydzierali z pod stropu podpory.

Żmudna i niebezpieczna była to praca.

Zaczynano ją od głębi filaru. Ściskała podkopywał spong i wybijał stempel kilku uderzeniami perlika. Śmigły pień walił się, jak w lesie. Wtedy wywlekał go z radością na chodnik. Następnie chwytał się drugiego i trzeciego, aż wszystkie spoczęły pod ścianą. Pomagał mu w tem silny Kuczera.

Strop pozbawiony ostatniego podparcia, trzeszczał groźnie, pękał, sypał kamykami na plecy i głowy, a Ściskała z Kuczerą czaili się, umykali przezornie, ślepili czujnie pod wierzch, słuchali złowieszczych głosów, przewalających się w ciemnej głębi nad nimi, wyczekiwali w bezpiecznym ganku, znowu wracali, ukradkiem, jakby na palcach, podobni do upartego zwierza, który się na łup uwziął i odejść nie chce.

Wiedzieli, że wyzywają śmierć. Toć koło nich się ocierała, jej oddechem zdawali się oddychać. Człowiek

się czaił, śmierć się czaiła. Kto kogo przechytrzy?.. Kto kogo ubiegnie?.. Chodziło o to, by jej ostatni skok umieć przedbiec, uchylić się naczas, odskoczyć w schronisko i prychnąć drwiącym śmiechem z jej bezsilności.

Ściskała w pracy tej roznamiętniał się. Niebezpieczeństwo nęciło go. Radował się zwycięstwem człowieka mocnego, który z wielkopańską pogardą wyzywa wroga, drażni, bawi się jego gniewem, a potem triumfuje.

Kiedy strop zaczął się zarywać, kiedy z jego głębi jęły się zwalać ogromne złomy kamienia, a reszta stempli pękała i wykręcała się, wypychając z siebie pomierzwione strzępy słojów, Ściskała nie ustępował. Żeby przynajmniej jeszcze raz perlikiem prasnąć o upatrzony pień, jeszcze raz podbiec pod tamten nawisły blok olbrzymi, co się już chyli i za drobny ułomek sekundy runie z wyciem na spong, uprzedzić go i porwać pozostawiony kilof czy łopatę, potem odskoczyć w ukrycie i wyczuwać tę dziką, opętańczą radość, że potrafił śmierć okpić,

W takiej chwili stawał się dziwnym człowiekiem Niktby go nie był poznał. Oczy mu gorzały, mięśnie bezwiednie prężyły jakby do ostatecznego skoku, pięści zwierały w twarde młoty, a serce, to jego głupiutkie, miękkie serce — jak je nazywał Marek — dygotało z tajemnej radości, jak napięta cięciwa stalowa, kiedy ją palcem szarpnąć.

A kiedy w ostatniem okamgnieniu przypadał do chroniącej ściany i oczy sycił zachłannie widokiem skołtunionej burzy we filarze, szeptał przez zaciśnięte zęby:

— Ale widzisz, pieronie!.. Jednakżeś mnie nie dostoł!..

I chichotał zduszonym śmiechem.

Dozorca Szymiczek przychodził z początkiem szychty i mawiał stale, z nawyku:

— A dejcie se pozór, chłopi!.. Żeby kierego nie przywaliło!..

— No, no!.. Już tam sie nie boją, panie sztygar — uspokajał go Ściskała lub Kuczera — już tam sie nie boją!.. Jo tam naisto nie polezą, kajby mnie zabiło!..

Mijały w ten sposób szychta za szychtą. W jednym tygodniu pracowali na dzień, w drugim na noc.

Od tygodnia czynili spustoszenie w zachodniem polu. Stało tam kilka wybranych filarów, ziejących pustką i smętkiem opuszczonego cmentarzyska. Strop trzymał się mocno. Zawalenie jego musiano przyśpieszyć, bo gdyby nastąpiło znienacka, wyparte powietrze mogłoby zniszczyć odbudowę chodników, wydusić drzwi jedne i drugie, i ludzi poranić, gdyby się znajdowali w pobliżu. A przedewszystkiem niespodziewany a nagły obwał na przestrzeni kilku filarów mógłby dotrzeć do przodków, w których się obecnie pracuje, i ludzi przywalić.

Dzisiaj mieli ostatni filar wyrabować. Trzy stemple jeszcze stały tuż u wyjścia w chodnik, a strop ciągle trzymał. Trochę tam ze szychty posypało, trochę potąpało, powała się zarysowała groźnie, lecz teraz wszystko się uspokoiło.

— Cóż u djabła? Bydzie walić, czy nie bydzie? — dziwował się Kuczera.

— Hm, nie chce! Bydymy musieli jeszcze ten jeden stempel podebrać — rzekł Ściskała i wskazał na ogięty pień, najdalej wysunięty w głąb przodku. — Może wtedy puści!..

— Tóż chytejmy się, kamrat, bo dzisio muszymy skończyć!,.

Zaczęli na zmianę podbierać spong z pod niego. Jeden kuł dziobcem kilofa w kamień, kruszył go, wygrzebywał dłonią, podbierał podstawę stempla, a drugi świe-

cił i śledził czujnie za najmniejszym szelestem. Kiedy się jeden zmęczył, imał się kilofa drugi,

Podgrzebanie stempla nie wymagało zbytniego wysiłku. Męczyła tylko niepewność, czy na ogięte plecy nie runie w jakiejś chwili obłam stropu. Skruszony, wydęty miejscami spong ustępował łatwo pod uderzeniami kilofa, wykruszał się, szczelina pod stemplem sięgała coraz głębiej.

Ściskała rąbał, Kuczera stał opodal i czuwał.

— No już może bydzie mioł dość! — zauważył.

W stropie przeleciało lekkie klaśnięcie. Cofnęli się obydwaj, popatrzyli w górę. Cisza.

— Eh, to nic! — mruknął Ściskała, schylił się i wsunął palce w szparę pod stempel. Chciał zbadać, czy sięga już poza połowę jego podstawy, W tej samej chwili rozleciał głuchy huk ponad głowami, w głębi obsunął się potworny blok i legł ciężko. Równocześnie podbierany stempel strzelił przeciągle, rozszczepił się, część podstawy wyłamała się klinowatym oszczapem i resztą podstawy siadł w podebraną szczelinę.

Uwięziło palce Ściskałowej ręki, przygniotło do spongu, rozmiażdżyło. Zabarwił się miał koło dłoni krwawą posoką!

Jezus!.. Marja!..

Szarpie Ściskała dłoń, wydostać nie może!..

Huk w piętrze powtórzył się!..

Drugi!..

Od przeciwległej ściany wali się strop, rechocze łamanemi krawędziami twardy piaskowiec, wzbija czarną chmurę pyłu, zbliża się do stempla!..

Jezus! Maryjo!..

Szarpie Ściskała przychwycone palce, wydziera, zapiera nogami...

Kuczera pomaga. Za ramiona uchwycił i drze ku sobie. Nie Iza!.. Ściskała skomli, słania się. Strop kruszy się w bryły, coraz bliżej, opada z jękiem, coraz bliżej, coraz bliżej!..

Śmierć stanęła przed oczyma, straszna śmierć!

Jezusie święty!..

Ostatnia myśl! Skoczył Kuczera w chodnik, porwał siekierę z pod ściany, skoczył do Ściskały, podniósł, wymierzył w chybkim rzucie źrenic koło stempla i ciął! Błysnęło ostrze, spadło, odrąbało palce!..

Porwał Ściskałę za ramiona, szarpnął i wywlókł w chodnik. Już bezpieczni! W tej samej chwili przewalił się gwałtowny skowyt spadającego stropu. Pęd powietrza zatoczył ich pod ścianę, ciemność zawarła się koło ócz. Zakrztusili się pyłem. Serce dygoce, dygoce. Za nimi zdycha ostatni łoskot obwału, przechodzi w szelest, milknie. Dzwoni w uszach przerażona cisza, przelewa się szelest stłamszonych oddechów.

Co się to stało? co?..

Przytomnieją serca ludzkie, zbiegają się wylęknione myśli.

— Żyjesz, kamrat? — pyta Kuczera, szukając w ciemnościach Ściskały.

— Też się tak głupio pytosz! — odpowiedział Ściskała z pod ściany — toć żyją, jeny mi się w głowie kręci!..

— Ale, pierona, tośmy mieli szczęści!..

— Święto Barbórka nas uratowała!..

— A czy ty wiesz, żech ci palce odciął?..

— Palce?..

— Nó, pomacej!.. Inszego wygibu nie było. Szasnąłech siekierą po palcach i zbyte. Dyćby cie było zakutało doimentu, gdybych tak nie zrobił...

— Nale, Jezusku, mogą rzec!.. — zaskomlił Ściskała, który teraz dopiero zauważył brak palców u lewej dłoni. — Różnij lampa!..

Kuczera poszukał zapałek w kieszeni, potarł o spodnie, zapalił. Rozstąpiły się mroki, zmieszały z żółtem światłem. Poszukał oczyma Ściskałę i ujrzał, że ten trzyma dłoń przed sobą i patrzy osłupiały w cieknącą krew.

— Pónbóczek ci też zapłać, kamrat — wymamlał Ściskała — Pónbóczek zapłać!..

— Dyć nima za co, ni!.. Ale jednak mieliśmy pierońskie szczęści!

— Mieli — przyświadczył jeszcze Ściskała i zemdlał.

XXII.

Nadeszła nowa zima.

Gustlik już od jesieni mieszkał u Ściskały. Nie spostrzegł, że Wałoszek, namawiający go do zmiany mieszkania, miał na celu oprócz przyniesienia towarzyszowi pewnej drobnej pomocy także i to przedewszystkiem, by uchronić Helenkę przed zbyt bliskiem towarzystwem chłopca. Ksiądz proboszcz mimochodem zwrócił mu uwagę na możliwość niepożądanych następstw, jakieby zczasem mogły wyniknąć, gdyby Gustlik okazywał wobec dziewczyny żywsze uczucie. Odtąd zwracał na nich baczną uwagę. Wprawdzie nic złego nie mógł się dopatrzeć, lecz widział, że chłopiec ulega jej czarowi. A jeżeli tak, to już lepiej zawczasu zapobiec złemu, co się łacno z tego wszystkiego wylęc może.

Dziewczyna dorastała. Uświadamiała sobie — wiedział o tem — uświadamiała sobie coraz wyraźniej, że staje się kobietą. Płoniła się w obecności Gustlika, unikała

jego towarzystwa, a równocześnie gorzała tajemną, wstydzącą się radością, kiedy chłopiec patrzał w nią urzeczony,

Gustlik znowu, przechodzący ten sam okres, a przebywający stale w otoczeniu ludzi, których teoretyczne wywody o życiu miłosnem nie uwzględniały w dostatecznej mierze towarzyszących mu uczuć, które raczej odnosiły się do fizjologji miłości, mógłby się snadno zapomnieć.

Tak rozumował Wałoszek. Toć on sam był kiedyś w Gustlikowym wieku, to dobrze wie.

Zręcznie, aby nie urazić honornego chłopca, przekonał go, że uczyni bardzo dobrze, jeżeli sprowadzi się do Ściskały.

— Podziwej się, synku — mówił — Ściskała liźe się terazykej skyrs tych odrąbanych palców, siedzi na „krankszychtach”, niewiele dostanie zapomogi, bieda u niego coraz większo, a tak, to mu możemy pomóc.

Gustlik uznawał słuszność wujowych wywodów. Kiwał głową i słuchał.

— Widzisz — ciągnął dalej Wałoszek — a jak bydziesz u niego na kwarterze, to mu też kierysi czeski z tego kapnie i pomoże se chłop w biedzie.

— Toć, wy mocie recht! — przyświadczał chłopiec.

— No widzisz!.. A tu u mnie też nima wiela tego miejsca, bo staro musi spać z Helenką w jednej izbie, ty zaś musisz się ściskać z Emilem w mojej izbie, na ławie, ani się dobrze nie wyśpisz, ani nic...

Gustlik chciał oponować, bo nigdy jeszcze nie zauważył, żeby się był niewygodnie wyspał. Toć przecież, jak legł spracowany z wieczora, to jednym tchem przespał noc całą, a rano, gdy go ciotka spędzała z ławy, zwlekał z wstawaniem i dopraszał się chociażby minutki jeszcze, chociażby jednego zamknięcia oczu. A poza tern żal mu zabyło, iż będzie teraz zdała od Helenki. Toć

przeciec' obecność *jej* była mu taką ogromną radością. Ale jednak, co do owego Ściskały, któremu pomóc należy w biedzie, to wuj ma słuszność.

I przeniósł się do niego.

Ściskała czuł wdzięczność w sercu dla Wałoszka za to, iż tak sprawą pokierował. Bo naprawdę tych kilka marek, które teraz uzyska od chłopca za mieszkanie i opiekę, i ugotowanie strawy, to będzie dużą pomocą.

Od miesiąca już nie pracował, a Bóg wie, jak długo jeszcze będzie rnusiał się leczyć. Odcięte palce z trudem się goiły. Lekarz „knapszaftowy" coś przebąkiwał o zanieczyszczeniu ran. Ściskała się na tem wiele nie rozumiał. Wiedział, że kiedyś się zagoją, ale kiedy, to już trudno dociec. A tu jeszcze przyplątała się troska, czy będzie zdolny do pracy w kopalni. Wprawdzie palce były odcięte tylko po członki, lecz zawszeć to przeszkodą. Ani siekiery porządnie teraz ująć, ani kilofa, ani nic. Bogu dzięki, że to przynajmniej u lewej dłoni!

Ściskałowa, chuda i sucha kobiecina, martwiła się głośno po całych dniach i żaliła przed sąsiadkami i narzekała bez przerwy. Tak długo, dopóki nie przyszedł Gustlik. Teraz, to przynajmniej synek jakoś pocieszy i na rozum wytłumaczy i z głowy zmartwienie wybije.

— Nic nie prowcie, Ściskałko — mówił — raczej Bogu podziękujcie, że się tylko tak stało. A jakby tak nie napadło Kuczerze, by palce uciąć? To co? Chłopabyście nie mieli i tela!

— Na, toć prowda padosz, synku, prowda! — wzdychała i dalej się martwiła. Lecz czyniła już to raczej z przyzwyczajenia, pragnąc politowania sąsiadek, W rzeczywistości Gustlikowe rozumowanie i tłumaczenie odnosiło skutek. Chłopiec posiadał dziwną zdolność przekonywania. Czasem jakieś jedno słowo czy zdanie uwięzło w jej

myślach. W wolnych chwilach rozpamiętywała je, a wtedy cudowała się, że to wszystko, co Gustlik powiada, jakoś tak zręcznie trafia do przekonania.

— A dyć rychtyk — myślała — że tak jest. Bo przeca snanno mogło mi chłopa zabić i wszystko, a tak, to jeny palce pozbył, i to jeszcze nie wszystkie!.. Chwała też Panu Bogu najmilejszemu!..

A gdy wkońcu i proboszcz przyszedł i po swojemu pocieszył, troski jej zbiedniały i jakoby tylko pod płotem wystawały, nie śmiejąc do izby włazić.

Poza tem obecność chłopca wpływała kojąco na obydwóch; na Ściskałę i jego żonę. Żywy, młody, często potrafiący się szczerze roześmiać, zdawał się promieniować w koło siebie urok młodego życia. Nie zdawali sobie z tego sprawy, wyczuwali tylko, że im dobrze, kiedy wieczorem, po szychcie, zasiędzie z nimi za stołem i opowiada, chociażby byle co. Sami nie mieli dzieci. Jedyny synek utopił im się w Koprzywce. Nieduża to rzeka, w bród ją można było przejść, miejscami tylko zgłębiały się pod ciemną wodą zdradliwe plosa, w których, jak twierdziła Ściskałowa, utopiec siedzi. Nieraz o nim opowiadała.

Siedzi taka mała pokraka w wodzie, w najgłębszem plosie, na samućkiem dnie i nic. Człowiekby myślał, że woda bezpieczna, że mu nic w niej nie grozi, a nie spostrzeże się biedaczysko, kiedy znienacka z ciemnej, kołującej toni wychyli się pomarszczona, drobna gęba utopca, zabulgoce, prychnie zjadliwym śmiechem i znowu go niema!..

Najczęściej wychodzi z wody na brzeg w południowej godzinie, kiedy słonko najwyżej po niebie wędruje. Wydrapie się po urwistym brzegu na trawę, otrząśnie, mały, do niedorostka podobny, w czerwonej czapeczce na szpiczastej głowie, wytrze kalne oczy łapkami z błonia-

stemi paluchami, potem ułamie dwa pręty z wikliny, zanurzy w głęboczynę i grzebie w niej tak długo, aż uchwyci swoje pierzyny. Wywleka je z wody na brzeg, rozciąga w słońcu i suszy. To przewróci, to łapką poklepie, to koziołka fiknie, żywy, zwinny, jak wiewiórka. A gdy pierwszą godzinę kościelny zegar odbije, to porywa pierzyny na plecy i buch do wody! Zakłębi się głębina, rozpryśnie kolistemi bryzgami, pomierzwi w syczące grzywska, ukąsi kawał gliniastego brzegu, i długo jeszcze pluska i szemrze, i gmera drobnemi falami wzdłuż brzegowego usypiska. Na powierzchni przewalają się jakieś obłe, z ciemnej głębi wynurzające się skręty, raz wraz wysypie się na nią ode dna różaniec srebrzystych banieczek, zabulgoce coś niesamowicie i znowu cisza.

W takiem plosie utonął mały Franciszek. Już temu sporo lat. Gdyby żył biedaczyna, byłby dziś niewiele młodszy od Gustlika. Mój Boże, mój Boże!..

Poszedł się kąpać z chłopcami akurat w południe, trafił na ploso i zanim koledzy się spostrzegli, już go utopiec za nogę w głęboczynę ściągnął. Zaplątał mu głowę w podwodne korzenie i zdusił. Tak to na tym świecie, tak!.. A może mu tam lepiej na drugim świecie, chroboczkowi roztomiłemu, bo kto wie, coby go tu na ziemi czekało. Bieda tylko przenaramno, dożera, poniewierka, i Bóg wie, co jeszcze!.. Poręczono już tam Panu Bogu!..

Pokochali teraz oboje Gustlika, bo matka chętnie poddawała się świadomemu złudzeniu, że to ich Franciszek. Ściskała zaś usiłował dopatrywać się we wszystkiem, co Gustlik czynił, synkowego podobieństwa.

— Tak samo powiedziałby Franciszek!., Tak samo zrobiłby Franciszek!.. Podobnie śmiałby się jego synek, wszystko byłoby to samo!..

Ponieważ mieszkanie Ściskały znajdowało się w kolon ji, z której wiódł spory kęs drogi do Wałoszka, Gustlik rzadko kiedy zachodził teraz do wuja. Ze szychty wracał zmęczony i mimo pragnienia, by Helenkę zobaczyć, chętniej siadał za stół i czytał książkę. Czasem odwiedzał go także Karlik Szerokiego. Rychło się skamracili i polubili. W pierwszej chwili wyczuł do niego niechęć, bo Karlik zawsze tylko rozmawiał albo o swojej harmonice, albo o Helence. Podejrzywał, że kocha się w niej, i po raz pierwszy w życiu wyczuł w sercu zazdrość. Później się jednak przekonał, że Karlikowe miłowanie — to nic groźnego. Mówił o niej, jak o swoim kamracie, któremu można nieba przychylić, gdy w potrzebie, i nabić, kiedy zasłuży. Stale ją nazywał „konteską”. Inaczej nie mówił, jak tylko „nasza konteską” i „nasza konteską”. Szczycił się jej urodą, podkreślając, że w żadnej sąsiedniej wsi niema takiej ładnej dziewuchy, chełpił się jej odwagą, jaką okazała w czasie zamierzonego strajku szkolnego, a zawsze dodawał, że honor ten spada na całą Ligotę, czego chłopcy z sąsiednich wsi szczerze zazdroszczą.

Na odpuście kupił sobie nową harmonikę i teraz, kiedy tylko chwilkę wolną znalazł, uczył się na niej coraz piękniejszych piosenek. Mawiał, że to dla „ich konteski" tak się uczy. Często przynosił harmonikę do Gustlika i kiedy na dworze śnieżyca prała lub zimny deszcz strzygł po szybach okiennych, a wiatr wył w kominie, siadał na małym stołku przy piecu i grał. Gustlik znowu ze Ściskałami- słuchał. A umiał grać niezgorzej. Językiem basował na osobnych dziurkach w harmonice, ustami dmuchał znowu do innych otworków, a tak zręcznie potrafił wygiętą dłonią koło ust majstrować, że głos harmoniki raz cieniał, raz grubiał, iż się wszyscy w głos dziwowali.

-- Wiesz, Gustlik — mawiał Karlik — bo teraz Helenka skamraciła się z Kowollową cerą i chodzi do niej i uczy się grać na klajwierze!.. Ja, synku! to ci jest nie tako muzyka, jak moja!.. To ci tak pieknie gro, że niema ani opowiedzi. A już pieknie gro, beskurcyja!

— A kierownik pozwoli? Dyć to taki pierzyński german! — pytał się Gustlik,

— Ale pozwolił! Dyć on, borok, myśli, że Helenka stanie się germanką. A Helenka, ho! ho!,,, ona nie jest tako głupio, jak głupi Kowoll jest mądry!.. Ona mu rychli Heima Polką zrobi, jak sama się germanką stanie... A grać się przytem nauczy fajnie!..

— A co Heima? Już nie pojechała do Wrocławia?

— Mosz rozum, synku! Już dzioucha się wyuczyła i teraz siedzi doma.

Gustlik dotychczas nie interesował się Helmą. Wiedział, że była gdzieś tam w świecie w jakimś niemieckim pensjonacie, lecz czy jeszcze tam przebywa, czy też co niedzielę do domu przyjeżdża, nie troszczył się wcale. Widywał ją z Helenką, jak szły do kościoła. I to było powodem, że wyczuwał do niej niechęć, ponieważ nie mógł swobodnie porozmawiać z Helenką. Jedynie ręki sobie podali, kilka słów zamienili i to wszystko.

Karlik przeciwnie miał więcej szczęścia. A to tylko z powodu swojej harmoniki. Ledwie ją zobaczył, zaraz się do niej przyplichcił i dogadywał, i przekomarzał raz z Helenką, drugi raz z towarzyszącą Helmą. I chociaż mróz był, że aż w palce szczypało, wydobywał z kieszeni harmonikę i grał im po drodze.

Do wuja rzadko kiedy zaglądał. Czasem tylko, gdy go Ściskała namówił. Wprawdzie radość mu sprawiał gwar licznych głosów, cieszył się pospólną radością zebranych robotników, co się na pogawędkę zeszli, i martwił się ich

troskami, lecz zawsze czuł się tutaj samotny. Wuj, zajęty zebranymi, ledwie że coś małowiela z nim przemówił, Helenka siedziała w kuchni lub u Hełmy, a Emil, wmieszany między starszych, słuchał pilnie, co inni mówią, a czasem to nawet jakąś uwagę dorzucał.

A tamci mówili o wszystkiem. O lichych zarobkach, o swej biedzie, o zmartwieniach, czytali gazety i zastanawiali się głęboko nad różnemi sprawami politycznemi, które bardzo mało Gustlika interesowały, sprzeczali się, przekonywali nawzajem, a wkońcu stale dochodzili do wyniku, że się źle dzieje, że jeszcze wystarczy kilka, najwyżej kilkanaście lat, a polskość na Górnym Śląsku zniknie, zgnieciona przewagą niemiecką.

— Z nami, to już tam wiela nie przewiedą — mówił Wałoszek — bo my są twardzi. Ale dziecka nasze zgermanizują!..

— To jest prowda — przytakiwał któryś tam — dyć moje to już i doma się zapominają i zaczynają po niemiecku szwandrosić...

— A zarobki coroz gorsze — zaczynał inny biadać — coroz gorsze!..

Jeżeli był Marek obecny, nie mówili w ten sposób. Zaraz się złościł i pięścią prał po stole, i wygrażał ciężko wszystkim, co „kraczą, jak gawrony”, jak mawiał.

— Jo wóm powiadom, że nic nóm Niemcy nie zrobią!.. — krzyczał zaperzony. — Choćby się wściekli! A czy to już nie pamiętocie farorzowego kozanio, jak to przepowiadoł, iż przydzie czas, że Niemców djabli wezną? Już nie pamiętocie?..

— Pamiętomy, ale dyć sami widzicie, że źle!..

Wałoszek chwilami tylko ulegał zwątpieniu. Rychło się ocykał z bezwłady, zapalał się i z dawną energią krzepił drugich. Wywoływało to nieraz zdziwienie u obecnych.

— Toć przeszłym razem z nami narzekoł, a teraz, to go już nie można poznać! — myśleli. Nikt nie zdawał sobie z tego sprawy, że ten człowiek kruszył się sam w sobie, jak kamień miażdżony. Nie mógł przeboleć zaprzaństwa swego Jozefa. Myśl o nim truła go, toczyła, jak czerw twarde drzewo. Żywił teraz stroskane serce nadzieją, że Emil w dwójnasób krzywdę naprawi.

Gustlik za mało jeszcze się zżył z Górnoślązakami. Jego więcej obchodziło to, co czynią Czesi w Karwińskiem. W każdym liście, otrzymywanym od matki, dowiadywał się coś niecoś. Coraz częściej zapuszczali swoje zagony w Karwinę. To jakiś ,,vylet" urządzali, to „schuzę”, to znów przeróżne ,,slavnosti", a w ostatnich czasach, w lecie, rozpoczęli zażartą walkę o zdobycie zarządu gminy w Dąbrowie. Walczyli z tamtejszym proboszczem o czeskie nabożeństwa, walczyli o szkołę, wybijali okna w domach wybitniejszych górników, zniszczyli nagrobki z polskiemi napisami na cmentarzu, a w prasie nie przebierali w słowach, byleby tylko przeciwnika zohydzić, A co najgorsze, że większość tych Czechów rekrutowała się ze zbałamuconych Polaków. Za lepszy zarobek godzili się na posyłanie dzieci do szkoły czeskiej, oni tworzyli bojówki, prowadzone przez czeskich prowodyrów z Ostrawskiego. Między nimi znajdowało się sporo tak zwanych ,,pyrcoków". Byli to robotnicy, którzy przyszli za chlebem z Małopolski, od Krakowa i Żywca, a którzy skuszeni zapłatą, wyzbywali się sumienia narodowego. Utarło się między górnikami prześmiewisko:

— A co wy, Polak nebo Czech?

— Panocku, jo je Cech!..

— A odkać?..

— A od Żywca!.,

Niewielu wprawdzie było takich biedaków, ale zawsze i wszędzie się znaleźli.

Matka donosiła w listach synkowi o podobnych wypadkach. To Wątroba z Gabrjeli przepisał dzieci ze szkoły polskiej do czeskiej, to znowu Smolarz, młody chłopak, co przed dwoma laty z biednem zawiniątkiem gdzieś od Limanowej przywędrował, wstąpił do czeskiego Sokoła w Łazach, to znów Marjanna Kabieszowa była oto niedawno na czeskim festynie, przebrana za Hanaczkę w szerokiej, krótkiej sukni i w butach. Uczyniła tak, bo życzył sobie tego jej narzeczony, Czech, z Nowego Szybu w Łazach.

Gustlik czytał i poklinał. Jeżeli napomknął o swojem zmartwieniu Ściskale, ten zlekceważył to wszystko.

— Widzisz, synku, — mawiał — Czech to jest dycki brat, a Niemiec, to pies wściekły!..

Próżno go przekonywał chłopiec, iż nie można Czecha uważać za brata. Ściskała, widzący jedynie wroga w Niemcu, uśmiechał się jeno pobłażliwie, bo sądził, że chłopiec przesadza.

To samo było z Wałoszkiem. Również nie uwierzył, ażeby Czesi mogli być podobni do Niemców.

— Nic nie prow, synku — tłumaczył mu — Czesi tak samo są uciskani przez Austrja, jak my tu przez Prusoka. Może nie tak bardzo, ale też. Kajby też tam byli tacy, jak powiadosz?..

— Ale mówię wóm, ujcu!..

Wałoszek w odpowiedzi machnął dłonią. W gazetach nigdy o czemś podobnem nie czytał, przeciwnie, nieraz dochodziły go słuchy o ruchu panslawistycznym, zapoczątkowanym przez Czechów w Pradze. Toć przecież oni właśnie dążyli do stworzenia wspólnego słowiańskiego frontu przeciwko Niemcom. Nie, to Gustlik przesadza. Bę-

dą tam jakieś drobne sąsiedzkie utarczki, ale żeby aż takie, jak je chłopiec przedstawia, to już bodej. Wszędzie to się zdarza, a Gustlik zaraz z podobnego zjawiska czyni wielką rzecz.

Gustlika dotykało to boleśnie, że nie znajduje wiary czy zrozumienia. Wrażliwy z natury, upchliwy, jak mawiała matka, zrażał się rychło do wszystkich, zamykał w sobie i odsuwał. Dla niepoznaki usiłował udawać, że go przekonały tłumaczenia Ściskały i wuja, w rzeczywistości jednak wierzył mocno, że Czesi są takimi samymi wrogami Polaków, jak Niemcy, bodaj, czy nie gorszymi, bo maskujący się rzekomem braterstwem i szczepowem powinowactwem.

— Hy, jo wiem — myślał głośno, wracając od wuja do domu — pietą tam cosi o braterstwie, głowę zawracają innym, a jak jeny mogą, to nas udrzą. Pierońskie złodzieje!

Znachodził jedynie zrozumienie u Karlika.

— To mówisz, że oni tacy? — dziwił się chłopiec. — A jeśli tak, to prać dziadów po pysku, co wlezie!..

— No, dyćmy też tak robimy!..

— Toście zato są porządni ludzie! — dodawał z uznaniem Karlik — tak się patrzy. Jo dycki powiadom: człowiek mo dać każdemu pokój, ale jak kto rozpocznie, a ubliży, to jeny nie darować!.. Bo tak się patrzy!.. Inaczej każdyby z nami nagrowoł i pomiatoł!,,

Gustlik byłby go za to uściskał. Przylgnął teraz do niego, polubił, jak swego brata. Schodzili się, gdy tylko drobną chwilkę wolną znaleźli, gawędzili, snuli szerokie plany na przyszłość, postanawiali pójść kiedyś do wojska, ale już polskiego, które i tak będzie, prędzej czy później, i bić do spółki raz Niemca, drugi raz Czecha. Na kogo już tam kolej wypadnie. Ich pacholęce marzenia jeszcze bardziej się wzmogły, kiedy Gustlik wydostał z wujowej

bibljoteki „Księgi Pielgrzymstwa Polskiego". Czytał je głośno Ściskałom i Karlikowi.

— Widzisz! — wołał triumfująco do zasłuchanego Karlika i wskazywał palcem na jakieś wyłowione zdanie, w którem Mickiewicz wyraźnie mówił o zmartwychwstaniu Polski — widzisz!... Mickiewicz, to był nie byle jaki chłop, ten mioł głowę, a podziwej się, co on tu pisoł? Czytej! — podsuwał chłopcu książkę pod oczy.

— Albo oto! — wołał znowu po chwili, gdy natrafił na nowe zdanie prorocze — podziwej się! Widzisz!..

Zczasem utworzył się u Ściskały jakoby jakiś zakon braterski. Skupiali się tak we czwórkę koło pieca, a Gustlik czytał. Tamci słuchali, a zdawało się wszystkim, że każde wypowiedziane przez chłopca słowo przychodzi do nich zdaleka, z poza światów niepojętych, cudne jakieś a dostojne, poczęte przez człowieka, który się świętym równać rnusiał i samemu królowi najpotężniejszemu, a co teraz już od dawna w grobie leży, a słowo jego jeszcze żyje i teraz przybłąkało się do nich, jak człowiek przez długie czasy wyglądany, co w zanadrzu gościniec wielki przynosi i ze wszystkimi pospólnie jakąś radosną wieścią się dzieli.

Ściskałowa aż cmokała i raz wraz ręce składała z podziwu nad tak pięknemi słowy, a Ściskała co chwila uderzał się dłonią po udzie i powtarzał:

— Farona, ten Mickiewicz, to jednak musioł być mądry człowiek, Nale wiecie ludzie!..

A kiedy skończyli czytanie, Karlik wydobywał swoją harmonikę i zaczynał grać. Reszta nuciła do wtóru, nie bardzo głośno, bo się lękali, żeby jaki zły duch Niemca pod okno nie skusił. Przyjdzie tamten renegat Sojka, posłyszy, przywoła żandarma i już będzie kara!.. Śpiewali więc półgłosem, a Karlik im grał. Zaczynali od uświęconej

pieśni „Jeszcze Polska nie zginęła”, prześpiewali mnóstwo krakowiaków i pieśni z okresu powstań, a kończyli znowu mazurkiem Dąbrowskiego.

I to tak było prawie co wieczora, kiedy Gustlik i Karlik mieli dzienną szychtę. Potem następowała tygodniowa przerwa, ponieważ Karlik szedł do pracy o godzinie trzeciej po południu, a Gustlik o szóstej wieczorem. Nie było więc sposobu na czytanie i słuchanie Karlikowego grania.

Czas upływał.

Zbliżały się święta Godowe, Ściskała już się był prawie wyleczył i teraz tylko czekał orzeczenia knapszaftowego lekarza, że tego a tego dnia będzie mógł pójść do pracy. Odcięte palce zagoiły się, zostały tylko cztery śmieszne kikuty, ale na szczęście da się niemi jakoś uchwycić stylisko. Wprawdzie już nie tak krzepko, jak dawniej, ale jednak jakoś da.

Gustlik uzyskał trzydniowy urlop na Święta i w wigilję pojechał do domu. Pożegnał się ze Ściskałami, poszedł do wuja, tak samo się pożegnał, wziął list od niego do swojej matki, a Helenka z Karlikiem odprowadzili go na stację.

—- Ty, Helenka, a Jozef nie przyjedzie teraz do was?

Helenka otrząsła głową.

— Ani o nim nie wspominaj, bo tatulek nie ustąpi... A Jozef też ni — dodała po chwili.

— Joby też nie ustąpił, jakbych mioł takiego syna renegata! — rzucił twardo Karlik.

— Eh, nie mów! — westchnęła Helenka.

Na stacji uścisnęli sobie dłonie, a kiedy już pociąg ruszył, Gustlik wychylił głowę z okna, Karlik wyjął znowu swoją harmonikę i zagrał mu „Jeszcze Polska nie zginęła”. Biegł chwilkę koło pociągu i grał. Widział jeszcze

tyle, że w pewnej chwili przyskoczył do niego urzędnik kolejowy w czerwonej, płaskiej czapce i uderzeniem pięści wytrącił mu harmonikę z ust. Gustlik wychylił się mocniej. Dojrzał, że Karlik podniósł szybko harmonikę, wsunął ją do kieszeni, nabrał sporą garść śniegu, zgniótł w kulę i prasnął nią w czerwoną czapkę urzędnika. Gustlik prychnął śmiechem.

— Widzisz, pieronie, mosz! — szepnął z ulgą.

Urzędnik coś krzyczał, podnosił czapkę ze śniegu, a Karlik zaś, ująwszy Helenkę za rękę, uciekał opłotkami co sił. Potem już nic nie widział, bo pociąg wleciał w głęboki wądolec i utonął w nim po dachy. A kiedy wybieżał w otwarte pola, nie można już było dojrzeć ligockiej stacji.

XXIII.

Gustlik powrócił z Karwinej. W sercu swojem przywiózł udrękę i przez długie dni nie mógł się jej pozbyć. Nikomu nie zdradził się jej istnieniem, udawał przed Ściskałami i Karlikiem, że mu dobrze na świecie, że radość wywiózł z rodzinnej wsi. W ich obecności tak zręcznie się maskował, że nic nie spostrzegli. A dobrze czynił, bo zarazby się wypytywali, co to było takiego, nalegaliby w swej troskliwości, by powiedział, a zamiast ulgi zgotowaliby mu jeszcze większy ból. Nie zrozumieliby go. A może nawet, możeby się wyśmiali z jego niedorzecznych majaków.

W ciszy nocnej, kiedy zasnąć nie mógł, rozpamiętywał słowa Bronki i zżymał się. Kłuły go ostem. Zaciskał pięści w rozpaczy, pozwalał się ogarniać złości, poduszkę kąsał w zapamiętaniu, bo próżno szukał wyjścia z ciernistego ogrojca, w który go zaprowadziła miłość do Bronki.

Potem następowały chwile uciszenia. Wtedy zdawało mu się, że stoi nad wielką, cichą a czarną wodą, w której jego szczęście, jak małe dzieciątko po wieki utonęło, i nigdy już go nie ujrzy. Na mulistem dnie, w kalnej głębinie, leży teraz martwe, opuchłe, wstrętne, sine, jakieś śliskie kłącza roślin podwodnych oplatają sieroce ciałko, a przeróżne robactwo plugawe, stonogi i płoszczyce, ropuchy i jaszczurki chodzą po niem, gmerają się w jego jasnych włoskach, błękitne oczy wyżerają..

Otrząsnął się z wewnętrzego obrzydzenia, odpędzał pobożnemi myślami trapiące zwidy, przewracał się na drugi bok, zasnąć usiłował.

I dopiero po długiem czekaniu nawiedziło go zapomnienie. Sen je przynosił, który wychodził na palcach z czerwonej pożogi pozaokiennej, z gęstwy pokudłaconych głosów maszyn i charkotu pary w hutach i na kopalni, i ze szmerów tajemniczych, co snuły się bez przerwy po ciemnej, niewidomej izbie.

Przy pracy zapominał o wszystkiem. Praca była mu wytchnieniem. Prażył się w ogniu, dławił swoje ciało nadmiernym ciężarem podnoszonego młota, zamieniał się z ulgą w tysięczną drobinkę olbrzymiego rytmicznego chaosu pracy ludzi i maszyn, a kiedy po szychcie wracał do domu, przedbiegały go wspominki, obłaziły ze wszech stron, natrętne, dokuczliwe, znienawidzone.

Wpychały mu się w oczy, że rnusiał na nie patrzeć. Stawały przed nim, jak żywe, aczkolwiek równocześnie wydawało mu się, że to wszystko dawno się już działo, kiedyś przed laty. Wieczorem w obecności Karlika i Ściskałów odpędzał je. Bo Karlik grał na harmonice lub czytał jakąś książkę na głos. Gdy się jednak położył, gdy w domu wszystko się uciszyło, wracały z mrocznych wnęk nocy, otaczały go rojem i serce gryzły. Jak zmory.

A zawsze widział ten sam obraz, co się z początku rozwijał przed nim barwną, krasiastą wstęgą, a potem szarzał i szarzał, aż się w zgryzotę przemienił.

Pamięta, — w sali „Pracy" było pełno ludzi. Siedzieli w krzesłach rzędem poustawianych, gnietli się pod ścianami, wypełniali ciżbą każdy wolny kątek, gwarzyli półgłosem, że szum ich głosów przypominał brzęczenie pszczół w pachnącej lipie o południowej porze, a z powały i ze ścian spływało elektryczne światło, ujęte w wymyślne, mleczne kielichy, do złudzenia kwiaty udawające.

Wszyscy czekali, skoro się dzwonek po trzeci raz odezwie i kurtyna uniesie w górę. Wtedy oczy ludzkie polecą urzeczone na scenę, jak tłum rozradowanych dzieci, kiedy pierwsze kwiaty na łące dostrzegą. A serca załopocą w piersiach ze wzruszenia, jak klaskające dłonie u tamtych dzieci, kiedy im matka upragnione cacko z odpustu dodom przyniesie, wydźwignie w dłoni wysoko i podziwiać każę.

Toć to dzisiaj Jasełka grają!..

Cały rok radował się człowiek na oną chwilę, w której będzie mógł na własne oczy ujrzeć w słodkiem złudzeniu, jak to na scenie cud betlejemski się dzieje, kiedy zapomni się i uwierzy, że Jezuska małego z Panienką Maryją widzi i kiedy pasterzy będzie mógł prawie że palcem przeliczyć, i królów-monarchów, przedziwnie ubranych, w koronach i złocistych płaszczach, dowoli oglądać i cudować się, i klęskę Heroda przeżywać, a potem z djabła rogatego o krowim ogonie do rozpuku zaśmiewać, który pocieszne harce nad Herodowym spaśnym kałdunem wyprawia i wszystko...

Caluteńki rok czekał człowiek na oną chwilę radosnej ułudy.

W ciągu roku młodzi amatorzy karwińscy, synowie i córki górników, studenci, ślusarczyki, łączniki i wozacze, szwaczki i kursistki z cieszyńskiej Macierzy Szkolnej, służące i robotnice, Sokolice i cnotliwe „Dzieci Marji" z kongregacji marjańskiej, wszystka ta jasna, rozradowana życiem młódź karwińska wystawiała na scenie „Pracy” przedziwne historje teatralne. Jezuita, ksiądz superjor Mieloch, patronował im gorliwie i zaprawiał w sztuce aktorskiej. Grano przeróżne sztuki. Raz pocieszne, drugi raz smętne, jedne mówione tylko, inne ze śpiewami, inne jeszcze wierszem skandowane, a ludziska cudowali się Rydlowemu „Kołu zaczarowanemu", płakali na widowisku o świętej Genowefie, pozwalali rozpłomieniać się sercom w ogromne pożary na widok „Kościuszki pod Racławicami", zaciskali pięście i bezwiednie pieronowali po cichu, patrząc na udrękę braci swojej w „Drzymałowym wozie”, zachwycali się śpiewnym językiem Słowackiego w jego „Beniowskim", patrzyli łakomie na dziesiątki innych sztuk scenicznych, wypełniali ogromną salę do ostatniego miejsca i nigdy nie mogli się dosyta napatrzeć.

Lecz największem uradowaniem były dla wszystkich doroczne, tradycyjne Jasełka.

Grywano je po kilka razy, a zawsze w przepełnionej sali. Schodzili się wtedy ludziska ze wszystkich krańców Karwiny, od Szóstego, z Granic, ze Solcy i Sowińca, a nawet z poza Suskiego łasa, szli gromadami, jak na wielki odpust, a każdy niepokój w sercu niańczył, czy też jeszcze znajdzie wolne miejsce w sali, czy nie będzie rnusiał wracać zpowrotem dodom, nie nasyciwszy poprzódź swych oczu jasełkowym cudem. Przychodzili nietylko młodzi, ale i starsi, skrzywione babki, emerytowani górnicy, na kijaszkach wsparci, trzęsący się, przychodzili najwięksi

piecuchy, co to przez cały Boży rok nigdy głowy nie wychylali, ba nawet znany liczykrupa Horeczek od Dalpasa, który ze sknerstwa jeno ziemniaki i wodziankę jadał, odżałował tych kilkadziesiąt miedziaków na ostatnie miejsce i także się przyszmatłał.

Teraz czekali wszyscy i potrosze się niecierpliwili, bo już dawno zaszczerkał drugi dzwonek, Sochorowa kapela również dawno skończyła swoje przygrywanie dla ludzkiej ochoty, i każdy z muzykantów jeden na drugiego spoglądał, czyby nie zacząć nowego grania, a tymczasem trzeciego dzwonka jak niema — tak niema! Kiż djasi?.. Albo grejcie, albo pieniądze wróćcie!.. Dyć już człowiek usiedzieć nie może z niecierpliwości!..

No, nareszcie!

Zaterkotał dzwonek srebrzyście poza kulisami, zestokrotnione westchnienie rozpłynęło się szumem po sali, rozbełtany gwar jął się uciszać, a oczy ludzkie wpatrzyły się w kurtynę. Teraz się poruszyła!.. Teraz już się podnosi!.. Powoli, w skupieniu, w ciszy wstrzymywanych oddechów. Rozwiera dokorząt dwierze szerokie, do dziwnego świata wiodące, w który serca ludzkie gromadą powędrują!..

Światła na sali przygasły, ściemniło się, jeny ze sceny płynie rzeka błękitnego słońca, a muzyka zaczyna zcicha przygrywać.

Gustlik wspiął się na palce, wychylił ponad głowy sąsiadów i patrzał.

— Jezusku, też to jest piekne!..

Rozewrzyła się noc fioletowa na scenie, wśród płóciennych drzew i chojarów, serce weszło między frasujących się pasterzy, co teraz z zimna dygocą, bo nocka ogromnie mroźna. Pasterze pogadują o swych troskach, układają głowy do snu, nakrywają się baraniemi kożucha-

mi, jeno stary baca czuwa i scicha na fujarce pogrywa. Cisza tajemnicza. Czerwony ogienek pełga w kupie chruścia u ziemi i nic więcej. A wtem... o rety!.. Chlusnęło na scenę jasne światło, gdzieś z boku od stropu, pobudziło przerażonych pasterzy, spłoszone oczy oślepiło, że teraz wszyscy w gromadkę się zbili, skuleni, wystraszeni, z pod dłoni patrzący, cóż za dziwy się dzieją.

A ze światłem weszły anioły. A z aniołami słodkie śpiewanie. Białe, uskrzydlone, ze złożonemi na piersiach dłońmi, nucą o małym Jezusku, co się z Panny narodził w podłej mieścinie, przyzywają strwożoną chudobę pasterską, do żłóbka Jego zapraszają, koniec udręki ludzkiej łagodnemi głosy wieszczą. Zapatrzyli się pastuszkowie w aniołów, a wraz z nimi urzeczony Gustlik.

— Boże, jakie to szumne!..

A chociaż wiedział, że to nie prawdziwe anioły, że tamten na przedzie o modrych oczach i długich rozpuszczonych włosach koloru dojrzałej pszenicy — to Wdówczyna Hanka, pobok zaś Krzystkowa Malka i Witoszkowa Dola, i Nardellego Julka, i Zuczkowa Marjanka, i Gazurkowa Maryśka, chociaż wszystkie znał — nie myślał o tem, bo chętnie poddawał się złudzeniu, że to naisto anioły, co przed chwilą z nieba sfrunęły i teraz tak wdzięcznie śpiewają...

A teraz... Jezusku miły! tamten szwarny anioł o czarnej czuprynce, o ustach w kształt serca wygiętych, dyć to Bronka!.. Mój Boże, dyć to Bronka jego!..

Zadygotało serce pacholęce, rozkolebało szeroko, pijane nagłem wzruszeniem, wyrywać się jęło do umiłowanej dziewczyny.

Godziny mijały.

Przed oczyma przesuwały się coraz to inne postacie. Zmieniały się wnętrza sceny, przybierały kształty kró-

lewskich komnat, lichej stajenki, puszczy leśnej, zaludniały się chórami aniołów, pastuszkami, królami, żołnierzami srogimi, djabłami czerwonymi z koziemi różkami na kołtuniastych łbach, rożegały się pożogi świetlne, raz czerwone, krwiste, posępne, w których przerażony Herod konał, a djabły kwiczały, dziobiąc go łakomie widłami, potem znowu jakieś blado-błękitne, ciche, zadumane, pełne niepojętej świętości, idącej od wiotkiej postaci Najświętszej Panienki i małego Jezuska, niosły się śpiewne kolędy, cuda się działy niewidziane, a serca ludzkie syciły się urodą tamtych wszystkich rzeczy, jak wyniosłe sklepienie mrocznego kościoła zapachem mięty i kadzidła.

Gustlik wiedział, podobnie jak wszyscy wiedzieli, że Panienką Marją jest słodka dzieweczka, błękitnooka Olga Mokroszowa, a Jezuskiem znowu trzyletni Karlik Byloków, znał i djabłów, i Heroda, i wszystkich, a jednak odsuwał precz tamtę świadomość, żeby jeno nie poskąpić sobie radości.

I tak wszystkim było, jakoby serca ich w żłóbki zgruba sklecone pozamieniały się w onej godzinie, w żłóbki — w których Jezusek mały leży i na sianku się przewraca, i tłustemi nóżkami grzebie i do wszystkich się uśmiecha.

A każdy krył się potajemnie z owem odczuwaniem, uważał, że tylko on a nikt więcej przeżywa naiwną, prostą radość serca, co się na drobną chwilę wszystkiego zła wyzbyło, i ukradkiem spoglądał na sąsiada, pragnący wypatrzeć, co się u niego dzieje. W duchu zaś każdy postanawiał niczem się nie zdradzić, gdyż łacno na śmiech mógłby się narazić u drugich, a nic więcej. Bo gdzież tam dorosłym ludziom do takich śmiesznych majaków, gdzież?.. To wszystko musi zostać w zamknięciu, by nigdy światła dziennego nie ujrzeć. Gdyby któryś z nich zamierzył pochwalić się przeżywanemi uczuciami, — stałby się podob-

ny do człowieka, który w wykrochmalonej koszuli, w kołnierzu i krawatce do kopalni zjedzie, rękawiczki pańskie na łapy naciągnie i, ująwszy kilof, do łupania calizny się zabierze. Tak, jak to raz uczynił pomylony jakiś inżynierek młody, co na praktykę do filaru zjechał. Górnicy ryczeli wtedy ze śmiechu.

Mijały godziny, kurtyna opadała, znowu się podnosiła, a Gustlik o calutkim świecie zapomniał. Wędrował z pasterzami po dalekich równinach do stajenki Jezuskowej, radował się ich radością, z królami się pobratał i pokłony do ziemi bił głębokie, i śpiewał pospólnie z aniołami, cudował się nad Jezuskową urodą, nożyny całował pokornie, a kiedy Bronka-anioł o wysokich skrzydłach na scenę przyszła i koło żłóbka stanęła, nic już więcej nie widział, tylko jej krasę. Zdawało mu się, że bez takiego anioła nie byłoby nigdy Bożego Narodzenia, Jezusek nie byłby na ziemię zeszedł, gdyby nie było Bronki!..

Potem ludzie jęli wychodzić, bo przedstawienie się skończyło.

Gustlik stanął w sieni i czekał pilnie, skoro Bronka ukaże się z poza kulisów.

Długo czekał.

Wkońcu wyszła. Otoczona dziewczynami i studentami z gimnazjum cieszyńskiego. Przesunęła się koło niego roześmiana, promieniejąca, bo dorodny Emil Krzystków, za którym się wszystkie dziewczyny oglądały, szedł koło niej i żywo jej coś wesołego opowiadał, Zakłuło go dotkliwie. Znienawidził w jednej chwili Krzystka. Postąpił za Bronką, chcąc do niej przemówić, lecz wychodzące tłumy ludzi oddzieliły go. Widział, że Bronka schodzi powoli, ciągle roześmiana, otoczona koleżankami. Wyszli na drogę.

— Ty, Malka — zawołał na przebiegającą jej koleżankę — powiedz Bronce, że chcę z nią mówić!

— Bronce? Dobrze! — odrzuciła Malka i pobiegła za nią.

Za chwilę wróciła.

— Powiedziała Bronka, aż jej nie zawracosz głowy, wiesz!.. Bo ona nie potrzebuje z takim zamazanym hawierzem mówić!..

— Jak?.. — zapytał bezwiednie Gustlik, nie mogąc zrozumieć sensu rozchichotanej wieści.

— We młynie dwa razy mówią, a po trzeci raz dają chleba ukróć! — prychnęła śmiechem i uciekła.

To było wszystko.

Dzisiaj już rozumie, dlaczego Bronka taka. Poszła do pensjonatu w Strumieniu, przebrała się w kapelusz strojny, wyglądnęła na szerszy świat, ujrzała innych ludzi, olśniła ich swą urodą, ją znowu olśniła perspektywa należenia do tamtego świata, a Gustlik, umorusany górnik i hutnik, o chropowatych dłoniach, o szorstkich ruchach i niewybrednych manierach — należał już do przeszłości, o której się ani wspominać nie chce.

Gnębiła go ta porażka, wściekał się bezsilnie, zaciskał pięści. Odczuwał żal nietyle do dziewczyny, która ciągle tworzyła dla niego bóstwo, co odeszło, — ile do nieprzewidzianego i nieobliczalnego zrządzenia losu. Zawiścił teraz tym wszystkim, którzy mogą nosić ładne ubrania, którzy umieją przemawiać obieranemi a wdzięcznemi, miodem smarowanemi słówkami, którzy z wielkopańską niedbałą wytwornością potrafią wyglądać z okna drugiej klasy w pociągu, czy rozpierać się za ogromnemi szybami w kawiarniach. Zrozumiał, że stworzony na poniewierkę, na życie szare, bezbarwne jakieś, odczuł swą małość wobec tamtego świata, w który Bronka pierwsze

kroki uczyniła, i teraz dopiero zrodziła się *w* nim piekąca nienawiść do ludzi, mających pieniądze.

Bo wyobrażał sobie, że gdyby miał pieniądze, miałby wszystko, a więc i Bronkę.

Zawiścił nawet koprzywnickiej hrabiance tej szumnej kolasy, w której się woziła, blada, smętna, do więdniejącego kwiatu podobna.

Szukał po myślach wyjścia, coby tu uczynić, by Bronce zaimponować, by spojrzała na niego z przyjaźnią, uśmiechnęła się, jak poprzódź, kiedy jeszcze w Karwinie bywali. Szukał w samotnych chwilach, wyłuskiwał szalone pomysły, odrzucał je precz, podnosił i znowu przeglądał.

W towarzystwie Ściskało´ w udawał spokojnego. Tak samo czynił wobec Karlika.

Męczyło go to udawanie. Zdawało mu się nieraz, że gdyby mógł się przed kimś polutować, ulżyłoby mu.

Ale przed kim?

Chyba jedynie przed księdzem proboszczem albo przed Helenką. Ci dwaj potrafią tylko jego udrękę zrozumieć i pocieszyć go życzliwem słowem. Bo i proboszcz, i Helenka posiadają to, co ludzie zwykli nazywać sercem. Ci go chyba nie wyśmieją?

Nie, do proboszcza jednak nie zwróci się. Zacznie mu jakieś kazanie prawić, każę się modlić lub żywoty świętych czytać i to wszystko. Raczej do Helenki pójdzie. Ona się uśmiechnie, powie chociażby jedno dobre słowo, i będzie dobrze człowiekowi.

W najbliższą niedzielę wybrał się do Wałoszków.

Tegoroczna wiosna pośpieszyła się. Dopiero był początek lutego, a śniegi już potraciły się z pól, słońce wędrowało co dnia po bladym błękicie, a ciepły wiatr dmuchał od Beskidów.

Ludzie dziwowali się wczesnej wiośnie, głowami kręcili, a stara Bajtkula wszędzie głosiła z lamentem, że to rzecz podejrzana. Przytaczała jakieś sybilijne proroctwa, które przepowiadały wielką zawieruchę na świecie i bliski jego koniec, a które poprzedzi zamęt w przyrodzie.

— Jo wóm powiadom, ludeczkowie roztomili, że to bydzie szpatno wiec. Bo terazykej, to już wszystko naopak idzie. Nawet i rok sie przewraco naopak. Któż też to widzioł, żeby w lutym była już wiosna, któż? Teraz bydzie wiosna, a jak bydzie miało być lato, to bydzie zima stonaramno. Wszak już o tem prorokowała święto Sybilija, że nastaną takie czasy na świecie, że się wszystko poprzemienio. Zima bydzie w lecie, a lato w zimie. A nima tak terazykej? Widzicie sami, że się już jej proroctwo wypełnio. A potem jeszcze przyjdzie straszno batalja na ziemi i na niebie, a brat brata bydzie zabijoł, a dziouchy i paniczki bydą chodziły napoły nagie i beszperajstwi bydzie wielki na świecie, a potem to już bydzie koniec świata!.. Tak, tak, ludeczkowie moi złoci!.. — i wzdychała z wielkiego utrapienia, przez nos pociągała z żałości i oczy fartuchem wycierała.

— Eh, nie plećcie raczej, ni!.. — uspokajali ją sąsiedzi łagodnie. — Dycki wyjeżdżocie z tą swoją Sybiliją, a to tako sama drzystula, jako wy jesteście!

Poważniejsi gospodarze zapowiadali znowu wielkie śniegi, które rychło przyjdą, a na świadectwo, że tak będzie, przytaczali mnóstwo przykładów z dawnych lat, kiedy się podobne dziwy działy w przyrodzie.

Niektórzy oburzali się szczerze na marjańskie kalendarze, które akurat w lutym przewidywały srogie mrozy i śniegi, komentowali tak jaskrawe cygaństwo na swoisty sposób, a każdą dysputę kończyli utarłem powiedzeniem:

— Niech se tam kalendorz pokłodo, jaką chce pogoda, ale co wóm powiem, to wóm powiem, że kalendorz — to wielki łgorz i zbyte!

Gustlik radował się młodem słonkiem.

Idąc do Helenki, błądził oczyma po dalekich polach, po których wałęsały się dymy, patrzał w niebo, a obecność grzejącego słońca wyczuwał tak, jakby głaskanie czyjejś dłoni po swej twarzy.

Przywidziało mu się, że podobnie byłoby mu, gdyby Helenka dzisiaj pocieszyła go słodkiem słowem i swoją dłonią pogłaskała.

Zastał ją przed domem na ławie. Siedziała czegoś zamyślona, zapatrzona w słoneczne cuda. Była śliczniejsza, niż zwykle. Duże, modre oczy jakoby bardziej zbłękitniały i pogłębiły się, długie, gęste rzęsy siały na zwężone źrenice nachylony cień, a na policzkach rozkwitnęły łagodne rumieńce. Jej wdzięczna postać występowała z tła ciemnej ściany domu, jak subtelna róża, czerwieniejąca na rozłożonych dłoniach umorusanych. Na kolanach leżał kotek, zwinięty w szary kłębuszek. Helenka gmerała palcami w jego futerku, a zadowolony pieścioch mruczał i chwytał ją od czasu do czasu łapkami za dłoń.

— Serwus, Helenko! — przywitał ją Gustlik.

— Jej, Gustlik! — i uśmiechnęła się do niego.

Gustlik przysiadł się do niej. Olśniony był jej uśmiechem. Już nie widział tak dawno Helenki, kiedyś po swoim powrocie z Karwinej, i to tylko w obecności nachmurzonego Wałoszka. Wtedy z nią nie rozmawiał.

— Nale, czemu nie byłeś tak długo u nas, Gustliczku? — zapytała. — Widzisz, bo jo myślała, żeś się pogniewoł, czy co. Pytałach się tatulka, a on mi nic na to. Wiesz, bo tatulek mają terazykej wielką starość na głowie.

— Co za starość? .— zdziwił się chłopiec.

— To nic nie wiesz? Widzisz, to tak, jak do nas nie przychodzisz, to nic nie wiesz. Czy nic ci nie mówił Ściskała?

— Ni!

— To jo ci powiem. Tatulek sądzą się z dyrekcją huty, wiesz, z Langhorstem.

— Z Langhorstem? A to czemu?

— Bo oto jakosi zaroz po Nowym Roku wezwoł Langhorst tatulka do siebie i chcioł, żebyśmy mu sprzedali nasze pole i dom.

— Na, cóż mu po waszem polu?

— Tóż pytej sie, synku! Mówił, że potrzebują nasze pole, bo sam chcą nowo hołda na naszem polu bulać, bo nie mają miejsca kajindzi.

— A co ujec?

— No, tatulek powiedzieli, że ni, że nie sprzedają, bo zaroz wiedzieli, że Langhorstowi chodzi o to, żeby się tatulka pozbyć. Bo jak tatulek nie bydą mieli ziemi, to potem rychli ich może zniszczyć.

— Ale jak?

— Bo jakby tatulkowi wypowiedzioł robota, to jużby tu nie mógł zostać i nadal robotników bałamucić, jak powiado Sojka, ten szpatny renegat. Po pijanemu wygodoł się w gospodzie.

— A to pierony!

— Nó!

— A co teraz?

— Nó nic. Tatulek ziemi nie sprzedo, a Langhorst podoł go do sądu. Już tu była jedna konwisyja to pole oglądać. Przyjechali jacysi panowie z Opola. Langhorst ich kludził, obejrzyli pole nasze i poszli. Ale tatulek powiedzioł, że jak długo się do, to się bydzie bronił.

— Jakto, to myślisz, że huta wygro i że wóm pole zebierą?

— Tatulek tłumaczy się tem, że huta może swoją hołda hulać na wydmuchowisku za potokiem, że tam jest dość miejsca, ale jak się germany na nas uwezną, to nas w sądzie mogą o żebraczy kij przyprawić, Tatulek wie, o co tu chodzi, Langhorst boi się nowych wyborów do pruskiego sejmu, tóż się chce tatulka pozbyć. Wiesz?

— Aha! — dziwował się chłopiec. — A mogą to Niemcy tak zrobić?

— No, toć mogą. Oni wszystko mogą.

Nastało milczenie.

— A jak tam z Jozefem? Był u was na wilji?

— Ale ni! Już odsłużył swoje w wojsku i teraz jest kańsi w Niemcach z tą swoją Margot. Już mają jedno dziecko. Na wiara żyją. A do nas nie piszę, jeny Kasperlików Francik, co był razem z Jozefem w jednym regimencie, to nóm to opowiadoł. A do domu nic nie piszę. On też tak mierzi naszego tatulka, i zdrowie im zeżero, bo ich to gniewo, że najstarszy syn, a stół się, jak ten Sojka, szpatnym renegatem. Lecz jo wiem, że to jeny ta Margot temu winna, a żoden inszy. No ni?

— Toć tak temu bydzie — potwierdził Gustlik.

— A wiesz jeszcze co?

— Co?

— Jo po dwóch tydniach ida do roboty. Do huty.

— Do roboty? Do huty? Na cóż ty opowiadosz?

— Ida do huty, bo tatulek terazykej mało zarobiają. Langhorst nie chcioł mnie do roboty przyjąć, ale potem mnie jednak wziął. Byda w kancelarjach pochraniać i porządek robić.

— A moc zarobisz?

— Na, jo tak myślą, że jedna marka na dzień.

Gustlika tknęła niemile ta wiadomość. Wiedział, że z tą chwilą, kiedy Helenka pójdzie do pracy, straci wiele ze swego wdzięku. Nabierze manier od swego otoczenia, szorstkich i odpychających, będzie mówiła brzydko z robotnikami, jak to czynią dziewczyny na kopalniach, tak zwane ograbule, i kto wie, może tak samo będzie zczasem miała kochanków przygodnych, jak i tamte dziewczyny, co im się oddawały w zakamarkach zabudowań kopalni czy w krzakach, niewiele sobie czyniące z ludzkiej obmowy i grzechu. A potem tamci młodzi górnicy chwalili się przy pracy w kopalni, ile kto z nich miewał stosunków z tą lub ową dziewczyną, wyśmiewali się z nich i ohydnemi słowy mianowali. To samo może być z Helenką. Wzdrygnął się.

— Co ci jest? Cóżeś się tak zamyślił? — zapytała Helenka.

— Eh, nic!

— Dyć jeny powiedz!

— Bo, widzisz, u nas, to jeny najgorsze dziouchy robią na werku...

— Jakto najgorsze?

— Jak ci to powiedzieć? No, widzisz, takie, co jeszcze za swobodna, a już mają dziecka. Wiesz?..

Helenka rozpaliła się. Opuściła rzęsy na oczy, palcami jęła miąć rąbek fartucha, a koło drobnych ust jęły przebiegać lekkie skrzywienia, jakby przed nadchodzącym płaczem.

— No, jo tak nie myślę o tobie — zaczął ją uspokajać Gustlik — ale... bo tak jest w hawierni wszędzie... Tóż jo se tak myślę...

— To ty głupio... myślisz, wiesz!.. — wykrztusiła Helenka, zerwała się, kotka strąciła z kolan i uciekła do izby.

Został po niej żal w Gustlikowem sercu,

— Pierona, wszystko mi się nie darzy! — pomyślał z rozpaczą, bo mu żywo stanęły przed oczyma tamte chwile w Karwinie, a teraz znowu słuszne oburzenie urażonej Helenki, A równocześnie jego lęk utwierdził się mocniej, że tak może być kiedyś, jak myślał. Toć dobrze wiedział, bo się tamtym ograbulom dosyta napatrzył w Karwinie. Ani jedna nie zasługiwała u niego na szacunek, To samo może być z Helenką. Co wtenczas? Kogo już potem będzie miał? Nikogo! Bronka nim gardzi, bo robociarzem, on znowu będzie gardził Helenką, bo jakżesz inaczej?

— Pierona, wszystko mi się nie darzy! — pomyślał po raz wtóry z goryczą, wstał ciężko z ławy i powlókł się ku domowi. Ostatnia radość, jaką mu przynosiła myśl o Helence, gasnęła w nim powoli. Patrzał na jej konanie, jak zasypany górnik na wypalającą się lampę. Wydawało mu się, że wchodzi w jakąś czeluść w kopalni, bez światła, osamotniony, i teraz błąkać się w niej będzie przeklinający wspomnienie dnia słonecznego.

Słońce zachodziło.

Zanurzało się w brudnych dymach, zawieszonych nisko nad widnokręgiem. Było podobne do rozżarzonego kręgu żelaznego, który teraz stygnie, rudzieje, szarością powleka.

XXIV.

Tak się stało, jak niektórzy przewidywali. Po dwóch tygodniach przedwczesnej wiosny zerwała się północna wichura, przywlokła z sobą opęczniałe chmurzyska, jęła miotać śniegiem bez przerwy, a zimno tak mocno się srożyło, że aż na dziwy.

Nadeszły znowu dni, w których trudno było się wychylić poza próg. W wolnych chwilach wieczornych gromadzili się robotnicy jak zwykle u Wałoszka, słuchali pilnie, co im Helenka czytała, potem omawiali najnowsze wiadomości z gazet, wyrzekali na Niemców, na drożyznę, na liche zarobki, krzepili się nawzajem, a potem rozchodzili się do domów z nikłem uczuciem ulgi.

Helenka pracowała już w hucie, Do pracy szła przed godziną ósmą, posprzątała we wszystkich kancelarjach, przyniosła świeżej wody w dzbankach, a następnie, gdy się już urzędnicy zeszli, biegała od jednych drzwi do drugich, roznosiła jakieś papiery, odnosiła na pocztę pliki listów, krzątała się do godziny czwartej i znużona wracała do domu.

Na zaczepki urzędników odpowiadała półsłówkami, lub też zbywała je milczeniem. Ścigali ją łakomemi spojrzeniami, próbowali pozyskać obleśnemi uśmieszkami, szukali sposobności, by się do niej zbliżyć, uszczypić w policzek, dotknąć się jej piersi, wpół objąć i ucałować. Umykała im przezornie z drogi. Rychło przejrzała zamiary nowego otoczenia. Była na nie przygotowana, zanim poraź pierwszy poszła do pracy. Ostrzegał ją Wałoszek, upominała matka, a najwięcej czujności wzbudziły w niej słowa Gustlika w tamten pamiętny wieczór.

Niejeden z urzędników, zawiedziony w swych nadziejach, zżymał się na nią i zaczynał nienawidzieć. Jej pogardliwa obojętność wzmagała jeszcze mocniej ich pożądanie młodego, urodziwego dziewczęcia. Przezwali ją „eine stolze Jungfrau”[93]), a epitet ów przyjął się rychło wśród wszystkich.

---

[93]) Dumna dziewica.

Najwięcej zainteresowania okazywał jej technik Willich. Miał dla niej zawsze obierane słówko, mocno pocukrzone, przedchodził ją łaskawym uśmiechem, wyszukiwał różne przyczyny, by zachodziła do jego kancelarji, usiłował zatrzymać ją na pogawędkę, przymilał się[1], podkręcał wąsiki, pożerał oczyma, że dziewczyna płoniła się zawstydzona, i ostrzegał przed innymi urzędnikami. Udawał chytrze, że czyni to powodowany przychylnością w stosunku do niej. W rzeczywistości szło mu tutaj o pierwszeństwo zdobycia jej. Wiedział, że mu to nie pójdzie tak łatwo, jak swego czasu z Agneszką Kaczmarczykową, która się potem utopiła z rozpaczy, lub jak z Zofką Kurzokową. Tamte poszły na lep przeróżnych obiecanek. Omamiła ich także jego władza, jaką posiadał w hucie. Toć przecież był prawą ręką dyrektora Langhorsta. Jak długo nie nasycił się ich krasą, okazywał im względy na swój tani sposób. Zarabiały dużo, bo im przypisywał szychty i godziny nadliczbowe. Wszyscy wiedzieli, że owe godziny nadliczbowe spędzały w jego mieszkaniu. Lecz nikt nie śmiał o tern głośniej mówić, bo się lękał jego mściwości. A potem, kiedy mu się jedna i druga znudziła, pozbył się ich jednem słówkiem u dyrektora Langhorsta.

To samo zamierzał uczynić z Helenką.

Ku swemu zdziwieniu napotkał u niej na wzgardliwy opór. Dziwiła go jej wyniosłość, a równocześnie stawała mu się tem bardziej pożądaną. Zrozumiał, że jej nie posiędzie w taki sposób, jak poprzedniczek. Opętany jej krasą wstrzymywał się wszystką mocą, by jej nie brać gwałtem. Toć nieraz byli sam na sam w kancelarji. Lękał się jednak. Nie chciał się stykać z władzami sądowemi. Ksiądz proboszcz napiętnowałby go publicznie z ambony. Wało-

szek zaś szukałby sprawiedliwości w sądzie. Mogłoby mu to zwichnąć karjerę.

Teraz nie zdradzał się przed nią ze swych zamiarów. Przeciwnie — usiłował ją przekonać, że kieruje się względem niej bezinteresowną życzliwością.

Na Helenkę wywierał swoisty czar. Mimo niechęci, jaką do niego żywiła, niechęci graniczącej z nienawiścią, podobał się jej jako mężczyzna. Wysoki, barczysty, o energicznym, wielmożnym wyrazie twarzy, jego kształtny nos z ruchliwemi chrapami, pełne usta i czarny wąsik, oraz pewna, niedbała wytworność w ruchach i mowie — wszystko to czyniło go ponętnym. Helenka nienawidziła go za jego nienawiść, jaką żywił do wszystkiego, co polskie, za szykanowanie polskich robotników, a kiedy znalazła się w jego towarzystwie, nie mogła się oprzeć dziewczęcemu zachwytowi nad jego męską urodą.

Kiedy się raz zwierzyła ojcu, iż się nią zbytnio interesuje, ten spojrzał mocno w jej oczy, ujął za ramię i powiedział twardo:

— To ci powiadom, dzioucho!.. Jeny zdaleka od nich wszystkich!.. Aż mi się nie zapomnisz!.. Bo to są wszyscy... świnie! Rozumiesz?..

— Rozumiem, tatulku!.. — szepnęła zakłopotana Helenka.

— A największą świnią — to Willich!.. Ty dobrze wiesz, co zrobił z Kurzokową Zofką, albo z tą drugą... jakto się nazywo?..

— ...z Kaczmarczykową Agneszką — przypomniała mu Helenka.

— Tak, z Kaczmarczykową Agneszką! Ty wiesz!.. Utopiła się skyrs niego w czomym stawie za hołdą!.. Pamiętej o tern!.. — iw słowach tych zamknął potajemnie przekleństwo ojca, który się własnej córki wyrzeka.

Zadygotało serce Helenki z przerażenia, bo pojęła ukrytą myśl jego.

— Nie bójcie się, tatulku!.. — zapewniła go skwapliwie i pobiegła do matki, bo jej było strasznie.

Tam dziewczyna chlipała żałośnie, a matka długo jej coś szeptała i palcem przygrażała. A kiedy Helenka już spała, podeszła do niej na palcach, pogłaskała leciuchno po włosach i ucałowała w policzek.

Nazajutrz śpieszyła Helenka do pracy jeszcze bardziej wyniosła i zamknięta w sobie, a w czasie pracy śledziła nieufnie wszystkich, z którymi się zetknąć musiała.

— Unsere stolze Jungfrau ist wieder schlecht aufgelegt![94]) — prychali za nią z przekąsem urzędnicy, lecz Helenka udawała, że nie słyszy.

Wobec Gustlika pozostała nadal tą samą Helenką, co dawniej. Potrafiła szerzyć koło siebie dziwną atmosferę, w której zbolały chłopiec wyczuwał serdeczne ciepło, zdolne goić rany.

To też zachodził teraz częściej do wuja. Stopniowo zapominał o swej porażce. Uczucie doznanej krzywdy uciszał w towarzystwie Helenki, zacierał w obecności wesołego Karlika, a doostatka dławił w zaciekłej pracy przy walcach. Ona mu bowiem przynosiła najwięcej ulgi. Chociaż wracał dodom zdrożony, nawpół oślepły od żaru i ustawicznego wpatrywania się w błyski sunących koło nóg skrętów białego żelaza, żywił do niej wdzięczność.

Przez dziesięć godzin stał z dużemi kleszczami obok walców i czatował na koniec miażdżonej wstęgi stalowej. Wybiegała z pomiędzy karbowanych szczelin, ostra, gibka, rozdygotana i sycząca, jak jadowite żądło cudacznej bestji. Ledwie z pomiędzy walców chlusnął mu w oczy

---

[94]) Nasza dumna dziewica jest znowu w złym humorze.

oślepiający żar, schylał się szybko i wymierzonym ruchem dłoni zaciskał koło niej kleszcze. Chwilkę przeczekał, aż wstęga rozleci się po płytach. Zwijała się w szerokie, obłąkane pętle, snuła nieskończoną taśmą ognistą, zakreślała w oczach migotliwe zygzaki, podobna do pioruna, który stężał w potwornem ujęciu walców i kleszczy, a teraz resztą sił szamoce się i wyrywa do ostatniego uderzenia. W pewnej chwili, gdy granica roztrzęsionej pętli doleciała swego kresu, zakreślał ponad głową szeroki łuk kleszczami, drgająca wstęga przerzucała się półkolistą rozżarzoną smugą, rzygnęła spiekotą na skurczoną twarz, i w tem okamgnieniu znikała w szczelinie sąsiedniego walca. Jedno nachylenie ciała, jeden rzut ramionami, a szarpiący się koniec wstęgi połknęły zgrzytliwe walce i jęły z wyciem wchłaniać. Wtedy Gustlik stał w kolistym obrębie rozwichrzonej wstęgi. Gnała z suchym szelestem po płytach, zawracała w szerokiem ogięciu, a kiedy jej drugi koniec nareszcie wychynął z pod walców, waliła nim naokoło z krzykiem, sypała iskry, rzucała się, usiłowała koło nóg jego zdradliwie się owinąć.

A Gustlik tymczasem już czatował na nową rozpaloną białą smugę stali.

Ryk maszyn, zgiełk tysiąca jej mięśni i dudnienie podłogi upajały go. Raz wraz motały mu spojrzenie smugi pary, co się z walców kłębiła. Oblewane wodą, syczały, a z nadmiernego wysiłku wyły przeciągle wysokim, piskliwym tonem. Gustlik nachylał się do nich tak nisko, że po twarzy spływał parzący ich wiew. Spotniały, zdyszany, a do ostatnich granic czujny, miewał w takich chwilach jedno tylko pragnienie, żeby na czas ująć wybiegający koniec rozgniatanego żelaza. Inaczej musiałby go chwytać na posadzce, a onby uciekał przed nim, jak przerażony a kąśliwy wąż. Rytm pracy zlewał się koło niego

w olbrzymi szum spiętrzonych dźwięków. Jakby ogromna woda przewalała się koło niego, z niepojętej wysokości spadająca. Poza tern nic dla niego nie istniało. W myślach powtarzał bezwiednie twarde rozkazy:

— Chwycić!..

— Przechynąć!..

— Pod walce utrefić!..

Wiedział, że najmniejszy fałszywy ruch groziłby mu kalectwem. Śmignie roztańczona pętla po nodze i koniec wszystkiemu!.. Zanimby się wymotał z jej zwojów, przegryzie nogę do kości.

Z rozkoszą patrzał, jak pędzi o kilka centymetrów koło jego stopy, jak trzepoce się wściekła, jak słuchać musi jego woli. Jakby zwierz żywy, jak ów złotogłowiec legendarny, przebywający gdzieś w czeluściach Beskidów, którego teraz za jadowity łeb ujął i trzyma twardo w zwartych łapach.

Kiedy ciepły, lepki pot zalewał mu oczy, ocierał ie szybko rękawem mokrej koszuli. Jeżeli musnął nią po ustach, zostawał na nich słony posmak startego pyłu. To był jedyny ruch nieskojarzony z rytmem spełnianej pracy. Poza tem wszystkie jego nachylenia ciała, wszystkie jego rzuty ramion, gwałtowne a sprężyste, związane były z szalejącą koło niego maszyną. Tworzyły z nią harmonijną całość. Sam stawał się maszyną i przestawał myśleć o wszystkiem, co nie było jej myślą.

A kiedy zaś w połowie szychty jego walce spoczęły na godzinę, a on siadał wymęczony na złomie żelaza, w oczach kołowały mu świetliste wstęgi, a w sercu było mu tak, jakby znienacka ocknął się obok umarłego człowieka. Przerażał go bezwładny spokój wstrzymanej maszyny.

Jednostajność pracy zabijała w nim wspomnienia o Bronce. Dodom wracał wyjałowiony z myśli o jej istnieniu. A jeżeli czasem przedbieżało go wspomnienie tamtej chwili krzywdzącej, wydawało mu się jeno krztuszącym dymem, który rychło się rozwieje.

W opowiadaniach swych przed Helenką i Karlikiem napomknął raz o Jasełkach karwińskich. Dziewczyna zainteresowała się niemi.

— Wiesz, co? — rzekła pewnego razu do niego — a możebyśmy i u nas kiedyś coś podobnego odegrali, ni?

Karlik poparł ją żywo.

— Farona kandy, toby było fajne tako kumedja u nas zrobić! Ty, Gustlik, jak myślisz?

Poszli z tym pomysłem do Wałoszka. Wysłuchał ich w milczeniu, chwilę coś myślał, a potem powiedział:

— Dobrze mówicie! Wszędzi grają przedstawienia, oto w gazecie stoło, że w Czerwionce grali święto Genowefa, to i my se możemy zagrać. Poczkejcie dziecka, jo pójdą do Marka i do Ściskały. Jak wrócą, bydymy dali mówić o tem.

I poszedł. Myśl ta zachwyciła go. Dziwował się, że się wcześniej nikomu nie nasunęła. Marek i Ściskała przyklasnęli jej z zapałem. Uradzili, że trzeba koniecznie porozumieć się z księdzem proboszczem. Poszli więc teraz w trójkę do proboszcza.

— Ależ owszem, moi kochani — uradował się księżoszek — piękna to myśl. Tylko musimy najpierw omówić, ktoby sztukę wyćwiczył, jaką, i czy znajdzie się tylu amatorów. Co do mnie, to uważam, że wszystkiemu się zaradzi. Gorzej będzie jednak ze sceną. Bo widzicie, w całej Ligocie niema sceny. Niemcy mają w kasynie kopalnianem, lecz żeby nas tam dopuścili, o tem niema ani mowy. Wiecie, co wam powiem? Przyszlijcie mi tutaj owych

trzech inicjatorów, to znaczy — Helenkę, Gustlika i Karlika. Ja z nimi omówię sprawy związane z wyborem sztuki, amatorów i kierownictwa. A potem przyjdę do was, Wałoszku, to resztę obmyślimy.

— Przyjdą, przyjdą, księżoszku! — przytaknął Wałoszek.

— Przedewszystkiem pomyślimy o scenie. A potem o innych rzeczach. No, to dobrze, że tak się stanie. Niech ludzie usłyszą słowo polskie nietylko z ambony, ale i ze sceny. To dobrze!.. No z Panem Bogiem, moi kochani, a przyszlijcie mi tutaj jeszcze dzisiaj tamtę trójkę. Ja znów do was, Wałoszku, przyjdę pojutrze wieczorem. Wy, Marku i Ściskało, też będziecie mogli przyjść?

— Ale bydymy mogli, bydymy! — potwierdzili obydwaj.

— No, to dobrze. Z Panem Bogiem, a nie mówcie narazie nikomu o tem. Z powodu Niemców...

— Z Panem Bogiem, księżoszku, z Panem Bogiem — pożegnali się z nim i poszli.

A kiedy już dochodzili do hałdy, odezwał się Marek:

— A to zaś się Niemcy w pięta ugryzą, gdy się o tem dowiedzą, ni?

Tego samego dnia wybrali się do proboszcza Helenka, Gustlik i Karlik. Radzili długo nad wszystkiem, co a jak. Wkońcu na tem stanęło, że sztukę dostarczy proboszcz, Gustlik podejmie się jej rozpisania, jako że najlepiej po polsku umie, a potem wyuczy jej amatorów, Karlik powyszukuje sprytniejszych chłopców do ról męskich, a Helenka zaś zwerbuje dziewczyny do ról żeńskich. Proboszcz miał dostarczyć sztukę w ciągu tygodnia. Tamci trzej przemawiali za sztukę narodową, lecz proboszcz im wytłumaczył, że nie Iza, bo Niemcy nie pozwolą. Jedynie można liczyć na sztukę treści religijnej.

— Tóż dobrze, księżoszku — zgodził się za tamtych Karlik — niech bydzie religijno, ale tako z królem. Bo jo byda chcioł jeny króla grać, wiedzą, z taką farońsko korona na głowie. No, ni?

Proboszcz uśmiechnął się pobłażliwie.

— Dobrze — powiedział — poszukam takiej z królem, kiedy już tak chcesz.

Odprowadził ich do sieni, pożegnał uśmiechem, a potem długo patrzał za nimi. Na starych, zwiędłych ustach miał ciągle ten sam dobry uśmiech.

Odtąd mieszkanie Wałoszka napełniło się co wieczora radosnym gwarem. Ksiądz proboszcz wystarał się o trzy egzemplarze sztuki o świętej Genowefie. Gustlik z Helenką rozpisali w kilku dniach wszystkie role. Zwołani chłopcy i dziewczęta zbiegali się z uradowaniem do Wałoszkowej izby, gdzie im przewodził Gustlik. Rozdał role według swego uznania, a kiedy już miano poza sobą kilka prób czytanych, przystąpiono do piłowania każdego poszczególnego aktu.

Karlik koniecznie upierał się, że musi odgrywać Zygfryda. Gustlik i Helenka nie zgadzali się.

— Widzisz — tłumaczył mu Gustlik — Zygfryd, to musi być człowiek okazały, duży, piękny, a tyś nie jest przeca zaś taki. Tobie pasowałaby najlepiej rola Gola.

— Co, tego szpatnego zbójnika? — krzyczał Karlik, oburzony do żywego, że mu wciskają rolę podstępnego intryganta. — Jo nie potrzebują grać takiego chachara farońskiego, ni! Ty se ją weź, a mnie dej kierą inszą. Wiesz?

Byliby się pokłócili, gdyby nie Helenka. Ona ich pogodziła.

— Cicho bydźcie! — uciszała ich. — Ty, Gustlik, ty nie możesz grać, bo musisz być... jak się to nazywo?

— Reżyser!

— Tak, ty musisz być resy... reżyserem! Tak się to prawi?.. Tóż ty nie możesz grać. A Karlikowi dómy rola Wilkosza. On akurat bydzie do niej pasować. Cicho bydź, nic nie prow — zwróciła się do krzywiącego się Karlika — prowda Gustlik, że jemu pasuje rola Wilkosza, ni? To je fajno rola. A Zygfryda bydzie grorł...

— Ale ni, Helenko! — jął prosić zrozpaczony Karlik — dyć podziwej się, przeca jo poradza grać rola Zygfryda. Dyć jo nima tako buła! Podziwej się, Helenko — i tak żałośnie patrzał jej w oczy, że Helenka zgodziła się wkońcu na Zygfryda.

— Powiedz mi, czemu akurat chcesz Zygfryda? — pytał go Gustlik.

— Bo to jest dziepro fajno rola. Jak se dóm na głowa taki piękny kłobuk z piórami, a obleka się w taki fajny mundur, to mnie ani mamulka nie poznają. A grać byda, jak sto set. A jak mi to nie pójdzie, to se wyciągną na scenie harmonika, a zagróm na niej, to bydzie jeszcze piękniejszy, ni!

— Ty! jak myślisz takie głupoty robić na scenie, to nie bydziesz grać! Wiesz? Jeszcze nóm gańby narobisz między ludziami i bydzie po całej paradzie. Nie śmiesz tego robić,

— Wiesz, kiedy Karlik bydzie mioł iść na scena, to mi musi oddać swoja harmonika! — wtrąciła się Helenka, kładąc kres Gustlikowemu zmartwieniu.

Próby odbywały się teraz trzy razy w tygodniu, i to tylko co drugi tydzień, kiedy Gustlik i Karlik mieli szychtę na dzień. Po całej Ligocie rozbiegła się już wieść o przygotowywanem przedstawieniu, każdy się radował na ów wieczór, kiedy będzie mógł to wszystko na scenie zobaczyć, chłopcy zaś i dziewczyny szczerze zawiścili wy-

brańcom, których Gustlik z Helenką dopuścili do współudziału w grze.

Gustlik, zmuszony koniecznością, odkrył w sobie zdolności reżyserskie. Z początku szło mu to niesporo, bo aktorzy czytali kiepsko swoje role, a gdy się ich wkońcu nauczyli, chętnie posługiwali się w djalogach swą gwarą. Każdą rolę rnusiał gruntownie studjować i najpierw sam ją pokazać, jak powinna być oddana. Męczyło go to, lecz równocześnie radowało, bo widział postępy u swych współtowarzyszy. Helenka zaś uczyła dziewczyny.

Kiedy już je jako tako umieli, odsunęli ławę i stół od ściany, zakreślili kredą na podłodze wyimaginowaną scenę, zaznaczyli drzwi i okna, i próbowali teraz gry wobec tak zwanej publiczności. Byli to górnicy i hutnicy, co się schodzili do Wałoszka, czasem i ksiądz proboszcz znalazł się między nimi, czasem koledzy Karlika i Gustlika, a raz nawet Heima Kowollowa wśliznęła się cichaczem, pragnąca zobaczyć swoją Helenkę w roli świętej Genowefy.

Odeszła z płaczem do domu.

— Ja, mnie Vater nie pozwoli ani do was przychodzić, ani mnie potem nie puści na przedstawienie. A gdyby teraz wiedzioł, żech do was poszła, toby mnie doma skrzyczał! — skarżyła się przed Helenką w sieni.

Helenka była bezradna. Pocieszała ją, jak mogła, lecz Helma nie mogła się uciszyć. Odprowadziła ją na drogę, a kiedy się już żegnały, ucałowała nieszczęśliwą Helmę i po twarzy długo głaskała.

— Nie starej się, Helmeczko — mówiła — dyć jednak kiedyś musi się to skończyć. Tatulek mój dycki powiadają, że Niemców czy rychlej czy nieskorzej wszyscy djasi wezną, a wtedy i twój Vater nie bydzie taki na nas zawzięty. Uwidzisz!..

Helma nie uwierzyła. Gdzieżby tam Niemców djasi wzięli? Hm, też coś. Vater zawsze powiada, że Niemcy cały świat zawojują, że to potęga, której nikt na świecie nie zmoże. A tuby oto garstka upartych, biednych robotników chciała im coś naprzekór uczynić. Nigdy w życiu!

Kiedy młodzi aktorzy ćwiczyli się zawzięcie, proboszcz czynił starania, by uzyskać od władz pozwolenie na odegranie sztuki. Wysłał do komisarjatu policyjnego w Opolu podanie, ostemplował je, załączył egzemplarz, lecz po kilku dniach otrzymał je zpowrotem z uwagą, że sztuka musi być przetłumaczona na język niemiecki. Marek wtedy ciężko zapieronował, Wałoszek i Ściskała zafrasowali się mocno. Bo jakże tu sztukę tłumaczyć? Toćby im to wzięło z rok czasu! Jedynie ksiądz proboszcz nie tracił nadziei.

Pojechał do księdza posła Brandysa na poradę. Wszystko mu opowiedział, zostawił egzemplarz wraz z odpowiedzią komisarjatu policyjnego z Opola i wrócił do domu.

— No, i co, księżoszku? — dopytywali się wszyscy niespokojnie.

— Oddałem sprawę księdzu posłowi. Zapewniał mnie, że załatwi pomyślnie, gdyż komisarjat nie ma prawa wymagać, by tego rodzaju egzemplarze przedkładano tylko w języku niemieckim.

— Dej też, Panie Boże, żeby tamten księżoszek co mogli zrobić!

— Spodziewam się w ciągu dwóch tygodni pomyślnej odpowiedzi — dodał jeszcze ksiądz proboszcz.

Interwencja posła księdza Brandysa poskutkowała. Landratura opolska zgodziła się na przedłożenie egzemplarza w języku polskim i spowodowała, że komisarjat policyjny udzielił zezwolenia.

Teraz chodziło o uzyskanie sali. W Ligocie były dwie gospody z dużemi salami. Jedną dzierżawił Niemiec Bruno Fuhrmann, druga była własnością Szuścika. W żadnej nie było sceny. Wałoszek z Markiem poszli do Szuścika, by na dzień 30 marca wynajął im salę. Szuścik chętnie się zgodził. Toć zawsze jakiś grosz mu to przyniesie. Ludziska się zejdą, wypiją małowiele, dadzą zarobić, dlaczegożby nie użyczył sali?..

— Jeno czy mocie zezwoleni od policji? — zapytał przezornie Wałoszka.

— Ale mómy, mómy!

— No, to dobrze!. To niech tu przyjdą chłapcy, to se sam postawią scena fajno oto pod oknami, prowda, ni? Jo dóm beczki, deski też mogą pojczać, prowda, ni? a sam powiesi się deki jedna i drugo sam na ścianie, prowda, ni? i bydzie fajno scena, ni? A o policajsztunda to się sóm postaróm. To już bydzie na mojej głowie, prowda, ni?

Uradowani wracali do księdza proboszcza.

— Pierona, to się Niemcy w pięta ugryzą — powtarzał swoje Marek raz po raz.

Proboszcz również się uradował.

— A jak myślicie, nacoby przeznaczyć dochód, o ileby się jaki zdarzył?

— Oni myślą, księżoszku, dochód z tego przedstawienia? — zapytał się Marek.

— Tak, bo jeżeli Szuścik nie żąda żadnego wynagrodzenia za salę, to jednak któraś marka się zbierze.

— A nic nie padół, żeby chcioł co za swoja sala — zaznaczył Wałoszek.

— To znaczy, że nic nie zażąda. No, jak myślicie, nacoby ów dochód przeznaczyć?

— Jo myślą, księżoszku — powiedział po namyśle Wałoszek — żeby za te pieniądze potem kupić książek do bibljoteki naszej.

— Dobrze powiedzieliście — przytaknął żywo proboszcz — bo ja to samo myślałem.

— Eh, już tam kupujemy książki, jak ten handlyrz skóra z niedźwiedzia, a niedźwiedź był jeszcze w lesie! — dorzucił Marek. Zgorszony Wałoszek skubnął go za surdut.

Proboszcz uśmiechnął się nieznacznie.

— No, muszę przyznać, że i wy, Marku, macie słuszność, Niech więc na tem stanie. Jeżeli zbierze się jakiś grosz, przeznaczymy to na bibljotekę. A jeżeli nie będzie żadnego dochodu, to i tak będzie wielka korzyść. Ludzie usłyszą czyste słowo polskie ze sceny, zbudują się sztuką, a równocześnie będzie to zaczątek dalszej pracy w tym kierunku. Widzicie więc, że nic nie stracimy.

— To jest prowda! — przytaknął Marek.

Zbliżały się ostatnie dni. Amatorzy zbierali się już teraz co wieczora u Wałoszka, by sztukę do ostatka wyćwiczyć. Z Gustlikiem przychodził Ściskała z żoną. Kobiecina poweselała od chwili, kiedy Ściskała mógł już pracować w kopalni. Zarobił wprawdzie mniej, niż dawniej we filarze, lecz jednak coś, że starczyło na codzienny chleb. Sztygar przydzielił go do haspla w pokładzie Roemera. Siedział sobie teraz na zydelku za chrapiącym kołowrotem, śledził za przetaczającą się liną, wywlekał z pochylni naładowane wozy, czekał aż mu je przepinacze zepchną w chodnik, a na ich miejsce uczepią próżne, a kiedy dzwonek zakrzyczał nad głową, przesuwał skobel i maszyna jęła pracować. Nie umęczył się wiele, tylko że rnusiał bacznie uważać, by czegoś nie zmajstrować. To

się lina mogła zapętlić, to któryś wóz o koślawych kołach wyskoczyć ze szyn, ba nawet linę zerwać. Zawsze coś.

Kiedy w prawej dłoni trzymał skobel, a lewą wspierał o drążek hamulca, rzucił czasem okiem na cztery kikuty u dłoni, obciągnięte różową skórą. Wtedy ukłuło go w sercu, bo mu zabyło żal palców. Lecz to rychło mijało, bo trzeba było śledzić za wyprężonemi linami, czy się prawidłowo nawijają na bęben.

Teraz cudował się z żoną, patrząc na grę młodych aktorów. Cmokali obydwoje, dłonie składali w podziwie, głowami kiwali, a raz wraz wygłaszali głośne uwagi, pełne uznania dla grających.

— Hy, to jeszcze nic! — przechwalał się zadowolony Gustlik — ale jak się dziepro ubiorą w kostjumy! To dziepro bydzie szumne!..

— W co to się ubierą? Jak to prawisz? — pytał się Ściskała, bo nie dosłyszał.

— No, w kostjumy! Takie insze ubranie. Helenka bydzie miała taką długą suknie, co się bydzie za nią smykać, a na ramionach bydzie miała takie wielkie buły. A włosy bydzie miała rozplecione. A Karlik zaś...

— Poczkej! jo powiem! — przerwał mu chłopiec — jo byda mioł taki wielki kłobuk z piórami strusiemi, a tako fajno bluza aksamitno ze złotemi kneflami, a galaty do kolan, a potem już pończochy. Ani mnie nie poznocie. Ni?..

A kiedy Helenka wystąpiła w zakreślone koło z małym Bolesiem, i jęła mu opowiadać o tatusiu, co kiedyś może po nich przyjdzie, Ściskałka rozpłakała się w głos. Tak się rozczuliła nad ciężką dolą biedaczyny Helenki i jej Bolesia. Pociągała mocno przez nos, wycierała go fartuchem i coraz mocno wzdychała, wyrzekając półgłosem na niesprawiedliwość ludzką.

Sprzykrzyło się już to Ściskale, gdyż przeszkadzała drugim w słuchaniu, szturknął ją zlekka w bok i mruknął:

— Dyć się tela nie ślimtej, ni!.. Dyć widzisz, że to jeny kumedja, a ty tak beczysz, jakby to doprowdy było!..

Mały Boleś zaś, widząc upłakaną Ściskałkę, także się rozpłakał. Trzeba było po matkę, młodą Sławiczkulę, do kuchni posyłać, żeby szła swojego synka uciszyć.

Gustlik zaś cieszył się zgóry na wynik przedstawienia.

— Jo wóm powiadóm — mówił do zgromadzonych dziewczyn i chłopców po skończonej próbie — jeśli teraz już tak płaczą, to dziepro’ bydzie płaczu na sali, jej kandy!..

W piątek zebrali się wszyscy w gospodzie u Szuścika, żeby najpierw scenę zbudować, a potem urządzić na niej ostatnią próbę. Dopołudnia przywiózł kostjumy z Rybnika młody Waleczek. Wypożyczył je z tamtejszego Towarzystwa Czytelni Ludowej za polecającym listem księdza proboszcza.

Z młodzieżą przyszedł także Marek i Wałoszek. Ledwie jednak weszli do sali, przyszedł do nich zafrasowany Szuścik. Skrobał się po głowie i nie wiedział, co powiedzieć.

— No, cóż tam, Szuściku, takiście zastarany — zapytał Marek, zauważywszy jego widoczne zmartwienie — czy wóm staro jakie krzywe słowo powiedziała?

— Ale, pierona jasnego! — zaczął odrazu Szuścik — figa bydzie z tego wszystkiego, ni!

— Co za figa? — zadziwił się Wałoszek.

— Hale... jak wóm to powiedzieć... — jąkał się zakłopotany gospodzki — nie byda wóm mógł sali wynająć!

— Co?! — wrzasnął oburzony Marek i zerwał się z ławy — co wy padocie?

— Tóż jako padom, prowda, ni? Był tu ten wydrzyduch pieroński, Sojka, prowda, ni? i padół mi bestja, że pón landrat mają na mnie krzywe oko, ni! a jeśli jeny nie chca, żeby stracić koncesyja na gospoda, prowda, ni? to musza wóm odmówić sali na przedstawieni!..

Wałoszek i Marek oniemieli z oburzenia. Więc na dwa dni przed niedzielą, a odmawiają im sali!

— Padół ten pieroński Sojka — ciągnął dalej Szuścik — że jeśli nie chca zadzierać z panem dyrektorem Langhorstem, to mi nie Iza pojczować sali na wasze przedstawieni. Tak mi padół, ten pieroński Judosz ryszawy! — i splunął z obrzydzenia na podłogę.

Marek jął się teraz rzucać i prać pięścią po stole i od pieronów siarczystych wyzywać na wszystkich, Wałoszek zaś uspokajał go łagodnie i starał się wytłumaczyć, że gniew nic tutaj nie pomoże. W oczach znowu paliły się zimne błyski a szczęki zwierały w tłumionej wściekłości.

Helenka się rozpłakała z żalu, a Gustlik z Karlikiem wydziwiali niezgorzej od Marka, Reszta chłopców pomagała im żywo. Wszczął się więc w sali taki hałas, że się aż Szuściczka polękała, by przy tern wszystkiem jej chłop coś nie oberwał.

— Mój Boże, chłopeczku — lamenciła, szarpiąc go za ramię — pódź tustela, bo ci jeszcze jako paskuda zrobią, pódź!,.

— A coby mi mieli robić paskuda — ofuknął ją Szuścik — czy jo temu winien, prowda, ni?..

— Nie bójcie się, Szuściczko — odezwał się Wałoszek — dyć my przeca wiemy, że wasz temu nie winien. Ha, trudno! Pójdźcie, dziecka, do chałupy!..

I poszli.

A kiedy stanęli na rozdrożu, milczący Marek podniósł nagle zaciśnięte pięści w górę, odwrócił się w kierunku huty i wycharczał zduszone przekleństwo:

— O, wy pierony przeklęte germańskie!..

W słowach jego mieściło się tyle piekła, tyle potwornej nienawiści, że aż przerażenie obleciało zebranych. Spojrzeli mimowoli w kierunku rzuconej klątwy. Nad czarnemi masywami zabudowań kłębiła się ogromna pożoga, przetykana rudemi ochłapami dymów. Wszyscy ujrzeli w niej tę szatańską złość, która się uwzięła, by ich zniszczyć. Tak im się zdawało. A wtedy struchlały lęk wypełznął z mroków, z pod rozkolebanych łun, i ścisnął ich serca żelaznemi pazurami.

Trwało to chwilkę.

Bo wnet uspokoił ich i otuchą natchnął mocny a dźwięczny głos Wałoszka:

— Uwidzicie, że przyjdzie czas, iż ich kiedyś Pónbóg ciężko pokorze za ta nasza poniewierka! Uwidzicie!..

Nazajutrz poszła Helenka do pracy. W sercu miała piołun, a w oczach nabiegające łzy. Nie mogła przeboleć tej krzywdy. Za dużo samej siebie włożyła w ów ich radosny wysiłek, by teraz się pogodzić z losem.

Koło godziny czwartej, kiedy już zabierała się do domu, przybiegł po nią chłopiec z poleceniem od Willicha, że ma się natychmiast udać go jego kancelarji. Poszła. Bunt w niej gorzał.

— Jak mi co powie, trzasna bestja w pysk! — postanowiła po drodze.

Kiedy weszła do kancelarji, zastała Willicha w fotelu. Odwrócił się do niej z uśmieszkiem i chwilkę patrzał. Dziewczyna stanęła u progu i czekała na rozkazy. Przypuszczała, że każę jej zanieść jeszcze listy na pocztę.

— Co nowego, Helenko? — zapytał po niemiecku.

— Nic! — odrzekła opryskliwie dziewczyna, również po niemiecku. — Czego sobie pan życzy?

— Co ja sobie życzę?.. Oto dwa listy. Proszę je wziąć po drodze na pocztę. Ale zaraz! — i cofnął je, gdy dziewczyna wyciągnęła po nie rękę.

I znów wlepił w nią zachłanne oczy. Stała wzburzona, z wypiekami na policzkach. Taksował jej kształty, zarysowujące się lekko pod bluzką, obmacywał spojrzeniem jej biodra, ślizgał po smukłych nogach, rozkoszował jej urodą.

— Wczoraj wam odmówił Szuścik sali na przedstawienie?

— Pan lepiej chyba wie o tem!

— I co teraz?

Dziewczyna milczała. Do czego on zmierza? Patrzyła mu w oczy wyzywająco.

— Na, i co teraz? — zapytał powtórnie.

— Nic! — rzuciła Helenka.

— Nie będziecie mogli swej sztuki odegrać, prawda?

Do czego on zmierza? Lekki niepokój zapełgał w Helenczynych oczach.

— Ale, gdybyś, Helenko, chciała, tobyście mogli ją odegrać. Jeszcze w tę niedzielę.

— Gdzie?

— W kasynie kopalnianem. Tam jest scena. Chcesz?

— Chcę! — wykrztusiła dziewczyna. Nagle radość wezbrała w niej, serce zatrzepotało się żywo.

— Dobrze. Możecie grać w kasynie, jak powiedziałem. Ale...

— Ale co?..

— Dzisiaj jeszcze rzecz załatwię. Po pisemne zezwolenie musi ktoś przyjść do mnie. Bo do was nie mogę przychodzić. Najlepiej, żebyś ty sama przyszła...

— Więc zgoda! — rzekł po chwili Willich, nie mogąc się doczekać odpowiedzi. — Przyjdź do mnie wieczorem koło godziny siódmej. Pozwolenie będzie gotowe. A teraz... — tu wstał i podszedł do Helenki — a teraz... na zadatek!.. — i zanim dziewczyna miała czas się usunąć, skoczył do niej, ujął ramionami wpół, przygarnął do piersi, przechylił i ucałował. W tej samej chwili Helenka wywinęła się z jego ramion i z całej siły uderzyła go pięścią w oczy. Willich zamroczony cofnął się, a kiedy je przetarł, nie zastał już dziewczyny. Uciekła.

— Verflucht! So eine Kratzbürste!.. Aber warte, ich werde dich schon weich kriegen!..[93])

Splunął z wściekłości, trzasnął drzwiami i poszedł do domu.

XXV.

Drugi poziom na kopalni Göttenborg w Ligocie był zatopiony od niepamiętnych czasów. Znajdowały się w nim trzy pokłady węgla. Dwa niskie kończyły się uskokami w obrębie swego poziomu, trzeci znowu, Edmund, wysoki na dziesięć metrów, opuszczał się skośnie w trzeci poziom i sięgał granicy czwartego.

Kiedy w Edmundzie natrafiono na żyłę wodną, tamte dwa pokłady były już prawie wyczerpane. Ponieważ wywalająca się woda zatapiała najpierw stare wyrobiska i ganki, leżące poniżej przekopu, umożliwiającego dostęp do szybu zjazdowego, wszyscy górnicy potrafili się uratować, a pod szybem wznieść dwie potężne tamy sferoidalne. Zbudowano je z sosnowych kloców, które wysuszone i obrobione w kształcie ściętych ostrosłupów, czekały już od dawna na swoje przeznaczenie. Zarząd kopalni spo-

---

[95]) Psiakrew! Taka dzika! Ale poczekaj, już ja cię ułagodzę!

dziewa! się był bowiem zalewu Edmunda. Pokłady żwiru, piasku i wapienia, ułożone na nim warstwami, przepuszczały wodę z powierzchni ziemi. Tamy, naprędce wzniesione, wzmocniono zczasem trzecią, murowaną, zaopatrzoną rurą ściekową u dołu i manometrową u góry. Jeżeli manometr wykazywał nadmierne ciśnienie nagromadzonej wody, wypuszczano ją do szybowego żompia, a pompy, znajdujące się w podszybiu czwartego poziomu, wyrzucały ją na powierzchnię.

Między staremi wyrobiskami Edmunda w poziomie drugim, a przodkami w poziomie trzecim pozostawiono odgraniczające filary kilkumetrowej szerokości. Stanowiły one naturalną tamę, zabezpieczającą Edmunda przed zalewem.

Górnicy oswoili się z myślą, że tuż za ich przodkiem, za grubą ścianą węglową, czatuje na ich życie czarna, cicha, spokojna woda, uwięziona w zawalonych czeluściach. Podziemnemi strużkami spływała z powierzchni, plątała się niteczkami srebrzystemi pomiędzy szczelinami wapienia, schodziła coraz niżej i niżej, aż natrafiała na swe zbiorowisko. Teraz wezbrana pod zszarpany strop, mętna, opęczniała utajoną burzą, czekała wyzwolenia. Jeżeli kiedyś nadejdzie, runie z opętanym krzykiem w puste przestrzenie starych robót, śmierć z sobą dla ludzi przyniesie, zniszczy w okamgnieniu owoce długoletniej ich pracy, a potem, kiedy już ostatni załomek wypełni, uczai się chytrze nie wiedzieć na jak długo i znowu będzie czekała następnego wyzwolenia.

Inżynierowie długo się frasowali i po nocach nad mapami siedzieli, medytując pilnie, jakby tu wykorzystać olbrzymie połacie pokładu Edmunda, stanowiące granicę między zatopionemi wyrobiskami a obecną odbudową.

Szkoda tyle węgla pozostawić bez użytku! Ale jakby to uczynić?

Wkońcu wymyślili. Po mozolnych obliczeniach i kreśleniach oślinionym ołówkiem, po licznych godzinach ślęczenia nad szerokiemi stołami i za biurkami, wymienili pompy w czwartym poziomie, wymienili rury w szybie, przebili sztolnię w jądrze Edmunda, sięgającą od podszybia w czwartym poziomie aż do najwyżej położonego chodnika w trzecim poziomie, doszli do ściany oporowej i tu się wstrzymali. Wybrano najbardziej doświadczonych górników. Starego Wierbę, Hanslika, Ligonia i Kopoczka. Do pomocy przydzielono im młodego Smelika i Karlika Szerokiego. Inżynier Schimaschko miał kierować pracą.

Inżynierowie liczyli na pomyślny przebieg swych zarządzeń. W oporowej ścianie wywierci się dziurę flotmanką. Następnie zastosuje się świdry ręczne. Kiedy z otworu wygrzebią kopacze pierwszą szczyptę wilgotnego miału, wstrzyma się dalszą pracę, pousuwa wszystkich górników z zagrożonego rejonu, a drogę, prowadzącą od przodka aż na przekop oświetli się rozwieszonemi pod stropem lampami. Na wszelki wypadek, aby w razie nagłego wybuchu wody mogli robotnicy uciekać pod szyb. Woda wprawdzie staczałaby się sztolnią do upadu, do żompia w czwartym poziomie; może zajść jednak i ta okoliczność, że nadmiar jej nie zmieści się w sztolni, a wtedy popędzi chodnikiem za uciekającymi robotnikami.

Za pierwszym śladem wody obuduje się przodek stemplami, gęsto, jeden przy drugim poustawianemi. Następnie rozszerzy się otwór, wepchnie weń rurę z kranem i umocuje klinami. Wówczas nastąpi najbardziej niebezpieczna część pracy. Przebić ścianę do reszty, ostrożnie, spokojnie, za każdem uderzeniem młota o głowicę świdra

odskakując w bok, a kiedy już woda wystrzeli otworem i świder wyrzuci, szybko zamknąć kran.

Tak się przedstawiała praca w teorji, poparta szeregiem cyfr cudacznych i mnóstwem wykresów.

Przypuszczano, że w ten sposób będzie można opuścić wodę ze starych wyrobisk, osuszyć je i przystąpić do wybierania szerokich filarów oporowych. Nie będzie już wtedy groził kopalni niespodziewany zalew. Sztolnią pobieży strumień czarnej wody dniem i nocą, latami całemi, a pompy potrafią ją wypchnąć na świat boży.

Tuż u wejścia do sztolni, kilka metrów poniżej przodka, zbudowano mocną tamę betonową. Inżynierowie bowiem liczyli się z tem, że napór wody może skruszyć ścianę oporową, nadwyrężoną wywierconym otworem. W tamie była zaprawiona obszerna rura z wentylem, zamykanym z przeciwnej strony. W chodniku, prowadzącym do przodka, postawiono drugą tamę z żelaznemi drzwiami. W razie wybuchu wody górnicy uciekliby poza nią, zatrzasnęli drzwi za sobą, zaryglowali i w ten sposób zabezpieczyli resztę chodnika i kopalni przed zatopieniem.

Wszystko już było przygotowane do ostatniej pracy. Otwór sztolni wybiegał akurat naprzeciw ściany, którą miano przebijać. Tama w sztolni była otwarta. Żelazne wrota w tamie chodnikowej również otwarte.

Górnicy stanęli przed ścianą, jak przed jakimś potworem, który śpi, i teraz trzeba na palcach koło niego chodzić, by go przedwcześnie nie zbudzić. Ukrytą śmierć po tamtej stronie należy podejść chytrze, uśpić jej czujność, spętać przezornym rozumem.

Stary Wierba pierwszy przyłożył ostry dziobiec flotmanki do calizny węglowej, obejrzał się po towarzyszach,

odkręcił kurek. Zgęszczone powietrze chlusnęło z wyciem w mechanizm świdra, rozkłębiły się tumany czarnego pyłu, świder jął się rzucać i wżerać w kruche jądro węgla. Tonął powoli w otworze, wyrzucał na piersi i ramiona Wierbowe zamiecie ostrych okruchów, a Wierba stał szeroko rozkroczony, spokojny, skupiony i naciskał dłonią flotmankę. Raz wraz odpadały ze ściany duże kawały węgla, staczały się z gruchotem pod nogi, a ze stropu sypał się drobny żwir. Powietrze dygotało głucho w ciasnym chodniku, biło w uszy szybko, jakby ktoś bez przerwy dłonią napłask o ich muszle uderzał, a w rurach, uwieszonych pod stropem, dzwonił metaliczny szum rozprężającego się powietrza.

Krótki świder wgłębił się w otworze po nasadę. Wierba przekręcił kurek, nastała cisza. Hanslik i Ligoń zmienili świdry. Teraz jął się pracy Kopoczek. I znów to samo. Wycie wichru, tryskającego cienką strugą z wylotu maszyny, darło ciszę na strzępy, przenikało człowieka, cienkim drutem zdawało się głowę przewlekać.

Górnicy zmieniali się pokolei. Kiedy jeden skończył, wstrzymywano maszynę, nakładano nowy, dłuższy świder i wgłębiano go dalej. Flotmanka chwilami zacinała się. Widać, pracowała już ponad siły. Długa sztaba, dygocąca w otworze, ciężka, wyginająca się zlekka za każdem pchnięciem tłoka, stawiała opór maszynie. Kiedy się zacięła, kiedy krzyczący jej warkot ustał, a tylko powietrze wyło przeciągle, porywał któryś z górników za młot i uderzał po świdrze. Wówczas zrywała się do nowej pracy, szarpała się w dłoniach ludzkich, wżerała w głąb calizny, a po chwili znowu stanęła.

— No, już dalej nie pójdzie — zawyrokował Wierba — dwa metry już wygrzebała, to mo dość.

Hanslik zakręcił kurek i odłożył maszynę pod ścianę. Smelik i Karlik przynieśli teraz ręczne świdry. Kiedy się po nie wybierali, upomniał ich Wierba:

— A dejcie pozór, chłapcy, nie piercie niemi kaj, żeby się nie skrzywiły!..

Ułożyli je w mały stos pod ścianą. Były różnej długości. Od półtrzecia do sześciu metrów.

Wierba wybrał najkrótszy, wsunął do otworu, rozwiązał pęcherz z tytoniem, ujął w palce tytoniu, zwinął, włożył do ust i usiadł.

— Spocznijmy se kapka, chłopi, bo za chwila bydymy walić kładziwkiem, co wlezie!

Nie spoczywali jednak długo, bo nadszedł inżynier Schimaschko.

— No, jak idzie? — zapytał.

— Na, jużeśmy, panie inżynier, wywiertali dwa metry flotmanką. Teraz się chycymy ręcznemi świdrami.

— Do wiela myślicie dzisio zrobić dziury?

— No, jo tak myślą, panie inżynier, do czterech metrów. Więcej bodej pójdzie!

— Also gut! Jo jeszcze iść do czworty horyzont, a wy tu dać pozór, Wierba!

— No, no! Już jo sam dóm pozór!

— Dobrze, że se poszoł, bo tu psiniec po nim — zauważył Ligoń.

— Baprawieć — przytaknął Hanslik — chociaż jednak powinien sam zostać. Człowiek byłby iściejszy. Bo jak co zmajstrujemy, to bydzie na nas.

— Eh, nie opowiadejcie, ni! — zbeształ ich Wierba — cobyśmy mieli zmajstrować? — Dotknęło go to niemile, że tamci nie mają zaufania do jego doświadczenia. Toć przecież już połowę swego życia spędził w kopalni, w niejednej opresji się znalazł, niejeden raz umknął śmierci!

Gdy człowiek ma głowę na karku, to się nie musi niczego lękać. Chyba Skarbnika. I to wtedy tylko, gdy się znienacka pokaże, przejdzie, nic nie przemówi i zniknie. O, to wtedy, bracie, źle może być z tobą!..

Usiedli wszyscy pod ścianą, jedni zapalili fajki, drudzy żuli tytoń, a Karlik ze Smelikiem usadowili się na przewróconym wozie, by im było wygodniej słuchać gawędy kopaczy.

— Ty, Karlik — odezwał się Wierba — słyszołech, że Szuścik nie doł wóm sali na przedstawienie. Jest to prowda?

— Toć prowda! Przeszłej niedzieli mieliśmy grać, a jo mioł być za Zygfryda, a kiedyśmy przyszli do Szuścika w piątek, żeby scena postawić, to nóm padół, że mu Niemcy zagrozili, że mu koncesja zabierą i tela bydzie mioł!..

— Toć zatracone dziady germańskie! — mruknął Wierba i splunął ze złości.

— No, i co teraz? — zapytał Kopoczek.

— Nó, Wałoszek prawił, aż się nie staromy. Padół, że bydymy grali w stodole jego, jak się jeny trocha odciepli. Ni?

— Toć, terazykej nie Iza byłoby grać w stodole, bo jeszcze się tako zima sroży, żeby każdemu świeczka u nosa wisiała ze zimy. A z ludziamiby pytlowało, jeszczeby się kiery zachłodził, lebo co!..

— A bo też to jest kuryjozno zima, jest! — dodał zmartwiony Ligoń. — Było w lutym tak ciepło, staro dała się słoneczku zbałamucić, nasioła przysady pod okno, i teraz jej wszystka zmarzła!..

— Au mnie też tak. Miołech chlewek pieknie zapakowany, obesłany liściem, jak się patrzy, a jak tak zabyło na świecie ciepło, staro zaczyna bezustanku napalować,

żebych już chlewek odpakowoł, że babuciowi bydzie strasznie ciepło, i jo wziął i posłechnółech baby. A za porę dni musiołech naspadek chlewek pakować, bo mi chcioł babuć zmarznąć!

— Jest to naprowdy dziwny rok. Ludzie powiadają, że święty Maciej i Jozef idą drzewo rąbać, a Matka Bożo idzie niem napolić, a tu już mómy downo po Matce Bożej, już mómy połowa kwietnia, a Matka Bożo jeszcze nie napoliła w piecu i fort je zima stonaramno!..

— No, no, chłopi, my se sam podrzystujemy, a czas ucieko! Chytejmy się roboty! — zakończył pogawędkę stary Wierba. — Wy, Kopoczku, idźcie z Ligoniem po stemple, żebychmy już je mieli na jutro narychtowane, jak nóm przydzie budować, ty Karlik i Smelik bydziecie im pomogać, a jo sam byda wiertoł z Hanslikiem.

Wstali wszyscy. Każdy z nich poprawił spodnie na brzuchu, zaciągnął nieco paska, by mu podczas pracy nie opadały, ujęli za lampy i rozeszli się.

Wierba z Hanslikiem podeszli do ściany i popluli w dłonie. Wierba okroczył świder, tkwiący w otworze, ujął w dłonie i czekał. A kiedy Hanslik zaczął miarowo walić młotem o spłaszczoną głowicę sztaby, Wierba za każdem uderzeniem cofnął ją lekko, wepchnął zpowrotem i równocześnie przekręcił w dłoniach.

Tamtych czterech znowu szło gęsiego chodnikiem. Oczy ich błąkały się z zadowoleniem po sznurze pełgających płomyków, zawieszonych pod stropem wzdłuż ściany. Gorzały spokojnie, rozsypane w równych odstępach, wydłużały się w świetlistą smugę, prowadziły spojrzenie w głębie rozrzedzonego mroku, malały stopniowo w dalekości, że ostatnie światełka wydawało się już tylko jakoby drobnym robaczkiem świętojańskim, który się tu dziwnym sposobem przyplątał.

— Dziwejcie się, chłopi — zauważył Ligoń, wskazując na lampy — jako parada sam mómy. Jak chowali starego Berginspektora Dostała w Chorzowie, to też tako parada zrobili koło drogi. Wszystki lampy elektryczne porożygali, a oprócz tego jeszcze stoli górnicy po obu stronach z lampami i świecili. To też taki było piekne, jak terazykej!..

Minęli ciężkie wrota w tamie i długo jeszcze wędrowali, zanim znaleźli się na przekopie, gdzie leżały śmigłe sosny, odarte z kory. Bieliły się w mroku, a oblepiająca je wilgoć, pachnąca żywicą, drobiła światło lampek na złociste, podłużne drzazgi.

— Sam wónio, jak w lesie! — zauważył z rozkoszą Kopoczek, wciągając mocno chłodny, żywiczny zapach. Przypomniały się wszystkim nieliczne godziny, w których błąkali się po takim woniejącym lesie. Słońce stało wysoko na niebie, żar złocisty zalewał ziemię, jak daleko okiem sięgnąć, a ogromny bór szumiał scicha i sycił płuca ludzkie słodkością nagrzanej żywicy. Człowiek kładł się wówczas na szeleszczącem igliwiu, nawznak, ramiona podkładał pod głowę i patrzał urzeczony w zieloną, przejrzystą kopułę gałęzi, przez które słońce się cedziło i po twarzy miękkiemi, ciepluchnemi paluszkami gmerało. Hej, jak też to pieknie na świecie, jak!..

— Przywieźcie, chłapcy, jaki wózek, żebychmy mogli drzewo naładować! — polecił Ligoń,

Chłopcy pobiegli. Potem pomogli naładować pełny wóz stempli i we czwórkę pchali go do przzodka. Zdaleka dochodził ich już jednostajny podźwięk młota.

— Ale biją! — zauważył zdyszany Ligoń, nasłuchując chwilkę.

Złożyli drzewo w przodku pod ścianę i zawrócili po nowe. Chłopcy mieli uciechę. Bo gdy Ligoń z Kopoczkiem

szli powoli, to Karlik ze Smelikiem rozpędzili wózek, a kiedy już gnał na złamanie karku, uwieszali się go zręcznie i chichotali z radości, że się taki kawał drogi mogą przewieźć.

Potem naładowali pospólnie po raz drugi, trochę odpoczęli i znowu jęli go popychać z wysiłkiem.

Jechać musieli ostrożnie, bo nierówny tor wstrząsał wózkiem, a nadmierna długość stempli przeważała go łatwo i coraz przednia lub tylna para kół wyskakiwała ze szyn. Minęli w ten sposób tamę.

W pewnej chwili doleciał ich poprzez terkot kół daleki, głuchy szum, a równocześnie spostrzegli, że światła wszystkich uwieszonych lamp drgnęły gwałtownie.

Wstrzymali wózek, wlepili oczy przed siebie.

— Cóż to było? — zapytał Kopoczek.

— Cicho! Poczkejcie! — syknął Ligoń i wyciągnął dłoń na znak, by tamci nie przeszkadzali.

Wytężyli słuch. Z głębi chodnika, od strony przodka, dochodził ich jednostajny, wzmagający się szum.

— Pierona! Co to może być?.. Czyby wyrwało ścianę?.. Posłuchejcie!..

Istotnie. Szum wzmagał się. Przechodził powoli w dudniące wycie, głuche jeszcze i puste, jakby z olbrzymiej beczki się wydobywające. Chwilkę znowu słuchali, przechylając głowy w kierunku tamtego głosu. Nareszcie Ligoń zrozumiał.

— Jezus, Marjo! To woda!..

— Woda!.. — powtórzył Kopoczek i za głowę się chwycił.

Karlik i Smelik skulili się, ułapili kurczowo wózka.

— Woda wyparła ściana! Teraz się wywala do sztolni i na chodnik! Za chwila tu bydzie!.. Zatopi nas!..

— A w „Edmundzie”, w upadzie, są ludzie! — krzyknął znienacka Karlik.

— Co robić? — wymamlał zduszonym głosem Kopoczek.

Przeleciało wszystkim przez myśl, by uciekać!,. Uciekać, jak najszybciej! Woda przyleci, straszna, dzika, pochłonie ich!.. Uciekać za tamę i drzwi za sobą zatrzasnąć, rygle zasunąć, śruby zakręcić!.. Inaczej pogoni za nimi, wszystkich ludzi w Edmundzie zatopi!..

— Ale tam zostali Wierba i Hanslik! — opamiętał ich bełkot Ligonia. — Oni tam zostali! Tych naprzód retować!..

— Retować! — powtórzyli wszyscy w myślach. — Jezus, Maryjo! Tam śmierć!.. Tam śmierć!

— Pódźcie! — wykrztusił Ligoń i odwrócił się do tamtych trzech. Był blady. W oczach tliły się zimne płomienie. — Musimy ich retować! Ty... — tu poszukał oczami, kogo wybrać — ty Smelik leć ku tamie!.. Bydziesz stół przy dwierzach!.. Przyrychtuj tak, by je potem można było zamknąć!.. Ale nie zamykej rychli... choćby już woda leciała... aż wszyscy wrócimy!.. Rozumiesz?..

Szum się wzmagał. Światła pod stropem chybotały się teraz bez przerwy, bo jakiś dławiący wiew leciał po chodniku.

Smelik zawrócił i pognał w kierunku tamy.

— A my, chłopi, idziemy!.. — rzucił jeszcze Ligoń i nie patrząc za siebie, jął biec naprzód. Za nim Kopoczek i Karlik. Daleki szum pęczniał, rósł, zbliżał się do nich. Zrozumieli, że woda wypełniła już odcinek sztolni, zamkniętej tamą, a teraz pędzi chodnikiem. Nie zważali na nic. Ligoń jeno wytrzeszczał oczy, by na czas ujrzeć wodę i tamtych za sobą ostrzec. Uskoczyć jej muszą, bo inaczej z nóg zwali. Ale gdzie tamci dwaj?.. Żyją jeszcze?

— Woda!.. — krzyknął znienacka Ligoń i zatrzymał się. Poleciał spojrzeniem po stemplach. U stropu wisiała rura, biegnąca do przodka. Podskoczył, wyrzucił ramiona, rozczapierzył palce i uwiesił się rury. Podciągnął nogi i teraz się kołysał. Odrzucona lampa zgasła. Nie było jej potrzeba, kiedy tamte pod stropem świecą.

To samo uczynił Kopoczek. Spadł. Wtedy Karlik podbiegł, obłapił go za nogi.

— Jeszcze roz! — krzyknął.

Kopoczek odbił się, a podparty ramionami Karlika, zawiesił się u rury.

Teraz Karlik. Zanim skoczył, spojrzał. Na kilka metrów przed nim przewala się olbrzymi zjeżony wał wodny. Ryczy przeciągle. Opętany wściekłością leci szybko, a bryzgi łamanych fal łyskają w świetle, jak kłapiące zębce niesamowitego potwora. Na grzbiecie niesie połamane stemple, bije niemi o ściany, obrywa kawały węgla.

W ostatniej chwili Karlik podskoczył. Pod nogami przewaliła się czarna, rozbełtana, rycząca topiel. Pluła mętną pianą na bose stopy jego. Ukąsić pragnęła, w swój oszalały wir wciągnąć. Łomot drzązganych stempli plątał się w grzmocie wody. Karlik głuszony chaosem skołtunionych krzyków, patrzał spokojnie w lecącą burzę. Opanował się. Serce dygotało ze wzruszenia, lecz nerwy trzymał już na uwięzi. Nie zastanawiał się, jak wróci, lub czy wogóle wróci poza tamę. Chodziło mu tylko o Wierbę i Hanslika.

Przed nim trzymają się rury Ligoń i Kopoczek. Ligoń coś krzyczy. Nie można dosłyszeć. Teraz obejmuje stempel i opuszcza się w wodę. Jednem ramieniem obłapił drzewo, drugie wyciąga nad huczącą rzekę.

Przechylił Karlik głowę i patrzy, co Ligoń wyprawia. Już widzi. Woda niesie człowieka. Żyje. Bije ramionami

o powierzchnię, wstać usiłuje, przewraca się zpowrotem, zanurza, znowu wychyla. To Hanslik! Ujrzał wyciągnięte ramię Ligonia. Ramię ułapiło Hanslika. To dobrze!.. Ligoń podwlókł go pod ścianę i trzyma. Teraz Kopoczek złazi po stemplu. W wodzie zanurza nogi. Pieni się fala koło nóg. Kopoczek obejmuje stempel prawem ramieniem, lewe wyciąga do słaniającego się Hanslika. Teraz go już woda nie udławi! To dobrze!.. Coś krzyczą na Karlika.

— Co mówicie? — wydziera się chłopiec, lecz krzyk jego więdnie na ustach. Tłamsi je ryk wody.

Ligoń, Hanslik i Kopoczek, powiązani zwartemi palcami za dłonie, próbują zawrócić. Hanslik w pośrodku, Ligoń wolnem ramieniem trzyma się stempla, Kopoczek również wolnem ramieniem czepia się stempla. Idą. Ligoń puszcza stempel. Woda ciska nim, szamoce. Ligoń chwyta się następnego. To samo czyni teraz Kopoczek, W środku, między nimi, przewala się Hanslik. Żmudna droga! Od stempla, do stempla. Powoli posuwają się. Zatrzymali się. Ligoń coś krzyczy. Przechylił głowę w górę i krzyczy. Karlik widzi jego zimne oczy, rozwierającą się czerwień głębi ust i łyskającą biel zębów. Po ruchach szczęki wnioskuje, że każde słowo wyrzuca z gardła, jakoby kanciaste kamienie z wysiłkiem dłonią miotane. Co on to może wołać?

— Nic nie słyszą! — odpowiada Karlik.

Ligoń znowu krzyczy. Dochodzą go tylko strzępy podartych słów.

— ...naspadek... woda... Wierba... piony...

Pojmuje. W myślach układa je w zrozumiałe zdanie:

— Pódź naspadek, bo tam straszno woda a Wierba już jest utopiony!..

— Co, Wierba utopiony? Naspadek móm iść? Tóż pococh tu przyszoł? Na, dyćby to gańba była przewieczno,

żech się z połowicy drogi cofnął!,, — tak myśli Karlik. — A jeśli jeszcze żyje? A jak się kaj tak samo rury uwiesił i teraz czako poratowania naszego? To co?

— Nie pójdą! — woła na Ligonia — nie pójdą!.. Jo ida Wierba ratować!.. Czakejcie mnie przy tamie!..

Przypuszcza, że go Ligoń nie słyszy. Lecz może się domyśli. Wskazuje dłonią w kierunku przodka. Ligoń nie może się już utrzymać w oszalałej strudze. Widać, woda uderza weń, jak młotami. Ogięte koło stempla ramię ześlizguje się powoli, drapieżne pazury nie mogą się już wszczepić w twarde, gładkie drzewo. Puszcza się i zanim go woda zmiotła do następnego stempla, miał czas uczynić z ramienia zagięty hak, którym się zaczepił o krzepką podporę. Podobnie czyni Kopoczek. A wolnemi dłońmi trzymają za dłonie Hanslika. Palce ich zamieniły się w sękate sploty. Woda sięga im po pasa. Pieni się koło ich ciał, tłucze zwarjowanym łbem o ich biodra, mocuje się i wyje. Gdzie może, to podżera ściany. Co raz zwala się z hurkotem oberwana ława węgla. Miejscami przechyla się stempel i, podważony od dołu, zanurza się w wirze. Za chwilę wyleci na powierzchnię i zaczyna bić naoślep w przydrożne stemple.

Tamci trzej już są daleko.

Teraz znowu zaparł się Ligoń plecami o wystającą wnękę calizny, odwrócił się do Karlika i znowu coś krzyczy i ręką przywołuje. Karlik odpowiada, że nie pójdzie. Ligoń grozi teraz, pieni się, widać — gdyby mógł, sprałby nieposłusznego smarkacza. Karlika bawi jego bezsilna złość. Teraz machnął dłonią, splunął i znów się rzuca od stempla do stempla. Karlik patrzy ciekawie, by sobie przyswoić jego ruchy. Gdy będzie wracał, to samo będzie robił.

Wody się nie boi. Alboż to nieraz rzucał się w najgłębsze plosa, tak głębokie, że ich dna trudno było najdłuższą żerdzią zgruntować? Koledzy go straszyli, że tam utopiec siedzi, że go Bajtkula nieraz widywała, jak wyłaził z rzeki, mały, o małpiej mordce, w czerwonej czapeczce na śpiczastej głowie, i w słoneczku przez południe na trawie swoje pierzyny suszył. Zaklinali go, żeby nie skakał do głębiny, że go za nogi ułapi, w korzenie podbrzeżne głową zapląta i wielkiemi łapami o śliskich, błoniastych paluchach za grdykę chwyci i zdusi. Nie słuchał. Wyśmiał się z cudaków niemrawych i rzucał się naprzód głową w ciemną, rozbełtaną głęboczynę. Czasami docierał mulistego dna, czasami zaś tchu mu zabrakło, więc kilkoma rzutami ramion i nóg wyrzucał się na powierzchnię. A potem, gdy się już na brzegu dowoli wyparskał, przerażał kamratów zmyślonemi bajdami, jak to utopca za nogę na samutkiem dnie złapał i jak on, bestja, kwiczał przerażony i do raczej dziury się chował i pluł na niego, i wszystko.

Alboż nieraz to w czasie powodzi, kiedy rzeka opuchła żółtemi wodami, skakał do niej i pluskał się w szalejącej topieli, jak mały wieloryb? Ludzie na brzegu żegnali się nabożnie i krzyczeli na niego i pięśćmi wygrażali, że się utopi, a on tylko koziołka im machnął w wodzie, zaświecił nagiemi pośladkami, pokiwał nogami i znikał na długo w szumiącej głębinie. Tamci truchleli, bo myśleli, że już go nie ujrzą żywego. A on tymczasem wypływał z huczących odmętów, kilkoma rzutami ramion docierał brzegu, a potem zaśmiewał się z ludzi, że tacy bojaźliwi.

Wody się nie boi!..

Teraz został osamotniony. Tamci już może znajdują się za tamą. To nic. Należy obecnie pomyśleć, jakby się

dostać do przodka. Gdyby rura wisiała niżej, trzymałby się jej mocno i mógłby iść pod prąd.

Popatrzył na wodę. Nie niesie już drzewa, płynie wartko, tylko szumi, jak sto wichrów. Ściany ciągle podgryza.

Spróbował, czy się rurę da zrzucić z obsady. Szarpnął mocno raz i drugi. Trzyma mocno, bestja!.. Już wie! Rurę trzeba nieco unieść, bo ją wyjąć z haka. Oplótł nogi mocniej koło stempla, skurczył się i nagle uderzył ją ramieniem od dołu. Spadła z chrzęstem. Wygięła się szerokim łukiem, bo o kilkanaście metrów znowu wisi pod stropem.

Opuścił się do wody. Szarpnęła mu nogi, podbiła pięśćmi golenie, stanąć nie dozwoli. Morduje się, próbuje zachwycić stopą najmniejszego oparcia. Już!.. Skacze mokremi kłami do oczu, czarnym szlamem zalewa.

Karlik zapieronował na otuchę, zacisnął zęby, otarł się rękawem i patrzy. Dojdzie, czy nie dojdzie?

Próbuje się posuwać. Boryka się z wodą, szamoce, zdobywa krok po kroku, trzymając się kurczowo zwieszonej rury. W skroniach zaczynają tętnić młoty. W oczach rożegają się fioletowe koliska. Pot zalewa oczy. Odpoczął.

Znów idzie. Za każdym krokiem zgarnia wszystek wysiłek w mięśnie nóg. Powoli mija rozstawione stemple. Po stopach biją go ostre kamienie, toczące się po dnie, do krwi kąsają. W mrocznej perspektywie zwężających się ścian chodnika, pod różańcem rozchybotanych płomyków trzepocą się połamane, szkliste oszczapy zmełtego falami światła. Rzucają się w ryczącej czerni, jak żywe potworki, nawzajem się pożerające. Leci od nich nieoczekiwany lęk, w źrenice się wtłacza, do serca sięga i dziobać je zaczyna. Uczucie osamotnienia legło mu kamieniem

na piersi. Tak jakoś niespodziewanie. Przeczuł tajemnem widzeniem, że tu gdzieś koło niego śmierć już się błąka.

Głupstwo! Otrząsa się z tamtych myśli, zgarnia je spłoszone w gromadę, poradzić się pragnie. Już wie. Przeliczył się. Nie dojdzie ani do tamtego złamanego stempla. Woda jest mocna, mocniejsza od ludzkiego pomyślenia. Teraz ją dopiero pojmuje. Nie Iza już dalej iść, zawrócić trzeba! Bo jeżeli mu zamkną wrota w tamie, to co?..

Zmartwił się szczerze swą klęską. Zawsze był w wodzie zwycięzcą, a teraz będzie rnusiał wracać, haniebnie pokonany. Ha, no! trudno!..

Spojrzał z żalem w kierunku przodka. Gdzie też może być Wierba? Czy jeszcze żyje, czy już też skonał? Szkoda byłoby chłopa. Jeżeli nie żyje, dej mu też tam, Panie Boże, szczęśliwość wieczną, amen!..

Lampy ciągle świecą. Jak gromnice rożegnięte nad zagubionemi zwłokami Wierby. Lśni się ruchliwa smuga szalejącej wody, jak płynny gościniec, nabijany żółtawem srebrem. Znienacka źrenice wyłowiły z ich błyskotliwych bryzgów sunący czarny przedmiot. Wlepił Karlik oczy. Czy to odłamek grubego stempla, czy też...

— Jezusku święty!., to człowiek!..

Miota nim woda, przerzuca, toczy, to na drobną chwilkę wchłonie, to znów wyniesie. Czasem przewali się bezwładne ramię, jak złamane skrzydło ptasie.

Przyczaił się Karlik. Dopadnie go, kiedy koło niego popłynie. Założył nogę o stempel, obłapił go ramieniem, przechylił się i czeka. Czarne zwłoki lecą... lecą... rosną w oczach, coraz bliżej... już!

Rozczapierzył palce, uchwycił surdut, przyciągnął do siebie. Woda wyszarpuje swój łup, z dłoni wydziera! Karlik nie puszcza! Widzi — krew cieknie pasemkiem z rozbitej skroni.

— Żyje, czy nie żyje, ale go musza dokludzić do tamy!.. — zapieka się w zaciekłości uparty chłopiec. — Ale jak? Jezusku święty, jak?..

Już wie!

Podciąga Wierbę do siebie, próbuje wepchnąć bezwładne ciało między ścianę i stempel. Byleby mu go woda nie ukradła, gdy go z rąk puści!.. Jest! Odpina swój pasek od spodni, przeciąga za pasek Wierby na brzuchu, zpowrotem na sobie zapina. Wierba teraz leży piersiami na jego plecach. Głowa mu się przeważa, krew z jego skroni kapie na Karlików kark. Karlik przechyla głowę i patrzy mu w twarz. Usta są otwarte, oczy zamknięte. Rzęzi!.. A więc żyje!.. Chwałażci też, Panie Boże najroztomilejszy!..

Teraz do tamy!..

Uciekają stemple przydrożne, bo woda prawie że ich pędem niesie. Usiłuje zatopić, lecz nie może, gdyż Karlik trzyma się rury. Teraz już się skończyła. Wybiegła pod strop. Karlik chwycił się oburącz stempla, chwilkę czeka. Przypomina sobie pilnie, jak to czynił Ligoń. Puszcza się znienacka. Zanim go topiel miała czas ogarnąć, już się chwycił następnego. Znowu się puszcza... Chwycił się trzeciego. Przeczekał chwilkę, puszcza się... chwyta... Po ogryzionych ścianach leci koło niego ogromny cień, poczwarny, skulony, chybotliwy. Jak olbrzymi pająk.

Skupia się w każdym rzucie ramion, wylicza chytrze, by na czas trafić ich obłękiem w podporę. Inaczej zginie. Wierba cięży mu, do wody ciągnie. Jego nogi plątają się między nogami Karlika. Przeszkadzają w golgotowym trudzie. Żeby tylko nie upaść!.. Żeby się tylko nie potknąć!..

Pasek wgryza się w brzuch, biodra obciera boleśnie, w kościach łupie z wysiłku, zmęczone serce łomoce

o żebra, dech zatyka... Z plątaniny oślepionych myśli wychynęła jedna, jasna i śmigła, jak błyskawica:

— A jeśli oni zawarli już tamę?..

— Ale ni, bo woda ciągle płynie!..

Już ją nawet widać! Bieleje mur zdaleka, a woda, wpychająca się w wąską gardziel futryny, wyje wniebogłosy.

Kilka zaledwie stempli do tamy! Jeszcze pięć!.. Jeszcze cztery!..

— Jezus! Maryjo!..

Podmyty stempel chwieje się, przechyla, wali w topiel. Odrzuca Karlika na środek prądu. Karlik usiłuje stanąć, wbić się piętami w poorany spong. Nie może. Przetacza się nad nim rozwichrzona, płynna ściana. Chłopiec wyciąga ramiona, by dostać się pod stemple. Woda nie pozwala. Niesie go i niesie, rycząca z opętanej radości. Miętosi jego chłopięce siły, do gardła się wpycha, dławi!.. Ciężar Wierby przygniata do ziemi. Karlik bije ramionami, żeby przynajmniej głowę ponad nią wychylić!.. Nie Iza!.. Wlecze go po kamieniach... wlecze...

Coś trzasnęło z łoskotem w ciemię! Nagły, piekący ból!.. Karlik leci teraz w ogromną ciemność beze dna... purpurowe koliska wirują... teraz mrok zwiera się nad nim czarnym puchem... młoty przestają walić w skronie... purpurowe koliska gasną... słodkość nieznana spłynęła w serce...

XXVI.

Szumny pogrzeb miał Karlik Szerokiego.

Nie było człowieka w Ligocie, któryby taki podobny pogrzeb pamiętał. Ligoń mówił, że nawet wtenczas, kiedy chowano starego Berginspektora Dostała w Chorzowie, to nie było tyle ludu, ni takiej parady, ni nic.

Bo naprawdę, ludzi zeszło się ogromnie moc. Nietylko z całej Ligoty, lecz ze wszystkich okolicznych kopalni, hut, wsi i kolonij robotniczych. W niedzielę po południu wyruszył kondukt z domu, i jak zaczął się posuwać, to szedł i szedł, że czarna trumna na paradnym wozie wjeżdżała już pod ligocką kępę, a z ciemnej, zadymionej doliny prowadził jeszcze za sobą nieprzejrzany tłum robotników i chłopów, kobiet i dzieci, czwórkami niemieckim zwyczajem idących. I gdy stanąć na kępie i obejrzeć się, to można było widzieć, jak szli i szli główną drogą, koło rudych hałd dymiących, jak się ostatki wynurzały z obrębu robotniczej kolonji za szybem. Na przedzie niósł Kopoczek wielki krzyż, omotany czarną rozwianą krepą. Za nim szły dzieci szkolne. Za dziećmi kapela górnicza, ustrojona w duże czaka z kępami białych piór kogucich nad czołem, w paradnych mundurach z błyszczącemi guzikami, złotemi młotkami u kołnierzy i z dużym, świecącym, półokrągłym płatem skóry na tyłku. Idąc, grali tak rzewnie, że się aż serce krajało. Wydymali usta w czerwone banie, dęli do taktu w trąby, szczodrze słońcem pociągnięte, a inni znowu dmuchali w czarne piszczałki i palcami po drobnych klawiszkach gmerali. Niejednemu zdawaćby się mogło, że ich trąby i piszczałki, to żywe stwory o ludzkich sercach, które płaczą teraz i zawodzą, jakby sama Karlikowa matka, idąca przed trumną swojego synka.

Za kapelą szedł siwy księżoszek, zatroskany i smętny, w ciężkiej, czarnej, srebrem przetykanej kapie. Wzdychał raz po raz, bo mu luto było starej matki Karlikowej, i w myślach układał słowa, łagodne i święte, któremi nad grobem matczyne serce uciszyć zapragnie. Pobok towarzyszyło mu dwóch młodych górników, w ubraniu ministrantów, z lampami, kropidłem i wodą święconą, bulgo-

czącą w cynowem wiaderku. Za nimi słaniała się szlochająca matka. Podtrzymywali ją za ramiona Wałoszek i Marek. Oczy miała jakieś wyblakłe, spłowiałe. Patrzyła przed siebie, nikogo nie widząca, jak tylko tę swoją krzywdę przeogromną, którą jej przeklęta woda w kopalni wyrządziła i stare serce gorzkim piołunem po wieki otruła.

Przed trumną niosła Helenka nieduży wieniec, uwity ze śnieżyczek. Bielił się prosty wianek na haftowanej poduszce, a drobne dłonie dziewczyny drżały leciuchno, jakby jej z trudem przychodziło ów niewielki ciężar unieść. Szła dziewczyna w bieli, jakoby drużka urodziwa, ze śnieżyczkowym wiankiem na głowie, a koło niej i koło trumny towarzyszyły jej dziewczyny, również w wiankach i białych sukniach, z gorejącemi świecami w dłoniach. A na każdej świecy zieleniła się drobna gałązka mirty, przywiązana białą wstążką. Helenka była spokojna. Czasem tylko, kiedy ją przeszedł tłum żałobnych myśli, potoczyły się jej duże dwie łzy po licach i spadły na drobne płateczki śnieżyczek. Wtedy słońce w okamżeniu wypełniało je kropelką płynnego złota, że wyglądały, jak rosa na kwiatach w czas letniego wschodu.

Za Helenką jechał karawan. Ciągnęły go dwa czarne konie z czarnemi kitami na czołach, po bokach zaś modliły się zamyślone anioły, szeleściły wieńce, fruwające szerokiemi wstęgami na wiatr, a na szczycie, wysoko, ponad ludźmi, chwiała się czarna trumna Karlikowa. Jechał biedaczyna z niezwykłą paradą, jakby jakiś pan wielemożny, cichy już teraz, spokojny, jak uśpione dzieciątko. A słońce dotykało miękko czarnych ścian trumny, drobiło się rozłociście na chybotliwe, ciepłe bryzgi, cudowało się z nieba ludzkiej żałobie.

Koło wozu kroczyli górnicy z lampami. Z każdej strony długi, długi rząd. Na prawych ramionach wsparli kilofy, w lewych dłoniach chwiali lampami z małemi, rozchybotanemi płomykami. Ostatnią drogę oświetlić pragnęli swojemu małemu kamratowi, żeby mu łacniej do nieba trafić...

A za trumną szli ludzie ogromną, cichą, głęboką rze - ką, której końca nie Iza dojrzeć.

Słońce już niezgorzej przygrzewało, czyste, radosne, w słodkiej zadumie po obłym błękicie idące. Wiatr, co się był wczoraj gdziesik od gór zerwał, przyniósł z sobą wiosnę i ciepłe zapachy ziemi. A ściemniałe śniegi zaś pozamieniały się w bełkocące strużki, co teraz żywo śpieszyły między bruzdami, wiązały się srebrzystemi sznurami, do rowów ściekały i niosły się ze szklanym szmerem w daleki świat.

W podniebiach ciurlikały skowronki bez przerwy, zaludniały je dzwoniącym szczebiotem, jaskółki cięły błękit ostremi konturami rozchwianych skrzydełek, a spaśne szpaki oddawna wyglądające wiosny, wygrzewały się teraz przed kadłubkami i z cudzoziemska z sobą pogadywały.

Dymy znowu biły pod niebo prostemi słupami, bo wiatr był już dopołudnia ustał, wynosiły się wysoko i tam się dopiero rozglądały po świecie i rozchodziły na wszystkie strony.

Kiedy na ligockiej kępie ukazał się krzyż, powitały go dzwony kościelne. Rozbełtane ich dźwięki kłębiły się w powietrzu, jak gęste, złociste dymy kadzielne, przelewały się ponad polami, szły szumnie i dostojnie ponad ludźmi, przetykane słońcem, radosne jakieś, uroczyste, nie mające w sobie nic a nic z ludzkiego smętku i żałości.

Ludzie słuchali ich długo i dziwowali się, że nie płaczą dzisiaj, jak to zwykły czynić na innych pogrzebach.

— Widać, sprawiedliwy to był synek, ten Karlik, sprawiedliwy!.. — myśleli.

-— Radują się zwony, że jego duszyczka prosto do nieba wędruje, do nieba!.. — myśleli inni.

— Boże mu też tam dej wiekuiste odpoczywanie, amen!.. — wzdychali życzliwie jeszcze inni. A wszyscy nieśli w sobie jasne myśli o umarłym Karliku.

Kiedy jeszcze w dolinie byli, kiedy trumna, wysoko wyniesiona, kolebiąca się statecznie, mijała Wierbowe domostwo, wówczas młody Wierba wyprowadził z izby swojego ojca. I stali tak obydwaj w rozwartych dwierzach, na progu, patrzący w czarną trumnę. Syn trzymał ojca w ramionach, a ojciec, słaby jeszcze, słaniający się nieporadnie, z obwiązaną głową, nie mógł oderwać oczu od tamtego widoku. Wydawało mu się w onej chwili, że widzi umęczoną głowiczkę Karlikową, że ją bierze w litościwe dłonie, zgarnia płowe włosy z tamtej krwawiącej szramy na ciemieniu, potem całuje w usta... Podniósł znużoną dłoń i długo żegnał nią odchodzącego towarzysza najmilejszego. A po zwiędłych policzkach jęły spadać duże łzy, wąsów się czepiały, na koszulę kapały.

Ludzie to widzieli, lecz nikt się nie dziwował, że taki stary chłop, a płacze. Wiedzieli, że każdyby z nich to samo czynił na miejscu starego Wierby...

Minęło od tego czasu kilka tygodni.

Między ludźmi ciągle jeszcze krążyła cudowna legenda — nie-legenda o młodym Karliku. Opowiadali ją sobie górnicy przy pracy, opowiadali hutnicy w chwili wytchnienia, po domach wieczorami, kiedy już wszyscy domownicy za stołem siedzieli, ciągle do niej wracali,

nawet po gazetach szeroko o tem pisano, bo nikt nie mógł się dosyta nasłuchać o Karlikowym czynie.

Kiedy górnicy rozpamiętywali owo niezwykłe zdarzenie i dzielili się głośno swemi myślami, wyczuwać się dawało w ich słowach dumę. Pysznili się, że między nimi można takich ludzi, jak Karlik, bez długiego szukania znaleźć.

— Bo wy se myślicie — mawiali — że górnik boi się śmierci? Psiniec się boi! Jak się kamratowi ścigo, pójdzie po niego, i chociażby pazurami, a jednak go wydrze przegrzeszonej śmierci. No, ni?...

Niektórzy się zastanawiali, dlaczego tyle rozgłosu uczyniono z powodu poświęcenia się Karlika.

— Mój Bożyczku kandy!.. Czy to jest co takiego? Poszoł, wyratowoł starego Wierba, że sóm to życiem przypłacił, wielkie dziwy?.. Szkoda synka jest. To prowda. Ale kiedy to nima nic takigo. No, ale jo tam nie zowiszcza tej parady. Piękny pogrzeb mioł synek, bardzo piękny! Gruba dała karawan, zapłaciła muzykantów, dała wieniec i pogrzeb też zapłaciła. Dobrze zrobiła. Bo tak się należało borokowi. Jo mu tam tego nie zowiszcza, ni!..

Inni powtarzali opowiadania Ligonia i Hanslika.

Ligoń mówił:

— Tóż to było tak. Jakżeśmy uwidzieli Hanslika, chycilimy chłopa i wysmyczyli z wody. Potem tośmy wracali powoli ku tamie. Pierońsko utropa była z tą wodą! Zdowało się człowiekowi, że go zmoże. Ale nic. Jo se prawił: pierona, nie dóm sie!.. I nie daliśmy sie! A Karlik dzierżoł się ruły i nie zlazowoł. Jo na niego wołóm, aż sie wróci z nami, bo psiniec sóm zrobi, bo mi Hanslik do ucha zakrzyczoł, że Wierba już jest nieboszczykiem. A Karlik nic. Myślołech se: poręczono Panu Bogu! Jeśli

dojdziemy do tamy, to go poczkómy. Wróci albo żywy, albo go też woda mortwego przysmyczy. I czakalimy tak ze sztwierć godziny, a tu się dziwómy, kiż djasi? Za tamą stoliśmy, za murem, to nas woda nie brała. Głowy jeno wychyliliśmy i dziwómy się za synkiem. A sam widzimy, że woda smyczy obydwóch. Wierba i Karlika. Lecz cóż? Woda była wściekło i jak prasła Karlikiem o framuga zieleźno w tamie, akurat głową synek do niej utrefił, tak mu zarozki dziurę w głowie zrobiło. My zaś nic, jeny drap! synka z Wierbą, dwierze w tamie w tem okamżeniu zawrzyliśmy, zaryglowali, zakręcili szruby i fertig! A potem bieremy synka, odpinomy od niego Wierba, i dziwómy się, a obydwa leżą, jakby mortwi. Obydwa krwawią. Prawiłech se: pierona, źle!.. Obydwa są kaput!.. Ale potem i Wierba i Karlik przyszli do siebie małowiela. Teraz Wierba sie może wychachrze, a Karlik — Boże mu tam dej radość wieczną! — a Karlik, borok, potropił się pora dni i zemrzył, chudzioczekL Głowsko mioł rozbite doimentu!..

Hanslik znowu opowiadał:

— Tóż to było tak. Tamci wszyscy pojechali po drzewo do przekopu, a jo z Wierbą wiertalichmy dziury w ścianie. Jużeśmy ją wydłubali na sztery metry, albo może więcej. I nic. Wierba dzierży świder i obraco nim, a jo bija perlikiem, co wlezie. A fórt się mi cosi zdowało, że ściana trzeszczy i tąpie, a co roz, to z niej posypuje. Jo się dziwom na nie i powiadom do Wierby:

— Ty, stary, dej my se miljoński pozór, bo sie mi to nie podobo!..

— A on na to: — Ale jeny bij, a nie bój sie!

— Tóż jo dalej bija. Aż tu naroz, jak nie tąpnie w ścianie, jak nie strzeli, pierona jasnego! — jakby pieron prasnął koło człowieka!.. Jo się dziwom, co się robi, a tu

ściana wali się na nas. Jo odskoczył, za mną Wierba, a tu już woda, jak nie gichnie, jak nie ryknie!.. Jezusku święty!.. Tako czorno a straszno!.. Jo wrzeszczą na Wierba: uciekejmy!.. I w nogi. Jo poprzódź, a Wierba za mną!.. A za nami woda ryczy, że aż okropa!.. Ale cóż? Ledwaśmy kąsek uciekli, woda nas dopadła, prasła nami o spong i koniec wszystkiemu. Zaloła mnie. Jo sie jakosi chycił stempla, i dzierżą sie fest. A woda szarpie i bije mnie, i wszystko! Dziwom się, kaj je Wierba, a on też dzierży sie stempla. Ale potem mój stempel się wywrócił, bo go woda podebrała i teraz mnie woda niosła, aż mnie Ligoń i Kopoczek chycili i uretowali.

— No, dobrze — odpowiadał mu słuchający — a jak też to mogło być z Wierbą?

— Jo z nim niedowno mówił, boch go też był, boroka, kapkę odwiedzić. Mówił mi, że widzioł, jak mnie woda porwała ze stemplem. A on się jeszcze dzierżoł. Ale potem woda przyniosła jakąś wyłómano stropnica i uderzyła go w głowa, że go zamroczyło i co potem sie stało, to już nie pamięto, aż go dopiero pod szachtą wskrzesili. Tam sie dziepro dowiedzioł, że go Karlik — Boże mu tam dej radość wieczną — uretowoł. Tóż taki to było!..

Gustlikowi znowu przypominało się opowiadanie matki, jakto jego ojciec zdobrawoli zjechał do gorejącej kopalni, żeby swoich towarzyszy ratować. Pomyślał sobie wtedy z zadowoleniem:

— Widać, że my hawierze, to już tak jakby z jednego pokolenio pochodzimy!..

Dziwiło go tylko, dlaczego Karlikowa matka nie szła za trumną, lecz przed nią, tuż za księdzem proboszczem.

— Widzisz — wyjaśnił mu Wałoszek — bo ona prawiła, że swojego chłopca sama zaprowadzi na cmen-

tarz do grobu. Przez całe życie była mu matką, co go jakoby za ręka kludziła, to i teraz jeszcze chciała go zakludzić na ostatniej drodze. I skyrs tego szła przed trówłą.

Stopniowo uciszał się bolesny zamęt w myślach wszystkich, spowodowany śmiercią Karlika. Najdłużej trwał on u Helenki i Gustlika. Nie mogli się oswoić z rzeczywistością. Obydwoje ciągle przeżywali wrażenie, że znajduje się jeszcze między nimi, że im na swojej harmonice przygrywa, raduje wraz z nimi i smutek ich śmiechem przegania.

Helenka popłakiwała nieraz w ukryciu, kiedy jej nikt nie widział. Teraz dopiero zrozumiała, jak bardzo lubiła tamtego chłopca. A kiedy wieczorem przed domem na ławie z Gustlikiem siedziała, wspominała ostatnią rozmowę z nim, kiedy to biedaczysko skarżył się, że tak bardzo pragnął grać rolę Zygfryda, a teraz widzi, że już nie dożyje tej chwili. Dziewczyna pocieszała go wówczas, żeby się nie martwił, boć przecież rana na głowie zgoi mu się i Zygfryda będzie grał. Lecz Karlik uśmiechał się jeno boleśnie i dłonią zaprzeczał.

— Nie prow, Helenko, ni!.. — szeptał cichym głosem. — Bo jo nie dożyją tej chwili, ni!.. Jo umrą niezadługo, a Zygfryda grać nie byda!.. A szkoda, szkoda!..

— Wiesz, co? — rzekła raz Helenka do Gustlika, kiedy znów razem siedzieli przed domem na ławie. — Tóż grejmy już roz ta święta Genowefa...

— Widzisz, jo to samo myślę! — przerwał jej żywo uradowany Gustlik. Bo przypuszczał, że już nie będzie Iza tego uczynić, kiedy ich Karlika niema.

— Poczkej, aż dokończą! Widzisz, jo se tak myślą, żebyśmy jednak grali, choćby bai w naszej stodole, a jeśli zebierzemy jaki czeski od ludzi, to to przeznaczymy na ozdobienie Karlikowego grobu.

— Dobrześ to wymyśliła, Helenko — pochwalił ją Gustlik.

— Nó. Kupiemy pora pięknych róż, wiesz, biołych i czerwonych... Żeby Niemcy wiedzieli, że w tym grobie polski synek leży. Potem czerwonych i biołych gwoździków, a co jeszcze?

— Jo myślę, że przydałoby się trochę piwoniek, bo one pieknie kwitną.

— Dobrze! Piwoniek też zasadzimy. A potem to jeszcze uwidzimy. No, ni?

— Zgoda, Helenko, zgoda!..

Poszli do starego Wałoszka.

— Dobrzeście to, dziecka, wymyślili. Bardzo dobrze! — pochwalił Wałoszek. — Jak sie ludzie dowiedzą, że dochód przeznaczamy na kwiotki dlo Karlika, to przyjdą i każdy coś chętnie zapłaci. Ale kiery bydzie groł rola Zygfryda?

— Jo, ujcu. Jo się jej nauczę i bydym groł za Karlika.

— Tóż dobrze! Powiedźcie wszystkim aktorom, zebiercie się i róbcie próby, a jak to już pójdzie, zmajstrujemy w stodole scena i zbyte.

— To sie Niemcy w pięta ugryzą — dorzucił ze śmiechem Gustlik, naśladując utarte wyrażenie Marka.

Myśli tej przyklasnęli wszyscy w Ligocie. Rozeszła się bowiem rychło po wsi i każdy życzył jej powodzenia. A ksiądz proboszcz przyszedł do Wałoszka, zawołał Helenkę, ujął w dłonie jej głowę, chwilkę patrzył w oczy, a potem ucałował w czoło i po włosach pogłaskał.

— A ja wam także dam sadzonek i kilka krzewów z rozkwitającemi różami — dodał jeszcze, kiedy już odchodził do domu.

Rozpoczęły się próby. Z początku mieli kłopot z rolą Gola, bo Ferduś Rduchów nie chciał jej grać. Tłumaczył, że to rola, nadająca się akurat dla renegata Sojki, a nie dla niego. Cóż tu więc teraz uczynić? Na szczęście Emil Wałoszków zgodził się ją przyjąć.

I znowu rozpoczęły się u Wałoszka wieczory, wypełnione gwarem młodych, radosnych głosów. Dwukrotnie wpadała do nich Heima Kowollowa, popatrzyła się na chwilę i zaraz uciekała, bo mówiła, że się boi ojca. Skarżyła się przed Helenką, że kiedy ojciec jej dowiedział się o śmierci Karlika, mruknął: — Wieder um einen dummen Polen weniger!...[96]) — Tak powiedział jej ojciec, a ona tego nie może mu darować. I o mało, że się nie rozpłakała.

Helenka jej wytłumaczyła, że się widocznie przesłyszała, że to może nie myślał w tej chwili o Karliku, lub wogóle nie myślał tak źle. Ulżyło Heimie na sercu. Ucałowała Helenkę i pobiegła do domu.

Sojka tymczasem nie próżnował. Jak tylko posłyszał o zamiarach Helenki i Gustlika, pobiegł w te pędy do Langhorsta, by mu donieść o wszystkiem. Radował się skrycie, że Langhorst nie omieszka policzyć mu tego na karb jego gorliwości. Dyrektor wysłuchał zdyszanej mowy Sojki, chwilkę bębnił palcami po biurku, a potem roześmiał się głośno, rozparł szeroko w krześle i powiedział;

— A niech grają. Już my im też zagramy porządnie!..

Sojka był ogromnie ciekawy, w jaki sposób Langhorst wykona swą groźbę. Wałęsał się nadal po hucie, śledził, jak zwykle, każdego robotnika, czy nie zdybie go na czemś, coby się godziło do oskarżenia przed Willichem, zacierał dłonie, kurczył się, uśmiechał uniżenie, pogadywał chytrze. Nie zrażał się, że robotnicy odwracali

---

[9e]) Znowu o jednego głupiego Polaka mniej!..

się do niego plecami, że mu spluwali, nibyto niechcący, pod nogi, że niejeden na jego słodkie dogadywanie mruknął groźnie:

— A idźże, pieronie, bo cie gichna w lajer, to ci trzy dni bydzie groł!..

Wcale się tem nie zrażał. A w samotności pieścił się myślą, że w taki łatwy sposób będzie się mógł pomścić na Helence. Za to, że kiedyś, przed kilku laty, dostał z powodu niej w skórę od Marka, kiedy Wałoszka, Ściskałę i Marka podglądał w hałdzie, a ona zdradziła krzykiem jego obecność. 0, tego — to on tak skoro nie zapomni!..

Nadeszła niedziela. W stodole była już ustawiona scena. Na skrzyniach i na kilku beczkach, pożyczonych od Szuścika, położono podłogę, kurtynę uczyniono z kilku koców, kulisy z papieru. Była ta niedogodność, że trzeba było na nią wychodzić po drabinkach ze sąsieków.

Tylne drzwi stodoły były zamknięte, przednie rozwarte dokorząt. Na gumnie przed sceną poustawiano stołki i ławy, pozbierane z Wałoszkowego mieszkania i od sąsiadów. Reszta widzów musiała będzie stać na dworze.

Przed wrotami, prowadzącemi na podwórze, stanął Ściskała z Markiem. W przejściu ustawili stolik, nakryty obrusem, a na stoliku talerz.

Przedstawienie miało się rozpocząć po nieszporach koło godziny piątej.

Zaczęli się ludziska schodzić. Przyszedł także i ksiądz proboszcz. Posadzono go na pierwszem miejscu w wygodnym fotelu plecionym, okrytym kocem. Żeby się księżoszkowi roztomiłemu wygodniej siedziało. Stateczniejsi górnicy i gazdowie pousiadali na stołkach i ławach, a reszta widzów stanęła w tyle, zajmując gęstwą całe podwórze napoprzek. Chłopcy zaś wydrapali się na płoty.

I kiedy aktorzy kończyli gorączkowe przygotowania do wystąpienia, Marek ze Ściskałą obliczali dochód obok wrót. Trzydzieścipięć marek i cztery czeskie!..

— No, to się Helenka uraduje! — mruczał zadowolony Ściskała, zgarniając pieniądze do drewnianego pudełka.

— A chudzioczek Karlik jeszcze barzi! — dodał Marek — bo za taki szumny pieniądz można mu bydzie fajnie ustroić grób w kwiotki!..

Niepokoiło tylko wszystkich, że przyszedł również żandarm Werner, przebrany po cywilnemu.

— Po kigo djabła tu przyszoł? — zżymał się Marek.

— Trzeba się go zapytać, czy przyszoł jako urzędnik, czy jako prywatno osoba? — poradził Ściskała.

Marek podszedł do Wernera, stojącego na uboczu. Zwrócił się do niego w języku niemieckim, szorstko, co tu czyni?

Werner w odpowiedzi sięgnął do kieszeni, wydobył jakiś papier i podał z drwiącym uśmieszkiem. Marek przeczytał, obejrzał podpis, oddał i splunął ze złości.

— No i co? — zapytał Ściskała.

— Ale mo, pieron, od amtowego Langhorsta polecenie, że mo być na przedstawieniu celem przestrzegania porządku i bezpieczeństwa publicznego.

— Eh, to niech se siedzi. Nic tu nie bydzie mioł do roboty, bo żoden się nie bydzie ani bić, ani nic!..

Tymczasem w stodole rozpoczęło się już przedstawienie. Gustlik, patrząc przez szparę w kurtynie na zebranych ludzi, spostrzegł, że u wszystkich maluje się ten sam zachwyt w oczach, co u karwiniaków na ich Jasełkach. Śledzili w skupieniu przebieg akcji, wzdychali ciężko, kiedy widzieli, że Golo knuje nienawistny spisek na

Genowefę, widział, że niejeden pięści zaciska i mruczy coś do siebie.

Potem rnusiał wyjść na scenę, by odgrywać swą rolę. Wystrojony i dumny, żegnał się ze swoją żoną jakoby, Helenką, a kiedy mu się na szyję rzuciła i naprawdę zapłakała, uwierzył, że to nie komedja, lecz rzeczywistość, i również mu się w oczach łzy zakręciły. Wyszedł. A ledwie zlazł po drabince do sąsieka, już rozsunął szparkę w kocu i patrzał na ludzi. Helenka jeszcze została na scenie. I radował się, że ludziska coraz głośniej wzdychają, a kto miększego serca, łzę ukradkiem ociera.

Odegrano w ten sposób dwa akty.

Na dworze było jeszcze widno, boć słonko schodziło jeszcze po niebie na zachodnią stronę, lecz w stodole jął się podnosić mrok i trudno było dojrzeć dokładnie, co się na scenie dzieje. Wtedy Wałoszek przyniósł kilka lamp, zapalił je i porozwieszał na scenie.

Na to czekał Werner. Zaledwie Wałoszek zeszedł ze sceny, a kurtyna się poraź trzeci roztworzyła, uśmiechnął się zjadliwie, przecisnął między ludźmi przed scenę i zawołał po niemiecku:

— W imieniu prawa nie pozwalam na dalszy ciąg przedstawienia!..

Ludzie zdziwieni patrzyli na niego, nie mogąc w pierwszej chwili zrozumieć, o co mu chodzi. Lecz ksiądz proboszcz już był się podniósł z krzesła i podszedł do niego. Chwilkę żywo coś mówili, czego nie można było dosłyszeć, bo podniósł się gwar i groźne pokrzykiwanie. Ludzie wstawali ze stołków i ław, jęli się przepychać ku scenie, wznosili pięści i złorzeczyli Wernerowi. A co raz to wypadało z tłumu ciężkie słowo. Lecz kiedy ksiądz proboszcz podniósł dłoń na znak, że chce mówić, wszystko się w tem okamżeniu uciszyło.

— Trudno! Na mocy obowiązującej ustawy przedstawienie musi być przerwane! — mówił proboszcz. — Władza dopatrzyła się w zapaleniu lamp niebezpieczeństwa pożaru. Wobec tego nie mamy innego wyjścia, jak się pogodzić z losem...

A że po jego słowach podniósł się nowy gwar, teraz już groźniejszy, pełen oburzenia, zrozumiał, że musi użyć swego wpływu, by nie doszło do czegoś poważniejszego. Toć tam w głębi widzi wznoszone laski i pięści, a „pierony" — mimo jego obecności — sypią się coraz gęstsze. Podniósł więc znowu dłoń, a gdy się uciszyło, jął wszystkich uspokajać.

— Rozejdźcie się, moi drodzy, spokojnie do domów. Zrozumiejcie sami, że krzykiem nic nie wskóracie! Niech tam starsi uspokoją młodszych, by nieopatrznie nie uczynili czegoś, coby mogło mieć gorsze następstwa!

Starsi jęli więc co gorętszych uciszać, ludzie poczęli się powoli rozchodzić, stodoła pustoszała stopniowo. A Werner stał spokojny, dumny, z wypiętą piersią i patrzał na wszystkich z pogardą. Tak długo, aż przysunął się do niego Marek. Zmierzyli się oczyma. Chwilkę tak się mocowali w milczeniu. Lecz kiedy nareszcie Werner dojrzał w źrenicach Markowych piekło, obleciał go lęk.

— Co myślicie? — jął się jąkać — ja muszę tylko obowiązek... wypełnić... Ja temu... nie winien... — i zaczął się cofać. Potem nagle się odwrócił i wyszedł szybko ze stodoły.

Helenka rozpłakała się z żalu. Gustlik zaś siadł na scenie, ubrany ciągle jeszcze za Zygfryda, podparł brodę dłońmi i myślał. A potem mruknął zrezygnowany:

— Z temi pieronami naprowdy nic człowiek nie przewiedzie!..

Zerwał kapelusz z głowy i rzucił nim ze złością pod scenę. A ujrzawszy za kulisami szlochającą Helenkę, podszedł do niej, przygarnął ramieniem i powiedział:

— Nie płacz, Helenko, ni!.. Dyć przeca nima możne, żeby się kiedyś to nie skończyło!.. Jak przyjdzie czas, to to bydziemy prać, co wlezie!.. Uwidzisz!..

— Ale co mi z tego... kiedy nasz Karlik... nie bydzie mioł... kwiotków na grobie? — łkała dziewczyna.

— Jakto? Przeca Marek ze Ściskałą wybrali coś trzydzieścipięć marek!..

— A myślisz... że to wystarczy?.. Teraz zapiszą tatulka do kary... i bydzie musioł zapłacić... ze sto marek... A na kwiotki... nic nie zostanie...

Lecz Gustlik już powziął plan. Pobiegł do proboszcza. Za chwilę wrócił.

— Pódź, Helenko, bo księżoszek na ciebie czakają!.. — zawołał.

Helenka poszła, ocierając po drodze zapłakane oczy.

— Nie martw się, Helenko, nie! — pocieszał ją teraz proboszcz. — Niech jutro Gustlik przyjdzie do mnie, to mu dam kwiatków na cały grób Karlików. Nie martw się już, nie!..

XXVII.

Proces, wytoczony Wałoszkowi ze strony dyrekcji huty, zakończył się w pierwszej instancji porażką Langhorsta. Kilkakrotnie zjeżdżały komisje na sporny teren, wymierzały ze wszech stron pole Wałoszkowe oraz położenie hałdy, wkońcu orzekły, że huta może swoją szlakę sypać nie w kierunku Wałoszkowego pola, lecz skierować się w bok, na czarny staw.

Langhorst nie bardzo się martwił pierwszą klęską.

— Huta będzie prowadziła nadal proces — objaśniał swoim zaufanym w kasynie urzędniczem — nawet jest mi to na rękę, bo i tak go wygram. A im dalej zajdzie, tem większe szanse na usunięcie mi z drogi Wałoszka. Koszta sądowe zrujnują go! — i rozparty szeroko w klubowym fotelu, śmiał się głośno, łyskając z pod wąsa rzędem białych, drapieżnych zębów.

— A czy nie można go wogóle usunąć z huty? — zapytał czołobitnie kierownik szkoły, pan Kowoll.

— A możnaby ostatecznie. Dlaczegóżby nie? Możnaby!.. Ale kiedy, bestja, on jest ostrożny i Sojka czy Willich nie mogą go na niczem takiem przy pracy w hucie złapać, coby go zakwalifikowało do natychmiastowego usunięcia. A bez ważniejszej przyczyny nie chcę tego czynić. Ich związek zawodowy narobiłby z tego niepotrzebnego hałasu. A zresztą, chociażbym go usunął z pracy, to mi nadal będzie sterczał pod bokiem. Ja go muszę zupełnie unieszkodliwić. Zwłaszcza, że za rok mamy nowe wybory do sejmu. Do tego czasu, przypuszczam, swoje plany przeprowadzę!..

— A pewnie, pan dyrektor ma słuszność — potwierdził skwapliwie Bontschek, nadsztygar z kopalni Góttenborg — ta przeklęta trójka, Wałoszek, Marek i Ściskała, to nam najbardziej brużdżą między robotnikami. Prawdziwe rebelanty!.. I trzeba się naprawdę lękać...

— Co?.. — zapytał wyniośle Langhorst — prawdziwy Niemiec nigdy się nie lęka!.. — i wydął pogardliwie usta.

— ...to jest!., chciałem powiedzieć — jąkał zmieszany Bontschek — że trzeba nam się liczyć, iż mogą nam ci trzej przeszkadzać.

— Tak, tak!.. Pan ma słuszność — przytaknął Kowoll.

— Na Ściskałę mamy sposób — ciągnął dalej Bontschek — wpakuję go do takiej pracy, że nawet na słoną wodę nie zarobi. Gorzej z Markiem!

Inżynier Hammermann, zastępca kierownika kopalni, siedział dotychczas bez słowa i słuchał. Od niedawna dopiero przybył do Ligoty z Westfalji, więc się jeszcze niebardzo orjentował w miejscowych stosunkach. Wiedział jedynie, że prawie wszyscy robotnicy są tutaj narodowości polskiej, i że stanowią żywioł, dający się z trudem niemczyć. Wierzył jednak, że czy wcześniej czy później zniknie na Górnym Śląsku kwestja walki narodowej. Na poparcie swych poglądów przytaczał proste zakończenie walki z Łużyczanami w Saksonji. Pochodził z tamtych okolic, z pod Drezna i od dziecka patrzał, jak niknie owo osiedle słowiańskie.

— Widzę, proszę panów, żę się zbytnio przejmujecie takiemi drobnemi rzeczami. Górnoślązaków narodowości polskiej czeka ten sam los, co naszych Łużyczan w Saksonji. Morze niemieckie wchłonie i tę osamotnioną wysepkę, chociażby nawet z granitu była zbudowana!,.

Lubiał używać tego obrazowego powiedzenia. Czerpał je z jakiejś reprodukcji, przedstawiającej małą wysepkę na ogromnem, wzburzonem morzu, którą nieustanne fale podgryzają i kruszą. Nad morzem unosił się czarny orzeł, trzymający w szponach cesarską chorągiew, a na rozpadającej się wysepce stała przekrzywiona tablica z napisem: „Slavische Lausitz".

— Nikt w to nie wątpi — podjął Langhorst — lecz naszym obowiązkiem jest dążenie, żeby ów proces przyśpieszyć. Żywioł słowiański, rozmieszczony na wschodnich granicach naszej ojczyzny, stanowi bądź co bądź poważną przeszkodę w niemieckiej ekspansji na wschód. Walka z owym żywiołem pożera dużo naszych wysił-

ków. Jak długo wysiłków tych nie trzeba nam skierować w innym kierunku... panowie mnie rozumieją?... jak długo wysiłków tych nie trzeba nam będzie skierować w innym kierunku, to do tego czasu będziemy się musieli uporać z ową zaporą. Im wcześniej, tem lepiej!.. No, nie prawda? — i powiódł wzrokiem po zebranych.

— A, pewnie, pewnie! — jęli wszyscy przytakiwać.

— Szkoła niemiecka spełnia skutecznie swoje zadanie — ciągnął dalej Langhorst. — Dzieci, wychodzące z niej, coraz mocniej przywiązują się do niemieckiej mowy, do naszego ducha niemieckiego. Zasługa to takich dzielnych pracowników, jak naprzykład obecnego tutaj pana kierownika Kowolla...

Tutaj wszyscy spojrzeli z uznaniem na Kowolla, który spuścił skromnie oczy i jął rozcierać dłonie.

— Lecz to mało jeszcze. Pomiędzy starszą generacją znajdują się zaciekli nasi przeciwnicy. Mówię tutaj o tubylczej ludności. W moim okręgu przewodzą jej wspomniani Wałoszek, Ściskała i Marek, a oprócz tego ksiądz proboszcz. Wogóle kler polsko-katolicki, to największy nasz wróg. Wracając do rzeczy, zaznaczam, że ci czterej, to ci właśnie, co mię nieraz do wściekłości doprowadzają. Gdyby ich unieszkodliwić, zniszczyć, rozdeptać!., —- tu zacisnął pięści, bezwiednie skurczył się, wysunął głowę i odsłonił górną wargę nad zwartemi zębami. Wyglądał, jak zwierz, gotujący się do skoku.

— Dlatego też apeluję do panów — odezwał się po chwili — żeby nie ustawać w pracy. Nie możemy wszystkiego zostawiać spokojnemu biegowi wypadków. My je musimy uprzedzać. Proboszcza narazie nie ruszymy. Za mocno siedzi. Lecz Wałoszka musimy zniszczyć. Musimy!.. On jest najbardziej niebezpieczny, pominąwszy już proboszcza. A gdy już tego nie stanie, zabierzemy się

gruntownie do Ściskały i Marka. Mam wrażenie, że z Markiem, to też będzie twardy orzech do zgryzienia, lecz Ściskała — to już tylko manekin w ręku tamtych dwóch. To już człowiek, nie posiadający tej inicjatywy, co tamci dwaj.

Zaległo milczenie. Nikt już nie miał nic do powiedzenia, chyba przytaknąć wywodom pana dyrektora. Rozparci wszyscy w głębokich fotelach, przeżuwali jeszcze w myślach ostatnie jego słowa i co raz wydmuchiwali kłęby woniejącego dymu cygar. Unosiły się pod barwny plafon, motały przejrzyście mleczne kielichy elektrycznych lamp, snuły się wstęgami po dużym obrazie w ciężkich, złoconych ramach, z których wychylała się wielmożna, pańska postać Wilhelma II.

W kącie siedział Sojka. Czuł się tutaj obco. Onieśmielała go atmosfera dumy i buty, idąca szeroko od tamtego obrazu, od wytwornych, masywnych mebli, a przedewszystkiem od zebranych osób. Wszyscy tacy wielcy panowie, a on?.. I przypomniało mu się jego pochodzenie, jakto jeszcze chłopcem będąc, poganiał ojcu woły i jakto sypiał na wyrku w stajni, wraz z ojcem, w zaduchu i pchłach. A teraz?.. Z takimi wielkimi panami pospólnie siedzi!.. Ojciec, dworski najemnik, chadzał jeszcze do kościoła boso, a za byle przewinienie rznął swego synka paskiem po tyłku. Gdzie też te czasy minęły?.. Na wspomnienie ich otrząsa się dzisiaj i wstydzi za swego ojca-wolarza. Odziedziczył po nim tchórzliwą nieśmiałość wobec ludzi silnych, świadomych swej wartości. Kulił się pod ich spojrzeniem, zacierał uniżenie kościste dłonie i lepkim, łaszącym uśmiechem usiłował każdego przychylnie do siebie usposobić. A oczyma myszkował skrycie, rzucał niemi niespokojnie, truchlejący, by jakiemś nie-

opatrznem słówkiem czy ruchem nie urazić człowieka, patrzącego nań twardo i z pogardą.

W pewnej chwili wyczuł na sobie spojrzenie Langhorsta. Przylepił na wąskie wargi obleśny uśmieszek, skurczył się bezwiednie i zatarł dłonie. Patrzał czujnie w swego pana. Langhorst skinął mu nieznacznie głową, a wtedy Sojka zerwał się z ławy i wysunął na palcach z izby.

— Cóż to za człowiek? — zapytał Hammermann.

— Eh, to taki... mój zaufany... — mruknął niechętnie Langhorst.

— Wstrętna kreatura! — rzucił jeszcze Hammermann i wykrzywił usta, jakby na widok rozdeptanej żaby.

Sojka wyszedł z obrębu kopalni i skierował się w kierunku gospody Szuścika. Wieczór był ciepły, sierpniowy. Słonko było już zaszło, lecz na niebie wciąż jeszcze dopalały się resztki purpurowej pożogi. Rozwleczone chmury pławiły się w niej, syciły jej żarem, że wyglądały, jak uwite z kłębów zastygłych płomieni i białych dymów. Niosły się wysoko pod niebem, samotne i ciche. Co raz któraś z nich gasła stopniowo, powlekała szarością i zaczynała tonąć w ciemniejącym błękicie. Na wschodniej stronie rozsypywały się powoli migotliwe płomyczki gwiazd. Jakby ktoś gorejące kamuszki przez palce powoli rozsiewał w głąb ciemnej studni.

Nad ziemią był spokój. Błąkały się po niej zmieszane bełkoty maszyn i co chwila rożegały się nowe sznury świetlistych paciorków. Czasem rozleciały się zygzakami tuż nad ziemią, wzdłuż niewidocznych już dróg, czasem znowu rozrosły się znienacka w kępy nad zbiorowiskiem dachów kopalni czy huty. Szedł od nich mętny blask, łudzący spojrzenie wspomnieniem słońca.

Sojka szedł opęczniały radością, że znowu dzisiaj siedział między telkownymi panami. A jeszcze częściej

będzie siadywał, tylko musi pokazać, co potrafi. On to znowu pierwszy doniósł Langhorstowi, że Wałoszek, Marek i Ściskała noszą się z zamiarem założenia „Sokoła". Głupi ludzie!.. Tak, jakby nie mieli w Ligocie niemieckiego ,,Turnvereinu”!.. Wszak ci, co są jego członkami, nie żałują tego. Zarobią więcej, mają lżejszą pracę, a sam pan dyrektor Langhorst nieraz z nimi przemówi, ręki poda, papierosa podaruje...

Langhorst wdzięczny był Sojce za wiadomość, bo już zgóry mógł poczynić kroki, by obrzydzić tamtym ową głupią myśl o „Sokole”. I postanowił swego dopiąć!

Kiedy przyszedł do niego Marek, jako do „amtowego", żeby zgłosić zebranie, zwołane u Szuścika celem założenia towarzystwa gimnastycznego „Sokół”, kazał mu czekać w sieni,

— Proszę zaczekać za drzwiami, aż was zawołam! — burknął z poza ramienia. — Teraz nie mam czasu!

Marek wyszedł i czekał. Całą godzinę. A kiedy wkońcu otworzyły się drzwi kancelarji, ujrzał w nich Langhorsta, ubranego już do wyjścia.

— Aha, to wy jesteście! Proszę przyjść jutro. Teraz już nie mam czasu!

Powtarzało się to przez pięć dni z rzędu. Uparty Marek przychodził co dnia i stale powtarzał swoje zgłoszenie. Langhorst ustąpił. Zniecierpliwiony natrętnością Marka, wydał urzędowe zezwolenie.

W niedzielę odbyło się zebranie. Przyszli Wałoszek, Marek, Ściskała, Danielczyk, Fójcik, Morgała, Żyga i Tkocz. Poza tem kilkunastu ze starszej młodzieży oraz kilku z młodszej. Werner także przyszedł. W mundurze, nadęty, zimny, patrzący na wszystkich zpodełba. Siadł na boku i słuchał.

Prezesem wybrano Wałoszka.

Na przyszłe zebranie zarządu postanowiono zaprosić delegatów z gniazda bytomskiego i katowickiego.

Za dwa tygodnie zeszło się jeszcze więcej robotników. Zanim przystąpiono do obrad, wpisano wszystkich obecnych na listę członków. Uczyniono to dla zabezpieczenia się przeciwko nieprzewidzianemu podstępowi ze strony Langhorsta. Na drzwiach umieszczono kartę z napisem: „Wstęp dozwolony tylko członkom — Eintritt nur Mitgliedern gestattet!” Chodziło bowiem o to, by zebranie to, w myśl obowiązujących ustaw pruskich o stowarzyszeniach z roku 1908, traktowane było jako zamknięte. Przybyli także zaproszeni delegaci. Naczelnik okręgowy Wysocki i naczelnik gniazda bytomskiego, Groborz.

Zaledwie jednak Wałoszek zagaił zebranie, weszło na salę dwóch tajnych agentów policyjnych. Przedstawili się Wałoszkowi i zażądali, by im przyniesiono krzesła. Wałoszek zaprotestował.

— Panowie, nie macie prawa naszego zebrania dozorować! Wszyscy tutaj zebrani, to członkowie towarzystwa i dwaj zaproszeni goście!..

Lecz tamci wykazali się pisemnym rozkazem i pozostali. Wszyscy widzieli, że to robota Langhorsta. Marek nie mógł wytrzymać. Zerwał się i krzyknął:

— Chłopi! W odpowiedzi zaśpiewajmy im!.. — i zaintonował sokolą pieśń „Ospały i gnuśny”.

Zaledwie jednak zebrani podchwycili melodję, wstał jeden z policjantów i zakazał śpiewania. Usłuchano. Policjanci czuli się nieswojo w towarzystwie ludzi, dławionych wściekłością. Lecz nadrabiali miną i puszyli się.

Wałoszek, blady i wstrzymujący się całą siłą woli, by nie wybuchnąć, rozpoczął przemawiać. Słowa jego drżały, dławiope złością i rozpaczą. Policjanci rzucali na

siebie spojrzenia i uśmiechali się. Nagle jeden z nich znowu powstał i zażądał, żeby obradowano w języku niemieckim.

— Ani mi się śni! — wykrztusił Wałoszek w odpowiedzi, wspierając się zaciśniętemi pięśćmi o stół.

— Wobec tego zebranie rozwiązuję!

Przystąpił do stołu i zażądał spisu obecnych. Wynotował z niego Wałoszka, Ściskałę i Marka.

— No, proszę się rozejść! — warknął na obecnych drugi policjant.

Rozeszli się wszyscy w milczeniu, a za dwa tygodnie doręczono tamtym trzem wezwanie do sądu. Skazano każdego na 25 marek grzywny za to, że śpiewali i prowadzili obrady na publicznem zebraniu w języku nie-niemieckim.

W następstwie tego, po kilku dniach przeprowadzono jeszcze rewizję u Wałoszka i Marka. Niczego nie znaleziono, prócz kilku pocztówek polskich o treści narodowej.

Znowu nowa rozprawa i znowu kara po pięć marek dla każdego.

I kiedy Langhorst zacierał ręce i przemyśliwał nad nowym sposobem, żeby „całą tę bandę na cztery wiatry rozkurzyć”, — jak się wyrażał, tamci trzej postanowili nie ustępować. Langhorst wiedział, że potrafi ich złamać jedynie karami pieniężnemi.

— Gdy ich do nędzy doprowadzę — myślał — zmiękną, bestje!..

Wałoszek oprócz tego rnusiał jeszcze zapłacić 50 marek kary za oświetlenie stodoły naftowemi lampami. Ksiądz proboszcz tłumaczył mu, żeby użył do tego celu pieniędzy, zebranych ze wstępu na przedstawienie. Wałoszek nie chciał.

— A co se myślą, księżoszku? Czy to są pieniądze moje? Toć to przeca Karlikowe, Boże mu tam dej radość wieczną!,.

I nie przyjął ich. Ponieważ proboszcz ofiarował na Karlików grób kwiaty ze swojego ogrodu, Wałoszek oddał je Karlikowej matce,

„Sokół" zaś nie upadł. Rozwijał się powoli. Pierwotnie zamierzali wszyscy wziąć udział w zlocie grunwaldzkim w Krakowie. Ponieważ jednak brakło im kogoś, ktoby poprowadził ćwiczenia, nie zdołano się ich naczas wyuczyć i wskutek tego nikt nie pojechał. Langhorst zaś porozumiał się z dyrekcją kopalni, i akurat w owe dni, kiedy odbywał się zlot grunwaldzki, nie udzielono nikomu urlopu. Nawet w niedzielę zawezwano wszystkich tych do pracy, których podejrzywano, że gotowi wyjechać do Krakowa.

— Kto z was nie przyjdzie w niedzielę do pracy, nie musi w poniedziałek już wcale przychodzić. Obejdziemy się!

To poskutkowało. Nikt nie pojechał.

Dzisiaj Sojka miał zbadać, który z młodych hutników bierze udział w ćwiczeniach u Szuścika, a równocześnie skłonić go do odmówienia „Sokołowi” sali na dalsze ćwiczenia. W razie oporu miał mu zagrozić utratą koncesji.

Sojka postanowił wywiązać się skrupulatnie ze swego zadania. Nie poszedł odrazu do środka, lecz chwilkę krążył naokoło gospody, zerkając bojaźliwie, czy go ktoś nie śledzi. Nikogo nie widział. To dobrze. Podkradł się na palcach pod okna. Nic nie mógł dojrzeć, bo były zasłonięte szczelnie firanką.

— A, to musza wejść do postrzodka — zdecydował się wkońcu. — Wszak tam by dzie Werner, to mi nic nie zrobią!

Wszedł, stanął przy bufecie, zażądał kufel piwa i zaczął się przypatrywać. Po drugiej stronie stał Werner, a na sali ćwiczyło koło dwudziestu chłopaków. Prowadził ich Emil Wałoszków i Gustlik.

Nie otrzymał jednak żądanego piwa, bo Szuścik poprosił go do izdebki.

— Siedną se sam, panie Sojka, sam im przyniesa piwa fajnego, prowda, ni? a na sali nie warto stoć, bo tam ci młodzi świtają, ni? toby ich jeszcze kiery mógł uszkodzić, prowda, ni?

Sojka, nie chcąc zdradzić się, że przyszedł podpatrywać ćwiczących, usiadł. Szuścik wyszedł i zamknął za sobą drzwi. Po chwili przyniósł piwo.

— Sam mają fajne piwo, prowda, ni, a popiją se, panie Sojka, popiją!.. — i zabierał się do odejścia.

— Herr Szuścik! na słóweczko!.. — zawołał na niego Sojka.

— Na, co chcą?

— Pójdą haw!

— A dyć mówią, dyć jo sam stela usłyszą, ni?

— Ale pójdą jeny bliżej, boby kiery usłyszoł! — nalegał Sojka.

Szuścik powziął już plan. Podszedł do niego i nachylił się.

— Herr Szuścik, wiedzą, jobych im tak cosi powiedzioł, jako że im dobrze życzą!..

— A wiem o tem, wiem!.. Jo im też byda powdzięczny fajnie za ta życzliwość, ni?

— Herr Szuścik, jo im tak życzą dobrze. Jeśli nie chcą stracić koncesja...

— Pst! Cicho, Herr Sojka!.. Nie mówią tu o tern, bo jakby tamci usłyszeli — i wskazał palcem na salę. — Wypiją se to piwo, boby kiery po nich parszywki na gębie dostoł, prowda, ni? a potem se pójdymy do sieni, ni? a tam se pomówimy!..

Sojka spojrzał na niego nieufnie. Wydawało mu się, że Szuścik kpi z niego. Ta wzmianka o parszywkach, to wyraźne kpiny. Ale nie! Bo na jego twarzy maluje się takie poważne i jakby zatroskane skupienie, że nie Iza go o to posądzać. Wypił więc piwo, otarł usta i wyszedł za gospodzkim. Stanęli w mrocznej sieni. Nikogo w niej nie było.

— Nó, mówią terazykej, Herr Sojka! — zachęcił go dobrotliwie Szuścik.

— Ja, wissen Sie, Herr Szuścik, wyciepną tych „Sokołów" ze swojej sali, jo im tak szczerze padóm, bo mogą koncesja stracić...

— Pierona kandy! Naprowdy? Dyć już mi to roz prawili, jak miało być u mnie przedstawieni. Wtedy też nie dołech sali na przedstawieni, prowda, ni? A co potem?

— Jako, co potem?

— No, jakbych koncesja stracił?

— No, to wylecą z gospody i szlus!..

— Aha, tóż wylecą z gospody i szlus? No, ale żeby to szło po porządku, to przody oni, Herr Sojka, wylecą z mojej gospody, prowda, ni?.. — i zanim się Sojka spostrzegł, ujął go Szuścik za kołnierz w swoje muskularne łapy, uniósł nieco i co miał siły — kopnął w tyłek. Sojka wrzasnął przeraźliwie, zakreślił długi łuk w powietrzu i potoczył się do przydrożnego rowu.

— Widzisz, ty pieronie! Pierwszyś ty wyleciоł, prowda, ni? A jeszcze mi tu roz przyjdziesz, to ci, ty dziadzie pieroński, wszystkie kości porachują!.. — pogroził mu pięścią, trzasnął drzwiami i wrócił do sali.

XXVIII.

Helenka spodziewała się, że po ostatniem zajściu z Willichem, kiedy go uderzyła w twarz, spotka się z jego strony z prześladowaniem. Na wszystko była przygotowana. I na wyrzucenie z pracy. Tymczasem ku jej niepomiernemu zdziwieniu dał jej spokój. Zachowywał się wobec niej tak, jakby nie było nic zaszło. Tak samo się uśmiechał i słodził głos swój, gdy z nią rozmawiał i nazywał ją Helenką. Była nieraz świadkiem, jak krzyczał na któregoś robotnika, wyzywał go od ostatnich słów, rzucał się, a w tej samej chwili, kiedy ją ujrzał, przemieniał się do niepoznaki, W głosie jego znikał ostry, rozkazujący ton, brzmienie jego stawało się jakieś miękkie, matowe, oczy, co przed chwilą zdawały się człowieka dziobać, przemieniały się w kształt delikatnych głaśnięć.

Dziewczyna wiedziała, że działa tutaj jej urok. Świadoma była swej krasy i to jej bezwiednie pochlebiało. I znowu, mimo wyczuwanej do niego niechęci, doznawała dziwnej rozkoszy, patrząc na niego. Podobał się jej. Równocześnie żywiła doń coś w rodzaju nieświadomej wdzięczności, że ani słówkiem nie napomknie o tamtej scenie.

Willich przyczaił się. Pozornie nie zwracał zbytniej uwagi na nią. Nie chciał jej spłoszyć. W rzeczywistości jednak palił się w nim coraz większy żar. Wydawało mu się, że oszaleje, jeżeli jej nie zdobędzie!..

Zżymał się tylko, że nie może znaleźć drogi, którąby doszedł do swego celu.

Przyszedł mu z pomocą Sojka.

Sojka od lat nosił w sercu pragnienie zemsty za wszystko, co go spotkało ze strony Marka, Wałoszka i Helenki. Po nocach nieraz przemyśliwał, jakby ją wykonać.

Żywo mu tkwiły w pamięci tamte chwile, kiedy go Marek sprał pięśćmi pod hałdą, wówczas, gdy go śledził i podpatrywał, że w towarzystwie Wałoszka i Ściskały jakąś cudaczną, a bezdennie głupią przysięgę składa. Helenka wtedy go zdradziła, a tego jej nie może podarować. A potem, kiedy Helenka, Emil i tamten przybłęda z cesarskiej strony psa na niego poszczuli, kiedy raz wieczorem podkradał się pod Wałoszkowe mieszkanie. A oto niedawno, kiedy został sromotnie wyrzucony z Szuścikowej gospody. A te wszystkie razy i sińce, oberwane tylekrotnie od innych górników czy hutników; te splunięcia pod nogi i odwracania się tyłem do niego, i obelżywe słowa, i wszystko!..

Wszystkiemu winien Wałoszek!.. On powodem, że robotnicy nastawają na niego, ponieważ ich buntuje i o jakiejś Polsce bredzi, a ci go słuchają, i człowiekiem innych przekonań poniewierają!.. On temu wszystkiemu winien!.. Nikt inny, tylko on!..

I zemści się!

A zemsta będzie słodka, och!., jak bardzo słodka!..

Kiedy spostrzegł Helenkę po raz pierwszy w hucie, uradował się. Przez kilka dni nic. A zauważywszy pewnego razu, że poszła do domu wcześniej, niż powinna była, postanowił działać. Pobiegł do Willicha, a po drodze układał oskarżenie, które w rezultacie spowoduje wydalenie jej z pracy.

Lecz zaledwie zaczął o niej mówić, Willich poczerwieniał, zerwał się z krzesła i krzyknął:

— Za drzwi!.. Ty wstrętny bydlaku!.. Aż się więcej nie odważysz przychodzić do mnie z podobnemi bredniami!

Przerażony Sojka wybiegł z kancelarji, A potem jął szukać w myślach odpowiedzi. Znalazł, I puknął się palcem w czoło.

— Aha! teraz już wiem!.. Ona mu się podobo!..

I nie mógł sobie podarować, że wcześniej tego nie spostrzegł. To dobrze. Jeżeli Willich potrafi Helenkę zhańbić, Wałoszek będzie się wściekał! Hi! hi! hi!..

Czekał kilka miesięcy, lecz nic nie mógł zauważyć, że między Helenką a Willichem już coś zaszło. Gryzło go to i w duchu pośmiewał się z niego, że taki niedołęga. Ho! ho!., żeby on tak był młodszy, a taki szumny chłop, jak jest Willich!.. Ho!., ho!.. Downoby już „konteska" piastowała bachora!..

Aż tu pewnego razu nadeszła chwila, która była dla niego radosnem olśnieniem.

Przechodząc koło kancelaryj, zauważył, że przy bramie stoi Willich z Helenką. Coś z nią rozmawia, uśmiecha się przyjaźnie, a teraz podaję jej listy. Widocznie na pocztę ją wysyła. Helenka idzie. Lekka, smukła, prawdziwa „konteska”. Kołyszę się miękko w biodrach, a wiatr zwiewa jej suknie, koło nóg owija. A Willich stoi wsparty dłonią o sztachety i patrzy za nią, i patrzy.

Już ma!..

— Dzień dobry, panie Willich! — pozdrowił go uniżenie, zdejmując głęboko czapkę.

— Dzień dobry! — mruknął technik.

— Ale szykowno dzioucha, ni? Hi!., hi!., hi!.. — zarechotał, zadowolony swoją uwagą przychlebną.

Willich spojrzał na niego zukosa i warknął:

— A idź do stu djabłów, stara małpo!.. — Wściekły był, że Sojka odgadnął jego myśli,

— Panie Willich! — zaczął odrazu, lękając się, że go skrzyczy i naprawdę wynosić się każę — panie Willich, ja znam sposób, jakby ją dostać!..

Technik zmierzył go pogardliwie i już miał dla niego ciężkie słowo napodorędziu, lecz się wstrzymał.

— No, co za sposób?

— Panie Willich, ja wiem, pan się jej podoba. Komuby się taki okazały człowiek nie podobał?

— No, jazda dalej! A bez tych głupich pochlebstw!..

— Panie Willich! Ją można dostać. Ma pan gramofon?

— Gramofon?.. — zdziwił się szczerze Willich. — Cóż tu ma gramofon wspólnego z tem, co mi chcesz opowiadać? Czyś zbzikował na stare lata, idjoto?..

— No, niech mi pan powie, czy ma pan gramofon?

Willicha to zaintrygowało. Cóż u djabła ten człowiek chce z gramofonem?

— Nie mam. Nacóż mi gramofon?

— To proszę, panie Willich, kupić sobie jaki porządny gramofon. Opłaci się.

— To mówże już raz, do djabła, dokąd zmierzasz z owym gramofonem. Kręci i kręci, jakby pijany!..

— Już powiem wszystko, panie Willich. Helenka Wałoszkowa przepada za muzyką. Wiem o tem, bo nieraz ją widziałem u kierownika Kowolla grającą na fortepianie. Niech sobie pan kupi porządny gramofon, a będzie pan miał do niego dziewczynę...

— Tyś naprawdę, stary, zwarjował!

— Zaraz, panie Willich! Teraz u pana posługuje stara Zorychcina. Niech to samo robi za nią Helenka.

Pan może jej rozkazać. Pójdzie, boć przecież pan wtenczas jest w hucie, kiedy będzie w pańskiem mieszkaniu sprzątać. Nie będzie się lękała o swój wianuszek, hi!., hi!., hi!..

— No, i co dalej? — niecierpliwił się zaintrygowany Willich.

— Niech Helenka sprząta u pana, a gramofon niech sobie spokojnie stoi na stole. Z początku da mu spokój. Lecz później, jeżeli ją jeszcze do tego i pan zachęci, niech sobie na nim czasem zagra. Tak długo, aż się oswoi i z gramofonem, i z mieszkaniem pana. I nic. A kiedy już to będzie, może potrafi się oswoić i z panem, hi!., hi!., hi!., A jak, to już pańska rzecz!..

Willich milczał, ważąc w myślach Sojkowe pomysły.

— Wystarczy, że pan kiedyś przyjdzie wcześniej do domu — podsunął mu jeszcze — i że pan zastanie tam jeszcze Helenkę, grającą sobie na gramofonie...

— Wiesz, z ciebie jest wstrętny rajfur!.. — ofuknął go Willich i poszedł.

— Hi! hi! hi!.. — rechotał Sojka, zacierając dłonie — wędeczka chyciła, chyciła!.. Poczkej „kontesko", już ty bydziesz miała piękny gramofon w pierzynce!.. Hi!., hi!., hi!.. A stary Wałoszek wścieknie się!.. Hi!., hi!., hi!..

Minęło znowu kilka tygodni. Nadeszły jesienne pluchy. Posiew Sojki zakiełkował w sercu Willicha. Kiedy wrócił wieczorem do domu i znalazł się sam między bezludnemi ścianami, a na dworze deszcz dzwonił monotonnie o szyby, wicher zaś zawodził w kominie, czuł, że oszaleje, jeżeli nie umknie między ludzi. Gryzła go samotność, w której pożądanie Helenki przemieniało się w chorobliwe jakieś, nawpół gorączkowe majaczenie. Widywał ją przed sobą, patrzał na jej gibką postać, w dłoniach zdawał się wyczuwać kształty jej młodego ciała,

rozbierał ją do naga, że stała przed nim w swej niepojętej krasie, raz zawstydzona, zasłaniająca się drobnemi dłońmi, innym razem wyzywająca, dumna, do obłędu doprowadzająca go swym cudem olśniewającej urody... Bawił się jej rozpuszczonemi włosami, które się motały miękko w jego drapieżnych palcach, jak płynne złoto, wchłaniał nienasycenie zapach jej ciała, płomienie buchały mu w oczy, o szaleństwo przyprawiały...

Wbijał paznokcie w dłonie, zaciskał kurczowo powieki, zwierał zęby... A potem zrywał się, blady i dygocący ze wzruszenia, i uciekał do kasyna. Wracał do domu późną nocą, pijany, radujący się, że potrafił na chwilę zapomnieć o niej.

Plan Sojki uważał za trafny. Lecz zżymał się na myśl, że miałby z niego korzystać. Dlatego właśnie, że to pochodzi od Sojki, od takiego Sojki!.. Jakby mu ktoś na brudnej, owrzodzonej dłoni rumiane jabłko podawał. Otrząsał się z obrzydzenia.

Dni mijały i mijały.

Pewnego dnia pojechał Willich do Opola i kupił gramofon. Wybrał płyty, które uważał za najodpowiedniejsze.

— Wie pani — mówił do zalotnej panny sklepowej — chodzi mi o takie płyty, których muzyka podobałaby się młodej dziewczynie.

— Aha, to pan na imieniny? Na podarunek narzeczonej? — zapytała domyślnie panna.

— Tak, to na podarunek imieninowy dla narzeczonej —- przytaknął Willich.

Przywiózł do domu, ustawił wytworną skrzynię, imitującą mahoń, założył płytę i puścił w ruch. Chwilkę słuchał.

— Głupia muzyka! — mruknął niechętnie. — Kwili to płaczliwie, jak usmarkane niemowlę!.. — Spojrzał na podpis. — Jakiś idjotyczny „Jungfraugebet"![97])

— „Stolze Jungfrau!" — przemknęło mu w myśli przezwisko, wydane Helence przez urzędników. — Tak! to w sam raz do niej!.. „Jungfraugebet”!.. Ha! ha! ha!.. — roześmiał się szeroko i poszedł do kasyna.

Nazajutrz, kiedy Helenka przyszła do jego kancelarji, ażeby przynieść wody, posprzątać i odnieść listy, zatrzymał ją.

— Jutro, Helenko, nie będziesz już nosiła poczty. Dopołudnia posprzątasz, jak zwykle, po kancelarjach, potem pójdziesz do mojego mieszkania i tam mi posprzątasz. Nie musisz się wcale śpieszyć. Wrócisz następnie do huty, do swojej zwykłej pracy. A po południu o godzinie drugiej pójdziesz znowu do mnie, napalisz w piecach, przewietrzysz mieszkanie, przyniesiesz co ci każdym razem polecę i możesz iść do domu.

— Ale przecież tam sprząta u pana stara Zorychcina!..

— Starej Zorychciny nie chcę. Ona nie umie sumiennie pracować. Często znajduję niestarty pył na biurku, często zapomni mi buty oczyścić, albo uczyni to niedokładnie... Nie chcę jej! Pójdzie na twoje miejsce, a ty na jej. Od jutra już! Rozumiesz?

— Rozumiem, panie Willich — odparła dziewczyna, nie wiedząc, co o tern wszystkiem myśleć.

W pierwszej chwili zdawała się spostrzegać w owej zamianie jakiś podstęp z jego strony. Willich jednakże, wydając jej swe polecenie, nie patrzał wcale na nią, a mówił to głosem tak obojętnym, że pierwsza nieufność

°7) „Modlitwa dziewicy.“

zniknęła. Tem bardziej, że przecież będzie w jego mieszkaniu, kiedy znajduje się w hucie, a popołudniu nie wraca nigdy do domu przed godziną czwartą. Uspokoiła się.

— Jutro dam ci klucz od mieszkania. Możesz go zatrzymać, bo mam drugi. To wszystko.

Helenka powiedziała to w domu. Obydwoje, matka i ojciec upominali ją na swój sposób.

— Pamiętaj, dziecko — mówiła matka — żebyś nigdy się nie zapomniała. Swoje zrób a uciekej! Jeśliby się kiedy trefiło, że on bydzie doma, a ty wtedy bydziesz tam musiała pochraniać, to nie wdowej się z nim w żodne pogwarki. Swoi robić i zbyte! A jakby cię chcioł zadzierżeć, lebo częstować czemś, lebo co, powiedz krótko, że dziękujesz, a bier sie a idź!,. Wiesz?

— Ty, Helenka, to ci powiadom! — mówił znowu Wałoszek — jakbyś widziała, że się mo ku tobie, to wiesz, co mosz zrobić!.. Nic nie mówić, a odejść. A jakby nastowoł, trzaśnij go w pysk... Chocioż to twoje trzaśnięcie niewieleby pomogło — dodał po chwili. — Wiem! Gdyby cię napastowoł, powiedz jeny, że bydzie mioł ze mną do roboty. Wiesz? Tak mu powiedz!.. A joby się już potem z nim porachowoł!..

Helenkę obleciał mróz, bo w zimnym błysku Wałoszkowych oczu dojrzała śmierć.

Na drugi dzień poszła do Willichowego domu. Przestępowała próg z drżeniem serca. Cisza była w mieszkaniu. Onieśmielał ją wykwint, jaki w niem zastała. Puszyste dywany tłumiły kroki i zdawały się pieścić stopy. Lśniące, ciemne meble, wygodne fotele, obrazy, firanki u wysokich okien, rozrzucone książki na stole, ogromna szafa, również z książkami, szkła rznięte, figurki przeróżne, barwne poduszki na szerokiej otomanie i lekki

zapach woniejącego dymu cygarowego zmieszany z zapachem wody kolońskiej, flakoniki jakieś na umywalce, tubki, cacka — wszystko to wywoływało u niej słodki niepokój. Nigdy jeszcze nie była w takiem ślicznem mieszkaniu. Toć tu ładniej, aniżeli w kościele! Jakaś pachnąca, dostatnia cisza mieszka tutaj między malowanemi ścianami, wśród wytwornych mebli, na otomanie w jedwabnych poduszkach przeciąga się leniwie, patrzy na dziewczynę dziwnie uśmiechnięta, z przymrużonemi oczyma...

Helenka stała długo na środku izby i rozglądała się. Potem przeszła na palcach do drugiego pokoju. I znowu przystanęła u progu zachwycona, nie mogąca wchłonąć wszystkiego w spłoszone a urzeczone oczy.

Pod oknem stało szerokie łóżko. Zielona kołdra fałdowała się w kuszące pragnienie, żeby się jej palcami dotknąć i wyczuwać miękki szelest jedwabiu. Znów te same szerokie, złocone lub czarne, lśniące ramy, z których wychylały się przecudne krajobrazy, pełne słońca, zieleni i kwiatów, patrzyły na nią ze ściany wizerunki ludzi o dziwnych, niespotykanych twarzach, oczy jej błądziły w uniesieniu po misternych drobiazgach, ustawionych naokoło, dotykały nieśmiało przeróżnych bawidełek ze szkła, metalu, czy drzewa, chwilkę patrzyła na małą bronzową statuetkę nagiej Wenus z odtrąconemi ramionami, potem znów poleciała spojrzeniem gdzie indziej, napotykając wszędy na rzeczy, których ani przeznaczenia ani wartości określić nie mogła.

— Jej! tu jest szumnie!.. — westchnęła.

Jęła się pracy. Posprzątała, zasłała łóżko, przyniosła wody, a teraz wzięła szmatkę i zaczęła ścierać pył ze wszystkich tych przedmiotów, które ją onieśmielały. Brała w dłonie, dotykała, pieściła palcami, ocierała dęli-

katnie i znowu stawiała ostrożnie na dawnem miejscu, nie mogąc się pożegnać z ich widokiem.

Przeszła do pierwszego pokoju. Tuż u drzwi natrafiła na dużą szafę, której poprzednio nie była zauważyła. W ramie jednej połowy drzwi umieszczona była duża, szlifowana tafla zwierciadlana. Stanęła przed nią zdumiona. Toć takiego zwierciadła jakżyw jeszcze nigdy nie widziała! Toć przecież cała może się w niem przejrzeć! .

Dotknęła się go palcami, potem szybko starła matowe plamki, które zostały na szkle. Cofnęła się. Teraz widzi się cała. Od głowy do stóp. Spoglądała na siebie z zachwytem. — Więc to tak wyglądam?

Zdawało się, że to ktoś obcy, a jednak ogromnie bliski znajduje się w głębi zwierciadła. Toć to przecież ona!.. Wodziła spojrzeniem po odbiciu swojej twarzy, jak małe dziecko wodzi paluszkiem po twarzy kogoś, którego ogromnie kocha. Dziwiła się miękkiej linji swych ust, cudowała się oczom, ujętym w wygięte czarne łuki brwi, radowała się widokiem lekkich rumieńców na delikatnej twarzy. Zrzuciła nagle chustkę i otrząsnęła głową. Puszyste włosy rozjarzyły się w złocistą obręcz koło twarzy. Wyjęła szpilki, poraź drugi wstrząsnęła głową. A wtedy po ramionach stoczył się ich bogaty węzeł. Rozleciał się w dwa długie, grube warkocze. Przerzuciła je przez ramiona na piersi. Połyskiwały w swych ogięciach, jak stare złoto. Uśmiechnęła się. I znów się zdziwiła, bo zdawało się jej, że jeszcze nigdy swojego uśmiechu nie widziała. A może widziała, tylko nie w tej oprawie, jaką tworzyła głębia zwierciadła, biorąca w siebie wytworne tło przeciwległej ściany obrazów, mebli i cacek.

— Jej, jo jest piękno!.. — szepnęła zachwycona.

Patrzyła teraz na swoją postać. Stała w zwierciadle smukła, wiotka, do jakiegoś kwiatu podobna, który poraź

pierwszy zakwita. Ujęła się dłońmi za biodra, obciągnęła lekko bluzkę, patrzyła z uradowaniem na falistą linję, opadającą od ramion wzdłuż nóg do ziemi. Odwróciła się bokiem. Znowu obciągnęła lekko bluzkę i przytrzymała. W tafli spostrzegła teraz lekkie wzniesienie swych drobnych piersi. Zawstydziła się i uciekła, Mimowoli rozglądnęła się po pokoju, czy jej kto nie podpatrywał.

Potem, dziwnie czegoś uradowana, jęła się krzątać. Starła pył z mebli i z tamtych cacek, oczyściła jeszcze kilka par bucików w sieni, potem stoczyła warkocze w węzeł, zawiązała chustkę na głowie i poszła.

Po południu radowała się, idąc po drodze, że znowu ujrzy tamte wszystkie cuda. Napaliła w piecach, mieszkanie przewietrzyła, napatrzyła się i poszła.

Na drugi dzień pochwalił ją Willich.

— Helenko, zadowolony jestem z twojej pracy — powiedział.

Dziewczyna nic nie odpowiedziała. Pragnęła wyrazić mu swój podziw, jaki u niej wywołało jego mieszkanie, lecz pomna przykazań matki i ojca — milczała.

— A widziałaś na stole w pierwszym pokoju tamtę czarną skrzynkę? — zapytał.

— Widziałam.

— To jest gramofon. Jeżeli czasem będziesz chciała, możesz sobie na nim zagrać. Płyty leżą w szufladzie w stole. A będziesz go umiała nastawić?

— Owszem, bo już taki gramofon widziałam i sama nawet nastawiałam w gospodzie u Szuścika...

— No, to dobrze...

Odtąd Helenka z dniem każdym pozbywała się bojaźni wobec Willicha. Zapominała wszystkie urazy, jakie do niego żywiła za jego nienawiść do polskości, starała się ją pomniejszyć, co raz to wyszukiwała w nim jakieś

przymioty, które potrafiły tamto wszystko stopniowo przekreślić.

Raz otworzyła ukradkiem szufladę w biurku i pośród przeróżnych papierów wydobyła jego fotografję. Wpatrywała się w nią długo, bardzo długo. Potem nastawiła gramofon i puściła go w ruch. Słodka muzyka skrzypiec i czela skarżyła się żałośliwie, a Helenka zaś patrzyła się w fotografję. Działo się z nią coś, czego nie umiała sobie nijak wytłumaczyć. Jakiś smętek dziwny schodził z muzyką do niej. Chwilami zdawało się jej, że pragnie czuć się w ramionach matki, któraby ją do piersi przygarniała i pieściła, i po włosach głaskała. Potem znowu uklęknąćby przed kimś pragnęła i po rękach całować z przeogromnej tkliwości... Znienacka przyleciała myśl, która ją przeraziła.

— A gdyby mnie tak on pieścił?..

Rzuciła fotografję do biurka, zatrzasnęła szufladę, wstrzymała gramofon i poszła do domu. A w nocy, kiedy zasnąć nie mogła, próżno usiłując tamte myśli odegnać, szeptała modlitwy. Plątały się jej słowa, urywała w połowie zdania, szukała ich chwilkę, a zanim je znalazła, już znowu wracały odpędzone myśli, słodkie a kuszące.

Mijały dni.

Helenka tak się zżyła z Willichowym gramofonem, że co dnia grywała na nim. Niektóre melodje znała już napamięć. Pewnego razu spotkała ją niespodzianka. Na stole obok gramofonu leżał stos nowych płyt. Widać, wczoraj je Willich z Opola przywiózł.

Posprzątała szybko i zaczęła się cieszyć nową muzyką. Czas mijał. A kiedy się nareszcie spostrzegła, że powinna już była dawno pójść do huty, na kopalni zaryczały syreny na znak, że już dwunasta godzina.

— O loboga!.. — przestraszyła się Helenka — dyć już połednie, a jo tu jeszcze siedzą!

Wybiegła z mieszkania przelękniona, bo z pewnością w hucie spotka się z wymówkami ze strony Willicha, że tyle czasu mitręży w jego mieszkaniu.

Spotkał ją w bramie.

— No, Helenko, podobały ci się nowe płyty? — zapytał.

Dziewczynę zaskoczyło to pytanie. Skubiąc chustkę w dłoniach, milczała.

— No, powiedz, podobały ci się? — nalegał Willich, uśmiechając się przymilnie.

— Podobały...

— No, to dobrze. A teraz wróć się do mnie. Tu masz pieniądze — i podał jej banknot — kup w kasynie dwie butelki wina. Powiedz, że to dla mnie. Oni już wiedzą, jakie ci mają wydać. Zanieś mi je do domu, i zapal w piecach. Gdy skończysz, możesz się dalej bawić gramofonem. Z pewnością wrócę dzisiaj o jakie pół godziny wcześniej. W każdym razie nie przyjdę przed godziną trzecią. Przygotuj dwa kieliszki, a jedną butelkę odkorkuj, bo będę miał dzisiaj gościa. No, śpiesz się!

— A to mogę pójść do domu wcześniej? — zapytała.

— Nie. Czekaj do czwartej. O ile wrócę wcześniej, dam ci jeszcze listy na pocztę. Jeżeli mnie nie będzie, idź do domu.

Pobiegła do kasyna, kupiła wina, opaliła mieszkanie, nakryła stół białym obrusem, wyszukała w kredensie dwa duże, kryształowe kieliszki, otworzyła flaszkę i ułożyła wszystko na stole. Potem pobiegła do gramofonu.

Nakręcała, wstawiała płyty, słuchała, zmieniała, nowe wyszukiwała, znów słuchała, a czas uciekał. W pewnej chwili zdawało się jej, że ktoś otwiera bramę do sieni.

Podniosła się z klęczek i słuchała. Istotnie. Teraz stąpa ostrożnie. Otwierają się drzwi. W progu stanął Willich.

— Czy już czwarta godzina? — zapytała przestraszona.

— Ale nie. Wróciłem, bo...

— To proszę o listy, ja już pójdę.

— Niema się co śpieszyć. Najpierw je muszę napisać. Ja przejdę do drugiego pokoju, a tymczasem możesz dalej grać. Ja również lubię muzykę.

Helenka się zawahała. Lecz Willich już wziął z biurka atrament, papier listowy i poszedł do drugiego pokoju. W progu jeszcze się odwrócił i powiedział:

— A proszę coś ładnego nastawić...

Helenka wyszukała płytę według jej zdania najpiękniejszą, włożyła i odsunęła zasuwkę. Na pokój jął spływać cichy, smętny śpiew dziewczęcy z akompanjamentem skrzypiec. A kiedy ucichł, drzwi drugiego pokoju lekko się odchyliły,

— Helenko, jeszcze raz to samo!..

Dziewczyna spojrzała na niego. Dlaczego jeszcze raz? Czy mu tak się podoba? Nastawiła i puściła w ruch. Znów ta sama pieśń i muzyka.

Willich jednak nie cofnął się, lecz podszedł do dziewczyny i zapytał:

— Czujesz jeszcze do mnie niechęć?

— Dlaczegożbym miała czuć do pana niechęć? Czy listy już gotowe? — i cofnęła się ku drzwiom.

— Ja wiem, że mnie nienawidzisz. Bom Niemcem...

— Czy już listy gotowe? — zapytała powtórnie.

— Już będą. Helenko, na dowód, że nie żywisz do mnie takiej nienawiści,, jak wszyscy tamci, przepij ze mną! — i już nalewał kieliszki przygotowanem winem.

— Dziękuję,

— No, proszę, Helenko — i podsunął jej kieliszek ku dłoni, wspartej o stolik przy drzwiach.

— Dziękuję! Proszę o listy!.. — upierała się dziewczyna.

— Dam ci listy, ale nie prędzej, póki nie przepijesz ze mną. Na zgodę. No, proszę! — i ujął ją za ramię.

— Proszę mnie puścić! — krzyknęła dziewczyna, próbując się uwolnić.

— Puszczę, jeżeli wypijesz!..

— Bo będę krzyczała!..

— Nie!..

Wtedy Willich już nie mógł się opanować. Odrzucił kieliszek, ułapił ją w ramiona, szarpnął do siebie, zdusił w objęciach, że dziewczyna przegięła się z bólu, i zaślepiony nagłym obłędem, porwany płomieniami, miotany burzą, jął szukać jej ust. Dziewczyna biła go po twarzy, drapała, wydzierała się, kąsała do krwi, a on dławił jej wysiłki w swoich mocnych ramionach, dziki, straszny w swej namiętności, tłumił jej krzyk swojemi ustami, a wkońcu, kiedy wyczerpana jęła mu się słaniać w łapach, broniąca się ostatkiem gasnących sił, porwał ją w ramiona i rzucił na otomanę.

Dziewczyna zerwała się w tem okamgnieniu, lecz Willich skoczył do niej, przytłoczył jej ostatni, rozpaczliwy wysiłek...

XXIX.

Kiedy się Hammermann dowiedział o nieudałej wyprawie Sojki do Szuścika, zaśmiewał się ubawiony, że spotkała go taka nauczka.

— Jabym nieinaczej postąpił z nim, gdybym był na miejscu tamtego dzielnego gospodzkiego!.. Jeszczebym na-

wet polecił owym „Sokołom", żeby mu porządnie skórę wygarbowali!..

Langhorst zagryzał usta i milczał.

Kąsała go radość Hammermanna.

— Rozumiem, że Sojką pogardzasz — rzekł po chwili. — Ja to samo czynię. Robi wrażenie psa, czołgającego się na brzuchu koło nóg zagniewanego pana. Lecz to jedyny człowiek, nadający się do takiej parszywej roboty...

— Widzisz! Dobrześ powiedział: „parszywej roboty”!... Bo co do mnie, to ja się nie piszę na waszą metodę walki z obcoplemiennym żywiołem. Poco? Wcześniej czy później i tak potrafimy go wchłonąć. Nie będzie się nam mógł oprzeć, Wyznaję zasadę, że proces asymilacyjny powinien odbywać się powoli, bez gwałtownych wstrząśnięć, pozostawiony własnemu biegowi. A wierzę mocno, że się zaasymilują. Chyba znasz ową teorję, która głosi, że narody o niskiej kulturze, sąsiadujące z narodem o kulturze wyższej, z łatwością się wynaradawiają i nawet za honor to sobie uważają, jeżeli po czasie mogą się świadczyć, iż przejęły kulturę sąsiedniego potężniejszego narodu. Nie śmiej się!.. Nie umiem tego tak płynnie wyrazić, by to miało kształt wymuskanego zdania profesora uniwersyteckiego. Ale chyba mówię dość jasno, byś mię zrozumiał.

Langhorst popatrzył na Hammermanna z jakiemś politowaniem. Aczkolwiek zaprzyjaźnili się i polubili serdecznie, nie mógł mu darować, że nie docenia jego wysiłków.

— A zresztą przekonam cię — zakończył dłuższą dysputę z przyjacielem — przekonam cię naocznie o skuteczności naszej metody. Najbliższe wybory do sejmu pruskiego muszą cię przekonać. Czy wiesz, ilu posłów

teraz posiadają? Pięciu!.. A liczba ta musi się teraz gwałtownie zmniejszyć!.. I zmniejszy się!.. — dodał mocno.

— A niechby sobie mieli i stu posłów. Nic mię to nie wzrusza! Obstaję przy swojem. Wcześniej czy później zniknie u nas kwestja walki narodowej. Bo nie będzie z kim walczyć. Wszyscy będą Niemcami. Mówię to z doświadczenia. W Saskiem niema już Łużyczan. A byli kiedyś, A jeżeli sięgniemy wstecz do naszej historji, Znajdziemy podobnych przykładów na kopy.

— Dobrze, dobrze — przerwał poirytowany już Langhorst — ale chyba nie odmówisz mi słuszności, jeżeli podważę zlekka twoje tezy tem, że naszym obowiązkiem jest ów proces asymilacyjny przyśpieszyć...

— Odmawiam!.. — mruknął niedbale Hammermann.

— Wiesz, skończmy nasze puste akademickie spory! — zaproponował Langhorst.

— A właśnie! To samo chciałem ci powiedzieć! Skończmy, bo mnie to naprawdę nudzi — odparł uśmiechnięty przyjaciel.

Chwilę jeszcze siedzieli, rozparci wygodnie w głębokich fotelach. Każdy z nich patrzał teraz w swoje myśli.

Wkońcu Langhorst wstał.

— Już idziesz? — zapytał Hammermann, wyciągając do niego wypieszczoną dłoń o długich, kobiecych palcach,

— Już! — rzucił odąsany Langhorst. — Idę, by swoje czynić,

Hammermanna rozśmieszyło to powiedzenie.

— Idziesz „przyśpieszać proces asymilacyjny?" — zapytał z wyraźną ironją. — No, to idź. Życzę powodzenia! Bo mnie tu wygodniej siedzieć i o niczem nie myśleć! .

Chyba o tamtej czarnookiej, ognistej „Carmen" z opolskiego baru!..

Rozeszli się.

Zbliżające się wybory nie dawały Langhorstowi spokoju. Do stycznia jeszcze trzy miesiące. Ostatni już więc czas, by pomyśleć o decydującym ciosie. Jeżeli każdy to samo uczyni, Górnoślązacy będą musieli ponieść klęskę. Nie będą się już szczycili swoimi pięciu polskimi posłami!

Podrażniony obojętnością Hammermanna, a równocześnie pragnąc sobie zaskarbić do reszty przychylność landrata, postanowił działać.

Przedewszystkiem zniszczyć Wałoszka!.. Proces z nim nie został jeszcze rozstrzygnięty w drugiej instancji, Do stycznia zapewnie wyrok zapadnie, lecz Wałoszkowi pozostanie jeszcze trzecia instancja w Lipsku. Że poniesie porażkę, tego był pewny. Lecz do tego czasu będzie nadal swoje czynił. A zwłaszcza teraz, w okresie przedwyborczym. Postanowił go więc unieszkodliwić, a równocześnie z nim Marka i Ściskałę.

Poprzednio jeszcze na skutek jego zachodów Wałoszek i gospodzki Szuścik otrzymali nakaz, żeby w ciągu 24 godzin usunęli ze salki, gdzie się zbierała młodzież sokola, wypchanego sokoła i dwa obrazy, przedstawiające „Przysięgę Kościuszki” i „Bitwę pod Racławicami". W razie sprzeciwu groził im karą 40 marek.

Szuścik wtedy srodze się rozzłościł.

— A co se, pierony, rachują, ni? Żeby jo obrozki ze ściany precz dowoł? I jeszcze mi, pieron, bydzie korą groził? Wiesz, Wałoszek, co? Wszystko tak zostawiemy, jak jest, po staremu, a uwidzisz, że plugawy german psińco nóm zrobi, prowda, ni?

I zostawili.

Za tydzień nałożył Langhorst na obydwóch karę po 40 marek, a równocześnie zagroził ponownie, że jeżeli obrazów i sokoła nie usuną w dalszych 24 godzinach, czeka ich kara po 70 marek lub 7 dni aresztu.

Wówczas Szuścik i Wałoszek wnieśli wspólną skargę do sądu w Opolu. Na wniosek prokuratora Izba karna zatwierdziła zarządzenie Langhorsta i poleciła zniszczenie obydwóch obrazów wraz z sokołem, symbolizującym orła polskiego — jak brzmiało określenie w wyroku.

Wałoszek i Szuścik zapłacili po 100 marek kary, a równocześnie stracili drogie im obrazy i sokoła, otrzymane w podarunku z Krakowa od zachodzącego do nich czasem akademika-Elsa.

To był pierwszy cios.

Po kilku tygodniach zarządzono rewizję w mieszkaniach Wałoszka, Marka i Ściskały, pozbierano im śpiewniki polskie, notesy z zapiskami, listy, otrzymywane z Krakowa z towarzystwa Elsów, z tych dwa z podpisem Wincentego Lutosławskiego, książkę kasową i protokołów „Sokoła" i spis członków.

Niezadługo odbyła się nowa rozprawa w Opolu. Akt oskarżenia, obejmujący 123 stron pisma maszynowego, zarzucał im, że należą do tajnych związków zagranicznych, mających na celu wywołanie powstania polskiego na Górnym Śląsku i w Poznańskiem, co się już równało zdradzie stanu, że podburzali do gwałtów wobec władz policyjnych miejscowych oraz że śpiewali zakazane pieśni.

Tekst owych pieśni, przetłumaczonych na język niemiecki, załączono do oskarżenia. Budziły one wesołość nawet u wściekającego się Marka. Kiedy je podczas dwudniowej rozprawy odczytywano, Marek parsknął śmiechem.

— Z czego się śmiejecie? — zgromił go sędzia.

— Eh, nic, panie sędzio! — odparł Marek.

— Nie wolno się śmiać! — krzyknął jeszcze na niego.

— Nie będę już się śmiał, tylko niech tamten pan — tu wskazał na prokuratora — nie czyta takich tłumaczeń, jak tamto:

Zum Wawel, zum Wawel!
Du frischer Krakauer!..

— Dwa dni aresztu za niestosowne zachowanie się wobec sądu! — zagrzmiał oburzony sędzia, zwracając się do sekretarza.

Na drugi dzień po południu ogłoszono wyrok.

Z powodu przekroczenia paragrafu 129, dotyczącego należenia do tajnych związków, i paragrafu 130, dotyczącego podburzania do gwałtów, skazano Wałoszka i Marka na cztery miesiące więzienia, a Ściskałę, z powodu przekroczenia paragrafu 130, na miesiąc więzienia.

Langhorst zacierał dłonie.

Dzięki swym chytrym posunięciom pozbył się na czas wyborów najbardziej niebezpiecznych przeciwników. Ściskała wprawdzie wróci do domu przed wyborami, lecz ten już nie taki groźny. Sam niewiele zdziała, chociażby nawet przy pomocy księdza proboszcza Jankowskiego.

I kiedy Wałoszek, Marek i Ściskała przebywali w więzieniu, trawieni poczuciem krzywdy, której im nie sposób pomścić, Langhorst pracował gorączkowo. Za jego sprawą rozwiązywano publiczne zebrania i nakładano wysokie kary na mówców, nie przestrzegających rozporządzenia o używaniu języka niemieckiego. Grożono w hucie i kopalni wydaleniem z pracy tym, którzyby się zajmowali agitacją na rzecz polskiego kandydata, obdarzano zaś hojnie tych, którzy wpływali na swych towa-

rzyszy, ażeby głosy oddali na kandydata niemieckiego, czyniono im ulgi w posyłaniu dzieci do szkoły, przeznaczano do lżejszej pracy, podwyższano zarobki z uszczerbkiem dla upartych. Zmontowano rozgałęziony system szpiclowania robotników w hucie, kopalni i gospodach. Starano się jednych przekonywać groźbą, innych zaś przekupstwem, prasę polską usiłowano skrępować, poczta niejednokrotnie nie doręczała gazet polskich, zwłaszcza tych numerów, w których znajdowały się odezwy do czytelników w sprawie wyborów, słowem — Langhorst czynił wszystko, by w jego okręgu nie powtórzył się „skandal", jak się wyrażał, z roku 1907.

Robotnicy stawiali się okoniem. Kiedy jednak kilku najbardziej zagorzałych zwolenników polskiej listy wydalono z pracy, reszta przeraziła się. Toć tu się o chleb rozchodzi! A Wałoszka i Marka nie stało, żeby potrafi[1]! umocnić chwiejących się! Ksiądz proboszcz czynił, co mógł. Lecz i jemu nie wolno było działać w tej mierze, jak ongiś. Krępowany rozporządzeniami wrocławskiej kurji biskupiej, mógł wpływać na ludzi jedynie poza obrębem kościoła. Goryczą napełniało się serce, gdy widział, że inni księża, przyznający się do narodowości niemieckiej, z całą swobodą wykorzystują ambonę na agitację za centrum niemieckiem.

Równocześnie zmuszono Szuścika, że wypowiedział salę „Sokołom”. Opierał się długo. Lecz kiedy zaczęły się na niego sypać kary, za przedłużenie o kilka minut godziny policyjnej, za niewylaną wodę z kubła, za drobny strzęp papieru, znajdujący się obok bufetu, za najmniejsze, śmieszne nieraz przewinienie — ustąpił. Pieronował, lecz ustąpił.

Gustlik przypatrywał się wszystkiemu. Musiał stać bezczynnie na uboczu, bo zagrożono mu, iż za wtrącanie

się w nieswoje rzeczy będzie rnusiał opuścić Górny Śląsk, jako „naprzykrzony obcokrajowiec".

Przebywał nadal u Ściskałów. Ściskała wrócił już był z więzienia, i teraz obydwaj naradzali się, co uczynić. Nie mogli znaleźć odpowiedzi. Obydwom wydawało się, że napór niemczyzny, wzmagający się z roku na rok, idzie jak olbrzymi zalew, jak rozhukana powódź, której nic nie będzie się mogło oprzeć. Zmiecie wszystko, zaleje, stratuje do niepoznaki. Jeżeli nie dzisiaj, to jutro. I o ile Ściskała truchlał na myśl o przyszłości, widząc w niej nadchodzącą klęskę i zagładę żywiołu polskiego w granicach Niemiec, Gustlik tylko zaciskał pięści i pieronował.

— Mówcie, co chcecie — mawiał do Ściskały — lecz jo wierzę w to samo, co dycki Marek powiado. Zęby se kiesi, pierony, wyłómią, uwidzicie!.. Żeby jeny chciała przyjść ta wojna, o kierej Mickiewicz pisoł, tobyście widzieli!.. Jezusku święty!.. Choćby nie wiem co, ale prać bydym pieronów, co wlezie!.. A żeby tak pierwszego Langhorsta dopaść!.. A potem Sojkę!.. Jezusku święty!

Z Helenką rzadko się spotykał.

Zastanawiało go zawsze, że stała się od pewnego czasu tak dziwną. Unikała go poprostu. Ile razy poszedł do wuja, to jej albo nie zastał, albo wymawiała się pracą w kuchni i uciekała od niego.

— Cóż się jej stało, do djaska? — myślał nieraz, patrząc na nią. — Do oczy mi się nie podziwo, a kiedy chcę se z nią pomówić, to się czerwieni i ucieko. Cóż się jej stało?..

Zauważył, że się zmieniła. Nie była już tą dawną Helenką. Chód jej stał się jakiś ociężały, po twarzy, zbiedzonej teraz i wychudłej, co raz pojawiały się jakieś plamy żółte, często miała oczy zaczerwienione, jakby

z płaczu, zamykała się w swojej izdebce, unikała towarzystwa dawnych swoich koleżanek.

— Cóż się jej stało? — dziwił się Gustlik.

Powiedział to Ściskałowej.

— Ja, ja, mój Boże!., mój Boże!.. — rzekła i to było wszystko.

— No, widzisz, synku — dodawał Ściskała — teraz dzioucha mo na głowie tyle starości, ojciec siedzi w hareście, urobi się to, bożatko, tóż nie dziwota, że tako...

Lecz Gustlik podchwycił porozumiewawcze spojrzenie, rzucone przez Ściskałową na męża.

— Wy cosik kryjecie przede mną! — krzyknął.

— Ale mosz też rozum, synku — zapewniał go Ściskała. — A zresztą, dyć jo tela wiem, co ty. Nic więcej!

Gustlik zwierzył się wreszcie ze swych spostrzeżeń Emilowi.

— Djasi wiedzą, co się z nią robi. Dyć ona nawet i ze mną też tak robi. Ucieko, zamyko się, a kiedy jest z matką, to se fórt cosik po cichu szuszkają na ucho, a obydwie beczą i pochlipują. I matka i Helenka. Mnie już to wszystko gniewo!..

Na święta Bożego Narodzenia pojechał do domu. Dowiadywał się o Bronce.

— Ale, synku! — mówiła matka — dyć dzioucha już mo galana!.. Niezadługo wydować się bydzie.

Skrzywił się boleśnie Gustlik, Jakby go ktoś nożem koło serca dziobnął.

— Na kogo se bydzie brać?

— Trefił się jej bogaty synek. Siedlaczy syn z wielkiego gruntu w Cierlicku. Był w jakichsi szkołach rolniczych, a teraz po ojcu dostanie cały majątek, bo jest sóm, i tóż se ją bydzie brać!..

— A już są po słowie?

— Tego to jo nie wiem. Ale iste to już tam bydzie.

— A kaj jest teraz Bronka?

— Na jeszcze siedzi w Strumieniu. Uczy się warzyć i wszystkiego, co gospodyni potrzeba.

Kiedy już miał odjeżdżać zpowrotem do Ligoty, skierował rozmowę na Helenkę.

— Mówisz, że mo po gębie takie żółte plamy? Hm... lobości kandy! Na, nie chodzi też ona bai niesama?.. Czy też tam co z kim nie nakramarzyła?..

— Jakto? — zapytał przerażony Gustlik.

— Eh, widzisz — objaśniła go matka niechętnie — bo jak dzioucha lebo baba mo mieć dziecko, to się jej takie żółte plamy na gębę wyciepują. A strasznie rada kwaśne wiecy jodo.

Wrócił do Ligoty. Żarła go myśl, że tak będzie, jak matka powiedziała.

— Jezus! Maryjo! to nie może być prowda!.. To nie może być prowda!..

Im dłużej rozpamiętywał tę potworną możliwość, tem bardziej się jej przerażał. Zdawało mu się, że musi się bezczynnie przypatrywać, jak cały jego dotychczasowy świat, zbudowany jakoby z pachnącej mgły, światła i tęsknoty, uosobiony w cudzie Helenczynej urody, kruszeje powoli, wali się, rozpada w bezkształtne rumowisko.

— Jezusku święty! to niemożliwe! — powtarzał uparcie. Wierzył, że jeżeli miałaby to być prawda, oszaleje a Helenkę zabije!.. Tak mu się zdawało.

Nazajutrz spotkał się z Emilem na drodze.

— Wiesz, co mi mówiła matka?

— Co?

— Że jeśli Helenka mo takie żółte plamy na gębie, to bydzie miała z pewnością dziecko za krótki czas!..

W odpowiedzi Emil trzasnął go pięścią w twarz.

— Ty!.. Jak śmiesz?.. — krzyczał, porwany nagłym gniewem.

Gustlik poderwał się, skoczył i przytrzymał jego ramię, wzniesione do powtórnego uderzenia.

— Cóż mnie bijesz, głupi?.. Cóż mnie bijesz?.. Czy myślisz, że...

— A ty myślisz, że moja siostra, to szmata?..

— Na, zatracone kwaki, cóż się tu szkubiecie? — zgromił ich przechodzący Kubalok, który był przyśpieszył kroku na ich widok. — Na, chcecie, aż wóm sam kryką przypola, chwanty przegrzeszone!.. Dziwejcie się, jak się to bydzie czubić, jak dwa kokoty!..

Chłopcy się rozbiegli.

Wieczorem poszedł Ściskała do Wałoszkuli. A kiedy wrócił, jął opowiadać:

— Maryjko święto!., tam prowdziwe piekło! Dobrze, żech tam poszoł, bo Emil gonił za Helenką i krzyczoł, że ją zabije i strasznie ją szpetnie przezywoł...

— Co też to opowiadosz? — zacudowała się żona. Gustlik zaś siedział na ławie i milczał. Piekło w nim gorzało.

— Tóż jako powiadom!.. Wałoszkula mi to opowiadała potem, jakźech już Emilowi nabąckoł pięścią, co wlazło. Powiado, że przyszoł z wieczora i powiado, czy, to jest prowda, że Helenka bydzie miała dziecko!.. Staro się przestraszyła, a potem sie go pyto, skąd już wie o tern. A Helenki nie było w izbie. I wszystko mu powiedziała, że tak bydzie, tak... I rozpłakała się. A Emil wściekł się i trzasko! pięścią po stole i przeklinoł dziołucha, i krzyczoł, że ją zabije za ten wstyd i wszystko. A jo też tak prawie przyszoł, a za mną Helenka. A ten jak na nią nie skoczy, jak ją nie chyci pod hyrtoń, że

dziewczyna piskła, jak ptoszek... Jo widza, co się robi, skoczą ku nim i wyszarpuja dzioucha z jego pazurów. A on nic, jeny pieronuje a nazywo ją szmatą. Potem Helenka pras! do dwierzy, a Emil porwoł hok od blachy i za nią!.. Wtedy jo drap synka za lemiec i jakżech mu nie fochnął, to synek aż się przewrócił. Potem beczoł, jak staro krowa, Helenka zamknęła się w komorze i też beczała, a staro Wałoszkula też beczała!.. Mówią wóm, straszne piekło!..

— Jezusku kandy, a stary Wałoszek wie?..

— Ale psiniec wie! Nic nie wie!.. Przeca siedzi w hareście!.. Ale jak przyjdzie do domu, Maryjko święto!..

— To co?., to co?.. — dopytywała ciekawie Ściskałowa.

— Ten, to już ją z domu wyciepie, wyrzeknie się...

— Dobrze jej bydzie, szupie!.. — warknął od stołu Gustlik. Przypomniał mu się tamten wyraz, użyty raz przez jego matkę na określenie ladacznicy.

— Co prawisz? — zapytał Ściskała.

— Eh, nic!.. — mruknął Gustlik i wyszedł.

I kiedy Ściskała ze swoją żoną frasowali się ciężko nad tem, z kim mogła mieć ów grzeszny stosunek, kto mógł być winowajcą, a którego Helenka nie chce zdradzić, Gustlik wałęsał się w ciemnej wichurze, dławiący się goryczą.

Zbliżał się czas, że Wałoszek miał powrócić z więzienia.

Wybory odbyły się. Polacy ponieśli klęskę. W kasynie co wieczora prawie święcili urzędnicy z Langhorstem i nauczycielem Kowollem na czele swój triumf, spijali się do nieprzytomności, śpiewali bojowe pieśni niemieckie, a u Ściskały i Wałoszków, i w mieszkaniach robotniczych przycupnęła ponura troska i kąsała boleśnie zwiędniałe serca ludzkie.

— Widzisz! — krzyczał Langhorst do uśmiechającego się pogardliwie Hammermanna — jeszcze jedne wybory, a koniec wszystkiemu!.. Widzisz?.. Przed siedmiu laty wyszło z Górnego Śląska pięciu polskich posłów, a dzisiaj tylko trzech!.. Jeszcze jedne wybory, a koniec wszystkiemu!.. Pijmy bracia! — krzyknął podniecony, pijany, zwracając się do wszystkich.

Stuknęły podniesione kufle, skłębiły się okrzyki, a za chwilkę rozległo się wilgotne bulgotanie piwa, przelewającego się z kufli do nachylonych gardeł. Hammermann patrzał na wszystkich z pogardą. Mierziła go hałaśliwa zabawa towarzyszy.

— Zachowują się jak pijane chłopy na jarmarku! — mruknął z obrzydzeniem, wstał i poszedł do domu, nie żegnając się z nikim.

— Idzie marzyć o swojej „Carmen" — mruknął z przekąsem Willich po jego odejściu.

— A propos Carmen!.. — zwrócić się do niego Langhorst — słyszałem o pańskim triumfie. Co słychać z pańską „Carmen”?

Willich się skrzywił.

— Mam jej dosyć!

— Jakto? Już? Przecież to była dziewczyna całkiem, całkiem...

— Owszem, panie dyrektorze, lecz uparła się, żeby się z nią żenić!..

Langhorst wybuchnął śmiechem, a reszta towarzyszy, pragnąca mu się przychlebić, również jęła się śmiać hałaśliwie, chociaż nikt nie wiedział, co było powodem dyrektorowego humoru.

— Żenić się? Ha! ha! ha!.. A to pan wpadł, panie Willich!.. Ha! ha! ha!.. No i co teraz?

— Nic! Musiałem się od niej gwałtem odczepić. Zbrzydła, natrętna jak mucha, straciła figurę. Przeniosłem ją przed miesiącem do dawnej pracy. Od wczoraj już nie przychodzi do huty.

— Jak się to nazywała?

— Helenka, wychowanka Wałoszka.

— Wałoszka? Tego zaciekłego Polaka?

— Tak...

— A co on?

— Nie wiem. Siedzi jeszcze we więzieniu...

— Ach, prawda!.. No, wie pan, panie Willich, niech się teraz pan ma na baczności. Gdy powróci...

— To co?

— Nie wiem, co? Ale w każdym razie ostrzegam pana. Miej się pan na baczności!..

Willich odruchowo skurczył się i pięści zacisnął. Mignęła mu w wspomnieniu widziana kiedyś twarz Wałoszka. Tak, to ona!.. Żgnęło go jej wspomnienie, jak zbójecki nóż.

Chwilkę tylko to trwało. Wnet dał się porwać hulaszczemu nastrojowi, jaki się rozpanoszył w kasynie, i o wszystkiem zapomniał.

Kiedy już się rozchodzono, przystanął u drzwi, by zaczekać na dyrektora Langhorsta. Mieli pójść razem do domu. Dyrektor Langhorst krzyczał coś w tej chwili na służącego, który nie mógł znaleźć jego czapki. Niecierpliwiący się Willich jął błądzić oczyma po ścianach. Dojrzał koło drzwi barwny kalendarz ścienny. Odniechcenia poszedł doń i patrzał bezmyślnie w mrowisko drobnych, uszeregowanych literek.

— Co tak pan studjuje? Kiedy wróci Wałoszek z więzienia, żeby się z panem policzyć? — roześmiał się szyderczo Langhorst, gotowy już do wyjścia.

Willich spojrzał na niego zaskoczony niemile złośliwą uwagą.

— Mogę panu pomóc! — dodał Langhorst i nie czekając jego przyzwolenia, jął wodzić palcem po kolumnach. Mruczał coś do siebie a raz wraz czkał ciężko. Willich patrzał nachmurzony na jego błądzący palec.

— Akurat za tydzień! Jakby uciął!.. Panie Willich!.. — i podniósł palec porozumiewawczo.

— Głupstwo! — mruknął tamten. I znów wychynęło z ukrycia dławiące uczucie przerażenia, znów spojrzała w jego oczy tamta skupiona, zacięta, zimna twarz. Wyłoniła się ze wspomnień, jak błyskawica z mroków, i zgasła.

— Panie dyrektorze! A ja pana dyrektora przekonam, że kpię sobie z gniewu tamtego dziada. Gdy go raz zdzielę pięścią w mordę, nabierze respektu!.. — wyłuskał z myśli hardą odpowiedź.

Po tygodniu wrócił Wałoszek z Opola.

Już po drodze dowiedział się wszystkiego. Przygnębiony klęską, poniesioną w wyborach, trwał w ciągu powrotu w milczeniu, do nikogo się nie odzywał. Ze strzępów rozmów, prowadzonych w pociągu, przekonywał się dopiero o rozmiarach przygnębienia, jakie nastało wszędy. Niemcy hałaśliwie omawiali swoje zwycięstwo, robotnicy zaś przeważnie narzekali, zniechęceni do dalszej walki.

Kilkakrotnie zrywał się, by pójść do nich i spieronować ich za ów brak wiary. Nie miał siły. Czteromiesięczna bezczynność w więzieniu, przeżuwanie wiecznie tych samych wspomnień, beznadziejna szarzyzna w wysokich murach, przewidywania dalszej walki, której kres i zwycięskie ukończenie trudno przewidzieć — wszystko to kruszyło jego wolę, jak rdza żelazo. Było mu ciężko. Czuł się znużony.

Dojeżdżając do Ligoty, dowiedział się reszty.

— A więc jednak tak się stało? — szepnął, zdziwiony własnym spokojem.

Z rozwichrzonych myśli, które za tamtą wieścią rozleciały się, jak stado wróbli, z rozwichrzonych myśli wyławiał powoli jasne zrozumienie wszystkiego.

— Aha, więc to Helenka... aha!.. — szeptał.

Po drodze dopiero, kiedy już wracał przez ligocką kępę do domu, zaczynała mu się uzmysławiać krzywda, jaką uczyniła jemu i Helenka.

— Mało tego, że tamci... mało tego... teraz i ta... moja Helenka!..

Spostrzegł znienacka, że rozwiera się przed nim jakaś czeluść, czarna, bezdenna, w którą obsuwa się powoli. Zakołowało mu w oczach. Straszny żal uderzył w niego obuchem. Stanął i rozejrzał się.

W łunie dogasającego zachodu dojrzał ligocki kościół, a obok plebanję. Po śniegu kładły się już długie, fioletowe cienie. Zawrócił.

Proboszcz przywitał go z otwartemi ramionami. Przygarnął do siebie, chwilkę na piersi utulił, potem po głowie pogłaskał, jakoby małe dziecko, a kiedy Wałoszek uchwycił jego dłoń i jął miąć kurczowo, poprowadził do fotelu i kazał usiąść.

Nie patrzył mu w oczy, nic nie mówił do niego, bo wiedział, że Wałoszek w tej chwili mocuje się ze łzami, co znienacka wydzierają się z pękniętego serca i dławią. Udawał, że tego nie widzi. Rozumiał, że byłoby kiedyś przykro myśleć o tem Wałoszkowi, iż taki stary chłop, a nie mógł się opanować.

Odwrócił się plecami do niego i szukał jakoby fajki swojej pomiędzy ich długim rzędem, podle ściany ustawio-

nym. A kiedy wkońcu jakoby znalazł, zauważył z ulgą, że Wałoszek podniósł już głowę.

Rozmawiali o wszystkiem. O wyborach, o „Sokole", o Helence.

Proboszczowe słowa szły do niego z głębi ciepłego pachnącego mroku izby, jasne jakieś, łagodne, uśmiechnięte tą słodką mądrością, która potrafi patrzeć na wszystko, co ludzkie, z jakichś niepojętych wyżyn, głaskały go, tuliły do współczującego serca, wonnym balsamem były, co rany w okamżeniu goją.

Wałoszek słuchał i uciszał się w ich tłumie, jak dziecko spłakane, co się zagubiło, a matka je teraz znalazła, do piersi przygarnęła i zcicha usypia.

Proboszcz nic nie pytał. Czytał wszystko w jego sercu, jak w rozwartej księdze. I na wszystko, co ujrzał, znalazł kojące słowa.

A kiedy Wałoszek wstał, by odejść, ciemno już było zupełnie w pokoju. Od zaokiennego śniegu sączyła się blada jasność na powałę, a z dalekich łun, gorejących pod niebem, schodziły resztki konającego blasku i słały się w mrokach izby.

— A więc księżoszek nie wiedzą, kto tu jest winowajcą? — upewniał się po raz ostatni.

— Nie wiem, Wałoszku... nie wiem... Helenka nie chce zdradzić. Nic już jej nie mówcie. Jutro przyjdę do was... No, z Panem Bogiem...

Wałoszek poszedł do domu.

— Kaj jest Helenka?.. — zapytał, kiedy wszedł do izby i rozejrzał się.

— Helenka... — wykrztusiła złamana Wałoszkula i nie skończyła, bo gwałtowny szloch stłamsił jej dalsze słowa.

— Już wiem wszystko! Nic mi już nie mów. Ale kaj jest?

— Wczora wyjechała do Karwinej... Do Gustlikowej matki... do twojej siostry.,.

— Sama pojechała?

— Sama...

— A Emil?

— Emil... zaroz... on tu był... Emil!., Emil!.. — jęła wołać syna.

Z drugiej izby wyszedł nachmurzony chłopiec. Podszedł do ojca, podał w milczeniu dłoń i stanął opodal, patrząc mu wyczekująco w oczy.

— Ty, posłuchej — zaczął twardo. — Ty wiesz wszystko, prowda?

— Wiem...

— A kto on jest?,.

— A czy ona powie? — wybuchnął nagle chłopiec. — Czy ona powie?!..

— Cicho!.. Więc nie wiesz?.. Może Willich? Nie wiesz?,.

— Ni... Czy ona powie?!.,

I na tem skończyła się rozmowa.

Nazajutrz poszedł na szychtę. Po drodze i w hucie spotykał swoich ludzi. Jedni patrzyli nań ze współczuciem, inni zagadywali niby to obojętnie, maskując to zręcznie, a jeszcze inni podchodzili, ściskali dłoń i omawiali ostatnie wypadki. O Helence nikt nie wspominał. Czekał, aż ktoś rozpocznie, boć wiedział, że każdy słyszał o tem. Tymczasem wszyscy unikali rozmowy na ów temat. Było to widoczne.

Przyszedł Ściskała.

— Słuchej stary, powiedz mi, kto jest ten istny...

— Żoden nie wie, Ale najrychlej Willich!

— Willich?..

— No, jo doista nie wiem. Ale chyba on. Bo Helenka u niego pochraniała, a on jest z tego znany!..

— Żebych tak wiedzioł!., Maryjo święto!..

— Jo wiem, od kogo bydzie się można dowiedzieć. Jedynie od Sojki...

— Dobrze! Spróbują!..

Rozeszli się. Ściskała poszedł na kopalnię, Wałoszek na szczyt wielkiego pieca. Stąpał ciężko po żelaznych, wąskich, krętych stopniach, wiodących wzdłuż ściany, dyszącej spiekotą. Ściana drżała, bo w jej zamknięciu kłębiła się utajona burza. Ponad głową sunęły po wyprężonych, skośnie przerzuconych linach pojedyncze wagoniki. Zawieszone wyżłobieniem kółek o chwiejne druty stalowe, rzegotały monotonnie, kolebały się złekka, czołgały z wysiłkiem pod górę, niosąc w sobie stokrotny ciężar rudy, wapna czy koksu. Po drugiej stronie opuszczały się z radosnym szczebiotem próżne już, przesuwały się w oczach kanciastą bryłą, znikały w plątaninie żelaznych rusztowań.

Wałoszek wznosił się coraz wyżej. Powoli, z takim wysiłkiem, jak owe mijające go wagoniki z rudą. Czepiał się dłonią poręczy, podnosił stopy ciężko, a podkute buty zgrzytały na załamaniach stopni. Chwilami zdawało mu się, że zawisa w powietrzu. Pod nogami rozwierała się coraz szersza i coraz głębsza studnia, wypełniona dymem, rumowiem żelaza i ostremi linjami pomierzwionych dachów. Zimny, mroźny wiatr ocierał się koło niego, przewiewał ubranie i przywodził wspomnienia dalekich pól,

W Wałoszkowem sercu przelewała się paląca gorycz. I jedna, jedyna myśl błąkała się koło niego, jak ów gryzący dym, idący bez przerwy z wiatrem. Przybierała dla niego kształt zakrzywionych, drapieżnych, mściwych

palców, które roztworzą się w którejś godzinie jak kleszcze, ułapią czyjeś znienawidzone gardło i zgniotą...

Tak!.. Zgniotą tak mocno, że się aż paznokcie do samej krwi wpiją, a grdyka zwiotczeje w ich uścisku, jak wyżęta szmata plugawa. Przerażony krzyk zastygnie w chrapliwe rzężenie, a te ramiona, co jego dziecko zbezcześciły, bić będą powietrze, jak skrzydła ptaka, połamane wichurą!.. Potem kopnie ścierwo ludzkie, splunie w wykrzywioną twarz i odejdzie.

Tej krzywdy darować nie może!.,

Wczorajsze proboszczowe słowa wyblakły już dzisiaj, zszarzały do niepoznaki. Pozostało z nich odległe wspomnienie, nic więcej. Bez treści i bez siły.

— Panu Bogu zostawić zemstę... — przypomniał mu się strzępek proboszczowych słów. Tak!,. Dobrze mówić księżoszkowi takie świątobliwe słowa, dobrze!.. A gdyby on miał dziecko, co w jego serce włożył wszystko, wszystko, co człowiek ma najdroższego w życiu, a przyjdzie ktoś i splugawi je, a potem wyżenie, jak psa parszywego!.. Gdyby księżoszka spotkało to wszystko, czyby też jeszcze mówił tamte kadzidłem zaduszkowem pachnące słowa?..

Roześmiał się z goryczą.

Wyszedł na platformę. Bieżała kolistą, szeroką ścieżką wokół stożkowatego dzwonu, tkwiącego swym wierzchołkiem w spadzistem, obszernem zagłębieniu. Na brzegu platformy sunęła żelazna, pogięta poręcz, chroniąca ludzi przed głębią zadymionej przepaści. Stary Funiok czatował u bramy, przez którą wjeżdżały wagoniki z ładunkiem. Cienka lina wywlokła w tej chwili wagonik. Funiok uchwycił go i pchał ku zagłębieniu, następnie ujął z boku i przechylił. Posypały się z metalicznym łomotem ciężkie, rdzawe bryły rudy. Ostatni wózek to

był. Naokoło dzwonu jeżyła się gruba warstwa brył. Popchnął teraz wagonik, że ten dobieżał naokoło dzwonu ku drugiej linie, zahaczył się i jął spuszczać w dolinę.

— Szczęść Boże! — pozdrowił go Wałoszek.

— Dej Panie Boże! — odpowiedział Funiok, podnosząc na niego zaczerwienione oczy. — To wy jesteście, Wałoszek?..

— Toć jo!..

— Chwała Bogu, żeście już przyszli... Chybiało nóm was, bardzo chybiało!.. Te germany zaklęte pobiły nas sromotnie przy wyborach... Ludzie dali się nastraszyć, głosowali na Niemca!..

— Wiem o wszystkiem, Funioku... No, trudno o tern mówić...

Skończyli rozmowę, bo wagonik z wapnem ukazał się u wejścia. Trzeba się było śpieszyć, Funiok podszedł do łańcucha, zwisającego nad poręczą. Łańcuch biegł ponad głową, ogiął się na Żelaznem kolisku, przesunął obłym rzutem ponad platformą i opuścił znowu tuż nad dzwonem. Ujmował go ciężkiem ogniwem. Funiok ułapił łańcuch, zaparł się nogami i ciężarem swojego ciała zaczął ściągać wdół. Równocześnie dzwon się zakolebał, powoli uniósł wgórę, błękitno-rdzawe płomieniska buchnęły z szumem w powietrze. Strzelały z wyjącej czeluści pieca, miotały się wściekłe, darły swoje płachciska na chwanty, rzygały piekielnym żarem, huczące coraz mocniej, obejmujące podniesiony dzwon wieńcem szalejącego pożaru.

Funiok chwilkę wytrzymał a potem puścił łańcuch. Dzwon opadł ze szczękiem, przeciął wichurę płomieni nawpół, zdusił je i zgasił. W oczach ludzkich przez chwilę tańczyły ogniste smugi, z poza których niczego nie było można dojrzeć. Kiedy się wkońcu przetarły, wgłębienie

koło dzwonu było już próżne. Ruda stoczyła się w ryczącą czeluść pieca.

— Pierońskie kozidło! — rzekł z wyrzutem, ocierając pot z czoła. — Ta nasza „Emma” godzi się już na szmelc!,.. Stare to, jak świat, koślawe, a tamte nowe piece, to już mają inaksze zwony. Człowiek się tela nie utropi. Naciśnie rączka, a zwón idzie sóm do góry . A tu człowiek musi się mordować z takiem pieroństwem!.. — i splunął.

Wałoszek nic nie odpowiedział. Naciągnął rękawice i już popychał wagonik z wapnem. A kiedy Funiok odszedł, odetchnął z ulgą. Było mu dobrze samotnemu na szczycie pieca, wśród huczących płomieni, lecących pod ciemne niebo szerokim wieńcem. Wysiłek fizyczny był mu wytchnieniem w owej udręce przemierzłej. Przynosił mu zapomnienie. Wysoko nad ziemią, od wszystkich ludzi, w towarzystwie ryczącego ognia, mając pod stopami olbrzymi spłacheć przestrzeni, po której mogło się spojrzenie dowoli błąkać, nad sobą szare, zadymione niebo, a koło siebie przelatujące wichry, — wyzbywał się świadomości bolejącego istnienia. Jak pijany człowiek. Wydawało mu się, że niema ludzi, ani ich złości, ani nienawiści, ani niczego, co z ich serca się wylęgnie, a jest tylko samotność, przestrzeń, ogień i wichry. Świadomie przywoływał do siebie owo złudzenie, bo mu było z tern dobrze. A kiedy przyszło mu schodzić do ludzi, czynił to z niechęcią. Zwłaszcza dzisiaj.

Minął cały tydzień.

Wałoszek nie mógł się dowiedzieć, kto był sprawcą Helenczynej hańby. Ściskała też się nie dowiedział.

W domu unikał rozmowy, zamykał się w pokoju, a w niedzielę, zamiast pójść do kościoła, włóczył się po lesie. Wrócił do domu zmęczony, przemoknięty, ponury.

W poprzedni poniedziałek przyszedł był ksiądz proboszcz, ale Wałoszek umyślnie udał się do Szuścika, żeby się z nim nie spotkać. Nie chciał słuchać jego pociech. Lękał się, że go odmówi od zamiaru wyśledzenia winowajcy, że odżenie tamtę myśl o odwecie. Bo zdawało mu się, żeby rnusiał to uczynić, a spokoju i takby mu to nie przyniosło.

W piątek spotkał u bramy Sojkę. Stał rozkroczony, z rękami w kieszeni, i patrzał na niego drwiąco. Wałoszek podszedł i przystanął. Zmierzyli się oczyma. Na chwilę tylko, bo wnet w Sojkowych źrenicach zgasła złośliwa radość, twarz skurczyła mu się w przerażeniu, skulił się, odwrócił i pognał zpowrotem.

Wałoszek żałował, że jego właśnie nie uchwycił za gardło i nie zdusił. Byłby powiedział. Bo nie wątpił, że Sojka wie o wszystkiem, że sam przyczynił się do jego klęski.

— I tak cię to nie minie, parszywcu!.. — wykrztusił za nim.

Po niedzieli miał Wałoszek szychtę na noc.

W wolnych chwilach, zanim nadjechał wagonik, -opierał się o poręcz i błądził oczyma po dalekich mrowiskach świetlnych, pełgających wśród nocy. Szła od nich cisza i zapomnienie. Miały w sobie coś z uroku gwiazd, rozsypanych na pogodnem niebie w czas letniej nocy. Przypominały mu pacholęce lata, kiedy kładł się w trawie i patrzał urzeczony w ich tajemniczy, ludzkim rozumem niepojęty świat. Cisza była wszędy, nad ziemią niosły się zapachy skoszonych łąk, zdaleka dochodziły go stłumione pogwarki żab, w trawie koło głowy zaszeleścił czasem jakiś spóźniony robaczek, a ponad oczyma, wysoko, jarzył się nieprzejrzany, ogromny a cudowny świat, nie mający w ludzkiej mowie żadnego określenia. Wyda-

wało mu się zawsze, że wędruje wtedy od gwiazdy do gwiazdy, liczy je małym kijaszkiem, potrąca, a one dźwięczą, jak gdyby ze szkła uczynione; że patrzy stamtąd na ziemię i dziwuje się niepojętej głębi, jaką jego spojrzenie musi przemierzać. Taka ogromna głębia, że aż pod powiekami leciuchno kłuło od natężenia. A kiedy pomyślał, że tamto wszystko, co widzi, istniało przed wiekami, że to nie miało ani początku, ani nie będzie miało nigdy końca, że będzie wiecznie i wiecznie trwać, wtedy myśli poczęły mu się mącić, skłębiały się w jakieś zagmatwane pętle, których na żaden sposób nie było można rozsupłać, a pod czaszką wyczuwał drobny, leciuchny, lecz bolesny ucisk...

To było dawno.

Dzisiaj przypominały mu to wszystko tamte roztrzęsione mrowiska świateł, pogubionych na ziemi wśród zbójeckiej nocy.

Potem wracał do wagoników, pchał je nad dzwon, przewracał, a kiedy wgłębienie napełniło się po brzegi, chwytał za łańcuch, podnosił nakrycie, a bryły zsypywały się z hurkotem w ognistą czeluść. Przez chwilę stał w oślepiającym żarze, potem znów nastawała ciemność, jeno w oczach przewalały się jeszcze smugi gasnących jęzorów.

Dzisiaj wieczorem postanowił Willich pójść do Wałoszka na „Emmę”. Pójdzie, powie mu w oczy, że on to jest, który miał jego córkę, wyzwie niebezpieczeństwo, i wróci. Odtąd dyrektor Langhorst nie będzie już więcej pokpiwał, że się lęka Wałoszkowej zemsty.

Willich był ambitny. Jak długo tego nie uczyni, będzie w własnych oczach uchodził za tchórza. Uczucie to przeżywał już cały tydzień. W kieszeni nosił stale rewolwer. A jednak nie ośmielił się rzucić Wałoszkowi w oczy

przygotowanych słów. Tłumaczył się sam przed sobą, że nie warto wywoływać zbiegowiska. Ludzieby widzieli. Postanowił czekać do następnego tygodnia, kiedy Wałoszek będzie miał szychtę w nocy. Pójdzie na wysoki piec, stanie przed nim, wykpi zjadliwie, a jeżeli odważy się na niego rzucić, trzaśnie pięścią w ślepie i wszystko skończone.

A przynajmniej już raz będzie miał spokój. Pozbędzie się upokarzającego uczucia, że się go boi, a równocześnie Langhorst zaprzestanie docinać mu złośliwie.

Była godzina dziewiąta, W bramie nie zastał odźwiernego. Widocznie gdzieś wybiegł. Jutro zapisze go do kary. Nauczy go to, że nie powinien na krok schodzić ze swego miejsca. Przeszedł koło kancelaryj, minął z boku huczącą walcownię, skierował się na wąskie, strome stopnie „Emmy”, Nikt go nie zauważył po drodze. Tem lepiej! Bo każdegoby zdziwiło, poco się włóczy wieczorem w hucie, śledzonoby go napewno.

Kiedy stanął na platformie, ujrzał Wałoszka, zapatrzonego w mroki.

— Czemu nie pracujecie? — krzyknął na niego ostro.

Wałoszek odwrócił się raptownie i zdziwił się. Cóż on tu robi?

— W tej chwili niema wózka! —• rzucił mu po chwili.

— Ile już macie?

— Piętnaście rudy, piętnaście wapna, dwanaście koksu — meldował Willichowi.

— Czemu nie więcej?

— Ja temu nie winien.

Zamilkli. Willich szukał wątka dalszej rozmowy, Wałoszek zastanawiał się, dlaczego tu Willich przyszedł. Zbudziło się w nim podejrzenie, że to on, a nikt inny!..

Że to on uwiódł mu dziecko. Och, gdyby tak wiedział, że to naprawdę on!.. Zacisnął pięści i spojrzał na niego z nienawiścią.

— No, a jak tam z wyborami? — zapytał znowu Willich.

— Panie Willich, przypuszczam, że pan sam przyzna, iż to głupie pytanie — warknął wyzywająco Wałoszek.

— Aha, więc od tego zaczyno? Żeby się tu ze mnie natrząsać?!.. — myślał, a złość poczęła go stopniowo ogarniać.

— Widzicie, Wałoszku, nie warto wam się zbytnio angażować w walce z nami. Przegracie!..

— Panie Willich!..- — rzekł twardo Wałoszek — dzisiaj przegraliśmy, ale to jeszcze nie koniec walki!

— Nic nie zrobicie...

— Zobaczymy!..

— Wałoszku, radzę wam szczerze, dajcie spokój wszystkiemu...

— Panie Willich!.. Ja gwiżdżę na pańskie szczere rady. Obejdę się bez nich!

— Proszę tylko bez tego podniesionego głosu!

— Co? Czy się pan lęka? — zadrwił.

Znowu to przeklęte słowo!.. „Lęka się!"... Cóż u djabła, i ten będzie podrwiwał?

— Pytasz się, bydle polskie, czy się ciebie lękam? — krzyczał wzburzony. — Ty się mnie musisz lękać!,. Rozumiesz!.. Zdechniesz pod płotem, jak żebrak wszywy!.. Rozumiesz?.. Ja już się o to postaram!.. A na pamiątkę ode mnie będziesz miał córkę z bękartem!.. Będzie ci...

Nie dokończył, bo w tej samej chwili Wałoszek skoczył, opętany wściekłością, straszny, krztuszący się przekleństwem, i za gardło ułapił. Przechylił się Willich pod

naporem uderzenia, zatoczył, a Wałoszek zaciskał drapieżne palce, dławił coraz mocniej, na podłogę zwalić usiłował.

Willich krzyknął przeraźliwie w momencie, kiedy poczuł zwierające się palce na gardle. Oprzytomniał. Lewą dłonią szukał gardła Wałoszka, prawą sięgnął po rewolwer do kieszeni. Jest! Szarpnął, wydobył! Nie może skierować do Wałoszka, bo ten zwarł się z nim, oplótł go ramieniem z tyłu, a drugiem dławi, dławi... W oczach czarne płaty migają. Nareszcie. Przyłożył lufę do jego boku i pociągnął!..

— Verflucht! — syknął przerażony, bo spostrzegł, że bezpiecznik nieodsunięty. Niepotrzebny mu. Odrzucił i obłapił wolnem ramieniem Wałoszka. Chwilę kołysali się w miejscu, jak dwa rozjuszone byki, splecione rogami, zapierający się nogami w ziemię. Obydwaj zrozumieli, że to już śmierć przychodzi po jednego. Albo ja, albo ty!.. Gwałtownem podbiciem odrzucił Wałoszkową dłoń z gardła, drugiem ramieniem oplótł z tyłu, zgarnął wszystek wysiłek w napięte mięśnie i podciągnął do siebie. Równocześnie naciskał go do ziemi, a szerokiemi piersiami pchał naprzód. Wałoszek jął się cofać. Szuka poraź wtóry gardła! Uchwycił ponownie. Zdyszane oddechy świszczą. Willich otrząsa się, wygina głowę, by oderwać się od krwiożerczych pazurów. Nie może. Puścił jedno ramię, podniósł i co siły, uderzył z góry w ciemię. Wałoszek się zachwiał. Teraz Wałoszek zębami uchwycił rękę. Do krwi kąsa. Ostry piekący ból. Willich szarpnął poraź drugi, wyrwał. Uderza jeszcze raz. Wałoszek się przechylił na poręcz. Willich przyparł go własnym ciężarem, ułapił za gardło i dławi. Coraz mocniej, coraz mocniej... Wiotczeją ramiona Wałoszka, biją powietrze. Trafiły na łańcuch... Splotły się z nim... Willich przechyla coraz mocniej

Wałoszka, coraz głębiej... Jeszcze jedno natężenie, a tamten runie w przepaść, na rumowisko czarnego żelaza!.. Naciska... Wtem okropny żar buchnął na Willichowe plecy. To Wałoszek trzyma się łańcucha kurczowo, *i* ściąga go ze sobą... Próbuje Willich oderwać dłonie jego od łańcucha. Nie może. Żar coraz większy!.. Ryczy za nim, jak wzburzona woda!.. Ogniste jęzory liżą go po plecach... Pali!.. Odsunął się...

Wtedy Wałoszek, poczuwszy ustępujący napór, ostatkiem sił kppnął, straszliwie, naoślep, przed siebie. Wyczuł końcem buta, że trafia na ludzkie, poddające się ciało. W podbrzusze kopnąłech! — przeleciało mu błyskawicą w myślach. W tej samej miareczce czasu wystrzelił ponad ryk ognia okropny krzyk!..

Wałoszek podźwignął się. Rozejrzał dokoła. Ogień ryczy ciągle i rzuca krwawemi płachtami pod niebo... Willicha niema!..

I zrozumiał, że Willich wpadł w tamten straszny otwór,..

Przetarł oczy i opuścił dzwon. Oślepiła go gwałtowna ciemność, w skroniach rozdzwoniły się młoty. Chwycił się poręczy i obsunął na posadzkę zdyszany, wyczerpany do ostatniej drobinki sił.

— To mosz za tego bękarta!.. — wymamlał jeszcze. I jakieś ukojenie i radosna cisza spłynęły na niego. Jakby się w onej chwili zatrzasnęły okropne wrzeciądze, poza któremi piekło szaleje. Odetchnął głośno a z ulgą...

— To mosz za tego bękarta! — powtórzył zmiętoszonym głosem i powlókł wzrokiem w kierunku tamtego miejsca, gdzie się Willich stoczył. Więc już go nie było?.. A przecież jeszcze stał przed chwilą, groźny, potężny, pychą nadęty!.. Oto niedaleko stał, przed nim!.. A więc-

niema go już?.. I przez skromną miareczkę czasu dziwił się.

Przymknął oczy i dojrzał go. Jakby poprzez krwawą mgłę. Płomienie pożerają w tej chwili ostatnią garstkę skurczonego, zwęglonego ciała. Teraz już znika, stapia się z rudą, zamienia w nicość!..

— To mosz za tego bękarta! — szepnął po raz trzeci, podniósł się z wysiłkiem, rozprostował obolałe kości i znowu jął przywlekać wagoniki i wywalać z nich złomy rudy w tamto potworne, piekielnym żarem dyszące wgłębienie około dzwonu. Za chwilę otworzy je, a ono znów wchłonie w siebie rdzawe bryły, jak wchłonęło tamtego... I znowu płomienisty wieniec roztańczy się wysoko, rycząc z radości!..

Przystąpił do łańcucha, by podnieść dzwon. Kopnął do czegoś, co się potoczyło z brzękiem. Schylił się i jął szukać omackiem. Natrafił i podniósł. W skąpem świetle dojrzał mały, czarny, lśniący rewolwer na dłoni.

— Aha, to mioł na mnie!.. — przemknęło mu przez myśl.

Obejrzał go, zauważył nieodsunięty bezpiecznik, wsunął do kieszeni i znowu jął się pracy.

XXX.

Rozleciały się po Ligocie i okolicy przeróżne domysły, cudaczne nieraz, naiwne i śmieszne, inne zasię logicznie budowane, przewidujące, a wszystkie pragnące usilnie dociec przyczyn i sposobu nagłego zniknięcia naczelnego technika Willicha.

W pierwszej chwili każdy pomyślał:

— To Wałoszek go sprzątnął!.. Nikt inszy, jeny on!.. A dobrze zrobił!..

Boć równocześnie poszła między ludzi szeroko omawiana wieść, że on był tym istnym, co Wałoszkową Helenkę uwiódł i porzucił. Sojka pierwszy ją rozpuścił.

— Ano widać... żoden inszy Willicha nie zakatrupił, jeny Wałoszek!.. Za to gańba, co jego Helence zrobił, Świnia jedna plugawo!.. — mawiali.

Sojka najgorliwiej podtrzymywał owo podejrzenie. Biegał od Langhorsta do komisarza policji, przytaczał szczegóły, które powinny były niezbicie świadczyć, iż Wałoszek winien WilUchowej śmierci. Bo że Willich już dawno pod dornikiem — nikt w to nie wątpił.

Rozpoczęło się śledztwo.

W kancelarji Langhorsta zbierali się: komisarz policji, żandarm Werner, kilku nieznanych panów z Opola, grubych, odętych, pachnących cygarowym dymem, przewodził im Langhorst, a wszyscy naradzali się pilnie nad sposobem rozwiązania niepokojącej zagadki. Gdzież się też ten człowiek mógł podziać?..

Zwoływano robotników, pracujących w owym tygodniu na noc, dopytywano skrzętnie, czy który z nich widział go w obrębie huty. Nie a nie!,. Nikt go nie widział. Zawołano samego Wałoszka. Przyszedł zimny, spokojny, ponury. Stanął przed biurkiem i patrzał wszystkim w oczy wyzywająco.

— Co wiecie o Willichu?..

— Tyle, co sami panowie wiedzą!

— A co my wiemy? — zagadnął jakoby chytrze jeden z panów.

— Że zginął! — odparł spokojnie Wałoszek.

— Kiedy go ostatni raz widzieliście?..

— W poniedziałek!

Langhorst słuchał i niecierpliwił się. Widział, że zaczyna się żmudna krętanina rzucanych zdań, podchodzenie

ostrożne, motanie słowami. Za długoby to trwało! Poco tyle korowodów? Siąść odrazu a mocno, zastraszyć — to powie wszystko! On przecież zna swoich robotników!..

— Wy go zabiliście! — krzyknął znienacka, zrywając się z krzesła i wskazując palcem na Wałoszka.

Wałoszek przymrużył oczy, utkwił je w nastraszonych źrenicach Langhorsta, uśmiechnął się urągliwie i rzucił:

— Proszę mi udowodnić!..

Równocześnie tamci panowie skrzywili się z niechęcią, boć nieoczekiwane wyrwanie się Langhorsta popsuło im wszystko. Przecież to nie tak się czyni!.. Trzeba pomaleńku podchodzić, krok za krokiem, krok za krokiem, nie płoszyć zwierzyny, a dopiero, gdy stosowna chwila nadejdzie, nakryć!.. A tamten wszystko zepsuł!..

Teraz już za późno. Powiedział, żeby mu udowodnić. Słusznie powiedział!.. Lecz żeby chociaż jeden człowiek widział Willicha w ów wieczór w obrębie huty!.. Byłby jakiś punkt zaczepny.

Przywołano odźwiernego, pełniącego w krytyczną noc służbę przy bramie.

— Więc powiadacie, że ani w poniedziałek wieczorem, ani w ciągu całej nocy nie przechodził pan Willich przez bramę? — zapytał jeden z panów.

— Pięknie proszę, nie przechodził!

— Naprawdę?

— Naprawdę... Przecież każdego widzę, kto idzie przez bramę.

— A może przez jakiś czas nie staliście w bramie? Może poszliście na stronę, wody się napić, lub co?..

— Broń Boże!.. Przez cały czas stałem przy bramie, proszę pięknie, a pana Willicha, Boże mu tam daj radość wieczną, nie widziałem, żeby przechodził.

— Czemu mówicie, „Boże mu tam daj radość wieczną?"... — zapytał podejrzliwie ów pan.

— Na, bo kiedy go już trzeci dzień niema, to widać, już jest kaput!.. — odparł prostodusznie zafrasowany odźwierny.

Spojrzeli wszyscy po sobie. A więc Wałoszkowi nie można niczego udowodnić. Zaległo chwilowe milczenie. Płoszyło je tylko głośne wzdychanie odźwiernego, litującego się nad nieszczęsnym Willichem. Lękał się biedaczysko, żeby go nie wplątano w jakąś nieprzyjemną historję, dlatego tak czynił, by tamtych życzliwie do siebie usposobić. Bo poprawdzie to on tam z wieczora nie siedział akurat w bramie, tylko poszedł do starego Liszoka, majstrującego coś w kuźni, na krótką pogawędkę o polityce, lecz powiedzieć tego nie Iza, Piekłoby z tego wynikło i tyle parady miałby człowiek, a nic więcej!..

— A niech mi pan powie, panie dyrektorze — zagadnął po chwili ów gruby pan — czy w obręb huty prowadzi więcej wejść prócz wspomnianej bramy?

— Owszem! Jest jeszcze brama, którędy wjeżdżają pociągi do huty. Ta jednak jest zawsze zamknięta po godzinie szóstej wieczorem!.. — odparł Langhorst, podświadomie zadowolony, że śledztwo nie może wykazać, iż zniknięcie Willicha mogło nastąpić w obrębie huty. Zawszeć to nieprzyjemna rzecz dla niego!.. To badanie i włóczenie się po sądach!.. I chociaż pewne poszlaki wskazują na Wałoszka, że on winien może śmierci jego, to sam przyznaję, że mu tego nie można udowodnić.

— A może jest gdzieś miejsce, którędy można wejść do huty przez nikogo niezauważony?

— Nie! Prócz bramy dla ludzi i bramy dla pociągów nigdzie nie można przejść!

— Uważam, że tamci dwaj mogą już odejść! — rzeki niedbale komisarz policji, wskazując na Wałoszka i odźwiernego.

Odeszli.

Po drodze odźwierny zwierzył się cichaczem Wałoszkowi:

— Wiecie, Wałoszku, choćbych pierona widzioł, że szoł do huty, a potem już z niej nie wychodził, tobych padół tamtym germanom, żech go widzioł iść naspadek. Ni?

W kancelarji tymczasem głowiono się dalej nad zagadkową sprawą.

— Przypuśćmy, że Wałoszek spowodował śmierć Wiłlicha — zapytał jeden z panów — ale w jaki sposób mógłby to uskutecznić?

— Rzecz jasna — odpowiedział Langhorst — do pieca wrzucić!..

— A ślady?..

Langhorst uśmiechnął się ironicznie. Też podobne pytanie!..

— Proszę panów! Jeżeli człowiek wpadnie do pieca, to momentalnie spłonie. Przy 800 stopniach żaru jest to rzeczą zwykłą. I gdyby jakie szczątki zostały, co jednak jest wykluczone, — gdyby jakie szczątki zostały, to zanimby opadły z rudą na spód pieca, gdzie temperatura wynosi około 2000 stopni, to...

— No, tak, tak!.. — przerwał mu ów pan. — Pan ma słuszność.

— A zresztą — dorzucił drugi — znałem Wiłlicha. Toć to był człowiek o niepospolitej sile. Bary były u niego, jak u niedźwiedzia. A Wałoszek, wszyscy panowie widzieliście, a Wałoszek, to przecież chuchro w porównaniu z nim! Nieprawda?..

— A pewnie! — przytaknęli inni.

Komisja pobyła jeszcze kilka dni w Ligocie, pobłąkała się między hałdami, kazała zbadać gruntownie czarny staw, przypatrywała się, jak robotnicy, siedzący w kuczki na tratwie, zanurzali długie bosaki w wodzie, drapali niemi muliste dno, wywlekali z głębi splątane druty i zdechłego psa, a kiedy po całodziennej udręce niczego nie znaleźli, poszli i skończyło się wszystko.

— Czert go porwoł za życio! — mawiała z przekonaniem stara Bajtkula — bo to nie był człowiek, jeny jakisi czerci syn!.. Bo kajby się podzioł, kaj? Czy to jest mały gwozdek lebo szpilka, że się w szparze straci? Powiadóm wóm, ludeczkowie złoci, czert go za życio porwoł i zbyte!.. Tak temu Łydzie!.. No, ni?.. Dość się bestyja nagrzeszył, a dziouchy nasze do gańby przywiódł, tóż teraz się bydzie smażył w piekle we smole, zatracony german oszkliwy!.. A jedna to bai i skyrs niego utopiła się, cLudziatko, bo nie mogła tej przewiecznej gańby przeżyć, że ją szkopyrtoł, a potem wyciepoł z domu, jak psa!. Ja, ja!.. Pón Bóg nima rychliwy, ale pamiętliwy!.. Tak to, tak, moi ludeczkowie złoci!.. Jo to dycki powiadom. No, ni?.,

Wałoszek chodził odtąd zamknięty w sobie, ponury, do nikogo słówkiem jednem się nie odzywający. Unikał Marka i Ściskały, a jeżeli któryś z nich przyszedł do niego, milczał, lub półsłówkami zbywał.

— Cóż ci jest, stary? — dopytywał zaniepokojony Marek — chodzisz terazykej jakisi zamroczony, jak soroń, ani po ludzku nie przerządzisz, ani nic!.. Cóż ci się stało?..

Wałoszek nie odpowiadał. Machnął dłonią, czasem coś mruknął, czasem odpowiedział coś niedorzeczy, i to wszystko.

— Na tóż mówże, człowiecze, co ci tak dolego? — nastawa! Marek — czy tak bardzo cię gryzie nasza klęska, czy co?.. Czy nie możesz tamtego... z tą Helenką... przeboleć? Jeśli tak, to pociesz się!.. I tak tego pierona już kańsi chroboki żerą!..

Nie wymieniał po nazwisku Willicha, bo wiedział, że Wałoszek rozumie, o kim mowa. Długo jeszcze próbował go przekonać, że nie warto sobie truć życia tem wszystkiem, że znowu wszystko się naprawi, jeżeli nie dzisiaj, to kiedyś później, próbował żartować, ażeby go śmiechem rozruszać, ale to wszystko nic nie pomagało.

Aż kiedy pewnego dnia znowu przyszedł do niego i znowu zaczął mówić o Helence i tłumaczyć mu szczerze, a ze współczuciem, żeby się na wszystko wysmolił, i kiedy wkońcu położył mu dłonie na ramionach, potrząsnął nim mocno i powiedział serdecznie:

— Nale, pieronie jeden, dyć przeca nie być takim!.. Przeca nie Iza głowy spuszczać, jak staro baba!.. Przeca pamiętosz nasza przysięga!.. Pamiętosz? — wówczas Wałoszek podniósł głowę, chwilkę się zawahał a potem powiedział z wysiłkiem:

— Wiesz, stary!.. Bo to jo Willicha zabił!..

— Ty?.. — zdziwił się Marek. — A więc jednak ty!.. Na toć też dobrześ zrobił!.. Wiesz, bo jo to zaroz myśloł, że nie kto inszy, jeny ty!.. Dobrześ zrobił, pieronowi jednemu!.. Tak mu się należało!.. A jakżeś to zrobił? — zapytał po chwili.

Wałoszek opowiedział całe zdarzenie.

— Dobrześ zrobił, synku!.. A to się skyrs tego tak starosz? Na, nimażeś głupi?

— Wiesz, teraz mnie sumienie gryzie, żech człowieka zabił!.. Wiesz, to jest straszne!.. Pomyśl se... człowieka zabić!..

— Głupstwo! — zawołał Marek. — Alboś ty go chcioł zabić? Poco tam loz ku tobie? Poco ci mówił o tern, że ci dziecko do gańby przywiódł? Pytóm się, poco? A przeca on mioł na ciebie rewolwer!.. Każdyby na twojem miejscu to samo uczynił. Powiadom ci, każdy!.. Tyś go nie zabił, on sóm, pieron, skuloł się do pieca!.. Tyś się jeno bronił!..

A widząc, że nie może go przekonać, pomyślał chwilkę i, uradowany swojem odkryciem, zawołał:

— Wiesz, co? Jak ci sumienie dolego, to idź do księżoszka naszego, do spowiedzi. Powiedz mu wszystko, co a jak!.. Pieknie mu powiedz. To jest człowiek stary, wyrozumiały i mądry. On ci to samo rzeknie, co jo ci padół!.. Idź ty jeny do niego do spowiedzi, a uwidzisz, wszystko bydzie dobrze!.. Pochwolić, to on cię tam nie pochwoli, bo od tego jest księdzem, żeby ludziom prawić o przeboczeniu wszelijakich krzywd. Na to już nima rady!.. Ale dycki ci pieknie wszystko to z głowy wybije i to samo ci powie, że inakszy nie było Iza zrobić. Jak mnie bai jaki zbójnik napadnie, a chce mnie zabić, a jo się bronią i jego zabija, to i w sądzie panowie też powiedzą, żech dobrze zrobił. To znaczy, prawie tak nie powiedzą, ale podobnie. No, ni? Tóż idź jeny do księżoszka, polutuj się pieknie, a uwidzisz, że ci ulży!.. Tóżeś go do pieca skutnął... ni! toż on się do pieca skuloł?!.. Nale wiecie ludzie!.. Dobrze się, pieronowi, stało!.. No, ale to idź do księżoszka, jakożech prawił i bydzie zaś wszystko dobrze!.. Do ci jako farońsko pokuta, koże ci rzekać!.. No, to bydziesz rzekać, aż ci wargi spuchną!,. A koże ci iść na pąć, no to pójdziesz! Pójdziesz do naszej częstochowskiej Panienki Maryje, tam sie jej ze wszystkiego polutujesz pieknie i uwidzisz, że ci ulży. Bo to jest dobro Panienka Maryja. A nasza!.. Polsko!.. A tyś też jest Polok!..

Widzisz!.. Przeboczy ci wszystko, wstawi się do Pónbóczka za tobą i fertik! No idź przody do księżoszka, a wyspowiadej się!..

Wałoszek słuchał prostych słów Markowych i rozwierał swoje skołatane serce dokorząt na ich powitanie.

Poszedł do księdza proboszcza. Jeszcze w ten sam wieczór. Długo tam był, bo wrócił kiedyś przed północą.

Co z sobą mówili, miły Bóg raczy wiedzieć!

Po ciemku siedzieli, w cichym pokoju, i szeptali w mroki swoje słowa. Proboszcz umyślnie nie zapalił światła. Wiedział, że Wałoszkowi łacniej będzie po ciemku wyspowiadać się ze swoich bólów i krzywd, i wszystkiego, co złe. Są słowa, których człowiek wstydzi się w świetle powiedzieć. Bo i one wstydzą się światła. Są bowiem albo takie zbiedniałe, żebracze lub nieśmiałe, albo też takie umorusane i troską zgryzione, wlokące za sobą ciężar grzechu, jak biedak w łachmanach, przesyconych duszącym czadem z gorejących hałd, niosący z wysiłkiem brzemię uzbieranej opuki, że nie sposób ich po widoku wyjawić. Człowiek wstydzi się za nie.

Długo więc szeptali słowa w ciche mroki, co raz przegradzali je westchnieniem, a nawet zduszonem łkaniem, jedne z nich wlokły się jak ptaki o złamanych skrzydłach, zdrożone, z wszelkiej radości wyzute, a drugie zasię podchodziły, jak spojrzenie miłującej matki, wspierały je, brały do siebie i całowały...

Po izbie siały się mrące blaski dalekich łun z nad huty, a nad głowami dwóch nachylonych postaci jaśniał zlekka duży Chrystus na krzyżu. Ze ściany patrzał, taki sam cichy i słodki, jak ciche i słodkie proboszczowe słowa były.

A kiedy już Wałoszek wstał i starą dłoń proboszczową uścisnął, a proboszcz znowu wziął jego schyloną gło-

wę i ucałował w czoło, i przeżegnał, wtedy tamten duży Chrystus na krzyżu uśmiechnął się. Jak dziecko we śnie. Tak się zdawało Wałoszkowi.

Wałoszek już dawno był poszedł, a ksiądz proboszcz jeszcze klęczał przed Chrystusem, z twarzą ukrytą w dłoniach, i rozmawiał z Nim. Skarżył się i prosił pocieszenia.

Przerażało go owo morze nienawiści, jakie z dniem każdym rosło i wznosiło się, i zalewało serca jego ludu. Toć on tutaj znajduje się, jak opuszczona sierota, bezsilnie patrzący, jak przeklęty posiew złości ludzkiej znieprawia je, w ugór nieurodzajny zamienia, na którym jakoby więdnieją i schną kwiaty, które on od tylu lat sieje i sieje, niezmordowany, niestrudzony, a wyrastają kąkole i osty plugawe, zielska trujące, rozpleniają się coraz mocniej, że aż żal przeogromny kąsa, kiedy patrzeć na to wszystko!..

Nienawiść a miłość!,. Jak daleko, daleko między temi dwoma światami, jaka głęboka przepaść między niemi!.. Słuchając Wałoszkowej skargi, przejrzał wszystko, co się znajduje w jego sercu i w sercach tych tysięcy, tysięcy innych, jemu podobnych, broniących się resztkami sił. Niemasz w nich miejsca na miłość, na zdolność przebaczania, na zapomnienie krzywdy!.. Niemasz!.. Strute są ich serca do dna, strute nienawiścią, za którą ponoszą winę tamci, Niemcy!..

— Boże, przebacz im! — łkało w cichości proboszczowe serce zafrasowane — przebacz tym biednym, nieszczęsnym, że tacy!.. Oni niewinni!.. Wejrzyj w Swej łaskawości na ich udrękę, wspomóż ich, daj im tę siłę, żeby wytrwali mimo tyle zła, co im nie dozwala dzisiaj wrogom swym przebaczyć!.. Oni się tylko bronią!.. Każde zwierzątko najdrobniejsze, każdy robaczek najlichszy broni się, bo Ty tak chciałeś!.. Oni to samo czynią!.,

I długo jeszcze błąkały się w mroku proboszczowe słowa, szeptane, ciche, na palcach stąpające, do Panajezusowych nóżek przenajświętszych podchodzące i żebrzące Jego politowania.

Ocknął się nareszcie ksiądz proboszcz z bolesnej zadumy, kiedy stara gospodyni wstąpiła do jego izby. Stanęła na progu, w narzuconej na ramionach hacce, z pełgającym ogarkiem w dłoni. Ujrzała go klęczącego pod krzyżem.

— Nale lo Krysta świętego, księżoszku — jęła lamentować — na idą już leżeć!.. Któż też to widzioł tak po nocach siedzieć i rzekać, i Pana Boga fort napalować!.. Na idą już leżeć! Dyć już są dwie godziny po północy, jutro, albo to móm prawić, dzisio rano trzeba im wczas stować, a oni sam jeszcze siedzą i rzekają, jakby jaki okropny grzesznik!.. Na idą już leżeć!..

I tak długo dogadywała, że proboszcz, chcąc nie chcąc, rnusiał się udać do sypialni. A gospodynka poczłapała zpowrotem do swojej izby, wyrzekając na zbytnią pobożność proboszcza, która się zapewnie i Panu Bogu musi już uprzykrzyć.

— Dość się Pónbóczek nasłucho ludzi we dnie, utropy mo z nimi do kubika, a tu jeszcze w nocy go napalować!.. Dyćby to każdego dożrało!.. — gderała po schodach, nadąsana, że proboszcz nie dba o swoje zdrowie.

— A jak umrze, to co? Kaj jo się, biedno kurzyczka, podzieja, kaj?.. — i rozpłakała się z żałości pod pierzyną.

Wałoszek od owego wieczora zmienił się. Poweselał jakoby. Raczej oczy jego poweselały. Widać, kamień przewielki spadł mu z serca. Znowu schodzili się do niego robotnicy, to po książki, to na pogawędkę, to żeby gazetę wspólnie przeczytać, przychodził i Ściskała z Mar-

kiem, a wszyscy odczuwali bezwiednie, że stało się z nim coś wielkiego. Ale co, tego nikt nie umiał powiedzieć.

Marek radował się w duchu przemianą jego. Przypisywał ją swoim namowom i staraniom, a że sercemby się podzielił chętnie z towarzyszem, było mu tak, jak człowiekowi, co komuś w trudzie wielkim ochotnie pomógł i teraz patrzy zadowolony z dobrego uczynku.

Wałoszka nawet nie wyprowadziła z równowagi wiadomość, że przegrał proces w drugiej instancji w sprawie sporu z hutą o jego wywłaszczenie.

— Nie starej się, kamrat — mówił Marek — bydziemy apelować do Lipska. Nima możne, żeby nie było na świecie sprawiedliwości. A nie dać się!.. Do ostatka gryźć, kopać, a nie dać się! Sprawiedliwość musi być!..

Kiedy ktoś z obecnych napomknął o klęsce, poniesionej przy wyborach do sejmu pruskiego, Marek znowu swoje.

— Cóż się, chłopi, bydymy ślimtać!, Dzisio my są pobici, przyjdzie czas, że znów oni dostaną w skóra! A to pierońsko!.. Aż w dłoń zaszczypie!.. A choćbymy tego nie dożyli, to nasze dziecka to zrobią! No, ni?..

Umiał ludzi zachęcać do wytrwania. Chętnie go słuchali, gdyż z jego słów i oczu, i całej postaci szła jakaś hardość i siła, co potrafiła zbagatelizować klęskę, a wszczepiać nową otuchę i zawziętość.

— A co do „Sokoła”? Hm, pierony w pięta muszą się ugryźć! — tłumaczył po swojemu, kiedy i tę sprawę omawiano. — Germany wyciepali nas od Szuścika, no to my se zrychtujemy sala kaj indzi. Wiosna nadchodzi, to bydzie dobrze. Oto jużech mówił ze starym Młynarskim. On mo tako próżno szopa, w kierej kiedyś mioł warsztat ślusarski, to nóm ją oddo, my ją fajnie wyrychtujemy i tam bydymy się schodzić i dziwać się pieknie,

jak młodzi „Sokoli” ćwiczą. A zaśpiewać też se zaśpiewomy i wszystko. A Niemcy psiniec nóm zrobią!.. No, ni?

— A wiecie, co wóm powiem, to wóm, chłopi, powiem, terazykej jeny muszymy zęby ścisnąć i zbyte. A jak kiesi przyjdzie czas, Maryjko święto!.. Rznąć bydymy pieronów jasnych za to wszystko, że aż strach!.. Jo, choć już byda może stary, to pójdą. Wezna flinta do gorści a pójdą na nich, jak na zające. A wy też. Ni?.. Maryjko święto!.. Za wszystko się odpłacymy po sprawiedliwości!

Pewnego dnia Ściskała zagadnął Wałoszka w sprawie Helenki.

— Tóż co się dzieje terazykej z tą biedoczką?

Wałoszka dziobnęły te słowa. Jakby ktoś niezabliźnioną, zaognioną jeszcze ranę nieopatrznie paznokciem rozdarł. Lecz w tem samem okamżeniu przypomniały mu się proboszczowe słowa. Zdusił w sobie gniew, żywiony już teraz nie wiedzieć do kogo.

— Jest w Karwinie u bratowej... — powiedział spokojnie.

— Co tam robi?

— Tam musi być!.. Niech tam zostanie. Nie naje sie przynajmniej tyle wstydu, co w Ligocie.

— A już jest po tem?

Wałoszek zrozumiał, że pyta się o dziecko, które ma urodzić.

— Nie, boby mi bratowa pisała!

— A już wie, co się stało z Willichem?

— Czy ty wiesz?

— Wiem. Marek mi powiedzioł...

— Ona jeszcze nie wie!

— Wiesz, co? Gustlik teraz jest na „krankszychtach”. Nogę se sparzył przy walcach. Posiedzi doma

z miesiąc, zanim się wyliże. Poszlij go do Karwinej, napisz *jej* pismo, bo chudziatko dzioucha... — i nie dokończył.

— Dobrze! — rzekł po namyśle Wałoszek. — Niech tu przyjdzie Gustlik. Ale czemu teraz nie przychodzi do mnie?

— Ale, cosi se zjedli z twoim Emilem skyrs Helenki, nawet się na ceście pobili. Tóż skyrs tego sam nie przychodzi.

— Powiedz mu, żeby przyszoł.

I jeszcze tego samego wieczora napisał list do Helenki. Dobry, łagodny list.

Nazajutrz przyszedł Gustlik.

— Jedź do matki i zawieź Helence to pismo. Powiedz, aż się nie staro. A potem... powiedz jej tak, ona już wie, kiedy... a potem, że pojedziemy razem do Częstochowy... Wiesz? Jo, bo musza tam jechać, a ona...

— Dobrze, ujcu!.. — przerwał mu Gustlik, domyślając się reszty,

— Az Emilem jużeś się pogodził?

— Ni! — mruknął zachmurzony Gustlik.

— Poczkej, zaroz go tu przywołom! — i poszedł do żony do kuchni.

— Kaj jest Emil? — zapytał.

— Mówił, że mo się dziśka z Helmą spotkać! — odrzekła Wałoszkula.

— Z Helmą? Cóż to znowu? z Niemką?.. — zdziwił się niemile.

— A dyć to nic złego! Dyć Heima jest nasza. To nie jest żodno Niemka!..

— Jednakowe nasienie!.. Ale cóż się tak z nią skamracił?

— A to już od downa. Mnie się tak wszystko zdo, że dzioucha mu przaje. A ona tu często zachodzi, bo się

fórt o Helenke staro i dopytuje się. A potem ją Emil odkludzo do domu...

— Jakto, a stary wie o tem?

— Kiery? Ojciec? Kierownik Kowoll?

— Tak!

— Ale mosz rozum, synku!.. Nic nie wie! Dyćby dzioucha przeklął, jakby o tem wiedzioł. Ona dycki tukej przyleci, jak stary jest w klasie lebo w kasynie, i trocha ze mną pomówi, polutuje się, książka se jedna i drugo wybiere z naszej bibljoteki, i ucieko ku chałupie. To jest nasza dziewczyna!..

— Nie wierzą!.. Jak przyjdzie Emil, powiedz mi. Musza mu zakozać tego kamracenia sie z germanką. Bydzie to samo, co z Jozefem!..

— No, idź, Gustliku, do domu, idź, bo Emil smyko się z tą szwabką Helmą... Ale już mu dóm za swoje!.. — zwrócił się do chłopca, kiedy wrócił z kuchni.

— Ujcu, nie miejcie strachu o Emila, bo Heima jest nasza. To jest nasza dzioucha!..

— Ale djaska tam, nasza!.. No, idź do chałupy, a jutro jedź do Karwinej a wyrządź wszystko, jakżech ci prawił!..

Gustlik pojechał.

Ciekawy był spotkania z Helenką. Co powie, gdy go zobaczy? Jak też będzie wyglądała? Czy dopatrzy się w niej tej dawnej, słodkiej Helenki, którą ubóstwiał? Czy pozbędzie się na jej widok niechęci, jaką żywił do niej od tamtej chwili, kiedy się wszystkiego dowiedział?..

Kiedy wszedł do izby, kulejący, podparty krzywakiem, ujrzał ją siedzącą w krześle, obłożoną poduszkami, bladą, wynędzniałą, z zaczerwienionemi oczami. Opuszczenie bezsilne, jakaś ptaszęca bezradność patrzyła z jej twarzy. Matka krzątała się koło pieca.

— Gustlik!.. — krzyknęła lekko dziewczyna, podniosła dłonie, drobny płomyk ożywienia przeleciał w jej źrenicach i zaraz zgasnął. Dłonie opuściła. Patrzyła w niego zalęknionemi oczyma,

Gustlik wyczuł w sercu ciepłą falę litości.

— Mój Boże! Helenka! — pomyślał tkliwie i zdawało się, że wszystka niechęć przeszła na zawsze. Równocześnie jednak ujrzał jej zniekształconą postać, a wtedy niechęć wstrzymała się w ucieczce i zawróciła powoli.

— To jego dziecko nosi w żywocie! — przeleciało mu przez myśl z obrzydzeniem.

Helenka spostrzegła to wszystko, co się w nim przez tę drobną miareczkę czasu dzieje. Zrozumiała. Opuściła głowę, zakryła twarz dłońmi i jęła łkać cicho, cichusienko. Jak skrzywdzone dziecko.

Próbował ją z matką uciszyć, nawet po głowie pogłaskał, ale dziewczyna była nieutulona. Łkała spazmatycznie, a duże, duże łzy przemykały się między palcami i spadały ciężko na piersi.

— No, nie płacz już, Heleno — mówiła matka — oto ci Gustlik przywiózł pismo od tatulka!..

Gustlik znowu wyczuwał, że ogarnia go litość,

— No, cicho już, cicho — powtarzał, głaskając ją po puszystych, miękkich, złotawych włosach — no, cicho już!.. Twój tatulek prawili, żebyś się nie starała, ani nic, a potem... kiesi nieskorzy, że pojedziesz z nimi do Częstochowy, do Panienki Maryje!..

— Tak... po... wiedzie... li? — zapytała dziewczyna, dławiąc się jeszcze szlochem.

— No, tóż, jako powiadom! Tak powiedzieli, żebyś się nie starała, że wszystko zaś bydzie dobrze, a kiesi jak... a kiesi pojedziesz z nimi do Częstochowy!.. — powtórzył.

— Tóż... to oni się... na mnie... nie gniewają?..

— Ale ni, Helenko, ni!..

I stało się coś, co Gustlika zaskoczyło. Helenka ujęła jego dłoń i, zanim miał się czas spostrzec, co zamierza czynić, podniosła ją ku ustom i ucałowała. Usunął ją szybko, prawie że przestraszony, a równocześnie ujrzał na niej dwie wilgotne smugi, jakie zostawiły po sobie łzy, co z jej oczu spadły. Patrzał na nie chwilkę, a potem schylił się do Helenki i ucałował w zwilżony, słony policzek.

Lecz w tej samej chwili zawstydził się tego, bo matka patrzała na nich. Odwrócił się i jął rozwiązywać węzełek, w którym swoją bieliznę przywiózł.

Potem zasiedli koło stołu, a Gustlik opowiadał matce i Helence o wszystkiem, co podczas jej nieobecności działo się na Górnym Śląsku. Matka raz wraz składała dłonie w podziwie, Helenka zaś milczała. Czasem jeno westchnęła.

Gustlik o najważniejszej rzeczy, o śmierci Willicha, nie mówił. Odkładał to na sam koniec. Skończył o walce Niemców z „Sokołem”, o powrocie Wałoszka z wiezienia, następnie przeszedł do ponurej wieści o niekorzystnym wyroku w Opolu, tyczącym się[1] wywłaszczenia Wałoszka, a teraz postanowił opowiedzieć rzecz najciekawszą, która z pewnością przyniesie Helence zadowolenie.

— Ucieszy się, dzioucha — myślał, ważąc w myślach słowa, którebyś wybrać, żeby wywarły wrążen:3.

— A wiecie, co wóm jeszcze powiem?..

— Co? Jeszcze co złego? czy dobrego? — zaniepokoiła się matka.

Gustlik przeczekał chwilkę, skierował wzrok z boku na Helenkę i wycedził:

— Willich już jest kaput!..

— Co za Willich? Jakto, kaput? O czem mówisz? — pytała matka, nie rozumiejąc go.

Helenka zaś zbladła, rozszerzyła oczy i patrzyła w Gustlika.

— No, Willich, ten kiery naszą Helenkę skrzywdził!.,

— Co się z nim stało?.. — szepnęła dziewczyna, przechylając się wprzód, ażeby lepiej usłyszeć. Dłonie zaplotła kurczowo i przycisnęła do piersi.

— Twój tatulek, Helenko, kiedy był na szychcie na „Emmie", kopnął Willicha i Willich przekopyrtnął się i zlecioł do otwartego pieca!.. Już go niema!..

Nastała przerażona cisza.

— Co?., co?.. — szepnęła wreszcie dziewczyna, skubiąc spłoszonemi palcami bluzkę. Nachyliła się jeszcze mocniej, blada, wylękniona, ciężko dysząca.

— Tóż jako powiadom!.. Niema już tego pierona!.. Zgoroł w piecu!.. Niema go już!,,

Helenka chwilkę jeszcze patrzyła nieruchomo w Gustlika, oczy jej stopniowo przymykały się, gasły, teraz zaczęła się kurczyć, odsuwać od stołu, ręce opadły bezwładnie na kolana. Zbierała myśli. Widać było, że siliła się, by je ująć, zgarnąć i zrozumieć... Nareszcie!

— Jezus! Maryjo!.. — krzyknęła zduszonym głosem i zakryła oczy dłońmi.

W nieoczekiwanych tych słowach mieściło się tyle rozpaczy, tyle nieludzkiego bólu, że matka i Gustlik zerwali się z krzeseł. Podbiegli do Helenki. Dziewczyna teraz kuliła się, jakby uderzona kamieniem w ciemię, przechylała głowę coraz niżej, z pomiędzy palców jęły się znowu łzy przesączać, a z pod dłoni strzępił się cichy, żałośliwy, dziecięcy jakiś skowyt.

— Ale lo Krysta świętego, Helenko?.. Cóż ci to? .. — niepokoiła się matka — co ci to? — i próbowała ją uci-

szyć, dłonie od oczu oderwać, zrozumieć przyczynę jej nagłej rozpaczy.

Ale dziewczyna coraz mocniej łamała się z brzemieniem bólu, co ją do ziemi gniótł, cichy jej skowyt przechodził w łkanie, co się wydzierał z piersi, szybko, gwałtownie, wstrząsający jej ramionami, a głowę wsparła już teraz na stole, słaba, biedna, opuszczona...

Próżno ją Gustlikowa matka starała się uciszyć, próżno ją głaskała i do piersi przytulić pragnęła. Dziewczyna zapamiętała się w swej rozpaczy.

Gustlik zaś stał bezradny, nie mogący pojąć, co się jej stało.

— Czemu tak płacze? To zamiast się radować, że tamtego nie minęła zasłużona kara, to ona płacze?,. — myślał.

— Idź z izby! — szepnęła mu matka.

Gustlik wybiegł do sieni i długo stał na progu, patrząc w nadchodzące mroki. Dochodziły go urywki słów, przeplatane płaczem, potem płacz uciszał się, uciszał, a tylko łagodny głos matki szemrał leciuchno, podobny do monotonnej kołysanki, jaką matka swoje dziecko usypia.

Potem i to ustało. Zaległa cisza.

Wkońcu drzwi się lekko odchyliły. W jej szparze ujrzał wychylającą się głowę matki.

— No, pódź już! — szepnęła — ale pocichu, bo Helenka już usnęła!..

Poszedł za matką. Ujrzał Helenkę w łóżku, nakrytą kocem, upłakaną jeszcze, z piąstką włożoną pod głowę. Włosy jej rozsypały się szeroko koło głowy.

— Chudziatko biedne! — szepnął bezwiednie, patrząc na nią z tkliwością. Wydawała mu się w tej chwili tak bardzo biedną i opuszczoną, i litość budzącą, że byłby chętnie przystąpił do niej, nachylił się i długo, długo po

twarzy głaskał, i po włosach i czole całował, gdyby nie obecność matki. Nie wypadało, boby się kiedyś może śmiała!..

— Pocoś to mówił o tym jakimś Willichu! — zwróciła się do niego z wyrzutem,

— Tóż, czy jo wiedzioł, że ją tak to obejdzie? — uniewinniał się Gustlik szeptem, raz wraz spoglądając z niepokojem na dziewczynę, czy się nie budzi.

— Miałach ją kumedje uspokoić, a potem uśpić!.. — szeptała dalej. — Nic, jeny mi dzioucha płacze i płacze, i narzeko, żech se już rady nie wiedziała!.. Ale wkońcu się zmęczyła tym płaczem i usnęła mi przy piersi, akurat jakby małe dzieciątko!.. Boroczka jedna!..

— A tóż, o co jej się rozchodzi, że tak za nim płacze?

— Ale... ty temu nie rozumiesz!.. Dzioucha mu przzoła, temu istnemu!.. Wiesz!.. Widać, miała go rada, tóż teraz taką kumedje robiła!..

— Rada go miała? — zadziwił się Gustlik. — Tego pierońskiego dziada?..

— To już tak na świecie!.. — westchnęła. — To tak dycki bywo. Dziouche zbałamucił, powiadoł jej, aż żodnemu nic nie mówi, z kim bydzie miała to dziecko, co dziepro mo przyjść na świat, a że on się potem z nią ożeni!.. Judosz plugawy!.. Ale to tak dycki bywo!..

— Co bywo?..

— Ale, ty temu nie rozumiesz!.. Tóż to tak dycki bywo, że taki chachar, jak się mu dzioucha podoba, a chce ją na złe drogi zwieść, to dycki obiecuje, że se ją weźnie!.. A potem, to się na nią wysmoli i pomyśli se: „Całuj mnie w kapsę!" i dziouche tak poniecho z dzieckiem. To już taki zatracone plemieni chłopskie!..

— Jakto? To on jej mówił, że się z nią ożeni?..

— Tóż jako prawiem! Tak jej mówił! Miałach sto bied teraz dziousze to wybić z głowy, że to nieprowda, żeby się z nią kiedy żenił!.. Nie chciała wierzyć!.. Tako głupio dzioucha!.. Jak zresztą każdo!.. — zakończyła z wyrzutem.

— I to wóm teraz to mówiła?

— Ech, Boże, tyś jest!.. Toć teraz. Jakżeś był w sieni. Wszystko mi powiedziała, co a jak. Dzioucha se popłakała, trochę jej ulżało i usnęła. Ale co bydzie jutro, miły Bóg raczy wiedzieć!..

— Jo jej to jutro wymówię...

— Hale, psiniec tam wymówisz!.. Ty sóm niczemu nie rozumiesz!.. Ani nie mów z nią o tern, bo dziouche bydzie gańba! Nic nie mów!.. To jest babsko rzecz o tem mówić, a nie twoja! Wiesz!..

— No, jak ni, to ni!.. A poco dała się tak zbałamucić?

— Ech, głupiś!.. A być już pocichu, bo mi ją jeszcze zbudzisz, i bydzie tela parady!

Urażony Gustlik umilkł.

Matka miała jeszcze jedno zmartwienie. Gdzieby tu Gustlika przenocować. Toć przecież nie wypada mu spać w tej samej izbie, co Helenka! A innej nie było. Wkońcu postanowiła zrobić mu łóżko na strychu.

— Trochę ci tam może zima bydzie, aleś jest młody, to wydzierżysz. Pościelę ci pięknie w słomie, nakryjesz się pierzyną i wyśpisz się dobrze. Bo tu przeca spać nie możesz!

Gustlik był nawet rad z postanowienia matki. Zawszeć to przecież jakaś miła odmiana! A zresztą sam rozumiał, że nie wypadało mu spać w izbie, tem bardziej że nie było w niej tyle miejsca wolnego. Chyba na ławie lub na podłodze. Lepiej już tam będzie na strychu!..

Nazajutrz z Helenką stało się coś dziwnego. Nic nie mówiła, tylko siedziała zapatrzona gdziesik przed siebie, a oczy miała takie jakieś nieprzytomne i smutne, że się aż serce krajało, gdy się człowiek na nią popatrzył. A co raz, to popłakiwała zcicha. Nieocierane łzy kapały na jej piersi, na ręce czy na stół, potem znowu ustawały, a drobne, wychudłe jej palce bez przerwy motały koniuszek koca, którym była okryta. A co do niej przemówić, to ona długo nic. Jakby nie słyszała. Potem dopiero powoli odwraca głowę, patrzy się jakaś nieprzytomna, myśli zbiera i odpowiada skinieniem głowy. To wszystko. I znów zapada w tamto bolesne odrętwienie.

Po południu wstała z krzesła i jęła czegoś szukać. Gustlik i matka patrzyli na nią zdziwieni, bo w oczach miała ciche obłąkanie. Jakby ich nie widziała.

— Czego chledosz, Helenko? — zapytała matka.

Helenka oprzytomniała. Spojrzała na nią, znowu coś długo myślała, a potem szepnęła:

— Nic!...

Chwilkę postała na środku izby, a następnie zmierzyła ku drzwiom.

— Kaj chcesz iść, Helenko? — zapytała zaniepokojona ińatka.

— Dusi mnie tu! — rzekła cicho dziewczyna. — Trocha se przejdą...

— No, to idź, rybeczko, idź!.. — zgodziła się matka, rada nadzieją, że się może nieco rozerwie i zapomni o wszystkiem. — Idź, ale się odziej! — i podała jej grubą hackę.

Dziewczyna zarzuciła ją z wysiłkiem na ramiona i wyszła.

— A nie chodź daleko, rybeczko! — zawołała jeszcze za nią.

— Co się jej to robi? — zapytał Gustlik, kiedy Helenka była za płotem. Patrzał za nią i widział, że idzie powoli, lekko się zatacza i patrzy do ziemi. Przechodzący ludzie oglądali się za nią.

— Ale to już tak, synku! — odparła matka. — Wzięła se to za bardzo do serca i teraz, borok dzioucha, nie może miejsca znaleźć. To już tak dycki bywo!.. Mój Boże, żeby też to nie odleżała!..

Gustlik wciąż patrzał za nią. Doszła do figury, od której biegła teraz boczna ścieżka w kierunku hałdy. Z boku czernił się niewyraźnie duży staw. Taki sam, jak w Ligocie między hałdami. Dziewczyna przystanęła chwilkę i rozejrzała się. Teraz uchwyciła się słupa i patrzy się dookoła. Ujrzała staw, bo nie spuszcza zeń wzroku. Teraz powoli, z wysiłkiem wlecze się krętą ścieżyną w jego kierunku. Na szarem tle wydmuchowiska czerni się jej postać. Wiatr rozwiewa jej suknie, zdziera z ramiona hackę. Broni się jemu. Teraz wyskubał z palców jeden koniec hacki i rozwiał szeroko koło Helenki. Szarpie nim, wydziwia, w chybkie fałdy wydyma, że hacka wygląda, jak zmięta chorągiew, przy ziemi niesiona, którą ktoś przed trumną niesie.

Znienacka przypomniała się Gustlikowi owa 'dziewczyna, o której słyszał, że ją również Willich uwiódł, porzucił, a ona utopiła się w czarnym stawie.

— Jezus, Maryjko! — szepnął przerażony nagłem przeczuciem i rzucił się do drzwi. Widział, że Helenka dochodzi już do stawu.

— Na, ty? Czy cię bąk uszczypił? — zdziwiła się matka. — Cóż tak naroz lecisz?

Ale chłopiec nic nie odpowiedział, tylko wybiegł z izby, nawet drzwi nie zamykając, i pognał co sił naprzejmo za dziewczyną. Maleńkie wzniesienie zasłoniło mu

ją, ale kiedy je minął, spostrzegł, że dziewczyna stoi nad brzegiem i patrzy w wodę.

— Jezusku święty!.. — skamlał przerażony chłopiec — ona się chce utopić!., ona się chce utopić!..

I śpieszył, co siły. Sparzona noga boleśnie mu doskwierała, utykał głęboko za każdym krokiem, raz i drugi przewrócił się na rozmokłych, śliskich, zeszłorocznych trawskach, plątał się w ostach, pokimał zcicha i biegł. Helenka ciągle jeszcze stała nad wodą. Brzeg był wysoki, urwisty. Żółcił się zdała odkrytą gliną, jak ropiejąca rana ziemi. Nisko pod jej stopami czekała woda. Czarna, spokojna, cicha. Głęboko tam było. On dobrze wie, bo nieraz, chłopcem jeszcze będąc, rzucał w nią kamieniami. I pijany Bączek w tern miejscu się utopił. Ludzie mieli wtedy sto bied, żeby go z głębiny wywlec. Kiedy już leżał na brzegu, opęczniały, siny, potworny, muchy zbierały się czarnym rojem i na rozwarte usta i oczy mu siadały. Helenka taka sama będzie!... Jezusku święty!., żeby tylko dobiec!... A tu pieroński oset, znowu się zapętlił koło nogi!.. Gustlik szarpnął niecierpliwie i wywrócił się. Zerwał się szybko. Jeszcze kąsek!.. Oto do tamtej kępki, potem już po kamienistym gruncie pobiegnie... Jezus!..

Ujrzał, że dziewczyna powoli podniosła dłonie do ócz, przechyliła się i runęła z brzegu do wody!.. Rozstąpiła się szeroko, czarne jej strzępy podniosły się z szumem wgórę, załamały i chlusnęły zpowrotem. W wodzie kłębi się coś okropnego!.. Wybiegają ponad nią przerażone dłonie, biją rozpaczliwie, głowa teraz się wychyla, złote włosy rozpływają się w wzburzonym wirze naokoło ramion, znika wszystko, woda zalewa, zalewa!... Znowu ramię się wynurza!.. Sterczy chwilę ponad skołtunioną falą, a palce zwierają się szybko i prostują!.. Ułapić pra-

gną czegoś, coby przed śmiercią ubroniło!.. Zniknęła!.- Czarne, garbate koliska rozbiegają się, rozbiegają!..

Gustlik dopadł brzegu. Zrzucił surdut. Spojrzał, gdzie środek roztańczonych kół. Tam jest!... Skurczył się, złożył ramiona nad głową w ostry dziobiec, przechylił nisko i pchnął stopami. Zakreślił lekki łuk w powietrzu! Rozewrzyła się woda z wściekłym bełkotem, wchłonęła w siebie! Gustlik umie nurkować!.. Gustlik nie da się przeklętej wodzie!.. Rozgarnia ją ramionami, bije nogami. Do djabła, gdzież dno?.. Jest!.. Utrafi! pięściami w zimny, lepki muł!.. Bije teraz nogami i szuka omackiem... To tu, to tam!.. Jest!.. Natrafił! Wyczuwa miękkie ciało ludzkie. Zwierają się czyjeś palce kleszczami koło jego dłoni. Śmierć!.. Wyrwał się, z drugiej strony szuka... Nie może znaleźć!.. W uszach szum zamienia się w grzmot, w skroniach tysiące walców z jego huty ligockiej rzuca się opętanie... szuka, szuka... jest!.. Uchwycił w drapieżną garść wiotki pęk dziewczęcych włosów, przechylił się, odepchnął piętami od mułu... Wolnem ramieniem i nogami tłucze wodę... Czuje, że wznosi się wgórę... wlecze za sobą ciężar... Jak ona dziwnie lekko?.. — przemyka mu w tej chwili w myślach. Wychynął na powierzchnię, chwilę jeszcze wali ją dłonią, czeka, aż spłynie ciemność z ócz... Gdzie brzeg?.. Tam jest!.. Niedaleko!.. Rzuca się gwałtownie, ostro, odbija stopami od płynnej podstawy, a za nim sunie wychylające się z wody ciało dziewczyny... Dostał brzegu... Oddech świszczy w piersiach.

Stanął mocno, zaparł się nogami w miękkiej glinie, wyciąga dziewczynę ku sobie... Leży mu u nóg jej głowa. Oczy zamknięte, blada, woda cieknie z otwartych ust... Taka brudna, ciemna woda!.. Podniósł, podciągnął bliżej... Jak ją tu wydostać na wysoki brzeg? Nad głową wznosi się śliską ścianą...

— No, mosz ją? — słyszy nad sobą mocny głos.

Spojrzał. To Raszka z „Głębiny", a obok niego Żebrok. Patrzą obydwaj.

— Móm!.. — chce zawołać Gustlik, ale nie może głosu wydobyć. Jakiś skrzek to raczej zachrypły.

— A dzierż ją fest!.. Zaroz ci pomogemy! — krzyczy nad nim Raszka.

— Skąd się wzieni? — myśli Gustlik, lecz w tej samej chwili zapomina o nich, a patrzy na Helenkę. Woda wciąż cieknie z ust. Suknie oblepiają się koło piersi i wzdętego brzucha.

— Utopiła się? — znowu się pyta w myślach.

Zakołysały się przed jego oczyma cztery dłonie.

— Tóż podej nóm ją! — słyszy rozkaz.

Wysila się, mocuje z ciężarem. Dziewczyna leci mu z ramion. Ciężka!..

— ...a w wodzie była tako lekko! — przebiega mu przez myśl.

— Tóż, pieronie, podowej! — budzi go głos Raszki. Tamten drugi, Żebrok, również coś krzyczy.

Zaparł się jeszcze raz, objął pod piersi, udźwignął. Uchwyciły ją za ramiona tamte cztery dłonie i ciągną wgórę. Ocierają mu się o twarz jej suknie, teraz nogi. Tamci stękają. Aż tutaj słyszy. Ktoś pieronuje z nich, że ciężka.

— A teraz ty podej ręce! — słyszy nad sobą.

Podnosi ramiona i w tej samej chwili czuje, że stopy jego wynurzają się z mlaskiem z lepkiego błota, że go tamci ciągną.

Potem coś mu się w głowie kręci. Jakby się wódki mocnej porządnie napił. Nie wie, co się z nim dzieje. Jak przez ciemną mgłę widzi, że przed nim idzie wysoki, barczysty Raszka i niesie coś w ramionach. Aha, to Helenka!

Z jednej strony zwisają jej włosy, z drugiej nogi i suknia. Woda cieknie i szeleści po trawach. Jego zaś Żebrok trzyma wpół i prowadzi. Coś mu mówi, ale nic go nie może zrozumieć. Jakby gdzieś za ścianą się znajdował.

Teraz go rozbierają, coś w usta leją... Smakuje to!.. Żeby tak jeszcze kapkę!.. W łóżko go kładą. Lecz co z Helenką?.. Nie ma siły otworzyć ócz, żeby ją ujrzeć. Głosy naokoło cichną, cichną, strasznie mu dobrze... Tylko we łbie huczy i jakoś się kręci... A noga sparzona szczypie. Przez sen słyszy jeszcze, że ktoś mówi koło niego grubym głosem:

— No, szykowny synek. Ale medal dostanie fajny, że ją uretowoł. To się by dzie paradził! Sto djasków kandy!.. Jak jaki stary weteran z pod Werony!..

— A Helenka żyje? — chce się jeszcze zapytać tamtych niewidocznych ludzi, lecz głos jego rozłamuje się w drzazgi i w gardle utyka.

Ktoś tam płacze i płacze.

— Widzisz, pieronie! — myśli jeszcze z wyrzutem. — Toś ty nawarzył!.. Gdybych jej nie mówił o śmierci Willi cha...

Teraz wszystko się kończy. Coś miękkiego, ciepłego na oczy się kładzie. Jak to dobrze!..

Nazajutrz wieczorem obudził się.

Głowa go trochę bolała, a w kościach łupało. Jakby się setnie w hucie urobił. Rozejrzał się po izbie. Gdzież to jest? Patrzy i nie może poznać. Przy stole tuż obok okna, ktoś siedzi.

— Kajżech jest? — pyta się z wysiłkiem.

Tamten ktoś podchodzi i nachyla się. Toć to stary Żuczek!

— No jużeś się wyspoł? — pyta się.

— Już. Ale kajżech się tu nabroł?

— Ale nie rób się głupi! To nie wiesz?

— Na, tóż tobych się nie pytoł!.. — i wsparł się rękoma, aby wstać. Pomógł mu.

— No, być może, żeś zapomniał. Helenke wczoraś z wody wysmyczył, a teraz u mnie leżysz.

— Helenke? A prowda! A co z nią?..

— Żyje...

— Chwała Bogu! — zachłysnął się uradowaniem.

— Ale niewiele chybiało, a jużby było po niej. Odratowali ją. Ale też się z nią nagrali, nagrali. Był doktór Olszak i tak długo z nią robił kumedyje, aż ją wskrzesili. Może z pół grociczki wody z niej wyżbluchali...

— Kaj są mojeląty?[98])

— Cóż ci po lątach? Leż, kiedy ci dobrze!..

— Pójdę tam na nie się podziwać...

— Ah, synku! Tam teraz ni możesz iść! To nie pasuje!..

— Czemu?.,

— Hm! Jak ci to powiedzieć? Widzisz, ona chodziła niesama. I teraz borok dzioucha potraciła...

— Co potraciła?..

— Ale, głupi!.. Jak ci to powiedzieć? Tyś jest pierońsko trąba!.. No tóż, to jej dziecko przyszło już na świat... Wiesz?.. A jeszcze nie miało swojego czasu! Rozumiesz?..

— Dziecko? — zapytał zdumiony Gustlik, nie mogąc połapać myśli.

— Nó, toć nie kozę, jeno dziecko!.. Też się tak głupie pytać!.. A śpij raczy, a nie wypytuj sie tela, bo ci tu fochnę jedną, to zaroz bydziesz mioł! — mruczał zagniewany już Żuczek.

°8)Ląty — ubranie.

Gustlik zamilkł. Zżymał się w duchu na szorstkość Żuczka. Lecz widocznie miał powód, żeby tak odpowiadać. Położył się ponownie i jął sobie wszystko przypominać.

— Jakto było? Aha, już wie!.. Opowiadał Helence o Willichu i dzioucha zwątpiła! Głupio! Myślała, że se ją Willich weźmie! Też coś! I potem na drugi dzień poszła się utopić. Ale to była zatracono opowoga z mojej strony! Zdowało się, jak siedzioł pod wodą, że jej nie znajdzie. Ale znaloz! Ho, ho!.. Albo mi pierwszyzna nurkować? A w Olzie nieroz to człowiek nurkowoł, a nic?.. Ale co to potem było?..

Grzebał w myślach i grzebał, próżno usiłując znaleźć ich zagubiony wątek. Ani rusz! Nie Iza było wyszukać. Tyle jeszcze sobie przypomniał, że go prowadzono, potem rozebrano, a zimno nim pytlowało, że okropa!.. Coś mu do ust wlewano, co smakowało, jak konjak. Dobre to było!.. Jeny kapkę mało!..

— To, Żuczku, to jo społ przez całą noc aż do teraz? — zapytał znienacka. Żuczek odwrócił się powoli od okna.

— Toćżeś społ!.. Charczołeś, jakby kiery piłą drzewo rzazoł!..

— Toć dziwy!

— Żodne dziwy! Jak się tak człowiek umorduje, to potem spi, jak zabity. A poprowdzie, to z ciebie jest miglanc! Jakźeś dopod tą flaszkę z tym fajnym konjakiem, toś ją cyckoł, że ją trzeba było namoc od gęby odruwać!.. Strąbiłeś się, jak stary pijok, tóżeś tak społ!.. A jeszcześ mamroł, aż ci dają kapkę!.. Kajżeś się tak nauczył pociągać? U Prusoka?..

— A Helenkę skrzesili?

— Też się tak głupie pytać! Toć skrzesili! Posłali po pana Olszaka, to jest bardzo mądry dochtór, i tak długo

z nią gajdowoł, aż dzioucha przyszła do siebie... A zresztą, przecażech ci już mówił o tem. Cóż się tak fort dokoła wypytujesz?

Gustlik już zamilkł. Leniwa, słodka senność znowu nadchodziła. Przeciągnął się szeroko, ziewnął głośno, podłożył ramię pod głowę i zaczął drzemać,

Kiedy się nad ranem zbudził, Żuczek chrapał w drugiem łóżku. Cisza była. Zegar tykał jednostajnie. Przez okna sączył się daleki gwar maszyn.

— Cóż też z Helenką? — myślał z niepokojem.

Rano wstał, umył się, ubrał i postanowił pójść do matki. Koniecznie chciał zobaczyć Helenkę.

— Siedź tutaj — rzekł Żuczek — jo się przody pójdę podziwać, czy tam możesz iść! Zaroz tu bydę.

Gustlik usłuchnął.

Niezadługo wrócił Żuczek.

— Idź! — powiedział. — A wieczór zaś tu przydż. Bydziesz u mnie społ!..

Gustlik pobiegł. Otworzył drzwi i zatrzymał się. Na dwóch krzesłach podle okna stała mała trumienka, nakryta wiekiem, czarna, zdobiona jakiemiś posrebrzanemi, papierowemi aniołkami, w głowach gorzały dwie świece, a w środku między niemi czernił się mały krzyżyk. W izbie było czuć swęd stearyny, zwiędłych kwiatów i karbolu. Helenka leżała w łóżku, jeszcze bardziej blada, niż przed trzema dniami, wychudła do niepoznaki, bezwolna, jakoby zmięta, przez życie zdeptana, do cienia człowieka podobna. W rozszerzonych źrenicach gorzały chorobliwe płomienie. Patrzyła na trumienkę. Jedna dłoń leżała bezwładnie na kołdrze, druga zwisła nad podłogą. Nie zauważyła wcale, kto wchodzi, chociaż drzwi mocno skrzypnęły.

Matki nie było w izbie.

— Helenko! — rzeki miękko Gustlik, podchodząc do niej — jak się mosz?..

Teraz dopiero dziewczyna oderwała oczy od trumienki. Spojrzała na niego. Uśmiechnęła się blado. Uśmiech ten zaraz skonał. Gustlik zauważył, że usta jej były sine, a dłonie prawie przejrzyste.

— Helenko?.. — rzeki znowu Gustlik.

— Gustliczku, nie gniewosz się na mnie?... — szepnęła dziewczyna, patrząc mu w oczy błagalnie.

Chłopiec wyczuł, że mu oczy wilgotnieją, a w gardle coś dławi. Podał jej dłonie. Ujęła je i chciała uścisnąć. Nie mogła. Wtedy Gustlik usiadł na skraju łóżka, nachylił się i długo głaskał ją po głowie. Tak długo, aż Helenka jęła cichusienko szlochać.

Na drugi dzień przyszedł Żuczek, ładnie ubrany, w czarnej krawatce, w skrzypiących butach.

— Już czas, Wałoszkulo!.. Pogrzeb mo być o dziewiątej...

Kilka kobiet weszło do izby. Obstąpiły łóżko i zaczęły ciężko wzdychać i przez nos pociągać, i pochlipywać żałośnie, i lutować Helenkę.

— Eh, cicho baby! — ofuknął je Żuczek — nie róbcie tu kumedji!.. Dzioucha mo już dość swojej mankulji, a wy tu jeszcze bydziecie nad nią stękać i ślimtać się. Pakujcie do pola!.,

Wyszły, mocno obrażone.

Helenka leżała spokojnie. Oczy miała suche. Patrzyła bez przerwy na trumienkę. A kiedy Żuczek do niej przystąpił, żeby ją wziąć na ręce i ponieść na cmentarz, zakwiliła, jak ptaszę.

— No, podziwej się, rybeczko, na to twoje dzieciątko — rzekł Żuczek — bo już go nie uwidzisz więcej! — i zdjął wieko z trumny.

Wtedy Gustlik ujrzał małą figureńkę, jakby z wosku uczynioną, leżącą w trumience między jakiemiś taniemi, nakrochmalonemi tiulami, ze świętym obrazkiem w złożonych piąstkach. Odwrócił się ze wstrętem.

— Jaki to szpatne! — mruknął.

Helenka zaś jęła głośno szlochać. Wyciągnęła ramiona w stronę swego dziecka i powtarzała wśród łkania:

— Dejcie mi je!.. Dejcie mi je!..

Wtedy Żuczek wziął trumienkę w ramiona i podszedł z nią ku Helence. A dziewczyna obłapiła ją kurczowo, przechyliła ku sobie i zaczęła całować swoje umarłe dzieciątko. Skomliła przy tem, nie potrafiąca już płakać, a raz po raz powtarzała:

— O!., mój... aniołeczku!.. O!., mój aniołeczku!

Gustlik patrzał chwilkę na jej bezgraniczną rozpacz, a nie mogąc jej pojąć, odwrócił się i wyszedł.

— Też coś!.. — mruczał nachmurzony — takiego bękarta, a tak o niego rozpaczać!., też coś!..

Im dłużej myślał o tem, tem większa niechęć wracała do niego. Niechęć do Helenki, Jakżesz można? — myślał z obrzydzeniem — jakżesz można o takie dziecko tak lamencie? Zamiast się cieszyć, że już się to wszystko skończyło, to ona skomli, nie przymierzając, jak suka...

Splunął z obrzydzenia. Wyczuwał niesmak do samego siebie. Przypomniały mu się tamte ostatnie chwile, w których poddawał się rozrzewnieniu, i wstyd go teraz palił.

— Pierona!., być taką starą babą!.. — mruczał z niechęcią. Miał ochotę bić samego siebie po twarzy. Uwłaczało to jego męskiej godności, że pozwolił raz i drugi zakręcić się łzom w swoich oczach. Nie mógł sobie tej drobnej chwili słabości przebaczyć. Bo któż to widział, żeby taki chłop, hawierz, teraz hutnik, a o mało, że sma-

żyłby się i chlipał, jak ostatnia ciamajda, miękkuszek!.. Któż to widział?..

Poszedł się włóczyć między hałdami. Może wyzbędzie się wszystkiego, co go teraz kole! A na Helenkę!., Eh, głupstwo!.. Cóż go obchodzi!.. Warjatka, a nic więcej!.. Raz się topi, teraz znowu głupieje za dzieckiem umarłem!.. Djabliby tam zrozumieli takie baby!..

Kiedy mijał ostatni dom, zatrzymał się. Ujrzał, że przez otwarte okno u góry przechodzi szara, duża kotka, trzymająca w zębach maleńkiego kociaka. Zaciekawiło go to bardzo. Oparł się o sztachety i patrzał. Widać, okociła się gdzieś w stodole, a teraz pragnie swoje kocięta przenieść do izby. Trzymała maleństwo za skórę, tuż za karkiem. Stała teraz na zrębie górnej ramy i próbowała zeskoczyć do izby. Wahała się. Zeskoczyła.

— No, to dobrze! — szepnął z ulgą i już chciał pójść dalej, kiedy znowu dostrzegł tę samą kotkę, wyskakującą z izby na dwór. Znowu przez okno. Widocznie nikogo nie było w izbie, nie miał jej kto otworzyć drzwi i dlatego wybrała tę niebezpieczną drogę. Postanowił czekać. Za chwilę znowu biegła. Od stodoły. W pysku trzymała nowego kociaka. Podobny był do kłębka puchu. Szła powoli, podnosząc głowę w górę, bo kociak pętał się jej między przedniemi nogami. Doniosła go pod okno i wypuściła z zębów. Odpocząć pragnęła. Biały kłębek gmera teraz w trawie i piszczy żałośliwie, a kotka podnosi głowę i mierzy wysokość. Ujęła go znowu w zęby, przysiadła, skurczyła się i skoczyła!.. Szara smuga śmignęła w oczach! Już uchwyciła się pazurami okiennej ramy, wydrapuje... tylne łapy oślizgują się po szkle... Jezusku, spadnie!.. Ale nie!. Nagłym rzutem wyniosła się na ramę!.. Ale w tej samej chwili spada na ziemię puszyste kłębko.

— Kociczkę upuściła! — krzyknął mimowoli Gustlik i poleciał oczyma na jej poszukiwanie. Kociak leżał na trawie, obok dużego kamienia. Nie rusza się. Kotka ząś zeskoczyła na ziemię. Ujęła go zpowrotem w zęby, puśćiła, łapką posuwała i miaukała. Znowu chwyta, niesie i puszcza. Wącha, obchodzi, łapką trąca, ożywić pragnie, I ciągle miauczy żałośnie. Woła swoje dzieciątko. Teraz ujrzała Gustlika. Pobiegła do niego i zaczęła się ocierać o nogi, pobiegła naprzód, znów się wróciła i bez przerwy prosiła go boleśnie o poratowanie. Teraz znowu jest przy kociaku. Chwyta go, puszcza, siada i patrzy w Gustlika tak dziwnie i miauczy tak boleśnie, że chłopiec nie wytrzymał. Uciekł...

I długo jeszcze za sobą słyszał narzekanie matki-kotki.

A kiedy po godzinie wracał do Żuczka, przejrzał nieoczekiwanie, jak ślepiec, którego oczy pomazał śliną palec Boży. Stanął na środku drogi, zdziwiony tem odkryciem. Ujrzał w myślach tamte dwie matki obok siebie, i ból ich jednakowy ujrzał obok siebie. Tam Helenka, rozpaczająca bezsilnie za swojem dzieciątkiem, tutaj kotka, pragnąca swoje maleństwo zabite ożywić; i tam ból i tutaj ten sam ból matczyny!..

— Aha, więc to tak?.. — szeptał — więc to tak?

I teraz dopiero zrozumiał, jak bardzo krzywdził Helenkę. Zrozumiał ją do ostatka.

Zawrócił i poszedł do matki. W sercu niósł opuszczonej dziewczynie słodkość cichego miłowania, które go po drodze nawiedziło, a którego już nigdy od siebie nie odpędzi.

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ.